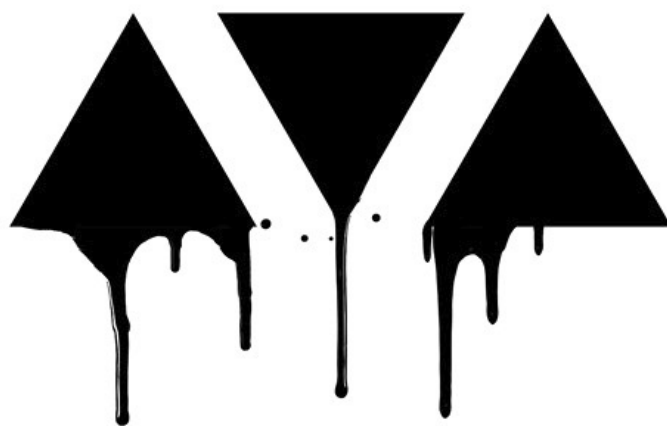


KRZESŁO CZAROWNIC



SEBASTIAN MACIAK

KRZESŁO CZAROWNIC



SEBASTIAN MACIAK

KRZESŁO CZAROWNIC

SEBASTIAN MACIAK

WARSZAWA 2021

Wydanie I

dla•czemu

WYDAWNICTWO DLACZEMU

dla•czemu

www.dlaczemu.pl

Dyrektor wydawniczy: Anna Nowicka-Bala

Redaktor prowadząca: Marta Burzyńska

Redakcja i korekta językowa: Magdalena Białek

Projekt okładki: Izabela Starosta

Łamanie i skład: Izabela Starosta

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

WARSZAWA 2021

Wydanie I

ISBN: 978-83-66521-67-4

Zapraszamy księgarnie i biblioteki do składania zamówień hurtowych z atrakcyjnymi rabatami. Dodatkowe informacje dostępne pod adresem: kontakt@dlaczemu.pl

Nie pozwolisz żyć czarownicy
Księga Wyjścia 22, 17

CZĘŚĆ I

PROLOG

Leżał wygięty w sinusoidę pod zatrzaśniętą klapą bagażnika. Klaustrofobicznie ciasne wnętrze mógłby nawet uznać za przytulne, gdyby nie przesiąknięta stęchlizną szmata pod plecami, przejmujący chłód i wbijająca się w lędźwie łyżka do opon. Miał dość miejsca, aby zmienić pozycję, ale nie zdołał. Bardziej wyczuł, niż dostrzegł cień za sobą. Ktoś złapał go za szyję, w którą od razu wbił mu strzykawkę. Igła weszła miękko, prawie bezboleśnie, a potem już nic nie czuł. Nie stracił przytomności, ale możliwość władania własnym ciałem. Mięśnie zwiotczały bardzo szybko. Ból przyszedł później. Minęło sporo czasu, odkąd się tu znalazł. Jechali już dwa, może trzy kwadransy, w nużąco jednostajnym tempie. Początkowy strach zdążył przerodzić się w złość, a ta w zobojętnienie. Wyzuty z sił i woli, oglądał siebie jakby z boku. Aż nagle zwolnili. Po odgłosie silnika rozpoznał redukcję biegów. Po chwili zmienili pas i zaczęli poruszać się po łuku. Zrozumiał, że zjeżdżają z autostrady. Właśnie wtedy zebrał się w sobie. Spróbował sięgnąć po klucz, który wyczuwał pod barkiem. Chciał przekręcić się na plecy, uprzedzić jego ruch. Wszystko jednak na nic. Nawet nie drgnął.

Samochód zatrzymał się i znowu ruszył. Mruczał przeciągle na wolnych obrotach, tłumiąc pokaźną moc. Skręcili dwa razy w prawo, po czym przystanęli. Wówczas przy tylnym zderzaku rozległ się warkot innego pojazdu. Światła reflektorów wdarły się przez dwa otwory po kulach i odbiły w części samurajskiego miecza, która wystawała ze skórzanej pochwy. Tęgie kopnięcie rozbroiłoby zamek. Ale nic z tego. Nogi pozostały drętwe, ręce sztywne, a blask metalu szybko utonął w mroku. Tamten ich wyprzedził. Ciszą ponownie zakołysał ruch tłoków w cylindrach. Przywykł już do słodkiego zapachu benzyny przy przyśpieszaniu i bezwładnego przesuwania się po podłodze. Wróciła normalność.

Głownia mierzyła około trzydziestu pięciu cali. Wygięte ostrze wyglądało solidnie, rękojeść stylowo. Tyle potrafił ustalić. Nie mógł wiedzieć tego, że broń została wykonana z trzech rodzajów stali na zamówienie pierwszego zabójcy filii japońskiej mafii w Brooklynie, ani tego, że zdobiony oplot jelca ze skóry rekina często zaznawał smaku krwi...

Morderca pozostawał nieuchwytny nie dlatego, że zaszył się gdzieś na krańcu świata. Przeciwnie, nawet nie opuścił kraju. Działał jak duch. Umiał się maskować. Dbając o każdy szczegół, nie musiał oglądać się przez ramię. Za to na dobre rozsmakował się

w amerykańskim stylu życia. Czerpał z atmosfery otwartości i ani myślał wracać. Podobało mu się niemal wszystko, zwłaszcza tamtejsze dziewczyny, popkultura i samochody. Kiedy do kolejnych stanów docierała niepojęta moda na japońskie i niemieckie marki aut, zaczątek wielkich kłopotów i długów Detroit, on kupił czarnego forda mustanga GT. Wymarzony nabytek wyjechał z fabryki w Dearborn przeszło dwie dekady wcześniej, a że poprzedni właściciel najwyraźniej lubił poszaleć i nie dbał o regularne przeglądy, silnik wymagał kapitalnego remontu. Należało też wymienić skrzynię biegów, która ciągle się zacinała. Ale karoseria wyglądała jak nowa, nie nosiła choćby śladu rdzy czy zarysowań. Zaledwie dziesięć tysięcy dolarów starczyło, aby tchnąć w maszynę drugie życie.

Zaraz na początku nowego tysiąclecia flagowy model forda przyplłynął do portu w Southampton. W kontenerze okrętowym upchnięto jeszcze kilka kartonów i starą komodę. Stanowiły one cały majątek niejakiego Daisuke Murayamy, przyjętego na pierwszy semestr ekonomii na miejscowym uniwersytecie. Chłopak nigdy nie poznał swojej matki, powiedziano mu, że zmarła po porodzie wskutek zakażenia nabytego w szpitalu. Mieszkał tylko z ojcem, aż do pewnej niedzieli, kiedy po niego przyszli. Sprawy potoczyły się szybko. Wtedy wiele rzeczy okazało się kłamstwem... Jak na przykład historia o śmierci jego matki. Daisuke został sam. W zakładzie karnym o zaostrowym rygorze nie pojawił się ani razu, choć jako syn miał prawo do okresowych widzeń. Nie napisał listu, nie otworzył odebranych.

W trakcie procesu Ameryka się zmieniała, by ostatecznie stać się mniej przyjaznym, dziwnie obcym krajem. Daisuke postanowił wyjechać stąd jak najdalej.

Planował wynająć małe mieszkanie w pobliżu uczelni, ale czynsze w tej okolicy znacznie przekraczały możliwości stypendium, niekiedy nawet dwukrotnie. Wprawdzie w nieznanym jeszcze wówczas policji domku nad jeziorem Michigan odkrył dwa pudła pełne studolarówek, lecz na razie nie zamierzał ich używać. Sąd orzekł przepadek środków zdeponowanych na kontach i lokatach, więc o gotówkę także mógł się upomnieć. Daisuke zgodził się na kwaterunek w dwuosobowym pokoju w akademiku. Jego współlokator, nieco wycofany student drugiego roku chemii, okazał się zupełnie bezproblemowy. Koncentrował się na nauce i potrafił zachować umiar we wszystkim. Obaj konsekwentnie unikali kłopotów i na ogół zdawali egzaminy w terminie. Wtedy jeszcze nic nie wskazywało na to, by któryś z nich mógł dopuścić się zuchwałej napaści, obezwładnić i wywieść kogoś za miasto.

W ciągu ćwierćwiecza w podobny sposób potraktowano co najmniej kilkanaście osób, ale dotąd żadnego Anglika. Ślady zębów na osłonie lampy należały do drobnego złodziejzka ze wschodniej części Bedford-Stuyvesant, odcisk buta w karoserii powstał, jeszcze zanim ten się urodził. Przymusowe wycieczki organizowano z myślą

o przyszłości. Nie chodziło tylko o karę wymierzaną jednostce, lecz głównie o szacunek ludzi z miasta. O wykształcenie powszechnego przekonania, że stawianie się grupie pana Murayamy oznacza poważne konsekwencje. Wzbraniającym się przed płaceniem haraczy podpalano sklepy lub słano pogrożki. O wiele gorzej obchodzono się z konkurencją.

Ale John Ward nie działał w półświatku, a porwany został nie przez przypadek.

Kilka godzin wcześniej analityk legitymujący się dokumentem wystawionym przez federalny organ ścigania powiązał dawno uregulowany mandat za nieprawidłowe parkowanie z zapisem z kamery przemysłowej, kradzieżą i anonimowym zgłoszeniem sprzed lat. Dzwoniący z automatu przy Nepperhan Avenue w Yonkers twierdził, że w bistro za rogiem doszło do poważnej awantury. Ponoć widział tłuczone o ściany butelki i krzesło przelatujące przez ladę. Jednak kiedy policja dotarła na miejsce, w lokalu panował porządek, a obsługa wszystkiemu zaprzeczyła. Sprawę potraktowano jako głupi żart i więcej do niej nie wracano. Następnego dnia z pobliskiego kościoła zniknęły dwa odlane z miedzi, posrebrzane i pozłacane kielichy. Oba przedmioty odzyskano już po miesiącu, kiedy paser przyniósł je do domu aukcyjnego, a rzeczoznawca dyskretnie zawiadomił policję. Przeoczono wówczas, że ten sam czarny ford, który zastawił drogę pożarową w dniu rzekomej kłótni, pojawił się w okolicy jeszcze trzy razy w ciągu tygodnia. Paser zaś prowadził sklep z wyrobami z porcelany i bibelotami na tej samej ulicy.

Gdy wyostrzył obraz i porównał numery rejestracyjne, związek między właścicielem pojazdu a włamaniem do kościoła nasunął się sam. Ale chwilę potem odkrył w bazie danych, że niejaki Murayama w owym czasie odsiadywał wyrok w kompleksie Auburn Correctional Facility, skąd nie wychodziło się na przepustki. Z kolei jego ford stał ponoć na parkingu policyjnym. Za zgodą więźnia i na mocy decyzji szeryfa miał bowiem zostać zlicytowany. Później zdziwił się jeszcze bardziej. Samochód przed pięcioma laty zarejestrowano w Wielkiej Brytanii na innego Murayamę. Syn? Czemu więc miała służyć aukcja?

Podniósł słuchawkę i wybrał numer. Ktoś odebrał dopiero po kilku sygnałach.

– Cholera, Johnson... – dobiegło z drugiej strony linii – naprawdę nie mogłeś poczekać do rana?

– Wybacz, Phil, ale...

– Dobra, mów. – Zapaliwszy lampę, znalazł coś do pisania.

1

Od ponurego brzasku deszcz bębnił o parapet renesansowej kamienicy nieopodal parku Victoria w Portsmouth. Krople wydawały się większe i cięższe niż to możliwe, gdy tak bez końca rozбивały się na blasze i szybach. Bradley Owen z kreską ust ułożoną w grymas z wolna wysunął dłoń spod poduszki i wyłączył budzik. Przy okazji strącił termos z nocnej szafki. Ten z głuchym brzdękiem odbił się od podłogi i potoczył pod łóżko. Dopiero wtedy mężczyzna otworzył oczy, po czym z mozołem wstał. Od razu otworzył okno. Przez chwilę chłonał cierpkie powietrze, patrząc na zakorkowaną Stanhope Road. Sznur samochodów ciągnął się w kierunku dworca. Ale zaraz potem zaczęło zacinać do środka, więc poszedł pod prysznic. Później pokroił bekon w cienkie plastry i usmażył wraz z jajkami. W międzyczasie posiekał kilka świeżych liści kolendry i skroił dwa pomidory. Wszystko wymieszał na talerzu, dodał zielonego pieprzu. Jadł, oglądając kanał informacyjny.

Szybko przestało padać i znacznie pojaśniało. Pogodynka mówiła o ośmiu stopniach ciepła i suchym niebie. Obrął dwa banany i zmiksował z trzema kiwi, sokiem z połowy limonki, łyżką miodu oraz płatkami owsianymi. Nisko zawieszony chmury wydawały się przeredzać, ale wciąż dość mocno wiało. Drzewa w oddali smętnie kołysały się na niosącym wilgoć wietrze. W biurowcu naprzeciwko paliła się już więcej niż połowa świateł. Nadeszła pora.

Czym prędzej założył strój do biegania i wyszedł. Ze schowka w piwnicy zabrał nartorolki i ruszył na swoją trasę. Kiedy śnieg zalegał na łąkach i wrzosowiskach wzdłuż rzeki, używał klasycznych biegówek. Ale ta zima była szara i ponura jak jesienna panorama Oslo.

Po krótkiej rozgrzewce dotarł do nadbrzeża. Na wysokości wiodącego do Le Havre morskiego szlaku handlowego znacznie zwiększył tempo. Potem zboczył w lewo, trzymając się drogi rowerowej biegnącej wzdłuż linii brzegowej. Energicznie odpychał się kijkami, zwalniając jedynie przed zakrętami. Silne podmuchy z południa wymagały wytężonej pracy nóg i nienagannej pozycji.

Przez niemal dwie mile ścigał się z jakimś chłopakiem na włoskiej szosówce, nim zdał sobie sprawę z tego, że ten został gdzieś w tyle. W końcu dotarł do przystani. Cumujące tam jachty, żagłówki i łodzie niespokojnie kołysały się na wodzie. Do brzegu dobijał właśnie prom. Aby zrobić pętlę wokół Kanału Langstone, musiał dostać się na wyspę Hayling. Bogata w polne przestrzenie i bujną roślinność okalającą szosy,

emanowała spokojem. W lecie pachniała kwietnymi łąkami i kłosami zbóż, od późnej jesieni zaś rześką bryzą.

Zdążył usiąść na drewnianej ławce na lewej burcie, gdy zaczęło mżyć. Naciągnął kaptur głęboko na czoło i wyjął bidon. Kiedy wyspę ogarniał zgniły chłód, niewiele osób przeprowaiało się na drugą stronę. Oprócz niego zabrały się tylko dwie rowerzystki. Przez warkot motoru co jakiś czas przedzierał się pisk rybitw. Zwykle krążyły nad gołymi masztami i białymi kadłubami, upatrując zdobyczy na płycznach lub polując na owady. Nieraz jednak zapędzały się w okolice środka zbiornika. Wtedy wysoko kreśliły ósemki, by nagle wderzeć się między fale i jeszcze szybciej ponownie poderwać do lotu już z rybą w szponach.

Kiedy tylko zszedł na stały ląd, wsunął buty w zatrzaski i pobiegł przed siebie. Minął puste osiedle domków letniskowych i ścieżkę przylepioną do wschodniego skraju wyspy. Wytyczona szlakiem dawnej linii kolejowej, bardziej nadawała się na spacer i konne przejażdżki. Wszystko przez grząskie, piaszczyste podłoże.

Granat chmur kłębił się coraz bliżej koron starych dębów, a widoczność stale spadała, więc włączył lampki na ramieniu i nogawce. Znajdował się w połowie prostej do ostrego zakrętu, gdy usłyszał przeciągłe wycie silnika. Brzmiało co najmniej niepokojąco i narastało z każdą chwilą. Jakby ktoś urządził sobie tutaj rajd. Mimo mokrej nawierzchni i zakazu płoszenia zwierzyny na terenie rezerwatu przyrody. Owen wyprostował się, aby wytracić szybkość i nie zrównać z nim na łuku drogi. Wtem między krzakami mignęła czerwień lakieru i tuż przed wirażem pojawił się mały sedan. Sunął bokiem. Ktoś zawzięcie kręcił kierownicą, kontrował. Tylnym kołem złapał pobocze, lecz nie ściągnęło go w zarośla. Parę bryzgów ziemi spod opony i jakoś udało mu się wyjść z poślizgu. Ale za to pęd wyniósł samochód na przeciwległy pas. Wprost na Owena. Ten wahał się tylko przez moment. Potem odskoczył w bok. Prawa narta wypięła się od razu. Druga dopiero po kontakcie z nadkolem. Mężczyzna zrobił przewrót w przód i upadł na bark. Uderzył w mazistą ścianę rowu, w oczy chlusnęła mu woda. Ściągnął okulary i dostrzegł jak dwudrzwiowe renault gwałtownie odbija do osi jezdni, traci przyczepność, obraca się i staje w poprzek drogi. Chwilę później prawe koła oderwały się od asfaltu i auto upadło na bok. Szczęk zgniatanej blachy, ciężki zgrzyt tarcia i sypiące się iskry. Owen wsparł się na łokciach, samochód szybko osunął się na dach. Potem na lewą stronę. W mgnieniu oka przekoziołkował kolejne dwanaście jardów. W końcu z sykiem zatrzymał się na kołach. Zakołysał się i zastygł.

Owen na czworakach wygrzebał się z błotnistej dołu i popędził w kierunku wraku. Zgniecione nadwozie przypominało nadepniętą puszkę coli. Karoseria dymiła w miejscach odartych z koloru. Cisza kłuła w uszy. Dopiero po chwili drobne kawałki

szkła zaczęły chrzęścić pod butami. Dopadł do drzwi i złapał za klamkę. Ciągnął z całych sił, jednak te nawet nie drgnęły. Nie widział nikogo wewnątrz. Przednia szyba powyginała się i popękała, ale nie odpadła. Za to z bocznych prawie nic nie zostało. Wsadził głowę do środka. Pusto.

– Halo? – Kolejny raz omiótł wnętrze wzrokiem. Zobaczył krew. Dużo krwi. Na poduszce powietrznej, na fotelu pasażera i wokół uszczelki zwisającej z otworu nad bagażnikiem. Cofnął się i rozejrzał wokół. – Halo? Czy ktoś mnie słyszy? – zawołał głośniej.

Dobiegł do pobocza. I wtedy wreszcie ją zobaczył. Zwiniętą postać w jasnym płaszczu i czarnych spodniach. Leżała wśród zbrązowiałych łądyg i gnijących liści. Lwim susem przesadził oderwaną część zderzaka i rzucił się przed nią na kolana. Najpierw sprawdził tętno, przykładając dwa palce do szyi. Wolne, jakby spała. Młoda kobieta o czarnych włosach i drobnej twarzy. Wyczuł słaby, płytki oddech. Mocno krwawiła z nosa, miała podrapane policzki i rozcięte czoło. Nie reagowała ani na głos, ani na dotyk.

Wezwał ambulans, znalazł apteczkę i opatrzył jej nos. Przemył też ranę za uchem. Ponieważ przez podarte strzępy ubrania prześwitywała goła skóra, zdjął kurtkę i bluzę i okrył ją od stóp po podbródek. Na końcu po jednej stronie ustawił trójkąt ostrzegawczy, a po drugiej złożył stelaż z nart i zawiesił na nim kamizelkę odblaskową.

Na asfalcie deszcz mieszał się z olejem, ale paliwo nie wyciekało. Czym prędzej wrócił do kobiety i rozłożył nad nią parasol znaleziony między siedzeniami.

Gdzieś w oddali rozbrzmiał sygnał karetki.

2

Doktor John Curtis spał na kanapie w pokoju zebrań na drugim piętrze Szpitala Królowej Aleksandry w Portsmouth, gdy poczuł dotyk i zobaczył nad sobą tego nowego stażystę z chirurgii. W zasadzie przed godziną skończył dyżur, ale nie czuł się na siłach, aby wracać do domu. Miniona noc obfitowała w nagłe przypadki. Wpół do jedenastej przywieziono rannych z wypadku. Na Port Way motocyklista stracił panowanie nad maszyną, odbił się od krawężnika i wpadł przez witrynę do klubokawiarni. Lecząc, potrącił kelnerkę i trzeba było jej poskładać bark. Z kolei odłamki szyby pokaleczyły dziewczynę siedzącą przy oknie. Kawałek szkła utknął w udzie studentki na tyle głęboko, że Curtis sam się zdziwił. Potem przez ponad siedem godzin operował rybaka, który omal nie zginął przygnieciony przez klatkę z obfitym połowem. Przy rozładunku kutra zerwał się stary łańcuch dźwigu i ciężar spadł na pokład. Mężczyzna zdążył się odsunąć, ale oderwany pręt wbił się mu w stopę. Gdy zaś zaczęło świtać, na izbę przyjęć zgłosił się mężczyzna z zakażeniem. Przez parę dni chodził z drzazgą w pięcie, aż się doigrał.

Curtis podciągnął się na podłokietniku.

– Coś się stało? – zapytał.

– Przepraszam, że przeszkadzam, doktorze, jednak...

– Do rzeczy, Gary. – Mrużąc oczy, sięgnął po okulary leżące na stoliku.

– Chciałbym prosić o konsultację.

– W sprawie?

– Młodej kobiety...

– Najlepszy będzie Downing. Gabinet sto czternaście, piętro niżej. Cześć.

– Nie bardzo rozumiem... Czy to aby nie... psychiatra?

– Owszem, Gary. I to całkiem niezły. Na tego typu rozterki w sam raz. – Usiadł i zaczął przecierać szkła.

– Ależ... nie – zaśmiał się stażysta.

Curtis tylko zmarszczył czoło.

– A więc o co chodzi?

– Pacjentka z wypadku, trzydzieści siedem lat, lekkie wstrząśnienie mózgu, brak obrażeń wewnętrznych.

– Mhm.

– Niepokoi mnie stan stawu skokowego.

– Pokaż. – Wyciągnął dłoń i otrzymał tablet pełniący jednocześnie funkcję przenośnej podświetlarki do rentgenogramów.

– Zwiększona objętość, brak zasinienia – podjął stażysta. – Niby nic, ale...

Doktor Curtis zerknął na zdjęcie. Potem wyświetlił wynik rezonansu magnetycznego.

– Po pierwsze, kolego, zwykłe skręcenie pierwszego stopnia. Po drugie, więzadła nietknięte, a ścięgno w normie. – Zdjął okulary i zlustrował stażystę wzrokiem. Ten wytrzymał jego spojrzenie. – Proszę wdrożyć metodę RICE. I pojutrze ją wypisać.

Odwrócił się bokiem.

– Tak, lecz...

– Coś jeszcze?

– Straciła czucie w stopie. Ale nogą może ruszać.

Curtis zapiął bransoletę zegarka i się podniósł.

– Szukasz nie tam, gdzie trzeba, Gary.

Stażysta został wezwany na oddział, a Curtis się nie śpieszył. Zanim przeszklone drzwi sali numer dwa rozsunęły się przed nim bezgłośnie, zdążył jeszcze kupić oranżadę w automacie i pociągnąć kilka łyków.

We wnętrzu znajdowało się pięć oddzielonych parawanami łóżek. Zbliżył się do pierwszego z brzegu. Kobieta leżała z twarzą zwróconą do ściany. Miała wydatne kości policzkowe i piękne włosy. Na podłodze, między ścianą a łóżkiem stała mała miska na wymioty.

– Dzień dobry. Nazywam się John Curtis i jestem ortopedą. Przyszedłem panią zbadać.

Dopiero teraz zrozumiał, że zasnęła.

– No dobrze – mruknął do siebie, oglądając kartę gorączkową.

Na ekranie monitora powinien rysować się zapis częstości akcji serca, ale ten milczał czernią. Curtis wyciągnął z kieszeni fartucha tablet. Wciąż był zalogowany jako Gary Sturridge. Mógł złożyć wniosek o urlop lub wysłać wiadomość dowolnemu pracownikowi szpitala. Miał też dostęp do wyników badań i kart chorych. Wpisał numery sali i łóżka.

Pacjentka nazywała się Jane Cook. Tomografia komputerowa nic nie wykazała, nie doszło do uszkodzenia mózgu. Elektrokardiogram podłączono za pięć dziesiąta, a więc ledwie siedemnaście minut wcześniej. Wstrząśnieniom mózgu często towarzyszy bradykardia, czyli zwolniona czynność skurczowa serca. Na ogół ma krótkotrwały charakter i mija samoistnie. Wymaga leczenia tylko u osób w ciężkim stanie. Niekiedy prowadzi jednak do asystolii. Wtedy serce przestaje bić. Jeśli taki stan trwa ponad cztery sekundy, zagraża życiu. Dlatego do klatki piersiowej przykleja się

elektrody, a w zamykanej na kluczyk szufladzie wózka z aparaturą rejestrująca przechowuje ampułki z atropiną i strzykawkę.

Najnowsze dane pochodziły sprzed czterdziestu trzech sekund. Sześćdziesiąt pięć uderzeń na minutę. W normie.

Nacisnął kolejno trzy przyciski na pulpicie, ale nic się nie wydarzyło. Po kablu doszedł do pilota i wezwał pielęgniarkę. Nachylił się i zobaczył, że odłączono zasilanie listwy grupującej wtyczki. Lekko pchnął metalową szafkę na kółkach i pstryknął przełącznikiem. Rozległ się jednostajny pisk. Curtis nerwowo spojrzął na monitor. Wykres układał się w niemal prostą poziomą linię.

Zdecydowanym ruchem ściągnął kołdrę z jej tułowia i w jednej chwili poczuł gwałtowne napięcie w krzyżu. Elektrody się nie odczepiły. Ale z dziury wyjącej z prawej piersi wypływała czerwona wstążka. Ilość krwi wsiąkłej w pościel świadczyła, że strzał padł nie dalej jak trzy minuty temu. Curtis nie wychwycił pulsu. Kula trafiła w sam środek serca, zgon musiał nastąpić od razu.

– Mój Boże – zabrzmiał chrypliwy kobiecy głos. – Co tu się dzieje?

Przy łóżku zjawiała się pielęgniarka. Oddychała ciężko. Zerkała to na doktora, to na pacjentkę.

– Proszę zadzwonić na policję i powiedzieć, że w szpitalu ktoś właśnie strzelał.

Kiwnęła głową.

– Tylko dyskretnie, tak aby nie wywołać paniki.

– A co z...

Chciała precyzyjnie się bliżej, lecz ją powstrzymał.

– Nie żyje.

Zasłoniła dłonią usta.

Wybiegł na korytarz. Przy dystrybutorze wody zobaczył ciemnoskórego ochroniarza. Zagadnął go spokojnie, by nie wywoływać paniki i aby nikt postronny nie usłyszał tego, co mówi.

– Przed chwilą w sali numer dwa doszło do zabójstwa – mówił cicho, powoli.

Oślepiały mężczyzna omal nie przewrócił baniaka, na którym opierał łokieć. Szybko jednak odczepił od paska krótkofalówkę i połączył się z dyżurką.

– Doyle, zamknij i zablokuj wszystkie wejścia do budynku.

– Co? – zatrzeszczało w głośniku. – Możesz powtórzyć?

– Czerwony guzik z dwoma prostokątami.

– Nudzi ci się, co? – zaśmiał się szorstko głos po drugiej stronie.

– Do cholery, Doyle, rób, co mówię!

Śmiech prędko umilkł, a drzwi na końcu korytarza zaczęły się zsuwać. Ponad szklanymi skrzydłami migiała czerwona lampka.

Curtis rozglądał się na boki.

– Widział go pan? – spytał ochroniarz.

– Kogo?

– Zabójcę.

– Nie. Widziałem tylko ranę postrzałową w ciele pacjentki.

Ochroniarz ruszył w kierunku wyjścia. Curtis ruszył za nim.

W ostatnim momencie wpadli do wiatrołapu i jeden za drugim wydostali się na zewnątrz. Curtis z trudem nadażał. Drzwi ścisnęły jego kitel, ale zdołał wyciągnąć ręce z rękawów i pobiegł dalej już w samej marynarce.

Na podjeździe dla karettek stał samochód służący do przewozu krwi. Obok sanitariusz palił papierosa.

– Czy ktoś przed chwilą tędy przebiegał? – zapytał ochroniarz.

Mężczyzna zaciągnął się dymem i przecząco pokręcił głową.

Momentalnie skierowali się ku Nightingale Road. Do skrzyżowania właśnie dojeżdżał autobus. Ochroniarz wybiegł na ulicę i dał znak kierowcy, aby się zatrzymał. Okrążył pojazd i wskoczył na schodki.

– Szukamy złodzieja – wyjaśnił. Nie chciał mówić, że w istocie poszukują mordercy.

Kierowca wyprostował się na oparciu.

– Ktoś przed chwilą wybiegał z sąsiedniego wejścia – odparł.

– Tak, rzeczywiście – potwierdziła starsza kobieta z dużą torbą na kolanach.

– W którą stronę?

– Chyba w kierunku Cavell Drive – rzucił ktoś z tyłu.

– Ależ nie – wtrąciła kobieta. – Skręcił w Harvey Road.

Ochroniarz spojrzał pytająco na kierowcę. Ten tylko wzruszył ramionami.

– Nie patrzyłem w lusterka.

– Jak wyglądał?

– Wysoki... – zamyślił się kierowca.

– Miał na sobie granatową kurtkę i wytarte dżinsy – dodała kobieta.

Teraz to Curtis biegł przodem. Na parkingu usytuowanym na nasypie po przeciwnej stronie jezdni dostrzegli kilka osób, ale wszystkie zachowywały się normalnie. Żadna z nich nie pasowała też do opisu. Niebieski van próbował zmieścić się między barierką a białym fiatem.

– Doyle? – powiedział do krótkofalówki ochroniarz.

– Kendall, wreszcie – dobiegło z szumu. – Dlaczego wyłączyłeś...

– Sprawdź zapis z kamery na parterze trzeciego bloku. Ustal, kto wychodził z dwójki w przeciągu ostatnich kilku minut. I gdzie teraz może być.

Curtis kręcił się poddenerwowany.

- Szybciej, Doyle.
- Jakiś lekarz, siwawy...
- To wiem. A ktoś spoza personelu?

Nagle tuż przy bocznej ścianie szpitala rozległ się huk. W pierwszej chwili brzmiał jak wystrzał. Uderzenie gazów tłoczonych przez rurę wydechową przy rozregulowanym tłumiku. Ochroniarz obrócił się na pięcie, rozpinając kaburę. Wtedy zza rogu budynku wyłonił się zielony motocykl krosowy. Tylne koło ślizgało się na boki, przednie wchodziło w zakręt. Pędził bez opamiętania. Jaskrawy lakier wydawał się barwić powietrze. Tylko całe dzieliły opony od chodnika, gdy te w końcu ustawiły się na właściwym torze jazdy. Ochroniarz wyciągnął pistolet i odbezpieczył. Przyjął pozycję i wycelował.

- Nie strzelaj! – wrzasnął Curtis. – Tu jest za dużo ludzi!

Bieżniki rwały wilgoć z asfaltu. Za maszyną unosiła się szara mgiełka. Pociągnął za spust i na szprysze rozbłysła iskra. Tu i ówdzie wzniosły się kobiece piski. Jakiś chłopak powalił na ziemię dziewczynę, obok której szedł, i zasłonił ją własnym ciałem. Motocykl lekko się zachwiał, ale nie zwolnił ani trochę. Drugi pocisk trafił w linię oddzielającą pasy ruchu. Kolejny przebił błotnik i ugrzązł w trawiastej ścianie nasypu. Ochroniarz, nie przestając mierzyć, przesuwiał się za torem jazdy kawasaki.

- Tylko nie w zbiornik paliwa! – krzyczał Curtis.

Zawahał się, ogarnięty myślą, że jeśli kula sięgnie baku, wybuch rozrzuci gorące kawałki metalu i plastiku w promieniu kilkunastu jardów, a może nawet zakłóci pracę aparatów podtrzymujących życie. Zostały mu jeszcze cztery naboje, ale opuścił broń.

Wnet ponad nadziemnym połączeniem skrzydeł szpitala odezwała się policyjna syrena. Niebieski pulsujący sygnał malował kształty na fasadach obu budynków i migotał w oknach. Białe mitsubishi z czarnym obrysem chłodnicy pędziło środkiem drogi. W pewnej chwili gwałtownie zahamowało. Zblokowane tylne koła zatoczyły łuk, radiowóz stanął bokiem. Drzwi pomalowane w zielono-niebieską szachownicę odbiły blask przedniej lampy motocykla, kiedy ten obrócił się pod kątem prostym. Potem minął przystanek, wdarł się na zieloną pochyłość i wdrapał na murek otaczający parking. Spadł na maskę bordowego kombi i po szybie wjechał na jego dach, by po chwili zniknąć gdzieś z tyłu. Zaraz zjawił się na skraju nasypu. Zdołał wcisnąć się pomiędzy furgonetkę a sedana i zjechał ponownie na ulicę.

Radiowóz już wcześniej cofnął i zawrócił. Na wysokości betonowych filarów wrzucił trzeci bieg, mimo to wciąż tracił dystans. Policjant siedzący w fotelu pasażera nadał przez radio, że podejrzany ucieka na wschód w kierunku Hunter Road. Wskazówka obrotomierza unosiła się i opadała, ale motocykl oddalił się poza zasięg strzału.

Na wirażu kawasaki znalazło się przy krawędzi przeciwnego pasa, po stronie prostopadłej Hunter Road, z której właśnie wynurzał się drugi radiowóz. Przy wyjściu z łuku motocykl odbił w lewo, usiłując ominąć forda po wewnętrznej. Ten próbował odciąć mu drogę do międzymiastowej B2177. Ruszył tyłem z piskiem opon. Policjant rozłożył siedzenie i przeczołgał się na tylną kanapę. Boczna szyba zdążyła opuścić się do połowy, gdy dobył broni. Za późno. Kawasaki przechyliło się w prawo i przemknęło tuż przed przednią maską radiowozu. Złożyło się do skrętu w przyszpitalną uliczkę, ale prędkość wypchnęła je na trawnik. Motocyklista otarł się o tablicę informacyjną i podparł nogą. Prawie uderzył w niski murek, ale w porę odzyskał kontrolę nad maszyną. Od razu przedarł się na główną trasę. Kątem oka dostrzegł mitsubishi wyjeżdżające z Nightingale Road, więc skręcił na wschód.

Szybko dotarł do skrzyżowania z London Road, gdzie parę samochodów stało na czerwonym świetle. Zjechał za ciągłą linię i wepchnął się między taksówkę a brukową wysepkę. Przepuścił dwie ciężarówki jadące od centrum i ruszył w górę Northern Road.

Mijał pojazdy slalomem, wyprzedzał je środkiem i poboczem. W kilka chwil dostał się do ronda, które opuścił drugim zjazdem. Zaraz potem pojawił się przed kolejnym. Wtedy zobaczył kolczatkę. Sznur srebrnych ostrzy lśnił w poprzek ulicy i chodnika. Bezwłocznie wcisnął oba hamulce. Rzuciło nim na barierkę, od której się odbił. Odtąd nie panował nad niczym. Opony naraz sflaczały z sykiem. Ściął znak drogowy i przeleciał przez kierownicę. Obracał się w powietrzu, a gdy motocykl gruchnął o ziemię, przekoziółkował jeszcze kilka razy. Ostatecznie motocyklista zarył kaskiem w poźółkłe podłoże i poturlał się między drzewa. Bezlistne gałęzie wyciągały się nad nim niczym macki. Zahaczył o pień i przetoczył się na plecy.

Zewsząd zjawili się policjanci. Ranny nie reagował. Klęczący za jego głową złapał oburącz za kask, podczas gdy drugi podniósł szybkę i odpiął pasek pod brodą. Następnie wsunął dłonie w okolice karku i zablokował żuchwę. Wówczas ten pierwszy delikatnie zdjął kask.

– Trzymaj się, dziewczyno – wycedził przez zęby drugi, udroźniając jej drogi oddechowe.

Następnie wspólnie rozpoczęli resuscytację.

3

Pielęgniarka zagadnęła Johna Curtisa, gdy ten akurat wychodził z bloku operacyjnego.

– Doktorze, panowie z policji pytali o pana.

Skinął głową i pchnął drzwi, które dopiero co się za nią zamknęły. Inny lekarz zapewniał bliskich pacjenta, że zabieg przebiegł zgodnie z planem i niczym nie należy się martwić. Po przeciwnej stronie korytarza stał młody rudowłosy mężczyzna. Oparty o ścianę, z rękami założonymi na piersi wodził wzrokiem za rezydentką w rozpiętym białym fartuchu. Oprzytomniał, gdy z krzesła obok podniósł się jego niższy i grubszy kolega. Obaj mieli na sobie proste garnitury.

Curtis poczekał, aż się zbliżą.

– Panowie, jak sądzę, do mnie.

– Inspektorzy Charles Keane i Terry Snow – powiedział ten z prawej, pokazując legitymację. Keane miał swoją zawieszoną na szyi, rozpiął tylko marynarkę.

– Słucham.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie tego zabójstwa na dole. Mamy kilka pytań.

– Uf, uspokoił mnie pan.

Keane zerknął na Snowa, marszcząc brew.

– Myślałem, że to na mnie coś znaleźliście – dodał Curtis, siląc się na żart. Jego twarz wyrażała znużenie.

– Może przejdźmy tam – podjął po chwili Snow. Wskazał na dwie skórzane sofy pod oknami.

Co i rusz ktoś ich mijał. Keane się nie odzywał.

– W pokoju lekarskim mamy dzbanek z kawą – zaproponował Curtis.

– Dobrze – zgodził się inspektor.

Curtis poprowadził ich do dużego, jasnego pomieszczenia. Od razu podszedł do ekspresu. Podziękowali za kawę i zajęli miejsca przy długim stole.

– A może wody? – spytał, nalewając sobie. – Albo herbaty?

– Innym razem. Panie Curtis, proszę opowiedzieć o zajściu w sali numer dwa.

Keane cały czas milczał, przyglądając się bacznie lekarzowi. Ten usiadł naprzeciwko nich z kubkiem w dłoni.

– Czego jeszcze nie wiecie?

– Chcemy poznać pańską wersję wydarzeń.

– Złożyłem już zeznania. – Pociągnął łyk, potem drugi.
– Owszem, czytałem je. Jednak nalegam.
– W porządku. – Opadł na oparcie krzesła. – Od czego mam zacząć?
– Późno zorientował się pan, że pacjentka nie żyje – bardziej stwierdził, niż zapytał inspektor Snow.

– Skądże. – Curtis spojrzał na konary starych drzew za oknem. W letnie dni często hasały tam rude wiewiórki. Od pierwszych mrozów stawały się jednak mniej aktywne. Za to śmieiej wskakiwały na parapet po orzechy nerkowca, które im zostawiał.

– Dopiero po dwóch minutach wezwał pan pielęgniarkę – ciągnął śledczy, zerkając w zapiski. – Tyle samo zajęło panu wyjście na korytarz.

Curtis westchnął.

– Kolega prawidłowo zdiagnozował wstrząśnienie mózgu. Przy tego typu zaburzeniu nie mogą dziwić opóźnione reakcje czy wpatrywanie się w jeden punkt. Przejrzałem wyniki badań. Pomyślałem, że pacjentka śpi. Potem zająłem się aparaturą.

– Czy sprzęt często się psuje?

– Nie wiem. Pewnie prawie w ogóle. Lub wcale.

– Więc dlaczego tak długo pan zwlekał?

– Z początku nie było jasne, czy w ogóle został podłączony.

– Rozumiem. – Snow zamknął notes.

– Mimo to mamy problem – odezwał się milczący dotąd Keane. – A konkretnie pan ma.

– Czyżby? – Curtis potarł oczy. – Kula wydrążyła w ciele tunel o średnicy pięciopensówki prowadzący wprost do prawej komory serca. Myślicie, że mogłem coś zrobić? – Rozłożył ręce.

– Doktorze – podjął Snow – patolog jeszcze nie złożył opisu sekcji zwłok, ale z tego, co ustalił, wynika, że nie mylił się pan względem czasu zgonu.

– Oczywiście. Byłem tam.

– I właśnie w tym rzecz.

– Panowie raczą żartować.

– Niestety. Gary Sturridge opuścił salę pięć przed dziesiątą. Pan zjawił się kwadrans później. W tym czasie nikt tam nie wchodził – mówił z pamięci.

Curtis wytrzeszczył oczy.

– No chyba nie podejrzewacie mnie?

– W sali znajdują się trzy łóżka. Dwa były zajęte. Ten drugi pacjent ma złamaną nogę i pęknięte dwa żebra. Nie zdołałby dokuśtykać do ofiary i z powrotem. A jeśli nawet, nie dalby rady zrobić tego na tyle szybko, aby pan niczego nie dostrzegł.

– To wykluczone – przyznał Curtis.

– Co więcej, nie znaleźliśmy broni – wyliczał Snow. – Sprawca musiał więc zabrać ją ze sobą.

– Ale zbadalem pański kitel – wtrącił Keane – i nie było na nim prochu.

– Oczywiście – uciął krótko Curtis.

– Brak też motywu – dodał Snow.

– Cieszę się. – Curtis dopił kawę. – Coś jeszcze? Nie ukrywam, że zbierałem się do wyjścia.

– A jednak miewa pan życie poza szpitalem – powiedział Keane.

– Co proszę?

– Po dyżurze został pan tutaj. Według grafiku teraz ma pan wolne.

– Zgadza się. Ciężki zabieg. Zasnąłem, jak stałem. Później z kolei trzymała mnie adrenalina, kolega zaś potrzebował asysty.

Usłyszeli pukanie. Odwrócili się, w drzwiach stała pielęgniarka.

– Proszę wybaczyć – zaczęła, widząc akceptację Curtisa – ale doktor Harris pilnie pana prosi. Chodzi o pacjenta z czwórki. Zaszły jakieś komplikacje.

– Już idę, Helen.

Skinęła głową i zniknęła w korytarzu.

– Sami panowie widzicie. – Wstał, obszedł stół i włożył kubek do zlewu.

– À propos asysty... – podjął Snow.

– Tak? – Curtis odwrócił się w progu.

– Kiedy będziemy mogli ją przesłuchać?

– Dostała znieczulenie miejscowe, zabieg się udał... Myślę, że niedługo. Ale nie dzisiaj. I należy pytać doktor Hawkins.

– Proszę nie opuszczać miasta – dobiegło z drugiej strony futryny. Curtis był już jednak w połowie drogi do windy.

Inspektorzy zjechali do piwnicy, gdzie mieściły się kostnica i prosektorium. Zza rogu wyłonił się mężczyzna w zielonym stroju pchający stalowy wózek.

– Otworzy nam pan? – spytał Snow.

– Ktoś od was już tam jest.

– Od nas? – zdziwił się.

Mężczyzna tyłem wciągnął wózek do windy.

– Z policji – odrzekł z uśmiechem i nacisnął guzik.

Snow przyspieszył kroku. Gęsta woń formaliny otulała głębię korytarza. Zimne surowe ściany odbijały odgłos kroków. Dał znak partnerowi, że otworzy drzwi, a ten wejdzie pierwszy. Keane wyjął broń i pokazał, że jest gotów. Snow złapał za klamkę i pociągnął. Wpadli do środka. Światło lamp padało na ciało przykryte białą płachtą

na stole sekcyjnym. Pochylała się nad nim postać w niebieskim fartuchu i lateksowych rękawiczkach.

– Coś ty za jeden? – rzucił Snow.

– Spokojnie, panowie – odparł mężczyzna i uniósł dłonie nad zlewem znajdującym się za głową denatki.

Miał długie blond włosy spięte niedbale i bystre oczy. Tylko tyle wystawało ponad białą maską chirurgiczną.

– Mógłbyś we mnie nie celować? – dodał szybko.

– Kolega zadał ci pytanie – odparł Keane.

– Odwalam za was robotę – odrzekł przekornie i odsłonił twarz. – Nazywam się Owen. Widziałem wypadek tej dziewczyny.

– Ach, tak – warknął Snow. – To wiele tłumaczy. Ręce na kark i połóż się twarzą do podłogi.

– Chyba jednak odmówię. – Uśmiechnął się.

– Nie chcesz po dobroci? – prychnął Snow i ruszył w jego stronę, tak aby nie wejść na linię strzału.

– Panowie, pracuję w policji. W swetrze mam legitymację.

– Spleć dłonie na głowie i odwróć się tyłem – polecił Snow.

Bradley Owen usłuchał. Zaraz potem poczuł, jak Snow rozpina mu fartuch i wsuwa rękę do kieszonki na piersi.

– Narodowa Agencja do spraw Przeszłości – przeczytał Snow. – No proszę.

Keane schował pistolet do kabury, Owen opuścił ręce.

– Nie obchodzi mnie, skąd się wziąłeś – zagrzmiał Snow. – To ja kieruję śledztwem i nie życzę sobie samowolki. Czy to jest jasne? – Wcisnął mu legitymację w brzuch.

– Jak najbardziej, szefie. A nie spytacie, czy coś znalazłem? – Napotkawszy ostry wzrok Snowa, dodał: – Rozmawiałem z patologiem, jest jednak coś, co przeoczył.

Zbliżył się do stołu i odgarnął ofierze włosy z szyi.

– Widzicie?

Snow stanął obok, Keane narzucił fartuch i pochylił się z drugiej strony. Za lewym uchem płytko odcisnęły się trzy maleńkie trójkąty biegnące po połowie okręgu wielkości łąka zapalki.

– Nietypowy ślad – przyznał Keane. – Podczas zderzenia z asfaltem wyrzuciło ją przez tylną szybę – zabrzmiał powątpiewający ton Snowa. – Pęd cisnął nią o ziemię i poturlał w krzaki. Zobaczcie, ile ma obtarć i zadrapań. Zdarzają się bardziej finezyjne zyzaki. Może drasnęła się o kant kłapy albo upadła na kamień.

– Pewnie odniósłbym podobne wrażenie – zaczął Owen – jednak zanim zabrali ją do karetki, nie miała tego.

– Skąd ta pewność? – mruknął Snow.

– Przecież udzielałem dziewczynie pierwszej pomocy.

– Tak – zamyślił się Snow. – I zapamiętałeś każdy szczegół?

– Do ich przyjazdu ciągle sprawdzałem, czy oddycha, a leżała na boku – wyjaśnił Owen. – Właśnie na tym boku.

– Niedobrze – szepnął Snow. – Co to znaczy? – burknął bardziej do siebie.

– Sprawca zostawił podpis? – odezwał się Keane.

Owen kiwnął głową i zaraz dodał:

– Albo wiadomość.

Zapadła cisza, którą po chwili zmącił Owen.

– Raport z sekcji zawiera ciekawą rzecz.

Keane drgnął.

– W prawą stopę wstrzyknięto jej bupiwakainę z dodatkiem epinefryny. A nie zlecił tego żaden lekarz.

– Bupi... co? – skrzywił się Snow.

Owen odsunął nadstawkę na narzędzia nad kolana Jane Cook i podwinął prześcieradło do jej kostek.

– Środek znieczulający używany do długotrwałych zabiegów w chirurgii lub położnictwie.

– Tylko ściśle zawężony krąg osób ma dostęp do tego typu leków – ożywił się Snow.

– Idziemy po Curtisa.

– Panie inspektorze – zatrzymał go Owen – jedną chwilę.

– A co, jeśli straciła czucie w nodze i nie mogła jej podnieść z pedału gazu? – wtrącił Keane.

Owen przytaknął.

– To by tłumaczyło szaleńczą jazdę i brak hamowania.

– Ktoś chciał upozorować wypadek... – zadumał się Snow.

– Bardzo możliwe – przytaknął Owen.

– Charlie – podjął Snow – sprawdzisz dzisiejszy plan dnia pani Cook, jej bilingi z ostatniej doby, biurko w firmie i mieszkanie.

Keane kiwnął głową.

– Owen... – zawahał się. – Proszę informować mnie na bieżąco.

Snow wręczył mu swoją wizytówkę i wyszedł.

4

Andrew Southgate siedział na kamiennym murku przy wjeździe na przykościelny parking. Oparty o otwartą bramę, jadł kanapkę z twardym serem, sałatą i pomidorem. Miał na sobie robocze spodnie na szelkach i flanelową koszulę w kratę. Obciął kilka suchych gałęzi, które potem złożył na stertę, i postanowił trochę odpocząć, nim podzieli je na mniejsze kawałki, które będą mogły zmieścić się w piecu.

Wiatr pchnął worek wypchany liśćmi na ziemię, gdy w drugiej alejce parku otulającego południową nawę kościoła dostrzegł smukłą, wysoką postać. Ubrana w długą czarną kurtkę, z wolna posuwała się naprzód. W końcu przystanęła przed ławką, wsunęła ręce do kieszeni i odwróciła się do rozłożystego klonu. Postawiony kołnierz zasłaniał jej pół twarzy, czapka głęboko naciągnięta na czoło i ciemne okulary – pozostała część.

Southgate przełknął ostatni kęs i nie zwracając na nią uwagi, poszedł pozbierać patyki. Włożył lekko przetarte rękawice i zabrał taczkę w górę schodków. Ręczna piła, siekiera i sekator podzwaniały o skrzynię ładunkową, aż wjechał między kłujący krzew a latarnię i puścił uchwyty. Metalowa podpórka wbiła się wtedy w ziemię i zachrobotwały narzędzia. Wyjął je i odrzucił na bok. Dopiero potem usłyszał za sobą chrzęst żwiru. Zanim zdążył się obrócić, dobiegł go wysoki męski głos.

– Przepraszam, czy ksiądz Southgate?

Andrew w istocie był księdzem. Na wyspę Portsea trafił zaraz po seminarium. Służył tu już piąty rok, choć z blisko ośmiomiesięczną przerwą na misję w Etiopii. Poprosił o pozwolenie na wyjazd, bo czuł, że w Portsmouth się dusi. Chciał pomagać ludziom, robić coś więcej, niż tylko odprawiać msze, odwiedzać chorych i wydawać paczki ubogim. Do pewnego momentu uważał, że to wystarczy, ale później zmienił zdanie. Aby ewangelizować w Afryce, należało rozumieć Biblię i dobrze mówić po francusku lub angielsku, a on spełniał oba kryteria. Zamierzał uczyć dzieci podstaw przedmiotów ścisłych i przyrodniczych oraz dbać o ich rozwój moralny, a jeśli starczy czasu, opowiadać o Bogu. Biskup wyraził zgodę i przekazał pismo dalej, do Watykanu, gdzie podjęto decyzję o wysłaniu młodego księdza do kraju uwikłanego w konflikt zbrojny, znanego w świecie zachodnim głównie z maratończyków i utworu „Do They Know It’s Christmas?”.

Southgate dużo czytał o sytuacji w Rogu Afryki i sądził, że wie, na co się pisze. Widział zdjęcia ofiar głodu i strzelanin. Ale tamtego dnia doznał szoku. I nawet kiedy

wrócił do Anglii, nie pozbył się sprzed oczu widoku ciężarówka rozrywanej przez granat. Ciągłe musiał przeżywać wszystko na nowo: widzieć kierowcę wesoło wciskającego klakson, dzieci biegnące mu naprzeciw i pocisk ciśnięty z daleka; słyszeć wybuch i ciszę; odrywać się od podłoża i spadać na plecy; czuć swąd spalenizny i żar ognia... Właśnie dlatego zaczął popijać.

Andrew oderwał się od swoich myśli i spojrzał na przybysza.

– Zgadza się – odparł, stając z nim twarzą w twarz. – W czym mogę pomóc?

Mężczyzna ściągnął okulary. Miał spiczasty nos, zapadnięte policzki i rzadkie brwi.

– Widziałem księdza zdjęcie na stronie parafii – wyjaśnił.

– Ach, tak – zaśmiał się Southgate. – Sam ją prowadzę.

– Nie chcę przeszkadzać... – urwał mężczyzna. Zerwał kontakt wzrokowy z księdzem. Wyglądało, że się waha.

– Proszę mówić – zachęcił go Southgate. – Jestem tu dla wiernych. Drewno może poczekać.

– W zasadzie – podjął – to nie chodzę do kościoła.

– Tym bardziej miło mi cię widzieć.

– Pomyślałem, że łatwiej przyjdzie mi porozmawiać z kimś w moim wieku.

– Pewnie tak. – Ksiądz zdjął rękawice. – A zatem chodzi o spowiedź?

Kiwnął głową.

– Zapraszam. – Southgate wskazał na kościół.

Ruszył przodem. W środku budynku skręcił za filary i zniknął w zakrystii. Wrócił po chwili w komży naciągniętej na dotychczasowy strój i ze stulą w rękach. Pochylił głowę przed ołtarzem i minął ławki. Mężczyzna stał pod chórem, ściskając czapkę w dłoniach. Zbliżył się, gdy Southgate mu skinął i wszedł do konfesjonału. Uklęknął na oba kolana. Dotykał czołem kratki, ale przez dłuższą chwilę nic nie mówił.

– Śmiało – szepnął zachęcająco Southgate.

– Nie bardzo wiem, jak zacząć...

– Bądź ze sobą szczery. Nic więcej nie potrzeba.

– Tylko tyle? Tak po prostu? – spytał na wdechu.

– Oczywiście. To wszystko.

– W każdym przypadku? Zawsze?

– Nie lękaj się. Bóg wybacza tym, którzy pragną jego miłosierdzia.

Sięgnął po czasopismo leżące na półce i zapalił lampkę.

– Wydaje mi się... – przełknął ślinę tamten – że kogoś dzisiaj zabiłem.

Southgate zachłysnął się powietrzem. Śliska okładka wysunęła mu się z dłoni i magazyn spadł na podłogę.

– Jak to się stało? – zapytał drżącym głosem ksiądz.

– Nawet nie wiem – odparł obojętnie.
– Nie wiesz?
– Niewiele pamiętam, prawie nic.
– Co konkretnie się wydarzyło?
– Myślałem, że to tylko sen. – Łzy spłynęły mu do brody. – Ale okazało się, że jednak nie.
– Gdzie to było?
– W jakimś lesie. Ciężko powiedzieć w którym. – Zaszlochał i zasłonił twarz dłońmi.
– Gonilem ją, a potem upadła.
– Kto taki? – Ksiądz zadawał pytania powoli, ważył słowa, nie chcąc spłoszyć swojego rozmówcy.
– Nie znam jej imienia, nawet nie widziałem jej twarzy. – Zrobił przerwę. – Miała czarne włosy upięte w kok i szczupłą szyję.
Southgate nerwowo potarł skroń.
– Skąd pewność, że nie żyje?
– Nie ruszała się. Leżała z nosem w błocie. Potknęła się o wystający korzeń i uderzyła głową o kamień. Błotnista kałuża zabarwiła się od krwi.
– Może tylko zemdląca. Trzeba wezwać pomoc. Spróbuj sobie coś przypomnieć. Cokolwiek.
– Przecież się staram – westchnął. – Rósł tam stary nietypowy okaz bzu. Nie pospolity krzak, lecz okazałe drzewo o grubym pniu.
– Coś więcej?
– Raczej nie. – Pokręcił głową, chociaż ksiądz i tak nie mógł tego dostrzec.
– Jak ją wybrałeś? Co chciałeś zrobić?
– Obserwowałem, jak wsiada do czerwonego renault i rusza. – Pociągnął nosem.
– Co było dalej?
– Mówiłem już, że nie pamiętam.
– Ale... – Southgate chciał coś wtrącić, ale mężczyzna nie dał mu dojść do głosu.
– Naprawdę nie wiem! – Słowa odbiły się głośnym echem od kościelnych murów. – Szczerze żałuję – dodał półgłosem. – Proszę o rozgrzeszenie.
– Nie tak prędko. To nie działa w ten sposób.
– Co?! – syknął ze złością mężczyzna.
– Najpierw musisz zgłosić się na policję i wszystko im opowiedzieć. Odwiedzę cię w areszcie i tam wysłucham.
– Ksiądz chyba sobie ze mnie żartuje? – wycodził przez zaciśnięte zęby.
– Ani trochę. – Southgate odzyskał rezon.

– Wobec tego pozwolę sobie przypomnieć, że obowiązuje księdza tajemnica spowiedzi.

Andrew Southgate zamarł, mężczyzna poderwał się do ucieczki. Skórzane pantofle miękko stukały o marmur. I niestety miał rację. Za złamanie sakramentalnego sekretu spowiednikowi groziła ekskomunika, będąca najdotkliwszą z kar. Jako wierzący nie musiał bać się zbyt wielu rzeczy, ale wykluczenie z kościoła zamykało drogę do zbawienia. Dlatego Southgate zastanawiał się tak długo. W końcu jednak zważył, że życie ludzkie stanowi najwyższą wartość, a tamta kobieta może jeszcze mieć szansę. Pchnął bejcowane na czarno drzwiczki i wypadł z konfesjonału. W biegu ściągnął komżę i zostawił ją na stoliku w kruchcie. Przed głównym wejściem nie było nikogo. Na terenie okalającym kościół też nie. Wyskoczył na Fratton Road i rozejrzał się dookoła. Dalej nic. Nie tracąc czasu, puścił się przez park. Na przystanku po prawej para nastolatek robiła sobie zdjęcie. Z billboardu zawieszono na budynku na wprost spoglądał rozneglizowany David Beckham. Wychylony za dziób jachtu, eksponował bokserki z nowej kolekcji znanej marki. Southgate furtką wydostał się na urokliwą Alver Road. Rząd piętrowych segmentów zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Gdzieś tam musiał zniknąć i on. Morderca? Młody ksiądz usiadł przy siatce, łapczywie chłonąc tlen.

5

Terry Snow w bezruchu wpatrywał się w brunatne ślady spalonej gumy na asfalcie.

– Widzisz kąt nachylenia rowków? – spytał pochylający się nad nimi mężczyzna. Potem zaczął wieść palcem za linią bieżnika opony, przesuając się w kuckach w stronę skrzyżowania z Havant Road.

– Mhm – mruknął Snow.

– Ruszyła bardzo gwałtownie. Tylne koła zabuksowały w tym miejscu.

Był ubrany w granatową kurtkę z dużym białym napisem „POLICE” na plecach i mniejszym na piersi, cofnął się o kilka kroków.

– Nie ma żadnych wątpliwości, że to ona? – odezwał się Snow.

– Nie – przyświadczył technik kryminalistyczny, Stuart Rodgers. – Skład mieszanki się zgadza, błota również. Zwężony krój bieżnika, główne proste rowki o zygzakowatym kształcie, wielowarstwowe wzdłużne. Zupełnie jak w naszym renault.

Snow pokiwał głową.

– Cofnęła po skosie – podjął mężczyzna, stając w rozkroku. – Około pół długości samochodu. Potem wrzuciła jedynekę i odbiła lekko w prawo. Zupełnie jakby...

– Kogoś wymijała – wtrącił Snow.

– Albo raczej coś – dodał szybko technik. – Wystraszyła się i wpadła w panikę. Powinna po prostu docisnąć pedał gazu do podłogi. Nie zważając na nic. Uskoczyłby albo nie.

Wzruszył ramionami.

– Niekoniecznie – zaprzeczył Snow. – Na tak wczesnym etapie nie sposób wykluczyć odruchu warunkowego. Pamiętasz ten wypadek na obrzeżach Portchester?

– Zgadza się. Kobieta, przed którą nagle wyskoczył zając, zjechała na przeciwny pas, wprost pod rozpędzoną ciężarówkę. Kiedy ją odbiło, zaczęła się obracać i ścięła słup. Zginęła rażona prądem. – Jęknął na wspomnienie tamtego widoku.

– W lesie czysto?

– Tak. Brak odcisków butów. Wpadłem tylko na trop dwóch saren. Prowadzi przez pola.

– Czekał na nią tutaj. – Snow przeszedł pod folią ogradzającą pas ruchu. – Może pozorował awarię samochodu. Machnął jej i się zatrzymała. Zaatakował, ale zdołała wrócić za kierownicę i odjechać.

– Brzmi rozsądnie. – Wyszedł poza obręb taśmy. – Sądzisz, że jutro damy radę?

– Co? – odbąknął wpatrzony w punkt na drodze Snow. – Znaleźliście coś jeszcze?
– Przecież pada od wczoraj – odparł niepokieszony. – A miejsce zdarzenia odkryto i zabezpieczono dopiero dwie godziny po wypadku.

– Masz rację – przyznał Terry. – O czym to mówiłeś?

– W sobotę gramy derby – odrzekł wesoło.

– Ach, tak. Nie dostałem biletów.

– Teraz rozumem, skąd ta markotna mina.

Wsiadli do skody w kolorze przejrzałej mięty. Nim Snow zamknął za sobą drzwi, wyczuł wibrację komórki w kieszeni marynarki.

– To Charlie – wyjaśnił i odebrał.

– Mamy trafienie – oznajmił z podekscytowaniem Keane.

– Mów – polecił krótko Snow.

Rodgers zapuścił silnik i wykręcił za rzędem pachołków.

– Znaleźliśmy ślady prochu na rękawie kitla lekarskiego wrzuconego do pojemnika na brudną odzież.

– Czy da się ustalić, do kogo należał? – Snow ściągnął szalik.

– Nie bardzo. Kosz stoi w szatni, przed którą nie ma kamer. Ale musiał być to ktoś z personelu, bo drzwi można otworzyć jedynie przy użyciu karty.

– Dobrze – mruknął Snow i rozpiął płaszcz do połowy.

– Niestety nigdzie nie było broni. Gruntownie przeszukaliśmy cały teren i nic. Zajrzeliśmy nawet pod materace pacjentów znajdujących się w śpiączce, w głąb przewodów wentylacyjnych, do prywatnych szafek, a także do worka z odpadami pooperacyjnymi...

– Curtis nie opuszczał szpitala... – zamyślił się Snow.

– Może miał współnika – zauważył Keane. – Tylko on mógł tego dokonać. Stażysta wyszedł z feralnej sali zbyt wcześnie.

– Przecież wiem...

– To co, zgarniamy go?

Snow jeszcze raz się zastanowił.

– Szefie? – niecierpliwił się Charlie po drugiej stronie słuchawki.

– Tak, zróbcie to, nie czekając na mnie. Byle na osobności i bez cyrków. Unikajcie prasy. Podjedźcie pod tylne wyjście.

– Zrozumiałem. Ale szefie? Doktor Hawkins pozwoliła mi porozmawiać z motocyklistką. Przystąpiła na dwa pytania. Podobno przy trzecim mnie wyprosi. Mogę?

Snow ciężko złapał oddech.

– Zgoda – rzekł wreszcie. – Tylko nie próbuj z nią flirtować.

Rozłączył się, nim Keane zdążył coś powiedzieć. Wtedy telefon zadzwonił raz jeszcze. Numer stacjonarny. Dwie pierwsze cyfry wskazywały na główną siedzibę policji hrabstwa Hampshire.

– Snow, słucham.

– Dzień dobry, komisarzu, mówi Walter Perry, zastępca naczelnika.

Snow wyprostował się na oparciu.

– Od razu przejdę do konkretów, bo wszelkie możliwe media już przyssały się do sprawy. Chodzi o Sarę Mackay.

– W czym mogę pomóc?

– Dziennikarze pewnie wkrótce poznają jej nazwisko i powiążą z zabójstwem. Tymczasem udało się już ustalić, że nie miała z nim nic wspólnego.

– Nie do końca – wtrącił Snow. – To się dopiero okaże.

– Ale jednak... – zająknął się Perry.

– Nie było jej w szpitalu w czasie, kiedy padł strzał, co nie oznacza, że nie działała w porozumieniu ze sprawcą. Skupiła na sobie uwagę ochrony i policji, ułatwiając mu ucieczkę.

– Podobno macie podejrzanego – odparł Perry.

– Owszem. Właśnie został zatrzymany.

– A więc? – Jego ton napędzało zniecierpliwienie.

– Bez dowodów wywinie się, a tych jak na razie brak.

– Zaraz, zaraz – rzucił z irytacją – przecież ponoć wszystko się nagrało.

– Teoretycznie tak, ale nie widać, co dzieje się wewnątrz sali. Kamera obejmuje tylko korytarz i wejścia do poszczególnych pomieszczeń po obu jego stronach.

– Przydałoby się przedstawić prasie oświadczenie. – Odchrząknął. – I najlepiej zawczasu oczyścić dziewczynę z zarzutów. Nim rozpęta się...

– Do czego pan zmierza, naczelniku?

– Tak się składa, że znam jej rodziców i to bardzo porządni ludzie. Nie wierzę, żeby Sarah mogła...

– Panie Perry... – przerwał mu Snow. – Powinien pan wiedzieć, że decyzją naszego wspólnego szefa moja nowa służbowa komórka automatycznie nagrywa wszystkie połączenia przychodzące.

Zrobił pauzę. Głos po drugiej stronie linii zamilkł. Rodgers uniósł brwi i z uśmiechem pokiwał głową.

– Jednak dobrze, że pan się do mnie odezwał – stwierdził po chwili Snow. – Właśnie teraz.

– Czyli... – wymamrotał Perry – ...jednak osiągniemy konsensus?

– Proszę zapisać sobie nazwisko: Bradley Owen.

- Owen – powtórzył Perry i pstryknął długopisem. – Co dalej? Kto to taki?
- Możliwe, że agent NCA. Przynajmniej tak się przedstawił, okazując ważny identyfikator. Pojawił się przy okazji śledztwa.
- W jakim charakterze? – Znow miał jasny, czysty głos.
- Zostawmy to na razie. Chcę tylko potwierdzić, że u nich pracuje.
- Aha. Kazali zgłosić się drogą formalną, czy od razu zaprzeczyli?
- Z panem powinni się bardziej liczyć.
- Słusznie. Zajmę się tym. I niebawem skontaktuję z panem.



Szklane drzwi bezszelestnie zsunęły się za doktor Hawkins. Zostali sami. Długie blond włosy opatulały kołnierz ortopedyczny i układały się w fale na poduszce. Cerę miała jasną i gładką, ręce złożone na kołdrze wzdłuż tułowia. Nie widział zadrapań. Ochraniacze i kombinezon zrobiły swoje. Mocno ucierpiały za to bark i biodro, które wymagały rekonstrukcji. Mimo sporej dawki leków musiała odczuwać dotkliwy ból. Ale w jej oczach nie odbijało się cierpienie. Mieszkała w nich sympatia.

– Proszę pytać, inspektorze – powiedziała słabym głosem, chociaż i tak żywszym, niż spodziewał się usłyszeć. – Został pan zaanonsowany – wyjaśniła, widząc jego zdziwiony wzrok. Uśmiechnęła się ciepło.

– Dziękuję.

Przeniósł biały plastikowy taboret bliżej łóżka.

– Zastanawia mnie, dlaczego pani to zrobiła.

Usiadł do niej bokiem i założył nogę na kolano.

– Podobno nikt nie ucierpiał... Czy to prawda?

Potwierdził ruchem głowy.

– Poza panią.

– Proszę się nie martwić, dojdę do siebie – odparła od razu. – Dobrze się tu mną opiekują.

Keane zerknął na imponujący bukiet stojący za ścianą ze szkła i metalu.

– Od ojca – wytłumaczyła, podążając za jego wzrokiem. – Tulipany, moje ulubione. Na razie mogę je oglądać tylko przez szybę.

– I co? Było warto? – spytał retorycznie.

Kolorowe balony napełnione helem lekko kołysały się nad stolikiem zastawionym kartkami z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia.

– Nie zawsze się wygrywa.

– W co niby pani grała? – zdziwił się Keane.

– To był zakład.

– Zakład? – powtórzył zawiedziony. Pomyślał, że na pewno kryła się za tym jakaś głupota, szczeniacki wybryk powodowany nudą. Zupełnie bez związku ze sprawą. Żaden trop, nawet nie poszlaka. – Kto tak panią podpuścił?

Nie uzyskał jednak odpowiedzi, gdyż niespodziewanie rozległo się głośnie, natarczywe pukanie. To łysy mężczyzna z siwą brodą tłukł pięścią w przezroczystą ścianę działową. Przestał, kiedy oboje naraz się do niego odwrócili, i pokazał na zegarek zapięty na nadgarstku prawej ręki. Ale Sarah uniosła dłoń, dając mu znak, żeby poczekał.

– Mój ojciec – odezwała się półgłosem. – Przepraszam, boi się o mnie.

– Ma rację. Umówiłem się na dwie minuty, a męczę panią już trzecią.

– Nie wiem, kto to wymyślił. – Sarah wróciła do głównego tematu rozmowy.

– Nie oczekuję, że poda mi pani nazwisko. Chcę tylko wiedzieć, czy to znajomy, czy może...

– Ofertę zamieszczono na stronie superbikegbr... – zaczęła i urwała, widząc jak policjant wyjmuje komórkę i włącza przeglądarkę internetową –...pisane łącznie, kropka com. Używał nicka Frost. Proszę sprawdzić w zakładce naszego miasta.

Keane kliknął kilka razy i przewinął stronę w dół.

– Nic tu nie ma – stwierdził, upewniając się jeszcze.

– Obiecał trzydzieści tysięcy funtów temu, kto dojedzie z przyszpitalnej Curie Road do klubu żeglarskiego w Emsworth w mniej niż dziesięć minut.

Spojrzał na nią pytająco.

– Wszystko odbyło się jak zwykle za pośrednictwem serwisu bukmacherskiego Betpage.

– Czyli to nie był pierwszy raz... – skrzywił się Keane.

– Mój tak – odparła i sięgnęła po szklankę z wodą stojącą na szafce obok.

Czym prędzej wstał i pomógł jej się napić.

– Dziękuję – szepnęła i zassała słomkę. – Niewiele mi brakowało. Gdyby nie policja...

– Kiedy pojawiła się oferta?

– Mniej więcej kwadrans przed planowanym startem. Stąd większe wyzwanie i oczywiście wyższa stawka.

– A więc jednak... – mruknął pod nosem.

Popatrzyła na niego bez słowa.

– Bardzo nam pani pomogła.

– Naprawdę?

Keane tylko kiwnął głową.

– Cieszę się.

Dostrzegł błysk w jej ujmująco miłych oczach.

– Może zatem trochę mi darujecie? Na przykład nie zabierając prawa jazdy? – zapytała przymilnie z nadzieją w głosie.

– Obawiam się, że to niemożliwe.

– Ech...

– Ale mam też dobre wieści.

– Tak? Jakie?

– Nie odpowie pani za współudział w morderstwie.

– Pocieszające – rzuciła z lekką ironią.

– Aha, byłbym zapomniał. – Wsunął rękę pod marynarkę, by wyjąć podwójną tabliczkę mlecznej czekolady. Spojrzała na niego pytająco. – Od ochroniarza, który omal pani nie zastrzelił – wyjaśnił, kładąc podarek obok miski z pomarańczami obranymi ze skórki. – Jak sam to ujął: „coś czarnego od czarnego”. Podobno dobrze robi na myślenie.

– O, jak miło! – ucieszyła się nieco zgryźliwie Sarah. – Proszę go ode mnie ucałować.

– Fajny z niego gość – odparł Keane. – Ale chyba jednak się nie zdecyduję.

Zaśmiał się bezgłośnie i na pożegnanie czule dotknął jej dłoni.

6

Coś ty sobie myślał?! – grzmiał szef trzeciej jednostki operacyjnej wydziału narkotykowego.

Opatulony szalikiem w białe i niebieskie pasy, klaskał na dwa. Chóralne śpiewy niosły się równym rytmem po wypełnionym po brzegi stadionie Fratton Park. Bradley Owen stał tuż obok, w pierwszym rzędzie górnego poziomu trybuny południowej, na wysokości pola karnego. Mimo to James Bassett musiał wręcz krzyczeć, aby ten w ogóle go usłyszał. Wszechogarniający hałas mącił powietrze, czyniąc je gęstym. Energię dźwięku stale podsycala spora grupa kibiców z sąsiedniego miasta, sfłoczona na trybunie Milton End po prawej stronie. Gorączkowo usiłowała przebić się z własnym repertuarem, skutecznie prowokując miejscowych. Raz czy dwa zdołała nawet dojść do głosu, który jednak szybko ugrzązł w salwie gwizdów i buczenia. W tę wietrzną, deszczową noc nie czuło się chłodu, gdy tylko parę minut pozostało do rozpoczęcia pojedynku o prymat w regionie.

U wylotu tunelu prowadzącego na płytę boiska pojawili się sędziowie, a fani za zachodnią bramką wzniesli nad głowy kartony w trzech kolorach. Owiana złą sławą trybuna Fratton End w jednej chwili zamieniła się w biało-niebieską szachownicę ze złotym napisem „Pompey’Til I Die”.

Mina Owena mówiła, że zrozumiał swój błąd. Nie powinien był się ujawniać. Wiedział przecież, co mu wolno, a czego nie, i zachował się najgorzej, jak mógł. Pokierował się emocjami. Najpierw podał się za krewnego Jane Cook, pytając o stan jej zdrowia, a potem poszedł obejrzeć ciało. Pokazawszy legitymację, dostał się do sali sekcyjnej. Na końcu jeszcze dał się przyłapać inspektorowi z wydziału zabójstw.

Na pierwszą akcję bramkową kibice musieli czekać przeszło trzy kwadransy, przez które niewiele się działo. W doliczonym czasie gry Southampton wykonywało rzuty różny po tym, jak po świetnym strzale głową omal nie objęło prowadzenia. Wówczas tylko doskonała, instynktowna interwencja bramkarza uchroniła gospodarzy od utraty gola. Fratton Road na moment zamarło, wszyscy wstali z miejsc. Niektórzy widzieli już piłkę w siatce i łapali się za głowy. Ale piłka prześlizgnęła się po czubkach palców i przeleciała nad poprzeczką, a na sektorach zajmowanych przez przyjezdnych rozległ się przeciągły jęk zawodu. Chwilę potem zbyt krótkie dośrodkowanie kapitana Świętych wybił Wayne Crouch. Do bezpiecznej piłki dopadł skrzydłowy gospodarzy i pomknął z nią lewą flanką boiska. Minawszy dwóch przeciwników, Joseph Ipeba

zagrał na drugą stronę, gdzie do kontrataku podłączał się Paul Barkley. Ofensywny pomocnik w pełnym biegu przyjął podanie na klatkę piersiową i wdarł się w środek pola, nabierając na ten sam zwód obu stoperów gości. Wtedy wyrosła przed nim jeszcze jedna czerwono-biała koszulka. Zamarkował strzał z półwoleja i odegrał piętą do nabiegającego Phila Davisa. obrońca rzucił się w ekwilibrystycznej pozie w wyobrażony tor lotu futbolówki. Okiwany wcześniej Sutton wtórował mu wślizgiem. Zaskoczeni, leżeli na murawie, gdy Davis powstała luką wyszedł na czystą pozycję. Podniosła się niesamowita wrzawa. Golkipier umiejętnie skrócił kąt, ale napastnik popisał się miękkim lobem. Jednak piłka, zamiast spaść w prawe okienko bramki, odbiła się od słupka i wróciła na murawę. Ipeba ścigał się z dwoma Świętymi, szarpiąc ich i szturchając. Mimo że faulował, dał się przepchnąć i wyprzedzić. John Ashworth nie mógł wycofać do bramkarza, bo Barkley tylko na to liczył. Miał już więc kopnąć na aut, gdy trącony przez Ipebę, przegrał walkę bark w bark i zgubił piłkę. Zachwiał się i upadł. W sukurs poszedł mu Brown, ale tylko odbił się od pleców skrzydłowego. Od razu jednak do niego doskoczył, nie pozwalając, aby się odwrócił. Ipeba zdążył wybrać wariant. Zwiódł obrońcę sprytnym balansem ciała, puścił piłkę między jego nogami i złożył się do strzału. W końcowej fazie zamachu został ścięty z nóg przez Ashwortha. Sędzia momentalnie wskazał na wapno. Zanim Barkley zamienił rzut karny na bramkę i stadion eksplodował radością, Ashworth obejrzał jeszcze czerwoną kartkę. Nawet nie protestował. Poklepał tylko Ipebę po szyi i z pokorą udał się do szatni.

W przerwie meczu James Bassett poczęstował Owena gumą do żucia i poszedł do toalety. Owen od razu wyczuł kartę pamięci przyklejoną do spodu listka. Schował ją wraz z papierkiem do kieszeni i otworzył czasopismo muzyczne „Mojo” na stronie z wywiadem z perkusistą Arctic Monkeys. Dotarł do siódmego pytania, a Bassett nie wracał. Zegar na telebimie obwieszczał nadejście drugiej połowy.

Owen oszacował w myślach, że nie wyrobi się w trzy minuty, ale i za bardzo nie spóźni. Pobiegł w dół schodów aż na parking. Tam wsiadł do swojego land rovera i włożył kartę do portu w panelu pod ekranem komputera pokładowego. Wpisał hasło i kliknął na jedyny znajdujący się na nośniku folder. Były w nim trzy pliki video, a każdy z nich ukazywał widok z innej kamery. Zapisy pochodziły z poprzedniego dnia. Pierwszy pozwalał śledzić korytarz na izbie przyjęć, w tym wejście do sali numer dwa. Przewinął na dziesiątą dziesiątą, czyli orientacyjny czas zgonu Jane Cook, i odtworzył z ośmiokrotnym przyspieszeniem. Zatrzymywał, gdy ktoś pojawiał się w drzwiach. W jedną i drugą stronę krążyły dwie pielęgniarki i lekarz. Nie John Curtis, jakiś inny. Obraz nie wnosił nic nowego.

Po chwili jednak wydarzyło się coś, na co czekał. Z sali wyłonił się mężczyzna, którego dotąd nie widział. Wyglądał jak lekarz. Ubrany w kitel i jasne spodnie bawił

się stetoskopem. Nie wszedł do środka po zbrodni, ale na długo przed nią. Stał się mimowolnym świadkiem, pomógł sprawcy, a może sam pociągnął za spust? Owen zrobił zbliżenie. Bujne, kruczoczarne włosy opadały na czoło i uszy, grube, ciemne okulary zasłaniały pół twarzy, broda i wąsy resztę.

Owen zanotował na skrawku papieru ramy czasowe obu stopklatek i zapuścił silnik. Pomruk trybun wlatywał w głąb miasta.

Trwała ósma minuta drugiej odsłony spotkania, gdy srebrny land rover dotarł do budynku policji. Rozentuzjasmowany głos w radiu twierdził, że mecz nabrał kolorytu. Owen stanął na zakazie pod kładką i naciągnął kaptur na głowę. Deszcz zaciął prosto w oczy.

Wnętrze wydawało się puste. Okazałe paprocie w wielkich donicach okalały ponury hol. Minął kontuar i wszedł na schody.

– W czym mogę pomóc? – dobiegło z tyłu.

Owen obejrzał się za siebie. Wyrósł za nim młody policjant z plikiem kartek.

– W pionie śledczym nikogo już nie ma – dodał, nie mogąc ścierpieć ciszy. – Może coś przekazać?

– Tak, poproszę. – Okrążył mężczyznę i położył złożony wpół świstek na blacie. – Dla inspektora Snowa.

Kiedy dojechał do stadionu i dopchał się do swojego krzeselka, trybunę przykryła wielka szyta flaga. Na moment zrobiło się ciemniej, a hałas jakby trochę zmalął. Podawana z rąk do rąk, szybko popłynęła jednak wzdłuż boiska. Wtedy zobaczył na telebimie, że na imponujących rozmiarów materiale widnieje herb klubu piłkarskiego Portsmouth. Potem przeniósł wzrok na tablicę wyników. Goście, na szczęście, nie zdołali wyrównać.

– Dzięki – powiedział, przyjmując tekturowy kubek ze słomką.

– Nie miałem wyjścia – odrzekł Bassett. – Zależało im.

7

Po końcowym gwizdku Arthur Mitten uściskał wiele dłoni. Przyjął tyle samo gratulacji i zaprosił całą lożę honorową na poczęstunek do sali bankietowej. Osobiście wybrał restaurację i ułożył spis potraw. Właśnie przywieziono jedzenie, a napoje schładzały się już od środy. Najbardziej czekał na krewetki w ziołach i białym winie.

– Panie prezesie... – zabrzmiał znajomy głos, gdy szedł schodami w dół.

Mężczyzna w dobrze skrojonym garniturze nagle pojawił się u jego boku.

– Colin Pearce – ucieszył się Mitten i podali sobie ręce.

Wtedy zza pleców Pearce'a wyłonił się niski, krępy blondyn.

– Poznajcie się panowie... – zaczął Pearce, lecz tamten mu przerwał:

– Roman Babukin. – Wcisnął się w środek z wyciągniętą ręką.

Mitten poczuł chłód sygnetu, gdy się witali. Babukin najwyraźniej lubił złoto. Spod rozpiętej koszuli wystawał mu medalion, lewy nadgarstek otaczał zegarek z grubą bransoletą.

– Cieszę się, że jednak pan przyjechał – powiedział Mitten.

– Było co oglądać – odrzekł Babukin. – Prawda, panie Pearce? – Zaśmiał się chrapliwie.

– No cóż... – odparł Pearce. – Portsmouth okazało się godnym rywalem. Wygrał futbol.

– Po godzinie gry zacząłem drżeć o wynik – odparł Mitten. – Ale dzisiaj Moore wyczyniał cuda.

– W istocie. Pozazdrościć – zgodził się Pearce.

– Oho – wtrącił Babukin. – Czy ja dobrze słyszę? Szykuje się oferta?

– Nie sądzę... – westchnął Mitten. – Walczymy o awans i...

– Każdy o coś gra – odrzekł Babukin. – Zgodzi się pan? – zwrócił się do Pearce'a.

– W zupełności – odrzekł Pearce. – Chociaż my transfery planujemy dopiero na lato.

– A to błąd. W tym biznesie trzeba działać szybko.

– Nie przeczę. Ale zbyt wiele zależy od budżetu.

– Naturalnie – przyznał i potarł ręce. – Nie będzie miał pan zatem nic przeciwko, jeśli sam wyjdę z propozycją?

– Proszę się nie krępować – zachęcił go Pearce.

– Panie Mitten, możemy? – Wskazał na stoliki przy budce z hot-dogami za oknem.

– Oczywiście. Ale przejdźmy lepiej do mojego gabinetu.

Arthur Mitten nie zamierzał tak naprawdę sprzedawać ani Ruperta Moore'a, ani żadnego innego zawodnika z szerokiej kadry, którą kompletował pieczołowicie przez ostatnie trzy sezony. Zbyt długo tułali się po niższych ligach, aby teraz, prowadząc w tabeli, pozbyć się kluczowych graczy. Marzył o powrocie do krajowej elity i występie w europejskich pucharach. Nie wypadało mu jednak nawet nie podjąć rozmów. Babukin zasiadał w radzie nadzorczej dużego koncernu paliwowego i kierował polityką transferową wicemistrza Rosji. Nigdy nie wiadomo, kiedy podobny kontakt mógłby się przydać. Przeprosił więc Colina Perace'a i skręcili w korytarz.

– Wyjdźmy na zewnątrz – powiedział Babukin. – To mój pierwszy raz w Portsmouth i pragnę zobaczyć słynną Spinnaker Tower. Zechce mi pan towarzyszyć?

Mitten z żalem stwierdził w duchu, że nim wrócą, szkockie kraby i co lepsze owoce morza zdążą zniknąć z półmisków, ale nie dał tego po sobie poznać.

– Z przyjemnością – odparł z wymuszonym uśmiechem. – Tego wieczoru całą elewację rozświetlają dwa kolory...

– Niech zgadnę... – wtrącił Babukin. – Niebieski i biały?

Obaj się roześmiali.

Przed wejściem czekała na nich czarna limuzyna. Wysiadł z niej brodaty dryblas i zapiął marynarkę. Gdy się zbliżyli, otworzył tylne drzwi.

– Proszę – rzekł Babukin i Mitten wsunął się do środka. Zrobił miejsce obok siebie.

– Dziękuję, bardzo pan miły.

Mitten nie pojął, w czym rzecz.

– Zauważył pan, że kuleję, i zaoszczędził mi drogi.

– Ależ nie... – zająknął się Mitten.

– Pearce widzi Ipebę u siebie – oznajmił, gdy opuścili teren klubu. – Nie chciał się zdradzić, ale wiem to. Jego skauci obserwują chłopaka od dawna. Moi zresztą też. Myśli, że w tej chwili pytam o kwotę odstępnego. Najdalej jutro wkroczy do gry. Słowem, podbiłem stawkę.

– Tak, ale... proszę zrozumieć...

– Mniejsza o to. – Odsunął klapkę skrytki i wyciągnął cedrowe pudełko. Następnie podniósł wieko, uwalniając słodkawą woń pieczonych migdałów. W dwóch rzędach leżały długie cygara owinięte banderolami. – Ręczna robota. Smakowite. Kwintesencja bardzo udanych zeszłorocznych zbiorów – zachwalał Babukin.

– Dziękuję, nie palę – odparł krótko Mitten.

– Ale pozwoli pan, że ja...

– Oczywiście.

Babukin wyjął wyrzynarkę i przekłuł kapturek cygara. Później potarł zapalką o draskę i przypalił końcówkę. Zaciągnął się i uchylił szybę. Minąwszy pusty postój

taksówek, zatrzymali się tuż za przejściem dla pieszych, prostopadle do linii brzegowej.

– Ponoć w kawiarence nad platformą widokową serwują wysmienite koktajle owocowe – powiedział, kiedy wypuścił z ust kłęb siwego dymu.

Mitten patrzył, jak żar cygara gaśnie w zetknięciu ze szklanym dnem popielniczki.

– Obawiam się, że nie – odparł.

W tym czasie Babukin wyszedł pod rozpostarty przez kierowcę parasol.

– Poza sezonem zamykają wcześniej – dodał Mitten już na zewnątrz i szybko postawił kołnierz. Mrużył oczy pod naporem wiatru rzucającego mżawką.

Przed nimi wznosiła się finezyjna konstrukcja wyobrażająca żagiel, w który dmie wicher. Wysoka na pięćset sześćdziesiąt stóp, wyrastała ponad ciasnym krajobrazem szarych, portowych zabudowań. Niebieskie barierki otaczały chodnik prowadzący do szerokiej bramy, za którą stała zgarbiona postać w żółtym sztormiaku. Obracała w dłoni pęk kluczy, aż znalazła właściwy, po czym zdjęła kłódkę i przyciągnęła prawe skrzydło do siebie. Gdy podeszli bliżej, okazało się, że pod kapturem kryje się utkana bliznami twarz starca.

– Witam panów – zaseplenił.

– Niech pan idzie – polecił szorstko Babukin.

Ale mężczyzna najpierw wrócił się i zamknął bramę.

– Dzieciaki chętnie się tu włamują – wyjaśnił, podążając z powrotem ku wieży widokowej. – Przeskakują przez płot i potem muszę je ganiać. – Machnął ręką.

W środku paliło się światło, jednak nie było nikogo. Starzec z kierowcą zostali na parterze, gdy Mitten i Babukin pojechali windą na pierwszy poziom.

– Pomówmy o Barkleyu – odezwał się Babukin.

– To pan nie wie? – zdziwił się Mitten. – Paul Barkley nie przedłuży z nami kontraktu. Zerwał negocjacje, co znaczy, że w styczniu odejdzie za darmo.

– Słyszałem. Również o tym, że dogadał się już z United.

Kabina zatrzymała się miękko, a drzwi rozsunęły, odsłaniając zjawiskową panoramę Portsmouth i okolic. W oddali połyskiwały cienie cieśniny Solent, małych wysepek, zamków i sławnego fortu u wybrzeży Portchester. Dalej w ciemności majaczyły światła wyspy Wight i miasta Gosport.

Największe wrażenie budziła jednak szklana podłoga, trzysta stóp pod którą cumowały ogromne statki wydające się stąd jedynie drobnymi plamkami. Gdzieś obok znajdowały się stare doki i dawna stocznia marynarki wojennej. Ten skrawek ziemi pławił się w pomarańczowej poświacie, ściśniętej granatem wody i nieba.

– Uzgodnił warunki, ale jeszcze nic nie podpisał – dodał Babukin.

– Do końca grudnia nie może związać się umową z innym klubem, choćby miała obowiązywać od nowego roku.

– A zatem trzeba się śpieszyć.

– Barkley nie zmieni decyzji. Proszę mi wierzyć.

– Nie zostanie w Portsmouth, to pewne. Ale może pan na nim zarobić.

– Przyznam, że się pogubiłem. Do czego pan zmierza?

– Pomoże mi pan ściągnąć Barkleya do Moskwy. W zamian przeleję na konto klubu okrągłe dziesięć milionów euro.

Mitten oderwał wzrok od horyzontu i zaczął mrugać, jakby został oslepiiony.

– To nie tylko niemoralne, ale także niemożliwe – wycodził i westchnął.

– Nie, jeśli postąpi pan dokładnie wedle moich wskazówek.

– Hm – mruknął Mitten. – Co pan sugeruje?

– Powiedzmy, że mały fortel.

– Bezprawny, zgadza się?

Babukin poruszał głową na boki.

– No wie pan... W pewnym sensie.

– Wobec tego proszę na mnie nie liczyć. I nic więcej nie zdradzać. Nie dam się wciągnąć w brudne gierki. Nie interesuje mnie to.

– Panie Mitten, nie chce pan chyba zaprzepaścić szansy na awans? Kiedy klub straci płynność finansową i zacznie zalegać z płatnościami, straciecie pół składu, a może nawet czeka was karna degradacja.

– Podobny scenariusz nam nie grozi.

Mitten ciężko przełknął ślinę.

– Nie? Posiadacie udziały w paru spółkach, których przyszłość zależy od sytuacji na rynku gazu i paliw płynnych.

– To... prawda... – zająknął się Mitten.

– Spekulacje mogłyby was pogrążyć – orzekł, rozkładając ręce. – Tymczasem wystarczy, że dostanie się pan do domowego komputera państwa Barkleyów i zainstaluje pewien program.

– Dlaczego akurat ja?

– Ich mieszkania pilnują kamery. Nie sposób dostać się tam niezauważonym. Odwiedzi pan Barkleya, wręczy żonie kwiaty, dzieciakowi koparkę. W końcu chodzi o gwiazdę drużyny. Przecież nikt nie zabroni panu próbować... Aż do końca grudnia.

– Niby tak... – zamyślił się. – Nawet planowałem coś w tym stylu.

– A widzi pan – ucieszył się Babukin.

– Czego szukacie w jego komputerze?

– Napijmy się – zaproponował, zmieniając temat.

Weszli po krętych schodach. Wiodły prosto do ciemnego bufetu. Światło biło jedynie z wnętrza kolorowej lodówki. Za jej szklanymi drzwiczkami stały dwie samotne szklanki z różową zawartością. Babukin zajął miejsce przy pierwszym stoliku i stęknął, łapiąc się za nogę. Wtedy Mitten przyniósł napoje. Po drodze zabrał słomki i podstawki.

– Mmm, wyśmienite – ocenił Babukin po łyku. – Świeżo wyciśnięte. Nie dalej niż przed godziną.

Mitten ledwo zwilżył gardło, gdy zakrztusił się i omal nie udusił. Na policzki napłynęły mu rumieńce, do oczu łzy. Naraz poczuł uderzenie gorąca i zawartość żołądka w przetyku.

– Co to jest? – spytał, pokaszując.

– Sok z różowego grejpfruta i marakui. Z dodatkiem wódki.

– Aha. W jakich proporcjach?

– Pół na pół – zaśmiał się Babukin.

– Barkleyowi przygotował pan równie ciężkostrawną niespodziankę?

– Dostanie wszystko, czego zażąda. Bajeczny kontrakt, willę z basenem, a nawet helikopter z osobistym pilotem. Pan zaś wybierze jakiegoś juniora. Nie musi być najlepszy. Media okrzykną go talentem stulecia i przejdzie do nas za rzeczoną sumę. Dużo zarobi, potrenuje z pierwszą drużyną. Jeśli się nie sprawdzi, trudno. Stratny nie wróci.

– Dwadzieścia milionów... funtów – wyartykułował Mitten.

– Oho! – wykrzyknął Babukin. – Na tyle wycenia pan Barkleya?

– No wie pan... prywatny samolot.

Babukin zakołysał szklanką, po brzegach której prześlizgiwała się słomka.

– No dobrze... niech będzie piętnaście.

– Nie – uciął Mitten. – Dwadzieścia. Zanim się rozmyślę...

– Wygląda na to, że nie mam wyboru – zgodził się Babukin.

Dopił drinka, rad, że jedno z pytań pozostało bez odpowiedzi.

8

Bradley Owen sączył ostatni łyk piwa pszenicznego, gdy na ekranie telewizora zawieszzonego nad półkami z alkoholem pojawiła się umęczona twarz Terry'ego Snowa. Inspektor siedział za stołem zastawionym mikrofonami, na tle herbu policji terytorialnej, i coś mówił, patrząc poza obiektyw kamery. Owen natychmiast przywołał gestem barmana, który przecierał szklanki na drugim końcu lśniącej lady.

– Mógłbyś pogłośnić? – spytał, kiedy ten się zbliżył.

Krępy brodacz bez słowa zarzucił ścierkę na szerokie, pokryte tatuażem ramię i sięgnął po pilot. Po chwili kadr z konferencji prasowej ustąpił miejsca czarno-białej stopklatce ukazującej zbliżenie mężczyzny podejrzanego o mord w szpitalu. Rozpoznał je od razu. Podobnie jak reporterkę, która zaraz potem pojawiła się na pierwszym planie.

– Właśnie przez to okno wymknął się podejrzanym – mówiła, zataczając dłonią koło. – Uciekł na północny wschód. – Stawiała kroki w tył i w bok, nie tracąc kontaktu z kamerą. – Wybiegł na Southwick Hill Road i skręcił w lewo. – Wymowę każdego zdania podkreślała krótkimi gestami. W granatowym płaszczu i na wysokich obcasach prezentowała się nienagannie. – Od tego momentu zaczyna się wielka niewiadoma. – Przeszła na drugą stronę jezdni i przystanąła. – Dalej nie ma już monitoringu. Dlatego policja prosi wszystkich świadków zdarzenia o pomoc. Przyda się każda informacja, choćby wydawała się państwu błaża.

Niewiele później oddała głos do studia, a Owen pośpiesznie odliczył trzydzieści funtów i położył banknoty na barze. Porozumiewawczo skinął brodaczowi głową i miękko zsunął się z wysokiego stołka. Kiedy pchnął drzwi wyjściowe, prosto w oczy buchnęło mu rześkie, mokre powietrze. Skóra twarzy naraz naprężyła się i zapiekła. Na zewnątrz deszcz mieszał się ze śniegiem, światła latarni z czernią nocy. Przed pubem stało parę taksówek. Pierwsza wyłamała się z szeregu i odjechała, gdy zdążył podejść do skraju chodnika.

– Victoria Park?! – krzyknął, odwróciwszy się w stronę lokalu, na co dwóch stojących w grupie młodych mężczyzn podniosło ręce, pożegnało się z innymi i szybko podbiegło.

– A konkretnie? – spytał taksówkarz, kiedy wszyscy już wsiedli.

– Edinburgh Road? – powiedział okrągły, krótko obcięty brunet, spoglądając pytająco na Owena.

– Jasne – przytaknął Owen i ruszyli.

Siedzący w środku żywo komentował akcję bramkową, ale język trochę mu się plątał i często się powtarzał. Ten drugi natomiast po mili oparł głowę o szybę i zasnął. Owen tylko czasem wtrącał coś wymijająco. Wciąż myślał o nowej dziennikarce kanału TH1. Kiedy ostatnio się widzieli, traciła dobre imię i pracę w jednym z londyńskich domów mody. Na licznych billboardach modelki pozowały jeszcze wówczas w zwiewnych letnich sukienkach jej projektu, ale to już wkrótce miało się zmienić. Kolekcja święciła wielkie triumfy na wybiegach całego świata i cieszyła się niesłabnącym uznaniem wśród wielbicielek stylu. Ale splendor spadł nie na tę osobę, która nań zasłużyła, bo Rebecca Mulligan ukradła prace swojej koleżanki i przypisała sobie ich autorstwo. Dopiero później okazało się, że pomógł jej w tym programista, którego uwiodła i wykorzystała. Pewnej nocy z firmowego komputera Mary Lloyd zniknęły setki szkiców i wzorów, z pracowni zaś oryginalne rysunki. Projektantka broniła się w sądzie, ale przegrała. Sprawdzano tylko, czy konkretne dane kiedykolwiek znajdowały się w pamięci masowej i czy zostały usunięte. Nie zauważono jednak, że dysk twardy został podmieniony i spreparowany. Rebecca zadbała o wszystko, kiedy wyjęła klucze z torebki Mary i dorobiła je podczas przerwy na lunch. Spaliła dowody i zatarła ślady, ale Owen i tak dowiedział się o oszustwie, a potem je zdemaskował. Zdążył poznać Rebeccę i wiedział, że prędzej przeparałaby nago po Trafalgar Square, niż porzuciła pragnienie zemsty.

Kiedy przejechali wiaduktem ponad torami kolejowymi i skręcili w szeroką Arundel Street, za siatką ogradzającą boisko zobaczył dziewczynę podobną do Mary Lloyd. Odwrócił się i wychylił do tylnej szyby, ale oddalali się zbyt szybko. Nie powinien roztrząsać tego na rauszu. Mózg najwyraźniej plątał mu figle. Mary, nim kilka lat później zaczęła pracować z Rebeccą, była jej koleżanką ze szkoły. Pierwszy raz spotkały się na zajęciach z algebry, kiedy Rebecca spóźniła się i musiała usiąść w nietypowym dla siebie pierwszym rzędzie, tuż obok ławki Mary. Profesorka Watson pokusiła się wtedy o przydługie kazanie na temat roli dyscypliny w życiu ucznia i przystąpiła do rozdawania testów kontrolnych.

– To tylko dziesięć krótkich zadań, które dadzą najlepszy ogląd, na jakim jesteście poziomie – mówiła, krocząc pomiędzy rzędami. – Dowiemy się, na kogo będę musiała zwrócić szczególną uwagę – obwieściła z uśmiechem, za którym, jak pomyślało wówczas pół sali, mogła kryć się podłość.

Dla Mary zadania nie okazały się szczególnie trudne. Robiła obliczenia na marginesie i zaznaczała odpowiedzi. Ale Rebecca tylko coraz bardziej kręciła się na krześle. Ciągłe coś skreślała, aż zamazała całą stronę. Mary, widząc miotanie się koleżanki i groźną minę pani Watson, zapisała rozwiązania na gumce, którą

w odpowiedniej chwili przerzuciła na sąsiedni stolik. Mimo że nie popełniła żadnego błędu, nazajutrz razem z Rebeccą została po lekcjach, by napisać test od nowa. Okazało się bowiem, że obie dostały różne grupy i Rebecca nie zdobyła choćby punktu, za to jej odpowiedzi pokrywały się z wynikami siedzącej obok Mary. Odtąd dziewczyny stały się niemal nierozłączne. Choć dzieliło je wiele, z ciekawością odkrywały przed sobą swoje rzeczywistości. Aż do dnia, kiedy Rebecca wzięła srogi odwet na rozgrywającej szkolnej drużynie siatkarskiej tylko za to, że ta dała się zaprosić na bal maturalny chłopakowi, który od dawna podobał się im obu.

Rebecca włamała się do jej szafki w szatni i dodała do znalezionej tam szamponu do włosów startych w pył granulek silnie żrącego środka czyszczącego. Po treningu niczego nieświadoma blondynka weszła pod prysznic i poparzyła sobie dłonie. W panice potknęła się o krawędź brodzika i upadła, łamiąc rękę w łokciu i tracąc szansę na stypendium sportowe na wymarzonej uczelni. Rebecca była przerażona. Chciała tylko na jakiś czas popsuć Adrienne fryzurę, wypalając jej parę włosów, ale nie przewidziała konsekwencji swojego działania. Jednak Mary nie uwierzyła przyjaciółce. Świadoma wcześniejszych wybryków Rebecce, zamierzała położyć im kres. Namawiała koleżankę, aby dobrowolnie przyznała się do winy, lecz nadaremnie. W końcu w poczuciu niemocy sama ujawniła prawdę.

Minęli samochody parkujące w zatoczce i zatrzymali się za przystankiem autobusowym. Śpiący oprzytomniał, rozejrzał się dookoła i zerknął na licznik. Owen w tym czasie wyjął z portfela jedną trzecią należności za kurs i podał kierowcy.

- W którą stronę? – zapytał brunet, zamykając drzwi taksówki.
- Przez park – odparł Owen i pokazał na wschód.
- My za rondo – odrzekł i uściśnęli sobie dłonie.

Ten drugi dodatkowo przyciągnął Owena do siebie i klepnął po plecach. Śmierdział dymem papierosowym i piwem, ale na szczęście prędko się odsunął. Kiedy odeszli, Owen zbliżył kartę do skanera i wyszarpnął rower ze stojaka samoobsługowej wypożyczalni. Osłonę tylnego koła zaklejała reklama jakiejś sztuki teatralnej. Dziwnie wymalowana aktorka spoglądała z niej zaczepnie, wachlując się pękiem pawich piór.

- Trzymaj się, Keira – mruknął Owen i nacisnął na pedały.

Za otwartą furtką słabe światło okrągłych lamp mieniło się w głębokich kałużach. Alejka wiła się do Commercial Street, gdzie okrążył barierki, by dostać się na promenadę i zostawić rower na stacji w pobliżu dworca. Dwie minuty później zgrzyt pchniętych drzwi odbił się od surowych ścian klatki schodowej. Spojrzał w górę schodów, u których szczytu, jak mu się wydało, mignął smukły cień, ale nikogo nie zauważył. Poblisk rzadko rozmieszczonych kinkietów padał ledwie na parę stopni. Na

poddaszu mieszkał tylko on i akwarelista Wes Hughton, który dopiero za dwa dni miał wrócić z Brukseli, gdzie wystawiał swoje prace.

Za drugim podestem Owen zwinnym ruchem wyjął z balustrady solidny kawałek dębowego drewna, który szybko ukrył za plecami. Przed miesiącem specjalnie poluzował śruby trzymające słupek, aby w razie potrzeby mieć się czym bronić. Zdarł wtedy z grupką handlarzy narkotyków, ograbiając ich z towaru. Stało się to po tym, jak diler, u którego Wes Hughton czerpał wenę i nieźle się zadłużył, włamał się wraz z kolegami do jego pracowni, aby zrobić kipisz. Najpierw szukali czegoś cennego, a gdy nic nie znaleźli i zaczęli ciąć płótna, nadszedł Owen. Zakradł się i ujrzał przysadzistego Mulata malującego coś czerwoną farbą na portrecie dziewczyny Wesa. Była to pozioma kreska przecinająca szyję. Owen odłożył siatkę z zakupami i wpadł do środka, wymachując pięściami. Dwóch położył prawym prostym, trzeciemu rozbił na barkach sztalugę. Potem zamiast wezwać wsparcie, zabrał im plecak z setką działek amfetaminy. Wiedział, że gang przemytników, od którego dostali biały proszek, i to najpewniej na kredyt, upomni się o swoje, nie przebijając w środkach. Policja zaś musiałaby ich potraktować znacznie łagodniej. Wyrzucił więc całą trójkę z budynku i puścił wolno. Mijały tygodnie, a oni nie wracali. Możliwe, że aż do teraz.

Nagle w półmroku poruszyła się jakaś postać. Owen przyłgnął do ściany i podchodząc, wziął zamach. Gdy w ciemności zarysowała się smukła sylwetka, czym prędzej chwycił ją za szyję i przycisnął do framugi drzwi. Wtedy z gardła, które ścisnął, wypełził zduszony krzyk, przybierając postać skrzeku. Owen spojrzał w przerażoną twarz i się odsunął. Mężczyzna oddychał z trudem. Oparty o drzwi, zgiął się wpół i poluzował kołnierzyk. Dopiero wtedy dało się poznać, że ma na sobie sutannę.

– Cześć, Brad – wykrztusił mężczyzna. – Miło cię widzieć.

– Andy? – zawołał Owen. – Co ty tu robisz? Wiesz, która jest godzina?

– Czekałem na ciebie i... przysnąłem...

– Pod drzwiami?

Owen przekręcił klucz w zamku i wpuścił mężczyznę do środka. Ten uspokoił oddech, ale wciąż gładził krtań.

– To pilne – wyjaśnił.

– Uhm – mruknął Owen i zarzucił kurtkę na wieszak. – Piłeś coś?

– A skąd – zarzekł się Andy. – Daj mi pięć minut.

Weszli do kuchni i Owen wsadził nos w lodówkę.

– Dobra, pięć. Niedługo zaczynam poranną zmianę.

– Aha – syknął z ulgą Andy i potarł ucho. – Masz jeszcze ten kontakt w policji?

Owen nalał mu lemoniady i podał.

– Chyba tak... Co to za strój?

– A bo ja... – wyjąkał ze zboloną miną – jestem księdzem. – Na jego rumiane oblicze z wolna napływał uśmiech.

– Nie żartujesz? – spytał Owen, a Andy pokręcił głową i chciwie pociągnął ze szklanki.

– Prowadzę rekolekcje i nie mogłem wpaść na mecz – powiedział, wspierając łokcie na stole.

Poznali się w stadionowej toalecie, w długiej, wijącej się od wejścia kolejce do kabin. Owen przeglądał akurat zdjęcia średniowiecznego wydania tragedii pióra Owidiusza, które przez wieki uchodziło za bezpowrotnie zaginione, i Andy, zdumiony, przecisnął się z tyłu, by zapytać, skąd je ma. „Medea”, bo taki nosiło tytuł, została odkryta rok wcześniej w opactwie Clairvaux przez pracującego tam więźnia. Leżała pod ciężką, lecz ruchomą płytą podłogową, w przysypanej ziemią skrzynce. Niejaki Laurent Mathieu, odsiadujący wyrok za wielokrotne rozboje, ukrył księgę pod roboczym drelichem i przemycił poza mury zakładu w ciężarówce wywożącej gruz. Dalsza droga manuskryptu nie jest znana, ale jego końcową destynacją okazał się port w Portsmouth, gdzie pracował Owen. Jako operator wózka widłowego zajmował się przeładunkiem towarów przyprawających w kontenerach. Pod taką przykrywką dbał o to, aby żaden nielegalny transport nie dostał się na stały ląd. Tam też zresztą po raz pierwszy spotkał Rebeccę Mulligan. Przedwiośniem na terenie między suchymi dokami a halą stoczni zorganizowano imprezę z okazji okrągłej rocznicy zwodowania słynnego żaglowca „Mary Rose”, którego kadłub znajdował się w budynku nieopodal. A może chodziło o liniowiec Victory? W każdym razie przyszło pół miasta. Owen się nie wybierał, ale musiał sprawdzić ładunek, którego nie udało mu się otworzyć poprzedniego dnia, a który nazajutrz wysyłano w głąb kraju. Kiedy zrobił swoje, natknął się na dźwigowego Paula Evansa. Towarzyszyło mu parę koleżanek, ale Owen zwrócił uwagę tylko na jedną. I postanowił zostać dłużej. Od tamtego wieczora spotykali się już tylko we dwoje. Romans kwitł w najlepsze, dopóki Owen nie usłyszał plotek, że nowa linia pończoch, stworzona przez Rebeccę, do złudzenia przypomina tę, która wyszła spod igły słynnego włoskiego kreatora mody. Nie zagłębiałby się w sprawę, gdyby nie niedawny incydent w magazynie, gdzie ktoś zostawił otwarty na noc jeden z czterdziestostopowych kontenerów. Niby nic nie zginęło, ale podobne przypadki się nie zdarzały. Owen szybko powiązał fakty, kiedy zobaczył logo rzekomo skopionanej marki. Identyczne widział na pudłach, jakie znajdowały się w tamtym kontenerze. Rebecca miała dostęp do jego kluczy i przepustki, a wartownicy na ogół nie patrzyli na zdjęcie. Za to kłódki i zatraski ważyły po dwadzieścia trzy funty i luzowało się je łatwiej, niż zapinało.

– Chciałbym, żebyś ustalił – zaczął Andy – czy dzisiaj... lub wczoraj doszło u nas w mieście do napaści na młodą kobietę. Chodzi tylko o te przypadki, w których nie wykryto sprawcy. Rzecz najpewniej zdarzyła się w jakimś lesie...

– Co zrobiłeś? – spytał Owen.

– Być może dowiedziałem się więcej, niżbym sobie tego życzył.

– Rozumiem... ale dlaczego przychodzisz z tym do mnie?

– Pamiętam, jak kiedyś pomagałeś policji, i pomyślałem, że sprawę dałoby się załatwić poza oficjalnym protokołem...

– I po co? – Owen czuł coraz większe znużenie. Ukradkiem zerknął na zegarek, piętnaście po pierwszej.

– Sam nie pójde na policję... Nie mogę...

– A to niby dlaczego? – rzucił z rezygnacją.

– Bo... opieram się jedynie na... podejrzeniach.

– Aha – westchnął Owen.

– Posłuchaj, Brad, nie o wszystkim wolno mi mówić, co nie zmienia faktu, że czasem nie wypada, abym zachował milczenie...

– Chwila – ożywił się Owen. – Czy właśnie powołałeś się na prawo kanoniczne? Andy nawet nie mrugnął.

– Znam się na ludziach – podjął w końcu. – Potrafię poznać, kiedy ktoś boryka się z myślami. Wyczuwam też złe emocje.

– Opisałbyś go?

– Bez problemu.

– Okej, w takim razie zaparzę kawę.

Odsunął się na krzesło i otworzył szufladę, gdzie ładował się tablet. Wyjął wtyczkę i podłączył telefon. Potem nastawił ekspres.

9

Zbudził ją jakiś hałas. Wtulona w prawie nagie ciało słodkiej Michelle Paige czuła się błogo. Leżały na brzegu wielkiej skórzanej kanapy zwróconej do kominka, w którym leniwie tlił się ogień. Ze szczytu schodów wydawały się zlewać w jedną całość. Gęsta i mazista czerń nocy spowijała ogród i kleiła się do okien, mażąc szyby kroplami deszczu. Gdy zapadał zmrok, za domem bujały się bezlistne konary dębów i klonów, wyciągały się nad krytą strzechą altanę i otaczały ogromną okrągłą wannę. Teraz wszystko znikło, a ją przeszedł dreszcz. Ktoś mógłby siedzieć sobie na tarasie i je obserwować, a one nawet by o tym nie wiedziały.

Sięgnęła po pilota i opuściła rolety. Potem spojrzała na panel alarmu przy wejściu. Niemy zielony punkt oznaczał, że nie działo się nic złego. Ukryte w trawie i przy wysokim żywopłocie czujniki ruchu nie wykryły zagrożenia. Nikt nie rozbroił zamka w drzwiach ani nie wszedł przez okno. Uspokoila się i przyłożyła głowę do miękkiej szyi Michelle. Dała się zwieść subtelnemu aromатовi jej perfum, gdy na górze rozległ się krzyk:

– Kelly!

Głos należał do dziecka i zionął strachem.

– Kelly! Kelly! – powtarzał rozpaczliwie.

Michelle drgnęła i zatrzepotała rżęsami.

– Śpij – szepnęła jej do ucha Kelly. – Conorowi musiało się coś przyśnić. – Pocałowała ją w policzek, w nos i w usta.

Potem wyciągnęła nogę nad linię bioder Michelle i stanęła na podłodze, by od razu schylić się po spodnie.

– Kelly, gdzie jesteś?! – zabrzmiało jak błagalna prośba.

– Już idę, Conor! – krzyknęła, wciągając džinsy i zapinając guziki.

Od prawie roku zajmowała się jedynym synem państwa Elstone, ale dotąd nie zostawała z nim na noc. Dwa razy w tygodniu pomagała mu odrabiać lekcje, a czasem przychodziła też w soboty, kiedy Elstonowie udawali się na kolację lub do znajomych. Bardzo lubiła tę pracę i samego Conora, którego traktowała jak młodszego brata. On sam nie miał dotąd równie sumiennej opiekunki, choć przed Kelly było ich kilka.

Chłopiec nie sprawiał problemów. Umiał słuchać i chętnie się uczył. Darzył Kelly dużą sympatią i zaufaniem. Uważał, że jest miła i mądra, mama zaś przesadza, skarżąc się tacie na jej ubiór.

Biegła boso, przeskakując co drugi stopień i wciągając sweter przez głowę. Gdy wpadła na korytarz, drzwi do pokoju chłopca były lekko uchylone, tak jak je zostawiła. Ale z wnętrza wydobywało się bladoniebieskie światło nocnej lampki. Weszła do środka i przystanęła w nogach łóżka. Conor leżał zwinięty w kłębek, z głową wciśniętą pod poduszkę.

– Jestem tutaj, Conor – powiedziała półszepem. – Co się stało?

Zbliżyła się i usiadła przy nim.

– To ja, Kelly. Nie bój się – mówiła, gładząc go po ręce.

Chłopiec z mozołem wygrzebał się spod pościeli. Usta mu drgały, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie wydobył z siebie ani słowa. Odkopnął kołdrę i przylgnął do Kelly. Cały się trząsał.

– Upiór – wymamrotał i wskazał palcem szafę.

– Conor, to tylko zły sen.

– Nie – zaprotestował i ścisnął ją z całych sił.

Twarz miał mokrą od łez i wciąż drżał.

– Pokażę ci.

Chciała wstać, ale Conor jej nie puścił.

– Zaufaj mi – poprosiła. – Conor...

Głaskała go po czuprynie, aż usłuchał. Wtedy zapaliła światło i otworzyła szafę, na co Conor gwałtownie nakrył się kołdrą, wprawiając w ruch zawieszony pod sufitem model samolotów.

– Nic tu nie ma. Sam zobacz.

Ale chłopiec nie odważył się spojrzeć.

– No już – poleciała łagodnie. – Conor, czekam...

Gdy w końcu wyrzwał zza rogu materiału, odgarnęła ubrania, które zaczęły bujać się na wieszakach. Następnie odsunęła zasłony i okrążyła pokój, zaglądając w każdy kąt.

– Pusto. – Przykucnęła przy nim.

– A tam? – zająknął się.

– Gdzie? Pod łóżkiem?

Przytaknął, wyraźnie przerażony.

– Nic – odparła, zajrzawszy pod mebel. – Żaden duch nie ośmieli się tu zbliżyć. A wiesz dlaczego? Bo posiadam magiczną moc, która je odpędza.

Chłopiec spłycił oddech i pociągnął nosem.

– Obiecujesz? – spytał, wykrzywiając usta.

– Obiecuję. – Otarła dłonią łzy na jego policzku. – Chyba zapomniałeś, że jutro rano idziemy do teatru lalek? – zapytała z przekorą.

– Nie – odrzekł wesoło.

– A może już nie chcesz?

– Chcę, chcę! – zawołał pełen radości.

– W takim razie musisz się porządnie wyspać, aby nabrać sił. Inaczej mógłbyś zasnąć w trakcie przedstawienia. Trwa aż półtorej godziny.

Pokiwał głową i potulnie ułożył się na wznak. Kelly poprawiła mu poduszkę i czule zmierzwiła włosy. Potem opatuliła go kołdrą.

– Zgaszę światło. Lampkę też, dobrze?

– Tak.

Na ścianach po obu stronach korytarza wisiały ramki ze zdjęciami, które w półmroku odbijały obrazy niczym lustra. Kelly szła wzdłuż diod wyznaczających linię dywanu, gdy wydało jej się, że w jednej z czarnych tafli mignął jakiś kształt. Natychmiast się odwróciła, ale nie zobaczyła nikogo. Miała już odejść, gdy usłyszała za sobą coś jakby skrzypnięcie boazerii lub pomruk wody w rurach. Stercząc w bezruchu, przypomniała sobie jednak, że pani Elstone przed wyjściem prasowała bluzkę i mogła nie wyłączyć żelazka. Od razu postanowiła to sprawdzić. Kiedy na końcu korytarza naciskała klamkę, drzwi były tylko przymknięte. Wewnątrz próbowała wymacać kontakt, gdy dobiegł ją szmer. Pojawił się za nią i ucichł. W ułamku sekundy zorientowała się, że to oddech, lecz złapana w pół, nie zdążyła zareagować.

Jej piskliwy krzyk w całości wsiąkł w szmatę, przez którą zaczęła się dusić. Machnęła ręką w tył, ale trafiła tylko w twardy kant komody. Zacięcie uderzała łokciami i podskakiwała, a uchwyt słabł z każdą chwilą. Wreszcie zdołała się wyrwać, ale wtedy potknęła się o skrzynię na pościel i upadła tuż obok masywnego łóża. Od razu przekręciła się na brzuch i wypluła materiał z ust. Zyskała trochę tlenu, choć język wciąż palił i coraz bardziej zbierało jej się na mdłości. Poderwała się i zamachnęła, jednak zahaczywszy o krzesło, poleciała na toaletkę. Flakonik perfum spadł wraz z nią na podłogę i się stłukł. Kelly kręciło się w głowie, wzrok tracił ostrość. Postać w jednolitym czarnym stroju zbliżała się i wyciągała dłoń. Dziewczyna złapała, co miała pod ręką, i cisnęła tym, lecz chybiła. Odepchnęła się od mebla, kiedy poczuła silny rozrywający ból w okolicach lewej piersi. Zaraz potem zdała sobie sprawę, że leży. Ciepła maź zalepiała jej gardło od środka, dźwięki się stępiły. Krztusiła się, nie mogła mówić ani oddychać. Gdyby sięgnęła stolika i zdołała strącić stojący tam wazon, może huk wyrwałby Michelle ze snu. Ale nie dała rady nawet unieść nogi. Z myślą, że on stoi nad nią, pogrążała się w ciemności...



– Ładna dziewczyna – westchnął Charlie Keane, przykucnąwszy przy zwłokach.

Ciało Kelly Robinson leżało w pozycji osoby płynącej stylem grzbietowym. Prawa ręka, ugięta w łokciu, oplatała głowę, lewa przylegała do tułowia. Jedną nogę miała wyprostowaną, drugą ułożoną w ramiona trójkąta.

– Wygląda na to, że wszystkie ślady zostawiła ta laska z dołu – wyjaśnił technik kryminalistyczny. – Pobrałem jej odciski palców i zrobiłem odlew dłoni.

Szary, wełniany sweter Kelly, jej szyja i twarz, a nawet spodnie były umazane krwią.

– Najpewniej próbowała ją reanimować – ciągnął Rodgers.

– Ale było już za późno – wtrącił siedzący na łóżku patolog. Przyglądając się ofierze, chrupał pestki dyni.

– To samo, co w szpitalu? – spytał Snow.

– Strzał w serce, z bliskiej odległości, ale nie z przyłożenia. Więcej powiem, gdy ją rozbiorę.

– Użył chlorku metylenu – powiedział Rodgers, zaklejając foliową torebkę z włosiem pobranym z dywanu. – Wdychany powoduje utratę przytomności. Coś jak chloroform tylko zdrowszy.

– I pewnie znacznie rzadziej wstępuje?

– Właśnie częściej. Stosowany jest na przykład jako rozpuszczalnik. Chloroform zaś w zasadzie wycofano z obiegu z uwagi na jego dużą szkodliwość.

– Została zgwałcona? – rzekł Keane.

– Nic na to nie wskazuje – odparł patolog. – Więcej...

– Tak, wiem, po sekcji.

Rodgers schował ostatnią próbkę do walizki i podniósł torbę na aparat.

– Kiedy skończysz, wyślij mi zdjęcia – polecił Snow i wyszedł. – Jak tam, George? – rzucił do mężczyzny grzebiącego przy oknie na końcu korytarza.

– Dostał się tędy – odparł, odwrócony tyłem. – Podpiął obejście do kabla alarmu, dlatego ten się nie włączył. Trzeba się trochę znać, aby tak zrobić.

– To już coś – mruknął Snow.

– Ale nie ciesz się – dodał technik, wychylając się za parapet. – Podwórko lśni jak pupa niemowlaka. Sąsiedzi z przeciwka mają kamery, ale najbliższa obejmuje tylko ich podjazd. I oczywiście nikt nic nie słyszał.

– Wspiął się po rynnie? – zapytał Keane.

– Tego jeszcze nie wiem. Za góra godzinę dam znać.

– Świetnie – odbąknął Snow i ruszył przedpokojem. – Charlie, porozmawiasz z panną Paige.

– Dobrze – przytaknął Keane.

Ze szczytu schodów dostrzegł brunetkę siedzącą w dole na kanapie, otoczoną ramieniem policyjnej psycholożki.

– Uczul ją, aby na razie nikomu nie mówiła o tym, co tu się wydarzyło.
– Spróbuję, ale szefie, jak długo uda nam się...
– Nieważne – wtrącił Snow. – Zyskamy trochę czasu. Wieczorna konferencja na niewiele się zdała. A kto wie, czy przypadkiem nie sprowokowała zabójcy. Ściągnę gościa od profili, niech się wykaże.

Rozdzielili się i Snow wyszedł na taras. Ogród oświetlały przenośne lampy i reflektory na stojakach. Technik w kaloszach ostrożnie stąpał po trawie ze szkłem powiększającym na kij. Snow okrążył dom chodnikiem i znalazł się przed ulicą, gdy nagle padł strzał, a potem drugi i kolejny. Odruchowo schylił się i wyciągnął broń, podobnie jak policjant pilnujący wejścia. Jeszcze jeden mundurowy wypadł z radiowozu parkującego przy furtce, schował się za otwartymi drzwiami i wycelował przez opadającą szybę. Dziewiąty huk wystrzału skończył serię i zrobiło się cicho. Snow doskoczył do samochodu i przykląkł za bagażnikiem.

– Ćwierć mili stąd coś się pali! – krzyknął przyczajony policjant. – Ale nikogo nie widzę.

– Albo przeładowuje broń – stwierdził Snow – albo skończyła mu się amunicja – odpowiedział i wszedł za kierownicę.

Snow zdążył usiąść z tyłu, kiedy rozległ się pisk opon i ruszyli. Szarpnięcie rzuciło go na oparcie i prawie wypuścił pistolet z ręki. Szybko jednak odzyskał równowagę i mocno zaparł się nogami. Na trawniku przed którąś z kolei posiadłością po prawej stronie płonął niewielki pakunek. Snow przyłgnął do okna, wypatrując i celując po zaroślach, kierowca relacjonował przez radio, co się dzieje. Zaraz przed bramą państwa Elstone pojawili się następni funkcjonariusze, inni przedostali się do sąsiadów z tyłu i dotarli do najbliższej równoległej ulicy, którą pobiegli naprzód. Radiowóz zatrzymał się bardzo gwałtownie i Snow rozejrzał się wkoło.

– Osłaniaj mnie – polecił policjant i ominąwszy przednią maskę, dotarł do płomieni. Wyciągnął zawleczkę gaśnicy i strumień białej piany zdusił ogień. Wtedy odkopnął jakiś przedmiot i ponownie polał. – To glock, chyba model trzydzieści trzy. I palnik.

– Co? – zdziwił się Snow.

W oknach okolicznych domów zapalało się coraz więcej świateł. Wtem w jednym rozległ się krzyk. Jeden z policjantów pobiegł tam natychmiast.

– Kogoś pani zauważyła? – spytał.

Pucułowata kobieta, trzymając się za twarz i wciąż popiskując, pokręciła przecząco głową. Błada i ubrana w białą szeroką koszulę nocną wyglądała jak duch.

– To czego się pani drze? – odrzekł i się obrócił.

Wtedy w jego radiu zatrzeszczał głos mówiący, że podejrzany ucieka na południe. W tej samej chwili dobiegł ich głośny warkot silnika i ujrzeli szarą furgonetkę

odjeżdżającą bez świateł. Coś cienkiego wystawało ponad jej platformę bagażową, ale szybko znikło.

– Ma na sobie czarny kombinezon i kominiarkę – relacjonował sapiący głos. – Właśnie wskoczył na pakę białego pikapa marki Ford i odjechali.

Policjant zawrócił, paląc warstwę opon, i pomknął za fordem, który na końcu drogi skręcił w lewo. Gdzieś w oddali zabrzmiała druga syrena i w mrok wzbila się migająca i kręcąca się poświata niebieskiej lampki.

Snow biegiem dotarł na miejsce zbrodni, które opustoszało. Wychodzące na ulicę okno pokoju małego Conora było roztrzaskane. Rama lewego skrzydła rozpadła się na trzy kawałki i opierała o rynnę, odłamki szkła połyskiwały wokół. Pod nim na zwirowej ścieżce leżał roztrzaskany fotel obrotowy. W środku Snow zastał tylko jednego policjanta. Podobno Keane kazał mu tu zostać, podczas gdy sam ruszył w pogoń. Na piętrze odnalazł dwóch techników i patologa.

– Stu oberwał – wyjaśnił ten ostatni, uciskając ranę kolegi – ale spokojnie, to tylko draśnięcie.

– Jak, do cholery, do tego doszło? – spytał zdenerwowany Snow.

– Zaskoczył nas – odezwał się drugi technik.

– Jak to w ogóle możliwe?

– Robiłem zdjęcia, rozmawialiśmy i nagle dosłyszałem pstryk spustu, zakłuło mnie pod zębem i upadłem – powiedział Rodgers, rozkładając ręce.

– Do mnie nie dotarł żaden dźwięk – wyznał patolog, zakładając opatrunek. – Myślałem, że Stu ma jakiś atak albo coś, więc zerwałem się, by pomóc...

– A wtedy dostał w tył głowy i zemdlął – rzekł Rodgers.

– Ale skąd on się wziął? – dociekał Snow.

– Wypełził spod łóżka jak robak – oznajmił drugi technik.

– Co?! – Dolna warga Snowa drgała w złości.

– Świadczy o tym kąt wlotu kuli, a kiedy dotknąłem dywanu, był ciepły, jakby ktoś na nim... leżał.

– Świetnie – zakpił Snow. – Po prostu świetnie.

Zaraz potem w korytarzu zjawili się ratownicy medyczni.

10

Bladoniebieska szyba zadrzała w drzwiach, na które naparła Rebecca. Jaskrawe wnętrze wypełniała gęsta duchota, dało się tu wyczuć słodkawą woń pasty z bakłażanów, a od zapachu kremu migdałowego zbierało się na mdłości. Wszystkie osiem stolików stało pustych, podobnie jak wściekle żółta kanapa w rogu sali. Na ekranie telewizora młoda Azjatka wyśpiewywała ckliwą balladę, gdy zasłona z kolorowych koralików rozsunęła się, podzwaniając, i za barem pojawił się niski Chińczyk o fryzurze, która zdawała się powstać przez nałożenie na głowę garnka i obcięcie tego, co wystawało.

– Witam panią, pani Mulligan – uradował się na widok kobiety i czym prędzej okrążył kontuar.

Odpowiedziała krótkim uśmiechem i pozwoliła, aby pomógł jej zdjąć płaszcz.

– Cieszę się, znowu panią widząc, zapraszam. – Ukłonił się i poprowadził ją do stolika. – Służę kartą – dodał, kiedy usiadła.

– To, co zwykle – odparła, pochłonięta grzebaniem w torebce. – Dwa razy, proszę. – Wyjęła puderniczkę i telefon, ale nie przestała szukać.

– Dwa – powtórzył, jeszcze raz się ukłonił i odszedł.

Odkryła to miejsce całkiem przypadkiem, kiedy zabłądziła, uciekając przed paparazzi bocznymi uliczkami Portsmouth. Zobaczyła przez okno, że wewnątrz nikogo nie ma, i weszła. Wtedy zakochała się w smażonym ryżu z krewetkami. Dziwiło ją, że odwiedzając małą gastronomię pana Sanga dość często, a na pewno regularnie, zawsze jadła w zupełnym odosobnieniu. Raz czy dwa widziała chłopaka rozwożącego dania na skuterze, lecz i on ostatnio gdzieś przepadł. Chętnie tu wracała.

Podniosła wzrok na rząd rzeźbionych, ręcznie malowanych figurek, który ciągnął się półką przez całą długość ściany, gdy Charlie Keane przekręcił klamkę. Skinął jej głową i odwiesił kurtkę, po czym zbliżył się żwawym krokiem.

– Nie spóźniłem się – powiedział, rozpinając marynarkę, i usiadł.

– Skończyłam wcześniej – odparła. – Już zamówiłam. Mam nadzieję, że lubisz drób. Oraz piwo o zapachu trawy cytrynowej i posmaku brzoskwiń.

– Bia wen? Jasne, ale dziś mam jeszcze coś do zrobienia.

– Pracujecie na okrągło?

– Czasem trzeba.

– Chociaż widać efekty?

- Podobno nie chciałaś rozmawiać o śledztwie?
- Wybacz – wzruszyła ramionami – nieraz trudno przestać.
- Wiem coś o tym.

Wnet zza pleców Keane'a wyłonił się kelner i postawił przed nimi talerze.

- Dziękuję – odrzekł Charlie i dobył pałeczek.
- Te dwie sprawy są powiązane, prawda? – spytała Rebecca.
- Naprawdę chciałbym wiedzieć.

Po chwili Chińczyk wrócił z piwem w butelkach i szklankami, które zestawił z tacy na stół.

- Życzą sobie państwo, aby nalać?
- Poradzimy sobie – odparł Keane, na co Azjata jeszcze raz się uklonił i odszedł.
- Ciągle nic? Nie wierzę – rzuciła przekornie.
- Minęło zaledwie parę godzin.
- Cholernie ważnych godzin.

Keane przytaknął i włożył do ust kolejny kawałek grillowanej papryki.

- Uciekł nam i zniknął. Cała policja go szuka. Co mogę dodać?
- Jak wyglądało ciało?
- Musiałabyś dać mi coś w zamian.
- Co masz na myśli? – odparła z przekąsem.

Wtedy też poczuł ukłucie pod kolanem i dostrzegł pod obrusem cofający się kant jej obcasa.

- Przestań – odbąknął.
- Dobra, przecież żartuję.
- Nie śpię od – spojrzał na zegarek – doby i wcale nie jest mi do śmiechu.
- Nie martw się, poprawię ci humor.
- Czyżby? Daj spokój.
- Ja nie o tym... Odkryłam, co łączy ofiary.
- Błefujesz – wtrącił lekko ożywiony. Oczy miał nadal zmęczone, ale bardziej bystre.
- Nie, ani trochę. Znalazłam związek.
- Nie wierzę ci.
- Popelniasz duży błąd.
- Nie sądzę. Od razu ujawniłabyś to przed kamerą.
- Prześlij mi kopię raportu, a się przekonasz.
- Zrobmy inaczej. – Otarł dolną wargę serwetką. – Przekazesz mi wszystko, co ustaliłaś...
- Nie, ty pierwszy – wtrąciła. – Nie ufam facetom.

– Mnie nie musisz. Ale temu tak. – Wyjął legitymację policyjną i oparł ją o wazon. – Zatajasz ważne informacje, które mogą przyczynić się do schwytania groźnego mordercy. Powinienem od razu przewieźć cię na komendę i tam przesłuchać.

– Ponoć nie jesteś dziś skory do żartów...

– Rebecca, tajemnica dziennikarska nie sięga tak daleko.

Pociągnęła prosto z butelki, przyglądając mu się uważnie.

– Okej – zgodziła się w końcu.

Potem sięgnęła po torebkę, którą położyła na kolanach.

– Tu jest wszystko – oznajmiła, podając mu pendrive.

Następnie wyjęła komórkę i się skrzywiła.

– Wiesz co? Bateria mi padła. Czy mogłabym...

– Oczywiście. – Oddał jej swój telefon i pochłonął kolejny kęs mięsa.

Wpisując numer palcem wskazującym, kciukiem wsunęła do portu ukrytą w dłoni kartę pamięci. Zanim nawiązała połączenie, aplikacja zaczęła się instalować.

– Cześć, Sienna, tu Becca – powiedziała sztucznie słodkim tonem. – Jest coś dla mnie?

Keane patrzył na nią, lecz niczego nie dostrzegł.

– Nie? Okej, będę przed dziewiątą. Pa.

Rozłączyła się i umiejętnie wyjęła kartę. Ćwiczyła to na tyle długo, że musiało się udać.



Płyta winylowa zaczęła podskakiwać, niweczając cały kunszt gitarzysty grupy The Who i zmuszając inspektora Snowa do wstania z fotela. Detektyw zdążył podnieść ramię gramofonu i dotknąć rysy na czerni krążka, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Czując ból drętwiejącej nogi, doczłapał się do wejścia i otworzył.

– Spałeś? – spytał Stuart Rodgers i wcisnął się do środka.

– Trochę – odparł Snow, rozglądając się po korytarzu.

Nim się odwrócił, rozdzwięczał się domofon.

– Snow, słucham – odezwał się Rodgers.

– Wpuść mnie, Stu – dobiegło z drugiej strony.

– Wchodź. – Wcisnął guzik i zwrócił się do Snowa: – To Shotton.

Skrzypnięcie drzwi poniosło się po klatce schodowej i lampy zaczęły zapalać się na kolejnych piętrach. Sądząc po odgłosie kroków, technik nie był sam. Po chwili pojawił się w towarzystwie młodego chłopaka w czerwonym uniformie.

– Chciałem zaoszczędzić koledze fatygi – podjął – ale ponoć złamalibyśmy jakiś punkt regulaminu.

- Zgadza się – odparł dostawca pizzy. – Kto z panów mieszka pod trzynastką?
- Ja... – zgłosił się Rodgers.

W odpowiedzi dostał trzy pudełka, ciepłe i pachnące.

- To będzie... – chłopak zerknął na pierwszą stronę notesu – ...trzydzieści sześć funtów.

Snow wyjął z kieszonki odliczoną kwotę, gdy Rodgers i Shotton przeszli do pokoju dziennego.

- Nie za wesoło wam, panowie – bardziej stwierdził niż spytał, dzierżąc w rękach duży karton soku pomarańczowego.

- Niezbyt – odrzekł Shotton. – A w zasadzie to wcale, jeśli wymagasz ode mnie precyzji. Drugą noc z rzędu prawie nie zmrużyłem oka.

- I żeby jeszcze coś z tego wynikało – wtrącił Rodgers. – Ale nie.

- Na pozór może się wydawać, że tkwimy w miejscu – powiedział Snow, siadając. – Ale kiedy wy załamywaliście ręce, ja szukałem sposobu.

- Mów – rzucił Shotton, wgrzyzając się w serowy brzeg pizzy.

- Zrobiłem zestawienie osób najczęściej komentujących w sieci artykuły dotyczące obu morderstw oraz niebiorących udziału w dyskusji, ale stale śledzących jej przebieg. Nie brałem przy tym pod uwagę adresów spoza metropolii. Posługując się portretem psychologicznym oraz nagraniami z kamer, zawęziłem krąg podejrzanych do mężczyzn między dwudziestym a czterdziestym rokiem życia, nie wyższych niż pięć stóp i dziewięć cali.

Zrobił pauzę i na moment zapadła cisza, którą przerwał Rodgers:

- Od czegoś trzeba zacząć.

- Ilu? – zapytał rzeczowo Shotton.

- Po tym jak chłopaki z prewencji wykluczyli tych z alibi, zostało siedmiu.

- Nieźle – odparł Shotton. – Co dalej?

- Mógłbyś włączyć laptop? – zwrócił się do Rodgersa, wskazując na regał za nim.

Technik usłuchał i na ekranie pojawiło się zdjęcie pięknej, młodej kobiety.

- Oho! – wykrzyknął. – Widzę, Terry, że nieźle się bawisz... Kto to jest?

- Nie no – wyjąkał Shotton – robi wrażenie, ale ty?

- Fikcyjny profil. Założyliśmy je dwóm policjantkom, na różnych portalach.

- Grasz po staremu, co? – zauważył Rodgers.

- Przynęta? – dodał Shotton.

Snow pokiwał głową.

- Jedyne, co łączy te dziewczyny, to uroda. Niebanalna, zachwycająca. Nawet nie kolor włosów czy skóry, ale ów zmysłowy czar, który zauważają wszyscy. Również ja.

- Może się udać – stwierdził Rodgers, gdy dobiegł ich sygnał domofonu.

– Charlie – wyjaśnił Snow i podreptał do drzwi.

Po chwili Keane wparował do przedpokoju i zerkając to na techników, to na detektywa, zapytał:

– Zdecydowaliście już, która z dziewczyn bardziej nadaje się do akcji?

Shotton rozłożył ręce.

– To dobrze – odrzekł Keane. – Bo będziemy potrzebować ich obu.

– Mówiłem ci już – zaczął Snow – że to nie takie proste. Trzeba zapewnić im ochronę. Nie mamy do czynienia z amatorem.

– Oczywiście. Ale wtedy nie wiedziałeś, co ofiary mają ze sobą wspólnego.

– Coś się zmieniło? – spytał Rodgers.

Keane wyjął z kieszeni pendrive i mu rzucił.

– Pełna dokumentacja. Zarówno Jane Cook, jak i Kelly Robinson kochały kobiety.

– Były lesbijkami? – wymamrotał Shotton.

– Na to wygląda – odpowiedział Keane i sięgnął po kawałek pizzy.

11

Drzwi windy rozsunęły się i Rebecca wyszła na korytarz, z którego rozpościerał się widok na wszystkie osiem pięter budynku. Szklane, wychodzące na ciasny dziedziniec ściany zdradzały napięcie, jakie zapanowało w wydawnictwie przed dwoma dniami. W redakcji dziennika właśnie trwało zebranie i cały zespół cisnął się w salce konferencyjnej. Niżej kobiety i mężczyźni krążyli w tę i z powrotem po otwartej przestrzeni, ślęczeli przy biurkach lub przyklejali coś do tablic będących makietami przyszłych numerów. Rebecca przyłożyła kartę do czytnika i znalazła się wśród ciepłych, pastelowych kolorów, zapachu świeżej kawy i suchego powietrza z wentylatora. Ale nikogo nie zastała. Wielka drukarka wypluwała kolejne kartki papieru, formując pokaźny stos, oba stanowiska pracy stały puste, choć wszędzie wałały się jakieś materiały, jakby opuszczono je w pośpiechu. Zdążyła zaczepić берет na wieszaku, gdy z pokoju po prawej wyłonił się szczupły szatyn w opiętych spodniach i pstrokatej kamizelce.

– Pani Mulligan, proszę – powitał ją, poprawiając krawat, i zniknął w środku.

Kiedy przekroczyła próg, zobaczyła jak dyrektor programowy stacji TH1, Neil Oakley, okrąża dwa złączone stoły kreślarskie i osuwa się na fotel.

– Wzywał mnie pan – powiedziała, gdy zamiast zająć się nią, wlepił wzrok w ekran monitora.

– Tak, tak, proszę usiąść – mruknął w odpowiedzi, ale nie przerwał lektury.

– Dlaczego tutaj? – spytała, luzując apaszkę, i założyła nogę na nogę.

– Mam dla pani temat – odparł Oakley, wciąż na nią nie patrząc.

– A co ze sprawą morderstw? – zapytała z lekką irytacją.

– Proszę się nie martwić, to nie degradacja. – Zdjął okulary i rzucił jej mgliste spojrzenie. – Wręcz przeciwnie, daję pani na wyłączność coś naprawdę ekstra.

– To znaczy? – spytała bez przekonania.

– Czy mówi pani coś nazwisko Paul Barkley?

– Nie, a powinno?

– Gwiazda pierwszej ligi, nasz chłopak.

– Nie zajmuję się sportem.

– Ale tu wcale nie chodzi o sport.

– Nie? – zdziwiła się Rebecca.

– Bynajmniej – odparł Oakley, zerkając na notatki.

– Więc o co?

Neil Oakley uśmiechnął się i wyjął z szuflady tablet.

– Proszę nie kopiować tych danych ani nie próbować łączyć się z siecią. I tak nie powinno się udać, ale gdyby jednak, uprzedzam. Zobowiązałem się zachować najwyższe środki ostrożności.

– Ale żeby aż tak?

– Kopia dysku twardego z laptopa pana Barkleya. – Oakley klepnął dłonią wierzch urządzenia i przekazał je Rebecce.

– Dobrze, przejrzę to. – Upchnęła tablet w torebce, gdy dodał:

– Oczekuję pani jutro po dziewiątej w moim gabinecie.

Jeszcze długo po tym, jak zamknęła za sobą drzwi, wpatrywał się w punkt, w którym zniknęły jej nogi. Plan był prosty. On napisze artykuł na pierwszą stronę, a potem ona opowie o wszystkim przed kamerą. Potrzebował tego. Kończył się okres, na jaki podpisał kontrakt, słupki oglądalności zaś nie sięgały tam, gdzie powinny.



Bradley Owen wrzucił monetę do namiętnie świecącej maszyny i pociągnął za rączkę, a trzy bębny z różnymi symbolami owoców zaczęły się obracać tak szybko, że z miejsca zniknęły w plątaninie barw. Znów nic nie wygrał, ale nie po to tu przyszedł. Czekał na człowieka, który w minioną środę przyznał się w konfesjonale do zabójstwa. Parę osób rozpoznało go na rysopisie sporządzonym przez akwarelistę Wesa Hughtona za pośrednictwem telefonu i przesłanym w postaci zdjęcia. Inspektor Snow zarządził poszukiwania, kiedy tylko Owen skończył mówić, w czym rzecz. Dość szybko ustalono, że naszkicowany mężczyzna był częstym gościem lokalu z klasycznymi grami na rogu Whitecliffe Avenue i Tangier Road. Ponoć bił wszelkie rekordy, doszedł nawet do dwieście czterdziestej dziewiątej planszy Pac-Mana, co w środowisku budziło podziw. Nikt nie wiedział jednak, gdzie mieszka ani jak się nazywa. W ogóle się nie odzywał i uchodził za dziwaka. Policja jednak nie miała podstaw, aby dokonać zatrzymania. Ksiądz Southgate nie chciał złożyć oficjalnych zeznań, bazowano zatem tylko na ich strzępach. Owen dostał za to zgodę na podjęcie działań poza protokołem. Mógł robić wszystko, co uważał za konieczne, i nie martwić się o konsekwencje, przynajmniej do momentu, aż nie przykuje uwagi kogoś z innego hrabstwa. Wtedy zostałby sam, ale nie pierwszy już raz, więc gdy do środka wszedł chłopak z rysunku, by zasiąść przy pierwszym z brzegu automacie, zajął miejsce obok.

– No nieźle – odezwał się, gdy podejrzany w parę sekund rozprawił się z pierwszą planszą. – Chociaż zawsze wołałem Donkey-Konga. Do którego poziomu dotarłeś?

Czarnowłosy chuderlak skierował żółtą kulkę nie w ten korytarz i natknął się na czerwoną. Wtedy dostał rumieńców i wcisnął pauzę.

– Proszę zająć się sobą – odbąknął prze zaciśnięte zęby.

– Bo komuś się poskarżysz? – spytał buńczucznie Owen, na co chłopak z powrotem pobladł i zgubił kontakt wzrokowy. – Może policji? – dodał po chwili i podsunął mu pod nos legitymację służbową.

– Co? – jęknął. – Ale ja nic...

– Dobra, dobra, dokumenty, prędko.

– A mogę wiedzieć – zaczął, obmacując się – o co w ogóle chodzi?

– Później – uciął stanowczo Owen.

Kiedy w końcu wyciągnął dowód osobisty, ręce mu się trzęsły.

– Darren Ellis – przeczytał Owen. – Dover Road, aha, czyli blisko. Wstawaj, idziemy.

Chłopak nie protestował. Zapiął kurtkę pod samą brodę i pozwolił zawieźć się pod własny dom. Przez całą krótką drogę milczał, ale kiedy stanęli przy jego furtce, odezwał się:

– Pan w sprawie tej rowerzystki, prawda?

Owen aż się wzdrygnął. W ostatnich dniach przeglądał policyjne bazy danych i natknął się na ciekawy przypadek. Kobieta kierująca mazdą zbyt mocno ścięła zakręt i potrafiła kolarkę miejscowego klubu. Dziewczyna sunęła po asfalcie prawie dwadzieścia jardów, ścierając skórę z uda, nim zatrzymała się na barierce przy mostku, i nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie zachowanie kobiety w samochodzie. Ta wystawiła prawą nogę na ulicę, jakby zamierzała wysiąść, ale potem ją cofnęła i uciekła. Zdążyła zaparkować przed blokiem, gdy nadjechał radiowóz. Wtedy i później nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego nawet nie wezwała pomocy. Podobne wątki bada się przy okazji nierozwiązanych przestępstw. Sprawcy bowiem w nerwach często popełniają głupie błędy. Na przykład powodują kolizje drogowe. Do miana legendy urosła już historia pewnego mężczyzny, który wioząc swoją uduszoną żonę w bagażniku, uderzył w drzewo i stracił przytomność, a kiedy się ocknął, ujrzał lufę policyjnej broni.

Ale właścicielka mazdy w czasie obu morderstw przebywała daleko od Portsmouth, co poświadczyło parę kamer na lotnisku w Wiedniu.

Ellis pchnął sięgającą kolan metalową furtkę i przekręcił klucz w zamku wąskich, ale solidnych drzwi. W środku, przy wycieracze zalegały powiązane sznurkami stosy gazet. Owen zerknął na tytuły i daty, dzienniki ogólnokrajowe i lokalne z ostatniego tygodnia.

– Mieszkam na poddaszu – wyjaśnił u podnóża schodów Ellis.

– Prowadź.

Pokój Darrena Ellisa był ciasny, ale przytulny. Zmieściły się tu tylko łóżko, biurko z krzesłem i szafa. Na podłodze leżał okrągły dywan, na ścianach wisiały reprodukcje znanych pejzaży. Panował tu zaskakujący porządek.

– Napije się pan czegoś? – spytał Ellis, wskazując małą zamykaną na kluczyk lodówkę, która stała pod biurkiem.

Ale Owen tylko się rozglądał.

– Usiądź pod oknem – powiedział w końcu i przykuł chłopaka do rury odchodzącej od żeberkowego grzejnika.

Potem zajrzał pod materac, za zasłonę, do szuflad, między książki i wziął się za rozpakowywanie figurek z kreskówek.

– Zostaw to – zaprotestował Ellis, szarpiąc kajdankami. – Stracą na wartości, a to oryginalne...

– Cicho – warknął Owen. – Zostawię. – I odłożył nietknięte pudełko na półkę.

– Dziękuję. – Ellis westchnął z wyraźną ulgą.

– Odsuń się. – Owen otworzył okno, wychylił się i popatrzył w głąb rynien i zakrzywień dachu. Gdy nic nie znalazł, oparł się o parapet. – Wyrzuciłeś broń?

– Broń? – zdziwił się Ellis. – Jaką broń?

– Nie udawaj. Byłoby lepiej, gdybyś się przyznał.

– Nie... ja... tylko...

– Co? Mów wreszcie.

– To wszystko mi się tylko wydaje.

– Aha. – Owen pokiwał głową. – Czyli mnie tu nie ma?

– Nie... – odparł Ellis.

– To patrz.

Owen nagle złapał chłopaka za szyję i podniósł, a ten naraz cały zsiniał. Gdy puszczone opadł na łóżko, krztusił się i bełkotał.

– Mów wolniej – szepnął mu do ucha Owen.

– Nie, że pana tu nie ma – wycedził na wdechu. – Tylko ja miewam zwidy. – Sapał, z trudem łapiąc oddech. – I tak naprawdę nie istnieje to, co dla mnie jest. Wszystko zrozumiałem, kiedy mówił pan o Jane Cook. O tym, jaką pan ją zastał, że nie miała otarć ani sińców, ani błota we włosach...

Owen zmarszczył brwi.

– Przecież ja nic takiego nie powiedziałem.

– No właśnie. Ale pomyślał pan, mam rację?

Zdumienie i niedowierzanie rysowały się na twarzy Bradleya Owena grubymi kreskami, aż wreszcie wybrał numer Snowa.

12

Musiała stracić przytomność, bo nie pamiętała tego miejsca. Nie leżała pod kamiennym pomostem, obok którego została ogłuszona, gdyż kopulasty sufit załamywał się za wysoko i składał wyłącznie z czerwonych cegieł. Mech porastał szczeliny biegnącej tuż obok ściany, ale nie słyszała szumu wody. W zasadzie w ogóle niczego nie słyszała, prócz dzwonienia w uszach. W ustach czuła słodkawy posmak krwi, ale nie ból. Do tego ogarniała ją senność, więc wiedziała, że nie jest dobrze. Nieopodal stały jakieś stare beczki, może browarnicze. Znajdowała się w niedużym pomieszczeniu na wskroś przesiąkniętym wilgocią. Widziała ponad sobą stalowe rdzewiejące drzwi i kabel leniwie zwisający z kontaktu. Słabe światło sączyło się przez jakąś szparę z tyłu, padając na liczne pęknięcia w podłodze. Miała związane ręce i nogi. Spróbowała przetoczyć się na plecy, ale nie zdołała. Zadarła głowę, aby się lepiej rozejrzeć, ale wtedy ciepły pot począł obficie spływać jej do oczu, więc odruchowo zacisnęła powieki. Teraz polegała już tylko na intuicji. Czekwała na cios, który jednak nie nastąpił.



Owen prawie skończył odtwarzać drogę, jaką Darren Ellis przebył w ciągu ostatnich trzech dni, aby potem przejrzeć zapisy z kamer przemysłowych i zidentyfikować osoby, które ten spotykał, gdy przez pokój przebiegł świdrujący dźwięk domofonu.

– Otworzę – powiedział, na co Ellis tylko skinął głową.

Rozkuty, z butelką coli w ręku i świadom, że może pomóc policji, nareszcie odzyskał spokój.

Na zewnątrz czekał Charlie Keane. W czarnej skórzanej kurtce i szerokich spodniach z gładkiej wełny, jak zwykle wyglądał stylowo. Przyniósł srebrną stalową walizkę, w której niemrawo odbijał się blask dnia.

– Witaj – rzekł Owen, a Keane ściągnął ciemne okulary.

– Co to za bajzel? – spytał.

– Te gazety? – Owen przekręcił zasuwę.

– Nie, telepatia czy coś.

– A, to... – Zaśmiał się i oparł o balustradę.

– Poważnie? – spytał zupełnie bez wiary, raczej z ironią.

- Może nas zwodzi, a może... nie.
- Dobra, sprawdźmy – rzucił bez wnikania w szczegóły i poszli na górę.
- Detektyw Keane – powiedział Owen na miejscu, na co ten skinął głową na powitanie.
- Witam – odparł Ellis. – I zapraszam.
- Nakaz przeszukania – wyjaśnił Keane, wyjąwszy pomiętą kartkę złożoną na pół.
- Nie trzeba. – Ellis machnął ręką. – Zostałem uprzedzony, że rozejrzy się pan tu trochę. A bardzo chcę się przydać.
- Raczej dokonam inspekcji – odparł, kładąc walizkę na biurku.
- Mogę zobaczyć? – zapytał Ellis, kiedy Keane zwolnił zatrzaski.
- Niekoniecznie – odrzekł od razu Owen, obracając w dłoni tubkę z roztworem luminolu.

- Chyba że z daleka – dodał Keane.
- Okej – zgodził się Ellis i czym prędzej wstał.

Podczas gdy Keane, uzbrojony w pojemnik z rodankiem sodu, zabrał się do badania ubrań pod kątem obecności prochu, Ellis lustrował wzrokiem wnętrze walizki, nie omijając żadnej rzeczy. Składała się ona z dwóch palet, po jednej w wieku i uchylnej, oraz sześciu organizerów. Na pierwszym planie widniał zestaw do wykrywania ludzkiej krwi. Roztwory, tabletki, tusze, testy. Dalej ułożono pęsety, szcypce, przecinak, drewniane i plastikowe szpatułki, wałki, noże, nożyczki, a nawet ostrze chirurgiczne. Niżej piętrzyła się cała masa saszetek z różnymi odmianami proszku daktyloskopijnego. Nie brakowało też znaczników, barwników, kopert, ołówków i szarego mydła. Uwagę przyciągało piękne szkło powiększające. Było tam też kilka latarek. Ellis zauważył ponadto rękawiczki, bawełniane i z lateksu, oraz maseczki. Z kolejnej przegrody wystawały pojemniki z silikonem, pastą, czymś w rodzaju gumy i rolki folii. Znalazł się też komplet narzędzi. I dłuto stolarskie, i piłka do metalu. Różne pędzle w lśniącym pyłoszczelnym futerale. Lusterko kątowe i magnes. Taśma, szkiełka mikroskopowe, plastry, szalki, sączki z bibuły, pałeczki higieniczne, tampony oraz kompresy. Po co to wszystko? Probówki z korkiem, torebki foliowe z zamknięciem. Na próbki. Spryskiwacz, lakier w aerozolu, fiolki, słoiczki. Ile tego! Wreszcie wytrych.

- Takim z łatwością da się otworzyć każde drzwi i to bez naruszenia zamka, prawda?
- odezwał się pełen ekscytacji chłopak.
- Owszem – przytaknął Owen z uśmiechem, gdy wtem ktoś nacisnął dzwonek. – Zobaczę, kto to.
- Czekaj – zaprotestował Keane. – Ciebie tu nie ma.
- A nie mówiłem – stwierdził rozbawiony Ellis.



Ocknęła się trafiona wiązką paralizującego bólu. Silniejszego niż przedtem, pulsującego w samym środku głowy. Czując, że zaraz zwymiotuje, przeturlała się na brzuch, ale miała pusty żołądek. Jedyne, co podeszło jej do gardła, to strach. Stłumiła w sobie stęknienie i przygryzła rękaw. Czaszka wydawała się kurczyć i rozszerzać niczym pracujące serce. Wyobraźnia podsuwała dźwięki trzeszczących kości. Jakby ciśnienie miało zaraz rozsadzić jej potylicę i wypłuć mózg. Mocne światło kłuło w oczy, nie pozwalając niczego zobaczyć. Pokój bujał się wraz z nią jak jedna wielka kołyska. Pragnęła tylko, żeby przestał. Ale nie. Zaczął poruszać się jeszcze szybciej. Od prawa do lewa, w górę i na dół. Bez przerwy. Podano jej jakiś narkotyk. Albo oberwała zbyt mocno. Powinno samo przejść, ale na to potrzebowała czasu, który już dawno się skończył. On mógł tu zaraz wrócić. I dokończyć dzieła.

Kazała sobie natychmiast wstać, lecz sflaczałe ciało tylko się zatrzęsło. Ułożył ją na czymś miękkim, co w ogóle nie dawało oparcia. Kiedy, wierząc się, w końcu spadła na podłogę, zrozumiała, że to był materac. Jane Cook zginęła w łóżku, Kelly Robinson w sypialni.

Chyba zwichnęła łokieć, bo ręka nie chciała się zgiąć, a dłoni nie czuła. Pod sufitem na długim drucie wirowała żarówka. Ściany pokrywały bambusowe plecionki. Klaustrofobicznie ciasne wnętrza urządzono w drewnie. Spozobegła sękaty sekretarzyk, okrągłe okiennice i drzwi. Przeniósł ją, tylko gdzie? I po co? Dlaczego jeszcze żyła? Jak długo? Flamastry, ołówki i zakreślacze doturlały się do jej kolan, gdy usiłowała dosięgnąć klamki. Majtała się tam flanelowa koszula, ale ją interesował wieszak, którego metalowy haczyk nadałby się do obrony. A raczej ataku. Gdy wreszcie zdołała złapać się kantu framugi i podciągnąć, usłyszała kroki. Ciężkie i wolne, dochodziły z drugiej strony drzwi i narastały. Ściągnęła koszulę z wieszaka i resztkami sił odgięła haczyk. Wtedy zobaczyła w lustrze własne odbicie. Biała, rozmyta twarz z małymi oczami. Głowę miała szczelnie owiniętą bandażem, który lekko przeciekał. Buty na grubej, gumowej podeszwie zamilkły tuż przy niej. Zamachnęła się na chrobot klucza w zamku, a kiedy drzwi skrzypnęły, dźgnęła na oślep. Drut przeciął żółty sztormiak i wbił się w bark. Nim dostrzegła, z kim walczy, przyjęła potężny cios na nos. Jeden wystarczył. Gruchnął krótki urwany łoskot i zrozumiała, że zapada się w ciepły, miękki sen.

Ale ten nie przyszedł. Twarde deski gniotły obite lędźwie i wpijały się w łopatki. Postać w ociekającym deszczem płaszczu pochyliła się nad nią i sprawdziła, czy oddycha. Kiedy mierzyła jej puls, dotyk mokrej, zimnej dłoni był torturą, woń zgniłego chłodu zaś utrapieniem. W końcu odeszła, zamykając za sobą drzwi. Pokój

nadal się kołysał. Czuła, jak podłoga unosi się i opada. Upadek odebrał jej resztki energii. A nawet woli. I pomyśleć, że jeszcze parę godzin temu miała to wszystko.

Przecież właśnie dlatego Snow ją wybrał. Biegała szybko, znała dwie sztuki walki, świetnie strzelała. Pracowała w terenie i nigdy nie zawiodła, bo umiała kontrolować emocje. Jej idealna figura przykuwała wzrok. Podobnie jak piękne, lśniące włosy. W sieci sztab ludzi udawał, że Chloe Clarke ma na imię Emma, studiuje prawo i jest w związku z koleżanką z roku. Wyznaczono trasę, którą uprawiała poranny jogging. Inną przemierzała po zmroku. Odgrywała rolę przynęty i nie mogła się doczekać momentu, aż go dorwie i stłucze. Wsparcie musiało trzymać się na dystans, aby nie nabral podejrzeń. Te parę sekund przewagi wystarczyłoby, aby sprawić solidne manto. Tyle że dała się zaskoczyć.



Owena dobiegł stukot obcasów i znajomy kobiecy głos.

– Cześć, Charlie – powiedziała Rebecca Mulligan, wkraczając do środka.

– Co ty tu robisz? – odparł Keane z niewyraźną miną.

– Pracuję. Ty chyba też. – Obracała się powoli i rozglądała dookoła. – Bo chyba tu nie mieszkasz.

– Musisz stąd wyjść. I to już.

– Poważnie? – rzuciła z ironią. – Czyj to dom?

– Śledziłaś mnie?

Złapał ją za nadgarstek, gdy dobrała się do gazet.

– Nie pochlebiaj sobie – odrzekła i wyszarpnęła rękę. Potem cofnęła się o krok.

– Ja nie żartuję. Daję ci dwie minuty na dojdzie do furtki. Potem będę zmuszony cię aresztować.

– Ojoj – zakpiła. – Masz kajdanki?

– Marnujesz czas. Mój i swój.

– Czyżby? Zależy ci na rozgłosie? Chyba nie. – Odwróciła się i skierowała w stronę kuchni.

Wtedy Keane wykręcił jej dłoń i pchnął na szafkę na buty.

– Au! – jęknęła. – Odbiło ci? – Obniżony ton świadczył, że dzięki parze metalowych obręczy zyskała trochę pokory.

Przytrzymując Rebeccę, przeszukał jej torebkę. Znalazł włączony dyktafon. Skasował nagranie i upewnił się, czy nie ukryła drugiego w płaszczu.

– To jawny atak na wolne media – orzekła z irytacją.

– Raczej wtargnięcie. Może usiłowanie kradzieży.

– Nie bądź bezczelny. Myślisz, że cię nie pozwę?

- Zawrzemy ugodę. – Puścił ją i rozkuł.
- Tak? Jaką? – Poprawiła futrzaną czapkę i obciągnęła zakiet.
- Rozstaniemy się w zgodzie.

Keane otworzył drzwi wejściowe i oparł się o ich kant.

Idąc w jego stronę, rzuciła okiem na gazety. Na wierzchu leżało ubiegłotygodniowe wydanie „Daily Star”. Pod nim „The Sun” i „The Independent”, oba z tego samego dnia, trzydziestego listopada. Niżej wystawał brzeg „The Daily Telegraph”.

– Tak łatwo nie odpuści – powiedział Owen, schodząc na parter, gdy Rebecca opuściła już dom.

– Przecież jej nie zamknę – odrzekł Keane. – Zobaczyła mnie przez szybę i musiałem otworzyć.

– Zna adres. Trzeba zawiadomić Snowa. Może wydać oświadczenie dla prasy.

– Cholera – warknął Keane. – Masz rację.



Miała wrażenie, że się topi. Ale to był tylko deszcz. Drobny, lecz gęsty i bystry, chłostał ją wytrwale. Zmarzła do głębi. Cała się trzęsała. Materac stał się sztywny, mokry i śliski. I wciąż podskakiwał. Wokół zrobiło się okropnie głośno. Niepokojące wycie układało się w szum. Dochodziło zewsząd. Nagle jej plecy uniosły się, a nogi pozostały w dole. Na moment, bo potem zaczęła się gwałtownie zsuwać, aż dostrzegła przed sobą deskę. Cienki, ale solidny kawałek drewna nad głową. Zdołała się złapać, choć stawy zapiekły ją żywym ogniem. Zatrzymała się pod wyjmowaną ławką. Widziała oznaczenie pod spodem i już wiedziała. Wtedy zauważyła też zaczepy do wioseł i uchwyt na silnik. A po chwili rozległo się dojmujące tąpnięcie i zalała ją woda. Znajdowała się na pontonie. Miała na sobie zbyt dużą kurtkę, nie swoją. W strachu odepchnęła się od dna i wyrzwała ponad krawędź kadłuba. Silny podmuch lodowatego wiatru przeszył ją i przyprawił o dreszcze. Gwizdał i dmuchał, szarpiąc jej zdrętwiałym ciałem. Zziębnięta, wpatrywała się w otwarte morze. Ponure niebo oszałamiało ogromem, zlewało się w ciemną otchłań. Wtem w przeciwną burtę uderzyła fala. Kobieta przewróciła się na plecy i uderzyła barkiem w brzeg. Ponton przechylił się, wypychając ją z pokładu, ale w ostatniej chwili nagle opadł. Zdążyła zacisnąć dłonie na jakimś sznurku, kiedy mała gumowa łódka znów nabrała prędkości i wybiła się w powietrze. Chloe Clarke wylądowała na rufie. Ponton nabierał wody, ale szybko ją tracił, kiedy niemal stawał dęba. Majtało nim na wszystkie strony. Kołysany i targany całą mocą żywiołu, nie wywrócił się jednak. Kolejny grzbiet fali znów posłał ich w dół, a spieniony próg wyrzucił ponad krzywą linię wody. Pchnięta na kolana, tym razem wypadłaby przez dziób, gdy poczuła szarpnięcie. Zacisk na lędźwiach i pas wbijający

się w brzuch. Zabrakło jej tchu. Nie mogła oddychać. Zaczęła kasłać i wypluwać wodę, słoną i gorzką zarazem. W końcu przestała się dusić i przyłgnęła do dna kadłuba. Dopiero później sięgnęła pleców. Cienka linka łączyła się z szelkami, w które była ubrana. Dotarła po niej do haka wmontowanego w kil. Dlaczego? Po co to wszystko? Wtem dobiegł ją głos. Dochodził z tyłu głowy. Zmrożona z przerażenia, znieruchomiała. Opanowała nawet drgawki.

– Nie bój się – mówił szorstko, chrypliwie. – Nic ci nie będzie.

– Kim jesteś? – spytała, lecz bała się odwrócić.

Nie otrzymała odpowiedzi.

Przeklęty psychoanalityk. Jego zdaniem zabójca ze szpitala nie napawał się strachem swoich ofiar, dlatego zabijał je szybko i niemal bezboleśnie. Być może mścił się bądź wymierzał kary, ale sam akt stanowił dla niego tylko konieczność. Za element winy uznawał urodę lub być może jakiś pogląd. Albo jeszcze coś innego. Jeśli tak, to co się, do cholery, teraz dzieje? Gdzie jest pan Green ze swoim fachowym portretem psychologicznym?

Wtem wielkie, oślizgłe rękawice owinęły się wokół jej szyi niczym ramiona ośmiornicy. Trzymały mocno, tłumiąc krzyk i wszelkie opory. Gdy przykucnął tuż za nią, poczuła na karku jego bezwonny oddech. Szybki i płytki, zdradzał napięcie. Wtedy nagły podmuch wiatru ściągnął im z głów kaptury i świst szalejącego szkwału przedarł się przez granice wytrzymałości młodego kobiecego umysłu. Myślała, że zaraz oszaleje. Serce biło jej coraz szybciej i mocniej. Gwałtownie odchyliła głowę, chcąc zmiażdżyć mu nos, ale jedynie musnęła obojczyk lub inną twardą kość. W odpowiedzi objął ją wpół, złapał za krtań i ścisnął z całych sił. Wydawało jej się, że palce lada chwila przebiją skórę i trącą struny głosowe. Wierzgała, wiła się i miotała, aż zyskała parę cali swobody. Nie czekając na nic, trafiła go łokciem między żebra i odepchnęła się nogą. Jęknął i przeturlał się na tył pontonu, ginąc w mroku. W jednej chwili zauważyła kij. Leżał wzdłuż lewej burty, zupełnie zapomniany. Schyliła się, gdy złapana za łydkę, straciła równowagę i upadła na kolana. W tej samej pozycji chwyciła za koniec, jak się okazało nie kija, lecz aluminiowej rurki, i uderzyła. Włożyła w to całą moc, jaką kumulował strach. Ale przecięła tylko powietrze. Rzucił się na nią, lecz zdołała sparować atak. I to jak! Zastawiła się, pociągnęła go za rękę i przerzuciła przez ramię. Runął jak długi na belkę biegnącą przez środek kadłuba, zapewniającą stabilność konstrukcji. Momentalnie wstał, ale zdążyła się przyszykować. Podskoczyła i kopnęła z półobrotu, godząc go czubkiem buta w sam środek podbródka. Lądując, poślizgnęła się jednak i przewróciła, a woda z dna chlusnęła jej prosto w oczy. Kiedy po paru sekundkach podźwignęła się, jeszcze walczył z grawitacją. Potem znieruchomiał w przysiadzie. Nie widziała, jak wygląda. Na twarzy miał czarną

kominiarkę z namalowanymi kośćmi czaszki. Chyba się śmiał, bo wydawał jakieś dziwne dźwięki. Krótkie, chrapliwe. Wtem w dłoni błysnęła mu broń. Mały rewolwer na sześć nabojów. Drgnęła, kolana jej zmiękły. Nie wiedziała co robić, aż nagle fala poderwała dziób pontonu i mężczyzna poleciał do tyłu. Słyszała głośny plusk. Gdy na lewym boku dojechała na skraj pokładu, była sama. Przytrzymała się burty i wyjrzała zza niej. Między szklistymi grzbietami fal majaczyła żółć sztormiaka, by po chwili rozpląnąć się w kłębowisku piany. Na kłęczkach szukała koła ratunkowego, kapoka, latarki, czegokolwiek. Zobaczyła tę długą, lekką rurkę i bez zastanowienia wsadziła ją w morze. Wydawało jej się, że dopłynął do drugiego końca i się złapał. Że zaraz go wyciągnie. Ale nie, to woda napierała z wielką siłą. Z trudem to wytrzymywała, lecz się starała. W końcu ponownie upadła, a morze zabrało i przedmiot, i jego.

Strach pozostał. Pontonem rzucało we wszystkie strony. Nie było widać brzegu. Żadnych świateł. Wszędzie tylko niebo i woda.

Nie miała czym wiosłować. Zresztą wzburzone morze szybko wciągnęłoby ją w swe czeluści, gdyby tylko spróbowała. Głowa bolała coraz bardziej, drgawki się nasiliły. Przywarła do dna pontonu, kuląc się w sobie. Objęła przyciągnięte do brody kolana i zaczęła się modlić. Nie umiała, nie wierzyła, ale w tej chwili to wszystko było nieistotne. Bała się. Chociaż mniej, odkąd zauważyła, dokąd ją znosi. Przez ostatnie dwie noce księżyc świecił pełnią, lecz teraz wcale się nie pojawił. Marzyła o nim i o gwiazdach, ale całkowita ciemność na coś się przydała. Ledwie migocące punkty na horyzoncie stały się lepiej widoczne. Układały się w poprzek, jakby wyznaczały linię brzegową. Za daleko, aby dopłynąć wpław albo zostać zauważonym. Ale dostatecznie blisko, by odzyskać nadzieję. Z czasem fale rosły, co tylko potwierdzało jej teorię. Bliżej brzegu stawały się wyższe. Tyle że prąd wsteczny cofał ją w głąb morza. Białe grzebienie drapały ponton, bryzgi wlewały się na pokład. Trzymając się linki oplecionej wokół burt, starała się nie zasnąć. Blask latarni na łodzi powoli się ośmielał. Enty zjazd z garbu pod kątem czterdziestu stopni i zanurzenie. Potem chwila wytchnienia i od nowa. Cykl trwał, a ona traciła siły. Wyziębione ciało bladło, aż zrobiło się sine i sztywne. Czuli, że długo już nie wytrzyma. Nieskończony mroźny podmuch z zachodu wstrząsnął łódką. Wcześniej masowała się, aby pobudzić krążenie, ale palce dawno odmówiły współpracy. Woda wdzierwała się wszędzie, gdzie tylko mogła. Za kołnierz, pod bieliznę, do świadomości. Za nią została tylko czarna plama. Nie uratował się, nie ścigał jej. Ale zdała sobie sprawę, że stoi w miejscu. Od kwadransa nie przybliżała się do wybrzeża. Po jakimś czasie frustracja powodowana niemocą przemieniła się w marazm i otępienie. I wtedy przypomniała sobie o lokalizatorze. Podobne jednostki wyposażano w nadajniki GPS ze względów bezpieczeństwa. Tylko że on, jeśli przeżył, mógł namierzyć sygnał.

Rzuciła się na dno i poczęła rozpaczliwie macać każdy jego punkt. Nie omijała też krawędzi, wciąż przesuając się do przodu. Wtem trafiła na owinięty gumą kawałek plastiku. Sterczał po zewnętrznej lewej burty. Wyglądał na wentyl lub inny zawór, więc popęzła dalej. Nagle wyczuła ciasną, giętką pętelkę. Zaczep bądź zawlecзка. Wystawała z klipsa lub sworznia. Nie widziała dokładnie. Było zbyt ciemno. Rozpoznała wypukłe cyfry i litery. Podjęła decyzję i pociągnęła. Nic. Jeszcze raz i trzeci. Znowu bez rezultatu. Zaparła się nogami i wyteżyła każdy z mięśni i w końcu dała radę. Upadła na łopatki, nie wypuszczając owalu z dłoni. Poderwała się i przyłożyła ucho do miejsca, w którym jeszcze przed sekundą tkwił. Żadnego syku. To nie wlot powietrza. Nie wentyl. Cisnęła przedmiot jak najdalej przed siebie i położyła się w płytkiej kałuży. Znowu była bezradna.

Czas dłużył się i zwalniał. Rana głowy piekła drażniona solą zawartą w wodzie. Kiedy przyłożyła do niej dłoń, okazało się, że opatrunek znikł. Namoczony, musiał się zsunąć i dostać do morza. Rozsunęła kurtkę, bluzę i rozdarłszy bluzkę, zrobiła z jej skrawka opaskę. Zawiązała mocno i spojrzała w kierunku brzegu. Ten przed godziną przestał się powiększać. Za to teraz prąd zepchnął ją parę węzłów na wschód. Słaba i obolała dryfowała równolegle do suchej ziemi, kiedy straciła przytomność.

Ocknęła się z ręką pod czołem. Nie czuła prawej nogi, nie mogła ruszać szyją. Gruby, niski pomruk wiatru nie zwiastował niczego dobrego. Ale nie, to nie wiatr. Raczej ryk silnika. Napęd motorowy łodzi. Od razu przekręciła się na plecy. Zaplątała się przy tym w linę, którą była przypięta do pontonu. Ostre światło padało wprost na nią. Kłuło w oczy, wnikało w zmysły. Czyżby ją znalazł? Czy to możliwe? Leżała bez ruchu niczym zwierzyna w ciasnej sieci, zastanawiając się, co teraz z nią zrobi. Nawet jeśli oswobodziłaby się, nie miała dokąd uciec. To już koniec. Snop światła opadł na wodę. Zahaczał lekko o dziób. Dostrzegła dwie sylwetki, jedna coś podnosiła do twarzy. Karabin? Przykładał celownik do oka? Gotowa na strzał, zaczęła się wic jak ryba rzucona na pomost. Wtedy rozległ się głos, zniekształcony przez megafon:

– Straż przybrzeżna. Proszę się nie bać. I najlepiej nie ruszać.

13

Znów padało, ale tym razem zanosilo się na prawdziwą ulewę. Niebo spowilo gęste, czarne chmury, wiatr kołysał drzewami. Grube krople na asfalcie tworzyły bańki. Bębniły o karoserię, walczyły z wycieraczkami. Radio co i rusz traciło zasięg, Ellis cały czas milczał. Wpatrywał się tylko w boczną szybę, ale nie apatycznie, lecz żywo, jakby czegoś szukał. Owen, znudzony szukaniem fał, sięgnął do schowka po płytę. Dotarli właśnie do zatoki Langstone, gdy zorientował się, że ktoś ich śledzi. Dlatego za mostem, zamiast pojechać prosto, skręcił w lewo. Jednak czerwony pickup pozostał na trasie A3023. Mimo to Owen nie zawrócił. Po mili zatrzymał się na poboczu, tuż przed łukiem drogi. Gdy koła lekko zapadały się w grzęzawisku, wyłączył światła. Silnik pracował dalej.

- Dotarliśmy na miejsce? – zapytał Ellis, rozglądając się na boki.
- Prawie – odparł krótko Owen.
- Czemu więc się zatrzymujemy?
- Muszę coś sprawdzić.

Przed nimi znajdował się wjazd na opustoszały parking przy przystani dla żaglówek i małych jachtów. Droga wiła się przez środek gęstego lasu, w promieniu kilku mil nie było latarni ani zabudowań, przez co wokół panował niczym niezmacony mrok. W ciemnoszarej scenerii blask lamp auta czy intensywna czerwień lakieru powinny z daleka rzucić się w oczy. Jednak mimo że stali tak kilka minut, nikt się nie pojawił. Wtedy Owen włączył bieg i wrócił na jezdnię. Nie wykręcił, lecz pojechał dalej, naokoło, w głąb wyspy Hayling. Kierując się nawigacją, po którymś z kolei wirażu skręcił w wąską, prawie niewidoczną alejkę, którą okalały bujne kłujące krzewy. Pełna dołów i wystających korzeni, stanowiła nie lada wyzwanie nawet dla land rovera. Ten kołysał się i parę razy groźnie potarł podwoziem o podłoże. W efekcie Owen spory odcinek ścieżki musiał pokonać na sprzęgle. W dalszej jej partii gałęzie rozłożystych świerków co chwila skrobały po dachu i pukały w szyby, jakby chciały wdrzeć się do środka, a na końcu zwałiste drzewo, złamane w pół i oparte o inne, całkowicie uniemożliwiało przejazd.

– Dlaczego stajemy? – spytał Ellis. Odkąd zбочyli z asfaltu, wiercił się i markotniał. W sercu stuletniego lasu czuł się wyraźnie nieswojo. Prawie nie patrzył przed siebie. Ciągłe spoglądał to przez ramię, to w lewo i znowu w prawo.

- Nie zmieścimy się – wyjaśnił Owen.

– Może jednak? – dodał błagalnym tonem.

Powstały otwór w kształcie trójkąta był dość szeroki, ale trochę zbyt niski. Wiedział o tym.

– Na pewno nie.

– I co teraz? – Ellis wyglądał, jakby zaraz miał się rozplakać. Myślał, że dalej pójda pieszo.

Ale Owen nie zamierzał zostawiać samochodu, bo tym ktoś mógłby się zainteresować. Wysiadł, wyjął reflektor z bagażnika i zbadał teren.

– Damy radę – powiedział, gdy przyszedł, i od razu ruszyli.

Maska samochodu kładła wysokie krzaki i lawirowała wśród potężnych pni iglaków. Drobne gałęzie pękały z trzaskiem pod oponami, szyszki chrzęściły jak żwir. Owen wciąż używał hamulca i kręcił kierownicą. Nie powtórzyłby tego, ale jakoś dobrnęli do skraju niewielkiej polany, w której centrum wznosił się parterowy domek z wyblakłych bali. Przy wjeździe na nią, na starej jodle, wisiała drewniana tabliczka, ale napisu nie dało się odczytać. Żółta farba wypłowieła lub złuszczyła się i odpadła.

– To tutaj? – odezwał się Ellis z ulgą.

– Uhm – mruknął Owen i dodał gazu.

Zderzak naparł na bezlistne samosiejki, które zginane, drapały i chrobotwały o osłonę silnika. Owen zaparkował przed garażem i potruchtał ku werandzie.

– Zostań tu – polecił wcześniej Ellisowi.

– Ale... – zająknął się Ellis.

– Zaraz wrócę.

– Byle szybko! – zawołał za nim.

Dom wyglądał, jakby od dawna nikt tu nie zaglądał. Ostry, dwuspadowy dach porośnięty był mchem. Strzelisty komin z czerwonej cegły kruszył się, przez zapchaną rynną nad wejściem przelewał się deszcz. Z okiennic farba schodziła płatami, schody zalepiały zgniłe pędy chwastów. Wszędzie sterczały suche łodygi dzikich roślin.

Kiedy Owen zniknął w budynku, Ellisa ogarnął niepokój. Zarośla wydały się przybliżyć, martwa cisza urastała do miana złej wróżby. Aż nagle gdzieś nieopodal rozległo się pohukiwanie sowy i chłopak omal nie dostał konwulsji. Zaraz potem brama przed nim zaczęła się podnosić. Zgrzyt nienaoliwionego mechanizmu poniósł się po okolicy złowrogim echem. Pojawił się Owen.

– Długo tu zostanę? – zapytał Ellis, ściskając usta.

– Nie – uciął Owen i zamknął garaż, gdy wjechali do środka.

– Czyli ile?

– Nie wiem.

Metalowy regał zajmował całą krótszą ścianę. Leżały tam jakieś narzędzia, koło do motocykla i nożna pompka. Owen wypakował torbę sportową i plecak, po czym przeszli do części mieszkalnej. Zaciągało tam wilgocią.

Powietrze, gęste jak przypalony budyń, stało w miejscu. Dwa fotele, stół i krzesła szczelnie okrywała folia. Żyrandol składał się z grubej deski oraz paru żarówek i również został „opatulony”. Działał. Zaświecił jasno, dostojnie, choć swąd topiącego się materiału szybko przywiódł im na myśl drabinę. Owen znalazł ją za domem, w szopie na drewno. Obok kominka usypano wióry nadające się na rozpałkę, w stojaku tkwiły mała żelazna szufelka i pogrzebacz. Kurz zalegał wszędzie.

Miało się ochotę jak najszybciej stamtąd wyjść.

Ale oni musieli zostać.



– Może jednak pójdę z panią? – zaproponował raz jeszcze taksówkarz. Rozglądał się wokół, jakby nie miał pewności, czy aby na pewno przywiózł klientkę pod właściwy adres.

– Naprawdę nie trzeba – odparła i spojrzała na licznik. – Proszę – powiedziała, podając dwa banknoty obok zagłówek.

– Czyli mam na panią nie czekać? – zdziwił się jeszcze bardziej.

– Nie, nie trzeba.

Pokiwał głową z niedowierzaniem i poprawił kraciasty kaszkiet. Patrzył, jak kobieta zatrzaskuje drzwi i odchodzi. Mogła się podobać. Figurę miała idealną. Długie, zgrabne nogi, wąska talia i te włosy. W trzech czwartych proste, na końcu mocno kręcone. O odcieniu oblanej miodem, lekko rozżarzonej miedzi. W momencie kiedy już zaczyna jaśnieć, ale jeszcze nie staje się złota. Gdy tak szła, kołysząc biodrami, pomyślał, że na pewno wydarzy się coś złego. I postanowił jednak zaczekać.

Wiedział, że w klubie za rogiem pracowały prostytutki, a pobliski park należał do najbardziej niebezpiecznych miejsc na mapie Southampton. Po jednej jego stronie mieszkali kolorowi ze skłonnościami do agresji i noszenia broni, po drugiej – imigranci ze Wschodu. Nie ci, którzy przyjechali tu robić kariery, ale robotnicy zatrudnieni w fabrykach i na budowach. Wieczorami lubili sobie zdrowo wypić i trochę narozrabiać. Sąsiedowali z Azjatami przybywającymi głównie z Wietnamu i Kambodży. W sumie żadna różnica, bo wszyscy wyglądali tak samo i przy kasie w sklepie zazwyczaj udawali, że nie znają angielskiego. Ponoć całymi nocami krążyli po ulicach, wyłapując bezpańskie psy i koty, które potem serwowali jako jagnięcinę. Dwie przecznice dalej zaczynała się enklawa bułgarskich Cyganów handlujących czym popadnie i często znajdujących okazje do użycia noża. Właśnie do nich należały

zdezelowane, charczące furgonetki, które służby miejskie nieraz brały za porzucone wraki.

Rebecca Mulligan obwiązała się paskiem płaszcza i podniosła beret z czoła. Podkreśliła w ten sposób swoją smukłą sylwetkę z wcięciem typowym dla klepsydry. Nisko nad ulicą, wprost na nią, frunęły dwie strony gazety, chodnik jeżył się ptasimi odchodami, a w bloku, wzdłuż którego szła, trwał chyba generalny remont, bo w żadnym z okien nie paliło się światło, a niektóre nawet zabito dyktami. Czteropiętrowy budynek rzeczywiście znajdował się w opłakanym stanie. Fasada roiła się od pęknięć, parapety pordzewiały, więcej tynku rozpyliło się w powietrzu niż trzymało ścian. Zobaczyła zaśnieżony numer i skręciła w zaułek. Nie czuła się pewnie, ale i nie bała. Co drugi krok podpierała się parasolem zdolnym wywołać łuk elektryczny i powalić z nóg dużego żrebaka. Wystarczyło wcisnąć przycisk ukryty w rączce i dotknąć cel końcówką kija.

Zbliżała się do żelaznej kraty, o którą bokiem opierała się zakapturzona postać. Z ciemnej plamy, jaką miała zamiast twarzy, zwolna ulatywał siwy papierosowy dym. Rebecce miękły kolana, bynajmniej nie z wrażenia, ale nie zwalniała kroku. Nie mogła dać po sobie poznać, że brakuje jej odwagi. Zresztą nie wiedziała, jakie to ma znaczenie, ale intuicja podpowiadała jej, że tak trzeba.

Kiedy podeszła na wyciągnięcie ręki, zobaczyła, że w bramie brakuje klamki. Spojrzała na mężczyznę pod drugiej stronie, a on, jak się spodziewała, już wcześniej patrzył na nią.

– To z panem rozmawiałam przez telefon? – spytała, łudząc się, że zdoła opanować głos.

Mężczyzna wyjął z ust skręta, popchnął furtkę, aż ta otwarła się na oścież, i wskazał na podwórko.

– Dzięki – odparła i minęła go, chcąc mieć to już za sobą.

Omiotła teren wzrokiem. W rogu stał kontener wypełniony rurami, kablami, kawałkami plastiku i metali. Wokół niego składowano wiadra po farbie i worki z resztkami zaprawy. W efekcie na chodniku zalegała gruba warstwa białoszarego pyłu, w której odcisnęły się ciężkie buty. Dalej betonowa pustka i trochę zieleni. Pośrodku sytuował się otoczony żywopłotem plac zabaw. Starła się nie zwracać na siebie uwagi, ale stukot obcasów obwieszczał wszem wobec, że nadchodzi. A mogła włożyć botki na płaskiej, gumowej podeszwie i się nie martwić. Tylko po co, jak można dobrze wyglądać? I wtedy wreszcie dotarło do niej, że tutaj szyk może jej jedynie zaszkodzić. Ściągnąć niebezpieczeństwo. W jednej chwili poczuła się naga. Ale potem orzekła o rozsądku detektywa Blake'a. Przecież nie zaaranżowałby spotkania z tym człowiekiem, gdyby nie był przekonany, że może mu zaufać. Dobry i uczynny,

niewiele się zmienił od czasów, gdy umawiał się z jej młodszą siostrą, Olivią. Może stracił parę włosów, ale chyba nawet stał się przez to bardziej pociągający.

Ale jego tu nie było i mogła tylko zgadywać, co kryło się w ciemnych dziurach posępnej scenerii. Powoli, jakby badając grunt pod nogami, okrążyła kamienny murek, przeszła pod małpim gajem i prześlizgnęła się między małą karuzelą a piaskownicą z roztrzaskanym wiekiem. I wtedy go ujrzała. Obok poskrzypujących na wietrze huśtawek okrakiem na ławce siedział szczupły chłopak o wydatnym podbródku. Zgodnie z zapowiedzią miał na sobie pikowaną kurtkę w kolorze gnijących liści herbaty i czerwoną wełnianą czapkę z daszkiem. Zapatrzony w wyslizganą zjeżdżalnię, wydawał się wcale jej nie zauważać. Ale tylko pozornie, bo zaraz się do niej odwrócił i powiedział:

– Uważaj.

Stała jak wryta, kiedy wskazał na gęstą linię bukszpanu. Dopiero po chwili zorientowała się, o co mu chodziło. Przy kucyku na sprężynach, który kiedyś zapewne mienił się kolorami i wyglądał pięknie, leżał martwy kot. Nieuprzedzona, pewnie by nań nadepnęła. Czarny korpus zwierzęcia wydawał się suchy, głowa tkwiła w ziemi. Wychudzone ciało zaczynało cuchnąć, sierść jeżyła się szronem.

– Udusił się – dodał tamten.

– Jak? – odparła Rebecca, zakrywając nos szalem.

– Pysk ma umazany jakimś klejem. Musiał wsadzić łeb w nieodomknięte opakowanie. Pewnie szukał jedzenia. Albo skądś spadł. Nie sądzę, aby ktoś zrobił to specjalnie.

– Aha – odbąknęła Rebecca.

– Ciesz się, że nie ubrudziłaś sobie nowych szpilek za osiem stów. Kotu już nie pomożesz.

– Pan Figuerola, prawda? – przeszła do rzeczy, odganiając przykry widok.

– Nie używajmy nazwisk, pani Mulligan.

– Uhm. – Usiadła na brzegu sąsiedniej ławki, parasol postawiła na sztorc i wzięła między nogi.

– Podobno chciałaś o czymś porozmawiać, więc mów.

– Czy wiesz coś więcej o tej awanturze w Sholing? – rzekła bez ogródek.

– Której? – zaśmiał się i rzucił jej szydercze spojrzenie.

– W czwartek przed dwoma tygodniami na stacji kolejowej dotkliwie pobito Azjatę. Podobno na tle rasowym.

– Chyba ktoś ci głupot naopowiadał.

– Pisano o tym w prasie.

– A, nie, to sorry, jeśli informację podały media, możemy uznać ją za pewnik.

– Żarty sobie stroisz? – podniosła głos. – Po to kazałeś mi jechać taki kawał drogi? – Sama nie wiedziała, skąd znalazło się w niej tyle rezonu.

Figuerola zupełnie nie spodziewał się takiej reakcji. Nie po anemicznej, wystrojonej dziuni z telewizji. Ale podobała mu się. Cenił jedynie pewne siebie kobiety. Inne zwykły obdarzać dość nieprzyzwoitymi słowami.

– To nie był on, tylko ona – wyjaśnił. – Miejscowa studentka.

– Dlaczego została zaatakowana?

– Nie sądzę, aby jakkolwiek rolę odegrał tu kształt oczu.

– Nie? Ale przecież nie zgłoszono kradzieży...

– Ani niczego innego, zgadza się? – Przekręcił się, aby mieć ją na wprost.

– Owszem – przytaknęła. – Kiedy policja dotarła na miejsce, czekał tam tylko świadek. Starszy mężczyzna, sprzedawca z kiosku. Zeznał, że widział dwie szamoczące się osoby. Dwóch młodych mężczyzn, raczej chudych, całkiem wysokich, jak to określili. W pewnym momencie jeden z nich wyciągnął pistolet, ale ten mu wypadł, a wtedy nadjechał pociąg i koleś się spłoszył. Zbiegł z boczem nasypu. Broń zabrał ze sobą. Z kolei ten napadnięty... to znaczy ona... szybko się pozbierała i uciekła w drugą stronę.

– Pomylił ją z facetem przez ogoloną głowę.

– Co proszę? – zdziwiła się Rebecca.

– Obstrzygła się prawie na zero przy okazji jakiegoś tam pokazu mody czy czegoś.

– Skąd to wszystko wiesz?

Figuerola tylko wykrzywił usta.

– Nie pytaj – odparł wreszcie.

– Znasz ją?

– Może tak, może nie. Po prostu nie pytaj.

– Dasz mi na nią namiary?

– Na pewno nie.

– Może się zgodzi. Zapytasz? Proszę.

– Nie.

– Ale...

– Tylko dilerzy szwendają się ze spluwami po mieście – wtrącił.

– Myślisz, że ćpa? Że zalega komuś?

– Nie wiem. – Naciągnął kołnierz na brodę.

– Podobno przewróciła się i rozcięła nogę. Ale nie zgłosiła się do żadnego szpitala w hrabstwie. Jej DNA nigdzie nie figuruje. Zostawiono tę sprawę. Wszyscy mają teraz ważniejszą robotę...

– No, ja myślę. A ty nie?

– Dostrzegłam pewną zbieżność.
– Z zabójstwem ze szpitala? – Ton mu się podniósł niemal do zachwytu.
– Być może.
– Okej. Zobaczę zatem, co da się zrobić.
Nagle wstał i odszedł w cień jak duch.
– Kiedy dasz znać? I jak? – mówiła cicho, ale usłyszał.
– Idź już, Rebecca – dobiegło z boku. – Tom zaraz się ulotni, a uwierz mi, po zmroku lepiej się tu nie pałętać.
Podniosła się i spojrzała w prawo, skąd dochodził głos, ale Figuerola już zdążył zniknąć. Odwróciła się ku bramie i zobaczyła, że Tom zrobił to samo.



– Ale naprawdę nic mi nie jest – zarzekła się, unosząc plecy i próbując wstać z łóżka.
– Nalegam – powiedział stanowczo Terry Snow. Pozwolił, by usiadła bez niczyjej pomocy i opatulił ją kocem. – Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Straż przybrzeżna wysłała wszystkie swoje jednostki w nakreślony rejon poszukiwań. Patrolujemy teren z wody i z powietrza. Nasi ludzie obstawili linię brzegową, na wszelki wypadek powiadomiliśmy też Francuzów, Belgów i Holendrów. Współpracują z nami Walijszczy i Irlandczycy. Technicy pracują bez przerwy. Teraz pozostało nam już tylko czekać. Również na wyniki reszty badań.

Cichy dźwięk dzwonka telefonu przerwał chwilę ciszy, która zwieńczyła słowa Snowa.

– Cześć – odebrał Charlie Keane.

Czuł na sobie wyczekujące spojrzenia. Dwa razy przytaknął i się rozłączył.

– Chloe, musisz coś zobaczyć – powiedział i wcisnął się między nią a Snowa.

Kobieta chętnie wyciągnęła rękę po aparat. Zdjęcie przedstawiało człowieka leżącego na boku na niezbyt ciekawym tle. Lampa błyskowa wyrwała z mroku gołą kamienną ścianę i wąskie koryto rzeki, pełne spienionej wody. Spod ubłoconej czapki wystawały mocno kręcone włosy w kolorze słomy. Prosta szara jesionka i czarne materiałowe spodnie nosiły ślady ciągnięcia po twardym podłożu. Podeszwy brązowych pantofli były lekko zdarte, ale suche.

– To on – stwierdziła. Źrenice miała zastygłe, głos jasny i czysty.

– Porywacz? Na pewno? – Snow pośpiesznie włożył okulary i pochylił się nad nią.

– Nie – odparła. – Mężczyzna, który zemdlał w parku. Czyli jednak nie żyje. – Przygryzła dolną wargę.

– Tak jakby – odrzekł Keane.

– Co to znaczy? – zapytał Snow.

– Shotton chciałby, abyś dokonała identyfikacji.

Chloe Clarke jedną ręką chwyciła się ramy łóżka, drugą wsparła na materacu.

– Hola, pani sierżant – zaprotestował Snow, kładąc jej dłoń na ramieniu. – Póki co, ja tu wydaję rozkazy. Prawda, panie oficerze?

– Tak, proszę pana – odparł Keane z lekkim uśmiechem.

– No, a więc ty zostajesz – zwrócił się do policjantki – a my jedziemy.

– Ale panie inspektorze, ja...

– Przez dwa, trzy dni nie chcę pani widzieć – oznajmił Snow, podnosząc kapelusz z parapetu. – Później zobaczymy. I to tylko, o ile lekarz pozwoli. Proszę odpoczywać. – Ukłonił się i wyszedł.

– Na razie – rzucił Keane, puścił do niej oko i podążył za szefem.

Chloe Clarke poczekała, aż drzwi się zamkną, i z wielką ulgą złożyła głowę na poduszce. Wciąż ją bolało. Nie tylko głowa, ale i całe ciało. Ale już mniej. Znacznie mniej.



Stalowa krata była duża i ciężka, ale opuszczała się lekko. Do teraz, bo mimo że Nina kręciła korbką jak zwykle, perforowany rulon rozwinął się tylko do połowy. Potem się zaciął i dalej nawet nie drgnął. W żadną ze stron. Sąsiednie sklepy zamykano wcześniej i nie miała do kogo się zwrócić. Została sama w zaułku, gdzie wraz z bratem prowadziła małą kawiarnię. Wybrała jego numer, ale jedynie nagrała się na pocztę. Chłopak miał iść tego wieczoru do klubu, więc szanse na to, że oddzwoni przed północą, były raczej nikłe. Naparła raz jeszcze na konstrukcję, lecz nic się nie zmieniło. Odgarnęła włosy z czoła i westchnęła. Od noszenia tacy z filizankami bolały ją plecy i nogi. Marzyła o kąpieli i śnie. Spróbowała znowu, na siłę, nadaremnie.

Nie słyszała kroków i aż się wzdrygnęła, gdy dobiegł jej głos:

– Poczekaj, pomogę ci.

Nim dokończył, gwałtownie się obróciła i złapała za krtań.

– Co ty tu robisz? – odetchnęła z ulgą. – Przestraszyłeś mnie. Nie rób tego więcej.

– Wybacz – odparł z pokorą i podszedł do kraty. Złapał za jej dolną krawędź i pociągnął.

– Tak się nie da – powiedziała z rezygnacją.

Wtedy odłączył korbkę od wału i ponownie szarpnął. Sztywny zwój szybko opadł, zasłaniając cały otwór aż po kamienną posadzkę.

– O, dzięki! – ucieszyła się. – Peter to jutro zobaczy.

– Nie trzeba – odrzekł łagodnie. – Już powinno działać. Spójrz.

Złożył mechanizm i zademonstrował. Krata bez trudu poruszała się w górę i w dół.

- Po co przyjechałeś? – Patrzyła na niego tak, jakby wciąż jej zależało.
- Pomyślałem, że odwiozę cię do domu. Na pewno jesteś zmęczona. Choć oczywiście na taką nie wyglądasz. Jak to ty.
- Nie wiem, czy mam ochotę słuchać tego, co chcesz mi powiedzieć.
- Nie musimy rozmawiać. Chodź.



- Co było dalej? – spytał doktor Rowe.
- Wtedy ostatni raz – wyjąkał mężczyzna – widziałem ją żywą.

14

Przedniej nocy Bradley Owen napalił w kominku i omal się nie udusił. Dym zamiast lecieć w górę, zaczął bowiem w błyskawicznym tempie rozprzestrzeniać się po pomieszczeniu. Kiedy zasypał ogień piachem i pootwierali z Ellisem wszystkie drzwi i okna, odczekał parę chwil, by zakrywając nos bluzą, zajrzeć w głąb przewodu kominowego. Nie wyczuł wówczas na skórze ciągu powietrza ani nie dostrzegł choćby prześwitu. Snop światła latarki natrafił na coś ciemnego, co zalegało w poprzek i nie pozwalało ujrzeć nieba. Wtedy wdrapał się na dach i tak jak się spodziewał, odkrył u wylotu komina ptasie gniazdo. Puste, lecz szczelne i solidne, tonęło w mętnej wodzie. Zwite gałązki tworzyły gęsty koszyk, który niemal całkowicie zatkał kanał. Chyba tylko dlatego, że trochę przeciekał, nie zarwał się pod naporem galonu stęchłej cieczy. Siatka z drutu mająca nie dopuszczać do tego typu sytuacji, wygięta wpół, wisiała obok. Mocowania przerdzewiały i puściły. O dawnej obecności nasady świadczył tylko ślad po jej kwadratowej podstawie. Gdyby nie to, Owen nie straciłby przeszło godziny na zimnie i wietrze. A ten dał w jego kurtkę niczym w żagiel. Nie zrażając się tym, mężczyzna zszedł po rękawice i pogrzebacz, objął komin nogami i zabrał się do pracy. W pewnej chwili, tkwiąc w odległości dwudziestu cali od najwyższego punktu narożnej kalenicy, usłyszał jak fragment dachówki kruszeje pod jego butem i zsuwa się z charakterystycznym szczękaniem, zupełnie jakby ktoś grał na cymbałkach. Odruchowo zaparł się jeszcze mocniej i stracił obcasem kolejne dwie płytki. Potem, gdy schodził po drabinie, musiał uważać na gwoździe wyłazące ze skrzypiących szczelbi i obiecał sobie, że drugi raz na coś podobnego się nie da namówić. Ale kiedy zaparzył bawarkę i wypił z dużą ilością cukru, od razu odzyskał humor. Ellis usnął, jak tylko zrobiło się ciepłej, Owen trochę później. Nad ranem, około drugiej lub trzeciej, gdy najłatwiej o wtargnięcie do domu, zamierzał objąć wartę.

Ale ani w nocy, ani o brzasku nic się nie wydarzyło. Owen, półprzytomny, powlókł się wtedy do szafki, do której włożył prowiant, i sięgnął po sos chili. Ellis obserwował, jak cała zawartość małej buteleczki znika w przetyku Owena, i nie mógł się nadziwić.

– Zrobisz sobie krzywdę – wybełkotał, łypiąc półotwartym okiem.

Owen tylko się zaśmiał i otarł usta przegubem dłoni.

– Poważnie – zarzekł się Ellis. – To działa z opóźnieniem. Możesz zaraz zacząć się dusić.

– Dzięki za troskę – odparł Owen – ale w takim razie już dawno powinienem nie żyć, bo...

Wtem coś przebiło okno, przeleciało tuż przy głowie Owena i trafiło w lodówkę, zamieniając się w kłęb iskier, które znikły tak szybko, jak się pojawiły.

– Na podłogę! – krzyknął od razu Owen i sam padł na wznak.

Osuwając się, Ellis kątem oka dostrzegł dziurę w szybie. W zapadłej ciszy wdzierający się przez nią wiatr wydawał się gwizdać niczym wicher kładący całe łany zbóż i zdolny spychać samochody z dróg. Potem nastąpiła seria świstów i głuchych dźwięków kul wbijających się w ściany i meble. Zewsząd sypały się drzazgi i pierze, słychać było odgłosy pękającego szkła. Owen doczołgał się do Ellisa i kazał mu zostać na miejscu, za kanapą z rozprutymi wnętrzościami, podczas gdy sam dobiegł do drzwi prowadzących do garażu. Otworzył je i wtedy go zawołał. Ale chłopak jedynie przecząco pokręcił głową. Leżał krzyżem, trzęsąc się i wiercąc.

– No już! – wrzasnął Owen. – Zaraz tu wejdą!

Ellis spojrział nerwowo w kierunku wejścia i w końcu zrozumiał.

– Nie podnoś się! – krzyczał Owen, bo Ellis uniósł plecy, chcąc szybciej do niego dotrzeć.

Potem, gdy obaj znaleźli się w garażu, Owen doskoczył do land rovera i wpakował Ellisa na tylne siedzenie.

– Leż – polecił i usiadł z przodu.

Wtem coś zgrzytnęło i brama zaczęła się podnosić. Ale Owen nie zdążył użyć pilota. Ledwo uruchomił silnik. Musieli złamać kod.

– Nie wychylaj się, zaraz wracam – rzucił, grzebiąc w schowku.

Zabrał pistolet i nie wrzuciwszy biegu, raz po raz dociskał pedał gazu do podłogi. Liczył, że wściekły hałas i biały dym sączący się przez szparę na zewnątrz odwrócą uwagę napastników. Wpadł do salonu, u progu którego zrobił przewrót przez ramię, przeturlał się przez jego środek i w pozycji najeżonego kota dobiegł do drzwi, które zaraz potem pchnął. Z nogami ugiętymi w kolanach i palcem na spuście wynurzył się zza futryny. Po skosie od garażu na lewej nodze klęczał mężczyzna w kolorach ochronnych. Lufą długiej broni, z której celował, na chrzest klucza w zamku namierzył Owena.

Ale to Owen pierwszy oddał strzał. Trafił tamtego w bark. Zanim karabin wypadł mężczyźnie z rąk, Owen dojrzał drugiego snajpera, który czaił się w krzakach na wprost. Kule opuściły ich komory w jednej chwili. Ta przeznaczona dla policjanta przebiła wizjer, ta podążająca w przeciwnym kierunku przeszła ucho kryjącego się w zaroślach. Upadł na twarz i zatrzęsł się spazmatycznie. Pocisk najwyraźniej musiał zahaczyć o głowę. Nim trzecia łuska odbiła się od schodów i zginęła w rozmokłej

trawie, ładunek większego kalibru uderzył w drzwi tuż obok łokcia Owena. Jak się szybko okazało, stanowił tylko preludium do ostrzału ogniem ciągłym. Zmuszony do ucieczki Owen biegł wzdłuż budynku, zostawiając za sobą linię dziur w ścianie, aż wskoczył przez roztrzaskane okno do środka. Kiedy dopełził do garażu, brama była już otwarta. Ruszył najprędzej, jak mógł, z piskiem opon i głową na fotelu pasażera. Kule grzęzły w karoserii, tylko nieliczne przebijały ją na wylot. Tylne szyby znikły w oka mgnieniu, boczne jeszcze szybciej. Potem eksplodowała gaśnica, wypełniając wnętrze gęstą pianą. Owen startł białą maź z obrazu z kamery cofania i zaciągnął hamulec ręczny. Pojazd obrócił się na błocie pod kątem prostym. Trochę za bardzo, ale na wprost zgniłe liście były śliskie jak gołoledź. Wtedy pociski zaczęły trafiać w osłonę zbiornika paliwa. Owen nerwowo docisnął gaz i skręcił lekko w lewo. Mknąc w kierunku linii lasu, land rover podskakiwał na koleinach niczym skuter wodny na falach. Zderzak w końcu pękł, ale nie odpadł, nadkole, zmienione w sito, urwało się i drasnęło o kołpak, nie tykając jednak opony. Dopiero po paru sekundach wybuchła pierwsza z nich. Chwilę później powietrze z jękiem uszło z drugiej. Samochód przekrzywił się i zaczął stopniowo wytracać prędkość, lecz wciąż pędził. Niemalże dotarli do alejki, kiedy obie tylne felgi zakopały się w piachu. Owen zdążył wcześniej odbić w lewo, ustawiając się prostopadle do linii ognia, aby mogli wyjść za osłoną nadwozia. Ołów stukał w okoliczne drzewa, gdy Ellis został za barki wyciągnięty na ściółkę. Teren był tak podmokły, że aż chlusnęło, kiedy upadł na plecy.

– Posłuchaj mnie uważnie – usłyszał od Owena. – Kiedy dam znak, pobiegiesz ile sił. I nie obejrzyś się za siebie.

Policjant mówił, trzymając w dłoniach zdezorientowaną twarz chłopaka i pokazując leśną dróżkę za swoimi plecami.

– Zatrzymam ich i cię dogonię. Gdyby zeszło mi dłużej, półtorej mili stąd znajduje się małe osiedle domków jednorodzinnych. Zadzwoni stamtąd na policję i poproś o inspektora Snowa. Opowiedz mu o wszystkim. Niech przyślą posiłki.

Ellis wymamrotał coś zupełnie niezrozumiale, jednak Owen uznał to za zgodę.

– Teraz! – krzyknął, odepchnął Ellisa i wyjął zapasową broń z kieszeni na drzwiach.

Przytulił się do ocalałego nadkola i zaczął strzelać na dwie ręce ponad przednią maską. Przesuwał się, obejmując polem rażenia obszar około dziesięciu jardów. Opróżnił jeden magazynek, potem kolejny. Kiedy rozdarł paczkę z nabojami, słyszał, że biegną i są już naprawdę blisko. Na pewno dwóch, może trzech ludzi. Wówczas uznał, że wszystkich nie powstrzyma. Rozdarł rękaw i na szybko splótł otrzymany skrawek materiału w warkocz, który wetknął potem we wlot paliwa. Wcisnął zapalniczkę, a gdy się naładowała, położył ją na prowizorycznym lonce. Widział, jak bawełna się tli, gdy pochylony przedzierał się przez ostrokrzew. Strzelał w tył, na oslep,

aż z komory wyleciał ostatni pocisk. Zamek glocka wrócił, iglica napięła się i zwolniła. Owen obejrzał się raz jeszcze, skrawek tkaniny zdążył już zapłonąć. Nie zważał na kłujące pędy i kolce wilczych jagód, oddalał się najkrótszą drogą. Kule świstały gdzieś obok, strącały igliwie i sypały wióry. Skoczył ponad dołami wrytymi przez dziki i wtedy rozległ się niewyobrażalny huk. Za jego plecami zrobiło się niesamowicie jasno, stamtąd też dobiegł palący podmuch. Wokół spadały żarzące się cząstki auta. Pchnięty na nisko rozłożony konar Owen wykonał pełny obrót i pobiegł dalej. Dzwoniło mu w uszach, ale słyszał. Odkąd olej napędowy zapalił się i rozsadził land rovera, strzały ucichły. Jednak wnet z przeciwnej strony, z około dwudziestu jardów poniósł się krótki krzyk strachu. Głos, cienki i piskliwy, mógł należeć do Ellisa. Owen bez namysłu puścił się przez gąszcz, gdy coś nagle rozerwało mu łydkę. Raniona noga uciekła w bok i podwinęła się, a on upadł i poturlał się przez zapadlisko. Od razu spojrzął w górę, gdzie na skraju pochyłości stanął mężczyzna z berettą w rękę. Nim zdążył wykonać na nim egzekucję, opływowa bryła kaliber dziewięć milimetrów rozszarpała mu mostek, przebiła płuco i utknęła w obojczyku. Stęknął, nie zdołał utrzymać broni. Ale od razu ukląkł i po nią sięgnął. Wtedy Owen posłał mu kolejny pocisk. Tym razem trafił w drugie ramię. Mężczyzna zawył z bólu i osunął się na ziemię. Wymiana ciosów nie zagłuszyła trzasku drzwi i ryku silnika. Dźwięki te oprzytomniły Owena, który natychmiast się poderwał, zostawiając swojego niedoszłego oprawcę samego. Kiedy dotarł do głównej z leśnych drózek, w oddali, między powyginanymi sosnami mignęła mu znajoma czerwien lakieru. Samochód zmierzał ku rozwidleniu dróg. Odchodząca w prawo wiodła do przeprawy promowej, o tej porze jeszcze nieczynnej. Musieli zatem pojechać w lewo, na most łączący wyspę z miastem. Owen obrał skrót, choć dokładnie nie znał terenu. Kierował się intuicją i wyczuciem przestrzeni. Kontrolowanie wpadł w zarośnięty rów, wyglądający na pozostałości okopu z okresu wojny, i pognął nim na północ. Mnogie karpys sugerowały, że wykop służył jako pas przeciwpożarowy. Dało się tędy szybko przemieszczać bez konieczności robienia slalomu. Po stu jardach Owen z powrotem wdrapał się wyżej. Nieopodał, między jodłami wił się polny dojazd do szosy, ale nim tam dotarł, czerwony pickup zniknął za kurtyną ze wzbitego skroplonego szronu. Znów rzucił się na przełaj, w twarde i cierpkie ramiona leśnej flory. Po połowie mili ujrzał jezdnię i zrównał się z nimi. Strzelał w pełnym biegu, celując w koła. Kule iskrzyły na asfalcie i karoserii, ale omijały opony. Odpowiedzieli tym samym. Deszcz ołowiu wytworzył wokół Owena mgiełkę z kory z pobliskich pni. Ten padł na glebę i dotkliwie potłukł bark o korzeń modrzewia. Mimo to ani na moment nie przestał ich nękać amunicją. Tyle że drzewa rosły zbyt ciasno, a oni jechali zbyt szybko. I zdołali mu uciec.

– Hola, hola, bratku – usłyszał za sobą.

Przekrzywił głowę i ujrzał niskiego, tęgiego mężczyznę ze strzelbą. Ubrany w zielone spodnie na szelki i czarny serdak, spoglądał nań spode łba, jakby czekał okazji, żeby nacisnąć spust.

– Odrzuć to – polecił, podchodząc bliżej.

Owen obrócił broń w rękę i położył ją przed sobą.

– Odkopnij – dodał czarnobrody myśliwy o lisich oczach.

– Nawet nie jest naładowany – powiedział Owen. – Wystrzelałem całą amunicję.

– Drugi raz nie powtórzę.

– Dobra, jak chcesz – odrzekł i posłusznie odrzucił pistolet na bok.

– Zawiadomiłem policję – rzekł nieznajomy. – Poczekamy tu na nich.

– Bardzo dobrze – odparł Owen. – Zadzwoń raz jeszcze, niech połączą cię z wydziałem zabójstw w Portsmouth.

– Nie kombinuj – mówił wolno, przeciągle, stanowczo.

– Nic nie rozumiesz, muszę przekazać im ważne informacje, i to natychmiast.

– Nie ruszaj się. – Zaciskał palce na rękojeści i lufie, co chwila je zginając i prostując.

– Człowieku, czas ucieka, podaj mi ten cholerny telefon, nie jestem przecież uzbrojony, do tego we mnie mierzysz...

– Nic z tego. Nawet nie myśl drgnąć, bo cię rozwalę.

Wtedy Owen nie wytrzymał. Ocenivszy sytuację, wziął głęboki oddech i nie odrywając ciała od podłoża, kopnął w czubek strzelby. Ta pozostała w posiadaniu myśliwego, ale skierowana lufą do góry. Nie wypaliła. Owen w jednej chwili poderwał się na równe nogi i powalił mężczyznę na ziemię. Od razu obrócił go na brzuch i przytrzymał. Strzelba leżała obok.

– To mówiłeś, że gdzie masz telefon? – spytał, wzmacniając uścisk.

– W kieszeni... – wymamrotał – ...prawej, dolnej.

W istocie motorola była tam, gdzie powiedział. Owen wybrał numer.

– Terry Snow, słucham – usłyszał dopiero za drugą próbą. W tle mieszało się wiele głosów.

W tym czasie myśliwy przekręcił się na bok i spoglądał ukradkiem to na strzelbę, to na Owena.

– Cześć, tu Owen.

– Brad, dobrze, że dzwonisz, bo właśnie miałem kazać ci wracać. – Dało się rozpoznać ekscytację w jego tonie. – Wiesz co, ujęliśmy tego popaprańca. To znaczy niezupełnie, ale...

– Pamięta pan wisiołek, w jakim zginęła druga ofiara? – wtrącił Owen.

– Hm, nie wiem, nie – obniżył ton, jakby naraz posmutniał. – Do czego zmierzasz?

– Półksiężyc i ośmioramienna gwiazda. A dziwną, nietypową ranę, odcisk na szyi pierwszej?

– Małe, równe trójkąty... O, cholera! – wykrzyknął Snow, a wokół niego zrobiło się jakoś ciszej.

– Trzeba zbadać, czy na zawieszce nie ma śladów DNA Jane Cook.

– Uhm, sprawdzimy, ale teraz to i tak już mało istotne.

– Jak to? – zdziwił się Owen.

– Sprawca najprawdopodobniej nie żyje. Nad ranem znaleźliśmy policjantkę, którą porwał, i ona twierdzi...

– Porwał? – powtórzył Owen.

– Nieważne. Długo by opowiadać. Zabieraj Ellisa i przyjeżdżajcie. Wtedy wszystkiego się dowiesz.

– Tak, inspektorze, tylko że Ellis właśnie został uprowadzony.

– Co?!

15

Trzymała nadgarstki pod mocnym strumieniem zimnej wody, aby choć trochę oprzytomnieć. Leki działały, jednak wciąż miała gorączkę. Niską, ale jednak. Za to czuła się naprawdę dobrze. I tak też wyglądała. Spojrzała w lustro i się uśmiechnęła. Ta apaszka nawet jej pasowała. Zawiązana na pierwszej linii włosów i nad uszami, kryła uraz. Szwy nieco ciągnęły, a plaster z gazą uwierał, lecz to nic. Ważne, że dała radę. Nowa fryzura podkreślała wydatne kości policzkowe i wizualnie powiększała oczy, które lśniły teraz kosmicznym błękitem i hipnotyzowały. Szybki makijaż przywrócił skórze zdrowy odcień. Uwagę przykuwały duże srebrne kolczyki w kształcie kwadratów, które Snow na pewno jej wypomni. Trudno, powinny nieco zasłonić te parę zadrapań na szyi. Lekka różowa szminka świetnie współgrała z pastelową bluzką i cytrynowym żakietem. Wymyślny naszyjnik i bransoletka dodawały szyku. Obcisłe spodnie uwypuklały delikatne zaokrąglenie bioder. Tak, była gotowa.

Na korytarzu natknęła się na Gary'ego Shottona. Szedł w jej stronę, jak zwykle nie śpiesząc się, w tej swojej kremowej marynarce w prążki, i czytał gazetę. Stukot jej obcasów kazał mu podnieść wzrok.

- Chloe! – wykrzyknął, zwijając dziennik w rulon i wkładając pod pachę.
- Dzień dobry! – odparła aż nadto oficjalnie i wyciągnęła rękę.
- Pozwolisz, że porwę cię na chwilę? – Otoczył kobietę ramieniem i obrócił ją do siebie.
- Spóźnimy się na odprawę – odrzekła ciepło i wyswobodziła się z uścisku.
- Zdążymy – ocenił, spoglądając na zegarek.
- To już za pięć minut.
- Dwie w zupełności wystarczą. Chodzi o rozpoznanie zwłok, zrozumieją.
- Przywieźliście je tutaj? – zdziwiła się sierżant Clarke.
- Tak jakby.
- Co to znaczy?

Minęli dwóch mężczyzn w garniturach, którzy pozdrowili Shottona, zerkając na nią z cichą fascynacją.

- Charlie nic ci nie wspominał? – zapytał, wcisnąwszy przycisk windy.
- Coś mówił... – przyznała. – Myślałam, że przyśle zdjęcie.
- Nie chciałem, żebyś się sugerowała.

Skinęła głową i ruszyli w dół. Piętro niżej, pod ziemią, rozciągały się pracownie techników i laboratoria kryminalistyczne. Słabe światło jarzeniówek przeglądało się w ciemnej gładzi ścian wykonanych z grubego szkła i aluminium. W suchym, gęstym powietrzu pogrążony w ciszy, grzął mdławy zapach środka czyszczącego. Akustyczna pustka wzmacniała odgłos kroków. Kobieta miała wrażenie, że słyszy bicie własnego serca. Nigdy dotąd nie oglądała ciała z bliska. Bardziej od jego widoku bała się jednak woni. Minęło bowiem trochę czasu, nim ofiara została znaleziona i mogła już zacząć się rozkładać.

– To tutaj – rzekł Shotton, przystanąwszy przed panelem cyfrowym. Gdy wpisał kod, drzwi się rozsunęły i w środku rozbłysł centralny rząd lamp. W głębi pomieszczenia stał metalowy stół, na którym białe prześcieradło zaznaczało obrys ludzkiej sylwetki. Shotton poszedł przodem, Chloe Clarke na próżno szukała pełnego oddechu. Przed nią znajdował się mężczyzna, który mógłby teraz żyć, gdyby tylko nie straciła czujności. Nagle zachwiała się i oparła na krawędzi jednego z blatów wyznaczających przejście.

– Wszystko w porządku? – zapytał Shotton, zatrzymując się u celu.

– Tak, tak... – odparła i poszła dalej.

Shotton bez słowa ściągnął płachtę, odsłaniając głowę i goły tors zmarłego. Od razu zrozumiała, że coś było nie tak. Karnacja ofiary upodobniła się do koloru bezszczernej deski. Brakowało głównie charakterystycznych fioletowosinawych plam. Albo raczej ciemnoróżowych lub żywoczerwonych, bo przecież zwłoki po porzuceniu przebywały w niskiej temperaturze. W szkole policyjnej twierdzili, że owe barwne ślady tworzą się na skórze po śmierci, kiedy ustaje krążenie i krew spływa do najniższej położonych partii ciała. Ale w tym przypadku prawo grawitacji z jakichś powodów nie zadziało. Ostrożnie stawiała nogi, jakby bała się, że zaraz może się o coś potknąć. Na zdjęciu, które pokazał jej Keane, denat leżał na lewym boku. Uciśnięte naczynia krwionośne nie przyjmują nadmiaru osocza i dlatego plamy opadowe, stanowiące najpewniejszy objaw zgonu, nie powstają w miejscach przylegania ciała do podłoża lub na przykład pod obcisłą bielizną. Tyle że to nie była ta strona tułowia. Dobrze pamiętała. Zbyt dobrze.

– Poznajesz? – spytał Shotton.

– Oczywiście – odparła.

Leżący miał otwarte oczy. Mętne rogówki i wyraźne spojówki. Te ostatnie powinny się już zmienić, ale tak się nie stało. Wargi nie zbrunatniały, podobnie jak skrzydełka nosa. Nic takiego jednak nie mogło zajść, bo ofiara nigdy nie żyła.

– Co to ma znaczyć? – zapytała sierżant Clarke. W jej głosie iskrzyła złość.

– Ty mi powiedz – odrzekł niewzruszony.

– Przecież to kupa plastiku – prychnęła.
– Niezupełnie. Użyto różnych komponentów. To sparingpartner zapaśniczy, towar z najwyższej półki, wart dwa tysiące. Świetne odwzorowane zginające się stawy, solidna robota. Nie to co nasze stare skóropodobne...

– Ubawiłeś się już, co? – wtrąciła oschle.

– Nie, Chloe, zaszła pomyłka.

– Pomyłka? – podniosła głos. – Kpisz sobie? Przesadziłeś. – Odwróciła się na pięcie, gdy rzucił:

– Nie śmiałybym. Posłuchaj, to jego zdjęcie pokazał ci Charlie w szpitalu. To jego znaleźliśmy w West Wittering, tego manekina.

Nim spojrzała przez ramię, z jej twarzy zniknęło całe oburzenie.

– Nabrał mnie... – wyszeptała z gorczyzą.

– Każdego mógł.

– Dzięki – odrzekła bez wiary.

– Naprawdę – zarzekł się technik. – Może gdyby nie peruka...

Ułożyła usta w cienką linię i zmarszczyła brwi.

– Muszę już iść – rzuciła nagle i wybiegła.

Stukot obcasów niósł się echem po budynku, gdy dotarła w pobliże sali konferencyjnej. Drzwi zamknięto, a niedawny gwar rozplątał się w niebycie, co oznaczało, że musieli już zacząć. Nie przypominała sobie, kiedy przedtem i czy w ogóle kiedykolwiek wszystkie drewniane żaluzje były opuszczone do końca, od sufitu aż po podłogę, jak to miało miejsce w tej chwili. Zazwyczaj idący korytarzem widzieli, kto akurat przemawia, w jaki sposób i do kogo. Teraz nie. Poprawiła kołnierzyk i delikatnie nacisnęła klamkę. Ostrożnie wślizgnęła się do środka i od razu spojrzała w kierunku podwyższenia, gdzie inspektor Snow, zwrócony do zgromadzonych plecami, celował pilotem w lampę nad sobą, przyglądając się białej powierzchni ekranu projekcyjnego. Starła się wejść bezszelestnie, ale i tak została zauważona. Najpierw obejrzał się siedzący z brzegu policjant, potem kolejny i następni, aż powstał szmer i odwrócił się także Snow.

– Pani sierżant – rzekł przeciągle, wesoło. – Zapraszam.

Nie wydobywając z siebie dźwięku, przeprosiła za spóźnienie skinieniem głowy i poczuła, jak oblewa się rumieńcem. Wypatrywała wolnego miejsca, ale osiem ostatnich rzędów zajęto co do krzesła.

– Proszę tutaj – wskazał na pierwszy rząd. – Nie ma co chować się po kątach. Nie pani, nie dzisiaj.

Po tych słowach zamarła w bezruchu. Brzmiały ni to dowcipnie, ni sarkastycznie. Wpadka z figurą wziętą za człowieka jawiła się w jej umyśle jako wielka osobista

porażka o właściwościach piętnujących. Czy to właśnie o to chodziło? Nagle straciła całą pewność siebie. Spod wizerunku silnej, pięknej kobiety zaczęła prześwitywać twarz małej, przestraszonej dziewczynki.

– Spisała się pani – oznajmił Snow, kiedy zrobiła dwa kroki, po czym odłożył mikrofon i złożył dłonie do oklasków.

Wnet cała sala biła jej brawo na stojąco, a ona już wiedziała, że to nie może być nic innego jak tylko żart. W międzyczasie pojawił się Shotton, ochoczo przyłączając się do całej tej maskarady. Kiedy w końcu zabrakło jej tlenu, pomyślała o nie tak znowu odległych latach szkoły średniej i pierwszych swoich podrygach w świecie mody. Wtedy właśnie nauczyła się panować nad stresem i nie okazywać niepewności, wytrzymując na sobie wzrok wielu osób jednocześnie. Zawsze gdy wychodziła na wybieg, wyobrażała sobie molo w Clevedon, gdzie mieszkali jej dziadkowie, a ona spędzała wakacje. Sięgała wspomnień pisku mew i rybitw, piasku pod bosymi stopami, drzew przygiętych przez wiatr, słońca na twarzy i spokojnego szumu fal. Wcale nie znajdowała się w Londynie czy Paryżu na pokazie nowej kolekcji znanego projektanta, ale nad morzem, u siebie. Unosiła podbródek, ściągała łopatki, kontrolowała ręce. Szła nie w blasku lamp i fleszy, ale pogodnego dnia. Nie mijała krytyków i publiczności, lecz zabytkowe żelazne lampy, pamiątkowe tabliczki i drewniane ławki. Deski prowadziły ją wprost do pawilonu, obok którego czekał na nią teleskop z olśniewającym widokiem na Walię. Spojrzała na nieostry obraz rzutnika i usiadła.

– O ile w szpitalu sprawca działał w pojedynkę – mówił Snow – to u Elstone'ów już ktoś mu pomógł.

– Inaczej by nam nie uciekł – szepnął jej do ucha Shotton, który zajął sąsiednie miejsce.

– Nie wiemy przy tym, czy mężczyzna, który zaatakował panią sierżant, miał tylko pomocnika, czy może działał z kimś wspólnie i w porozumieniu. Co więcej, jak ustaliliśmy, to nie pani sierżant była celem. Słowem, nasz plan się nie sprawdził. – Snow zrobił krótką pauzę. – Analiza zebranego materiału pokazuje, że napastnik czyhał na studentkę irańskiego pochodzenia. Dziewczyna nazywa się Anne Arezo Faezi i mieszka w hrabstwie West Sussex, konkretnie we wsi West Wittering, w swoim domu rodzinnym. Kamery, które rozstawiliśmy w okolicy, zarejestrowały, jak przez dwa dni z rzędu wczesnym rankiem udaje się na przebieżkę. Sąsiedzi potwierdzili, że zawsze wychodzi i wraca o tej samej porze. Ponoć biega nawet w deszczu i w śniegu. W dżdżyste dni lubi ćwiczyć w czapce z daszkiem i ortalionowej kurtce z wysokim kołnierzem, a tak przedwczoraj była ubrana również sierżant Clarke. Obie mają też podobne sylwetki, zbliżony wzrost i nawet gust. Wnioskuje po dresach tej samej firmy, w jednakowo mdłych kolorach.

Sądząc po reakcji paru osób z końca sali, Snow całkiem nieźle operował dowcipem.

– Skóry i włosów nie widział – wyjaśnił. – Zaszedł panią sierżant od tyłu, a potem było już za późno.

Chloe Clarke zrobiło się słabo. Znow czuła, że wszyscy na nią patrzą.

– Tego dnia Anne nie opuściła treningu – kontynuował Snow. – Zeznała później, że przez jakiś czas biegła nawet za kobietą pasującą do opisu pani sierżant, ale przy zbiegu Pound Road i Roman Landing rozwiązała jej się sznurówka, więc przystanąła i straciła do niej dystans. – Zaakcentował przerwę. – Dziewczyna uczyła się w Chichester, ale przed poprzednim semestrem przeniosła się na miejscowy uniwersytet. Od wiosny do jesieni, a także w ładne dni zimą, podróżuje na wyspę Portsea łodzią motorową, co zajmuje jej około kwadransa.

– Oho – zaśmiał się ktoś z tyłu – łatwo pójdzie.

– Bez żartów! – wtórował mu drugi.

– Panowie... – przerwał im Snow i wzruszył ramionami.

Obaj mężczyźni naraz wyprostowali się na oparciach. Jeden z nich dalej się śmiał, zasłaniając usta notesem.

– Cumuje nieopodal Spinnaker Tower i dalej na kampus jedzie rowerem – ciągnął Snow. – W słońcu lub mróz dojeżdża drogą numer dwadzieścia siedem. Wtedy musi poświęcić nawet pół godziny więcej. – Kolejna pauza. – Wybrałem trzy trzyosobowe grupy, które oddeleguję wyłącznie do jej ochrony. Liczymy, że jeśli istnieje jakiś współsprawca, zechce po nią wrócić.

– Naprawdę? – zająknął się ktoś po drugiej stronie przejścia.

– Owszem – odparł Snow. – Wtedy wpadnie w nasze ręce. Okazuje się bowiem, że krąg potencjalnych ofiar jest o wiele szerszy, niż nam się początkowo wydawało.

– To znaczy? – wtrącił chuderlak z rudą kitką.

– Ataki mogły mieć podłoże rasowe bądź religijne.

– Wykluczamy wątek homoseksualny? – zapytał krępy brodacz.

– Jeszcze na to za wcześnie. Niemniej istnieje pewna zastanawiająca zbieżność faktów. Otóż obie ofiary były wprawdzie rodowitymi Brytyjkami, jednak każda z nich utrzymywała ścisłe kontakty z pozaeuropejskimi imigrantami, w tym w szczególności z muzułmanami.

– O masz – jęknął ktoś po lewej.

– Najlepsza przyjaciółka... – mówił Snow – czy raczej dziewczyna Kelly Robinson, niejaka Michelle Paige, jest nieortodoksyjną muzułmanką, w połowie Turczynką, z kolei Jane Cook broniła dwóch kazachskich tenisistek tego wyznania przed międzynarodową federacją. Głośna sprawa, powołała się na szereg konwencji i zakaz

dyskryminacji. Walczyła o możliwość występu swoich klientek w eliminacjach do Wimbledonu w hidżabach.

Rozległy się pojedyncze szepty.

– W tradycyjnych chustach, tyle że na potrzeby sportu uszytych z przewodniego materiału – wyjaśnił Snow i wyświetlił zdjęcie dzudoczki w takim właśnie nakryciu głowy, uszu i szyi.

– Wiemy, co to jest hidżab – odezwał się ktoś z trzeciego rzędu. – Tylko czy to aby nie lekka przesada?

– Nie mi to oceniać, ale goście z ITF byli tego samego zdania. – Snow rozejrzał się po sali. Większości twarzy nie kojarzył, lecz nic w tym dziwnego, bo przybyli nie tylko policjanci z trzech rejonów hrabstwa Hampshire i posterunku na wyspie Wight, ale także wyjątkowo z ościennych: Dorset, Wiltshire, Berkshire, Surrey oraz West Sussex. Osobiście wszystkich zaprosił, ponieważ sprawa wymagała szerszego spektrum działania.

– Proszę mi wybaczyć – odezwał się pucułowaty szatyn – ale czy to nie nazbyt daleko idącą teorią?

– Do tego właśnie zmierzam – odparł Snow. – Druga ofiara w chwili śmierci miała na sobie naszyjnik. Niebarwione srebro, półksiężyc i ośmioramienna gwiazda. W tym mieście to nic nadzwyczajnego, bo oba symbole widnieją w herbie tutejszego klubu piłkarskiego. Jednak, jak sprawdziliśmy, Kelly Robinson nigdy nie była na meczu i nawet nie interesowała się sportem. Ponadto nikt z jej bliskich nie rozpoznał tej biżuterii. Zaś na szyi Jane Cook odkryliśmy ślad, który powstał w wyniku silnego nacisku identycznego wisiora. Nie mówię, że tego samego, nie znaleźliśmy bowiem na nim śladów DNA Kelly. Za to został wyczyszczony rozpuszczalnikiem, przez co z dużym prawdopodobieństwem możemy przyjąć domniemanie zachodzącej tożsamości. – Snow oparł dłonie na pulpicie. – Księżyc w kształcie sierpa symbolizuje islam dopiero od dwóch wieków. Wcześniej występował w chrześcijaństwie. W kościele prawosławnym oznaczał zwycięstwo nad pogaństwem, w katolickim wiąże się z postacią Maryi, matki Jezusa. W połączeniu z ośmioramienną gwiazdą odnosi się natomiast do głównych grup ludów tureckich, których potomkami są między innymi Kazachowie.

Salę ogarnął szmer. Snow napił się wody, by po chwili skinąć na policjantkę, która uniosła rękę.

– Czy możemy mieć pewność, że porywacz nie przeżył? – zapytała.

– Tamtego dnia o godzinie ósmej dwadzieścia jeden po południu drogą radiową przy użyciu alfabetu Morse'a nadano wiadomość – wyrecytował jednym tchem Snow.

– Ktoś poinformował w ten sposób straż przybrzeżną, że dokładnie cztery węzły na południe od plaży w Selsey dryfuje ponton z nieprzytomną kobietą w środku.

Co drugi zgromadzony choć na moment przeniósł wzrok na Chloe Clarke.

– Mógł to zrobić tylko on, ale na pewno nie po wpadnięciu do wody. Wystukał wiadomość dwukrotnie, bezbłędnie i płynnie, co nie byłoby możliwe w pierwszym czy drugim stadium hipotermii. Temperatura wody wynosiła wówczas około sześciu stopni Celsjusza, powietrza nie przekraczała czterech. Wiatr o sile trzech stopni w skali Beauforta obniżył jej odczuwalną wartość do minusowej. Żeby się uratować, musiałyby dotrzeć do brzegu lub innej jednostki pływającej w mniej niż pół godziny, co wydaje się mało realne. Warunki były za trudne, aby dostać się na ląd wpław, a ani jedna łódź nie wpłynęła tej w nocy do portu. Kamery na bulwarach nie pokazały, aby ktoś zmierzał na wyspę Hayling lub w stronę Brighton.

– Prąd morski? – spytał ten z kitką.

– Silny, wiatrowy, prostopadły do wybrzeża. W końcu dopchnąłby ciało do brzegu, gdyby tylko było ubrane w kapok. Ale nie było.

– Przepraszam – powiedziała nadzwyczaj pewnie Chloe Clarke, skupiając na sobie wszystkie spojrzenia.

– Proszę, pani sierżant – odparł natychmiast Snow.

Chloe wstała i odwróciła się do sali.

– Tak rzeczywiście zeznałam... ale teraz nie jestem do końca pewna.

– Pani sierżant wstrzyknięto silny środek usypiający – wtrącił Snow – a rana głowy i wstrząs mózgu również nie ułatwiają oceny, dlatego wciąż szukamy. Z ziemi, z wody i z powietrza. – Rozłożył ręce.

Kobieta z wolna usiadła.

– Może i żył jeszcze trzydzieści minut – podjął Snow – ale po sześciu, najwyżej siedmiu w tak zimnej wodzie zapadł w letarg. A już po kilkudziesięciu sekundach osłabł, nastąpiło drżenie mięśni, pojawiły się zawroty głowy i dezorientacja. Po stu dwudziestu nie mógł już sobie pomóc.

– Sam nie... – odezwał się rudowłosy brodac.

– Co też stanowi powód naszych ustawicznych wysiłków – zripostował Snow.

Po tych jego słowach na chwilę zapadła cisza. Później inspektor pokazał mapę całej południowej części regionu z zaznaczonymi na czerwono miejscami, gdzie, wnioskując na podstawie zebranych przez jego zespół informacji, należało zwiększyć liczbę patroli.

– Ponieważ związki wyznaniowe nie mogą udostępniać danych osobowych swoich wiernych bez ich zgody – wyjaśniał – a przecież nie chodzi nam o wzbudzenie powszechnej paniki, lista adresów może być... z pewnością jest niekompletna.

Kiedy Snow przechodził do szczegółów operacyjnych, Chloe się wyłączyła. Zdążyła wtedy orzec, że chyba rzeczywiście nie warto przekraczać zalecanej dawki środków przeciwgorączkowych, bo odpływała coraz bardziej, aż wprowadzona w stan błogiej nieświadomości, naprawdę przeniosła się do Clevedon.

16

Wzdłuż kutego płotu wznosiły się ciemne, potężne klony. Ich grube gałęzie zwisały nad większą częścią chodnika, chłonąc światła latarni i ciepłą mżawkę. Dopiero za rogiem rozłożył parasol. Dochodziła dziewiąta, bruk jeszcze nie zdążył ostygnąć, trawa w parku zająć rosą. Wnet zza wiaty przystankowej wyłoniła się blondynka w krótkiej zwiewnej sukience, której krój eksponował idealne wcięcie w talii. W czterocalowych szpilkach jej nogi wydawały się wcale nie kończyć. Pomachała mu i zatrzymała się obok wejścia do ogrodu botanicznego. Dotarł tam w ułamku chwili, a wtedy objął ją w pól i subtelnie pocałował.

– Też się stęskniłam – wyszeptła, przygryzając jego dolną wargę. – Bardzo.

Kiedy wyjął zza pleców bukiet fiołków, rozległ się dziwny brzdęk, a potem kolejny i jeszcze jeden. Ale ona wciąż się uśmiechała, wpatrując się w niego jak w nieskończoność. Obok, wśród mchu, rosły paprocie, nieopodal świerki obleczone dzikim bzem, dalej brzozy. Nie było nikogo. Jednak nagle poczuł szarpnięcie.

– Panie Owen? – dobiegł go ledwie słyszalny kobiecy głos.

Odruchowym skrzętem tułowia strącił wazon ze stolika. Ten rozbił się z trzaskiem o ścianę i woda poczęła natychmiast wsiąkać we włochaty dywan.

– Proszę się nie przejmować... – rzuciła pośpiesznie, drepcząc w miejscu.

Znajdował się w niedużym, półokrągłym pokoju urządzonym w starym stylu. Zapadnięty w skórzanym fotelu, powoli przyzwyczajał się do blasku piętrowego żyrandola, gdy po lewej energicznie otworzyły się drzwi.

– Co tu się wyprawia?! – rzekł mężczyzna w trzyczęściowym garniturze w paski. Dopiero po chwili Owen zorientował się, że trzyma on w ręku pistolet.

– To nic – odparła uspokajająco kobieta, klęcząc nad potłuczonym szkłem.

– Dzień dobry – odezwał się Owen i spróbował wstać.

– Witam – odrzekł mężczyzna.

Kiedy Owen wszedł za nim do większego pomieszczenia, mężczyzna siedział już za biurkiem.

– Co się z panem dzieje? – zapytał, lustrując Owena wzrokiem.

– Zrobiłem, co mogłem – odrzekł i usiadł. – Było ich zbyt wielu. – Spojrzał za okno, na pięć mostów na Tamizie.

– Czyli wie pan, dlaczego został wezwany. Ale pytałem o to sprzed chwili.

– Zmęczenie, brak snu. Przepraszam.

Mężczyzna machnął ręką i poprawił krawat.

– Nie ma o czym mówić. Bałem się, że chodzi o coś innego.

– Czyżby? – wtrącił Owen.

– Co proszę? – mężczyzna nie krył zdziwienia.

– Czy wtedy nie łatwiej byłoby pozbyć się Ashwortha?

– Ach, to... – roześmiał się lekko siwiejący brunet. – Nie ten gabinet. A tak dla pańskiej wiadomości – otworzył pierwszą z brzegu teczkę i zaczął niedbale przerzucać kartki – major Blake odszedł z firmy. Mniejsza więc o rolę panów Ashwortha i tym bardziej Showa.

– Snowa – poprawił go Owen.

Ale mężczyzna po drugiej stronie masywnego biurka nic sobie z tego nie zrobił.

– Wie pan... w młodości lubiłem puszczać latawce – oznajmił nagle.

Owen rozpiął kołnierzyk koszuli, bo ten chyba się skurczył, podobnie jak marynarka nieco rozwlekła... Albo on sam wypadł z formy.

– Zrobiliśmy kilka z chłopakami – kontynuował mężczyzna. – Po remoncie zostało trochę listewek z boazerii, Billy podebrał ojcu sznurek do snopków, ktoś przyniósł ozdobny papier. Nasza flota w najznamienitszym okresie liczyła po trzy myśliwce i bombowce, mieliśmy też transportowiec i jakieś śmigłowce. Malowaliśmy na nich brytyjskie flagi i znaki sił lotniczych. Bawiliśmy się całymi dniami na wielkiej łące za wsią. Rywalizowaliśmy, która jednostka wzbije się wyżej, która osiągnie większą prędkość. – Odchylił się na fotelu i splótł ręce na karku. – Niedaleko, na skraju zbrocza, mieściła się przetwórnia owoców, gdzie robiono soki i dzemy. Zdarzało się, że wiatr porwał latawiec i poniósł na teren zakładu. Płot był wysoki, ale dobry do wdrapywania się, tyle że po jakiejś kontroli, kiedy to firma dostała ponoć dotkliwą karę finansową, zaczęto nas przeganiać. Aż pewnego razu Harry, nim zwiął, oberwał kijem po tyłku. Potem jednego popołudnia straciliśmy dwie maszyny, a Billy zarobił parę siniaków. Każda wojna wymaga poświęceń.

– Przyznam, że nie bardzo rozumiem – wtrącił Owen. Siedział tam już dobre kilka minut, a w ciągu dwóch godzin musiał wrócić do Portsmouth, aby zdążyć do portu na drugą zmianę.

– Lubi pan konkrety – odparł mężczyzna. – To dobrze, ja również.

Owen pokiwał głową.

– Zatem pewnie domyśla się pan, kto się narażał i przeskakiwał przez ogrodzenie, podczas gdy inni w tym czasie dmuchali w mlecze?

– Proszę wybaczyć – odrzekł Owen – ale już raz oblałem testy, a teraz na pewno nie czuję się lepiej. Nawet nie ma co wyjmować stopera z szuflady.

– Otóż to – rzucił z przekąsem. – Jest pan bystry, da pan sobie radę.

– Ale jak... – zająknął się Owen.

– Trzech Rosjan i obywatel Kirgistanu – przerwał mu. – Zwykli najemnicy z paroma lukami w życiorysie. Czwarty pozostaje nierozpoznany. – Wysunął z teczki zdjęcia i rozłożył je na biurku.

Wszyscy wyglądali podobnie. Błede, nieprzyjemne twarze, szerokie nosy, krótkie przyлизane włosy. Ten anonimowy przypominał Gruzina, może Mongoła. Kadr wycięto najpewniej z nagrania z monitoringu, przez co nie należał on do najostrzejszych.

– Powiedzieli coś? – spytał Owen.

– Żadnego z nich nie złapaliśmy. Mamy trzech innych, tych, których pan ranił, ale idą w zaparte. Lokalizator z zegarka Ellisa zamilkł w okolicach Hambrook, w pół drogi do Chichester, jednak przechwyciliśmy sygnał GPS samochodu i zawiódł on nas na lotnisko Goodwood. Odlecieli awionetką zarejestrowaną na firmę z siedzibą w Nowosybirsku, lecz dotarli tylko do Liverpoolu, gdzie przesiedli się do samolotu linii Emirates, rejs osiem dziewięć jeden do stolicy Meksyku.

– Zero współpracy?

– Owszem, ale mamy tam swoje źródła.

– To dlatego jestem wam potrzebny – orzekł Owen. – Snow zadbał, abym pozostał w cieniu. W domu Ellisa bawiliśmy się w stylu lat osiemdziesiątych, prozkami daktyloskopijnymi i pędzlami z puchu marabuta, zamiast po prostu użyć skanerów cyfrowych, bo robione przez nie analizy automatycznie trafiają do centralnej bazy danych. W razie wpadki będę zdany tylko na siebie.

– Jak już mówiłem, szybko orientuje się pan w sytuacji – odparł z uśmiechem. – Ale nie do końca, bo turyści mogą przecież liczyć na pomoc ambasady – dodał rozpromieniony.

– A co, jeśli odmówię?

– Może pan.

– Otóż to. – Owen miał już wstać, gdy mężczyzna wyciągnął spod równo ułożonych dokumentów pojedynczą stronę.

– Poznaje pan? – zapytał.

– Co to jest? – odrzekł Owen i przysunął się wraz z krzesłem bliżej biurka.

– Cher Downing, pańska...

– Wiem, kim jest Cher – wtrącił. Jednocześnie niezauważalnie wcisnął pokrętło zegarka, włączając dyktafon.

– Laborantka w wielkim koncernie kosmetycznym chyba nie powinna fałszować wyników badań. Zgadza się pan?

– To już przesada – wycedził przez zęby i wyrwał mu kartkę z rąk.

– Owszem, racja. Widzi pan... Każdą próbkę należy dokładnie sprawdzić i opisać, a nie tylko twierdzić, że tak się zrobiło. W końcu chodzi o ludzkie zdrowie i życie.

– Cher nigdy by... – odezwał się, wodząc wzrokiem po tekście.

– Niedopełnienie obowiązków służbowych, które doprowadziło do narażenia wielu osób na nieuleczalne zapalenie skóry i związane z tym ciężkie powikłania. – Złożył dłonie w piramidkę i wpatrywał się w Owena, który kręcił głową z niedowierzaniem.

– Nie, to niemożliwe... – mruknął pod nosem.

– Ale po co te emocje? Bez podpisu to tylko nic niewart kawałek papieru. I przecież może tak pozostać.

– Spreparowaliście dowody? – rzucił ze złością Owen.

– Możliwe. Pan najlepiej zna nasze metody. Czy się mylę?

– To MI6 czy KGB?! – wrzasnął i walnął pięścią w blat, aż leżące nań etui podskoczyło.

Na twarz mężczyzny napłynął głupkawy uśmiezek.

– Dostanie pan instrukcje – powiedział spokojnie. – Tymczasem żegnam.

Gdy Owen, pełen nerwów, wypadł do sąsiedniego pokoju, starsza kobieta powitała go szczerą sympatią.

– Kim jest Rebecca? – zapytała.

– Słucham? – Owen uniósł brwi.

– Powtarzał pan jej imię.

– Ja? – zdziwił się.

– Proszę się nie przejmować. To naprawdę miłe.

Kiedy Owen zerknął na czarną tarczę omegi, zrozumiał, że w gabinecie nie mogło zadziałać żadne urządzenie elektroniczne. Porwał wtedy kurtkę z wieszaka i zarzucił ją na plecy, ruszając żwawo do windy.



– Gwiazdor Portsmouth F.C. i reprezentacji Anglii, Paul Barkley, został dzisiaj zatrzymany przez policję podejrzany o pobicie czarnoskórego mężczyzny w południowej części dzielnicy Milton – powiedziała prezenterka porannego wydania wiadomości TH1. – Jak udało nam się nieoficjalnie dowiedzieć, do napaści mogło dojść na podłożu rasowym, piłkarz na przełomie ostatnich miesięcy miał bowiem rzekomo regularnie udzielać się na forach internetowych o tematyce neofaszystowskiej, podburzając do nienawiści wobec imigrantów.

Arthur Mitten objął twarz dłońmi i pochylił się nad kanapkami z twardym serem.

– Co się dzieje? – zapytała po wejściu do kuchni jego żona Gillian. – Dobrze się czujesz? – Zapięła lewy kolczyk, gdy stanęła tuż przy nim.

– Tak... wszystko w porządku – odparł apatycznie i wrócił wzrokiem do ekranu w słupku nad piekarnikiem.

– Jeszcze nie wiadomo, czy i jakie konkretnie zostaną postawione mu zarzuty – ciągnęła z wzorcową mową ciała Grace Burchill – ani czy spędzi noc w areszcie.

– Arthurze, czy to nie wasz zawodnik? – zapytała i przejęta usiadła obok.

Mitten tylko niemo pokiwał głową.

– Napastnik wyceniany na około piętnaście milionów funtów podzegał ponoć innych użytkowników portalu do przestępstw przeciwko życiu i zdrowiu, których ofiar upatrywał nie tylko w przyjezdnych, ale również wśród utrzymujących z nimi kontakty Brytyjczyków.

– Co to za bzdury? – skrzywiła się Gillian.

– Więcej szokujących informacji znajdziecie państwo na naszej stronie internetowej w artykule Neila Oakleya.

Arthur Mitten upił łyk herbaty i wyłączył telewizor. Oddychał płytko, wpatrując się w jeden punkt na podłodze.

– Arthurze, zrób coś! – powiedziała, kucając i zaglądając mu w oczy. – Chyba w to wszystko nie wierzysz?

– Nie martw się, Gill – odparł łagodnie, ujawszy jej dłoń – nie wierzę.



Talerz z omletem i szklanka soku zsunęły się z tacy i spadły na posadzkę, robiąc przy tym sporo hałasu i jeszcze więcej bałaganu.

– Paul, spokojnie – odezwał się zza stołu jak zwykle roześmiany Joseph Ipeba – Z twoją kondycją i tak dobrze, że w ogóle dzisiaj chodzisz.

Barkley i Ipeba odpowiadali za atmosferę w szatni. Zawsze pierwsi do żartów, lubili wciągać się nawzajem w słowne gry. Jednak tym razem komentarz Nigeryjczyka trafił w próżnię.

– Ale wiesz co... – zaczął po chwili Ipeba.

– Cicho! – przerwał mu Phil Davis, odebrawszy swoją porcję owsianki. – Spójrz. – Wskazał na ekran telewizora wiszącego na ścianie i wtedy wszyscy skupili uwagę na obrazie, gdzie Grace Burchill czytała z promptera ustawionego trochę zbyt daleko od kamery, żeby tego nie zauważyć.

– Zrób głośniej! – krzyknął ktoś z drugiego końca stołówki.

Jednak stojący najbliżej odbiornika Davis nie zareagował, gapiąc się nieprzytomnie w monitor. Ipeba zastygł z łyżką w ustach, a pozostali zamilkli, gdy w kieszeni Barkleya rozdzwonił się telefon.

– Sophie? – odebrał i przeszedł do holu. Tam oparł się plecami o ścianę. Brakowało mu tchu.

– Paul... – zaczęła drżącym głosem.

– Wiem, widziałem – odparł pewnie – ale nic złego nie zrobiłem.

– Na pewno? – spytała przerażona.

– Oczywiście. Przecież mnie znasz.

– Do domu weszła policja, mają nakaz. – W jej tonie irytacja mieszała się ze strachem.

– Gdzie mały?

– U sąsiadki. Ale Paul, oni...

– Pozwól im działać. Tak trzeba.

– W telewizji mówili...

– Sophie, ufasz mi?

Po drugiej stronie na moment zapadła cisza.

– Tak... chyba tak – mówiła wolno, prawie szeptem.

– Media szukają sensacji, a policja robi tylko to, co do niej należy. Sprawdzą, co muszą, i sobie pójdą. Niedługo już będzie po wszystkim. Obiecuję. Póki co postaraj się być dzielna. Wrócę i zabiorę cię na zakupy, a potem na kolację... gdzie tylko zechcesz. Dawno razem nie wychodziliśmy.

– Zaglądają do szafek, wyjmują ubrania z szuflad... – skarżyła się, łykając łzy.

– Wiążą ich procedury – odparł bez namysłu. – Nie przeszkadzaj im, to nie potrwa długo.

– Przyjeżdż – poprosiła, pełna rozpacz.

– Kochanie, mam trening – odrzekł stanowczo. – Dasz sobie radę?

– Spróbuję – powiedziała i pociągnęła nosem. Po tonie poznał, że ją przekonał.

Ledwo się rozłączył, gdy w głównych drzwiach pojawił się niski i tęgi jegomość w długim wełnianym płaszczu obszytym czerwoną nicią. Miarowy stukot laski, którą się podpierał, naraz wypełnił wnętrze. Nieduży, wyłożony kafelkami hol otaczały okazałe paprocie w wielkich donicach. Znajdowała się tam też wiecznie pusta recepcja w postaci półokrągłej lady z litego mahoni i dwie skórzane kanapy i długi stolik ze szklanym blatem.

– Znowu się spotykamy, panie Barkley – odezwał się na powitanie Babukin. – Szkoda tylko, że w takich okolicznościach.

– Tak – odparł Paul Barkley. – To rzeczywiście nie jest dobry moment. Przepraszam.

– Odkleił się od ściany i chciał już pójść schodami w górę, gdy Babukin zagroził mu drogę laską.

– Szczerze odradzam – rzekł.

Stali tuż przy pięknej reprodukcji obrazu pędzla Alberta Goodwina.

– Słucham? – zdziwił się Barkley.

– Prawnik klubu, do którego pan zapewne teraz się wybiera, nic tu nie pomoże. Tylko straci pan czas, a tego nie zostało za wiele.

– Nie wiem, o co panu chodzi – odrzekł szorstko Barkley. – Ale naprawdę nie mam czasu. – Trącił przeszkodę z lakierowanego drewna i w ciągu dwóch sekund dotarł do pierwszego podestu.

– Jedyłą rzeczą, jaką zabezpieczono w pańskim mieszkaniu, jest laptop – krzyknął za nim Babukin. – Proszę zapytać żonę – dodał już ciszej.

Barkley zatrzymał się w pół kroku i odwrócił.

– Skąd pan o tym niby wie? – spytał z ręką na poręczy.

– Jak pan zapewne zdołał się zorientować, od pewnego czasu żywo interesuję się rozwojem pańskiej kariery. Resztę pozwolę sobie zachować dla siebie.

Wtem pod budynek podjechał radiowóz. Z okna wydawało się, że zmierza w okolice stadionu, ale nagle ostro skręcił i ustawił się przodem do wejścia.

– Oho – powiedział Babukin. – Już są.

– Kto? – spytał Barkley, doskonale znając odpowiedź.

– Przyjechali po pana.

– I dobrze – odparł. – Niech to wreszcie się wyjaśni. – Skierował się w dół.

– Nie tak prędko – rzekł Babukin, kiedy stanęli twarzą w twarz. – Proszę mi wierzyć.

– Dlaczego? – Barkley zmarszczył brwi.

Policjanci wysiedli z samochodu i zaczęli iść ku drzwiom do budynku.

– Chyba nie zdążę tego wyjaśnić – odpowiedział, zerknąwszy przez ramię.

– Dlaczego miałbym panu wierzyć?

– Bo to ja, chłopcze, wywołałem całą tę burzę – oświadczył jakby nigdy nic.

– Co?! – wściekł się Barkley. Ale jeszcze bardziej zdumiał.

– Sprawa jest prosta – podjął żywo Babukin. – Z tyłu czeka czarny mercedes klasy S na londyńskich numerach. Dokończymy rozmowę w środku albo pojedziesz z nimi.

Jeden z mundurowych właśnie naciskał klamkę, więc Barkley, niewiele myśląc, ruszył w stronę drugiego wyjścia.

Na zewnątrz grupka młodych adeptów piłki nożnej i towarzyszących im rodziców tłoczyła się przed dwupokładową setrą 431. Trener upychał worki z piłkami w luku bagażowym, podczas gdy kierowca cierpliwie tłumaczył coś jednej z matek. Przed autokarem parkował samochód pasujący do opisu Rosjanina. Nawoskowana czerń lakieru połyskiwała w żywych promieniach słońca, efektownie kontrastując z chromowanymi felgami.

W pewnym momencie mercedes cofnął tak, że gdy się zatrzymał, Barkleyowi wystarczyło zrobić krok, aby wsiąść. To też uczynił i po chwili okrążyli budynek, by znaleźć się przed głównym wejściem i zabrać Babukina. Ten czekał przy radiowozie, wyraźnie z siebie zadowolony.

– Co dalej? – zapytał szorstko Barkley.

– Dograsz sezon u nas, zamiast kopać się po nogach w drugiej lidze, którą nazywacie pierwszą, a potem sam o sobie dowolnie zdecydujesz.

– Co to, u licha, ma być? – podniósł głos. – Tani, kiepski szantaż?

Babukin się uśmiechnął.

– Propozycja.

– Wrabia mnie pan w jakieś pobicie i myśli, że to się uda? Że ot tak, po prostu się zgodzę? Że nic się nie wyda?

– Nie, panie Barkley, ja tylko żywię szczerą nadzieję.

– Zupełnie nie pozostawiając mi wyboru – orzekł oschle.

– Mniej więcej, tak.

– To cholerne świństwo! – wykrzyknął.

– Raczej interesy. Nic osobistego, zapewniam.

Barkley zmienił pozycję, przysuwając się do bocznej szyby.

– W każdej chwili możesz obrać inną drogę – podjął Babukin. – Ale uwierz, za kratami szybko traci się formę, a w moim klubie jedynie zyskasz.

– Mam ważny do czerwca kontrakt – odbąknął Barkley.

– Dlatego Portsmouth sporo zarobi. Ty szybko odzyskasz dobre imię. W letniej przerwie, jeśli zechcesz, pójdziesz do United. To dobry układ, dla wszystkich.

Na jakiś czas zapadła cisza, którą przerwał dopiero klakson ciężarówki.

– Co za wariat... – warknął Babukin, zupełnie ignorując fakt, że właśnie wymusili pierwszeństwo.

– Jak wygląda pańska oferta? – zapytał Barkley.

– Oho – ucieszył się Babukin – zaczynamy rozmowę.

Ochoczo otworzył schowek w podłokietniku i wyjąwszy dwie spięte kartki, wręczył je piłkarzowi.

Ten przejrzał dokument pobieżnie, sprawdzając jedynie wysokość wynagrodzenia i inne warunki finansowe, po czym wyraźnie się rozluźnił.

– A co z moją rodziną? – zapytał po chwili. – Bez nich się nie ruszę.

– Naturalnie – odparł Babukin, kiedy skręcili w stronę wyjazdu z miasta.

CZĘŚĆ II

17

W mieście Meksyk, gdzie nawet w grudniu niebo na ogół wypełniało się letnim błękitem, tego popołudnia spadł rześisty deszcz. Ustał dopiero po paru godzinach, ukazując pasażerom podchodzącego do lądowania boeinga 787 szaro-czerwoną gęstość zabudowy rozległych dzielnic robotniczych.

– Proszę spojrzeć – odezwał się mężczyzna siedzący przy oknie. – Cóż za piękny widok. Niesamowity, prawda?

Bradley Owen lekko przekrzywił głowę.

– Sí señor – odparł z północnym akcentem.

W ciągu szesnastogodzinnej znajomości zdążyli tylko wymienić uprzejmości. Mężczyzna, odkąd zawitał na pokład, zdradzał podenerwowanie. Najpierw omal nie urwał klapy schowka bagażowego, próbując upchnąć tam zbyt szeroką torbę. Zwrócił przez to na siebie uwagę nie tylko stewardesy, ale również połowy podróżujących klasą ekonomiczną. Zaczął wtedy tłumaczyć się w dwóch językach, hiszpańskim i angielskim, aż Owen przejął od niego bagaż, obrócił inną stroną i włożył bez trudu. Potem krępy mulat na zmianę napychał się gorzką czekoladą i bezgłośnie modlił.

– Boję się latać – oznajmił w pewnej chwili, jakby cały przedział nie zdążył się jeszcze zorientować. – Nie ufam rzeczom martwym. Zawodzą.

Zanim oderwali się od ziemi, poprosił o wodę i połknął jakieś tabletki. Później wypił dwa drinki i szybko zasnął. Ocknął się dopiero nad innym kontynentem i zniknął w toalecie, gdzie utknął na dobre dwa kwadransy, a kiedy wreszcie wrócił na swoje miejsce, wydawał się nieobecny.

– Pan do fabryki Nissana? – zapytał, na moment oderwawszy czoło od szyby.

Wówczas nastoletnia blondynka siedząca przy przejściu drgnęła. Wcześniej co jakiś czas ukradkiem zerkała na Owena, co znudziło jej się dopiero na wysokości Bahamów.

Owen ściągnął słuchawki na szyję i zdjął ciemne okulary.

– Na wakacje – odrzekł.

– Sam? – zdziwił się. – Ale lubi pan brunetki? – spytał wesoło, a gdy nie otrzymał odpowiedzi, cmoknął i się roześmiał. – Jak my wszyscy – dopowiedział sobie, jeżdżąc nosem po oknie, zamiast zapiąć pas, jak nakazano przez głośnik.

Gdy chwilę później samolot lekko usiadł na pasie startowym, mężczyzna od razu się podniósł, chcąc czym prędzej przepchnąć się do wyjścia, ale i tym razem został natychmiast napomniany przez mającą na niego oko członkinię personelu

pokładowego. Potem zachowywał się już normalnie, jakby środki, które zażył, nagle przestały działać. Towarzyszył Owenowi aż do momentu, kiedy opuścili terminal i doszli do postoju taksówek.

– Podrzucę cię do miasta, *amigo* – zaproponował wtedy, chłonąc lekkie, rześkie powietrze i patrząc w chmury.

– Chętnie – zgodził się Owen i podążył za nim na pobliski parking, gdzie wsiedli do rdzewiejącego pickupa.

Samochód wyglądał nędznie – spod zszarzałej bieli lakieru wylaziła rdza, wokół nie brakowało zarysowań i wgnieceń, a kraty chłodnicy w ogóle nie było. Ale odpalił za pierwszym razem. Za to kiedy tylko silnik zaskoczył, wewnątrz zaczęło niemiłosiernie trząść. Wszelkie plastikowe elementy trzeszczały, podrywając do lotu drobinki kurzu, którego gruba warstwa pokrywała zarówno deskę rozdzielczą, jak i wystające elementy drzwi i drążek skrzyni biegów. Przynajmniej welurowe siedzenia w ohydny sprany odcieniu beżu okazały się sprężyste i wygodne. Choć były tak tłuste, że można było się przykleić.

– Po zmroku lepiej nie wychylaj się z hotelu – powiedział w pewnej chwili mężczyzna. – Poważnie. – Zbyt nie koncentrując się na jeździe, znalazł długopis i pomietą żółtą ulotkę. Zapisał ciąg cyfr, opierając kartkę na kierownicy, i podał Owenowi. – Mój numer telefonu. W razie czego dzwoń. Pokażę ci kilka miejsc, znam dobre knajpki. Poznam cię też z paroma kuzynkami. – Puścił oko, głośno się śmiejąc. – Gdzie się zatrzymasz?

– W Sabor Vallarto.

– O, świetny wybór. Dobry hotel w cenie tych gorszych, tuż przy Zócalo, ale na tyle oddalony, żeby nie rzucać się w oczy.

Owen spoglądał przez szybę, obserwując gwarne i zatłoczone ulice miasta. Wszędzie roiło się od ludzi, ale głównie kobiet. Te w chustach na głowach okalały mały plac przed kościołem, inne wracały z targu, pojedyncze przechadzały się w niewiadomym celu w barwnych sukniach. Tylko w kolejce do stoiska z jedzeniem dominowali młodzi chłopcy w szkolnych mundurkach.

– W sklepach czy barach używaj wyłącznie niskich nominałów – mówił mężczyzna. – Jeśli nie masz, rozmiń w hotelowej restauracji.

Na głównych arteriach stolicy panował ogromny chaos. Owen miał wrażenie, że tylko on dostrzegał znaki drogowe, a czasami nawet sygnalizację świetlną.

– Wieczorem nie wsiadaj do metra, nie poruszaj się taksówkami. No, chyba że zamówisz wcześniej kurs u przewoźnika zrzeszonego w związku. – Otworzył schowek przed kolanami Owena i zamieszał w mulości drobiazgów, po czym wyciągnął wizytówkę. – W ciągu dnia możesz spokojnie korzystać z komunikacji miejskiej, ale

unikaj mikrobusów. Jeżdżą nimi szaleńcy, co dzień dochodzi do wypadków. – Machnął ręką.

Po obu stronach bardzo szerokiej ulicy rozciągały się równe rzędy starych drzew, za nimi biegła niekończąca się linia pawilonów mieszczących głównie placówki bankowe, nad którymi z kolei górowały imponujące wieżowce.

– Przyjacielu, gdyby cię ktoś napadł, nie zgrywaj bohatera. Tutejsi bandyci nie znają litości dla białych i czują się przy tym bezkarni.

Ominęli wielką fontannę, okrążaną przez dzieciaki w obu kierunkach na rowerach, deskorolkach i wrotkach.

– To tuż za rogiem – oznajmił mężczyzna, gdy utknęli w olbrzymim korku i przez dłuższą chwilę nie posunęli się nawet o cal.

Owen skupił wzrok na okazałym pałacu, wyróżniającym się piękną czerwienią zdobionej elewacji, ale przede wszystkim rozmiarami. Wypełniał bowiem prawie całą wschodnią flankę placu, na którym mogłyby zmieścić się cztery pełnowymiarowe boiska piłkarskie i jeszcze pozostałoby trochę miejsca.

– Dalej pójde sam – powiedział po tym, jak w ciągu dziesięciu ostatnich minut pokonali zaledwie trzy może pięć jardów.

– Trafisz?

– Jasne.

Pożegnali się i po chwili Owen znajdował się już w recepcji hotelu wciśniętego między dwie niskie kamienice. Zameldował się na nie swoje nazwisko i poszedł prosto do pokoju, gdzie wziął prysznic, włożył czystą koszulę i kaburę na szelkach z pistoletem, przywiezionym w futerale odbijającym promienie skanujące. Szybko wrócił na plac, lecz w miejscu, gdzie wcześniej widział taksówki, teraz nie uświadczył ani jednej. Złapał więc pierwszą, która nadjechała, i po kwadransie błędzenia po mieście dotarł pod właściwy adres.

– Hola, hola – warknął zarośnięty kierowca volkswagena garbusa, gdy Owen podał mu zwitek banknotów i miał już wysiąść. – Brakuje całych siedemdziesięciu pesos.

– Umówiliśmy się na normalną stawkę – odparł Owen.

– Oczywiście.

– Dostałeś czterdzieści.

– Właśnie.

– Zatem wszystko się zgadza.

– Nie, myli się pan – odrzekł kierowca.

– Proszę więc odsłonić licznik – powiedział pewny swego Owen.

Taksówkarz wpadł w małe zakłopotanie, by zaraz dodać:

– Zdaje się, że zapomniałem włączyć, ale...

– W takim razie żegnam. – Owen ledwie zdążył dotknąć klamki, gdy kierowca zablokował drzwi.

– Dwieście – rzucił przez zęby. – Albo nie, dawaj cały portfel. I telefon.

Wtem mężczyzna sięgnął po nóż sprężynowy, który otworzył sprawnym ruchem na wysokości własnej grdyki i przyłożył do zagłówek.

– Pośpieszyłem się z tym napiwkami – westchnął Owen i niesygnalizowanie złapał Meksykanina za nadgarstek, po czym szarpnął go tak, że ten oberwał w nos własną pięścią i trzonkiem noża, a potem jeszcze uderzył głową w szybę. Broń wypadła mu z ręki i – jak dało się wywnioskować po dźwięku – zniknęła gdzieś pod pedałem gazu.

– Ożeż ty, pajacu z... – wrzasnął, trzymając się za nos, gdy chwycony za kark i przyścignięty do oparcia, zamilkł. Krew powoli ściekała mu na usta.

– Jeśli jeszcze raz spróbujesz tego na kimś, dowiem się i tu wrócę – powiedział spokojnie Owen. Następnie, nie puszczać mężczyzny, wychylił się i wcisnął przycisk zamka centralnego. – Rozumiesz?

Taksówkarz jęknął w sposób zupełnie niezrozumiały.

– Nie słyszę. – Owen podniósł ton i ścisnął mocniej.

– Tak, tak – wycedził jednym tchem, z czerwoną, wykrzywioną twarzą.

Owen zamknął za sobą drzwi, ale taksówkarz najwyraźniej nie zamierzał rezygnować. Wynurzył się z samochodu z kawałkiem metalowej rurki w ręku i z wolna ruszył w jego stronę. Wtedy Owen odchylił kurtkę i zawiesił dłoń nad waltherem kaliber dziewięć milimetrów. Krewki dotąd mężczyzna, widząc to, stanął jak wryty, by po chwili spuścić wzrok i się cofnąć, a następnie wrócić za kierownicę i odjechać.

Przez okopcone witryny knajpy Owen zdołał dostrzec jedynie zarysy postaci i ciepłe kolory wystroju wnętrza, ale gdy wszedł do środka, zrozumiał, że nie będzie łatwo, bo lokal był pełen gości. Słabe światło sączyło się z lamp stylizowanych na naftowe, czyniąc pomieszczenie klimatycznym i przytulnym. Okrągłe stoliki upchnięto na tyle, na ile to okazało się możliwe. Krzesła przylegały do siebie oparciami, ludzie objali się jeden o drugiego, ale nikomu to nie przeszkadzało. Tylko przez środek biegło wąskie przejście, którym w obie strony przez cały czas kursowały kelnerki ubrane w jednakowe szerokie spódnice i opięte bluzki z dużymi dekolami.

– Carlos Márquez – powiedział do jednej z nich, na co wskazała głową na bar po drugiej stronie sali.

Już z oddali wytypował długowłosego bruneta w dzinsach i kraciastej koszuli. Postawny mężczyzna niemal od początku przyglądał mu się z perspektywy wysokiego stołka i wyglądał dość nieciekawie. Z bliska sprawiał jeszcze gorsze wrażenie. Był spocony, nieogolony, cuchnął tanią tequilą oraz tytoniem i miał paskudne blizny na twarzy, szyi i rękach.

– Podobno znasz Carlosa – zagaił Owen.

Na te słowa mężczyzna podciągnął się na blacie, zmieniając pozycję z półleżącej na siedzącą, lecz nie odezwał się ani słowem. Dalej leniwie międlił w ustach wykałaczkę.

– Czeka na mnie, więc lepiej się rusz – dodał stanowczo.

– Muszę cię przeszukać – mruknął w końcu i nieśpiesznie zsunął się na podłogę, gdy Owen w jednej chwili wbił mu pod skórę na przegubie dłoni igłę ukrytą w zegarku.

Zaskoczony mężczyzna nie zdołał w żaden sposób zareagować, bo środek zwiotczający zadziałał natychmiast. Zachował pełną świadomość, ale nie mógł nic zrobić. Pchnięty na bar, obserwował tylko, jak Owen bez przeszkód dostaje się na zaplecze.

W kuchni panował spory bałagan. Brudne naczynia piętrzyły się w zlewie, skórki mango, pomarańczy i innych owoców w dwóch pękatych koszach. Obok wejścia, oparty o ścianę stał szczelnie wypchany wór, z którego na podłogę wypadały małe czerwone papryczki. W nieładzie, wśród rozsypanego anyżu pozostawiono misy z sosami oraz pootwierane pojemniki z przeróżnymi nasionami i słoiczki przypraw. Wokół nie brakowało desek ze skrojonymi warzywami lub posiekanym mięsem. Nadziane na rożen kurczaki skwierczały, obracając się nad żarem, używano naraz pięciu patelni, dwóch garnków oraz piekarnika, przez co temperatura tam panująca znacznie przewyższała tę na sali. Z wielkiego kotła, w którym głośno bulgotało, wydobył się obłok pary i buchnął pod sufit, nie mieszcząc się w okapie. Różowawa substancja zaczęła kipieć na palnik, gdy z drzwi na sprężynach wynurzyła się młoda dziewczyna. Od razu dobiła łyżki i uratowała sytuację. Mieszała wywar, aż zobaczyła Owena.. Wtedy wzdrygnęła się i upuściła przykrywkę, którą trzymała w drugiej ręce. Ta upadła z brzdękiem na kant, kręcąc się i podzwaniając.

– Co ty tu wyczyniasz? – usłyszał nagle za sobą.

Puszysta kucharka w białym fartuchu i z chustą na czole podpierała się pod boki, patrząc na niego spode łba.

– Przepraszam, to moja wina – powiedział.

– To nic – odparła dziewczyna.

– Nie czas na amory. Proszę stąd wyjść. – Kobieta ominęła Owena i położyła na stole siatkę z awokado.

– Szukam właściciela – wyjaśnił.

– I z wzajemnością – odrzekła, po czym wskazała na drzwi.

Stało w nich dwóch mężczyzn – niski, barczysty i wyższy, atletycznie zbudowany. Jeden z założonymi na piersi rękoma, drugi bawił się długim, zardzewiałym gwoździem.

– Słyszałeś, co pani powiedziała – odezwał się ten mniejszy.

– Co chcesz zrobić z tym gwoździem? – spytał, przybierając bardziej buńczuczny ton, niż zamierzał.

– Zaraz wsadzę ci go w dupę – warknął przez zęby.

– To raczej nie będzie konieczne – przerwał im wysoki, delikatny głos.

Mężczyźni rozstąpili się i do przodu przeszedł człowiek, którego Owen kojarzył ze zdjęć i akt – Carlos Márquez, znany policji przemytnik i handlarz narkotyków. Syn miejscowego kryminalisty i boliwijskiej tancerki erotycznej, deportowany ze Stanów Zjednoczonych za popełnienie kilku tak zwanych przestępstw kwalifikowanych, w tym organizowanie nielegalnej imigracji oraz fałszowanie dokumentów na masową skalę. Miał farbowane na ciemny blond, długie, gęste i zaczesane do tyłu włosy oraz trzydniowy zarost, był wąły i mizernego wzrostu.

– W czym mogę ci pomóc, *amigo*? – zwrócił się do Owena.

Owen wyciągnął z zewnętrznej kieszeni półdługiej, cienkiej kurtki papierową torbę pełną studolarówek i podał mu.

– W interesach.

– Czego ci potrzeba? – zapytał, rozchyliwszy zawiniątko.

– Szukam kogoś. – Wyjął pomięte zdjęcie z dowodu osobistego Darrena Ellisa i pokazał je każdemu z nich z osobna. Tylko Márquez zerknął na chudą, pociągłą twarz, reszta beznamiętnie patrzyła przed siebie.

– Przykro mi, *amigo*, ale chyba się pomyliłeś – rzekł Márquez. – Ramírez, Ramón. – Skinął na mężczyzn.

Pierwszy zbliżył się ten z lewej, niższy. Po drodze zabrał ze stołu nóż do obierania cytryn i od razu zamachnął się, ale jego dłoń utknęła między nadgarstkami Owena, który następnie uderzył go kolanem w brzuch i z całej siły walnął pod żebra, raz i drugi. Mężczyzna runął na podłogę jak rażony gromem i jęcząc oraz stękając, wił się z bólu pod szafkami, gdy jego rosły kolega sięgnął za pasek po mały rewolwer. Wtedy Owen chwycił rondel wiszący tuż obok i wytrącił mu broń z ręki, a potem, przeskoczywszy nad Ramírezem i ominąwszy gardę oraz przełamawszy blok, trafił go pięścią w pierś, traktując jednocześnie tą samą substancją, jaką niewiele wcześniej wstrzyknął jemu podobnemu przy barze. Za to potem został złapany za łokieć i przerzucony przez ramię, leciał głową w dół, aż rąbnął plecami o półki, z których naraz z łoskotem pospadały szklane tuby z ziołami. Zdołał stanąć na rękach i odbił się od ściany, by szybko wrócić do pionu. Ramón tylko na to czekał. Zaatakował potężnym lewym prostym, lecz na tyle czytelnym, że Owen bez trudu zrobił unik. Po chwili Meksykanin zdrętwiał od torsu, w który wkuł się Owen, przez lędźwie, aż wreszcie do nóg. Wówczas osunął się bez kontroli na ziemię, niczym dmuchany pajac, z którego nagle zeszło powietrze, zdążając jeszcze w ostatnim momencie

zamortyzować upadek na wpół władnymi rękami. Ułamek sekundy później Owen poczuł ukłucie nad ścięgmem Achillesa. To był Ramírez, który wbił mu w ciało ostrze gwoźdźca i próbował wstać. Owen odepchnął go podeszwą butą i kiedy miał już odejść, zniecka trzasnęła w czoło rozgrzaną patelnią. Tamten zawył i przekręcił się na brzuch, kryjąc twarz w dłoniach. Bradley Owen odłożył patelnię z powrotem na gaz i podniósł rewolwer, który zaraz potem wsunął sobie do kieszeni.

– Proszę wybaczyć – przeprosił kucharkę i jej pomocnicę, obserwujące całe zajście z lekkim niepokojem, lecz z dala od konsternacji. – Señor Márquez – powiedział przeciągle za półokrągłymi drzwiami na sprężynach, którymi tamten uciekł.

– Señor Márquez – powtórzył. – Proszę się nie chować, to naprawdę nic nie da.

Mężczyzna po zaledwie chwili wyłonił się z pomieszczenia w głębi korytarza z uniesionymi nad głową rękoma. W prawej dłoni trzymał pieniądze, które po chwili rzucił Owenowi pod nogi.

– Weź – wymamrotał. – Nic nie wiem.

– Czyżby? – Owen powoli podchodził coraz bliżej.

Mężczyzna począł się nieznacznie trząść. Nie opuścił jednak rąk ani się nie poruszył.

– Mogę zapalić? – spytał.

– Śmiało – przytaknął Owen.

Márquez wydobył z kieszeni na piersi paczkę czarnych, cienkich papierosów i włożył jednego do ust.

– Zatrzymaj forszę, to godziwa suma – zaproponował Owen.

– Nie rozumiesz – odparł, zaciągawszy się. – Nie znasz ich. To groźni ludzie, zabijają mnie.

– A myślisz, że ja nie?

– Może i tak, ale przynajmniej zostawisz w spokoju moją rodzinę.

– Nikt się o tobie nie dowie, gwarantuję.

Wtem za plecami Owena pojawił się Ramírez. Nieco pochylony, jedną ręką trzymał się futryny, w drugiej ścisnął rewolwer, znacznie większy od tego, który miał Ramón.

– Señor Márquez – powiedział i spojrzał pytająco. Wciąż z trudem łapał oddech. Mocne ciosy na galaretowaty korpus zrobiły swoje. Pod linią włosów widniał krwiście czerwony ślad.

Owen schylił się po banknoty i wcisnął je mężczyźnie za spodnie.

– Mów, gdzie oni są, bierz forszę i spadaj, zanim poleje się krew.

Márquez wydawał się zastanawiać. Przez moment zerkał to na papierową torebkę, to na Ramóna, aż w końcu się odezwał.

– Coahuila, stan na północnym wschodzie. Zainwestowaliśmy tam wspólnie w kilka kopalń. Głównie węgiel, ale też trochę ołowiu i dolomitu.

– Mów dalej.

– Ponoć w dawno nieczynnym szybie natrafiono na kryształ żółtego diamentu. Poszukiwanie złóż jest bardzo kosztowne i zajmuje sporo czasu, a i tak nie daje żadnej gwarancji. Rosjanin kazał więc sprowadzić twojego człowieka, aby ten wpłynął na przyspieszenie prac.

– Ellis? – zdziwił się Owen. – Niby jak?

– Podobno jest tym, który widzi.

Owen zmarszczył czoło. Skąd ktoś, u licha, wiedział o rzekomych zdolnościach chłopaka? Swoimi absurdalnymi podejrzeniami podzielił się przecież tylko ze Snowem i Keanem, a obaj znali powagę sytuacji. Może Keane chlapanął coś przy piwie w obecności niewłaściwej osoby?

– Chociaż ja w to nie wierzę, są tacy, którzy wierzą – powiedział Márquez, widząc zadumaną twarz Owena.

Ten rozwinął ciekłą folię, która okazała się ekranem z mapą, i położył na niej pisak cyfrowy.

– Zaznacz te kopalnie i miejsca, gdzie mogli się zatrzymać.

Márquez od razu zabrał się do dzieła.

– Tyle że tam nic nie ma – wyznał, zakreślając kółko z papierosem w ustach. – Owy szczęśliwy znalazca niby uciekł z kamieniem przez granicę, ale to tak naprawdę jedynie bajka snuta górnikom, aby ciężiej pracowali. Mówiłem to Rosjanom, lecz w ogóle nie chcieli mnie słuchać. Myślą chyba, że zamierzam ich wykiwać i sam dokopać się do minerałów, gdy tylko wrócą do siebie. Obawiam się, *amigo*, że kiedy twój znajomy nie wskaże miejsca występowania złoża, będzie po nim. – Zaciągnął się aż po sam żołądek. – Niezli z nich narwańcy.



Chloe Clarke oparła rower o drzewo w ogrodzie z widokiem na Morze Północne i poszła w górę żwirową ścieżką prowadzącą do drzwi frontowych. Wcześniej pokazała legitymację służbową policjantowi w nieoznakowanym wozie parkującym przy podjeździe. Dom stał na wzniesieniu, w pięknej części West Wittering i wyglądał imponująco. Nowoczesna, piętrowa bryła z płaskim dachem, dużymi przeszkleniami i wysuniętą antresolą. Elewację wykończono ceramiką, lśniącą teraz w promieniach słońca, oraz sosnowymi panelami. Chloe zapukała do drzwi, widząc przez podłużne szyby, że w holu ktoś się kręci. Po chwili otworzył jej mężczyzna w beżowym garniturze. Był ciemnej karnacji, średniego wzrostu i raczej szczupły.

– Tak? – powiedział, mrużąc oczy pod okularami, które zaraz potem poprawił.

– Dzień dobry, nazywam się Chloe Clarke – wyjęła legitymację. – Jestem z policji.

– Ach, tak. – Podwinąwszy mankiet, zerknął na zegarek i przełożył neser z ręki do ręki. – Czy będę pani potrzebny? Nie ukrywam, że trochę się śpieszę...

– Chciałabym tylko porozmawiać z Anne.

– Aha, dobrze. – Sprawiał wrażenie mocno rozkojarzonego. – A czy orientuje się pani, jak długo to jeszcze może potrwać? – zapytał.

– Zadam tylko parę pytań.

– Nie, nie to – odparł łagodnie i się uśmiechnął. – Ukrywanie się, ochrona przed domem...

– Nie wiem – odrzekła sucho. – Ale z każdym dniem jesteśmy bliżej.

– Rozumiem, proszę. – Zrobił krok w bok, aby mogli się swobodnie minąć.

– Dziękuję.

Skinął jej głową na do widzenia i odszedł w pośpiechu.

W środku uderzył ją ogrom przestrzeni. Po obu stronach wisiały wielkie lustra, na wprost znajdowały się szerokie, granitowe schody w kolorze białego tynku. W rogu stał czarny fortepian.

– Witam panią. – Śliczna dziewczyna wynurzyła się nagle z salonu po lewej. Po ojcu odziedziczyła kruczoczarne włosy, które nosiła ścięte do ramion, z prostą grzywką. Nieco jaśniejszy, oliwkowy kolor skóry zawdzięczała europejskim genom matki, podobnie jak niezwykle, zielone oczy.

– Dzień dobry – odparła, niczym wyrwana z transu.

– Jest pani policjantką.

– Owszem – przytaknęła, zastanawiając się, jak została rozpoznana.

– Czytałam na tarasie, tu obok, kiedy pani przysła – wyjaśniła, jakby słyszała jej myśli.

– Tak, chciałabym pani coś pokazać. Czy mogę?

Inspektor Snow nie zgodził się na ujawnienie tożsamości ofiar. Kiedy Chloe Clarke zasugerowała, że może jednak istnieje jakieś powiązanie między nimi, odpowiedział lakonicznie, iż opublikowanie wizerunków Jane Cook i Kelly Robinson nie wchodzi w grę. Uważała to za duży błąd.

– Usiądźmy. – Anne Faezi wskazała duże, półokrągłe fotele w salonie. – Napije się pani czegoś? Przyrządzam świetną kawę z kardamonem i mlekiem.

– A może być woda?

Chloe zorientowała się, że oparcie fotela dostosowuje się do sylwetki siedzącego oraz pozycji, jaką akurat przybrał. Bardzo wygodnie.

– Proszę. – Anne Faezi postawiła na okrągłej ławie szklankę z wodą i talerzyk z plasterkami cytryny. Sobie przyniosła filiżankę herbaty.

– Dziękuję. – Upiła dwa łyki.

– Jeśli mogę pomóc, chętnie to zrobię – powiedziała Anne Faezi.

– Męczy panią ta ciągła eskorta... – stwierdziła Chloe Clarke.

– Anne. Jesteśmy chyba w podobnym wieku.

Chloe się uśmiechnęła. Zawsze brano ją za młodszą, niż była w rzeczywistości.

– Dobrze, Anne. Jestem Chloe.

– To dopiero drugi dzień, a ja już mam wrażenie, że się duszę.

– Mhm, normalne. Dlatego tutaj jestem. Pokażę ci zdjęcia dwóch kobiet. Proszę, żebyś się im dobrze przyjrzała.

– To podejrzane? Sprawcą jest kobieta?

– Nie, to znaczy jeszcze nie wiem. Nie chcę, żebyś się sugerowała.

– Dobrze więc.

Chloe wyjęła z torebki kalendarz w twardej oprawie, który otworzyła na pierwszej stronie, ukazując zdjęcie Jane Cook.

– Mogę? – Anne wyciągnęła rękę.

Chloe podała jej fotografię tak, by zasłonić znajdujący się pod spodem portret Kelly Robinson.

– Proszę.

Anne przypatrywała się zdjęciu przez parę chwil. Potem stwierdziła, że nigdy nie widziała tej kobiety.

– Okej. Jeszcze ona. – Wymieniły się zdjęciami.

Dziewczyna przyglądała się w skupieniu, aż nagle zbystrzała.

– Zaraz – powiedziała w zamyśleniu. – Czy możesz jeszcze raz pokazać mi tamtą kobietę?

Chloe bezzwłocznie otworzyła notes i przesunęła papier po blacie.

– Tak... – wycedziła Anne.

– Znasz ją? – spytała podekscytowana.

– Wydaje mi się, że gdzieś je widziałam, tylko jeszcze nie wiem, czy na pewno.

– Obie?

– Być może.

– Gdzie to mogło być? – Chloe Clarke czuła, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi.

– Nie jestem pewna.

– Postaraj się, to bardzo ważne.

– Domyślam się tylko...

– Tak?

– Musiałabym prosić cię o dyskrecję. Czy to możliwe?

– Oczywiście.

– Nie wspomnisz o mnie w żadnym raporcie lub gdzieś?

- Masz moje słowo.
- A nie wiążą cię procedury?
- Są ważniejsze rzeczy niż procedury – odparła z powagą.
- Zgoda. – Anne lekko się spięła. Splotła dłonie i zacisnęła. – Czy znasz ich tożsamość?
- Owszem.
- Blondynka ma na imię Kelly, prawda? – Anne mówiła wolno, cedząc każde słowo.
- Tak – odpowiedziała Chloe, a w jej głosie dało się wyczuć podniecenie.
- Nie wiem, jak nazywa się ta druga, ale wydaje mi się, że też tam była.
- Gdzie?
- W szpitalu.
- W jakim szpitalu? Królowej Aleksandry?
- Nie, miałam na myśli Klinikę Chirurgii Plastycznej w Southampton.
- Drogi ośrodek.
- Najlepszy w kraju.
- Wszystkie byłyście pacjentkami?
- Nie rozmawiajmy o mnie.
- Wybacz. Czy Kelly i ta druga kobieta...
- Tak, leczyły się tam – wtrąciła Anne.
- Raczej poprawiały urodę, czyż nie? – poprawiła ją Chloe.
- Nie do końca. Kelly kwalifikowała się do zabiegu z powodów medycznych. Miała rozległe blizny na policzku, niektóre ponoć naprawdę głębokie. Nosiła na twarzy wielki opatrunek, dlatego nie poznałam jej od razu.
- A brunetka, co z nią?
- Ona przeszła korektę nosa. Cały czas chodziła w masce i brała mnóstwo leków przeciwbólowych. Przez większość czasu siedziała zamknięta w swoim pokoju, a kiedy już wychodziła, prawie się nie odzywała. Ale pamiętam te oczy. I kształt podbródka, uszu. – Wzrok Anne tkwił w zdjęciu. – Tak, to ona.
- Bez wątplenia?
- Teraz tak.



Świeciło piękne słońce, gdy Rebecca Mulligan rozpoczęła dzień w okolicach południa od ćwiczeń ze skakanką. Do wczesnych godzin rannych dopracowywała kolejną odsłonę tematu, który jej zlecono. I coraz więcej rzeczy wydawało jej się nie zgadzać. Wprawdzie Paul Barkley nagle zniknął i nikt nie wiedział, gdzie może się teraz podziewać, co wyglądało na jawne przyznanie się do winy, jednak we wpisach, których

rzekomo dokonał, odkryła pewną nieścisłość. Otóż godziny dodania większości z nich nie pokrywały się ani z meczami rozgrywanymi przez Portsmouth F.C., ani z ich treningami, nie wzbudzając tym samym podejrzeń. Lecz dwa pochodziły z dwudziestego szóstego listopada i zostały zamieszczone między szóstą dwadzieścia pięć a ósmą wieczorem, kiedy to Barkley znajdował się na pokładzie Airbusa A350 lecącego do Genewy. Piłkarz udał się tam na konsultację ortopedyczną. Na pozór nie było w tym nic dziwnego, bo podczas lotu mógł się przecież nudzić i wypisywać różne bzdury w sieci. Tylko że, jak podały francuskie linie lotnicze w oficjalnym komunikacie, przepraszając swoich klientów i jednocześnie oferując im pewne bonusy, samolot napotkał wówczas wyjątkowo intensywną burzę z piorunami i oba standardowo dostępne serwisy, zarówno zapewniający pasażerom łączność z Internetem poprzez sieć WLAN, jak i za pomocą systemu mobilnej technologii GSM/GPRS, uległy na ten czas dezaktywacji. Barkley nie mógł zatem być autorem słów, jakie mu przypisywano.

Wzięła do rąk dwie czterofuntowe hantle i zaczęła wchodzić na stołek i z niego schodzić, na przemian prawą i lewą nogą, kiedy zauważyła, że pod drzwiami wejściowymi leży jakiś papier, którego wcześniej tam nie było. Przerwała trening i podniosła kartkę. „Arlington Rd 13/5, Hayley Chiba”, brzmiał napis.

„Figuerola”, pomyślała Rebecca i poszła prosto pod prysznic.



Rebecca знаła drogę, mieszkała niedaleko. W garażu podziemnym wsiadła do hondy w głębokim odcieniu niebieskiego, którą kupiła ledwie przed tygodniem, i w ciągu kilku minut dotarła na miejsce. W krótkich butach na wysokich, ząbkowanych podszewkach i szalenie modnym płaszczu, ledwie zakrywającym pośladki, czuła się bardzo pewnie. Zanim nacisnęła przycisk domofonu, z budynku wyłonił się starszy mężczyzna i przytrzymał jej drzwi. Jedyna winda pojechała właśnie w górę, a mieszkanie numer pięć znajdowało się już na pierwszym piętrze, mimo to postanowiła zaczekać. Po chwili kabina wróciła na parter, przywożąc niezwykle szczupłą, wysoką dziewczynę, ubraną w krótką kurtkę z cekinami i fluorescencyjnie zieloną czapkę z pomponem. Miała azjatyckie rysy twarzy, choć większe, bardziej okrągłe oczy i bledszą cerę. Jednak kiedy spotkały się ich spojrzenia, Rebecce coś tchnęło.

– Przepraszam – rzuciła za nią.

Dziewczyna od razu odwróciła się i zmierzyła Rebecce wrogim spojrzeniem.

– Szukam pani Hayley Chiby.

– Ona już tutaj nie mieszka – odparła od razu i odeszła.

– Ale... proszę poczekać. – Rebecca podbiegła do niej. – To pani, prawda?

– Nie – rzuciła przez ramię. – Proszę dać mi spokój – warknęła.

Wyszła przed blok i skręciła w lewo.

– Figuerola twierdził co innego.

Rebecca podparła się pod boki, patrząc jak dziewczyna przystaje. Na jej twarzy pojawił się krzywy uśmiešek.

– Czyli jednak nie kłamał – burknęła pod nosem.

– Słucham? – Rebecca zbliżyła się i przedstawiła, wyciągając rękę. – Rebecca Mulligan, TH1.

Hayley miała drobne dłonie, lecz pewny uścisk.

– Chodził za mną, nie wiedziałam, czego chce.

– Prosiłam o kontakt w pewnej sprawie.

– Tak, teraz rozumiem. Tyle że to podejrzany typ i choć dla swoich raczej niegroźny, miewa różne dziwne pomysły.

– Możemy chwilę porozmawiać? Zapraszam na kawę. Tuż za rogiem serwują świetną latte.

– Najlepszą, jaką znam – przytaknęła rozpromieniona. – I nawet właśnie tam idę.

– Jest pani umówiona? Hm, może więc...

– Nie, idę do pracy. Proszę.

Rebecca zaproponowała, aby pojechały samochodem, ale Hayley wolała się przespacerować. Kawiarnia znajdowała się na samym końcu brukowanego zaułka i wyglądała z zewnątrz tak, że aż chciało się wejść do środka. Wnętrze zaś nie tylko spełniało te oczekiwania, ale wręcz zaskakiwało mozaiką barw i wyszukanym wystrojem. Przebywając tam, miało się wrażenie, że pomyliło się drzwi i zamiast wejść do kawiarni, wstąpiło się do butik. Wszędzie bowiem stały wieszaki na kółkach, dźwigając setki kreacji od najlepszych projektantów. Klientki mogły się dowolnie przebierać w specjalnych przymierzalniach i przechadzać po dywanie imitującym wybieg, rozłożonym między stolikami i licznymi lustrami. Co więcej, ubrania te pozwalano wypożyczać, lecz nie na dłużej niż na dobę i tylko po złożeniu zamówienia obejmującego przynajmniej kawę i ciastko. Dlatego dbające o linię nastolatki przychodziły tu ze swoimi młodszymi braćmi lub siostrzeńcami. Ale w Lily's Weekend dało się zjeść nie tylko smacznie i w miarę tanio, lecz również zdrowo. Większość wyszukanych łakoci przyrządzano bowiem bez smażenia, cukru, soli czy glutenu. Za to z owocami, kremem z pestek dyni lub słonecznika i z żytniej mąki.

Za kontuarem pojawił się blondwłosy chłopak z pięciokilogramowym workiem palonych ziaren kawy z Kostaryki, jak objaśniał czarny, lekko rozmazany stempel. Kiedy tylko je zobaczył, uśmiechnął się i nastawił ekspres.

- Cześć, Peter – powiedziała Hayley Chiba.
- Cześć. Dobrze cię widzieć. Podwójne espresso? – zapytał i sięgnął po kubek.
- I jedno latte. To jest Rebecca Mulligan z TH1.

Peter wyszedł do nich i ujął dłoń Rebecci.

- Peter Collins. Bardzo mi miło.
- Mnie również.
- Życzy pani sobie zwykłą czy macchiato?
- Zrób jej tę swoją – wtrąciła Hayley.
- Zechce pani zaryzykować? – spytał Peter.

- Z miłą chęcią – odparła Rebecca, wdzięcząc się i luzując pasek płaszcza.

Hayley tylko pokręciła głową.

- Myślałam, że jesteś modelką – powiedziała Rebecca, gdy usiadły przy stoliku.
- Tak, ale nie Carą czy Gigi. Czasem dostaję dużo zleceń, a czasem tygodniami wcale. I nie płacą mi aż tyle. Poza tym to miejsce stworzyła moja najlepsza przyjaciółka. Peter to jej brat.

- Też modelka? Od razu widać.
- Uhm. Podoba ci się?
- Bardzo, byłam tu już i na pewno wrócę.

Peter przyniósł im kawy do stolika, Rebecce w wysokiej szklance, Hayley w kubku.

- Idę – powiedział. – Gdybyś czegoś potrzebowała... – zwrócił się do Hayley.
- Dam sobie radę.
- Jak zawsze – przyznał. – Dzięki.

Kiedy odchodził, Rebecca zauważyła, że pod purpurową bluzą, którą miał na sobie, rysują się całkiem przyzwoite mięśnie.

- O co chciałaś mnie zapytać? – odezwała się Hayley.
- O to, co zaszło w Sholing. To ciebie napadnięto na peronie, czy tak?

Hayley patrzyła na Rebeccę z nic nie wyrażającą zimną miną.

- Wolę pozostać anonimowa – powiedziała w końcu.
- Oczywiście. Dlatego nie zawiadomiłaś policji.
- Na pewno o mnie nigdzie nie wspomnisz?
- Masz moje słowo.
- Ile jest warte dzisiaj słowo dziennikarki?

Rebecca się zaśmiała.

- Chodzi mi tylko o napastnika. O nic więcej.
- Podobno to ważne. Przynajmniej zdaniem Figueroli.
- Jeszcze nie wiem, ale tak podejrzewam. – Rebecca ostrożnie upiła łyk. – Mmm, pyszne! Cynamon?

- Tajemnica przedsiębiorstwa – uśmiechnęła się Hayley. – Co chcesz wiedzieć?
 - Jak byś go opisała?
 - Było ciemno. Wszystko działo się tak szybko...
 - Jakiego był wzrostu?
 - Dość wysoki, wyższy ode mnie o głowę, a miałam szpilki.
 - Dobrze zbudowany?
 - Wielki, ale raczej otłuszczony, przez to nieporadny i wolny, dzięki czemu jakoś udało mi się wyszarpać.
 - Czego chciał?
 - Nie wiem, nawet się nie odezwał. Zaszedł mnie od tyłu i złapał za ramię. Odwróciłam się i wtedy zaczął mnie dusić. Kiedy napał całym ciężarem swojego obwisłego cielska, nogi się pode mną ugięły. Myślałam, że kręgosłup złoży mi się w harmonijkę. Zupełnym przypadkiem, próbując ustać, nadepnęłam mu na stopę, wbijając obcas nad butem. Musiało go porządnie zabolec, bo najpierw jęknął i mnie puścił, a chwilę potem usłyszałam brzdęk i zobaczyłam pistolet leżący na ziemi.
 - Co było dalej? – Rebecca zastygła z filiżanką w dłoni.
 - Byłam szybsza. – Hayley wzruszyła ramionami. – Podniosłam broń i zdzieliłam drania w szczękę.
 - A potem?
 - Uciekłam, nie oglądając się za siebie.
 - Widziałaś jego twarz?
- Hayley pokręciła głową.
- Miał kominiarkę.
 - Pamiętasz coś jeszcze?
 - Chyba już nic.
 - A co stało się z bronią?
- Hayley westchnęła.
- Została tam. Upuściłam ją, nie myślałam, po prostu biegłam ile sił.
 - Jaki to był pistolet?
 - Nie znam się na broni. Mały, srebrny, zaskakująco ciężki jak na swoje wymiary.
 - Zauważyłaś jakiś symbol, oznaczenie na lufie lub rękojeści?
 - Niestety nie. Myślisz, że znów zaatakuje?
 - Oby nie – odpowiedziała bezrefleksyjnie. – Może miał tłumik?
 - A co to takiego?
 - Przedłużenie lufy niwelujące huk wystrzału.
 - Nie, chyba nie. Chociaż... nie wiem. Może.
- W kawiarni pojawiła się pierwsza klientka, odkąd Hayley i Rebecca tam przyszły.

- Przepraszam – powiedziała Hayley i wstała.
- Gdybyś sobie coś jeszcze przypomniała, daj znać, proszę. – Rebecca położyła na stole swoją nową wizytówkę. Ta wciąż pachniała farbą drukarską, miała wypukłe litery i odblaskowe logo stacji.

18

Hej, Anne, cześć, dziewczyny! – powiedział długowłosego chłopak w kurtce z kołnierzem ze stójką i torbą na ramieniu.

Anne Faezi kończyła właśnie obiad składający się z ryby, sałaty i butelki wody mineralnej. Zrezygnowała z frytek, które uzupełniały danie dnia w uczelnianej stołówce. Żadna z jej dwóch przyjaciółek nawet przez chwilę o tym nie pomyślała.

– Cześć, Tom! – odwzajemniły pozdrowienie i uśmiech.

– Gotowe?

– Jasne – odparła Ruby, blondynka o niezwykle jasnych oczach.

Thomas Flood popatrzył wyczekująco na Evie, szatynkę lubiącą mocno podkreślać usta różnymi odcieniami czerwieni, i Anne, jak zwykle olśniewająco piękną, z kosmykiem obowiązkowo opadającym na policzek.

– Mamy wszystko – przytaknęła Anne.

– No to jedziemy! – ucieszył się Thomas i zebrał tace.

– Spotkajmy się na parkingu – zaproponowała Anne. – Muszę jeszcze zapalić.

Thomas skinął głową i odniósł naczynia.

Anne rzuciła przyjaciółkom porozumiewawcze spojrzenie i dziewczyny się rozdzieliły. Idąc korytarzem, widziała kątem oka, jak drobna kobieta o farbowanych na platynowy blond włosach wstaje od stolika w rogu i podąża w jej kierunku. Wtedy Anne przyśpieszyła kroku i wbiegła schodami na piętro. Tam skręciła w lewo i zanim otworzyła drzwi czytelnicy, dyskretnie upewniła się, że jest obserwowana. W środku przecięła główną salę i weszła do ciemni, gdzie pod sufitem, nad fioletowymi pojemnikami wisiało parę zdjęć, ale nikogo nie było. Podeszła do wielkiej granatowej rolety zasłaniającej wnękę okienną i ją podniosła. Otworzyła prawe skrzydło zalepionego folią okna i wskoczyła na parapet. Po wąskim, lecz płaskim gzymsie mieszczącym pół podeszwy buta, przesuwając się bokiem, a przodem do ściany, dobrnęła do rynny, którą sprawnie zeszła na sam dół.

Gdy Thomas wyszedł przed gmach uniwersytetu, Anne, Ruby i Evie czekały już przy samochodzie.

– Wstąpimy po drodze do sklepu. Skończyły mi się papierosy – wyjaśniła Anne.

Ruby usiadła za kierownicą bmw A5, Thomas z tyłu, po lewej stronie. Pojechali na północny-wschód, w kierunku miejscowości East Lawant, gdzie mało ruchliwa, miejscami bardzo wąska, lecz niezmiennie równa szosa prowadziła lekko pod górę, aż

do odległego o ponad cztery mile Charlton. Potem przechodziła w kamienistą North Lane, wiodącą wyżej, kolejne trzy mile w głąb Parku Narodowego South Downs. Zatrzymali się na początku tej trasy, na szerokim poboczu, obok quada, na który potem się przesiedli. Przepakowali torby i plecak i ruszyli. Pojazd pracował o wiele ciszej niż inne o tej pojemności silnika, dysponował niezłym przyśpieszeniem i zabierał do trzech osób. Jedna szczupła dziewczyna więcej nie robiła większej różnicy, jeśli chodzi o komfort jazdy, który i tak był marny, a policją się nie przejmowali. Kiedy dotarli do miejsca, gdzie utwardzona dróżka zmieniała się w piaszczyste wyboje, zaparkowali w jeszcze niedawno wysokiej, teraz zwiędłej i pokurczonej trawie.

– Startuję pierwszy – rzekł Thomas po wyjściu z samochodu.

– Nie ma mowy – zaprotestowała Evie. – Musisz nas ubezpieczać.

– Zawsze to robię i tylko wlekę się za wami.

– Dobra, dobra – wtrąciła Ruby. – Trzymaj się planu i nie marudź.

– Niech jedzie – powiedziała Anne. – Ja mogę dzisiaj pilnować tyłów.

– Skoro tak... – niechętnie zgodziła się Evie, sznurując rolki na pompowanych kółkach. Potem włożyła kask. Przebrała się jako pierwsza i nie zapomniała o krótkiej rozgrzewce. Zrobiła serię skłonów, kilka wariacji ruchów ramion oraz skręty tułowia. Na koniec zostawiła sobie przysiady.

– Starczy – stwierdziła Ruby, kładąc jej dłoń na karku.

Uśmiechnęły się do siebie i ustawiły w szyku. Jako pierwsza na trasę zazwyczaj ruszała Anne, torując drogę pozostałym, pokazując wyuczonymi gestami, na co należy uważać i gdzie zwolnić, z której strony omijać przeszkody. Obserwując jej ruchy, dziewczyny wiedziały, kiedy i jak złożyć się, aby najlepiej wejść w zakręt. Ale tego dnia na czele miał pojechać Thomas, panczenista, srebrny medalista młodzieżowych mistrzostw kraju sprzed dwóch lat. W terenie radził sobie nie gorzej niż na torze łyżwiarskim, czyli doskonale, lecz często przesadzał, popisując się i nadmiernie ryzykując, aż pewnego razu wypadł z trasy i uderzył w latarnię. Choć wszystko wyglądało naprawdę groźnie, mógł mówić o niebywałym szczęściu, bo tylko zwichnął sobie bark. Jednak wydarzenia owego feralnego poranka na dobre zapadły w pamięci dziewczyn, które potem w trosce o ego Thomasa powtarzały uparcie, że stawkę powinien zamykać ktoś z twardą głową, ktoś taki jak on, aby w razie czego zapanować nad sytuacją. Wtedy bowiem Anne, Ruby i Evie kompletnie spanikowały. Obserwowały jak Thomas po trzech pełnych obrotach w powietrzu odbija się od ziemi i pada bezwładnie jak szmaciana lalka. Później przez jakiś czas leży bez oznak życia, z twarzą w młodych pędach kukurydzy i z podwiniętymi kończynami. Dziewczyny z wrażenia cudem nie powpadały jedna na drugą. Zdołały wyhamować i czym prędzej

pobiegły mu na pomoc, lecz nie były w stanie jej udzielić, chociaż po obowiązkowym kursie w szkole doskonale wiedziały, co robić. Ruby niesamowicie trzęsły się ręce, Anne zaś zanosła się konwulsyjnym płaczem i przez parę minut nie umiała się uspokoić. Evie z kolei tak plątał się język, że dyspozytor pogotowia ratunkowego nie zdołał jej zrozumieć, a w końcu rozłączył się, będąc przekonany, iż jakieś szczeniaki postanowiły sobie z niego zażartować.

– Tylko nie szarżuj – powiedziała Anne i pocałowała Thomasa w usta. – Proszę.

– Teraz to na pewno się przewróci – odezwała się Ruby i obie z Evie zaczęły chichotać.

Anne też się uśmiechnęła, przewróciła oczami, wyszła przed szereg i odepchnęła się od podłoża.

– I gdzie się pchasz? – zaprotestował Thomas.

– Spróbujcie za mną nadażyć – rzekła i puściła do niego oko.

Kolejny ruch nogą, tym razem prawą, i już nabierała prędkości. Przybrała aerodynamiczną pozycję, nieco się pochylając i mocno pracując rękami. Kiedy wystarczająco się rozpędziła, wyprostowała je i skierowała za pośladki. Pędziła tak, tnąc powietrze, aż zniknęła za wirażem, by po chwili pokazać się na niższym odcinku drogi, wijącej się w dół z boczna niczym serpentyna.

– Teraz ty, Evie – rzucił zrezygnowany Thomas.

Evie nie zjeżdżała tak szybko jak Anne, ale niewiele wolniej. Zamiast prostować ręce, zginała je w łokciach i przyciskała do klatki piersiowej. Dłonie zaciskała wtedy w pięści. Potrafiła niżej się pochylić i przez długi czas nie garbić, układając ciało w kąt prosty.

Kółka dobrze trzymały się podłoża, szum zaś, jaki wytwarzały na szutrze, prędeż przywodził na myśl staczającą się z góry małą ciężarówkę niż filigranową dziewczynę gnającą na oślep niczym polny wiatr. Na krzywiznach i wybrzuszeniach terenu Evie na chwilę odrywała się od ziemi, by przyjąć sporą dawkę adrenaliny i z ulgą wylądować na nogach.

Zmieniające się połaciami kolory roślin wypełniających przestrzeń po prawej i po lewej zlewały się w osobliwy kolaż, którego nie powstydziliby się nawet sam Wes Hughton. Oczywiście, gdyby tylko tworzył w tej technice.

Zbliżał się moment, który mogłaby określić jako sprzeczność. Nadciągał szybciej, niżby sobie życzyła. Prowizoryczna droga miała zaraz przejść w gładki asfalt. Cóż z tego, skoro łącznikiem był tłoczny i gwarny rejon miasta Charlton. Niezwykle wymagający punkt trasy i tak już niewybaczającej błędów, nawet tych najdrobniejszych.

Evie, podobnie jak jej przyjaciele, zdążyła nauczyć się niniejszego wycinka planety na pamięć, ale przy trzydziestu milach na godzinę sama znajomość ukształtowania terenu to nie wszystko. Znikąd mógł pojawić się człowiek, w zaroślach nieraz kryły się zające, które spłoszone na ogół umykały w pola, ale nieraz wyskakiwały na drogę. Pojedynczy kamień znajdujący się na torze jazdy, niezauważony, byłby zdolny doprowadzić do tragedii.

Anne wytracała prędkość, stawiając tułowiem opór powietrzu, gdy Evie z daleka dostrzegła znak stopu. Staraly się nie hamować wrotką, aby nie wyryć w miękkiej nawierzchni rowków, które kiedyś wytrąciły Ruby z rytmu i ta zanurkowała w kwiatkach paproci.

Kiedy sznur samochodów przesunął się na zachód, Anne przecięła ukosem skrzyżowanie i dała znak pozostałym, że droga wolna. Trzymali się blisko siebie, tworząc zwarty szereg, więc również jadący w ogonie Thomas polegał na sygnałach wysyłanych przez Anne. Dziewczyna poprowadziła ich trzema ulicami oddzielonymi rondem i wydostali się na mniej ludne przedmieścia. Tym razem obyło się bez problemów i spięć z kierowcami.

Lecz gdy wydawało się, że najgorsze już minęło, Anne zaczęło znosić do przeciwległej krawędzi dwupasmówki. Minęła linię środkową i skręcała dalej, co zaniepokoiło i Evie, i Ruby. Thomas natomiast początkowo myślał, iż dziewczyny po prostu zmieniają się na prowadzeniu, ale szybko zrozumiał, że coś jest jednak nie tak.

Po chwili zza wirażu wyłonił się bowiem samochód, a ona dalej poruszała się pod prąd. Wszystkich ogarnęło widmo czołowego zderzenia, tylko nie Anne, która zdawała się nic sobie z tego nie robić. Zawsze błyskawicznie reagująca i dobrze oceniająca sytuację, nagle straciła instynkt samozachowawczy i biernie czekała na kolizję.

– Anne! – krzyknęła Evie.

Potem jeszcze raz, trzeci i czwarty, aż nawoływanie przeszło w pisk.

Anne Faezi nagle poczuła się źle. Zrobiło jej się słabo i ciemno przed oczami. Naraz zdrętwiały jej obie nogi i nie mogła już nimi kierować. W mgnieniu oka zdała sobie sprawę z tego, że się przewróci, i usiłowała możliwie najszybciej zwolnić. Gwałtowne hamowanie równało się upadkowi, pamiętała o tym. Łapała równowagę, rozkładając ręce, ale i to przychodziło jej z coraz większym trudem. Słyszała rozpaczliwy głos Evie i klakson samochodu. Wtem, nawet nie wiedziała kiedy, zawadziła o coś, jakby o próg, i wybiła się, a nogi stały się zbyt lekkie i dotknęła końcami palców ziemi. Otoczenie wirowało, pasmo barw kręciło się wokół niej. Evie, Ruby i Thomas widzieli, jak Anne wpada na pas zieleni, robi salto, potem z kolei piruet i pada na trawę.

Pierwsza do Anne dotarła Ruby. Rzuciła się przed nią na kolana.

– Anne, odezwij się!

Anne Faezi, mimo że leżała na plecach i miała oczy na wpół otwarte, nie kontaktowała.

– Nie oddycha! – krzyknęła Ruby. – Ona...

– Odsuń się. – Thomas szybko upewnił się, że to prawda.

A żeby tego było mało, serce Anne również przestało pracować. Niezwłocznie rozpoczął jego masaż. Na głos liczył uciski, gdy Ruby przygotowała się do przeprowadzenia sztucznego oddychania metodą usta-usta. Kiedy przyszła na to pora, zachowała się właściwie, o czym świadczyły ruchy klatki piersiowej Anne.

Evie łzy ciekły po policzkach i napływały do ust, ale z zimną krwią wytłumaczyła przez telefon, gdzie się znajdują, co stało się jej przyjaciółce i w jakim ona teraz znajduje się stanie.

Po zaledwie dwóch minutach na miejsce dotarła karetka. Lekarz, który wyskoczył z niej w biegu, wcisnął się między Ruby i Thomasa i zbadał Anne dotykiem, osłuchiwał ją, a na końcu podłączył do jej klatki piersiowej elektrody. Potem westchnął, zamarł i ściągnął stetoskop z szyi. Przeniósł wzrok na Ruby, następnie na Thomasa i wreszcie na Evie.

– Bardzo mi przykro – powiedział cicho.

Ruby wybuchła rzewnym, spazmatycznym płaczem.

– Ale co pan robi?! – wściekł się Thomas. – Niech pan ją ratuje! – krzyknął za lekarzem, który podniósł się i wraz z kolegą oddalił na dwa kroki. – Do cholery, słyszysz, dupku, co do ciebie mówię?! Ratuj ją! – Thomas zerwał się na równe nogi i prawie dopadł do lekarza, gdy kierowca ambulansu złapał go i przytrzymał.

– Chłopcze, uspokój się – rzekł ciepło, cierpliwie, patrząc mu w oczy. – Ona nie żyje.

19

Inspektorze Snow... – odezwała się Chloe Clarke.

– Nie teraz. – Terry Snow machnął ręką, gdy ją mijał, i wparował do swojego gabinetu.

Wewnątrz czekało czworo członków grupy wyznaczonej do pilnowania Anne Faezi. Trzech mężczyzn i platynowa blondynka. Kiedy tylko drzwi się otworzyły, wszyscy wstali. Chloe Clarke została na korytarzu. Czekala, przestępując z nogi na nogę.

Snow obszedł biurko i ze złością rzucił na nie akta.

– Nie będę operował nazwiskami, żeby nie poczuła się pani urażona... – powiedział z ironią. – Oczekuję wyczerpującego raportu. – Popatrzył po nich pełen złości. – To wszystko, dziękuję.

Wyszli pośpiesznie, jedno za drugim. Wtedy Chloe zapukała i zajrzała do środka.

– Później – odbąknął Snow. Wpatrywał się w okno z rękoma w kieszeniach.

– Rozmawiałam z Anne Faezi.

– Kiedy? – Dopiero teraz się odwrócił.

– Rano.

– Dzisiaj?

– Tak.

– Bez mojej zgody?

– Przepraszam.

– O czym?

– Pokazałam jej zdjęcia ofiar.

– Co zrobiłaś? – Snow wyglądał, jakby miał ochotę ją udusić.

– Mniejsza o to. Odkryłam powiązanie.

– Między Jane Cook i Kelly Robinson? – Wytrzeszczył oczy i złagodniał. Podszedł bliżej.

– I Anne Faezi.

– Siadaj i mów.



Mały samolot pasażerski przez niemal cały rejs wpadał w niegroźne turbulencje, które z czasem stały się bardzo irytujące. Nad pustynią zaś zaczęło trząść mocniej i częściej.

Jedyna na pokładzie stewardesa, długonoga brunetka z uroczymi dołkami w policzkach, zabrała wtedy Owenowi plastikowy kubek i przyniosła niepełną butelkę niegazowanej wody. Pozostali pasażerowie chętnie zamawiali też środki uspokajające i przekąski, przeważnie babeczki oblane gorzką czekoladą i posypane orzeszkami. Owen nie był głodny. Zdążył zjeść kolację w niewielkiej restauracji w terminalu numer jeden na Benito Juárez. Do drugiego dostał się automatyczną jednotorową kolejką sunącą przez trzy kilometry wiaduktów. W swoim wagonie zauważył człowieka, który wydał mu się podejrzany. Podróżował sam, bez bagażu, miał nieciekawny wyraz twarzy i wschodnioeuropejski akcent. Kiedy przechodził przez bramkę w punkcie odpraw, w jego ręku pojawił się czarny neseser. Owen nie potrafił orzec, skąd i kiedy ów mężczyzna mógł go wziąć. Podobnie jak Owen nie przejmował się on zawirowaniami podczas lotu, czego nie dało się powiedzieć o innych obecnych. Kobieta siedząca obok Owena kurczowo trzymała się torebki, która i tak dwukrotnie spadła jej z kolan. Raz, gdy półka oderwała się od oparcia poprzedzającego ją fotela i opadła z hukiem, i drugi, kiedy schowek nad nimi otworzył się samoistnie. Wszystko wokół chrobotowało i podskakiwało. Z wielką ulgą przyjęto więc informację o zbliżającym się lądowaniu.

Port lotniczy w Torreón okazał się większy niż Owen przypuszczał, a obsługa naziemna działała nad wyraz szybko i sprawnie. Tu już nikt nie oczekiwał od niego okazania wizy, jak to miało miejsce w stolicy. Świeżość ciepłego powietrza kontrastowała z tym, czego uświadczył między pokładami boeinga 787 i embraera 190. Silny wiatr dawał się jednak we znaki, bujając roślinnością i świszcząc. Blask pomarańczowego światła latarni okalających główne wejście muskał roztrzęsione liście palm i odbijał się w ciemnogrnatowym lakierze chryslera, którego Owen wynajął na dwie z góry opłacone doby. Rzucił poręczną torbę na tylną kanapę, wcelował kubkiem kawy w uchwyt i ustawił nawigację. Zgodnie z nią od celu dzieliło go ledwie dziesięć kilometrów. Sądził, że zaraz będzie na miejscu, ale gdy wyjechał z miasta i zobaczył, w jakim stanie znajduje się droga międzystanowa, zmienił zdanie. Pokrywał ją piach nawiewany z pobliskich pól. Długimi odcinkami linie oddzielające pasy ruchu były zupełnie niewidoczne. Boczne szyby niemal natychmiast oblepiły się brązową masą, sensor deszczu poganiał wycieraczki, mimo że nie padało. Ziemista zasłona sypała się zewsząd, momentami bardzo gwałtownie. Nieustannie spychany na przeciwny tor jezdni, dwa razy wypadł nawet na pobocze. Gdy zaś skręcił w prawie niedostrzegalną zwirową dróżkę, niczym nie różniącą się od okolicy, warunki zrobiły się jeszcze trudniejsze. Teraz jechał prawie na oślep. Widoczność spadła do dwóch, może trzech jardów, silnik zaczął tracić moc. Wiedział, że jeśli drobinki piachu zapchają chłodnicę, utknie na pustkowiu na całą noc. Albo i dłużej.

Zaciągnął ręczny i wysiadł, podniósł maskę i wcisnął bluzę pod kratę chłodnicy. Ten sam wiatr, który przed chwilą blokował drzwi, teraz szarpał nim i kołysał samochodem. Owen zorientował się, że dalej droga wiodła korytem wydrążonym w coraz wyższych skałach, krętym i wąskim. Kiedy po połowie mili zaczęła się wznosić, z góry stoczyło się kilka kamyków, potem jeszcze jedna partia i kolejne dwie. Nadlatywały w niedługich odstępach czasu i uderzały w przód chryslera, bębniąc i łomocąc. W pewnej chwili przez harmider zamieci przedarł się dźwięk tłuczonego szkła i wkrótce prawa lampa zgasła. Niewiele później tył samochodu uniósł się na tyle gwałtownie i pod takim kątem, że Owena przed zsunięciem się na kierownicę uratował jedynie zapięty pas. Ten wpiął się mu w brzuch, zabierając na moment dech. Na stromym i nierównym zjeździe koła traciły przyczepność. Wszystko przez sypką, nieubitą warstwę podłoża, naniesioną obficie przez burzę i zalegającą na cięższej ziemi. Samochód płynął wraz z jej nurtem, rzucały to na lewo, to na prawo. Owen hamował na przemian pulsacyjnie i silnikiem, co jednak wcale nie skutkowało. Na wirażu obtarł prawie cały bok, od kierunkowskazu po wlew paliwa, lecz właśnie wtedy odzyskał kontrolę. Opony złapały trochę twardego i z powrotem skręcały tam, gdzie chciał. Tylko że w punkcie, w którym według mapy powinien znajdować się rozstaj dróg, ujrzał tylko bliźniacze głązy. Zredukował bieg i toczył się, aż we wznoszonych tumanach ziemi wytworzyły się szpary. Odrobinę pojaśniało i na południu zamajaczyły światła niczym gasnące łebki zapalek. Wnet znikły z chmurą skalnej wydzieliny, ale już wiedział, gdzie się kierować.

W odległości około stu jardów znajdował się ostatni czynny szyb w promieniu dziesięciu mil, a tuż przed wejściem do niego drewniany piętrowy dom z dużą werandą i ostrym dachem, gdzie sypiali górnicy z miasteczka, chcąc przeczekać burzę piaskową, lub przyjezdni sezonowo najmujący się do pracy. Za wschodnią ścianą budynku, pod solidną wiatą stały dwa stare, pordzewiałe dystrybutory paliwa. Obok jednego z nich parkował pickup, którego jasny kolor ledwie prześwitywał spod ziemistego pokrycia. Owen zatrzymał się równolegle, naciągnął kurtkę na głowę i pobiegł do drzwi. Mimo to we włosy zdążyło napchać mu się sporo piachu, a parę ziaren poczuł również na języku. W progu otrzepał się pobieżnie, wewnątrz skupił na sobie kilkanaście – jeśli nie więcej – par oczu podkreślonych brunatnymi kreskami pyłu węglowego. Na grubym drewnianym filarze pośrodku obszernego salonu wisiał telewizor, był włączony, ale najwyraźniej nikogo akurat nie interesował.

- Zabłądziłeś, *gringo*? – roześmiał się ktoś, zawtórowało mu kilka innych głosów.
- Rusczy – odparł Owen, po czym umilkli wszyscy, co do jednego.

Zapadła wyczekująca cisza, jaką po chwili przerwał staruszek stojący przy czymś w rodzaju lady:

– Może piwo?

Owen musiał przejść przez cały pokój, aby tam dotrzeć.

Długobrody siwy mężczyzna o suchym, żyłastym ciele schylił się niezdarnie i sięgnął po butelkę, którą otworzył drżącą ręką, za drugą próbą.

– Będzie trzynaście pesos – powiedział, przesunąwszy lokalny popular. Oparty oburącz na deskach łączących dwie beczki, charczał i się ślinił.

Owen usadowił się na stołku i zapłacił.

– Pilnuję tej budy już prawie czterdzieści siedem lat – podjął starzec, usiadłszy po drugiej stronie. – Ale Bóg mi świadkiem, takiego chłystka tu jeszcze żem nie widział. – Gdy mówił, pokazywał nieliczne zęby i wysuwał język na dolną wargę. – Czegoś chciał? – spytał z lekką pogardą.

– Pogadać.

– Aha, z nimi? – Uniósł brwi, wskazując na schody na piętro. – No, chętnie to zobaczę. – Powątpiewająco pokręcił głową.

– Ilu ich jest? – zapytał Owen.

Trunek nie smakował rewelacyjnie, ale skutecznie gasił pragnienie.

– Bo ja wiem, może ze dwóch.

– Tylko?

– W sumie to chyba pięciu, ale reszta jak wybyła z rana, tak jeszcze żaden się nie pokazał.

– Który pokój?

– Od razu po lewej.

– Dzięki.

– Ech... – mruknął staruszek i pociągnął się za ucho.

Owen od razu po wejściu na górę nacisnął pierwszą z brzegu kłamkę. Wcześniej wyciągnął broń. Gwałtownie napał na drzwi, zniecka wdzierając się do środka. Celował po pokoju, ale nikogo tam nie było. Pomieszczenie składało się ze stolika, dwóch krzeseł i czterech łóżek, w tym dwóch piętrowych. Nosiło ślady pomieszkiwania, lecz brudne, wytarte na kolanach spodnie robocze na szelkach, rzucone niedbale na podłogę, i ciężkie, znoszone buty na grubych podeszwach, ustawione w szeregu w kącie świadczyły raczej o bytności górników niż kogokolwiek innego. Owen już chciał się wycofać, gdy drzwi do pokoju z naprzeciwka otworzyły się ze skrzypem i ktoś wyszedł na korytarz. Zaraz potem usłyszał szcęk przekręcanego w zamku klucza. Sądząc po odgłosie kroków, był to postawny mężczyzna. Przystanął przed uchylonymi drzwiami, za którymi przycał się Owen, ale szybko skierował się na schody i oddalił. Owen odczekał chwilę i doskoczył do progu pokoju, który tamten opuścił. Sprawdzał, czy zamknięte, wyjął tłumik, przykręcił do lufy swojego sig sauera

i przestrzelił zamek. W okamgnieniu wparował do wnętrza, mierząc przed siebie. Od razu zorientował się, że człowiek leżący na łóżku przy oknie, plecami do wejścia, został sam. Rozpoznał tę czuprynę, poplątane, tłuste włosy, czarne i gęste. Chudy kark i wąskie plecy. Ellis, bez wątpienia on, nie był nawet skuty. Owen zakradł się na palcach i zakrył mu usta dłonią. Chłopak poruszył się wtedy i zaczął wyrywać jakby dostał drgawek, ale nie zdołał przełamać siły chwytu.

– Darren, to ja, Owen – szepnął mu do ucha.

Jednak Ellis szarpał się dalej, z równie marnym skutkiem. Próbował też krzyczeć.

– Przestań. – Owen podniósł głos i wykręcił Ellisowi głowę, kierując jego spojrzenie na własną twarz.

Dopiero wówczas Ellis się uspokoił i Owen go puścił.

– Co pan tu robi, komisarzu? – spytał zdumiony.

– A ty? Idziemy.

Chwycony pod rękę, Ellis stanął do pionu i mimowolnie podążył za Owenem.

– Dziadek pana wpuścił? – zapytał już na korytarzu.

– Co ty bredzisz?

– Zarządca, miły facet.

– Trzymaj się za mną.

Schodzili po schodach, gdy zostali zauważeni.

– Dimitri – powiedział Ellis.

Wysoki, barczysty, biały mężczyzna z ogoloną na łyso głową wpatrywał się w nich z głębi sali.

– Gdzie?! – wrzasnął i wymierzył palcem w Ellisa. Jego potężny, owłosiony tors i masywne ramiona pokryte były wątpiwej urody tatuazami.

– *Caramba!* – wykrzyknął staruszek.

Obejrzał się nawet Dimitri. Potem zarechotał i pociągnął z butelki.

– Jeśli pozwolisz... – podjął siwobrody. – Zamknęłeś gagatka na strychu, więc on o piwnicy śnić zaczął.

– A bodaj cię dunder świsnął! – parsknął śmiechem dryblas wyglądający na oprycha.

– Ha, ha, ha! – poniosło się po pomieszczeniu, niczym narastające echo.

– Co oni mówią? – zapytał zdezorientowany Ellis.

– Że nie lubią, jak ktoś tu przyjeżdża i się rządzi, jakby był u siebie – odparł Owen i pociągnął chłopaka za sobą.

Kiedy mijali Dimitriego, ten przepchnął się do przodu i położył rękę na karku Ellisa, ale chwilę potem na jego głowie rozbiła się butelka. Rosjanin zatoczył się i upadł, gdyż trafiony w kość skroniową, musiał stracić przytomność. Dopiero wtedy Owen ujrzał

niepozornego górnika w wyblakłej koszuli, któremu w dłoni została tylko szyjka butelki, a piwo lało się po rękawie. Dimitri szybko się ocknął i podźwignął, lecz kopnięty przez kogoś w brzuch, ponownie wyciągnął się jak długi. Staruszek przecisnął się wówczas przez mężczyzn tworzących krąg i wykrzyknął:

– Mamy tu Meksyk, o jakim marzyłeś!

Naraz rozległy się wiwaty i uniesiono szklanki i butelki. Alkohole wylewały się ze szkielek i pokropywały podłogę. W tym czasie Owen wyprowadził Ellisa z budynku i zaciągnął go do samochodu.



Neil Oakley przechadzał się po przestronnym, owalnym gabinecie z dłońmi w kieszeniach i zrzędłą miną.

– Jak to pani tego nie zrobi? – pytał ze złością.

Rebecca Mulligan przysunęła plecy do oparcia krzesła.

– Nie wszystko w tej historii mi się zgadza. Albo raczej nic się nie zgadza.

– Tak, tyle już słyszałem.

– Uściślając, wątek Paula Barkleya w ogóle nie trzyma się kupy. Wiele faktów wręcz wzajemnie się wyklucza. – Założyła nogę na nogę i oparła brodę na zaciśniętej pięści.

– Pani Mulligan, tą sprawą zajmuje się wiele służb. My mamy ją jedynie nagłośnić.

– Niby jak? Przecież zablokował mi pan materiał.

– Owszem, bo wcieliła się pani w obrońcę Barkleya. – Zgiął nogi w kolanach i rozłożył ręce w geście zniecierpliwienia.

– Nie zgadzam się.

– Na co tym razem? – mruknął poirytowany.

– Z pańską konstatacją.

– Doprawdy?

– Rzetelność dziennikarska wymaga ode mnie obiektywności. Obliguje do sprostowania informacji, które przedstawiłam jako pewnik, a które były, jak się wydaje, co najmniej niepełne, by nie powiedzieć nieprawdziwe. Zresztą pan pierwszy powinien to zrobić.

– Zapomina się pani.

– Nie sądzę. Wprowadził pan swoich czytelników w błąd. I może być pan pewny, że doprowadzę do emisji tego reportażu. Jeśli nie pójdzie w TH1, pójdzie gdzie...

– O nie, nie... – wtrącił Oakley i zastukał palcem w biurko. – Podpisała pani klauzulę wyłączności. Nie może pani samodzielnie decydować o publikacji efektów swojej pracy, a także zdradzać jej szczegółów osobom trzecim. Grożą za to wysokie

kary umowne, że nie wspomnę o niesławie, jaką by pani na siebie ściągnęła. Zresztą chyba już nie pierwszy raz, prawda? Byłaby pani spalona w branży. Na dobre.

– Bo ujawniłam prawdę? – rzuciła z przekorą.

– Za złamanie tajemnic firmy – wycedził przez zęby.

– Nie muszę, a nawet nie powinnam wykonywać poleceń, które wypełniają znamiona przestępstwa – oznajmiła pewnym siebie tonem.

– Jakiego przestępstwa? – zaczął na pozór pobłaźliwie. – O czym pani mówi?

– O zniesławieniu, publicznym pomówieniu. Paul Barkley z pewnością wytoczy nam proces.

Dyrektor programowy stacji TH1 westchnął głęboko i wsparł się na parapecie.

– Dzisiaj już nie będziemy pani potrzebowali – oznajmił po chwili. – Proszę czekać na wiadomość i na razie wstrzymać się ze wszystkim... tym...

– A co z popołudniowym wydaniem wiadomości? Mam wejście na żywo...

– Ktoś panią zastąpi. Jest pani wolna.

– Zwolniona czy tylko zawieszona?

– Skończyłem.

– Ale...

– Dziękuję – uciął krótko Oakley i odwrócił się tyłem.

Gdy Rebecca Mulligan wyszła, nalał sobie koniaku i wybrał numer.

– Mamy problem – powiedział po drugim sygnale zasępionym głosem. – Postawiłem na złego konia.



Owen jechał, wypatrując drogi zasnutej ziemistą zamiecią, gdy wszystkie trzy lusterka chryslera rozbłysły oslepiającym światłem reflektorów. Z tyłu rozległ się potężny ryk silnika, przedzierał się przez niskie pomruki wiatru i bębnienie piachu o karoserię. Żółta ciężarówka doganiała ich w zatrważającym tempie. Wyboje, na których oni podskakiwali, wydawała się rozjeżdżać. Owen starał się przyspieszyć, ale samochód nagle zaczął tracić moc. Wtedy przypomniał sobie o zatkanej chłodnicy.

– Co się dzieje? – krzyknął Ellis.

Owen nie odpowiedział, dodał gazu. Kręcił kierownicą, usiłując wprowadzać samochód w coraz węższe zakręty, które – jak przypuszczał – musiały w końcu zatrzymać pościg. I tak też się po chwili stało, bo naraz z powrotem pociemniało i zrobiło się o wiele ciszej. Jednak tylko na krótki czas, gdyż zaraz po lewej, za pagórkem w kształcie wielkiego grzyba pojawił się silny blask i rozpędzona wywrotka staranowała ich, spychając w kierunku urwiska.

O tym, że podwozie chryslera zanurzyło się w suchym, spękany mule i ugrzęzło ledwie parę kroków od skalnego ustępu, Owen zorientował się kilka sekund później, kiedy ocknął się z głową zawieszoną nad kolanami i silnym bólem w klatce piersiowej.

– Panie komisarzu – wyszeptał Ellis. Usta miał całe we krwi, podobnie jak nos i czoło.

Wszędzie roilo się od odłamków szkła z szyb, które przestały istnieć. Podmuchy wiatru sypały piachem gdzie popadnie i z taką intensywnością, że nie dało się patrzeć.

Wnet ponury jęk zgniatanej blachy na moment przyćmił zmysły Owena, gdy ciężarówka cofnęła, odłączając się od chryslera. Owen natychmiast odpiął pas i sięgnął po broń, ale ta, wkomponowana w zmiażdżone drzwi, nadawała się już tylko do przetopienia.

– Zamknij oczy i leż – wymamrotał Owen, kiedy dwie osoby wysiadły z ciężarówki i szły w ich stronę. Jeden z mężczyzn po chwili szturchnął Owena, drugi w tym czasie otworzył łomem bagażnik.

– Patrz! – zawołał po rosyjsku do tego, który stał przy Owenu.

– Ile tu może być? – spytał po tym, jak zajrzał do środka.

– Bo ja wiem, dużo.

– Dolary. Amerykańskie.

– Myślisz, że szef odpali nam dołą?

– Nie.

– Uhm – westchnął niepocieszony.

Owen wykorzystał fakt, że otwór po tylnej szybie zasłaniała uniesiona klapa bagażnika i głową w dół wysunął się na ziemię. Następnie, ledwo słaniając się na nogach, podbiegł do ciężarówki i z mozołem wdrapał się do kabiny. Tam zaczął nerwowo przeszukiwać wszystkie kąty i zakamarki, gdy nagle usłyszał za sobą coś jakby szmer ruchu i chyba oddech. Nim się jednak odwrócił, poczuł uderzenie na skroni i bez kontroli wypadł na zewnątrz. Przed utratą przytomności zdążył jeszcze dostrzec długą latarkę w ręce mężczyzny wyglądającego zza siedzenia kierowcy.



– Ładnie tu – odezwał się Terry Snow, gdy dojechali na miejsce. Były to jego pierwsze słowa, odkąd opuścili siedzibę policji.

Wysokie kamienne ogrodzenie oplatały długolistne rośliny i wijące się pnącza. Wokół, przy drodze i na terenie kliniki, rosły chude, strzeliste choinki. Chloe Clarke przyłożyła legitymację służbową do oka kamery w słupku przy wjeździe i szeroka, dwuskrzydłowa brama z żelaza i aluminium bezszelestnie otworzyła się na oścież.

Okazały pałac w stylu wiktoriańskim wznosił się na pagórku na drugim końcu długiego placu. Żwirowa dróżka, mijająca niskie latarnie na przemian z prawej i lewej strony, wiodła przez bezkresny trawnik. Przed budynkiem znajdowało się rondo stanowiące zarazem parking, po środku którego stała ogromna fontanna z kremowej masy, teraz nieczynna. W tym samym tonie wykonano elewację, wielkie rzeźby zdobiące ganek oraz donice okalające dwa tarasy, jeden na pierwszym piętrze, drugi na wysokości dachu.

Nim Snow podjechał pod wzniesienie i okrążył rondo, na schodach przed głównym wejściem pojawiła się kobieta w białym kitlu. Obserwowała ich z dłońmi złożonymi w piramidkę i lekkim, oficjalnym uśmiechem. Wyglądała bardziej jak zakonnica niż pielęgniarka.

– Dzień dobry – powiedziała, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Dzień dobry – odparł Snow. – Sierżant Clarke, inspektor Snow. – Pokazali legitymacje.

– Doktor Milner, spodziewałam się państwa.

– To pani prowadziła Anne Faezi?

– Owszem, jednak nie wolno mi udzielać żadnych informacji na temat pacjentów.

Obowiązuje mnie tajemnica lekarska.

– Nie w sprawach o morderstwo – stwierdziła Chloe Clarke.

Doktor Milner na moment zamarła.

– Coś się stało? – zapytała półgłosem.

– Może przejdziemy do pani gabinetu? – zaproponował Snow.

– Oczywiście, ale czy mogę zobaczyć jakiś dokument? – odparła, odzyskawszy rezon. – Mają państwo nakaz?

– Zaraz tu będzie. Nie traćmy czasu.

– Nie rozumiem.

– Kolega za chwilę z nim przyjedzie.

– Zatem poczekajmy tę chwilę.

– Liczy się każda minuta – pouczyła ją sierżant Clarke.

– Nic nie poradzę. Przykro mi.

Lekko poirytowana Chloe chciała coś odpowiedzieć, ale Snow podniósł rękę, więc zamilkła.

– Ilu pacjentów przebywa obecnie w klinice? – zapytał. – Tyle chyba może pani zdradzić.

– Ośmiu – odrzekła krótko.

– Czy to norma?

– Tygodniowo przeprowadzamy od kilku do nawet kilkunastu zabiegów, ale nie wszyscy pacjenci decydują się na dłuższy pobyt.

– Nie muszą?

– Przy drobnych rekonstrukcjach nie jest to konieczne.

Wtem na horyzoncie rozbrzmiał niski, cylindryczny dźwięk silnika i po ogrodzie poniósł się nieznośny odgłos tarcia opon o białe kamyki. Kabrioletem w unikatowym kolorze skąpanego w słońcu piasku kierował Charlie Keane. Chloe poznała go z daleka po rudej, zaczesanej na bok grzywie, w tym momencie znacznie zmierzwionej przez wiatr.

– Mam – oznajmił Keane, gdy wysiadł i wymachiwał kartką papieru.

– Świetnie. – Snow przejął od niego dokument i wręczył doktor Milner.

Kobieta leniwie przesuwiała wzrokiem po kolejnych liniijkach tekstu.

– Dobrze – podjęła w końcu. – Ale czy mógłby pan przestawić samochód przed schodów?

– Przepraszam – odrzekł Keane i wyjął telefon. – Muszę odebrać, to z laboratorium.

– Chodźmy – powiedział Snow i skinął na sierżant Clarke.

Doktor Milner zaprowadziła ich do małego pokoju na parterze, gdzie zwykle przyjmowała pacjentów. Ciasne wnętrze składało się z biurka, trzech krzeseł, kozetki, wagi z miarą oraz jakiegoś urządzenia o niemałych gabarytach.

– Proszę usiąść – zaproponowała, lecz zabrzmiało to jak polecenie.

Potem uruchomiła laptop i zalogowała się do systemu.

– Może pan powtórzyć nazwisko?

– Anne Arezo Faezi.

Doktor Milner wprowadziła dane i zmarszczyła czoło.

– Hm... – mruknęła do siebie.

– Coś nie tak? – spytał Snow.

– Jakiś błąd...

– To znaczy?

– Pamiętam tę dziewczynę, ale w bazie jej nie ma.

– Niemożliwe.

– No właśnie... – Wstukała żądane hasło raz jeszcze. – Nic. – Zamyśliła się. – Proszę chwilę poczekać. – Podniosła słuchawkę i wcisnęła piątkę. – Mam problem z historią choroby, czy mógłby pan przyjść? – Rozłączyła się i podeszła do szafki, której górną szufladę otworzyła za pomocą płaskiego klucza. Wertowała teczki, gdy zjawił się mężczyzna w staromodnym serdaku. Bez słowa zasiadł z markotną miną przed laptopem i od razu zabrał się do dzieła.

– Dziwne – westchnęła.

Snow zamierzał się wtrącić, ale został uprzedzony przez mężczyznę, który nie spuszczał wzroku z ekranu.

– Wszystko działa.

– Nie – zaprotestowała doktor Milner i wpisała nazwisko Faezi. Wskoczył komunikat: „nie znaleziono”.

– Nie wiem – odparł mężczyzna. – Poszukam zdalnie. – Wstał i wyszedł.

– Nie prowadzicie rejestrów w formie pisemnej? – spytała Chloe.

– Właśnie chodzi o to, że... – zawiesiła głos.

– Tak? – ponaglił ją Snow.

– Teczka też zniknęła.

– Jak to? – obruszył się Snow.

– Nie mam pojęcia, powinna tu być... – Doktor Milner położyła dłoń na czole i pogrążyła się w zadumie.

– Ale jej nie ma – warknął Snow.

– Nie ma... – powtórzyła doktor Milner.

– Proszę wyszukać Jane Cook oraz Kelly Robinson.

Kobieta czym prędzej wykonała polecenie Snowa.

– Dalej nic – stwierdziła chwiejnym tonem.

– Żadnej?

– Tak.

– A niech pani spróbuje z jakąkolwiek inną pacjentką.

– Spoza tych trzech? – Doktor Milner wyraźnie się przejęła.

– Tak, dowolne nazwisko. Osoba, którą pani leczyła. Choćby ostatnio.

Przy wciskaniu klawisze klawiatury nie wydawały żadnych odgłosów. W gabinecie panowała absolutna cisza.

– Uhm. Zgadza się.

– Ma pani te dane?

– Owszem, są.

– Kompletne?

– Na to wygląda.

– Może jeszcze jakieś.

Kobieta zastanowiła się i wpisała kolejne dwa wyrazy.

– Znowu bez zarzutu.

Snow wypuścił powietrze z ust.

– Okej – odezwała się Chloe Clarke. – Proszę ponownie spróbować z Faezi.

Moment wyczekiwania przerwał słaby i przestraszony głos pani doktor:

– Nie ma.



Rebecca Mulligan przystanąła przed witryną butiku z włoską bielizną i udając, że ogląda wystawę, sprawdziła, czy przypadkiem ktoś za nią nie idzie. Chwilę wcześniej odniosła dziwne wrażenie, że jest śledzona, gdy ten sam facet, który przyglądał jej się w kawiarence z rogu sali, potem pojawił się przed księgarnią dwie przecznice dalej, a następnie w sklepie z owocami. I rzeczywiście, jego obraz malował się również teraz, w odbiciu w szybie. Miał na sobie przechodzoną szarą kurtkę z kołnierzem ze stójką, klasyczne džinsy i palił papierosa. Rebecca była już blisko domu, ale nie chciała ryzykować, wyjęła więc telefon i wybrała numer alarmowy. Jednak po drugim sygnale ekran zgasł i z nikim się nie połączyła. Bateria, znowu zapomniała ją naładować. Wstąpiła do butiku, aby zadzwonić stamtąd, lecz nim poprosiła o tę możliwość ekspedientkę, jej uwagę przykuł niesamowity jednoczęściowy kostium kąpielowy. Takie kroje ostatnio znowu stały się bardzo modne. Bez ramiączek, cięty w dwa niejednakowe trójkąty, wydawał się dla niej idealny. Została odsunięta od obowiązków w telewizji, więc może zamiast tkwić tu w chłodzie i słońcu, wyjedzie na egzotyczne wakacje? Dlaczego nie, w końcu od angażu w mediach pracowała na okrągło i chyba zasłużyła. Zdjęła strój z wieszaka i obejrzała. Tak, musi go mieć. Gdy doszło do płacenia, zdążyła już zapomnieć o mężczyźnie i własnych obawach. Jednak kiedy wyszła na ulicę, wszystko wróciło. Tyle że jego już tam nie było. Rozejrzała się uważnie i nic. Skręciła zatem w kierunku Waltham Street, gdzie mieszkała w starej, wysokiej kamienicy z widokiem na szklany wieżowiec.

Gdy dotarła pod drzwi budynku, obejrzała się za siebie i niczego nie zauważyła. Ale wjeżdżając na swoje trzecie piętro, dostrzegła znajomą sylwetkę podejrzanego mężczyzny. Wchodził z wolna schodami, znajdował się tuż za przedostatnim podestem. Czym prędzej otworzyła drzwi windy i dobiegła do mieszkania. Przekręcała klucz w zamku, zerkając na boki, aż rygiel puścił i wpadła do środka. Zamknęła za sobą na dwa zamki i łańcuch i dla pewności podstawiła krzesło pod klamkę. Kiedy patrzyła przez wizjer, starała się nie oddychać. Po chwili mężczyzna wkroczył w pole widzenia, a ona poczuła na plecach zimny dreszcz. Przebiegł ją od łopatek aż po miednicę. Niewiele myśląc, doskoczyła do szafki na buty, na której leżała ładowarka. Nim jednak sięgnęła po telefon, usłyszała za sobą dźwięk, tąpnięcie, jakby coś ciężkiego spadło na balkon. Wychyliła się i ujrzała jakiegoś innego mężczyznę, majstrującego przy drzwiach balkonowych. Wystraszyła się i spanikowała. Ręce jej się trzęsły, gdy dobywała noża do masła i ściągała buty. Ten pierwszy zadzwonił do drzwi. Potem zapukał. W międzyczasie Rebecca przecięła kuchnię i przyciąła się za zasłoną w salonie. Wtedy drugi rozbroił zamek i dostał się do mieszkania. Zaraz po tym, jak

zrobił krok w stronę przedpokoju, Rebecca dźgnęła go po raz pierwszy. Trafiła między żebra, zawył z bólu. Szybko wyciągnęła ostrze i uderzyła ponownie. Tym razem rozpruwając brzuch. Nóż wchodził w ciało zaskakująco miękko, niczym w ciepły twaróg. Po ostatnim ciosie mężczyzna momentalnie zamachnął się, lecz jego pięść rozbiła tylko klosz lampy podłogowej. Rebecca zaś wbiła się w jego lędźwie, by potem rozpruć mu udo. Przewrócił się z tępym krzykiem. Leżąc na wznak, wierzgał i wił się bezradnie jak ryba pozbawiona wody. Gdzieś w tle rozlegało się walenie w drzwi, bo drugi z mężczyzn próbował teraz je wyważyć. Kobieta wyszła na balkon, by zaraz przełożyć nogę przez barierkę i stanąć na gzymsie. Po nim przedostała się do okna sąsiedniego mieszkania, ale było ono zamknięte i najwyraźniej puste, bo tłukła pięścią w szybę ile sił, lecz bez skutku. Poszła dalej, do pani Cole. Ona rzadko wychodziła z domu. Rebeccę palił w stopy ostry chłód betonu. Zgubiła ją jednak zbyt pewność siebie. Przesuwała się coraz szybciej i w połowie drogi straciła równowagę. Zachwiała się i pisnęła z przerażenia, odchyliła się bowiem do tyłu i zaczęła spadać, gdy w ostatniej chwili zdołała chwycić się kabla.

Pani Cole miała kota, a kot miał własną windę, wykonaną z drewna i przewodu odzyskanego ze starej anteny satelitarnej. Odkąd mieszkańcy kamienicy zaczęli narzekać na zachowanie zwierzęcia, które drapało po ich drzwiach za każdym razem, kiedy pani Cole wybierała się z nim na spacer, ale ani za nim nie nadążała, ani nie umiała nad nim zapanować, zaczęto szukać sposobu na rozwiązanie problemu. I w końcu znaleziono doskonały. Jeden z sąsiadów zbudował maszynę, dzięki której kot wychodził na zewnątrz i wracał z niemęczącą pomocą własnej pani. Na szczęście pomyślał też o zabezpieczeniu, aby konstrukcja nie spadła komuś na głowę przy pierwszej lepszej wichurze, a balustrada była solidna, więc utrzymała niewielki ciężar ciała Rebeci. Ta wdrapała się wyżej, złapała się poręczy i podciągnęła, by przelać się przez nią na balkon i wylądować na pośladkach. Oparta o zawijane słupki, siedziała tak przez chwilę, aż podźwignęła się z kolan i zastukała w szybę. Po zaledwie chwili ujrzała bladą, dobrze sobie znaną twarz z wyłupiastymi oczami i długim, spiczastym nosem.

– Drogie dziecko, co ty tu robisz? – zapytała pani Cole i bezzwłocznie uchylila drzwi, przez które wciągnęła Rebeccę za ramię do środka.

– Pani Cole, jak dobrze... – wymamrotała. – Dziękuję.

– Czy ja ostatnim razem cię tu zamknęłam? – spytała poważnie, z zatroskaną miną.

– Nie, skąd! – Rebecca potrząsnęła głową.

– Wiesz, że zdarza mi się zapominać.

– Nie, nie – wtrąciła. – Naprawdę.

Rebecca z trudem łapała powietrze. Przysiadła na brzegu sofy i zgięła się wpół.

– To te używki, tak? Wy w świecie mediów umiecie się bawić. Czytałam w jednej gazecie. Ja wszystko rozumiem, ale moje dziecko, żeby aż tak?

– Pani Cole...

– Spójrz na siebie. Młodej damie to zupełnie nie przystoi.

– Nic nie brałam. Napadnięto mnie.

– Co? Gdzie?

– W moim mieszkaniu. Proszę wezwać policję.

– Złodzieje? – Kobieta dokuśtykała do telefonu stojącego na stoliku przy fotelu i podniosła słuchawkę.

– Raczej nie. Szedł za mną od centrum.

– Aha – rozpromieniła się – pewnie jakiś natrętny adorator. Gdy ja byłam młoda...

– Pani Cole, niech pani dzwoni.

Rebecca podniosła się i wstukała numer. Potem przejęła słuchawkę.

– Nie ma sygnału – powiedziała.

– Może wyłączyli prąd?

– Przecież to jest telefon stacjonarny.

– Tak, ale bez prądu nie działa.

Rebecca westchnęła.

– Chciałam normalny, taki, jaki miałam przedtem, ale wnuk uparł się, że ten będzie lepszy, bo...

– Muszę uciekać – rzuciła Rebecca i ruszyła do wyjścia.

– Będziecie się tak ganiać?

– Pani Cole, nie mam czasu...

– Możesz posiedzieć u mnie. Zaparzę herbatę.

– Nie mogę pani narażać.

Przekręciła pierwszą zasuwę.

– Zajmę go czymś i się wymkniesz, a gdy on sobie pójdzie, wrócisz.

– To zbyt niebezpieczne.

Otworzyła drugą.

– Moje dziecko, przeżyłam bombardowanie w październiku czterdziestego i całą kadencję premiera Browna. Myślisz, że się boję? – Machnęła ręką. – Zaczekaj tu.

– Nie wie pani, na co się decyduje.

– Tak? To tylko popatrz.

Wyszła na korytarz i nieśpiesznie udała się pod drzwi mieszkania numer dwadzieścia trzy.

– Młodzieńcze – podniosła głos. – Tak, do ciebie mówię.

– Niech się pani odsunie – warknął tamten.

Rebecca rozglądała się już za czymś, czym mogłaby go zdzielić i mocno żałowała, że nie powstrzymała sąsiadki, gdy kobieta przystawiła mu do piersi rewolwer.

Mężczyzna w szarej kurtce zaniemówił. Stał sztywno, ani drgnął.

– Po co te wygłupy – wydusił z siebie po chwili.

– To enfield trzydzieści osiem, dwójka, wysłużony, ale czyszczony i działa aż miło.

– Spokojnie, babciu.

– Mam w magazynku sześć naboju, więc zjeżdżaj stąd, ale już! I żebym cię więcej nie widziała kręcącego się wokół Rebeci.

Po ostatniej sylabie mężczyzna wytrącił broń z rąk pani Cole, ale rewolwer, nim spadł na posadzkę, wypalił. Rozległ się huk i w jego spodniach nad kolanem zrobiła się dziura, z której wyciekła krew. Kobieta spanikowała i uniosła ręce nad głowę, ranny, żądny rewanzu, ścisnął ją za gardło i podniósł.

Rebecca wybiegła za próg, gdy z jej mieszkania wyłonił się ten drugi. Odciągnął pierwszego od starszej kobiety i schował rewolwer w spodnie. Potem wziął postrzelonego pod ramię i wepchnął do windy.

Spojrzenia jego i Rebeci spotkały się w tym samym momencie. Wówczas wyciągnął broń i zaczął strzelać.

Kule fruwały pod sufitem, chybiając celu. Rebecca, zamiast schronić się bezpiecznie w lokalu pani Cole, podbiegła do niej i powaliła ją na ziemię.

– Pojechali – powiedziała po jakimś czasie pani Cole.

– Co? – odparła zdezorientowana Rebecca.

– Już ich nie ma. Uciekli.

Rebecca nie była w stanie orzec, ile to wszystko trwało, ale ciągle była w szoku, gdy pani Cole wróciła do stanu względnego opanowania.

– Ale narobiłam zamieszania – stwierdziła pani Cole, wstając z pomocą Rebeci.



Gdy Terry Snow przepuścił Chloe Clarke w drzwiach i wyszedł za nią na korytarz, Charlie Keane już tam na nich czekał. Doktor Milner upierała się, aby odprowadzić ich do wyjścia, a Snow szybko zrozumiał, że nie ma sensu się spierać.

– Styłowy szalik – rzuciła sierżant Clarke w kierunku Charliego, na co Snow się skrzywił.

Keane lubił wyraziste kolory i krzykliwe fasony, co – według Snowa – nie licowało z powagą zawodu.

– Dostałem właśnie raport toksykologiczny, znam też wstępne wyniki sekcji zwłok Anne Faezi.

– Niech zgadnę – podjął Snow – śmierć w wyniku obrażeń spowodowanych upadkiem.

– Nie do końca.

– Czyli? – zirytował się Snow.

– W organizmie dziewczyny stwierdzono duże stężenie chlorku tubokuraryny. Jest to silny lek zwiotczający.

Snow z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Faezi prawdopodobnie na niewiele przed upadkiem doznała porażenia mięśni prążkowanych, a potem zapaści. Doszło do niewydolności. Substancja musiała zostać podana w roztworze z wodą, gdyż uaktywniła się z opóźnieniem.

– A więc mamy morderstwo – stwierdził Snow.

– Ale jak? – wtrąciła Chloe. – Faezi była cały czas z przyjaciółmi. Nikt obcy się nie do niej nie zbliżał. Tak wynika z ich zeznań.

– Może kłamia – odparł Snow.

– Nie sądzę – sprzeciwiła się Chloe.

– Mam coś jeszcze – oznajmił Keane.

– Dawaj – burknął Snow.

– Na szmince Anne Faezi zabezpieczono ślady linii papilarnych Rebeci Mulligan.

– Co? – zdziwił się Snow. – Tej dziennikarki, którą...

– Tak, właśnie jej – przerwał mu Keane.

Chloe spojrzała na nich pytająco.

– Mulligan była w przeszłości w coś zamieszana. Dostała nawet wyrok w zawieszeniu.

– Co je mogło łączyć? – spytał Snow.

– Nie wiem – odrzekł Keane. – Może...

– Kolejna tęczowa miłość? – zadumał się Snow.

– Skupiłabym się raczej na wątku tej kliniki – odezwała się Chloe.

Snow nie znosił, gdy ktoś się z nim nie zgadzał. A jeszcze bardziej, gdy do tego miał rację. Ostentacyjnie wypuścił powietrze z ust i zmienił mu się wyraz twarzy.

– Ale to nie wszystko – powiedział Keane.

Snow popatrzył na niego tak, jakby chciał go udusić.

– Przy Waltham Street, gdzie mieszka Mulligan, przed chwilą doszło do strzelaniny.

Snow prychnął ze złością i w biegu dał znak gestem ręki, gdzie kto ma wsiadać.

20

Silny wstrząs nagle wyrwał Owena ze stanu nieprzytomności. Samochód, zgrzytając, kołysał się na boki, a on siedział w środku przypięty pasem. Cały obolały, z wolna uniósł głowę. Było mroczno i dmuchało przez puste otwory po szybach, ale wiedział, gdzie się znalazł. Słabe światło dobiegające z tyłu rysowało na wprost przedniej maski wynajętego chryslera żółtą szoferkę wywrotki. Tkwił między brzegami platformy ładunkowej, sam. Ellis gdzieś zniknął, podobnie jak lusterka. Boczne uległy zniszczeniu w momencie uderzenia, ale wewnętrzne tylko się urwało. Leżało teraz między siedzeniami, w połowie stłuczone. Ponieważ Owen nie mógł skrócić szyi ani tułowia, chwycił je i przybliżył do oczu. Wielka łycha koparki cofała się właśnie i opuszczała. Potem maszyna musiała wykręcić, bo wnet zapadła ciemność. Jednak warkot silnika nie ustał. Mimo to Owen dosłyszał jakieś głosy. Ktoś się zbliżał, być może wsiadał do ciężarówki. Dialekt ze wschodniego pogranicza Rosji przechodził w szmer, zamiast układać się w słowa. Aż nagle jeden z nich krzyknął wyraźniej:

- Opuść tę kasę!
 - Ale przecież to kupa forsy.
 - Tyle że fałszywej, baranie.
 - Co? Jak to?
 - Tak, dobrze słyszałeś. Pewnie to nią przekupił tego frajera Márqueza.
 - Na pewno?
- Potem trzasnęły drzwi, jedne i drugie.



Owen odpiął pas i przeturlał się na fotel pasażera. Sięgnął klamki, zamek puścił.

- Eeej! – wrzasnął jakiś głos z dołu. – On ucieka.

Wtem rozległ się i szybko urwał odgłos szurania, jakby ktoś wyhamował bieg na ziemistej nawierzchni. Owen momentalnie wytoczył się z chryslera i wspiął na kolana, gdy na brzeg skrzyni ładunkowej wdrapała się chuda i blada od kurzu i pyłu postać.

- Zaczekaj – wykrztusił Owen.

Czuł w ustach metaliczny posmak krwi, osłabł. Nie mógł zbyt wiele zrobić.

Tamten zdążył już podjeść blisko. W ręku miał nóż z ząbkowaną górną krawędzią ostrza.

– Do środka – rozkazał łamaną angielszczyzną.

Owen spróbował wstać, wsparł się na drzwiach. Wtedy został pchnięty i ujrzał trzonek noża sterczący ze swego brzucha. Nim się obejrzał, narzędzia już nie było, a on, z otwartą raną, wylądował na tylnej kanapie. Tamten jednak nie odpuścił. Założył mu na głowę foliową torbę i mocno ścisnął pod brodą. Owen zaczął się wyszarpywać, ale przygnieciony i poturbowany okazał się bezradny. Udał więc, że już się udusił. Na pozór przestał walczyć, uczynił ciało bezwładnym. Wstrzymywał oddech, licząc, że zaraz będzie wolny. Ale żyłaste ręce wciąż oplatały jego szyję, a mokra reklamówka odcinała mu dostęp powietrza. Wzbierała w nim panika, gdy nagle dostrzegł swą szansę. Pod fotelem leżała długa igła. Taka do cerowania i fastrygowania. Umiał je rozpoznać, jego babka była urodzoną hafciarką. Musiał zostawić ją poprzedni najemca samochodu. Leżała na wyciągnięcie ręki zwieszanej na podłogę. Byle tylko zrobić to szybko i nie dać mu czasu na reakcję. Owen rozluźnił się i przygotował. Naraz wziął igłę w dwa palce i pewnie ułożył w dłoni. W rzeczywistości to wcale nie była igła, tylko długopis. Zwykły cienkopis z niebieskim wkładem, bez skuwki. Piszącą końcówką skierowany do góry. Owena ogarniały halucynacje, rozumiał to. Tracił krew, zbyt mało tlenu docierało do mózgu. I do mięśni. Zdobył się jednak na cios. Ruchem młotkowym sięgnął twarzy, która sapała przy jego uchu. Uścisk zelżał, Owen przekręcił się na bok, zrzucając tamtego z siebie. Mężczyzna upadł na plecy. Barkami zaklinował się między kanapą a fotelem, ale nogi miał swobodne. Gruby bieznik podeszwy wnet odcisnął się na czole Owena niczym stempel. Padając, Owen kątem oka dostrzegł drugiego mężczyznę, który pojawił się z tyłu samochodu.

– Rozwalę gnoja – syknął i wycelował w Owena z pistoletu.

– Schowaj to – sprzeciwił się ten bardziej umorusany i odepchnął go.

– Bo co?

– Bo otwór wlotowy nijak nie upodobni się do rany odniesionej w wypadku, a psy gończe z miasteczka tylko czyhają na każdy nasz błąd. Zapomniałeś?

– Ano tak.

– Chyba już mu starczy.

– Dobra, chodź.

Szarpnęło, zawyło i ruszyli. Ciężarówka z miejsca zaczęła wspinać się na jeden z pagórków, których w okolicy nie brakowało, a chrysler – mimo wrzuconego biegu i zaciągniętego hamulca ręcznego – zsuwać się w tył platformy ładunkowej. Głośne tarcie wnet umilkło, gdy wrak dotarł do wysokiej krawędzi i na niej się zatrzymał. Jednak niewiele potem droga powiodła w dół i samochód przemieścił się w drugą stronę. Owen nie zliczył wzniesień, które pokonali, ale było ich co najmniej kilka.

Uciskał ranę ze świadomością, że dziura w brzuchu nie rokuje najlepiej i sam niewiele zdoła poradzić. Czuł, że wraz z krwią uchodzi z niego życie. Wreszcie stanęli z wściekłym sykiem. Cofnęli, skręcili i platforma ładunkowa poczęła odchyłać się do tyłu. Niemiłosiernie skrzypiało, gdy jej tylny brzeg nagle otworzył się i chrysler, pchany siłami fizyki, wysunął się na zewnątrz. Zamiast od razu spaść na ziemię, obrócił się w powietrzu, raz i drugi. Wywrotka majaczyła gdzieś wysoko, kiedy zderzak chryslera z łoskotem roztrzaskał się o skałę. Wtedy samochód zaczął koziołkować, potem odbił się jeszcze kolejne cztery razy. Owen wirował, objając się na przemian o dach, podłogę i fotele.



– Proszę wybaczyć, ale coś mi tu się nie zgadza – powiedział Terry Snow.

Głęboko zapadnięty w fotel popchnął okulary dalej na nos. Siedząca naprzeciw niego Elizabeth Cole odstawiła filiżankę na spodek trzymany na kolanie.

– Tak? – odparła. – A co takiego?

– Usłyszała pani jakieś hałasy dobiegające z mieszkania numer dwadzieścia trzy i postanowiła sprawdzić, co się tam dzieje.

– Oczywiście. Bardzo lubię Rebeccę i nie mogłam pozostać na to obojętna.

– Naturalnie – odrzekł Snow. Potem odetchnął głębiej. – Jednak to, co według pani zdarzyło się później, wydaje się trochę... hm...

– Proszę mówić – wtrąciła pełna spokoju i sympatii.

– Nierealne – dokończył.

– Ech, to pewnie dlatego, że jest pan jeszcze młody – odpowiedziała.

Chloe Clarke zerknęła ukradkiem na Snowa, tłumiąc uśmiech.

– I nie przeżył tego, co ja. Wie pan... kiedyś pracowałam jako pielęgniarka. W czasie wojny opatrywałam wielu żołnierzy heroicznie walczących o nasz kraj oraz cywilów, którzy ucierpieli podczas nalotów. Gdy rozpętała się kampania powietrzna, wiedzieliśmy, że zawierucha w końcu dotrze do Portsmouth.

Pani Cole zrobiła pauzę.

Snow, zniecierpliwiony, spuścił wzrok na zegarek i obserwował ruch sekundnika, lecz nie ośmielił się jej przerwać. Chloe słuchała z wystudiowaną powagą.

– Ale najciężej ucierpiało Southampton – kontynuowała pani Cole. – U nas bomby pierwotnie spadały tylko na port, a tam już od pierwszych dni za cel ataków obrano sobie także osiedla. – Kobieta wstrzymała oddech. – W drugiej połowie sierpnia mieszkańcy masowo ginęli i tutaj. Napatrzyłam się na niewyobrażalne cierpienia i bezsensowne śmierci. Były efektem agresji, która nie miała żadnego powodu i usprawiedliwienia.

- Współczuję pani – szepnęła sierżant Clarke.
- Mnie, drogie dziecko, nie musisz. To nie ja płakałam po stracie męża lub syna, nie ja dogorywałam pod gruzami, w ogniu.
- To przykre – odezwał się Snow. – Ale proszę pozwolić, że okażę się takim służbistą i wrócę do terażniejszości.
- Pani Cole otarła łzę haftowaną chusteczką.
- Ależ proszę – powiedziała.
- Drzwi do mieszkania Rebeci Mulligan były otwarte – podjął Snow.
- W żadnym razie – zaprotestowała Elizabeth Cole. – Zamknięte, lecz nie na zamek, a tylko na klamkę.
- Dziękuję za doprecyzowanie. Zajrzała więc pani do środka.
- Właśnie tak.
- A tam dwóch mężczyzn kłóciło się ze sobą.
- Mało powiedziane.
- Jeden zaatakował drugiego nożem, potem ten pozostający w defensywie wyciągnął broń i role się odwróciły.
- Zgadza się – przytaknęła.
- Wybiegli na korytarz i pierwszy z nich uciekł do windy.
- Dobrze pan zapamiętał. Słysząc było potworny huk, jakby wystrzał, kilkukrotnie.
- Co pani wtedy zrobiła?
- Nic. Schowałam się w łazience i czekałam. Bałam się. Szczęśliwie ktoś inny w międzyczasie wezwał policję.
- I nie zobaczyli pani?
- Chyba nie. Byli tak zajęci sobą, że zdołałam się ukryć.
- Rebeci Mulligan tu nie było?
- Nie.
- Na pewno?
- Sprawdziłam, kiedy cisza trwała już długo. Przecież mogła ucierpieć i potrzebować pomocy, a ja byłam...
- ...pielęgniarką – dokończyła życzliwie Chloe.
- Pani Cole zaśmiała się serdecznie.
- Czy później kontaktowała się pani z Rebecą? – spytał Snow.
- Nie wróciła do tej pory. Ona bardzo dużo pracuje.
- Nie dzwoniła pani do niej?
- Nawet nie mam jej numeru. Zresztą zaraz przyjechała policja, potem państwo...
- No tak. – Snow pogładził podłokietnik. – Dobrze, na razie dziękujemy. – Wstał. – Ale możemy mieć jeszcze parę pytań.

– Służę uprzejmie.

Pani Cole pożegnała ich łagodnym uśmiechem.



W drzwiach mieszkania numer dwadzieścia trzy stał technik kryminalistyczny Gary Shotton.

– I co? – rzucił Snow.

– Dostali się przez okno balkonowe. Ślady wyważania łomem. Tutaj nic. – Wskazał na nietknięty zamek.

– A w środku?

Snow zrobił trzy kroki w głąb przedpokoju.

W salonie, który poprzednio widział z jeszcze większej odległości, aby nie zanieczyścić ewentualnych dowodów, było sporo czerwono-brunatnej wydzieliny. Plama okrągła dywan, podłogę i murek oddzielający kuchnię. Miejsca te oznaczono kartonikami z kolejnymi cyframi. Wcześniej na korytarzu zabezpieczono nóż.

– Krew? – spytał z przekonaniem graniczącym z pewnością.

– Uhm. Ludzka, tylko jedna grupa. Za to w windzie są dwie.

– Coś jeszcze?

– Nie podoba mi się jedynie korytarz.

Shotton spryskał roztworem luminolu krawędź blatu w kuchni.

– To znaczy?

– Facet walił po suficie, jakby ten drugi mierzył z dziesięć stóp.

– Może strzelał z pozycji leżącej. Szarpali się, mógł upaść.

– Nie wiem, to twoja robota – odparł bez wiary i zbadał zlew i kran. – Ale według mnie to niemożliwe.

– Niby dlaczego?

– Bo z trajektorii lotu kul wynika, że musiałby przewrócić się na plecy w kabinie windy lub zwisnąć za barierką, gdy ta zjechałaby niżej.

– To dość nieprawdopodobne, ale nie nierealne – zauważyła Chloe Clarke.

– Chodzi o krople krwi na podłodze windy – odparł Shotton. – Świadczą o tym, że ranny stał w niej oparty o poręcz. Nie on więc strzelał. Albo on, ale stojąc. Tyle że pudłował niemiłosiernie.

– Stracił sporo krwi, ręka musiała mu się trząść – stwierdziła sierżant Clarke.

– Do tego zmierzam. Wygląda, jakby to ten z bronią został raniony nożem w mieszkaniu.

– Nie obroniłby się, mając pistolet? – wtrącił Snow. – Czy wyrwał ją tamtemu? Ale wtedy bezsensowny byłby atak nożem.

- Nie, jeśli chciał to zrobić po cichu – powiedziała Chloe.
 - Co więcej – podjął Shotton, nie zważając na sugestię sierżant Clarke – na korytarzu znalazłem sześć łusek, ale tylko pięć nabojów wyskrobałem ze ścian. Nie ma tam za wiele śladów krwi, za to w windzie pojawia się jej mnóstwo.
 - Oberwał właśnie tutaj. – Snow przekroczył próg. – Umówili się na robotę i nagle co się niby wydarzyło? – rzucił powątpiewająco.
 - Ale najlepsze zostawiłem na koniec.
 - Gary?
 - Oni razem zjechali windą.
 - Jak razem? – Snow odwrócił się na pięcie.
 - We dwóch.
 - Jednocześnie?
 - Tak.
 - Na pewno?
 - Nawzajem rozdeptywali swoją krew, chwiejnie przestępując z nogi na nogę. Zupełnie jakby...
 - ...jeden podtrzymywał drugiego – dopowiedziała Chloe.
 - Właśnie tak – przytaknął Rodgers.
- Snow krążył wokół taśmy znaczącej na podłodze miejsca znalezienia łusek. W końcu przystanął.
- Myślę, że Mulligan mogła tu być.
- Shotton kiwnął głową na potwierdzenie.
- Ona tu była – poprawił się Snow.
 - Ale przecież pani Cole... – zająknęła się Chloe.
 - Ludzie kłamią – zripostował Snow.



Rebecca Mulligan zaparkowała przed terminalem międzynarodowego portu morskiego w Portsmouth. Wcześniej kupiła online bilet na prom do Le Havre. Zadbała, by zarejestrowała ją kamera. Krocząc przez hol z wypiętą piersią i podniesioną głową, ciągnęła za sobą błyszczącą fioletową walizkę na kółkach. Za tunelem prowadzącym na statek, gdzie kończył się zasięg obiektywów, a zaczynała lista pasażerów, skręciła w kierunku toalet. Tam przebrała się z kremowego kostiumu i płaszcza w proste spodnie i krótką kurtkę. Włożyła buty na płaskim obcasie i ciemne okulary. Spięła włosy i naciągnęła na nie czapkę. Zmyła szminkę w kolorze wilczych jagód i kredkę do oczu. Rozwinęła wielki plecak turystyczny i upchnęła w nim walizkę. Bała się, że przesadziła. Wprawdzie działała w obronie koniecznej, ale policja

zaczęłyby zadawać pytania. Szybko odkryto by jej przeszłość. Albo i więcej. Męczono by ją jak kiedyś. A może i gorzej. Teraz była znaną reporterką i jej upadek odbiłby się głośnym, szerokim echem. Nie mogła na to pozwolić. Nie mogła być w to zamieszana.

Wróciła na ląd i wynajęła samochód na nie swoje nazwisko. Pokazała fałszywy dokument. W telewizji każdy reporter dysponował alternatywną tożsamością, w razie gdyby przyszło mu – w pogoni za informacją – dostać się gdzieś, gdzie media nie były mile widziane. Włożyła torbę do bagażnika i pojechała na północ.



Charlie Keane wzruszył ramionami.

- Zupełnie nic? – zapytał Snow, stojąc u szczytu schodów, kilkanaście stopni wyżej.
- Słyszano tylko krzyki, tupanie i wystrzały. Nikt nie widział, żeby ktokolwiek wybiegał z budynku. Ale w tym czasie w kamienicy przebywało zaledwie sześć osób. Nie licząc Elizabeth Cole i tych dwóch.
- Rzekomych dwóch – poprawił go Snow.
- He? – zdziwił się Keane.
- Weź Chloe i wracajcie do kliniki. Przejrzyjcie całą dokumentację. Może uda wam się znaleźć coś, co naprowadzi nas na jakiś ślad. Sprawdźcie też pod kątem Rebeci Mulligan.
- Co?
- Zarządzam jej poszukiwania.
- W charakterze świadka? – spytał, czując, że prawda jest inna.
- Podejrzanej. Nie pojawiła się dzisiaj w pracy. Zresztą została zawieszona w obowiązkach. Nie da się namierzyć jej komórki, pewnie ją wyłączyła. Nikt nie wie, gdzie może być. I jeszcze te odciski palców na szmince Faezi. Nie wierzę w przypadki. Myślę, że uciekła.

21

Dom, w którym zginęła Kelly Robinson, klinikę w Southampton oraz kamienicę przy Waltham Street łączy podobna metoda działania sprawcy lub sprawców – stwierdził Stuart Rodgers. – Wytarł majonez z kącików ust i odłożył kanapkę do pudełka. Gary Shotton nieśpiesznie popijał herbatę. Siedzieli po przeciwnych stronach świeżo wypolerowanego stołu sekcyjnego w podziemiach siedziby głównej policji hrabstwa Hampshire, na poziomie wydziału antropologii sądowej. – W pierwszym i drugim miejscu wyłączono alarmy, na Waltham Street odcięto telefony. Ale wszędzie zastosowano tę samą metodę ślepego obejścia.

– Ślepego obejścia? – powtórzył Terry Snow, który właśnie wszedł.

– Podłączasz kable tak – podjął Shotton – aby prąd lub sygnał płynął dalej, ale omijając dany punkt, przez co instalacja przestaje pełnić właściwą funkcję i staje się wyłącznie atrapą.

– I po co to wszystko? – Snow przysunął sobie wysoki taboret.

– Zwykle przecięcie przewodów – odezwał się Rodgers – nie wystarczy, aby rozbroić alarm. Spowodowałoby ono skutek odwrotny do zamierzonego.

– Jego uruchomienie – przytaknął Snow. – A w przypadku Waltham Street?

– Analogicznie, zapalenie się kontrolki, sygnał dźwiękowy, powiadomienie esemes.

– Aż tak?

– Owszem. Zabezpieczenie na wypadek awarii. Teraz to standard. Poza tym nie odkryłem zbieżności. Różne technologie, trzy inne firmy montujące...

– Do tego wszędzie zostawiali po sobie porządek – wtrącił Shotton. – Żadnych odcisków placów, śladów biologicznych, włókien... Oczywiście poza tym bajzlem w mieszkaniu Mulligan i na klatce.

– Nie do końca – odparł Snow. – Włamania do kliniki przecież nawet nie zauważono. Dopiero teraz, gdy wyszło na jaw, że zginęły dokumenty i dane zapisywane w formie elektronicznej, skojarzono pewne fakty, wcześniej nieznanne.

– Jakie? – spytał Shotton.

– Na przykład, że obraz z kamer nie jest rzeczywisty, ale zapętłony – odrzekł Snow.

– Daj spokój.

– To prawda – potwierdził Rodgers.

– Nieźle.

– Sytuacja nie trwała długo, może dwa, co najwyżej trzy dni – wyjaśnił usprawiedliwiająco Snow.



Charlie Keane odgarnął od siebie leżące w nieładzie teczki i spod sterty papierów wyłowił klawiaturę.

– Co robisz? – spytała znużona Chloe Clarke.

– Zabieram się za raport dla Snowa.

– Przecież nie skończyliśmy.

– Ja tak. Czytasz to już drugi raz.

– Musimy jeszcze przesłuchać parę osób.

– Zrobiliśmy to – odrzekł półszeptem.

– Ale zaraz pracę zaczyna druga zmiana pielęgniarek. – Zerknęła do notatnika. – Przyjdą dwie. Plus sprzątacze.

– Myślisz, że pamiętają coś więcej niż reszta? – spytał, intonacyjnie sugerując odpowiedź przeczącą.

– Taką mam nadzieję.

– Dobrze, że chociaż ty.

– Jesteśmy blisko, Charlie.

– Czyżby?

– Tak, wiemy, co łączy te dziewczyny. To nie może być przypadek. Klinika stanowi klucz. Sprawca leczył się tutaj lub był zatrudniony. Może nawet wciąż jest.

– Podobnie jak przyszłe ofiary – westchnął.

– Przestań. Nie dojdzie do tego.

– Do kolejnych morderstw? Chloe, nie ocalał żaden rejestr, na którego podstawie moglibyśmy ustalić, kto przebywał w klinice w jednym czasie z Jane Cook i pozostałymi. One nawet nie miały wspólnego lekarza.

– Dlatego damy ogłoszenie.

– Że co proszę? – zająknął się Keane.

– Tylko posłuchaj. Wiemy, czego szukać. Urlop Jane Cook pokrywa się z datą, którą wskazali nam rodzice Anne Faezi. Kelly Robinson w tym okresie miała być na obozie żeglarskim, ale nikt z jego organizatorów ani uczestników nie może tego potwierdzić. Nie znały się jeszcze wówczas z Michelle Paige, ona nic nie wie. Jednak domniemanie jest mocne.

– To akurat prawda. Między siódmym a dziewiętnastym lipca, i co dalej?

– Nie rozumiesz?! – wykrzyknęła podekscytowana. – Musimy wymyślić coś, żeby inne pacjentki same się do nas zgłosiły.

- Niby jak? – Keane patrzył na Chloe raczej bez entuzjazmu.
 - Skusimy je promocją.
 - Promocją – powtórzył.
 - Klinika przystanie na to, bo zyska darmową reklamę. Zgodnie z jej treścią wszyscy pacjenci, którzy skorzystali z oferty ośrodka obejmującej pobyt w interesującym nas okresie, będą mogli odebrać w prezencie cenne bony na kolejny zabieg. Operacje plastyczne uzależniają. – Rozłożyła ręce, jakby chciała powiedzieć: to takie proste.
 - I za wszystko niby zapłaci policja?
 - Tak!
 - Chloe... – zawiesił głos Keane – ...muszę to przemyśleć.
- Wziął kurtkę i wyszedł. Drzwi szybko otwały się jednak na nowo.
- Poradzisz sobie już dzisiaj sama? – spytał retorycznie i nim odpowiedziała, zniknął ponownie, zostawiając ją z otwartymi ustami.
 - Jak ci idzie, Janet? – zapytał po wejściu do laboratorium Stuart Rodgers.
- Wewnątrz bijący nieskazitelną bielą i stalowym chłodem ład kontrastował z ustawionymi wzdłuż dłuższej ściany czarnymi workami na śmieci. Związane sznurkiem i wypchane po brzegi, nie dawały jednak żadnego zapachu. Wokół unosiła się tylko ciepła mydlana woń środka odkażającego.
- Na butelce, poza odciskami palców Anne Faezi, znajdują się jeszcze te należące do Ruby Hodgson i Thomasa Foxa – odparła niska, szczupła brunetka.
 - Ile minucji?
 - Dwanaście, oczywiście. W przypadku Ruby mniej, bo tylko dziewięć, ale tu występuje haczyk i oczko, więc stwierdziłam zgodność.
 - Bardzo dobrze.
 - A co z zawartością butelki?
 - Rozpuszczony w wodzie chlorek d-tubokuraryny. Stężenie sto dwieście na sześćdziesiąt.
 - W przeliczeniu... – obliczył w pamięci – ...kilkukrotnie przekraczające dopuszczalną maksymalną dawkę kliniczną.
 - Dokładnie trzy i pół raza. Nic dziwnego, że wypite, doprowadziło do bezdechu.
 - Uhm. Poprzez podanie z wodą i doustnie odroczone wyrok. Na jak długo? – zamyślił się Rodgers.
 - W takiej proporcji i objętości oraz w stosunku do masy ciała ofiary... mięśnie uległy zwiotczeniu dopiero po półgodzinie, góra po czterdziestu minutach.
 - Myślę, że jednak szybciej. Kwadrans lub niecałe dwa.
 - Może... Lecz nie sądzę.
 - Ktoś uknuł bardzo chytry plan, trzeba przyznać. Wszystko przewidzieli.

- Owszem, ale nie aż tak.
- Co jeszcze odkryłaś?
- Na pozór nie ma tu nic nadzwyczajnego, alkaloid czwartorzędowy, pochodny izochinoliny. Jednak wchodzi w reakcję z jabłczanem rybosfoliny.
- Jak to możliwe?
- Dzięki niezwykle nietypowej modyfikacji składu. Niewielkiej, powiedziałabym wręcz, że subtelnej, ale robiącej ogromną różnicę. Daje ona bowiem całkiem nowe możliwości.
- Ciekawe... I czemu ma to wszystko służyć?
- Polecam artykuł z najnowszego „Estate Empire”. – Ściągnęła lateksową rękawiczkę i sięgnęła pod blat po magazyn z wyrzeźbionym, gładkim męskim torsem na okładce. Bez głowy. – Nowy środek dopingujący... przepraszam, lek. Znacznie zmniejsza odczuwanie bólu, prawie całkowicie je znosi, przez co zawodnicy nie doznają blokad i osiągają dużo lepsze wyniki. Stosowany od niedawna, głównie w sportach kontaktowych, na przykład w piłce nożnej, ale również w dyscyplinach siłowych, jeszcze niezakazany. Robota chilijskiego przemysłu farmaceutycznego. Majstersztyk. Wstrzykiwany prosto w stłuczony mięsień, od razu działa kojąco i na długo, ale – zaintonowała wykrzyknik – w ogóle nie hamuje przy tym przewodzenia w synapsach.
- Mózg w dalszym ciągu posiada pełną kontrolę nad całym ciałem, łącznie z miejscem urazu – powiedział jednym tchem.
- Otóż to. Oglądałeś reportaże tej Mulligan o Paulu Barkleyu? Czy to aby przypadkiem nie dzięki niej zwolniono go od wszelkich podejrzeń?
- Wprawdzie materiały przysłał anonimowy nadawca, ale jej szef, niejaki Oakley twierdzi, a wręcz jest wściekle przekonany, że to sprawka samej Mulligan, która na dodatek działała, tu cytuję: bezprawnie, i zapowiada pozew opiewający na jakąś niebotyczną kwotę. Snow przypisał więc całość zasług Mulligan. Barkley może się nie martwić. Policja też nie. Uniknęliśmy sporej kompromitacji.
- Proszę, jaka zmiana.
- Nie, list gończy poszedł. Ten jeden dobry uczynek... a jak się teraz okazuje być może nawet drogo sprzedany... za tubokurarynę...
- Czyste spekulacje, nawet nie poszlaki, panie śledczy.
- Ale już coś, idę z tym do Snowa.
- Nie, ja mu powiem. – Janet Dyer ominęła biurko i zdjęła fartuch, który rzuciła na wieszak. – Pan już był na przerwie obiadowej. Teraz moja kolej.



Nad miastem rozpętała się prawdziwa ulewa i policjant siedzący w samochodzie zaparkowanym przed szpitalem musiał włączyć wycieraczki, aby móc cokolwiek dostrzec. Zajadał się pikantnymi pasztecikami z mąki razowej, nadziewanymi żurawiną i soczewicą. Zdążył już opróżnić mały termos czarnej kawy, ale został mu jeszcze drugi, z białą herbatą. Doktor John Curtis powinien skończyć dyżur przed dwiema godzinami, lecz do tej pory nie wyszedł. W recepcji powiedzieli, że to jakiś nagły przypadek i nie wiadomo, jak długo potrwa operacja. Policjantowi jednak w ogóle się nie śpieszyło. Służbę kończył dopiero po północy, niezależnie od wszystkiego. Do tego czasu miał obserwować doktora. Żaden ze szpitali w promieniu pięćdziesięciu mil w ciągu ostatniej doby nie przyjął pacjenta z raną postrzałową, a zabójca trzech kobiet działał z kimś, wspólnie i w porozumieniu, jak przyjęto po wydarzeniach, jakie rozegrały się przed domem, w którym zginęła Kelly Robinson. Tymczasem mężczyzna ranny w kamienicy przy Waltham Street pilnie potrzebował specjalistycznej pomocy, o czym świadczyła ilość krwi wytyczająca ścieżkę aż do wjazdu na wewnętrzny dziedziniec. Johna Curtisa chroniło solidne alibi, lecz to on znalazł martwą Jane Cook i co najważniejsze, był lekarzem. Wprawdzie ortopedą, ale operującym. To zdecydowanie za mało, aby starać się o oficjalną zgodę na podsłuch i śledzenie, ale dla Snowa w zupełności wystarczyło. Postanowił on więc o podjęciu mniej formalnych czynności.

Nagle drzwi się otworzyły, a młody policjant omal nie zadławił się farszem.

– Cześć – powiedziała Chloe Clarke, wślizgując się do środka ze złożonym parasolem.

– Co... – wykrztusił z wybałuszonymi oczyma i zaczął kasłać.

Wtedy dziewczyna klepnęła go otwartą dłonią w plecy. Potem jeszcze raz.

– Lepiej? – zapytała i podała mu serwetkę leżącą w pudełku z przekąskami, które trzymał na kolanach. Dopiero później poprawiła rozwiane włosy.

– Kim jesteś? – wyjąkał przez łyż, cały fioletowy.

– Sierżant Clarke – pomachała mu przed nosem legitymacją służbową. – Działo się coś?

– Nic – odparł krótko.

– Tak jak myślałam.

– Inspektor cię przysłał?

– Snow? – Powiodła wzrokiem po podjeździe dla karettek, gdzie zrobił się jakiś ruch.

– Dzięki, na razie. – Wyszła na deszcz i szybkim krokiem dotarła do głównego wejścia. W holu znajdowało się ledwie parę osób, z czego ponad połowę stanowili jacyś przejęci ludzie, pewnie bliscy chorych, pocieszający się nawzajem. Chloe od razu skręciła na schody, co jednak nie uszło uwadze ochroniarza.

- Przepraszam – rzucił za nią.
 - Jestem z policji. – Odwróciła się i wyjęła legitymację.
- Mężczyzna w mundurze tylko skinął głową.

Na piętrze minęła pustą dyżurkę pielęgniarek i wróciła się, by wejść do pokoju zabiegowego, którego na ogół nie zamykano na klucz. Taką sytuację zastała również i tym razem. Wiedziała, gdzie szukać. Środkowa szafka, druga od góry szuflada. Użyła spinki do włosów jako wytrycha i dostała się do ampułek, strzykawek i fiolek. Wzięła buteleczkę leku z kodeiną. Ledwie zdążyła wsunąć ją do kieszeni i popchnąć szufladę, gdy w progu zjawiała się pielęgniarka.

- A co pani tutaj robi? – warknęła naburmuszona.
- Dbam o pani bezpieczeństwo – odparła natychmiast Chloe.

Pielęgniarka wpatrywała się w nią nieustępliwie.

- Policja. – Chloe pokazała legitymację. – Wie pani, co tu się ostatnio stało.

Kobieta zmieniła nastawienie. Jej oczy rozjaśniły się, z twarzy zeszło powietrze.

– Sprawdzamy – powiedziała Chloe i wyminęła pielęgniarkę, z trudem przeciskając się między nią a futryną.

Kiedy tylko zeszła z powrotem na parter, ujrzała kogoś, kogo na pewno nie spodziewała się tu spotkać. Charlie Keane wyłonił się z windy po lewej. Nie od razu ją zobaczył, ale kiedy już to się stało, bardzo się zdziwił. Wydał się nawet nieco zakłopotany.

- Chloe?
- Cześć, Charlie.
- Chodzisz za mną? – Nie wyglądało, by żartował.
- Byłam na kontroli. – Pokazała palcem chustę zawiązaną ponad czołem.
- Tak późno? – powiedział normalniejszym tonem.
- Długo pracuję – zaśmiała się Chloe, co Keane odwzajemnił.
- No tak.

Po jego pierwszej reakcji było jasne, że lepiej nie drążyć tematu, mimo to chyba jakoś nie potrafiła się powstrzymać.

- A ty?
- Odwiedzałem kogoś – rzucił wymijająco. – Podwieźć cię?
- Dzięki, nie trzeba.
- Chyba jeszcze nie wolno ci prowadzić?

Nic nie odpowiedziała.

- Widziałem się ze Snowem.
- I?

Właśnie mijali kobietę łkającą w objęciach starszego mężczyzny, gdy powiedział:

– Pogadajmy po drodze.

– Zgoda.

Porsche w jasnym odcieniu piasku stało tuż za rogiem.

– Przystał na twój plan – rzekł już za kierownicą.

– Naprawdę? – ucieszyła się Chloe.

– Którędy? – zapytał, skinąwszy na potwierdzenie i uruchomiwszy silnik.

– Na dworzec kolejowy.

– Ej. Pytałem...

– Mieszkam nad Zatoką Fareham.

– Tak lepiej.

Wycofał i pojechał na wschód.

– Francuska policja szuka Rebecci na obszarze swojej jurysdykcji – podjął, patrząc tylko da drogę. – Służby ościennych państw również zostały powiadomione, ale jak na razie trop się urwał.

– A co z Darrenem Ellisem?

– Skąd o nim wiesz? – zdziwił się Keane.

– Przecież zostałam włączona do śledztwa.

– Uhm. Tę sprawę przejął ktoś inny.

– Kto?

– Wątpię, żebyśmy kiedykolwiek się dowiedzieli.

– Ale to nasz główny świadek!

– Który i tak nic nie we. Trzymaj się – rzucił z dziwnym uśmiechem i gwałtownie dodał gazu.

Chloe dosłownie wcisnęło w oparcie fotela.



Wybieg zbudowano z jasnej stali, szkła akrylowego i wyświetlaczy ciekłokrystalicznych. Poprzez pokazanie na ekranach stu ośmiu różnych wycinków jakiegoś jeziora z północnej części Walii, widzianego z lotu ptaka, osiągnięto iluzję poruszania się modelek po spokojnej, miejscami lekko drgającej tafli wody, w której odbijał się głęboki pomarańcz popołudniowego słońca. Wysoka blondynka o niesamowicie długich i zgrabnych nogach wyłoniła się właśnie zza kulis w skąpym kostiumie kąpielowym, szpilkach i czymś w rodzaju prześwitującej peleryny. Powitana salwą braw, uśmiechnęła się i przyspieszyła. Potem trzymała jednostajne tempo. Wszystko zgodnie z prawidłami sztuki. Pewna siebie, piękna dziewczyna, pełna naturalnego wdzięku. Jej nastroszone, mocno zakręcone włosy podskakiwały z każdym krokiem, w rytm skocznej, żywiołowej muzyki rodem z klubu na Ibizie. Gdy

doszła do końca podestu i obróciła się, puszczać oko, zgromadzonej na łuku publiczności ukazały się wyćwiczona linia bioder, ładnie zarysowane mięśnie ud i jędrna, napięta skóra wokół pośladków. W połowie drogi powrotnej minęła się z równie olśniewająco wyglądającą Afroamerykanką w bikini.

Wtedy mężczyzna wcisnął pauzę i pogładził się po siwej bródce.

– Wielka szkoda – powiedziała kobieta w czerwonej garsonce i długich czerwonych rękawiczkach ze skóry, która nieoczekiwanie zjawiała się w pomieszczeniu. W rękach trzymała duży czerwony kapelusz. Miała kruczoczarne, opadające na ramiona włosy, mocno podkreślone usta i czarne buty za kolano.

– Straciliśmy trochę pieniędzy – odparł mężczyzna i odchylił się na oparciu.

– Tak, bezduszny dupku. Niemało. – Kobieta ściągnęła rękawiczkę i rzuciła ją na biurko.

– Przecież mnie też jest jej żal – odrzekł i obrócił się wraz z fotelem. – Miała wielki talent.

– I osobowość.

– Pamiętam – odpowiedział w zamyśleniu. – Bez niej nie zaszłyby tak daleko.

– Nie zdążyła – sprzeciwiła się kobieta.

– Wiesz, co mam na myśli. Zjeździła pół świata. Występowała w najlepszych pokazach. Każda z nich o tym marzy.

– Z jej ambicją i charakterem? Za kilka lat stałaby się rozpoznawalna także poza naszą branżą, zapewne sygnowałaby własnym nazwiskiem kolekcje odzieży znanego domu mody, niekoniecznie naszego, bądź topowego projektanta, za dekadę lub dwie wypuściłaby własną linię perfum albo kosmetyków, więc proszę cię, nie mów mi, że dziewczynie się udało.

Mężczyzna w zamyśleniu odgarnął włosy do tyłu.

– Nie nacieszyła się swoim sukcesem zbyt długo – przyznał.

– Dlaczego do tego wracasz?

– Szukam inspiracji.

– W archiwach?

– Ona miała w sobie coś, co zawsze potrafiło mnie natchnąć. Poza tym mija rok.

– Zrobiłeś się sentymentalny. – Kobieta podeszła do stołu kreślarskiego i lampy wiszące nad nim rozbłysły. Podniosła pierwszy z wierzchu szkic i wyciągnęła na długość ręki. – To chcesz pokazać w Nowym Yorku? – Patrzyła na rysunek z grymasem.

– Jeszcze nie skończyłem.

– Nieźle. Naprawdę dobre.

Kate Atwell rzuciła deskę surfingową pod nogi, podobnie jak wielką wypchaną torbę na ramię i plecak. Usiadła na plaży i napiła się gorącego naparu z malin i jagód, wzbogaconych o imbir, który przelała z termosu do kubka. Lubiła wdychać jego słodki, pobudzający aromat, kiedy parował na zimnie. Sączyła małe łyżki, upajając się spokojem. Znajdowała się po południowo-wschodniej flance zbudowanego z kamienia i cegły zamku Hurst, gdzie dotarła z malowniczo położonej MilFord on Sea pieszo. Skuter zostawiła przypięty do płotu z betonu i drutu, za jakim pasły się owce, na wysokim poboczu New Lane, w połowie zalanej przez wody pobliskiego jeziora, z jednej strony łączącego się z urokliwym rezerwatem przyrody i siedliskiem ptaków Sturt Pond, z drugiej uchodzącym do kanału morskiego. Przywykli do widoku podtopionej ulicy miejscowi zdążyli przyzwyczać się też do nietypowych reakcji turystów zmierzających w kierunku piaszczystego cypla. Ci zatrzymywali się często, nie mogąc się zdecydować, czy jechać dalej, czy zawrócić.

Za sobą Kate Atwell miała białą, okrągłą, granitową latarnię morską, od wyspy Wight, gdzie majaczył Fort Albert wzniesiony na najdalej wysuniętym na północ punkcie klifowego wybrzeża, oddzielało ją wąskie wejście do cieśniny Solent. W linii prostej odległość ta wynosiła mniej niż jedną milę. Silny wiatr dmuchał w stronę lądu, sypiąc jej piaskiem po oczach. Masywna fortyfikacja stała niewzruszona, pozbawiona flag i ruchomych elementów. Wokół, poza rosnącymi gdzieniegdzie trawami, brakowało roślinności. Kate wyciągnęła z plecaka najnowszy numer lokalnego magazynu o zdrowiu i otworzyła na przedostatniej stronie. Klinika Chirurgii Plastycznej w Southampton. Drugi tydzień lipca. Zdjęła kurtkę i bluzkę, aby przebrać się w kombinezon. Jaśniejsza skóra na nadgarstku nie różniła się niczym w dotyku od reszty ręki. Tatuaż z imieniem Billa prawie zniknął, podobnie jak on sam. Kate nie potrzebowała już żadnych operacji. Ale to bardzo kosztowna zabawa, a bon, zgodnie z warunkami przedstawionymi drobnym drukiem, mogła przekazać dowolnej osobie. Czy to dobry pomysł na prezent gwiazdkowy? Na pewno. Pojedzie tam jeszcze przed wieczorem. Albo zadzwoni. Tymczasem założyła uprzęż i przypięła do niej linkę latawca w barwach Zjednoczonego Królestwa. Szybko dostała się na pierwszą falę, po której czole prześlizgnęła się na lewej krawędzi deski. Nagle, wykorzystując latawiec i silny podmuch, wzbiła się w powietrze, obróciła i wylądowała parę jardów dalej. Nie zważała na prądy morskie. Zaznajomiona ze sprzętem, potrafiła surfować pod wiatr

i na przekór ruchom wód. Często szalała po całej szerokości cieśniny, przeprawiając się na wyspę Wight i dalej, wzdłuż wału kredowego lub w jej głąb, rzeką Yar, aż do zatoki Freshwater na południowym krańcu.

Robiła przewroty i inne figury akrobatyczne, gdy zniecka w kant deski uderzył kamień. Zdarzało się tak podczas przelotów nad pagórkami, kiedy w latawcu zabrakło powietrza i niebezpiecznie szybko traciła wysokość. Ale teraz wisiała dobre dwadzieścia stóp nad powierzchnią wody, niemal w równej odległości od obu brzegów. Nie zderzyła się też z ptakiem, co przytrafiło się jej zeszłego lata. A zatem, co się stało? Rozejrzała się, ale nic nie zobaczyła. Ściągnęła więc linkę i lekko opadła na grzbiet fali. Niewiele później złapał ją straszliwy skurcz, straciła równowagę i upadła do tyłu. Czysta, przejrzysta woda cieśniny Solent zabarwiła się na czerwono. Żywo czerwona wstęga oplatała nogę Kate. Krwawiła. I szła na dno. Adrenalina zniwelowała ból. Coś rozcięło stopę pod kostką. Opadała głową w dół wraz z deską, którą zatonała pod ciężarem jej ciała. Ten model cechowała niewielka wyporność, za to też niebywała lekkość i aerodynamika. Utrzymywał się na powierzchni jednak tylko dzięki sile ciągu latawca. Kate zanurzała się coraz głębiej, bezwładnie i jakby w zwolnionym tempie. Wstrzymywała oddech, aż organizm się zbuntował, gdy stężenie dwutlenku węgla we krwi przekroczyło poziom krytyczny.

Wtedy Kate bezwładnie wciągnęła do płuc spory haust wody. I następny. Próbowwała napiąć mięśnie, ale usta i nos i tak się otwierały. Wygięła ciało w kształt litery V, sięgnęła zapięcia i uwolniła stopy. Nasilone ruchy oddechowe trzęsły nią jak spazmy, kiedy płynęła ku światłu. Machała rękami zawzięcie i niestrudzenie, lecz z każdym pociągnięciem słabła, bo płyn topliwny pchał się w jej drogi oddechowe w coraz większych ilościach. Im była wyżej i woda stawała się jaśniejsza, tym ciemniejszy miała obraz przed oczami. Ogarnęła ją panika, że nie da rady, a już po chwili wynurzyła się i zaczerpnęła trochę powietrza. Krtusiła się i łapała oddech, wypluwała wodę i zaciągała się rześką bryzą. Deska wypłynęła wcześniej niż ona. Pozbawiona balastu znów nakryła dziobem falę. Kate przyciągnęła ją do siebie i poprawiła latawiec, który zwinął się i poplątał. Rozprostowany szybko schnący materiał szybko złapał wiatr i uniósł się wysoko. Kate zdążyła jeszcze złączyć się z deską i popędziła w stronę wybrzeża. Kierowała się wprost na zamek Hurst. Łzy zalepiały jej oczy, strach trzymał za gardło. Większość półmilowego odcinka pokonała ślizgiem, całość w mniej więcej pół minuty. Po wyjściu na brzeg od razu upadła. Potem zaczęli ją jakiś mężczyzna.

– Nic pani nie jest? – zapytał i pomógł jej wstać.

Pochylona, wsparła się na postawionej na sztorc desce. Oddychała ciężko, ale głęboko.

– Nie, wszystko w porządku – odparła wreszcie.

– Pani krwawi. – Wskazał na jej nogę.

– To nic wielkiego – odrzekła. – Nie raz już się skaleczyłam. Taki sport. – Dźwignęła deskę pod ramię i zaczęła iść, ale pomimo starań, wyraźnie utykała. – W plecaku mam wodę utlenioną i plastry. Poradzę sobie.

– Może przyniosę? – zaproponował.

– Dobrze.

Nie zgodziłaby się, gdyby tak bardzo nie bolało.

Obserwowała, jak mężczyzna biegnie, klęka przed jej rzeczami i błyskawicznie wraca.

– Długo pani nie wy pływała – powiedział zdyszany i wręczył jej apteczkę. – Wyglądało to na tyle groźnie, że wezwałem pomoc. Nie wiedziałem, co robić.

– Dziękuję, naprawdę nie trzeba.

– Może więc wycofam zgłoszenie?

– Byłabym wdzięczna.

Mężczyzna rozmawiał przez telefon. Rana piekła. Płytki rowek wzdłuż górnej części stopy. Raczej nie obejdzie się bez szycia.

– Mogę jeszcze jakoś pomóc? – spytał, gdy się rozłączył.

– Zrobił pan już wszystko. Dziękuję bardzo. – Wyciągnęła rękę, którą on zaraz uściskał. Uśmiechnęła się, na siłę, ale wyszło naturalnie.

Kiedy się odwrócił i odszedł, usiadła na kocu i napiła się herbaty. Termos trzymał temperaturę bez zarzutu. Napój był gorący, słodki, pyszny. Emocje opadły i poczuła przenikliwy chłód. Czym prędzej zarzuciła kurtkę na plecy, wytarła nogi i wciągnęła skarpety. Na mokre włosy nałożyła ciepłą czapkę. Opatrunek nasiąkł i przeciekał, noga puchła. Musiała szybko dostać się do szpitala. Jak na złość, facet się oddalił, a w zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Twierdza zionęła niemą pustką, nikt akurat nie przepływał tędy do bram Portsmouth. Wyszperała w torbie telefon, ale nie wpisała numeru, gdy naraz zrobiło jej się słabo i duszno. Widziała coraz gorzej, mniej ostro. Zdołała wybrać dwie pierwsze cyfry, gdy zakłuło ją w klatce piersiowej, zeszywniała i upadła do tyłu.

Między wschodnim skrzydłem zamku Hurst a zalewiskiem w pogodne dni pełnym żaglówek, lecz teraz mąconym tylko przez wiatr, biegła ścieżka, nią zaś spacerowała starsza kobieta z psem o jasnozłotym umaszczeniu. Kobieta rzucała jak najdalej przed siebie patyk, który zwierzę za każdym razem przynosiło. Wtedy siadało przed nią i merdając ogonem, posłusznie zadzierało pysk, aby zwrócić kawałek lipowego drewna. Jego prosta sierść falowała na wietrze, kiedy ochoczo aportował. Czynność powtarzali wciąż i znowu, jakby nie mogła się im znudzić. Jednak gdy znaleźli się przy

latarni morskiej, dwuletnia suka rasy golden retriever nie wróciła, lecz z patykiem w zębach pobiegła dalej.

– Licky, Licky! – nawoływała za nią kobieta, ale bez powodzenia. Pies dopadł do osoby plażującej na wprost, obwąchał ją i zaczął obszczekiwać. – Licky, przestań! – krzyczała kobieta.

Suka nie usłuchała, co było do niej niepodobne. Trąciła leżącą łapą i ponownie zaszczekała, jakby chciała przywołać swoją panią. Ta biegła co sił. Trochę to trwało, ale wreszcie dotarła na miejsce. Złapała psa za obroź i odciągnęła.

– Przepraszam najmocniej, ona zwykle tak się nie zachowuje – mówiła skonfundowana. – Nie wiem, co jej się dzisiaj stało – urwała nagle, bo kobieta rozłożona na ręczniku miała otwarte oczy, ale się nie poruszała.

Nawet nie mrugnęła. Cała była oblepiona piachem, sztywna i nienaturalnie zimna. W jej zastygłych źrenicach odbijał się lęk. Widok przysporzył właścicielkę psa o mdłości, bo nagle zdała sobie sprawę, że odkryła zwłoki. Złapała się za krtań i usiadła obok ciała. Nachyliła się i przyłożyła ucho do ust brunetki o gładkiej, pociągłej twarzy. Nie oddychała.



Snow zabarwił się czerwonym i białym światłem latarni morskiej. Cztery błyski co ćwierć minuty. Zapadła już noc, ale na plaży wciąż było bardzo jasno dzięki lampom rozstawionym po okręgu. Wokół mobilne reflektory na wysięgnikach przeczesywały zagłębienia terenu. Kamery termowizyjne badały okolicę. Ściągnięto również psy tropiące. Technicy ostrożnie stąpali po piasku, aby niczego nie przeoczyć. Po tym jak porobiono zdjęcia i przeprowadzono oględziny zwłok, ciało Kate Atwell zostało zabrane do szpitala w Bournemouth. Ponieważ w regionie grasował seryjny zbójca młodych kobiet, w trybie pilnym wezwano lekarza medycyny sądowej, który od razu przystąpił do sekcji zwłok. Na nogi postawiono także głównego laboranta, aby nadzorował pozostałych. Toksykologia nic nie wykazała, więc mógł to być ten sam roztwór, który uśmiercił Anne Faezi. Wszak zmodyfikowano go tak, aby szybko się wydalal i przechodził kontrole antydopingowe. Warunek stanowił, że ciało Kate Atwell musiało leżeć na plaży dłużej niż trzy godziny, a to – w pierwszej ocenie doktora Browneya – wydawało się bardzo prawdopodobne. Snow myślał o butelce, w której natrafiano na ślady leku zwiotczającego. Zdjęto z niej folię, by wstrzyknąć do środka obcą substancję, zaklejono powstałą dziurkę i zasłonięto etykietą. Ruby i Evie tego nie zrobiły. Sprzedawca z bufetu też raczej nie. Wszyscy zgodnie zeznali, że tamtego dnia na stołówce Anne wytrącono z rąk tackę z obiadem. Dziewczyna, która na nią wpadła, bardzo przepraszała. Niby przypadek, po prostu pech. Ale właśnie wtedy mogło dojść

do podmiany butelek. Nie zapamiętano szczegółów. Zwykła szczupła blondynka, nikomu nieznana. Pierwszy ze sprawców. Dziewczyna. Wcześniej ów fakt zupełnie umknął świadkom. Dopiero przyciśnięci i niemal postawieni w stan oskarżenia zaczęli myśleć jaśniej i pamiętać więcej. Snow zacisnął zęby. Mulligan była ruda, ale mogła się przefarbować, a jej rozpoznawalność to rzecz względna.

– Tylko spójrz – powiedział Gary Shotton.

– Czasopismo? – odparł Snow.

Technik wygładził dużą foliową przezroczystą kopertę.

– Magazyn „PS’ Health”. Otwarty na naszym ogłoszeniu.

– Skąd to masz?

– Był pod rynną tego budynku na skraju cypla.

– Tu, obok latarni?

– Nie. Chodzi o następny. Tamten w oddali.

Snow zrobił dwa kroki w bok.

– Widzę. Ona zagięła strony, prawda?

– Sprawdzę odciski i ci powiem.

– Ona – stwierdził gorzko.



Świtało już, gdy Jacob Burns otworzył drzwi swojego domu. Starannie wytarł buty i przeszedł do kuchni. Wypakował zakupy, zrobił sobie tosty z konfiturą morelową i kakao. Talerz i kubek zabrał do salonu. Z uwagi na brak wolnej ręki nie zapalił światła. W pomieszczeniu panował mrok, bo zasłony były zaciągnięte. Nie pamiętał, by poprzedniego dnia tak je zostawił. Kiedy trafił do stolika, wrócił się do kontaktu, ale wtedy usłyszał głos i ze strachu potknął się o własne nogi i wywrócił. Upadł na twarz, nabijając sobie sporego guza na czole.

– Wstawaj – wybrzmiał głos. Dochodził spod okna i należał do kobiety.

Jacob oblał się zimnym potem. Czuł jak jego otłuszczone cielsko przylepia się do podłogi. Z emocji kołowało mu się w głowie.

– Czego pani chce? – wymamrotał.

– Żebyś usiadł wygodnie w fotelu – odparła ze spokojem.

– Nie mam pieniędzy.

– To cię nic nie będzie kosztowało.

Mężczyzna uniósł prawą rękę, potem lewą i leżał dalej.

– Czy my się znamy? – zapytał. Wydało mu się, że gdzieś już ją słyszał.

– Mam tu pistolet – odezwała się niemile. – I liczę do trzech. Raz...

Jacob Burns wygiął grzbiet ku górze i plasnął brzuchem o podłogę.

– Dwa...

– Czekaj, już... – wykrztusił. – Z mozołem wspiął się na łokcie i przytrzymał futryny.

Obserwowała, jak niezgrabnie podźwiga się, odpycha od ściany i ciężko opada na fotel.

Cicho jęcząc, otarł pot z czoła, a wtedy uraził się i stęknął.

– Pamiętasz dziewczynę ze stacji kolejowej? – mówiła beznamiętnie z perspektywy kanapy. – Tutaj, niedaleko, niecały miesiąc temu. – Anonimowy obrys postaci w ciemności wyglądał dość upiornie. Wybrała akurat to miejsce, gdzie nie sięgała jasność dnia wpadająca przez wysokie okno w korytarzu. Była blisko, ale jej nie widział.

– Tak – zająknął się. – Bardzo dobrze.

Rebecę zdziwiła ulga w jego głosie. Do wysledzenia Jacoba Burnsa użyła programu, który rząd zamówił dla wojska i służb specjalnych, a jej znajomy współtworzył. Ten sam, którego uwiodła, aby następnie wykorzystać do zatarcia śladów kradzieży, której dopuściła się względem prac Mary Lloyd. Aplikacja umożliwiała namierzenie numerów telefonów w czasie rzeczywistym, a także odtwarzanie ich lokalizacji z ostatnich pięciu lat. O ile oczywiście były one w danych momentach włączone. Nie chodziło wyłącznie o logowanie się do stacji bazowych, lecz głównie o dane z nawigacji satelitarnej, wskazujące położenie każdego aparatu z precyzją do cala. Znając więc numer Hayley Chiby i datę rzekomej napaści na nią, Rebecca ustaliła dokładną godzinę zdarzenia. O tej porze na peronie prócz dziewczyny przebywała jeszcze tylko jedna osoba. Nijaki Jacob Burns. Albo ktoś z jego telefonem w kieszeni.

Rebecca postanowiła, że musi działać. Włamanie do jej mieszkania nie mogło być przypadkiem. Śledzili ją, a potem napadli. Nie podejrzewała Oakleya, bo spalenie materiału na reportaż to nie powód, aby nasyłać na nią bandziorów. Ale węszyła wokół zajścia w Sholing i komuś mogło to się bardzo nie spodobać. Znalazła się jednak w położeniu, w którym była zdana tylko na siebie. Dyskrecję obiecała i Figueroli, i Hayley. Wiedziała, że da sobie radę. Wyjaśni sprawę od początku do końca. Dopiero potem przekaże informacje policji. I opowie o wszystkim w mediach.

– Co zamierzałeś jej zrobić? – zapytała Rebecca Mulligan.

– Chciałbym podziękować – odparł niepewnie.

– Nawet nie próbuj sobie ze mnie żartować – zripostowała ostrzegawczo.

– Dlaczego miałbym? Uratowała mnie.

– Śmiertelnie ją wystraszyłeś, tchórze.

– Wtedy... tak... – przyznał i głośno wypuścił powietrze z ust. Sprawiał wrażenie, jakby całe z niego uszło.

– A gdyby się nie obroniła?

Rebecca, patrząc na tego ślamazarnego typa, miała poważne wątpliwości, czy mógłby on popełnić jakąkolwiek zbrodnię. Zabójca ze szpitala wyglądał zupełnie inaczej. Był szczupły, sprawny i szybki. Działał z chłodną głową, ustrzegł się błędu. Jednak policja podejrzewała, że ktoś mu pomagał.

– Siebie? – zająknął się Burns. – Przed kim?

– Przed tobą.

– Przede mną? – powtórzył zdziwiony.

– Wiesz co, Jacob? Drażnisz mnie.

– Nie, nie – wymamrotał drżącym głosem. – Proszę.

– Nie lubisz, kiedy celuje się w ciebie z broni, co?

– Jasne, że nie – odparł, kurczowo zaciskając palce na podłokietnikach, aż trzeszczało skórzane obicie.

– Dlaczego więc jej miało się to spodobać?

– Nie mogło – odrzekł gorzko.

Rebecca wychyliła się do przodu, ale nie opuściła cienia.

– Jak ją wybrałeś?

– To był czysty przypadek.

– A w szpitalu?

– Nie rozumiem... – odparł sucho.

– Nie? – spytała buńczucznie.

– Proszę posłuchać – powiedział półszepem. – Nie żałuję, że pistolet wypadł mi akurat na stacji, bo gdyby nie to, może już bym nie żył. Ale...

– Ty? – przerwała mu i zmieniła pozycję.

– Czy pani nie wie?

– Po prostu powiedz.

– Ciężko mi o tym mówić.

– Mów – nakazała Rebecca.

Jacob Burns wciąż wyobrażał sobie, że spogląda w lufę nabitej broni, więc mrużył oczy, spuszczał wzrok i odwracał głowę. W końcu skrył twarz w dłoniach.

– Chciałem z sobą skończyć – wyznał przez łzy.

– Ze sobą... – powtórzyła cicho Rebecca. – Tylko? Z nikim innym?

Jacob Burns rozplakał się dźwiękiem pełnym bezdenne smutku.

– Żona ode mnie odeszła. Zostawiła mnie... dla niego. Nie wiedziałem, co robić. Jak dalej żyć. Czy w ogóle... Nie mogłem tego znieść.

– Co właściwie stało się wówczas na peronie? – wtrąciła kompletnie zbita z tropu Rebecca.

– Zesłał mi ją dobry los. Tę dziewczynę. Potknąłem się i upadłem, pistolet wysunął mi się z paska i potoczył po chodniku, a wtedy ona go podniosła.

– Tak zwyczajnie? – zapytała, niedowierzając.

– Była równie zaskoczona jak pani teraz, a do tego bardzo przerażona. Ważyła ze cztery razy mnie niż ja, rzecz działa się późno w nocy. W pierwszej chwili chyba nie wiedziała, co trzyma w dłoni. Chciała mi oddać broń, wyciągnęła rękę, ale szybko ją cofnęła. Wcześniej długo nie spałem, piłem na umór, miałem napuchnięte oczy, że ledwo widziałem, byłem cały brudny i spocony... To musiał być okropny widok. Nic więc dziwnego, że uciekła. – Zrobił przerwę. – Wiele jej zawdzięczam. – Kolejna pauza. – Życie.

W pokoju na moment zapadła cisza, przez którą dało się usłyszeć jedynie ciężki oddech Burnsa.

– Co stało się z bronią? – odezwała się Rebecca.

– Ona ją zabrała.

Reporterka poczuła się zagubiona. Burns brzmiał bardzo prawdziwie. Wierzyła mu, ufała. Zbyt bardzo się trząsał, aby kłamać. Wzbudził w niej zaufanie, ale przede wszystkim litość. Nie znalazła powodu, aby go dłużej męczyć.

Na zewnątrz zrobiło się już całkiem jasno, gdy Rebecca kazała Burnswi stanąć w rogu, odwrócić się do ściany i nie ruszać stamtąd, zanim nie policzy na głos do stu dwudziestu.

– Jeśli ktoś zapyta, mnie tu w ogóle nie było – rzuciła na odchodne. – Inaczej wrócę.

Przytaknął i po chwili usłyszał, jak drzwi otwierają się i zatraskują. Korciło go, aby wyjrzeć przez okno, ale tego nie zrobił.



Chloe Clarke udawała, że śpi, kiedy zadzwonił telefon przy jej łóżku. Leżał na nocnej szafce i wibrował. Znowu bolała ją głowa, więc nie żałowała sobie leku z kodeiną. W efekcie przyjęła zbyt dużą jej dawkę i zamiast śnić, przewracała się tylko z boku na bok. To Snow. Czego mógł chcieć o tej porze? Dziesiąta... już?!

23

Bradley Owen nie wiedział, gdzie się znajduje. Obudził się z poczuciem ciężkości i napięciem w karku. W niedużym pomieszczeniu panował przyjemny chłód. Była to jakaś zagracona szopa albo mała drewniana chata. W palenisku tlił się ogień, za oknem panoszyła się ciemna noc.

W półmroku zdołał dostrzec najróżniejsze przedmioty ustawione na półkach zajmujących trzy ściany. Dziwne drewniane i metalowe narzędzia, których przeznaczenie stanowiło dla niego zagadkę. Na stole obok w licznych miskach parowały jakieś wywary. Ich zapach nie należał do miłych, przywodząc na myśl odór zdechłego zwierzęcia. Z tyłu za wnęką w ciemności kryła się kolejna izba. Nad nim na grubym łańcuchu wisiał okrągły żyrandol z zastygłymi świecami, oblepiony woskiem, toporny, odlany ze stali.

Gdy przyciągnął się do krawędzi łóżka, dostrzegł właz w podłodze. Dopiero wtedy zorientował się, że, o dziwo, nic go nie boli. Czym prędzej zadarł nie swoją, zbyt luźną koszulę, którą miał na sobie, i pogładził bliznę na brzuchu. Płaska, jasna, prawie niewidoczna. Obejrzał całe ciało. Żadnych ran, śladów szycia, opatrunków, przebarwień. Jak to możliwe? Dotykał punktu, w który wszedł nóż, niedoszły śmiertelny cios, gdy nagle drzwi wejściowe skrzypnęły. Migiem zsunął się z łóżka, doskoczył do stołu i chwycił leżący tam sztylet. Chwilę potem w progu ukazała się jasnowłosa dziewczyna, bardziej chuda niż szczyła, niewysoka, o bladej cerze i małych dłoniach. Taszczyła wiklinowy koszyk z drewnem i szmaciany tobołek przerzucony przez ramię.

– Witaj – ucieszyła się. – Nie musisz się mnie bać – dodała, widząc, co Owen chowa za nogą. – Mam na imię Nailea, a ty? Jak się czujesz?

Postawiwszy drewno przy kominku, wyłożyła zioła z zawiniątka na wcześniej przygotowane tacki.

– Może lepiej się położyć. Musisz jeszcze się wzmocnić.

Usiadła na krześle i naląła sobie czarnej kawy z dzbanka. Przynajmniej na takową wyglądał ten gęsty płyn.

– Przepraszam – zająknął się Owen. – Jestem Brad, bardzo mi miło. – Nieco zawstydzony, odłożył sztylet na swoje miejsce. – To ty się mną zajęłaś?

– Napijesz się? – spytała, nie odpowiedziawszy. – Próbowalesz już atole?

– Nie, a co to? – Usiadł naprzeciwko.

– Kukurydza, kakao, cukier trzcinowy. Bardzo dobre.

– W takim razie poproszę.

Kiedy podała mu kubek, od razu skosztował.

– Rzeczywiście – pokiwał głową.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, w ogóle nie napotykając się wzrokiem.

– Jak się tu znalazłem? – zapytał Owen.

– Zjechałeś do wąwozu, spadłeś na samo dno. Samochód zatrzymał się na skarpie i doszczętnie spłonął.

– To niedaleko stąd?

– Nie bardzo.

– Jak więc dałaś radę mnie przenieść? Ktoś ci pomógł?

– Nie – pokręciła głową. – Mam osiołka.

Owen się zamyslił. I uśmiechnął.

– Nic mi nie jest... – odezwał się, gdy przełknął kolejny łyk. – Jak tego dokonałaś?

– Masz wiele pytań – stwierdziła. – Ja też.

W jej jasnych oczach odbijał się spokój.

– Proszę.

– Skąd się wzięłaś? I co cię tu sprowadza?

W tym momencie Owen się zaciął. Jego myśli ugrzęzły gdzieś w okolicach Torreón. Pamiętał, kim jest, ale nie wiedział, co tu robi.

– W zasadzie... – zaczął i się zawiesił. – Mam pustkę w głowie.

– Luki w pamięci?

– Nie wierzysz mi?

– Amnezja, tego się obawiałam. Dobrze, że tylko częściowa. Mocno uderzyłeś się w głowę, obficie krwawiłeś... Ale nie martw się, przejdzie.

– Skąd wiesz? Leczysz ludzi, jesteś znachorką?

– Widziałam już wiele.

– Kiedy wróci mi pamięć?

– Tego nie wie nikt. Trzeba dużo cierpliwości.

– Mieszkasz tutaj? Sama?

Nailea poprawiła wisiołek i wstała od stołu.

– Położę się. W garnku na kuchni masz zupę, wystarczy podgrzać. Pożywna i zdrowa, doda ci sił. Sam nie wychodź. W okolicy nie brakuje głodnych kojotów i jadowitych węży.

– Dziękuję – odparł Owen.

Ułamek sekundy później zamknęła za sobą drzwi sąsiedniego pokoju i zachrobetał klucz w zamku.



Charlie Keane oparty o metalową okrągłą ścianę popatrzył na malujące się na horyzoncie ciemne chmury. Z prawie najwyższego poziomu zachodniej wieży zamku Hurst, niegdyś pełniącej funkcję latarni morskiej, ukazywało się całe piękno pełnego zróżnicowania krajobrazu wyspy Wight. Perspektywa uwypuklała ogrom soczystej zieleni poprzecinanej barwnymi pasami pól uprawnych, silnie zaznaczoną linię brzegową z kolorowymi piaskami i stromymi kredowobiałymi klifami, liczne wzniesienia, wijące się wstęgi czterech rzek oraz różnokształtne zatoki. Gołe kolorowe ziemie zachwycały nawet zimą, a odcienie iglaków po deszczu nasycali się głębią.

– Tym razem zabrał łuski – powiedział Gary Shotton. – Ale strzelał stąd. Znalazłem proch. Dokładnie tutaj. – Wskazał na barierkę. – Oparł karabin o poręcz.

– Cud, że wiatr wszystkiego nie zdmuchnął – stwierdził Keane.

– Wystarczy drobinka. Dowiedziałeś się czegoś?

– Rozmawiałem już z każdym. – Wzruszył ramionami.

– Aha, czyli norma.

– Turyści, jeden podobny do drugiego. Nieme strzały.

Keane poruszał się pierwszy w dół schodów, których niepełne stopnie dudniły, choćby starać się stąpać po nich jak najłżej.

– Karabinek snajperski. Niełatwo o taki – przyznał Shotton.

– Jeśli skądś by zginął, ktoś już by to zgłosił.

– Czyli z przemytu.

– Albo z magazynu z bronią.

– Przecież mówiłeś...

– Nie został skradziony – potwierdził Keane.

Shotton przeszedł przed niego i zastąpił mu drogę.

– Sugerujesz, że to jakiś szalony policjant?

– Nie, ale sprawdzamy każdą możliwość.

– To co teraz?

– Powrót do planu A. Jadę do kliniki.



Chloe Clarke starała się udawać, że wcale nie przysypia i uważnie słucha, gdy siedząca przed nią kobieta ciągle powtarzała to samo, co chwilę pocierając oczy, w których nie było już łez. Młoda sierżant przez ostatnie trzy kwadranse zdążyła nauczyć się na pamięć prawie całej historii zbyt krótkiego życia Kate Atwell, łącznie z przebiegiem jej

edukacji oraz rodzajami działalności społecznej, w którą się angażowała. Poznała liczne osiągnięcia dziewczyny, zarówno na polu naukowym, jak i pozalekcyjnym, oraz jej imponujące plany na przyszłość. Kate zamierzała zostać biologiem i chronić zagrożone gatunki morskiej fauny i flory. Chloe nie od razu dowiedziała się natomiast najważniejszego. Musiała o to zapytać wprost, co początkowo spotkało się z ostrą niechęcią i wreszcie wybuchem gniewu. Potem jednak, zupełnie niezrażona, wyciągnęła w końcu z Rachel Atwell, że Kate, jej córka, leczyła się w klinice w Southampton. Przebywała tam w dniach od ósmego do dwunastego lipca. Wszystko się zgadzało. Rodzice odwiedzali ją każdego dnia, ale wtedy w ogóle nie widywali innych pacjentów. Względy ochrony prywatności, którymi szczyciła się placówka. Rygor pozbawiony wyjątków. Coś, co szczególnie ceniał Snow.



Rebecca Mulligan ubrana w trzewiki na koturnach, wąskie spodnie z granatowego materiału, krótką kurtkę i ciepłą czapkę zadzwoniła do drzwi ze zrobionym z dwóch podków numerem pięć. Stała tak i wciskała guzik, potem zapukała, raz i drugi, ale nikt nie odpowiadał. Usiadła więc na zimnej, kamiennej posadzce, przylegając plecami do ściany, i zaczęła czytać „Vanity Fair” od artykułu, na którym rano skończyła.

Hayley nie pracowała tego dnia w kawiarni, o czym Rebecce poinformował na miejscu Peter. Ponoć miała tylko jedno zajęcia o dziewiętej i po nich wracała prosto do domu, aby się uczyć do jakiegoś ważnego testu. Może jednak została w bibliotece albo wstąpiła gdzieś po drodze, bo dochodziła druga, a jej wciąż nie było.

Rebecce znudziło się już czekanie, gdy przed nią zatrzymała się winda i wysiadła z niej szczupła dziewczyna w turkusowych rajstopach, spódniczce ledwo zakrywającej pośladki i włochatej kamizelce. Ich oczy spotkały się, twarz Rebecce rozjaśnił lekki uśmiech. Ale Hayley pozostała niewzruszona.

- Hej – przywitała się Rebecca.
- Cześć – odparła surowym tonem Hayley. – Nie mam czasu.
- Zajmę ci tylko chwilę – oznajmiła, stając tuż obok.
- Wybrałaś zły moment.

Hayley otworzyła oba zamki i weszła do mieszkania, próbując zamknąć drzwi przed nosem Rebecce, ale ta wepchnęła się do środka.

- Co robisz?! – krzyknęła Hayley. – Jesteś nienormalna.
- Jedno pytanie.

Hayley rzuciła torbę na komodę i odwróciła się do Rebecce z miną zabójcy.

- Wyjdź stąd – rozkazała.
- Poznajesz?

Rebecca pokazała Hayley telefon z podobizną Jacoba Burnsa.

– Nie – odrzekła. – Możesz już iść?

– To on rzekomo napadł cię na stacji w Sholing.

– Nie wiem, daj mi spokój.

– Pamiętasz, co wtedy upuścił i czego mu nie oddałaś?

Hayley cała zeszywniała.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Nie kłam. – W głosie Rebeci wibrowała złość. – Powiesz mi, o co tu chodzi, albo idę z tym na policję.

– Okej – poddała się Hayley. – Mogę najpierw skorzystać z toalety?

– Ale... – zająknęła się Rebecca.

– Chyba wytrzymasz pięć minut?

– Tak, przepraszam.

– Rozgość się – powiedziała i zamknęła się w łazience.

Nie wychodziła dość długo. Minęła połowa kwadransa, potem druga, kiedy Rebecca zaczęła się niepokoić. Podeszła pod drzwi i zapukała.

– Wszystko w porządku?

– Tak, tak – usłyszała.

– Dobrze się czujesz?

– Daj mi chwilę.

– Jasne. Wybacz.

Rebecca wróciła na brzeg kanapy i do lektury znalezionej tam „Harper’s Bazaar”, magazynu, który uwielbiała. Doczytała ledwie do połowy akapitu, gdy po drugiej stronie drzwi wejściowych zatrzymał się ktoś w ciężkich butach. Przekręcił klucz w jednym zamku, potem w drugim. Rebecca nawet się ucieszyła.

Hayley w ogóle nie wyglądała na groźną, raczej jak laleczka, ale mogła przecież mieć jeszcze ten pistolet od Burnsa. I nagle wyjść z nim z łazienki. Ale przy domowniku przecież nie będzie się wygłupiać. Wcześniej o tym nie pomyślała, lecz teraz tak. Drzwi otworzyły się z hukiem na oścież i do środka wbiegło dwóch umundurowanych policjantów.

– Policja! – krzyczał jeden.

– Ręce nad głowę – nakazał drugi.

Rebecca wypuściła czasopismo z rąk i splotła dłonie na karku.

– Wyżej! – krzyczał ten, który mierzył do niej z broni. Jego partner w tym czasie rozglądał się po mieszkaniu. – Kim pani jest?

– Rebecca Mulligan.

– Co pani tutaj robi? – zapytał, jakby spodziewał się zobaczyć coś lub kogoś innego.

- Odwiedzam koleżankę.
 - Na pewno?
 - Co to ma znaczyć? – odparła i zerknęła przez ramię.
- Hayley stała obok drugiego policjanta. Rozmawiali.
- Pójdzie pani z nami – oznajmił tamten, bardziej swojemu partnerowi niż jej.
 - Ale zaraz – zaprotestowała Rebecca. – Niby dlaczego?
 - Wtargnięcie, groźby... Mam wymieniać dalej?
 - Nonsens. Hayley?
- Hayley Chiba stała już odwrócona plecami.
- Proszę nie zmuszać nas...
 - Dobrze – powiedziała, zaczynając rozumieć. – Chodźmy.



Gdy Rebeccę wieziono do siedziby policji, Snow właśnie stamtąd wychodził. Śpieszył się.

O tym, że do tego doszło, został poinformowany zaraz po jej zatrzymaniu, ale jeszcze wcześniej zadzwonili z kliniki w Southampton. Z Charliem nie dało się skontaktować, miał wyłączony telefon. Kiedy Snow dojechał na miejsce, powitał go jeden z pacjentów.

- Wszyscy są w salce kinowej – powiedział sam z siebie. – Na parterze, prosto i na końcu w lewo – dodał w odpowiedzi na pytające spojrzenie Snowa.

Ten niewiele później pchnął drzwi wskazanego pomieszczenia i od razu podniósł się gwar. Każda z kilkunastu zgromadzonych tam osób miała mu coś do powiedzenia. Członkowie personelu medycznego kliniki, zwróciwszy się w stronę Snowa, zaczęły mówić jeden przez drugiego. Na ekranie wyświetlano zdjęcia trzech domniemanych ofiar Zabójcy ze Szpitala, jak ochrzciły go media, i reporterki Rebeci Mulligan. Na tle projekcji w rozkroku stał inspektor Keane.

- Proszę państwa, nie wszyscy naraz – powiedział głośno Snow, ale nic to nie pomogło. – Spokój! – warknął wreszcie, wykrzywiając ciało w napięciu.

Naraz nastąpiła cisza. Wtedy Snow poprosił o zabranie głosu młodą panią doktor, która jako jedyna nie przekrzykiwała się z resztą. Wyjaśniła ona, że Keane zarządził zebranie pracowników kliniki, a kiedy wszyscy przyszli, pokazał im te zdjęcia i kazał sobie coś przypomnieć. Cokolwiek. Opuszczenie sali bez udzielenia przydatnej śledczym informacji obostrzył groźbą aresztowania. Mówił o powadze sprawy i poczuciu odpowiedzialności. Używał wielkich słów.

- Ale państwo nic nie wiedzą? – zapytał retorycznie Snow.

– Oczywiście, że nie – odezwała się pierwsza z brzegu lekarka. – Odpowiadaliśmy już nie raz. Na te i inne pytania.

– To skandal, co się tutaj wyprawia – wtórowała jej otyła pielęgniarka.

– Nie – sprzeciwił się Snow. Potem przywołał do siebie Keanę. – Wiemy, że nie każdy z państwa był z nami szczerzy. Lepiej, by ten ktoś sam się do nas zgłosił, zanim to my przyjdziemy po niego. Bo w końcu tak się stanie. A jeśli przedtem wydarzy się coś złego, ucierpią wszyscy. Najbardziej zaś wizerunek państwa placówki – zwrócił się do kobiety w rozpiętym kitlu zarzuconym na stylowy kostium, która jak wiedział, zarządzała kliniką i posiadała w niej dwadzieścia pięć procent udziałów. – Przepraszamy za zamieszanie. Już więcej nie zamierzamy państwa niepokoić. – Ukłonił się i obrócił na pięcie.

Objął Keanę ramieniem i pociągnął go za sobą ku wyjściu. Ponieważ Keane stawiał lekki opór, Snow szepnął mu informację o zatrzymaniu Rebeci.

Potem kazał wsiąść do samochodu. Tam go zbeształ i w kilku krótkich, ale dosadnych zdaniach wyraził swoją dezaprobatę dla działań takich jak przedstawienie, którego parę minut wcześniej był świadkiem.



– Ej! Chłopaki! – odezwała się Rebecca Mulligan. – Naprawdę wierzycie w te brednie? Kierowca obejrzał się na tył radiowozu, ale to jego siedzący obok kolega zapytał:

– Ją też chciałaś zabić?

Rebecca uśmiechnęła się krzywo.

– Hayley? Ja? Niezli z was fachowcy – rzuciła drwiąco.

Żaden nie odpowiedział.

Niewiele później dostrzegła kolejny wóz policyjny. Jechał za nimi, dwa samochody dalej.

– Nie mnie szukacie – powiedziała Rebecca.

– Słyszałeś? Kolejna niewinna – szydził pasażer.

– Ciekawe, jak się z tego potem wytłumaczycie.

– Nie martw się – zaśmiał się kierowca. – Jakoś damy radę.

Teraz śmiali się już obaj.

Nim umilkł ich śmiech, między pasami ruchu przemknął motocykl. Mijając radiowóz, rzucił coś na jego przednią szybę. Żółta miękka piłka wielkości melona rozbiła się, uwalniając płynną, lepłą cytrynową masę, która przyłgnęła do szkła, całkowicie zasłaniając widoczność kierowcy. Zaraz za nimi rozbrzmiała syrena policyjna. Potem tuż obok wylądował kolejny balon i jego zawartość pokryła drugą połowę szyby. Wycieraczki tylko rozmazywały plamę, zimowy płyn do spryskiwaczy

nie rozrzedził jej. Przeciwnie, z czasem gęstniała, tworząc skorupę. Policjant prowadzący radiowóz wcisnął pedał hamulca, koła zablokowały się z piskiem, mała warstewka gumy z opon wtopiła się w asfalt i częściowo ulotniła z dymem. Policjanci dobyli broni i skryli się za uchylonymi drzwiami, używając ich jako tarczy. Jednak nim wyrzeli i zdołali wycelować, pod nogi pasażera wtoczyła się mała, plastikowa kulka, przypominająca piłeczkę tenisową. Zatrzymała się pod jego kolanami i nic więcej się nie stało. Ale gdy, niewiele myśląc, policjant odkopnął przedmiot, ten w kontakcie z czubkiem buta eksplodował z hukiem dziesięciu uncji trotylu. Sierżant Hart ośleplł w jednej sekundzie. Czuł na ciele gorący pył i myślał, że doznał ciężkich, rozległych poparzeń. Krzycząc, upadł i klepał się po twarzy, piersi, rękach i nogach, jakby chciał zdusić trawiące go płomienie. W rzeczywistości obsypany był różowym proszkiem, ani żrącym, ani toksycznym, ale bezpiecznym dla skóry, który za to prawie w ogóle nie chciał się strzepać.

– Ryan! – zawołał umundurowany kierowca.

Wtedy motocyklista w rozbiegu wskoczył obunóż na drzwi, za którymi ten klęczał, uderzając go nimi w czoło i popychając na słupek nadwozia. Policjant odbił się od tej krawędzi i ranny w głowę poturlał się bliżej krawężnika. Leżał zamroczony, gdy motocyklista połał czymś zamazaną szybę, usiadł za kierownicą i gwałtownie ruszył wężykiem. Wycieraczki stopniowo ścierały mazistą substancję, kiedy otwarte lewe drzwi klapnęły o barierę i się zatrzasnęły. Rebecę od człowieka w granatowym kombinezonie i czarnym kasku oddzielała nietłukąca się szyba. Od wolności zablokowane prawe i lewe tylne drzwi. Była uwięziona. Padły strzały, ale szybko się urwały. Policjanci z drugiego radiowozu najwyraźniej pojęli, że nowe modele cechowały kuloodporne karoseria i szyby. Opony zaś znajdowały się poza ich zasięgiem, bo porywacz wykorzystywał jako zasłonę porzucone auta. Rebecę poniewierało po kanapie, aż skuliła się za oparciem fotela i trzymała progu. Spuściła głowę, skupiła się na oddechu.

Motocyklista torował sobie drogę sygnałami świetlnym i dźwiękowym. Wyprzedzał poboczami, poruszał się pod prąd, wjeżdżał na chodniki i wysepki. Łamał wszelkie przepisy, robił to, co musiał, aby uciec. Początkowo szło mu gładko, bo zyskiwał przewagę i dotarł do autostrady, ale między Havant i Langstone, tuż przed zjazdem w kierunku centrum miasta utworzono blokadę. Z daleka migwały niebieskie kręcące się światła, wielki znak „STOP”, służący zazwyczaj drogowcom jako oznaczenie i zabezpieczenie miejsca prowadzonych robót, błyskała stal najeżonych kolczatek.

Kiedy dźwignia hamulca ręcznego powędrowała w górę, radiowóz obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. Szarpnęło nim, gdy startował w przeciwną stronę. Ryzykował wiele, narażając się na zderzenie czołowe z nadjeżdżającymi z przeciwka pojazdami,

ale nie rezygnował. Wtem na niebie za nim swą obecność zaznaczyły pulsujące i stałe lampki śmigłowca. Łopotanie wirnika potęgowało się i po kilku chwilach maszyna rzuciła swój cień na płaszczyznę, którą akurat przemierzał skradziony radiowóz.

„Nareszcie”, pomyślała Rebecca, widząc obrót spraw i wietrząc swoją szansę.

Docierali właśnie do wjazdu na autostradę, gdy porywacz ponownie użył hamulca ręcznego i wpasował się w ślimaka prowadzącego na obrzeża Havant. Krętą jezdnią pędził w górę kolejny radiowóz, by niewiele przed nimi stanąć w poprzek drogi. Wtedy jeszcze przyśpieszyli i przebili się, gubiąc zderzak i część przodu. Na drugim z kolei skrzyżowaniu skręcili w wąską uliczkę ciągnącą się na skraju osiedla domków jednorodzinnych. Osiągnęli taką prędkość, że budynki, zielenie i przestrzenie zlewały się w jeden barwny miraż. Potem asfalt przeszedł w żwir, a ten w polną dróżkę. Ale nie zwalniali. Nie zgubili tylko helikoptera, który tańczył nad nimi w powietrzu jak wierny pies. Nagle wpadli w dół i miska olejowa pękła z głuchym grzmotem na pół, gdy kierujący, omamiony widokiem rozlewających się przed nimi wód zatoki, zбочzył z kursu i przeciął ziemisto-kamieniste wybrzuszenie. Samochód sunął teraz bokiem ze ściśniętymi tarczami hamulców, aż ugrzązł w mule na płyciźnie. Wywołał falę, ale zanim ona przeszła, ze środka radiowozu wypadł na brzuch motocyklista. Prędko się jednak podniósł i cały mokry otworzył tylne drzwi. Pomógł wyjść transportowanej, wręcz musiał wyciągać ją za ręce. Ta wydawała się znajdować w wyjątkowo kiepskim stanie. Chwiała się na nogach i upadała, przyjmując pomoc, znów wstawiała, potem potykała się i wrywała. Doznała szoku lub jakiegoś typu obrażeń. Najpewniej głowy. To ją otumaniło. Człowiek w kombinezonie biegł wzdłuż rzeki na zachód, ona najpierw przez chwilę za nim, potem obrała kierunek na południowy-wschód. Światła reflektorów padały z helikoptera na oboje oddalających się, maszyna wisiała w miejscu.

– Podejrzani się rozdzielili – meldował pilot śmigłowca. – Kobieta ucieka przez wrzosowisko w kierunku wyspy Fowley, człowiek w kombinezonie okrąży Sweare Deep wzdłuż linii brzegowej. Chyba chce dotrzeć do przystani. Za kim mam lecieć?

– Na razie pilnuj obojga – zatrzeszczało w słuchawkach.

– Za mokradłami ich stracę. Zbyt gęsto. Odbiór.

– Zaraz będzie tam łódź. Wytrzymaj.

– Zrozumiałem.

Podejrzany w stroju motocyklisty biegł szybkim, jednostajnym tempem, któremu nie przeszkadzały zapadliny ani inne przeszkody naturalne, a tych wokół nie brakowało.

Kamienie naniesione przez wodę, wydmy usypane przez wiatr, różne przedmioty i gałęzie wyrzucone na brzeg podczas sztormu czy doły powstałe w czasie przyływu

nie stanowiły tutaj osobliwego widoku.

Mulligan ciągle oglądała się za siebie i przez to traciła rytm. Dodatkowo, nie patrzyła pod nogi i dwukrotnie się potknęła, raz przewróciła. Szybko jednak wstała, rozejrzała się dokoła i ruszyła dalej. Wyglądało, jakby nie mogła się zdecydować, co robić.

– Co za... – burknął pilot pod nosem i popatrzył przez lornetkę. – Motocyklista zbliża się do skutera wodnego.

– Powtórz.

– To dwuosobowa motorówka Yamaha przywiązana do pomostu dla wędkarzy. Biała z jasnoniebieskim wierzchem kadłuba.

– Zrobisz zbliżenie twarzy?

– Wciąż nie ściągnął kasku. Odpala, próbuje, udało mu się! Płynie na zachód, w stronę mostu.

– Przejmujemy go. Nie zgub podejrzanego.

– Tak jest.

Skuter wodny okrążył niewielki skrawek ziemi pośrodku zatoki i skierował się na wschód, zostawiając za sobą nadciągającą od Portsmouth jednostkę straży przybrzeżnej. Przepłynął wzdłuż zachodniego skraju wyspy Fowley i znalazł się między wyspami Hayling i Thorney. Zboczył w stronę wybrzeża pierwszej z nich, gdy zobaczył przed sobą kolejną patrolową motorówkę, tym razem policyjną, by odbić w wąski korytarz wodny, wchodzący w głąb lądu w miejscu gęsto porośniętym drzewami. Z wysokiego, obsypującego się brzegu wystawały korzenie, do których po półtorej mili przycumował skuter. Po nich też wdrapał się na ląd i uciekł co sił w głąb lasu. Straż przybrzeżna i policja były jednak tuż za nim. Funkcjonariusze weszli na piaszczyste wzniesienie i rozpierzchli się promieniście po terenie.

– Nie widzę go – meldował pilot śmigłowca, bujając się nisko nad koronami świerków i jodeł.

Poduszkowiec przeciął wówczas bagna i na mokradle dopadł Rebecę Mulligan, która brodziła po kostki w błotnistej wodzie, zalana łzami, wycieńczona i przerażona. Nawet nie starała się uciekać. Wciągnięta na pokład, chętnie przyjęła koc. Podziękowała, dygocąc na całym ciele.

– Mamy ją – oznajmił gardłowy głos przez radio.

Helikopter krążył nad wyspą, przeczesując każdy jej fragment, włącznie z okolicą zabudowań, ale nie namierzył uciekiniera. Gdy pół godziny później zaczął padać śnieg i znacznie pogorszyły się warunki atmosferyczne, musiał wracać. Psy zgubiły trop przy dopływie rzeki. Tam również urywały się odciski podeszw. Gleba po przeciwnej stronie koryta nosiła tylko ślady sarnich kopyt, musiał popłynąć zatem dalej w pław lub łódką, jeśli dopisało mu szczęście i na takową natrafił lub sam ją wcześniej zostawił

gdzieś w lesie. Nie zabezpieczono śladów ciągnięcia przez gęste, lecz zwiędłe i zgniłe leśne poszycie, ale lekki kajak mógłby przecież bez trudu przenieść, a ślady butów były tutaj głębsze. Może to przez bardziej nasiąknięte podłoże u podnóża pagórka, a może oznaka powiększenia ciężaru ciała o masę łodzi sportowej. Ruszono więc wraz z prądem, oboma brzegami wodnego szlaku. Policjanci szukający podejrzanego z ziemi odwiedzili też najbliższe domostwa, ale z równie bezowocnym rezultatem. Najgorsze, że nie wiedzieli, jak on w ogóle wygląda. Czy jest to mężczyzna, czy może kobieta. Okoliczni mieszkańcy nie zauważyli osoby w stroju motocyklisty lub tylko tak twierdzili, ale nikogo nie przyłapano na kłamstwie.

Przepadł.

Dowodzący akcją Snow nie tracił jednak wiary.

– Teraz już nam się nie wymknie – orzekł w obecności kilku podwładnych pochylonych nad mapą. Wcześniej zarządził postawienie całodobowych posterunków na jedynym moście łączącym wyspę z resztą kraju oraz przy jedynej tam przeprawie promowej. Zachodnie i wschodnie wybrzeże miały w dzień i w nocy monitorować jednostki pływające.

24

Dwaj policjanci w ortalionowych kurtkach przedzierali się przez kłujące chaszczce po obu stronach bystrej rzeki, gdy nagle jeden z nich dostrzegł ruch w wodzie za łysym pagórkiem rozdzielającym nurt.

– Tam coś jest – powiedział, upewniwszy się, że to nie kolejny tłusty szczupak, który wychylił łeb, aby pochłonąć żołądź wypadły z dzioba przelatującego ptaka, ani dzik przepływający się przez płyciznę.

Gdy podbiegli bliżej, ujrzeli znany z opisu czarny kask. Dopiero po chwili w mulastym strumieniu uwidocznili się kawałek granatowej kurtki. Woda była spieniona, wcześniej słyszeli wyraźny plusk. Jednak teraz kask, skierowany szybko w dół, unosił się wraz z kurtką bezszelestnie. Tuż obok było znacznie głębiej, o czym świadczył ciemniejszy kolor wody. Ta wlewała się do zapadliska, wytwarzając silny wir.

Topielec najpierw idzie na dno, dopiero w wyniku procesów gnilnych wypływa na powierzchnię (średnio po tygodniu w lecie, ale zimą okres ten wydłuża się nawet do miesiąca), aby potem znowu opaść, tym razem na zawsze, w czeluści jeziora lub innego zbiornika wodnego.

Szczupły, wysoki sierżant ściągał już buty, kiedy nagle z odmętów rzeki wyłoniła się postać. Rudowłosa mężczyzna w koszuli i krawacie walczył, aby utrzymać głowę ponad linią wody, głośno łapiąc powietrze. Potem, nie zauważając ich, ponownie zanurkował.

– Mamy podejrzanego – zameldował drugi z policjantów. – Chyba tonie. Włączam lokalizator.

Wartki nurt porwał kask i szarpał pozostawioną samą sobie kurtkę. Bosy policjant wsadził stopę do wody i od razu się cofnął. Jego kolega ułamał kawałek gałęzi i długim patykiem wyłowił kurtkę motocyklisty. Wtedy mężczyzna wynurzył się po raz drugi, tyle że kilkanaście stóp dalej.

– Chwyć się kija! – krzyknął biegnący za nim łodem policjant. Topiący złapał się chropowatego końca i siłą mięśni lewej ręki oraz obu policjanta dostał się do rozmokłego pasa ziemi.

– Nie ruszaj się, jesteś zatrzymany – powiedział ten bez butów. W międzyczasie przedostał się na drugi brzeg kładką, którą tworzyło drzewo wyrwane z korzeniami przez jedną z wichur i rzucone w poprzek rzeki.

– Przestań chrzanić – burknął na czworakach Charlie Keane.

– Nie musisz nic mówić... – zaczął wygłaszać formułkę wymaganą przy aresztowaniu.

– To jeden z naszych – wtrącił niższy, tęgi funkcjonariusz klęczący przy Keanie. W dłoni podnosił legitymację zawieszoną na srebrnym łańcuszku na szyi młodego inspektora.

– Falszywy alarm – nadawał bosy bez dalszych pytań. – Przez pomyłkę złapaliśmy swojego. Inspektor Keane, Wydział Zabójstw. Przepraszam.

– Co on, do cholery, robił w wodzie? – rzucił w eter Snow.

Przez chwilę na częstotliwości, której używali, zaległa grobowa cisza.

– Wyplątywał się z kurtki i kasku i...

– Dawaj – warknął Keane, już stojąc, i wyrwał mu krótkofalówkę. – Przebrał się. Zmylił nas. Może być wszędzie. Ale na pewno nie tu.



Bradley Owen schodził pagórką, osłoniętą od wiatru i drogi wyższym wzniesieniem, gdy zza samotnej skały w odległości dwóch mil wynurzyła się mała kropka będąca samochodem. Owen przycisnął się wtedy za z rzadka porośniętym szczypiącymi chwastami osuwiskiem ziemi w kształcie rombu i wypatrywał. W absolutnej głuszy dźwięki znacznie się wyostrzały, a wśród gór odbijały niekiedy nawet potrójnym echem, przez co stawały się słyszalne z bardzo daleka. Owen biegł w tym kierunku z doliny, zamiast się ukryć, jak radziła mu Nailea, ostrzegając i napominając, gdy omal nie natknął się na grupkę nieobliczalnych złodziei, których przemytniczy szlak wiódł między okolicznymi szczytami. Jednak teraz sytuacja wyglądała zgoła odmiennie, bo Owen dostrzegł napis „POLICÍA” na przednich drzwiach od strony kierowcy. Kiedy zbliżyli się do niego, wyszedł zza dużego ostrego głazu, tak, aby go zauważyli i się zatrzymali. Granatowo-szarym radiowozem poruszało się dwóch mężczyzn. Obaj wysiedli jednocześnie, jeden z bronią w rękę, drugi z rozpiętą kaburą i dłonią na niej.

– *Ayúdeme!* – powiedział Owen bez akcentu, machając do nich. – *Embajada Británica Cancillería y Consulado* – dodał, zanim popatrzyli po sobie.

Drugi się roześmiał, pierwszy schował pistolet za pasek na plecach.

– Pan Owen?

– Tak?...

– Szukaliśmy pana. I tak, pomożemy dostać się do ambasady. Proszę. – Wskazał na samochód.

Owen czuł jak zwolna drętwieją mu nogi.

– Mnie? – spytał. – Czy na pewno?

– Zgłoszono zaginięcie – wyjaśnił kierowca.

Owen pomyślał, że to dość dziwne. Zwykle kiedy brał udział w misjach zagranicznych, nie mógł liczyć na pomoc miejscowej policji. Oczywiście, współpracowano z różnymi służbami, również z policją, ale nie na każdym szczeblu i nie podając informacji do powszechnej wiadomości. Tyle że nie pamiętał wszystkiego z ostatnich tygodni. Właściwie to większość wspomnień z tego okresu wydawała mu się zupełnie obca, a innych nie umiał odróżnić od snów i wyobrażeń. Nie ufał im. Może coś się zmieniło i z jakiegoś powodu zaczęto działać inaczej, mniej zachowawczo? Zanim się zastanowił, policjant ubrany w ciemnozielone spodnie i rozpinaną bluzę wziął go pod rękę i wsadził na tylną kanapę.

Zawrócili i jechali może dziesięć minut, gdy i tak silny już wiatr wzmógł się na tyle, że piach rzucający na szybę połowicznie przesłonił widoczność. Obraz ten wzbudził w Owenie załamki wspomnień, pojedyncze sceny, krótkie, urwane zdania, które stopniowo przenikały do jego świadomości. Szmata zatykająca chłodnicę i kielznająca moc silnika... burza piaskowa... pościg...

– Co mu jest? – rzucił policjant pasażer.

Owen kulił się w sobie, tarł oczy i masował skroń.

– Patrz!

Policjanci nie spoglądali już na Owena, lecz wpatrywali się w czołową szybę niczym zahipnotyzowani. Niedaleko przed przednią maską radiowozu wyrosła nagle ogromna, sięgająca nieba trąba powietrzna. Gwałtowny niesymetryczny wir pędził wprost na nich, porywając przydrożne krzaki i wciąż przybierając na sile. Policjant gwałtownie skręcił na pobocze pod kątem siedemdziesięciu stopni, aby ominąć niszczycielską moc żywiołu, gdy na wprost, idealnie na torze jazdy wyrosła młoda dziewczyna o delikatnej urodzie. Widziała ich, ale nie uciekała, stała, jakby szok, którego doznała, sparaliżował ją dogłębnie i nie pozwalał się ruszyć. Kierujący wciskał pedał hamulca, zaciągnął też ręczny, ale zderzenie było nieuniknione. Odruchowo szarpnął kierownicą w lewo, choć tam rozciągała się skalista równina. Wysoki na kilkanaście stóp próg, a dalej lekko falisty, popękany i odrobinę pomarszczony rozległy obszar, przypominający wyschnięte dno jeziora lub powierzchnię księżyca. Skorygował ustawienie kół jeszcze raz, wybrał gorsze zło. Ona albo my. Ona albo ja. Policjant-pasażer krzychał i mocował się z pasem bezpieczeństwa, który się zaciął, kierowca zamknął oczy i puścił kierownicę. Samochód parł na dziewczynę w długiej sukience i potarciłby już ją, gdyby ta w dotknięciu ze zderzakiem nie zamieniła się w chmurę piachu i nie rozprysła we wszystkie strony. Zdarłe opony radiowozu straciły wtedy kontakt z podłożem i półtoratonowa maszyna zanurkowała w podłużny dół, pozostałość po drążonym tu niegdyś wodociągu, który ostatecznie – z uwagi na skład

ziemi – poprowadzono drugim zboczem góry. Blacha zawyla przeciągle, gdy przód auta zarył w płasko uformowaną, skalistą, bezwęglanową glebę. Potem pozostała jego część opadła z głuchym brzdękiem, wzbijając kłęby kurzu. Wąskość rowu zaklinowała wszystkie czworo drzwi. Do wnętrza wdarło się tyle pyłu, że Owen nie mógł wiedzieć, kto łapie go za koszulę i wyciąga przez otwór pozostały po tylnej szybie. Dopiero na górze zobaczył, że to była Nailea.

– Jak?... Skąd?... – wydobył z siebie i osunął się na ziemię.

– Musimy iść – szepnęła Nailea.

Zamroczony uderzeniem w twardą przegrodę biegnącą przez środek auta, nie protestował, gdy kazała mu położyć się w poprzek osiołka i trzymać mocno uprzęży.

– Odczepiłam zaprzęg, aby przedrzeć się skrótem – wyjaśniła, jakby wiedział choć w części, o co chodzi.

Owen wybił sobie bark w momencie wypadku i rozbił nos, cały ból jednak zniknął chwilę po tym, jak Nailea rozpyliła mu na twarzy jakiś proszek. Pachniał niczym starte płatki świeżych polnych kwiatów i kleił się do skóry, lecz nie do oczu czy ust. Ułożenie się na zwierzęciu w jakiś sposób uznał za naturalne, choć dyndał głową i rękami w dół, szorując palcami po szorstkim klepisku. Powoli odpływał w nieświadomość, zrobiło mu się nieprzyzwoicie miło. Po paru sekundach zasnął.

Policjant-pasażer wypadł przez przednią szybę i leżał nakryty nogami, poruszał się, bełkotał coś bez sensu. Kierowca wygramolił się z wraku i zadarł głowę. Miliony drobinek piachu podrywały się z ziemi i spiralami wznosiły ku zasnutemu szarym kurzem niebu. Podskoczył, złapał się krawędzi rowu i spróbował się podciągnąć – bezskutecznie.

Dopiero wtedy pomyślał i po masce i dachu radiowozu wyszedł wygodnie na powierzchnię jak po schodach. Podmuchy silnego wiatru pchały jednak tumany piachu i pyłu z ziemi wprost na niego. Z trudem ustał, gdy powiało jeszcze gwałtowniej. Nie widział nic.

W końcu spasował i wskoczył do dołu, gdzie – w porównaniu z tym, co zastał wyżej – było cicho, przyjemnie, a nawet wydawało się, że całkiem bezpiecznie.



– Doktor Barnes – wymamrotał do słuchawki patolog ubrany w biały fartuch i kurtkę z futrzanym kołnierzem. W ustach tlił mu się papieros.

– Dzień dobry, doktorze, mówi Ian Thewlis, patolog, dzwonię ze szpitala Royal Bournemouth.

– Tak?

- Proszę wybaczyć, ale wpadła mi w ręce kopia pańskiego raportu z sekcji zwłok przebywającej u nas Kate Atwell, a po obejrzeniu jej ciała...
- Że co? – burknął Barnes. – Sprawdza mnie pan?
- W żadnym razie. Poproszono mnie o konsultację.
- Niby kto?
- Mam to na piśmie, ale nie pamiętam... Czy mogę wrócić do meritum?
- Uhm – mruknął niepokieszony Barnes.
- Nie zauważył pan jednego nakłucia, które w mojej opinii jest istotne i może okazać się kluczowe.
- Nie sądzę.
- A jednak.
- Panie... Thewlis, do czego pan zmierza?
- W pieprzyk na lewej łopatce denatki głęboko wbito igłę, jeszcze gdy żyła, o czym świadczy stan tkanek.
- Ach, tak... – zaciągnął się płytko.
- No, widzi pan, bardzo nietypowe. Po co ktoś miałby robić coś takiego?...
- Coś jeszcze? – wydmuchnął dym.
- Nie, to wszystko. Przyjedzie pan?
- Proszę przesłać mi pełną dokumentację. Podpiszę się.
- Nie, nie wolno mi. Miałem dołączyć do pańskiego raportu swoje ewentualne odrębne zdanie.
- Chyba pan żartuje... – oburzył się Barnes.
- Niestety.
- To po co pan dzwoni?
- Myślałem, że może zechce pan przyjechać i zerknąć...
- Otrzymał pan polecenie służbowe wykonania powtórnej sekcji?
- Nie, zlecenie z zewnątrz.
- Policja? Snow?
- Nie wiem, nazywał się jakoś inaczej...
- Będziemy w kontakcie – rozłączył się, nie odkładając słuchawki, i rozgniótł niedopałek w prosektoryjnym zlewie.



Gdy czarny land rover z matowymi szybami podjechał pod frontowe drzwi budynku policji, Snow czekał już na zewnątrz.

- Dzień dobry, nadinspektorze – powitał wysokiego jegomościa w długim płaszczu z brązowej skóry i czarnym meloniku.

– Witam – odparł tamten, podchodząc śpiesznym krokiem i ściskając mu dłoń. – Rozumie pan chyba, że ktoś inny musi przesłuchać Keane’a.

– Naturalnie – odparł Snow, wdzięczny, że rozmawiają na chodniku, z dala od potencjalnych świadków.

– Dobrze – burknął postawny mężczyzna i natychmiast ruszył do wejścia.

– Nadinspektorze Lawrence – zatrzymał go wtedy Snow.

Policjant odwrócił się niezadowolony.

– Słucham.

– Czegoś tu nie rozumiem...

– Nie pan jeden. – Skierował się z powrotem w stronę gmachu.

– Trwał pościg, wszystko działo się bardzo szybko, zaszła pomyłka...

– To się jeszcze okaże – uciął krótko, wchodząc mu w słowo.

– Ręczę za moich ludzi – zarzekł się Snow, jakby lekko urażony.

– Pańscy ludzie popełniają błędy – podniósł głos Lawrence. – Dajmy na to doktora... jak mu tam... tego patologa...

– Doktor Barnes. James Barnes.

– Mój imiennik – mruknął Lawrence, nieco spuszczać z tonu.

– Dobry fachowiec, sprawdzony.

– Otóż proszę sobie wyobrazić, że doktor Barnes przeoczył być może niezwykle ważny dla śledztwa trop.

– A konkretnie? – spytał Snow, zupełnie zaskoczony.

– Ranę na ciele Kate Atwell, bardzo niestandardową. Właśnie dlatego nakazałem ponowne sekcje Kelly Robinson oraz Jane Cook.

– Czy to aby na pewno konieczne? Współpracuję z doktorem od dawna i jestem przekonany, że jeśli się pomylił, to tylko raz.

– Może dlatego zabójca trzech kobiet wciąż pozostaje na wolności – odgryzł się Lawrence. – Bo zgubiła pana zbytnią pewność siebie. Zwłoki jeszcze dzisiaj zostaną przetransportowane do Bournemouth.

– Niech wasz patolog przyjedzie tutaj – sprzeciwił się Snow. – Nikt nie będzie mu przeszkadzał. Okażmy szacunek tej biednej kobiecie. Jutro miała zostać pochowana, przypuszczam, że uda się wam tego nie popsuć.

Nadinspektor James Lawrence popatrzył na równego sobie rangą Snowa z ukosa.

– Może... może nawet się wyrobimy – wycedził wreszcie i zanim weszli do środka, przywołał kogoś z samochodu, którym przyjechał. – Inspektor Boyce.

– Liam Boyce, bardzo mi miło – powiedział niski, szczupły, elegancki, krótko obcięty mężczyzna przed czterdziestką.

– Inspektor Boyce odbierze zeznania od pańskiego podwładnego, kiedy my zajmiemy się ważniejszymi rzeczami – rzucił lekko, wręcz wesoło.

Snow nie mógł się zdecydować, czy przed chwilą poznany nadinspektor z Liverpoolu to pozytywna postać, czy też nie. Nie przybył tu z własnego wyboru, ale na polecenie ministerstwa. Podchodził jednak do tematu jak służbista, który szuka wszędzie czegoś, co w ogóle nie istnieje, aby tylko się przyczepić. Z drugiej strony dbał o jego reputację, przekazując mu złe wieści na osobności i umniejszając – jak się wydawało wbrew własnym przekonaniom – wagę przesłuchania Charliego przed osobą trzecią, a do tego niższą stopniem. Gest szacunku wobec munduru, urzędu czy solidarność zawodowa? W końcu w hierarchii policyjnej plasowali się na jednym poziomie, ale tacy ludzie zawsze konkurowali ze sobą o awanse i wyróżnienia. Lawrence mimo to nie chciał chyba pogrążyć Snowa, chociaż dopiero przybył do Portsmouth i ciężko było odgadnąć jego rzeczywiste intencje.



Liam Boyce wszedł do pokoju przesłuchań, gdzie niewiele wcześniej wprowadzono Keane'a, Lawrence i Snow zasiedli za lustrem weneckim, przysłuchując się; jeden w napięciu, drugi zupełnie obojętnie, raczej z przymusu.

Kiedy inspektor Boyce się przedstawił, a Keane odwzajemnił uprzejmości, padło pierwsze pytanie:

– Co pan tam robił?

– Podejrzewam, że czytał pan raport – odrzekł beznamiętnie Keane.

– Zapoznałem się z nim – pokiwał głową – ale nie wiem, czemu wierzyć.

– Raczej komu – mruknął Keane.

Po drugiej stronie szyby James Lawrence zaczynał się niecierpliwić.

– Mówił pan, że inspektor będzie współpracował.

Snow tylko mrugnął.

– Przemarzł i... chyba ma prawo do złości, biorąc pod uwagę, jak został potraktowany.

Lawrence starał się na Snowa nie patrzeć.

Liam Boyce poluźnił krawat.

– Wskoczył pan do lodowatej wody, bo sądził, że ktoś się topi – stwierdził, oczekując odpowiedzi.

– Nie ktoś, ale podejrzany. I tak, tak to wyglądało. Kask zwrócony przodem do dna, tył kurtki unoszący się na powierzchni... Taśmę kasku przywiązano do haczyka kurtki, całość tworzyła przekonujący widok.

– Po opuszczeniu Kliniki Chirurgii Plastycznej w Southampton pan i inspektor Snow...

– Nadinspektor – poprawił go Keane.

– Z całym szacunkiem, ale o ile mi wiadomo, został zdegradowany do stopnia inspektora – odrzekł ponuro Boyce.

– Tylko symbolicznie, bez utraty stanowiska, uposażenia i poważania. Przez zwykłe nieporozumienie.

Snow zmienił pozycję na krzesło.

– Obu panów – odezwał się Lawrence, patrząc przed siebie – imają się różne przypadki.

– Nie wierzę w przypadki – odpowiedział szorstko Snow, na co Lawrence jeszcze bardziej się nachmurzył.

– Nie przeczę – podjął Boyce – lecz nie tym mamy się zająć.

– Jechaliśmy autostradą em dwadzieścia siedem – rzekł Keane. – Mijaliśmy właśnie Fareham, gdy zaatakowano konwój z podejrzaną. Przyśpieszyłem, Snow został w tyle. Przed Port Solent podano przez radio, że droga jest zablokowana, bo doszło do wypadku z udziałem dwóch osobówek i ciężarówki. Chwilę potem padł komunikat mówiący o radiowozie zatrzymanym na pasie przez motocyklistę i strzelaninie w okolicach Westbourne. Odbiłem więc na A dwadzieścia siedem, później skręciłem w A dwadzieścia trzydzieści i dalej bocznymi uliczkami dostałem się z powrotem na dwudziestkę siódmką. Jednak za Farlington, na odcinku przy jeziorze Chalkdock, przed wjazdem na A trzy poinformowano o zamknięciu obu nitek autostrady między Havant a Langstone. Zjechałem więc na Langstone Road. Nie mogłem pędzić przez miasto, nie miałem szans. Wtedy uciekający już zawrócił, gdy zaś dotarł do wjazdu, którego użył odwrotnie do przeznaczenia, i ruszył na południe, ku Sweare Deep, wjechałem w Langstone High Street; to ślepa uliczka kończąca się skrawkiem linii brzegowej i wodą. A właściwie jest nimi przecięta. Pobiegłem chodnikiem między domami a kamiennym brzegiem. Dotarłem prawie do Solent Way, kiedy w krótkofalówce zatrzeszczało, że podejrzany ucieka skuterem w stronę wyspy Fowley. Pomyślałem, że tam nic nie ma i będzie chciał się skryć na innej wyspie. W grę wchodziła nie tylko Hayling, ale ona wydawała się najbardziej prawdopodobna. Nie da się długo wymykać pościgowi na skuterze wodnym. Zresztą byłem zbyt daleko od Thorney czy West Wittering, nie wspominając już o West Itchenor lub Bosham. – Wstał, czemu Boyce się nie sprzeciwił, ale gdy zbliżył się do wyjścia, ten chrząknął i się zająknął:

– Co pan... p-panie... inspektorze?

Lawrence już się podnosił, ale wtedy Keane uchylił drzwi i powiedział:

– Nigel, przynieś mi jeszcze jedną colę, okej?

Z korytarza padło natychmiast donośne „już się robi” i Keane cofnął się na krzesło. Boyce zrezygnował z uwagi, jaka cisnęła mu się na usta, Lawrence tylko wykrzywił wargi w grymasie.

– I?

– Wróciłem na Langstone High Street. Dzięki, Nigel – powiedział, gdy niebieskooki blondyn podał mu puszkę.

– Proszę kontynuować – zachęcił go Boyce, nieco rozproszony swobodnym zachowaniem Keane’a.

– Zamierzałem pojechać w głąb wyspy, ale ktoś mnie zastawił, duża furgonetka z sieciami, wędkami i skrzyniami, nie widziałem nigdzie kierowcy, a czas nie zatrzymał się w miejscu. Improwizowałem: zarekwirowałem kajak leżący na brzegu i popłynąłem na drugi brzeg. Padał śnieg, morze było spokojne, szczególnie wody zatoki. Okrążyłem północny cypel i dostałem się do ujścia rzeki.

– Kajak ten był przypięty łańcuchem do barierki.

Keane leniwie sącył kolejny łyk, niewinnie uniósł brwi.

– Zabezpieczenie zostało przecięte, zgłoszono kradzież – mówił Boyce. – Tak też natrafiono później na pański samochód. Kajak z kolei znaleziono niedaleko miejsca, w którym wyciągnięto pana na brzeg.

– Wszystko się zgadza.

– Niestety nie. Wyłączył pan telefon, przez co nie można ustalić, gdzie się pan dokładnie znajdował. Widziano pańską carrerę, ale nie ciężarówkę. Nikt nie potrafił też powiedzieć, ile porsche tam stało; nie miał pan aktywnej nawigacji. Może na tyle długo, by zdążyć wsiąść na motocykl i przemierzyć parę mil?

– Zbyt naciągana teoria – odparł spokojnie.

– Może...

Keane uśmiechnął się niepoważnie.

– ...ale to pana wiąże się teraz z incydentem sprzed paru dni na wyspie Hayling.

– Co?! – Keane omal się nie zachłysnął. – Chodzi o strzelaninę w lesie?

– Oprócz pana, inspektora Snowa oraz agentów Owena i Bassetta, nikt nie wiedział o istnieniu kryjówki i o tym, że przebywa tam akurat ważny świadek.

– Nie ma mowy – odchylił się na krześle i rozłożył ramiona.

– To jakaś kpina – warknął Snow.

– Niewykluczone – zgodził się Lawrence, uruchomiwszy mikrofon, i usłyszeli go również Boyce i Keane. – Dlatego jest pan wolny. Ale też na razie zawieszony.

– Coście... powariowali? – rzucił Keane.

– Proszę zdać broń, kajdanki, legitymację i resztę sprzętu. Przez jakiś czas proszę nie wyjeżdżać z miasta – dokończył spokojnie Lawrence.



Niewysoki, siwiejący mężczyzna szedł przez zatłoczony terminal portu lotniczego Southampton, wyciągając nogi i ciągnąc za sobą za łokieć młodą kobietę, która truchtała pół kroku w tyle z na oko dwu-, trzyletnim chłopcem na rękach. Śpieszyli do punktu powitań, gdzie w międzyczasie zrobiło się całkiem pusto.

Czekał tam jedynie młody mężczyzna w rozpiętej puchowej kurtce, bez walizki czy nawet bagażu podręcznego. Z telefonem przy uchu i czapką pod pachą, niecierpliwie rozglądał się wkoło.

Gdy tylko dostrzegł ich w tłumie, od razu ruszył im naprzeciw.

– Paul! – wykrzyknęła kobieta i minęła mężczyznę, nad którym dotąd z trudem nadażała.

– Sophie! – odpowiedział Paul Barkley i przyłgnęli do siebie w stęsknionym uścisku. Gdy złączyli usta, jej nogi zawisły dwa cale nad ziemią.

– Jak się masz, David? – ucałował chłopczyka w czołko pod kępą jasnych włosów i uścisnął go.

– Tata! – pisnął mały, objął ojca za szyję i dostał drugiego buziaka.

– Tak bardzo przepraszam, Sophie – patrzył w jej szmaragdowozielone oczy, pełen pokory i strachu.

– To nie twoja wina – odrzekła zdyszana i ponownie się przytuliła. – Wybacz, że ci nie wierzyłam... Kochany...

– Jak dobrze, że zostałam... że nie posłuchałam...

Dopiero gdy Barkley przejął chłopca od żony i wsadził go sobie na barana, zwrócił się do mężczyzny, który przypatrywał się scenie w ciszy i skupieniu, nie zdradzając niepewności, jaka nim targała.

– Panie Mitten – wyciągnął dłoń – bardzo dziękuję za zajęcie się moją rodziną. Naprawdę nie wiem, jak mogę się odwdzińczyć...

– A-ależ... nie trzeba – wyjąkał. Czuł, jak w błyskawicznym tempie spada mu ciśnienie. – Nie zrobiłem wiele. Tylko tyle, ile należało – wesoło potrząsnął jego ręką.

– Nieprawda – sprzeciwiła się Sophie, a serce Mittena znowu przyśpieszyło. – Pan Mitten pomagał nam, co dzień pytał, czy czegoś nie trzeba... przysłał prawnika, który szybko załatwił wszelkie formalności... i sprowadził ciebie tutaj.

– Nie ma o czym mówić – odparł z ulgą. – Spóźniliśmy się przez ogromny korek... – z radością zmienił temat. – Autostrada stoi od samego Portsmouth, a na pewno i dalej... i to w obu kierunkach. Wszystko przez...

Ale Paul Barkley nawet go nie słuchał. Spoglądał to na żonę, to w górę na syna. Był szczęśliwy. Wszyscy troje uśmiechali się do siebie i czule nawzajem dotykali, zmierzając w stronę parkingu.



Inspektor Liam Boyce z policji w Liverpoolu podniósł się z krzesła, obszedł je i oparł dłonie na brzegu stolika, po drugiej stronie którego z nogą założoną na nogę siedziała tymczasowo zatrzymana reporterka Rebecca Mulligan.

– Na szmince Anne Faezi znaleziono pani odciski palców, więc proszę nie wmawiać mi, że...

– Dobrze, dobrze, tak – wtrąciła Rebecca.

Emanowała spokojem, sprawiała wrażenie opadniętej z sił, lecz przemawiała przez nią dogłębna, niewzruszona pewność siebie, czym potrafiła zirytować nawet z pozoru opanowanego Boyce'a.

– Przyznaje się pani? – zapytał i spojrzał we własne odbicie.

Również w tym pokoju przesłuchań podejrzany siedział przodem do szerokiego lustra. Tyle że tutaj znajdowało się ono w ścianie południowej.

– Tak – przytaknęła.

– Do zabójstwa Anne... – podjął oficjalnym tonem, ale szybko mu przerwała:

– Nie... nie! Bez żartów.

Liam Boyce opadł na oparcie, zmęczony i wyprowadzony z równowagi.

– Rozumiem – mruknął.

– No, właśnie jednak chyba nie.

– Proszę więc mi wytłumaczyć.

– Weszłam do domu państwa Faezi pod ich nieobecność.

– Włamała się pani – poprawił ją z ręką pod brodą.

– Może i tak.

– Może? – przekręcił się na drugi bok.

– Zapamiętałam kod alarmu i go użyłam.

– Obserwowała pani dom?

Pokiwała głową.

– Z ulicy, przez lornetkę.

– Uhm. Jak długo?

– Kilka godzin. Kiedy wszyscy wyszli, ja weszłam.

– Ale po co?

– Chciałam znaleźć coś o tej Faezi. Nie wiedziałam, czy jest podejrzaną, czy niedoszłą ofiarą... Z rozmów to nie wynikało.

– Czyich rozmów?

Rebecca nie odpowiedziała.

– Proszę nie komplikować swojej sytuacji.

– A można bardziej?

Inspektor Boyce wykrzywił usta, patrząc jej w oczy.

– On nie wiedział, że go podsłuchuję – wyznała Rebecca.

– Czyli kto?

Rebecca zatrzepotała rzęsami i odrzuciła włosy do tyłu.

– Charlie... Keane.

Boyce poruszył się na krześle i znowu poszukał wzrokiem szyby. Po drugiej jej stronie nadinspektor Lawrence spojrział wymownie na Snowa. Ten miał napiętą twarz.

– Gdzie to miało miejsce?

– Nie wiem, to była rozmowa...

– Nie wie pani? – powtórzył Boyce.

– ...telefoniczna.

– Kto pani pomagał?

– Nikt.

Śledczy wziął głęboki oddech, westchnął.

– A dzisiaj na drodze?

– Mówiłam już, że go nie rozpoznałam. Przez cały czas miał na głowie kask. Porwał mnie. Ja tu jestem ofiarą.

– Jeśli uważa się pani za niewinną...

– Jestem niewinna – weszła mu w słowo.

– Dlaczego więc pani uciekała i upozorowała wyjazd do Francji?

– Bałam się. Zostałam napadnięta, chciano mnie zabić. Myślałam, że wpadłam na właściwy trop i stąd wzięły się moje kłopoty. Tłumaczę wam, powtarzam: Hayley Chiba coś ukrywa. Sprawdźcie ją.

– Sprawdziliśmy.

– I co?

– Nic. Przykro mi.

– Mogę już stąd wyjść?

– Niestety – odparł Boyce.

– Ale...

Nagle drzwi otworzyły się i Lawrence ujrzał лыsego mężczyznę w płaszczu i kapeluszu, który zdjął, kłaniając się, i położył na teczce upuszczonej na stolik.

– Jeszcze nie teraz. I chyba nieprędko – odparł Boyce.

– Nie byłbym tego taki pewny – rzekł mężczyzna.

- Przepraszam... kim pan jest? – odezwał się Snow.
- Michael Holm, adwokat pani Mulligan. Słucham, jakie sformułowali panowie zarzuty? – Zdjął płaszcz i zwinięty rzucił obok teczki. – Bo chyba macie coś konkretnego?

25

Zarzuciła butlę tlenową na plecy i ścisnęła pasek, poprawiła sobie maskę, zapaliła lampę czołową i przykucnęła, aby wsunąć stopy w pletwy. Fale rozbijały się o skały, na których stała, rozbryzgując wokół morską pianę. Krople wody wzbijały się wysoko ponad nią, padały na kamienie, polerując je i czyniąc zdradliwie śliskimi. Dygotała na przeszywającym chłodem wietrze mimo zimowego skafandra, który miała na sobie, solidnych butów, grubych rękawic i kaptura. Horyzont od rana spowijały ciemne chmury, nadciągające teraz nisko nad ląd, widoczność stale spadała. Wnet zaczęło padać i drobna mżawka szybko przeistoczyła się w prawdziwą ulewę. Z ciemnej głębi krople uderzające o powierzchnię wody i tworzące bańki wydawały się odległe i nierealne jak świetlne zjawisko atmosferyczne na cudzym niebie.

Gdy płynęła w głąb i dalej, zapalały się kolejne reflektory, te zostawiane w tyle zaś gasły. Infrastruktura służyła na co dzień turystom nurkującym tu, aby podziwiać wraki statków i setki tysięcy kolumn bazaltowych, formujących niezwyklej urody podwodne ściany. W górnych partiach czeluści przy południowych wiatrach stykały się dwa przeciwstawne prądy, które osobno nie sprawiały większych problemów nawet małym łodziom, ale złączone powodowały powstawanie śmiertelnie niebezpiecznych wirów. A że wokoło nie brakowało nieregularnie rozmieszczonych skalnych gór, spośród których tylko nieliczne wystawały z wody, i to jedynie podczas odpływu, wiele okrętów na przestrzeni dziejów poszło tutaj lub w pobliżu na dno. Dlatego przed dwoma stuleciami ów rejon dziesięciu mil morskich kwadratowych rozciągający się niesymetrycznie między Portsmouth a Southampton został zniesiony z mapy szlaków handlowych i turystycznych i jest omijany bardzo szerokim łukiem. Teraz przyciąga już tylko szaleńców i głupców, którym często zabiera motorówki, a czasem nawet i życie.

Dziewczyna minęła hiszpański galeon z figurą bogini mór i oceanów na dziobie, potem o wiele mniejszą holenderską pinasę o pawężowej rufie i francuską galerę, której czubki bardzo długich rei prawie sięgały powietrza, a nieco dalej rzymską liburnę, leżącą na boku z sześcioma rzędami wiosł. Wtedy od następnego obiektu, triremy z potężnym taranem na przedzie, dzieliło ją kilkanaście stóp, na tyle dużo, żeby nie móc dostrzec jej sterczących pomostów abordażowych, jakie nazywano krukami. Zatrzymała się i zanurzyła jeszcze głębiej. Kompas w zegarku na ręce pokazywał wschód i współrzędne geograficzne, właściwe oraz docelowe, sonar pustkę,

a georadar przypięty do drugiego nadgarstka wykrył niewiele po skosie prostokątny przedmiot znajdujący się pod kilkunastocalową warstwą piachu i innego rodzaju grząskiego osadu. Dotarła na miejsce. Wyciągnęła długą, cienką odmularkę przylegającą do pasa niczym szabla i uruchomiła ją. Trzy małe, zakrzywione łopatki zaczęły wirować jak turbina wodna, odpychając drobną postać do tyłu. Wyłączyła silnik i ponownie wprawiła w ruch dopiero, gdy wbiła spiczasty koniec maszyny w muł. Odmularka kopała sprawnie, lekko. W ciągu zaledwie paru sekund odsłoniła coś gładkiego i metalowego, jakby wieko skrzyni. Dziewczynie mocniej zabiło serce. Podekscytowana, użyła elektrycznego narzędzia do obkopania boków znaleziska, kiedy kątem oka coś dostrzegła, bardziej podświadomie niż naprawdę. Wypatrywała ruchu przez dłuższą chwilę, obracając się we wszystkie strony, i nic. Ryby i inne zwierzęta morskie nie zapędzały się w te okolice, bo panujący tu unikalny mikroklimat im nie sprzyjał. Wyjątki w postaci niektórych bezkręgowców, głównie skorupiaków, ale też dwóch czy trzech zwierzokrzewów, były z kolei zbyt małe, aby aktywować światła. Pewnie przez to naokoło wciąż panowała nieprzenikniona ciemność, mimo odgłosu mącenia wody i dziwnego wrażenia, które odniosła, sądząc, że ktoś nadpływa. Wróciła do pracy. Kiedy całkowicie odsłoniła przedmiot, okazało się, że to nie skrzynia, lecz wielka patera. Takich naczyń używano niegdyś do składania ofiar, było bardzo stare i bezcenne.

Znowu to wrażenie, że nie jest sama. Wszechogarniająca bezdenna cisza budziła lęk. Wszystko, co mogło zjeść drewno, z jakiego wykonano statki, tu nie zamieszkiwało. Podobnie jak grzyby i owady wpływające na jego gnicie. Niskie zasolenie i lodowato zimna woda również sprzyjały konserwacji zatoniętych jednostek. Dlatego obszar ten stanowił pokusę dla łowców okazji. Stąd wzmożone patrole policji i straży przybrzeżnej oraz szereg przepisów szczególnych, uzupełniających i zmieniających prawo morza. Liczne zakazy i restrykcje. Może to właśnie straż przybrzeżna wyłączyła czujniki ruchu, aby złapać ją zniemacka? Nie, po ciemku przecież miałyby łatwiej się ukryć gdzieś za skałą lub uciec. Ale mogli mieć noktowizory lub kamerę termowizyjną.

Wyczekiwała bez ruchu, starając się wstrzymać oddech, a i tak wiedziała, że w panice zużywa więcej tlenu, niż powinna. Czas mijał, jednak nic się nie działo. W końcu zgasła lampę czołową. Strumień światła padał na kamienie i oświetlał wodę, nie uwidaczniając śladu życia. Za to zdradzał jej obecność i położenie. Po omacku odnalazła paterę i zabrała ją ze sobą. Płynęła na pamięć. Gdy zbliżała się do liburny, reflektor rozblęsnął. Nagły blask oślepił ją i przysporzył o dreszcze. Długie i wąskie, ostre po obu stronach szczątki kadłuba okrętu zwiadowczego w filtrowanym wodą świetle wyglądały majestatycznie. Reflektory działały, nikogo nie dostrzegła.

„Głupia, więcej odwagi”.

Zgasły światła przy liburnie, a zapaliły się te przy galeasie. Ewidentnie wyczuła przesunięcie się niewielkich mas wody. Zobaczyła gromadę żółtych sikwiaków znikających w szczelinach skalnych i zagrzebujących się w piasku i mule dennym. Czy to one? Albo jakiś większy bezkręgowiec? Patera musiała chyba ważyć tyle, co mała ciężarówka, bo ciągnęła ją w dół jak kotwica. Bolały ją już ręce i kręgosłup, a do łodzi pozostało niemało. A nawet więcej. Z czarnej plamy wyłoił się pochylony do przodu dziób pinasy, wyglądającej przez to, jakby nurkowała. Wzrok dziewczyny przebiegł po obu pokładach artyleryjskich żaglowca.

Uspokoila się, płynęła coraz wolniej, brakowało jej sił, lecz posuwała się naprzód. Aż nagle, ogarnięta nietypowym uczuciem, odwróciła się gwałtownie, lecz i tym razem niczego nie ujrzała. Poza bezkresem wód, wrakiem i rzędem skał. Ponownie skierowała się na północny-wschód, ale nie minęło pół sekundy, gdy zaplątała się w coś i przerażona, odchyliła do tyłu. Upuściła paterę, lecz ta, zamknięta w obrębie pułapki, opadając na dno, pociągała ją za sobą.

Uwięziona w grubej sieci rybackiej, ciężkiej i ciasnej, szamotała się i szarpała ze szczelnym splotem. Sznurek wpijał się w rękawice do bólu, nie puszczał. Nie mogła przekręcić się ani nachylić, aby spróbować podnieść mosiężne naczynie, leżące przy jej lewej nodze, oparte o sieć.

Schodziła niżej odwrócona bokiem, nie wiedząc, co dalej. Wtedy przypomniała sobie o nożu, którego natychmiast dobyła. Lewą dłonią naprężyła fragment plecionki, prawą piłowała. Chwilę potem sieć zacisnęła się mocniej. Z każdym jej ruchem stawała się bardziej opięta, by przylgnąć do niej całkowicie niczym kokon. Nóż spoczywał w jej skrępowanej dłoni. Była jak związana, a do tego obciążona. Woda ciemniała, aż patera uderzyła łagodnie o dno, mącąc otoczenie. Pulsometr nie wróżył nic dobrego, wskaźnik tlenu również. Jedyne, czym zdołała teraz poruszać dziewczyna, to oczy. Nie widziała jednak nikogo ani niczego, bo zapadła absolutna ciemność. Leżała bez ruchu już dwie minuty i reflektory zgasły. Lampkę czołową wyłączyła zaś sama, aby stać się niewidzialną. Dostała to, czego chciała. Nikt nie wiedział, że tu jest. Zegarek zdolny wysłać sygnał alarmowy wymagał zaprogramowania lub dwóch naciśnień. Na jedno było za późno, drugie okazało się niemożliwe. Serce waliło jej jak oszalałe, łomotało w klatce piersiowej, jakby pragnęło życia, a paradoksalnie tylko je skracało. Tlen wyczerpywał się błyskawicznie. Dziesięć minut. Zostało go niewiele. Jeszcze tylko pięć. Mało, znikoma ilość. Sto dwadzieścia sekund. Zabrakło go. Pozbawione powietrza płuca zlepily się, zamknęły. Tlen przestał płynąć do mózgu. Czerń pociemniała.



Owen musiał długo spać, bo kiedy się obudził, Nailea już się położyła; drzwi do jej pokoju były zamknięte, świeże zioła suszyły się nad paleniskiem i bulgotały w czterech kociołkach, a przez okno wpadały ostre promienie słońca. Nailea zazwyczaj znikwała na całe noce (to była jej ulubiona pora doby, o której najlepiej funkcjonowała), by wrócić nad ranem obładowana pędami różnych leśnych i polnych roślin. Potem gotowała zupę, najczęściej cebulową, i odsypiała do południa. W ciągu dnia wytwarzała na tysiąc sposobów herbatki i tradycyjne leki na różnorakie dolegliwości, które przelewała do flakoników bądź przesypywała do papierowych torebek i sprzedawała później w miasteczku bądź na targu w Torreón.

Owen naciągnął spodnie, włożył buty i wyszedł w nasyczone wilgocią ciepło polany. Znowu czuł się świetnie i biegł. Nad strumykiem zrobił dwieście pompek na kamieniach, kolejne pięćdziesiąt na poręczy mostku, a na skraju doliny dwa razy tyle podciągnięć na gałęzi. Następnie, na tym samym drzewie, zawisł głową w dół i ćwiczył brzuch, aż zebrało mu się na wymioty. Wtedy przebiegł jeszcze pół mili i napił się wody ze źródła, równie czystej co zimnej. Siedząc na stromym wzniesieniu i chłonąc rzadkie powietrze, patrzył na majaczące w oddali wieże kopalni, jak już wiele razy przedtem, ale dopiero teraz wydały mu się one dziwnie znajome.

Wtem silny, gwałtowny ból przeszył jego skroń i Owen upadł na kolana. Potem kolejne ukłucie, jakby gruby, zardzewiały bolec spadł znikąd, wbijając mu się w środek głowy, i przetoczył się na plecy. Jasnogranatowe niebo przetykały białe plamy, zwiastując nadejście widniejszych dni. Leżał tak bez ruchu, śledząc płynące na południe obłoki, aż się uspokoił. Ellis, muszę odnaleźć Ellisa, przemknęło mu nagle przez myśl, jakby wszystko na raz stało się jasne, po czym poderwał się na równe nogi i pognął co sił w stronę chatki schowanej w głębi starego lasu, w niedostrzegalnym dla ludzi wyłomie w skale.



– Gdy ostatnio w obrębie lub w pobliżu Portsmouth ginie młoda kobieta – mówił Snow – należy to bezwzględnie sprawdzić. Kroczył wąskim pasem kamienistego wyłomu w plaży, wchodzącego ukosem głęboko w cieśninę Solent. Ramię w ramię z nim śpieszył nadinspektor Lawrence, który stąpał drobno, ostrożnie, aby nie zsunąć się z mokrych skał, ale też na tyle szybko, żeby nadążyć. – Proponowałem, by został pan w hotelu.

– Ale czy wszystko musi pan robić sam? Przecież chłopak wyraźnie powiedział, że to najprawdopodobniej przypadkowe utonięcie. I nic nie wskazuje na...

– Nie wierzę w przypadki – odbąknął Snow.

– A jednak one się zdarzają.

– Owszem, i jeśli to jeden z nich, stawiam szkocką.

Magmowe wyrzucenie obniżało się stopniowo, by kilka jardów dalej zniknąć pod rozjuszoną, spienioną wodą. Niewiele przed nimi zaś chlapało tak, że nie dało się przejść, nie zamaczając się po sam czubek głowy. Pod nogami Snowa, który się zatrzymał, leżał czarny worek ze zwłokami, rozsunięty do połowy. Kobieta o ziemistej cerze i czarnych włosach patrzyła na niego pustymi oczami, twarz miała siną, wykrzywioną i zastygłą w rozpacz.

– Cześć – powiedział Stuart Rodgers, który siedział na gładkim głazie, ale na ich widok podniósł się i wytarł ręce o spodnie.

Snow mu kiwnął, Lawrence uściśnął dłoń.

– Co pan tu ma? – zapytał ten drugi.

– Brak śladów walki, ran i innych widocznych obrażeń. Wygląda na utonięcie, jednak dziewczyna powie nam zdecydowanie więcej, kiedy się ją otworzy.

Lawrence pokiwał głową z powagą.

– Na co więc czekamy?

– Zaraz zabiorę ciało, sam go nie przeniosę.

– Ale czemu właśnie tak?

– Prądy są tu zbyt silne, by pod płynąć łodzią – wyjaśnił Snow.

– Będzie pan przy sekcji, ale przeprowadzi ją doktor Thewlis, już po niego posłałem – powiedział Lawrence.

Rodgers spojrzał wyczekująco na Snowa, który bez słów wyraził aprobatę.



Doktor Ian Thewlis, patolog ze szpitala w Bournemouth, przyjechał do siedziby policji w ciągu dwóch kwadransów.

– Akurat skończyłem dyżur – relacjonował na poziomie laboratorium kryminalistycznego – i jestem. Zaciekał mnie przypadek Kate Atwell, mam nadzieję, że nie wchodzę nikomu w paradę... doktor Barnes chyba mógłby mieć mi za złe...

– Bez obaw, przyda się każda pomoc – odrzekł Rodgers i weszli do prosektorium. W jego przedsionku przebrali się w fartuchy, założyli maski i rękawiczki, odkazili buty.

– Zanim otworzymy każdą z trzech jam ciała – podjął Thewlis, gdy podeszli do stołu, na którym leżała denatka – obejrzymy ją całą, dokładnie. Każda z dotychczasowych ofiar nosiła nietypowe rany, co może...

– Pozwolic nam powiązać tą sprawę z poprzednimi trzema zabójstwami – dopowiedział za niego Rodgers.

– Tak, pan zresztą lepiej wie – przyznał nieśmiało Thewlis, jakby nagle nieco osłabł jego wielki entuzjazm. – Zobaczmy.

Wnikliwie zbadali każdy fragment ciała Molly Blunt, lecz nie odkryli żadnych świeżych ran czy nawet śladów tych zaleczonych, zbliznowaceń. Każda ingerencja w organizm dziewczyny mogła stanowić istotny trop w sprawie. O ile bowiem Jane Cook została tuż przed śmiercią ugodzona – jak udało się ustalić – gorącym metalem, już druga ofiara, Kelly Robinson miała na szyi co najmniej kilkudniowe oparzenie, które nie goiło się najlepiej, wciąż sącząc się i czerwieniąc. Molly Blunt nie przekłuto też znamienia, jak potraktowano Kate Atwell, narażając ją zresztą na ostre powikłania. Thewlis i Rodgers znaleźli natomiast w żołądku wyciągniętej z dna dużą ilość treści pienistej oraz płyn topliwny w jej jelicie cienkim, co świadczyło o utonięciu i krótkim przebywaniu zwłok w wodzie. Wyniki sekcji zgadzały się z rezultatem pracy technika Shottona, który stwierdził, że kamery zainstalowane wzdłuż podmorskiego szlaku turystycznego wyłączyły się na zaledwie półtorej godziny. Nikt ich jednak nie dezaktywował; obraz zniknął dość często, gdyż śliskie i wklęsłe obiektywy kamer przyciągały całe rzesze mięczaków, usuwanych raz w tygodniu przez personel muzeum. Nieraz te łuskowate bezkręgowce gromadziły się wolniej, innym razem z kolei nad wyraz szybko i wtedy serwisanci nie nadążali z odlepianiem ich od sprzętu. Niedawno małe stworzenia upodobały sobie ponadto również czujniki ruchu uruchamiające reflektory rozświetlające głębiny, czyniąc je całkowicie ślepy.

Topielicę cechowała także obecność zmian krwotocznych w obrębie ucha środkowego, krwawego wylewu w mięśniach klatki piersiowej i wody w płucach. Wyniki sekcji jednoznacznie wskazywały na utonięcie, wykluczając bezpośredni udział osób trzecich. Jednak śledczy zawierzyli trochę innej teorii. Zgodnie z ich konstatacją ofiara zaplątała się w sieć rybacką, zastawioną jednak nie na owoce morza, lecz właśnie na nią, na wtórnego odkrywcę bogactw minionych wieków, na złodzieja próbującego okraść innego złodzieja. Zatem sprawca godził się na to, aby ktoś stracił życie, a ponieważ zamiar ewentualny przyjęło się określać synonimem winy umyślnej, dopuścił się zabójstwa. A może tylko chciał dać mu nauczkę, lecz nie zdążył z ratunkiem, i zaszły przesłanki nieumyślności? Poławiacze skarbów ukrywali swe znaleziska w piachu i mule, gdy natknęli się na patrol straży przybrzeżnej bądź nurków. Potem zaś wracali, niejednokrotnie jednak, uprzedzeni przez kogoś innego, na darmo. Znalazca, być może pomny niepowodzenia, skonstruował w końcu pułapkę i zainstalował ją w miejscu zakopania łupu. Koszmarny pomysł doprowadził do tragedii.

Policjanci wyłowili ciało Molly Blunt wraz ze starożytną paterą, więc wniosek nasunął się sam. Mimo to Snow nakazał Chloe Clarke z uwagą przyjrzeć się ostatnim

tygodniom życia Molly Blunt. Ta uczyła geografii w szkole średniej, wolny czas na ogół spędzała nad wodą, pływając lub nurkując sama bądź z przyjaciółmi, którzy nie zauważyli, aby zaczęła zachowywać się jakoś inaczej. Twierdzili, że na pewno nic jej nie trapiło, była wesoła jak zwykle, pełna dobrej energii i pomysłów. Nie przeszła zabiegu w klinice w Southampton, raczej nie znała Jane, Kelly ani Kate. Miała jedną wadę: wyglądała się po alkoholu. Umiała jednak zachować w tym szaleństwie umiar i nie piła często. Pomijając powyższe, uchodziła za spokojną, nieśmiałą osobę. Tydzień przed feralnym popołudniem wygrała dwie skrzynki piwa karmelowego, kiedy podczas cotygodniowego ogniska na plaży jako jedyna zdołała przejść po rozżarzonych węglach aż na drugi koniec wyłożonej nimi ścieżki. Zdradziła później, że udało jej się to dzięki maści, jaką kupiła wcześniej w Internecie i nałożyła na stopy, zniknąwszy na parę chwil przed próbą w krzakach. Dwie skrzynki? Dwadzieścia cztery butelki? Za to się nie zabija.

Ciało Anne Faezi również nie nosiło osobliwych uszkodzeń, jednak ona doznała nielicznych, lecz wyjątkowo głębokich otarć, miejscami sięgających bieli kości, które powstały, gdy z impetem upadła biodrami na ostre kamienie, i mogły zatrzeć inne rany. Choć przyjęto, że to mało prawdopodobne, podobna hipoteza, wciąż wymagając potwierdzenia, nie została wykluczona. Dla przeprowadzenia jej weryfikacji potrzebowano zeznań świadka albo dowodu rzeczowego, na przykład w postaci wykonanego niewiele przed wypadkiem aktu. Tymczasem nikt nie przyznał się, aby widział Anne nago, nie znano też żadnych jej nowych zdjęć, które odsłaniałyby więcej niż tylko dekolt i przedramiona. Za to jeden fakt przesądzał o istnieniu związku między otruciem Anne Faezi i zabójstwami pozostałych trzech kobiet, mianowicie w organizmie Kate Atwell i termosie znalezionym przy jej zwłokach odkryto dobrze znaną śledczym substancję, zmodyfikowany chlorek tubokuraryny. Ten sam, który przyczynił się do śmierci Faezi. Kate Atwell, znalazłszy się pod jego działaniem, udusiła się.



Rebecce Mulligan zwolniono po trwającym kilka godzin przesłuchaniu, bo poszlaki to nie dowody, a nic konkretnego nie udało się na nią znaleźć. Reporterce przydzielono jednak czteroosobowy zespół opiekunów, jak nazwał ich roboczo Snow, którego jedynym zadaniem było całodobowe pilnowanie jej i śledzenie, aby nie dopuścić do kolejnych zbrodni. Po cichu liczone też na błąd podejrzaney, na to, że zrobi coś, czym doprowadzi śledczych do swojego współnika; jego istnienie wszak wydawało się bezsporne.

Mijały dni i tygodnie, a jeśli w Portsmouth umierali ludzie, to tylko z przyczyn naturalnych. Obserwowano każdy ruch Rebecci i ona o tym wiedziała, zorientowała się pewnej niedzieli, kiedy po raz setny ujrzała człowieka siedzącego w zaparkowanym samochodzie przed swoim domem. Później wykazywała się przebiegłością i kilkakrotnie zniknęła policji z pola widzenia, lecz nigdy na dłużej niż pół godziny.

Osaczali ją, ale nie sposób było mówić o nękanii. Snow zadbał, aby nie łamano prawa. Grunt, że od dnia, w którym zatrzymano Rebecę, młode kobiety przestały ginąć. Na przełomie stycznia i lutego życie wróciło do normalności, ponadwymiaryowe siły policyjne do swoich hrabstw, Charlie Keane do służby. Pozostała już tylko jedna kwestia, nie mniej ważna: udowodnić Rebecce winę.



Drzwi otworzyły się i Snow wsunął się do środka.

- Witaj, Charlie.
- Co pan tu... śledzicie mnie?
- Już nie.

Na fotelu pasażera leżało otwarte pudełko z pączkami o różnych wielkościach, kształtach i posypkach, Keane sięgnął po nie, ale Snow go ubiegł, przynosząc pakunek na własne kolana. Potem się poczęstował.

- Mmm, z czekoladą, dobre. Na kogo czekamy?
- Panie inspektorze... ja po prostu...
- Tak, Charlie?
- Ta sprawa wciąż nie daje mi spokoju.
- Nie wyzbyłeś się wątpliwości?
- Nie.
- I dobrze.
- Dobrze? Myślałem, że pan...
- Tak, jestem przekonany o jej winie, jednak przyda nam się świeże spojrzenie. Nie twierdzą, że doprowadzi cię ono do odmiennych wniosków, lecz może wyłowisz coś, co zostało przeoczone, a czego brakuje.
- Hayley Chiba...
- Pracuje tu, oczywiście.
- Właścicielem lokalu jest Peter Collins, który odziedziczył drugą jego połowę po swojej zmarłej przed rokiem siostrze, Ninie. Dziewczyna była modelką, została znaleziona martwa w garderobie po pokazie kolekcji strojów kąpielowych, w Londynie.
- Leczyła się w Southampton? – zapytał retorycznie Snow, jakby znudzony.

- Nie. Brak też jakichkolwiek powiązań z ofiarami lub Rebeccą, wiem.
 - Zgadza się, już to badaliśmy. W nieskończoność.
 - To prawda, jednak...
 - Dziewczyna przedawkowała leki uspokajające, widocznie nie radziła sobie z presją, podobnie jak wiele innych w tym zawodzie.
 - Hayley w to nie wierzy - wtrącił Keane - ani Peter, jej brat...
 - Wiara nie ma tu nic do rzeczy. Nie daj się złapać.
- Snow wysiadł z samochodu, zabierając ze sobą kolejnego pączka, naciągnął kołnierz na szyję i odszedł.

26

Odkąd Owen odzyskał pełnię sił i pamięć, szukał Darrena Ellisa, choć wiedział, ile ryzykuje. Wcześniej, od razu po wybudzeniu się ze śpiączki, kiedy jeszcze nie wiedział, co robił w Meksyku, próbował przecież dostać się do Torreón, ale okazało się to bardziej skomplikowane, niż mógł sądzić.

Ludzie z miasteczka położonego w górach zachowywali się wobec niego bardzo nieufnie, bacząc na rozlepione w okolicy plakaty z jego podobizną i informacją, iż jest poszukiwany i niebezpieczny, a za pomoc w jego ujęciu czeka nagroda. Nailea wyjaśniła mu potem, że większa część mieszkańców bardziej bała się represji – nie tylko ze strony policji, ale też oprychów miejscowego watażki, będącego rezydentem rosyjskiej mafii w regionie – niż liczyła na łatwy zarobek.

Gdziekolwiek się pojawiał, ściągał na siebie kłopoty. Kiedy chcąc naprawić opadnięte okno w chatce Nailei, pojechał do sklepu metalowego po młotek i dłuto, rozpoznało go i zaczepiło dwóch dryblasów cuchnących brudem i potem. Długo się nie golił, a jego skóra zbrązowiała od ciągłego przebywania na słońcu, chodził w kapeluszu, dzinsach, koszuli w kratę i kowbojskich butach, jak wielu mężczyzn w tym rejonie stanu Coahuila, jednak – co się okazało – samo wizualne podobieństwo nie czyniło z niego miejscowego. W sąsiedztwie wszyscy się znali i obcy od razu rzucali się w oczy. Pamiętnego dnia jeden z zakapiorów zamachnął się na Owena, lecz tylko go trącił, bo zrobił to zbyt wolno. W odpowiedzi Owen rozbił napastnikowi nos i kopnięciem posłał go na ulicę. Osilek po drodze sturlał się jeszcze ze schodów prowadzących do sklepu i na moment stracił przytomność. W międzyczasie jego towarzysz sięgnął po długi, zakrzywiony nóż i z otwartymi ustami oraz wywalonym na brodę językiem przestępował po starych deskach na przemian dwa kroki w lewo i dwa w prawo, wyczekując na właściwy moment do zadania ciosu. Wówczas Owen pierwszy przeszedł do ataku i chwyciwszy trzonek od szczotki, które tam sprzedawano, dźgnął nim zakapiora w brzuch, a potem zdzielił go w głowę, tak że ten zobaczył gwiazdy.

Innym razem Owen został zauważony, jak szedł ścieżką między polami, niosąc kosz pełen białych truflí. Jadący konno mężczyzna minął go, ale niewiele potem zawrócił i ruszył z impetem w jego kierunku. Wywijał czymś nad głowę, aż Owen zobaczył, że to łąso. Próbował wystraszyć rudobrzozowego ogiera krzykiem i celując w jego kopyta kamykami, lecz bez żadnego efektu. Uciec też nie dałby rady, zamiast tego usiłował ich okrążyć i rzucić się w pobliską plantację winorośli. Nic z tego, sznur spadł mu na

ramię. Szczęśliwie jednak w ostatniej chwili Owen schylił się i pętla nie zacisnęła się na jego szyi, torsie czy w pasie, lecz tylko na ręce, powyżej łokcia. Nie poddał się wtedy i nie pozwolił się przewrócić, lecz zaparł się obiema nogami i siłował z jeźdźcem, aż ściągnął go z siodła. Mężczyzna gruchnął z jękiem o ziemię, lecz już w następnej chwili się podniósł i otrzepał twarz z piachu. Nie zdążył jednak wyciągnąć rewolweru, który woził przypięty do uprzęży konia, gdy Owen dopadł do niego i jednym ciosem zwałił go z nóg. Niepodatny na groźby, a potem błagania mężczyzny, zostawił go związanego, a rumaka spłoszył; ten pognął w głąb rozległej równiny i słuch o nim zaginął. Owen odszedł bez słowa, zabierając ze sobą broń.

Skorumpowani funkcjonariusze patrolowi drogi w promieniu dziesięciu mil, jednak Owenowi w końcu udało się przedrzeć do miasta. Ukrył się pod plandeką ciężarówki wiozącej beczki z piwem, wbrew wiedzy kierowcy. Dotarł do samego Torreón, jednak ponieważ w wypadku spłonęły wszystkie jego dokumenty, nie mógł lecieć samolotem, lecz musiał jechać dalej, do stolicy, najlepiej prosto do ambasady. Dotarł na dworzec i wsiadł do autobusu zmierzającego do miasta Meksyk, kiedy ten miał już ruszać, kupił bilet u kierowcy i zajął jedyne wolne miejsce, obok pulchnej kobiety w różowej chuście. Myślał, że już po wszystkim, gdy po paru milach, na odludziu drogę zajechał im stary pickup, pełen uzbrojonych mężczyzn, pokazujących kierowcy, aby stanął. W środku siedziało ich czterech, na pace kolejnych dwóch – obaj ze strzelbami. Pasażerowie autobusu tłumili krzyki i lamenty, gdy mężczyźni wdarli się do pojazdu i wymachiwali bronią, całkowicie ucichli zaś, kiedy jeden z nich strzelił w powietrze; wtedy skulili się za oparciami. Owen został wyproszony na zewnątrz, nie stawiał oporu, mając świadomość, że banda nie oszczędzi nikogo. Tam powleczono go na tył pickupa.

W drodze powrotnej do Torreón zatrzymali się na poboczu i kazali mu wysiadać. Nie musiał domyślać się, że zaraz go zabiją, rozmawiali o tym między sobą, nie sądząc, że – za sprawą Nailei – zna miejscowy dialekt. Wcześniej zdołał wydobyć z nogawki nóż i przeciąć krępujący mu ręce kabel, by następnie rozpętać krwawą jatkę. Jednego ugodził nożem w udo, drugiemu wbił ostrze między żebra. Przejął rewolwer i wystrzelał cały magazynek, dziurawiąc porywaczom ręce i nogi, ale nikogo nie zabijając. Opróżnił samochód z rannych, skonfiskował broń, pieniądze i telefony, wezwał pogotowie. W schowku była mapa, obrał kurs na stolicę. Jechał na tyle szybko, na ile pozwalały mu przepisy, aby nie ściągnąć na siebie kontroli – wewnątrz i skrzynia ładunkowa pickupa umorusane były krwią. Czekają go ponad sześćset dwadzieścia mil, ale był sam, względnie bezpieczny. Wiedział, że będą go szukać, więc planował omijać odcinki płatne, a także zmienić środek transportu. Po półtorej godzinie przybył do Cuencamé, gdzie odwiedził najgorszy tam bar i zamienił starego pickupa na jeszcze

bardziej leciwy model, lecz zupełnie sprawny. Dopłacił za milczenie i ruszył w dalszą drogę, jednak nie dojechał nawet do Rio Grande, bo za Juan Aldama zrównał się z nim radiowóz i rozbrzmiała syrena. Owen skręcił w polny dojazd do rzeki, lecz nie uciekł daleko, gdyż na wybojach toyocie pękła przednia oś i dalsza jazda stała się niemożliwa. Wtedy Owen wypadł z auta i puścił się na przełaj, jednak strzały pod nogi skutecznie odwiodły go od tego pomysłu. Zamiast do ambasady, trafił do aresztu. Tam poprosił o możliwość skorzystania z telefonu i o zawiadomienie konsulatu, jednak nikt się tym nie przejął.

I siedział tak w celi blisko tydzień, aż ujrzał... Naileę. Pojawiła się któregoś dnia z pękiem kluczy w ręku, otworzyła kratę, i jak gdyby nigdy nic opuścili budynek. Wiodła go ku wolności, oniemiałego i dziwnie spokojnego. Strażnik usnął na biurku, komendant w kącie, a jego zastępca poszedł gdzieś i nie wrócił. Nikt nawet nie zwrócił na nich uwagi, gdy doszli do dwóch przywiązanych do latarni klaczy.

Nailea pstryknęła palcami i dźwięki się wyostrzyły.

– Wskakuj – powiedziała.

– Jak... – chciał zapytać, lecz Nailea położyła mu dłoń na ustach.

– Nie czas.

Usłuchał jej więc i pojechali na północ, poruszając się z dala od głównych dróg.

Słońce wschodziło nad jeziorem, gdy przystanęli nad jego brzegiem, aby napić konie.

– Trochę to potrwa, nim zorientują się, że cię nie ma – powiedziała Nailea.

Owen domyślał się już od pewnego czasu, że jej wiedza o ziołach wykracza poza zasób zwykłej znachorki. Pomagała ludziom i zwierzętom, wyleczyła mężczyznę, któremu maszyna rolnicza rozharatała nogę. Gdy go przywieziono, widać było ścięgna i włókna, a krew lała się z jednej wielkiej szarpanej rany jak z zarżniętego prosiaka. Dolna część kończyny trzymała się tylko na pogruchotanej kości i kawałkach skóry. Nailea opiekowała się uszkodzonym przez trzynaście dni i trzynaście nocy, smarowała wyrwę pod kolanem maścią własnej roboty, przykładając doń kompresy z jakichś łądyg, karmiła półświadomego mężczyznę swymi miksturami. Ten po dwóch tygodniach ocknął się z majaków, wstał o własnych siłach, wgramolił się na wóz, na którym się tu dostał, i pozwolił powieźć się do domu. Jego noga była lekko opuchnięta i zaczerwieniona, lecz cała, ciało się zrosło, kości też. Jeszcze nie mógł na niej w pełni polegać, ale już się opierał.

– Jednak nawet jeśli uda ci się dotrzeć do stolicy, nie zbliżysz się do ambasady. Oni jej pilnują.

Owen pamiętał słowa, jakie usłyszał przed swoim wylotem do Meksyku w siedzibie MI6. Przebywał tu jako turysta, firma się do niego nie przyzna. Tymczasem został

złapany z bronią, pomówiony o napaść i kradzież, o rozbój.

– Nawet tutaj nie uwierzą, że jeden człowiek zasadził się na sześciu – zachnęła się Nailea, jakby czytała mu w myślach. – Poza tym miałbyś chyba sporo do powiedzenia na ich temat... Dlatego nie doprowadzono cię przed sąd. Jednak nie przedrzesz się żywy.

– A z twoją pomocą?

– Moja pomoc nie sięga tak daleko.

Nailea odwróciła się do niego plecami. W tafli wody odbijał się coraz silniejszy blask słońca.

– Koczują też przy granicy z Teksasem. Ale tam będzie łatwiej.

Nailea zabrała oba konie i kazała na siebie zaczekać. Z hacjendy znajdującej się za pagórkami wróciła pieszo. Nim doszli do miasteczka, skąd popołudniu odjeżdżał ostatni tego dnia autobus do Torreón, zdążyła pokrótce nakreślić Owenowi swój plan wydostania go z kraju. Potrzebowali jednej z tych ponurych, bezgwiezdnych nocy, jakich ostatnio zaczęło szybko ubywać. Dziewczyna знаła miejsca wykorzystywane przez przemytników, wiedziała, że kiedy w tamtą stronę zmierzają ciężarówki, celnicy będą daleko. Mogła – jak stwierdziła – z łatwością wyszukać recepturę proszku, którego rozpylenie w całkowitej ciemności nad głową zapewniało kilkusekundową niewidzialność, nawet w snopie nagłego światła.

Nazajutrz zebrała zioła i rozwiesiła je nad rozgrzaną, kaflową kuchnią, aby wyschły i nadawały się do skruszenia i zmieszania. Jednak nim to się stało, Owen wpadł zziębnięty przez drzwi i zakomunikował, że wszystko sobie przypomniał i idzie szukać jakiegoś chłopaka więzionego w górach, w osadzie górników. Nieskory do słuchania ostrzeżeń ani czegokolwiek innego, wziął nóż oraz trochę pyłu łzawiącego i pobiegł na wschód. Wcześniej, za progiem krzyknął, aby się nie martwiła i że niedługo będzie z powrotem. W dodatku nie sam. Wątpiła, by jeszcze się spotkali, ale wieczorem rzeczywiście wrócił. Tyle że w pojedynkę. Zmęczony, brudny i zrezygnowany, choć cały i nawet nie poobijany. Ponoć niejaki Ellis przed dwoma tygodniami skończył pracę w kopalni i wbrew swojej woli został zabrany do Rosji, gdzie miał przepowiadać wyniki zawodów sportowych dla kogoś, kogo miejscowi nazywali „Szefem” i bardzo się bali, mimo że nigdy go nie widzieli. Był to ktoś niezwykle zamożny, lecz równie zły, wręcz okrutny i bezwzględny, o czym świadczyły jego czyny, popełniane przez licznych najemników. Nailea tylko się uśmiechnęła, bo nie wierzyła we wróżby, słuchała jednak cierpliwie.

– Zablokowali linie – mówił Owen, szybko przeżuując kolejny kęs pieczonej w maśle kozłiny. – Chciałem zadzwonić do firmy, lecz zerwało połączenie, potem znowu i tak za każdym razem. Podobnie, gdy wybierałem numer ambasady oraz inne

zamiejskowe. Poza tym aparat działa bez zarzutu. To nie przypadek. Dlatego się nie zdziwiłem, gdy nikt nie użyczył mi komórki. W sumie nie powinienem o to prosić. Kiedy będziesz gotowa, Naileo? Możemy ruszać dziś w nocy?

CZĘŚĆ III

Przed Rosie Orlando rozsunęły się drzwi prowadzące do punktu powitań na lotnisku Southampton, rozbłysły flesze i podniósł się gwar. Dziewczynka stojąca w pierwszym rzędzie była niewiele wyższa od taśmy odgradzającej przejście, mogła mieć sześć, góra siedem lat. Trzymała w rękach plakat ze zdjęciem blondynki w czarnej, skórzanej kurtce nabitej ćwiekami i cekinami, otwierającej szeroko usta do mikrofonu. Rosie zatrzymała się i przejrzała w kolorowym kartonie, jak we własnym odbiciu. Bez retuszu wyglądała lepiej, przynajmniej w swoim odczuciu.

– Cześć, jak się masz? – zapytała, ukucnąwszy.

– Dobrze – odparła dziewczynka.

– Jak masz na imię?

– Maisie.

– A ja jestem Rosie. Miło mi.

Ujęła dłoń dziewczynki, ta cała promieniała.

Za plecami małej stała kobieta, która musiała być jej matką. To ona dyskretnie podsunęła Rosie flamaster.

– Dziękuję.

„Dla Maisie, mojej najwierniejszej fanki”, napisała Rosie i złożyła zamaszty podpis. Ludzie celowali w nią obiektywami telefonów, wyciągali ku niej kartki i ręce, usiłując ją dotknąć, wypowiadali jej imię, aby tylko na nich spojrzeła. Gdy przesuwiała się wzdłuż tłumu, rozdając autografy, uśmiechy i ściskając dłonie, krok w krok za nią poruszał się postawny mężczyzna w czarnym golfie pod marynarką i ze słuchawką w uchu. Nieprzerwanie rozglądał się na wszystkie strony spod ciemnych okularów.

– Chodźmy – szepnął, gdy Rosie przeszła na drugą stronę holu, i wziął ją pod ramię.

– Jeszcze...

– Za dużo ludzi.

Ale Rosie wyrwała mu się i podeszła do fanów. Fotoreporterzy kłębili się wokół niej, gdy kwadrans później opuszczała terminal i zmierzała do białego range rovera. W środku czekało już dwóch kolejnych ochroniarzy. Jeden siedział za kierownicą, drugi szybko wysiadł i otworzył przed nią drzwi.

– Musimy sobie coś wyjaśnić – powiedział ten mężczyzna, który towarzyszył jej przez cały czas, kiedy zajął miejsce na fotelu pasażera i od razu się odwrócił.

– Włącz radio – poleciła Rosie kierowcy, w ogóle nie zwracając na niego uwagi.

- Nie słuchasz mnie.
- Wolę radio.
- To nie zabawa. Jeśli mówię, że idziemy, to idziemy. Od tego tu jestem.

Rosie przewróciła oczami.

- Czy się rozumiemy?
- Tak, daj posłuchać.

Ochroniarz przekręcił się i zapiął pas. W głośnikach leciał nowy singiel Aby Flores, dziewczyny z Austin w Teksasie, z którą Rosie nagrała dwa utwory na jej drugi studyjny, a pierwszy koncepcyjny album, jaki miał ukazać się w sprzedaży już niebawem, nosić tytuł „Dark Hyperbole” i zawierać odniesienia do postępującej komercjalizacji muzyki i innych aktualnych procesów w sferze kulturalnej, społecznej oraz gospodarczej.

Nagle kilka nastolatek otoczyło range rovera. Dziewczyny kreśliły w powietrzu serca, słały całusy i machały, powtarzając imię Rosie. Piosenkarka opuściła szybę, przez którą dało się patrzeć tylko od wewnętrznej strony, i rozdała karty z własnym zdjęciem i podpisem. Samochód już jechał, fanki biegły obok.

- Mogłeś poczekać – skrzywiła się Rosie.
- Nie, nie mógł – odparł ochroniarz, nie oglądając się za siebie. – Dobrze wiesz, że...
- Dobrze, skończ.

Za drugim skrzyżowaniem zrównał się z nimi skuter, co nie umknęło uwadze ochroniarzy. Kierujący nim uśmiechał się i pokazywał wyraz aprobaty na palcach, siedząca z tyłu dziewczyna rozwinęła mały transparent z hasłem: „Kochamy Cię, Rosie!”

Wtem przy drugim boku range rovera pojawił się jeszcze jeden dwukołowiec, tym razem motocykl, którym również poruszały się dwie osoby i miały ze sobą wyklejany serduszkami plakat z napisem: „Witaj w domu!”

- Jakie to miłe – zapięła z zachwytem Rosie.
- I niebezpieczne – dodał ochroniarz, jedyny, który w ogóle się odzywał.

Niedługo potem wjechali na autostradę i nie rozmawiali ze sobą; Rosie zastygła ze wzrokiem wbitym w ekran telefonu, mężczyźni coraz rzadziej spoglądali w lusterka, siedzący z tyłu nawet trochę przysypiał. Dopiero gry dotarli na przedmieścia Północnego Portsmouth, na skraj osiedla położonego na granicy z Winchester, znowu zaczęło się dziać. Ludzie w każdym wieku wyszli na ulice, aby ją przywitać. Pozdrawiali Rosie równie radośnie, żywiołowo i spontanicznie, co grupa nastolatek na lotnisku. Machali do niej, przesyłali jej buziaki, rowerzyści i przechodnie zatrzymywali się i gapili.

Relacja z lądowania piosenkarki w Southampton znalazła się w serwisach radiowych i telewizyjnych, na jej przyjazd czekali wszyscy. Odkąd przed czterema miesiącami wyruszyła w trasę koncertową po Europie i Azji, była w Anglii tylko raz, na gali rozdania nagród Brit Awards, podczas której występowała i z której wyszła z niczym. Potem odwiedziła łącznie pięćdziesiąt osiem miast i dała sześćdziesiąt dziewięć koncertów. W tym czasie przyznano jej szereg wyróżnień, stała się jeszcze bardziej popularna, wreszcie również w Stanach Zjednoczonych, sprzedała ośmiomilionową płytę i stworzyła parę fenomenalnych duetów, w tym z Laną Del Rey. Aż w końcu przysła kolej na jej drugie wielkie tournée po Wielkiej Brytanii.

Rosie zawsze pamiętała o Portsmouth, w swojej twórczości, w wywiadach, w działalności dobroczynnej. Po sukcesie swojego debiutanckiego albumu koncertowała tu jednak tylko dwa razy: akustycznie w Guildhall oraz urządzając niesamowity spektakl na stadionie Portsmouth F.C. Teraz miała wystąpić tam ponownie, wykorzystując przerwę na mecze reprezentacji narodowych, w trakcie której nie rozgrywa się spotkań ligowych.

Gdy zbliżali się do celu, na co dzień spokojna okolica wyglądała na bardziej senną niż zwykle o tej porze doby i roku. Dochodziła czwarta po południu, świeciło piękne słońce, w powietrzu unosił się cudowny zapach budzącej się do życia natury i wiele osób spędzało czas na zewnątrz. Ciągłe mijali kogoś na rowerze lub deskorolce, spacerujących i uprawiających jogging. Dzieci bawiły się wokół domów, dorośli pracowali w ogródkach, kręcili się samochodami. Na osiedlu panował wesoły gwar, słychać było śmiechy, śpiew ptaków, szczęk nożyc do krzewów, pobrzękiwanie kosiarek, szczekanie psów. Ale Sunset Drive tonęło w głębokim spokoju, szczególnie od numeru cztery do dziewięć, gdzie nie działo się zupełnie nic, choć samochody stały zaparkowane wzdłuż ulicy i mieszkańcy powinni już wrócić z pracy.

Biały range rover zatrzymał się na podjeździe i Rosie od razu wysiadła. Rozejrzała się i zobaczyła tylko wiewiórkę, która czym prędzej czmychnęła na gałąź. Cieszyła się, że może być tu znowu. Znajomy widok napawał ją otuchą.

Drzwi wejściowe okazały się zamknięte, nikt nie odpowiadał na dzwonek. Lekko zbita z tropu okrążyła dom, zaglądając przez okna: w środku nie było nikogo, kuchnia wyglądała na nietkniętą, stół w jadalni stał pusty, niezastawiony. Przeszła na tył posesji, gdzie wysoko przycięte żółtozielone tuje okalały półokrągły kamienny taras, altanę z jasnego drewna i spory kawałek ziemi w kształcie prostokąta, jeszcze niedawno często zmieniający się w pole do gry w siatkówkę lub badmintona. Wskoczywszy na schodki, zorientowała się, że jeden z ochroniarzy bezszelestnie porusza się krok w krok za nią. I wtedy uderzyła w nią potężna salwa dźwięków, niczym nagły i niespodziewany riff przestrojonej gitary w rozkręconym wzmacniaczu.

To jej rodzice, najbliżsi krewni, przyjaciele i sąsiedzi tworzyli półkole, klaszcząc i uśmiechając się od ucha do ucha. Rosie stanęła jak wryta, ciarki przebiegły jej wzdłuż kręgosłupa, ale już w następnej chwili tonęła w objęciach ojca i młodszego brata.

– Powiedz, Rosie – odezwał się po godzinie rozmów, jedzenia i picia George, jej kolega z dzieciństwa mieszkający naprzeciwko, podnosząc misę z ciasteczkami owsianymi, które osobiście upiekł – czy naprawdę są aż tak złe? Tylko ty je jesz.

– Są okropne – wykrzywił usta drugoklasista z domu obok, a wszyscy się roześmiali.

– Nieprawda – zachnęła się Rosie. – Ja po prostu wiem, co dobre, a nie tylko smaczne.

– Dlatego jesteś taką fit dziewczyną – wtrąciła jej przyjaciółka Florence.

– Jesteśmy – poprawiła ją Rosie.

– A to w takim razie... – rzekł George i podsunął Florence misę.

Poczęstowały się obie.

Około siódmej zaczęło się ściemniać i badmintonowa lotka coraz częściej stapała się z mrokiem, stając się momentami zupełnie niewidoczna, ale to tylko wprowadzało grających w jeszcze lepszy humor. Co i rusz ktoś nie trafiał i wybuchał śmiechem, a zamachnąwszy się na próżno, niejeden stracił równowagę i upadł na trawę. Jednak równocześnie zrobiło się też naprawdę zimno, przez co na podwórku zostały już tylko cztery osoby do debla: George, Ethan, Florence i Rosie.

– Muszę się zbierać – powiedział Ethan przed dziewiątą. – Mam jutro zajęcia i dwa projekty do dokończenia.

– I ja – dodał George, który studiował na roku z Ethanem.

Żegnając się z chłopakami, Rosie kazała im przysiąc, że będą pamiętać o koncercie, który miał odbyć się nazajutrz popołudniu, i o późniejszym spotkaniu z ekipą za kulisami. Obaj uścisnęli ją i powiedzieli, że na pewno przyjdą. Ethan potem zdjął siatkę ze słupków i zaniósł ją do garażu, George wziął rakiетки.

Florence została.

– Idziemy na górę – wyjaśniła Rosie zgromadzonym w salonie rodzicom, bratu i ochroniarzowi, wchodząc do środka przez taras. – Jestem zmęczona.

– Nie tak prędko, moja panno – odparła jej matka.

– Coś się stało? – zapytała Rosie.

– Pan Smith poważnie niepokoi się o twoje bezpieczeństwo – powiedział jej ojciec.

– Chyba właśnie od tego jest? – odparła, obrzuciwszy wyciągniętego w fotelu ochroniarza obojętnym spojrzeniem.

– Obawiam się – odezwał się Smith, prostując się na oparciu – że moje doświadczenie i zaangażowanie na niewiele się zdadzą, jeśli nadal będziesz

zachowywała się równie nieprzewidywalnie, co ostatnio. Powiedziałbym: mało rozsądnie, ale tylko dlatego, że nie chcę użyć słowa: głupio.

– Oj, wielkie mi coś – rzuciła niedbale i zrobiła minę małej obrażonej dziewczynki.

– Rosie, wiesz, co stało się po koncercie w Guildhall – rzekł jej ojciec.

Rosie zatrzymała się w pół drogi do schodów.

– Później w Portsmouth zaczęły ginąć młode kobiety – wycedziła jej matka.

– Przecież ujęto zabójcę, nie ma więc powodów do paniki.

– Po prostu stosuj się do poleceń ochrony, dobrze? – odparła cierpko.

– Ale mammo...

– Do tego zostali wynajęci, znają się na tym, wiedzą, co robią, i nie wtrącają się, jeśli nie wymaga tego sytuacja, rozumiesz?

– Dobrze – odbąknęła Rosie, na nikogo nie patrząc.

– Na pewno? Rosie, musisz mi obiecać...

– Dobrze, obiecuję.

Dziewczyna w zniecierpliwieniu przewróciła oczami.

– Rosie, chodzi nam tylko o twoje dobro – dodał jej ojciec.

– Przecież wiem.

– Będziesz się słuchała? – zapytała matka Rosie już lżejszym tonem.

– Będę.

– Dziękuję.

Rosie złapała Florence za rękę i pociągnęła ją za sobą na piętro.

– Co stało się w Guildhall? – spytała Florence, zamknąwszy drzwi do sypialni Rosie.

– Nic takiego.

– Rosie...

Dziewczyna opadła na łóżko i odgarnęła włosy z oczu. Potem spuściła wzrok.

– Ktoś zaatakował mnie w garderobie.

– Co?! Dlaczego nic nie powiedziałaś? – wyrzuciła z siebie Florence jednym tchem i usiadła obok przyjaciółki.

– Tyle się działo, tak szybko... W ogóle nie miałam do tego głowy ani ochoty. Chciałam zapomnieć. Zrozum...

– Ty nadal się boisz.

– Nie... Ja tylko...

– Znam cię, widzę.

– Może trochę... ale już nie tak bardzo. – Zrobiła pauzę. – Ten Smith jest w porządku, tylko czasem mam zwyczajnie dość.

– Powiesz mi?

Zapadła cisza, która trwała kilka długich chwil.

– Wiesz... – westchnęła w końcu Rosie – on... ten ktoś ukrył się między pokrowcami z ubraniami, pod jeżdżącym wieszakiem na kółkach, który stał nieopodal dwuosobowej kanapy, tuż przy wejściu, na wprost lustra.

Florence delikatnie gładziła Rosie po dłoni, ta kontynuowała:

– Po koncercie całkiem opadłam z sił, położyłam się więc, tylko na minutę, a wtedy on wyskoczył na mnie... Usłyszałam jak wieszaki się rozstępują i nim zdążyłam odwrócić głowę, ściągnął mnie za kark na dywan.

Rosie łamał się głos, Florence otoczyła ją ramieniem.

– Zacisnął mi na szyi pętlę z kabla od suszarki i pociągnął do góry, zerwałam się na równe nogi, stanęłam na palcach, ale wciąż byłam za nisko, by móc oddychać. Dusiałam się, nie mogłam wydobyć z siebie słowa. Nagle wepchnął mnie na wagę i postawił.

– Co zrobił? – zająknęła się Florence.

– Mówię ci, Florrie, sława wabi wariatów. Przyciąga ich. To był po prostu jeden z nich.

– Bardzo ci współczuję.

– Szczęśliwie do środka weszła moja menedżerka, przestraszył się i uciekł. Popchnął mnie na nią, obie się przewróciłyśmy, a on wybiegł. – Przełknęła ślinę. – Ślad po duszeniu szybko zniknął...

– To dlatego tak szybko wtedy wyjechałaś?

– Nie, wylot do Amsterdamu był zaplanowany wcześniej.

– Aha... Co na to policja?

– Nic nie wiedzą.

– Jak to? – zdumiała się Florence.

– Podobny rozgłos nie przysłużyłby się promocji albumu.

– No i co? – bąknęła urażona Florence. – A twoje życie? Ono nic nie znaczy? Czy tragedia tylko zwiększyłaby sprzedaż płyt?

– Florrie, to nie takie proste, ja...

– Nie masz tu zbyt wiele do powiedzenia, wiem.

– Nie bądź zła. – Rosie zwiesiła głowę.

– Nie jestem.

Przez moment żadna się nie odzywała.

– Ale – podjęła Rosie – chyba Amy nie odwołała imprezy? – Na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– A niby jak chcesz się stąd wymknąć? – spytała Florence, odzyskując normalne kolory.

– Pokażę ci.



W ciasnej, bezokiennej celi zalegał zgniły odór wilgoci, brudu i potu. W zatęchłym pomieszczeniu znajdowały się jedynie dziura w betonowej podłodze, stanowiąca pozostałość po wyrwanym sedesie, blaszana umywalka i kran, półka przykręcona do ściany oraz twarda prycza bez materaca, za to z popękany sprężynowym stelażem, którego poskręcane zaszłe rdzą elementy potrafiły wbić się w ciało. Pęknięcia w tynku odsłaniały zdrowe, czerwone cegły, poprzątykane szarawą zaprawą. Kratowe drzwi były solidne i ciężkie, ale suwały się lekko.

Odkąd przed paroma chwilami podniosła się zajadliwa wrzawa, nie dało się dłużej spać. Przekręcił się więc na bok, a że musiał leżeć na wznak lub na plecach, aby się nie zsunąć, bo inaczej konstrukcja wyginała się i przechylała w jedną lub drugą stronę, po prostu wstał. Bolała go głowa, odczuwał dotkliwy głód i potężne zmęczenie. Od kilku dni nic nie jadł, pił zaś niewiele. Woda w kranie nadawała się tylko do mycia, a i to nie zawsze. Ostatnimi czasy najczęściej leciał zamiast niej cuchnący szlam. Nie miał tam lustra, ale wiedział, że bardzo schudł, bo koszula wisiała na nim jak na kij. Do tego w ogóle się nie strzygł i nie golił, więc z włosów, a nawet brody mógłby już pleść warkocze. Przytrzymał się pręta w wejściu i wyrzał na korytarz. Pusto. Głosy dochodziły z oddali, odbijały się głośnie, dudniącym echem. Wyszedł przed celę przez otwarte drzwi, chwycił się barierki i spojrzął w dół. Dwa piętra pod nim więźniowie tłoczyli się wzdłuż bramy prowadzącej do sąsiedniego bloku, krzyczeli, bili pięściami w kraty. Zszedł na niższy poziom i miał iść dalej, gdy usłyszał za sobą słabe:

– Przecież nie lubisz walk kogutów.

Odwrócił się i zobaczył starszego, wychudzonego mężczyznę o długiej, siwej brodzie i cienkich, rzadkich włosach spiętych na czubku głowy w kitkę. Miał on na nogach sandały wiązane na rzemyk, a ubrany był w długie, lniane spodnie i prześwitującą koszulę, trochę na niego za szeroką i za długą. Siedział oparty o kutą framugę, z rękoma pod pośladkami.

– Luis... Nie obstawiasz?

– Hehe, tak ci śpieszno, żeby ruszyć na głodnego?

– A co mi pozostało? – odparł półgębkiem. – Zobaczą, może coś rzuca.

– Zaczekaj.

– Po co?

– Bo tak.

Mężczyzna podźwignął się i pochylony zniknął w celi, by za moment z niej wyjść ze sporym kawałkiem jasnego chleba w dłoni.

– Kukurydziany – oznajmił triumfalnie i mu podał. – Nie, nie, ja już swój zjadłem, nie przedzielaj.

– Poważnie?

– Przecież mówię.

– Ale na pewno? Cały dla mnie?

– *Sí.*

Mężczyzna od razu potem urwał dużą przylepę czerstwego półbochenka i wpakował ją w całości do ust. Przeżuwał szybko, łapczywie, łykał całe kęsy. Zwykły, suchy chleb wydawał mu się najsmaczniejszym z dań, pokarmem bogów.

Pochłoniął prawie wszystko, gdy harmider na dole ucichł i zaskrzypiała brama. Zrozumiał, że wynikła jakaś nadzwyczajna sytuacja, bo przejście do bloku A na ogół pozostawało zamknięte. Posiłki – jeśli można było nazwać tak to, czym tutaj z rzadka karmiono – podawano z drugiej strony. Tamtędy też wpuszczano nowych więźniów.

Wnet na metalowych schodach rozległo się dudnienie szybkich kroków i po chwili na piętrze pojawiło się dwóch strażników z karabinami w rękach.

– Bradley Owen! – krzyknął jeden z nich.

– To ja – odparł, kryjąc resztkę pieczywa za plecami.

– Idziemy.

Owen przełknął ostatni kęs, spoglądając niepewnie na Luisa. Ten wyglądał na przerażonego.

Strażnicy więzienni byli ubrani na czarno. Nosili nie tylko ciężkie buty i kamizelki kuloodporne, ale też hełmy. Wprowadzili Owena do sąsiedniego bloku, gdzie normalnie nie miał prawa przebywać. Stłoczeni tam więźniowie patrzyli mu prosto w oczy z pogardą i nienawiścią. Wysoko zadzierali głowy, wypinali torsy. Stali nieruchomo, mając pełną świadomość, że strażnicy mogą strzelać, aby zabić. Przy kracie oddzielającej skrzydła budynku czekało kolejnych dwóch, również w pełnym rynsztunku. Kontrolowali tłum, mierząc weń z broni z palcami na spustach. Nieopodal, w bambusowych koszach niespokojnie gdakały koguty. Po wygolonej piersi jednego z nich ciekła krew, na prawych nogach obu lśniły, niczym stalowe pazury, przyczepione ostrza.

Szczelna obstawa powiodła Owena do miejsca, które widział dotąd tylko raz, pierwszego dnia, kiedy tu przybył. Do głównego wejścia, przez które wprowadzano nowe transporty więźniów. W holu, tuż za kratą i obok szyby pokoju wartowników ze złożonymi na wydatnym brzuchu dłońmi stał mnich w długim, ciemnobrązowym habicie z kapturem, przepasany białym sznurem, zwisającym prawie do ziemi.

Strażnik wypchnął Owena za ramię z korytarza i zatrzaskał za sobą kratę.

– Spokojnie – powiedział mnich spod długiej i puszystej siwej brody. Na nosie miał przekrzywione okulary połówki.

– Oby wiedział brat, co robi – powiedział strażnik i ściągnął hełm. Pot lał się mu z czoła.

– Oczywiście. Dziękuję.

Kiwnęli sobie głowami.

Gdy mnich pociągnął Owena na środek holu, powiedział:

– Andrew Southgate pozdrawia.

Owen wytrzeszczył na niego oczy.

– Jak?... – wyjąkał.

– Z pomocą bożą, bracie. Chodź, nim się rozmyślą. Gdyby ktoś pytał, nasz dom wszedł w posiadanie pradawnej księgi zawierającej cytaty pisane starą, niezrozumiałą angielszczyzną i pomagasz nam w ich tłumaczeniu.

– Poszli na to? Zresztą nieważne. Potrzebuję drobnych.

– Teraz, tu?

– Dziesięć, dwadzieścia pesos, w monetach.

– No nie wiem. – Mnich wpuścił ręce do kieszeni. – O, mam. Tak, jest. Dziesięć, dwa i jeszcze dwa. Wystarczy? – Wyciągnął rękę.

– Powinno.

Mnich ze zdumieniem patrzył, jak Owen biegnie z powrotem ku bramie prowadzącej na blok. Przed drzwiami do pokoju wartowników skręcił jednak w lewo, gdzie na ścianie wisiał żółty automat telefoniczny.



Terry Snow wpatrywał się w przymknięte tekturowe pudełko na biurku. Było zapakowane w cienką, przezroczystą folię i oznaczone numerem JC-657. Dołączony do dowodu raport składał się z trzech krótkich zdań mówiących, że na paczce nie znaleziono materiału biologicznego ani innych użytecznych śladów. Obok leżała pojedyncza kartka papieru w zamykanej koszulce. Wydruk z niecałą linijką tekstu. Naprzeciwko z założonymi na piersi rękoma siedziała Chloe Clarke.

– Doktor Barnes by tego nie zrobił – odezwał się oparty plecami o ścianę Charlie Keane. – Okej, pomylił się, bywa krnąbrny, wiem, ale przecież należy do zespołu.

– Zgadzam się – powiedział stanowczo Stuart Rodgers. – Znamy się od lat. To do niego zupełnie niepodobne.

– Niedobrze – burknął Snow.

– Ale dlaczego nie? – sprzeciwiła się nagle sierżant Clarke. – Czy aby nie o to nam chodziło?

Snow westchnął głęboko.

- Nie podając tej informacji mediom, chcieliśmy osiągnąć wiele celów.
- Możemy wykluczyć głupi żart – odparła Clarke. – Czyli dużo.
- Prawie wszystko – zgodził się Keane.
- Właśnie tego się obawiałem – rzekł Snow.
- Dlaczego? – zapytała Clarke.
- Bo znacznie oddalamy się od zamknięcia sprawy – wtrącił Keane. – Zabójca wciąż pozostaje na wolności i nikt nie wie, kim ani gdzie może być. Mulligan jest niewinna.
- Wcale nie jest powiedziane – odrzekł Snow.
- Obserwujemy ją na okrągło, nie wysłała tej paczki. Wiesz o tym.
- Owszem, jednak przecież ktoś pomagał sprawcy. Przynajmniej przed domem Elstone'ów.
- Hm... – mruknęła Chloe Clarke.
- Co? – zapytał Keane.
- Dlaczego właśnie teraz? Minęło sporo czasu.

Keane odkleił się od ściany, włożył ręce w kieszenie i zaczął przechadzać się po gabinecie.

- Ostatnio nie byłaś zachwycona pracą psychologa – wtrącił z przekąsem Rodgers.
- Nie o nim myślę.
- Nie, a o kim? – zaśmiał się technik.
- Stu... – zagrzmiął karcąco Snow.

Rodgers przeprasząco rozłożył ręce i podciągnął się na oparciu.

- Coś musiało się wydarzyć – stwierdziła Clarke.
- Albo dopiero się stanie – zauważył Keane.

Przytaknęła.

Potem zaległa głęboka, pełna napięcia cisza, którą po paru chwilach przerwał głośny dzwonek telefonu na biurku. Chloe natychmiast podniosła słuchawkę.

- Clarke. Tak. Pańskie nazwisko? – Zakryła dłonią mikrofon. – Dzwoni niejaki Owen i chce z panem...

Snow poderwał się i złapał słuchawkę. Keane zatrzymał się w pół kroku jak wmurowany.

- Snow, słucham? Owen! Co się z tobą... oczywiście, rozumiem.



Owen kątem oka dostrzegł mnicha i przywarł czołem do aparatu.

- Złapaliście go?

Snow zastanowił się.

- Halo, inspektorze?
- Tak, jestem. - Zrobił pauzę. - Nie.
- Pamięta pan tę motocyklistkę?
- Pewnie. Sarah... Mackay.
- Dlaczego nie zwolniła przed radarem?
- Ona... zaraz.

Snow już logował się do systemu, gdy Owen dodał:

- Została sfotografowana przez fotoradar w okolicach stacji kolejowej Portchester. Przeszło minutę przed wjechaniem w pole widzenia szpitalnego systemu monitoringu. Mniej więcej w momencie zbrodni. To jej alibi.

- Uhm, pamiętam, tak. Twarde.
- Dlaczego nie przyhamowała? - powtórzył Owen.
- Była już karana za udział w nielegalnym wyścigu - czytał Snow z ekranu. - Tylko w przeciągu pół roku dostała trzy mandaty za prędkość. Nic nowego.
- Przeciwnie. Dziewczyna mieszka w Portsmouth, ciągle jest w ruchu, co zobrazowała pamięć nawigacji w jej kawasaki. Pewnie przejeżdżała przez Portchester setki razy.

- Do czego zmierzasz?

- Domyśla się pan, prawda?

- Zrobiła to specjalnie - wycedził Snow przez zęby. - Ona lub ktoś za nią przebrany. Chciała mieć to alibi. Lub zapewnić je komuś.

- Otóż to.

Snow obrócił się wraz z fotelem.

- Zatrzymujemy Sarę Mackay. Charlie, dzwoń po grupę.

Keane skinął głową i od razu wyszedł na korytarz z komórką w dłoni.

- Pani sierżant, proszę jechać z nim.

Chloe Clarke poderwała się i wybiegła za Keanem.

- Owen?
- Słyszałem.
- Oby nie było za późno.
- Ile ofiar?
- Cztery. Ale... - Snow zawiesił głos.
- Tak? Coś przerywa.
- Media wiedzą tylko o trzech, jednak dzisiaj dostaliśmy list, z którego wynika, że ktoś zna całą prawdę.
- Morderca?
- Albo członek zespołu. Ale to wykluczam. - Zamyślił się i zrobił przerwę.

- Czego chce?
- Nie wiem. Przeczytam ci. - Snow ponownie włożył okulary i wziął do ręki zapieczętowaną kartkę. - Cytuję: Trzecia z czterech. Zapomniana.
- To wszystko?
- Dwa zdania.
- Równoważniki zdań. Kończę. Odezwę się.
- Owen!
- Tak?
- Dzięki.

Po północy zabawa przeniosła się do ogrodu, gdzie urządzono pole do gry w bule. Część towarzystwa przyglądała się rywalizacji z jacuzzi, sącząc drinki. Bardziej trzeźwi zostali w domu; już nie tańczyli, ale muzyka dalej grała głośno. Rosie, której zaczęło się lekko kręcić w głowie, poszła do łazienki na piętrze, bo na dole jakiś chłopak ślęczał z głową pod kranem.

- Chyba trochę przesadziłam – powiedziała.
- Ty też? – zaśmiała się rozłożona na kanapie Freya.
- Pójść z tobą? – zaproponowała Florence.
- Dzięki, poradzę sobie.

Rosie wdrapała się po schodach chwiejnym krokiem, przytrzymując się barierki. Łazienka znajdowała się od razu na lewo. Było w niej wyraziście cicho, z dołu dochodziły tylko stłumione dźwięki przeboju disco z lat siedemdziesiątych. Położyła pudełko na soczewki na umywalce i zdjęła prawą. W torebce miała okulary, taka zmiana zazwyczaj pomagała. Czas zwalniał, chwile się wydłużały, gdy nagle zrobiło jej się słabo, pociemniało przed oczami i nogi się pod nią ugięły. Cofnęła się i przysiadła na zimnej krawędzi wanny. Oddychała spokojnie, głęboko i strach minął, lecz wtedy ktoś zniecka chwycił ją oburącz pod boki i pociągnął do tyłu.

Serce podskoczyło jej do gardła i ścisnęło je tak mocno, że nie mogła złapać tchu. Spadła w czyichś objęciach miękko na dno wanny. Ten ktoś dziwnie śmiał się, rechotał, aż Rosie odzyskała dech w piersiach i zaczęła krzyczeć w niebogłosy. Wierzgała, uderzała rękoma po jego ciele i brzegach wanny, dudniąc i raniąc dłonie oraz łokcie, aż wyrwała się i wybiegła na korytarz. Tam jednak poślizgnęła się na dywanie i wraz z nim wpadła na drzwi naprzeciwko. Impet był na tyle duży, że odbiwszy się od drewnianej płyty, wtoczyła się z powrotem do łazienki. Dusząc się ze strachu, złapała się kurczowo framugi, ale nim zdołała wstać, tamten przycisnął ją do siebie i po prostu podniósł. Rosie, odzyskawszy pion, dalej krzyczała ile sił w płucach, szamocząc się. I w końcu się wyrwała, lecz zamiast uciekać, osunęła się na kolana.

- Przepraszam, Rosie. Uspokój się już.
- Co ty wyczyniasz, Adam! – pisnęła Florence, która wbiegła na korytarz.
- Co jej zrobiłeś, durniu? – dodała podążająca za nią Freya.
- Nic, ja, przysięgam... – wyjąkał. – Nie chciałem.

Florence odepchnęła chłopaka od Rosie i przytuliła ją.

- To miał być tylko żart – wymamrotał Adam.
- Nie odzywaj się – powiedziała Freya, grożąc mu palcem, a Florence przyjęła minę morderczyni.
- To nie jego wina – tonowała nastroje Rosie. – Ja po prostu...
- Wiem – wtrąciła Florence, głaszcząc ją po głowie.



Nad jezdnią górowało strome, porośnięte kosodrzewiną zbocze, na szczycie którego wznosiła się wielka postmodernistyczna willa. Białą falistą bryłą cechowały dynamiczne przekroje, szerokie, niesymetrycznie rozmieszczone okna, szklane ściany – po jednej na każdym poziomie, zajmujące całą powierzchnię kondygnacji, od rogu do rogu, przesuwając się na kolejne boki budynku niczym stopnie, ogromne nisze, gdzie urządzono zimowe ogrody, w tym jeden z motylami i papugami i drugi zamieniony w akwarium, balkony i tarasy, stromy kopertowy dach, o tyle niestandardowy, że wszystkie połacie były równej wielkości i w kształcie trapezu, oraz grube, przezroczyste kominy. Prowadził tam ostry podjazd o nachyleniu trzydziestu stopni, zamknięty u podnóża dwuskrzydłową bramą owiniętą drutem z brązu.

Inspektor Keane zatrzymał swoje porsche, wychylił się ponad uchyloną szybą i przedstawił się do kamery, która najechała właśnie na jego twarz. Po przeciwnej, niewidocznej stąd stronie wzniesienie uchodziło do morskiego rękawa cieśniny Solent. Posesja kończyła się kilkanaście jardów przed wodą, wysokim, obłożonym kamieniami wałem. Dalej znajdował się publiczny parking graniczący z rzędem drewnianych, kolorowych chatek kąpielowych, rozciągającym się wzdłuż jasnej, piaszczystej plaży. Na podejście przed co czwartym domkiem siedział teraz jeden policjant. Na parkingu stała furgonetka z grupą szturmową w środku. Sąsiednie domostwa, odgrodzone skalnymi nasypami, odwiedzili wcześniej funkcjonariusze, którzy poinstruowali właścicieli, jak mają się zachować, i pozostali na miejscu w gotowości. Niewiele od brzegu cumowała łódź policyjna, okoliczne drogi otoczyły radiowozy, pobliski las patrolowali mundurowi z psami tropiącymi. Podejrzana nie miała prawa się wymknąć.

- W jakiej sprawie? – odezwał się kobiecy głos w głośniku umieszczonym w słupku, na którym obracała się kamera.
- Czy zastałem Sarę?
- Przykro mi.
- To ważne.

Odkąd przed kwadransem technik Gary Shotton namierzył telefon dziewczyny, jego położenie nie zmieniło się ani na trochę.

- Nie rozumiem.
- Mam parę pytań, to nie potrwa długo.
- A jakiś dokument?
- Też mam. - Sięgnął po kartkę i przystawił ją do oka kamery.
- Sarah wyszła, nie wiem, kiedy wróci.
- Proszę jej powiedzieć, że jestem. Poczekam.

Chloe Clarke spojrzała na Keane'a z bocznego fotela z zaskoczeniem. Podobną reakcją dało się dosłyszeć w tonie kobiety mówiącej do interkomu:

- Zna pan Sarę?
- Tak, proszę pani.
- Dobrze? Jedna chwila.

Charlie i Chloe popatrzyli po sobie, zachowując milczenie.

- Proszę - zabrzmiało po chwili w głośniku i brama zaczęła się z wolna otwierać.

W połowie ostrego podjazdu droga skręcała pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i dalej pięła się z jeszcze większym nachyleniem. Na górze bruk stykał się romboidalnie z domem po lewej, trzema garażami na wprost i skalną ścianą po prawej.

Kobieta około czterdziestki wyłoniła się zza drzwi wejściowych, gdy Keane zatrzymał porsche pod wysoko osadzoną ogromną kopułą z barwionego szkła, owinęła się szalem i splotła ręce na piersi.

- Dzień dobry - powiedziała, podchodząc.
- Pani Mackay? - spytała Chloe Clarke. - Mama Sary?
- Widzę, że zabrał pan koleżankę.
- To partnerka - odparł Keane.

- Z Wydziału Zabójstw - dodała sierżant Clarke i przedstawiła się stopniem i nazwiskiem.

- Gdzie jest Sarah? - zapytał Keane bez ceregieli.

Kobieta nic nie odpowiedziała. Zerknęła ukradkiem przez ramię, potem na podjazd i na moment spuściła wzrok.

- A tak w ogóle... to o co chodzi?
- Proszę nie utrudniać - odezwała się Chloe.
- Ale czego?...

Keane, nie zajmując się dłużej kobietą, ominął ją, kierując się w stronę wejścia.

- Co pan robi? Gdzie pan idzie?

Kobieta podążyła za Keanem, więc Chloe szybko zastąpiła jej drogę i pokazała nakaz przeszukania budynku i posesji, jednak ta zupełnie zignorowała dokument i tylko przyśpieszyła kroku.

Charlie już przestępował próg drzwi wejściowych, kiedy na tyłach domu rozległ się wysoki, jednostajny dźwięk, przypominający pracę silnika o małej pojemności i mocy. Mógł należeć do ciągnika ogrodowego lub skutera. Inspektor zeskoczył ze schodków i pobiegł długim, zadaszonym korytarzem między domem a garażami na podwórko. Rozejrzał się, lecz nie zobaczył nikogo. Wielka przestrzeń porośnięta trawą i otoczona drzewami obniżała się stopniowo na północ, eksponując niezwykle panoramę bezkresnej wody oblewającej horyzont i mieszejącej się z równie błękitnym niebem. Keane stał tak chwilę, niczym zahipnotyzowany widokiem, gdy wtem warkot zaczął gwałtownie narastać. Obracał się wokół własnej osi, szukając źródła hałasu, aż podniósł głowę. Na płaskim dachu garażu w kształcie olbrzymiego trapezu, zasłoniętego z trzech stron rzeźbionym murkiem, parkowała dwumiejscowa motolotnia z wielkim czerwonym skrzydłem i masywnym dźwigarem na zewnątrz poszycia. Za owiewką, spod hełmu lśniły na słońcu blond loki Sary Mackay.

Keane oszacował szybko, że dach, choć szeroki, jest jednak za krótki, aby maszyna rozpedziła się i wystartowała. Wtedy skrzydło rozdzieliło się na dwie równe części, z których każda rozsunała się w swoim środkowym punkcie, a grube pręty tkwiące wewnątrz rozłożyły się na trzy, nieco opuszczone łopaty o obrysie trapezowym. Na ogonie pojawił się równocześnie stalowy dźwigar tylnego śmigła zwichrzonego geometrycznie. Było ono kilkukrotnie mniejsze od dwóch wirników napędowych, ale kręciło się równie wściekle, czyniąc łopaty niewidocznymi. Keane ruszył w stronę garażu. Kiedy oddał strzał ostrzegawczy, Chloe wspinała się już po rynnie na dach. Nim jednak sięgnęła zwieńczenia budowli, koła wózka oderwały się od lądowiska. Po osiągnięciu przez obiekt paru jardów wysokości, wszystkie trzy jego śmigła przekrzywiły się, zmieniając pozycje na pionowe, i konstrukcja odleciała na zachód. Maszyna migiem nabrała prędkości i wzbijała się wysoko. Chloe wyprostowała się na gzymsie i wycelowała. Kula, iskrząc, trafiła w łożo silnika, druga w golenie podwozia, kolejna w osłonę bagażnika, a pozostałe dwie w skrzydła. Ultralekki statek zachwiał się nieznacznie, ale niezmiennie trzymał kurs i zwiększał pułap. Nie minęło pół sekundy, a młoda sierżant ponownie nacisnęła spust, lecz nagły i silny skurcz w łydce spowodował, że odchyliła się do tyłu i strzeliła w powietrze. Straciwszy równowagę, poleciała plecami w dół, spadała, krzycząc jak oszalała i nie mniej energicznie machając ramionami.

Inspektorowi Keane'owi zadrżała ręka, gdy wymierzył w Sarę, i zamiast strzelić, stał i patrzył, jak ona odlatuje. Zdołał tylko zrelacjonować przez radio, co się dzieje. Wtedy kątem oka dostrzegł, że jej matka, krzycząc rozpaczliwie, aby przestali, podnosi z worka z nawozem szpachelkę, bierze zamach i ciska nią w kierunku sierżant Clarke. Keane powinien był coś zrobić, na przykład trafić kobietę w dłoń, w której trzymała

metalowe narzędzie, lecz zareagował dopiero, kiedy przedmiot obracał się już w powietrzu. Strzelił raz i drugi, lecz chybił. Kula minęła rękojeść o ćwierć cala. Szpachelka nie zmieniła toru lotu i ugodziła Chloe w lewą nogę. Ta zachwiała się i spadała plecami, a potem głową w dół. Keane, niewiele myśląc, upuścił broń, odłączywszy przedtem magazynek, i ruszył w stronę garażu. Nim Chloe uderzyła o ziemię, rzucił się na trawę, przekręcając się na plecy i wyciągając ręce. Nie zdążył złapać dziewczyny, lecz własnym ciałem zamortyzował jej upadek. Odbiła się od niego i poturlała się po ziemi na chodnik.

– Chloe! – zawołał, podrywając się z trawnika. Czuł ukłucie w klatce piersiowej i ucisk w żołądku.

Błyskawicznie doskoczył do nienaturalnie ułożonej na boku dziewczyny, której usta wykrzywiały grymas bólu.

– Chloe... – wydyszał na kolanach.

– Nic mi nie jest – wyjąkała. – Goń ją.

Kiwnął głową i tak zrobił.

Kobieta zdążyła już dotrzeć do wejścia, ale Keanem powodowały gniew i wściekłość. Przebiegł nieco ponad pięćdziesiąt pięć jardów w niecałe sześć sekund i włożył rękę między drzwi a futrynę. Chwilę siłował się z kobietą ciągnącą za klamkę, aż ta z piskiem wypadła na zewnątrz. Keane uchronił panią Mackay, która przed paroma chwilami sama przeszła na drugą stronę prawa, przed kontaktem z twardym marmurem i przeciągnął ją do salonu, gdzie pchnął przestraszoną na fotel.

– Au... – jęknęła, pocierając przedramię. – Co pan robi?

– Co pani wyprawia?! Dlaczego Sarah uciekła?! Gdzie?

Kobieta utkwiała wzrok w podłodze.

– Gdzie Sarah mogła polecieć? – powtórzył Keane, a gdy nie otrzymał żadnej odpowiedzi, potrząsnął matką dziewczyny. Może trochę zbyt mocno.

– Proszę mnie puścić! – zapiała ze złości.

– Aresztuję panią.

– Za co? – burknęła kobieta, wciąż masując zboląłą rękę.

Keane spojrzał na nią bez słowa i skuł.



Ultralekka konstrukcja szybowwała coraz wyżej i wyżej, aż rozplynęła się w chmurach. Nie zniknęła jednak z radarów, które pokazywały, że jednostka latająca przesuwa się na południowy zachód z prędkością osiemdziesięciu mil na godzinę, by u wejścia rzeki Hamble w ład odbić w stronę Parku Narodowego New Forest. W tym czasie z Southampton startował już śmigłowiec policyjny z dwoma snajperami na pokładzie.

Przelatując ponad czternaście tysięcy stóp nad klubem golfowym, pilotująca motolotnię dostała pierwsze ostrzeżenie. Na pulpicie zapaliła się kontrolka ciśnienia, co oznaczało, że dalsze zwiększanie pułapu groziło przerwaniem pracy silnika. Przy tak niskim ciśnieniu przez maskę wbudowaną w hełm automatycznie popłynął tlen. Jednak po zaledwie kilkunastu sekundach przestał: wskazówka pojemności zbiornika przesunęła się na zero. Sarah bezzwłocznie opuściła stery i motolotnia zaczęła pikować, ale wtedy dziewczyna dostrzegła pod sobą śmigłowiec. Pojawił się znikąd, oszukując nawet czujnik odległości.

Momentalnie podniosła maszynę, aby uniknąć zderzenia. Włączywszy radio, usłyszała nakaz lądowania, w słuchawkach brzęczało też niczym szerszeń pikanie sygnału alarmowego, którego nie dało się w żaden sposób uciszyć. Odliczanie cyfrowe pokazywało dziewiątą sekundę lotu bez tlenu. Dziesiątą. Jedenastą. Pozostało ich najwyżej kilka, zanim pilotka odczuje pierwsze oznaki niedotlenienia. Jeśli szybko nie zmieni swojej pozycji, dojdzie do obniżenia sprawności mózgu, co z kolei doprowadzi do zubożenia, przypominającego błogi haj. Potrwa krótko i skończy się utratą przytomności.

Sarah, włączywszy ciąg wsteczny, dała się wyprzedzić i zaraz potem osiągnęła bardzo stromą ścieżkę schodzenia. Motolotnia gładko weszła w lot nurkowy, Sarah czuła się, jakby spadała, ale nie to było najgorsze. Początkowe stadium hipoksji objawiło się mrowieniem w palcach i stopach, bólem uszu, zawrotami głowy i strachem. Ogromny pęd powietrza trząśł ustawioną pod wiatr maszyną, mgła przysłaniała widoczność. Pikowała, dopóki nie rozległ się komunikat nakazujący jej natychmiast podnieść maszynę. Znajdowała się na kursie kolizyjnym: z ziemią lub inną przeszkodą naturalną, co pokazywały wykres i wskaźniki. Od razu przyciągnęła stery do siebie, ale przeciążenia były na tyle duże, że motolotnia zbierała się bardzo powoli. Sarah wygięła plecy w koci grzbiet i odepchnęła się od podłogi. Dziób w końcu drgnął, później się podniósł, lecz wciąż pozostawał opuszczony. Podwójny sygnał alarmowy wieszczył rychłą katastrofę, więc z całych sił, oburącz ciągnęła za drążek sterowy, aż mięśnie zapiekły i zrobiło jej się gorąco. Zbliżała się do ziemi w potwornym tempie, ta pędziła wprost na nią, wciąż się powiększając. Blondynka oblała się zimnym potem i z wrażenia przygryzła dolną wargę aż do krwi, ale wreszcie się uniosła; czubki jej butów znalazły się nieco wyżej niż pięty. Zielona płaszczyzna przesunęła się pod nią, zamiast być z przodu, i przestała się poruszać. Równocześnie i nieoczekiwanie przed owiewką wyrósł jednak kościół, wyłonił się nagle z mgły i zamroczenia. Masywna budowla z jasnego kamienia, usytuowana na wzniesieniu, nie powinna stanowić wyzwania dla napędu, którym dysponowała Sarah, ale z perspektywy paru stóp nad ziemią takim się jawiła. Rozpędzona motolotnia zmierzała wprost w wieżę zbudowaną na planie

kwadratu, niewysoką, ale zwieńczoną czterema iglicami. Zegar poniżej podwójnego zakratowanego okna dzwonnicy pokazywał czwartą, gdy maszyna przechyliła się w lewo i bokiem ominęła wieżę, szorując podwoziem po jej ścianie. Skrzydłem zahaczyła jednak o dwuspadowy dach najdłuższej nawy. Pociągnęła za dźwignię pod fotelem i katapultowała się wraz z nim. Czerwony pył z cegieł strzelał w powietrze, kiedy fragment motolotni pruć połączył dachu. Potem skrzydło oderwało się i motolotnia zaryła dziobem w ziemię, powalając przy tym parę zabytkowych płyt nagrobkowych.

Spadochron nie zdążył się otworzyć, ale zaczepił się o dach bocznego wejścia do kościoła po drugiej jego stronie. Sarah wpadła na twardy mur i oszołomiona, zawisała kilka stóp nad chodnikiem. Dyndała tak chwilę, nim ocknęła się na odgłos śmigła siadającego nieopodal, tuż przed główną kruchtą helikoptera. Wtedy przekręciła dźwignię wystająca z oparcia. Oczekiwała innego skutku niż żaden. Musiała myśleć dalej. Jednym pociągnięciem sznurka odczepiła linki spadochronu od fotela, potem odpięła pas i zeskoczyła na beton.

W chwili gdy dotknęła podłoża, nastąpił wybuch. Diabelski huk poruszył posadami kościoła, z którego okien z trzaskiem powypadały szyby w odłamkach. Sarah upadła na kolana i ujrzała gęste kłęby czarnego dymu nad dachem. Pięły się do nieba, rozpychając się na boki i rosnąc. Stale się powiększały. Helikopter nie został uszkodzony, ludzie zabierali z niego gaśnice i biegli w kierunku pożaru. Naraz ogarnął ją swąd spalenizny i lęk, bo nie wszyscy zajęli się gaszeniem ognia. Policjant z bronią długolufową wystającą zza pleców sadził ku niej długie susy.

– Stój! – wrzasnął, ukląkł i wycelował.

Odruchowo uniosła ręce nad głowę. Wtedy zobaczyła, że spod fotela wydobywa się para.

„Działa”, pomyślała i z dwóch szerokich okrągłych otworów buchnęły płomienie.

Fotel w mgnieniu oka zniknął we wnęce, za którą znajdowały się drzwi. Rozległ się głęboki brzdęk i silnik odrzutowy zgasł.

„Blokada w razie zderzenia”, przypomniała sobie rada, że urządzenie jednak się uruchomiło i reaguje tak, jak powinno.

Sarah w jednej chwili opuściła ręce i rzuciła się na ziemię, by doczołgać się do wnęki. Snajper nie oddał strzału. Drzwi ani drgnęły, ale gdy postarała się bardziej, zamek puścił. Fotel był ciężki i ledwo dał się przeciągnąć do wejścia. Przez okna do kościoła wdzierały się ogniste języki i dym. Nim rozejrzała się lepiej, podstawiała pod klamkę żelazny świecznik stojący dotąd nieopodal figurki świętego. Wnętrze okazało się węższe, niż mogło się wydawać z zewnątrz, ale i tak musiała minąć długie cztery rzędy ław i to pod dużym skosem, aby dostać się do drzwi po przeciwległej stronie. Zostawiła fotel i pobiegła sprawdzić, czy były otwarte. Niestety, nie. Wskoczyła na

drewniany podest prezbitarium i wpadła do zakrystii. Tam za szafą nacisnęła klamkę i wyrzała zza muru na cmentarz: nagrobki otaczały kościół ze wszystkich stron. Szczątki wraku paliły się szalejącym ogniem, wokół rozpylano proszek z gaśnic, ktoś przebiegł obok niej z wiadrem, zupełnie jej nie zauważając. Zaraz potem dobiegło ją walenie w drzwi, najpewniej w te, które wcześniej zablokowała świecznikiem. Wróciła więc czym prędzej po fotel i przesunęła go po gładkiej, niebieskiej podłodze aż pod ołtarz; szkliste, natłuszczone płyty pozwalały jej pchać ciężar w biegu, a do tego w ogóle się nie rysowały. Ale po chropowatych deskach prezbitarium urządzenie nie chciało jechać, nawet kiedy napierała na nie całą siłą, dłońmi i plecami. Gdy wreszcie wymyśliła sposób i z mozołem wtoczyła je do zakrystii, snajper padł przez główne wejście, znajdujące się pod chórem. Leżąc, mierzył po świątyni, ale zdawał się jej nie widzieć. Robiła zatem swoje. Okrzyki z zewnątrz i trzaski ognia omiatającego pobliskie zarośla i drzewa tłumiły grzechotanie aluminium o podłogę. Dopiero za progiem wciągnęła szelki na ramiona i usiadła w fotelu. Odpaliła napęd odrzutowy i w ułamku sekundy zawisała na wysokości dwudziestu stóp. Coraz słabszy dym i blednące płomienie doskonale spełniły się jako zasłona, ale kiedy wzniosła się wysoko ponad nie, podniosła się wrzawa i wnet obsypano ją gradem kul. Wiedziała, że paliwa w silniku nie zostało wiele, bo służył on tylko do krótkich przelotów w razie konieczności katapultowania się w trudnym terenie. Na swoje szczęście dysponowała jeszcze śmigłem na plecach, które pozwalało na przemierzenie od pięciu do trzynastu mil, zależnie od obranej prędkości. Ledwo zdążyła zwrócić się tyłem do strzelających, a pociski waliły już w osłonę śmigła. Zachowała jednak zimną krew. Migiem zniknęła za nawą przypominającą z lotu ptaka ramię krzyża, okrążyła budowlę i bezpiecznie oddaliła się na zachód.

Poruszała się tuż nad koronami drzew, leciała między dziką roślinnością, nad wodą i polnymi drogami, przecinkami lasów, często odpychając od siebie wystające konary. Po pewnym czasie zboczyła na południe i dotarła do BlandFord Forum, które ominęła szerokim łukiem, podążając dalej zielonym korytarzem nad zachodnie i południowe wyjątkowo piękne ziemie hrabstwa Dorset, uwodzące kolorowymi, pomarszczonymi pagórkami pól na obrzeżach i nieskalaną ręką człowieka przyrodą w centrum i wzdłuż wybrzeża.



– Już nie ma jej w Downton. Uciekła nam, odleciała na zachód. Trzyma się nisko, poza zasięgiem radarów – meldował niski głos przez radio.

– Jak?! Przecież się rozbiła! – warknął Snow, a Keane przejechał palcem po mapie w tablecie, na którą naniósł adresy przyjaciół Sary, jej rodziny i znajomych.

- Na fotelu, na którym się katapultowała. Ma samodzielny napęd.
- Yeovil... - powiedział Keane.
- Za dużo ludzi, nie ryzykowałaby - zauważył Snow. - Pokaż mi to. Frome Whitfield w Dorchester byłoby idealne. Tak samo Shaftesbury. I Bridport. Hmm, może Shepton Mallet. Nie wiem. Glastonbury nie.
- Wysyłam wszystkie jednostki.
- Powiadom cały region. Niech wypatrują...
- Z wyspy Portland startuje właśnie śmigłowiec straży przybrzeżnej.
- My też - - zatrzeszczało w radiu. - Podrywamy się.
- Najwyższy czas. Bez odbioru.

Trasę z więzienia w Ciudad Juárez do ukrytej w górach chatki, zbudowanej w odludnym, trudno dostępnym lesie położonym pomiędzy miejscowościami Jacales, Dinamita i La Torrena, Owen i brat Albert pokonali starą, rozklekotaną ciężarówką z ziemistą, brudną od kurzu, a w dodatku podartą plandeką, z której sypało się na szyby. Na pace chrobotwały podskakujące na wybojach skrzynki ze słoikami oraz puste beczki po czerwonym winie, wzbogacanych agawą i różnymi owocami, których słodki aromat unosił się teraz w kabinie, a także baryłki po pysznym miodzie wielokwiatowym, wyrabianym i sprzedawanym przez zakonników w prawie całym kraju.

Brat Albert, nim spotkał się z Owenem, rozwiózł tego dnia towar po okolicznych miasteczkach; opróżnione naczynia zawsze zabierano na wymianę. Potem tłumaczył mu, że wcale nie muszą jechać do zakonu, że tylko tak powiedział dyrektorowi więzienia, a nawet nie powinni tego robić, jeśli chcą zdążyć na samolot, który odlatuje następnego ranka z odległego o cztery godziny jazdy Mezapil. Transport regionalnych produktów, jak zawsze, w drugi wtorek miesiąca zmierzał drogą powietrzną do Chicago, skąd Owen miałby już pod własnym nazwiskiem dostać się do domu. Ale ten uparł się, aby nadrobić kawał drogi i wstąpić do jakiejś wioski gdzieś w okolicach Torreón. Brat Albert, który wyruszył z klasztoru bladym świtem, a poprzedniej nocy do późna toczył długą rozmowę z Bogiem, zasnął na bocznym fotelu. Gdy dotarli na miejsce i Owen wyłączył silnik, zakonnik obudził się i przetarł oczy ze zdumienia.

– To tu? – wymamrotał. – Gdzie my właściwie jesteśmy?

Przed maską ciężarówki wznosiło się skalne zbocze, po obu jej stronach rozciągała się szara, pustynna dolina.

– Niedługo wrócę – powiedział Owen, zeskoczywszy na ziemię.

– Zostawisz mnie tak?... Samego?

Brat Albert rozglądał się naokoło z niepewną miną.

– Nic ci nie grozi.

Owen trzasnął drzwiami, postawił kołnierz i poszedł wzdłuż skarpy. Niedługo potem zniknął zakonnikowi z oczu. Ten wcześniej zamknął drzwi od wewnątrz i upewnił się, że cienki, zakrzywiony pręt wciąż tkwi pod siedzeniem. W jednej chwili otrzeźwiał i już nie garnął się do snu. Zaczął się cicho modlić.

W ciągu pół godziny Owen wspiął się na szczyt wąwozu, przemierzył spalony suszą las martwych, połamanych i pustych w środku drzew, zszedł stromym zboczem i u jego podnóża przeprowił się mostem linowym na drugą stronę przepaści, której dno półtora tysiąca stóp niżej tworzyło kamieniste koryto rwącej, lecz płytkiej rzeki. Białe, ostro zakończone czubki skał wystawały z wody, lśniąc w zacienieniu niczym postawione na sztorc sztylety. Kładka z każdym krokiem Owena kołysała się mocniej, wymuszając przerwy w marszu. Brakowało w niej wielu desek, a te, które się ostały, rozsypywały się w próchno i pękały pod stopami. Za to liny okazały się mocne i odpowiednio naprężone, a ich wiązania kompletne.

Kiedy stąpał po napiętych grubych sznurach, wykonanych zbyt dawno temu z włókien agawy i rozwieszonych nad urwiskiem, skutki głodu odczuł jeszcze dotkliwiej odczuł niż wtedy, gdy siedział beczynnym w więzieniu i tylko rozmyślał. Niedożywienie i odwodnienie objawiały się na wiele sposobów, ale dopiero po wyjściu w teren pokazały swe pełne oblicze. Owenowi niemiłosiernie kręciło się w głowie, trzęsły mu się ręce i nogi, nie potrafił dłużej utrzymać równowagi, a przy podchodzeniu pod górę przestał ostro widzieć. Pocił się obficie, dyszał jakby dostał silnego ataku astmy i musiał podpierać się dłońmi. Końcowy fragment podejścia pokonał na czworakach, z których nie podniósł się od razu, dobrnąwszy na najwyższą półkę, lecz najpierw przekręcił się na plecy i chwilę leżał, nim zdecydował się wstać. A kiedy już spróbował, nie udało mu się za pierwszym razem.

Mokry i oblepiony kurzem, bez sił i formy dotarł wreszcie na skraj polany. Nie dostrzegł tam jednak drewnianej chatki ze stromym dachem i małymi oknami, obrośniętej wysoką trawą. W miejscu, gdzie uprzednio stała, teraz kwitły całe pęki białych kwiatów. Nie pomylił się, to na pewno było tu. Ale osiołek nie paś się w rogu, między drzewami nie wisiał hamak, a na gałęziach nie bujały się dzwonki z patyków. Ani jeden. Co mogło się stać? Zbliżył się do prostokątnego kawałka ziemi, w obrębie którego wciąż widział w myślach mały budynek. Podłoże zdawało się nietknięte, ziemia była ubita, twarda i popękana, bez śladu choćby drzazgi.

Kompletnie zdezorientowany podniósł się z kolan i ile sił w płucach wykrzyknął jej imię. Zakrztusił się wraz z ostatnią sylabą i rozkaszał tak, że o mało nie wypluł suchego na wiór gardła. Nie poddał się jednak.

– Nailea! Nailea! – wołał Owen, kręcąc się wokół własnej osi.

Ostatni raz widzieli się w długą bezksiężycową noc cztery miesiące wcześniej. Ciężarówki przemytników pojawiły się wówczas w okolicy, zjechały się w konwój i zmierzały w kierunku granicy, co znaczyło, że celnicy zostali opłaceni i straż graniczna nie zamierza się w nic wtrącać. Nailea i Owen podążyli ich śladem, obierając trudny, ale szybki i duży skrót przez góry. Kiedy znaleźli się blisko konwoju,

Nailea, używając jednego ze swoich tajemnych proszków, wznieciła nisko nad ziemią wir powietrzny, co odwróciło uwagę kierowców. Były to cząsteczki obniżające ciśnienie i temperaturę powietrza w miejscu, w którym zostały rozpylone. A że dobrze kleiły się do wiatru, niosły się z nim wysoko i daleko. Przez minutę lub dwie, bo potem przestawały działać i sytuacja wracała do normy.

Kiedy woreczek z drobno roztartą, zmieloną substancją spadł przed kołami ciężarówki podążającej na czele, ta gwałtownie przyhamowała, a za nią pozostała. Na moment zapanował chaos. Kłębowisko ziaren piasku buchnęło przed przednią szybą ciężarówki, potem przesunęło się dalej, by w końcu obsypać każdą z nich deszczem tego, z czego składała się tym rejonie gleba, czyli luźną masą okruchów skalnych. Zjawisko, choć nie nietypowe, pojawiło się nagle, w chłodną, bezwietrzną noc i szybko ustąpiło. Miejscowi nie znali podobnych anomalii, stąd szok i wycofanie.

Wykorzystując moment dezorientacji, Nailea pociągnęła Owena za sobą do jednej z ciężarówek, tej jadącej na końcu. Najpierw sama wskoczyła do ładowni, potem pomogła mu wejść, ale nie zmieścili się oboje. Nailea została więc w środku, wciskając się w szczelinę między ścianą kartonów a zamkniętymi drzwiami naczepy, a Owen podczepił się pod podwozie. Gdy dojechali do wyznaczającej granicę ze Stanami Zjednoczonymi Rio Grande, zatrzymali się na dłuższą chwilę. Wtedy Nailea zapukała w podłogę i Owen ją uwolnił. Oboje wczołgali się między tylne koła maszyny.

Na drugim brzegu rzeki nie przewidywano postojów aż do fabryki w Albuquerque w stanie Nowy Meksyk, wykorzystywanej przez przemysłowców jako baza przeładunkowa. Nie mogli tam dotrzeć, nie mieliby szans, musieli działać.

Z ciężarówki otwierającej konwój wyjechał mały ciągnik ze spychem, na którym spoczywało jakieś urządzenie wyglądające na wielki ciężar.

– Jeszcze nie – szepnęła Nailea, łapiąc Owena za przegub dłoni.

Rzeka płynęła w dole, ale pochyła powierzchnia obniżała się stopniowo, łagodnie. Pojazd poruszał się tyłem, co znacznie wydłużało manewr. Ładunek obciążał maszynę ponad normę, ta zauważalnie przechylała się pod naporem jego funtów, a raczej kilogramów, bo to przecież meksykański balast, i gdyby ciągnik zjeżdżał z bryłą przed sobą, mógłby zaryć w ziemię i utknąć tam na długo lub przewrócić się i tak zostać.

Kierowcy wyszli z ciężarówek i zakładali łańcuchy na opony. Gdy prowadzący pojazd, pod którym skryli się Nailea i Owen, zajął się kołami od strony rzeki, oni uciekli w przeciwną. Położyli się za zaroślami i czekali.

Tajemnicza rzecz została przewieziona nad brzeg rzeki i opuszczona do wody. Przypominała betonowy blok, lecz najprawdopodobniej była wykonana z metalu. Mieniała się błękitem jak oczy delfina, gdy znikwała pod wodą z olbrzymim pluskiem,

który ochlapał ciągnik po dach. Wydawało się, że zsuwa się blisko dna, bo łyżka zanurzyła się do połowy, lecz musiała ważyć ponad tonę. Nad nurt Rio Grande wystawały z niej tylko trzy rurki, ni to anteny, ni układ wydechowy. Potem urządzenie uruchomiono. Głośno buczało, niczym olbrzymi młynek do kawy, nim cokolwiek w ogóle się stało. Później dźwięk się obniżył, woda zaczęła bulgotać i po paru sekundach nagle zmieniła bieg. Nie skręciła jednak w prawo czy w lewo, lecz wzbiła się na wysokość dziesięciu stóp. Przeskakiwała nad skrzynią i opadała sto dwadzieścia cali dalej. W tym miejscu kolano rzeki upodobniło się wizualnie do omegi, ostatniej litery greckiego alfabetu.

– Niemożliwe – wykrztusił Owen.

Nailea spojrzała na niego wymownie, jakby nie doświadczył w Meksyku niczego niezwykłego.

Ciężarówki ruszyły i jedna po drugiej przejeżdżały po błocie na drugi brzeg Rio Grande, do USA. Szum wody spotęgował się, odkąd na jej drodze powstał mały wodospad. Biała piana rozlewała się na boki i płynęła dalej, ztapiając się w na powrót spokojnym nurcie. W utworzonym tunelu pryskało i ciekło, wycieraczki pracowały na pełnych obrotach.

– Teraz! – powiedziała Nailea i poderwała się do biegu.

Owen zrobił to samo.

Obsypując proszkiem oboje, Nailea doprowadziła Owena do pierwszej z brzegu, dobrze im już znanej ciężarówce, która jeszcze stała. Tym razem i ona wpełzła pod naczepę i złapała się belki biegnącej wzdłuż jej podwozia.

– No to jedziemy – wydyszała.

I ruszyli. Czwarci w konwoju, powoli zbliżali się do rzeki, gdy rozległ się głos; ktoś mówił przez megafon:

– Policja, jesteście otoczeni, stop!

Zaraz potem padły strzały. Konwojenci utopili polecenie w zmasowanym ogniu, bezzwłocznie przypuszczając atak. Strona amerykańska nie pozostała im dłużna i odpowiedziała natychmiastową ofensywą. W ciemności żarzyły się lufy pistoletów i karabinów, pociski z błyskiem wchodziły w metal lub odbijały się od skał. Załoga pierwszej ciężarówce leżała na ziemi, podróżujący samotnie drugą kierowca padł od kuli.

– Wycofajmy się – poprosiła Nailea.

– Wracaj – odparł Owen. – Tylko pochyl się nisko. I biegnij szybko. Dasz radę?

– A ty? Nie ryzykuj, nie wolno ci.

Owen podczołgał się dalej.

– Słyszysz, nie!

– Złapią mnie i wypuszczą. – Odwrócił się do niej. – Pomogą mi.

„Albo i nie”, zachował w myślach.

– Jeśli zdołasz przeżyć.

Owen złapał Naileę za rękę, przyciągnął ją do siebie i pocałował w policzek.

– Dziękuję ci – powiedział. – Nie mogę tu zostać. Rozumiesz, prawda?

Kiwnęła głową.

– Biegnij! – krzyknął i wyłonił się zza osiemnastokółowca.

Kierujący nim, kryjąc się za drzwiami, strzelał na oślep z karabinu. Owen zaszedł go od tyłu i zdzielił w kark. Mężczyzna w bejsbolówce, nim osunął się na plecy, uderzył jeszcze czołem o schodek. Owen zabrał jego broń i pobiegł naprzód.

Między ciągnikiem ostatniej ciężarówki a tyłem naczepy trzeciej, zatrzymanej w połowie na lądzie, kula świsnęła mu nad barkiem, a parę innych przeryło ziemię pod nogami.

Nim dotarł do zasłony, sam zdjął jednego z Meksykanów, kolejnego kierowcę. Tamten nie podróżował w pojedynkę jak ostatni w konwoju. Jego pomocnik nie zorientował się jednak, że strzelano z tyłu, i w dalszym ciągu celował w drugi brzeg.

Ostrzał dotknął również urządzenie tworzące przejście, dziurawiąc je miejscami na wylot. Przyjęło ono wiele, aż puściło dym. Kopciło na szaro, by w końcu zapalić się i eksplodować. Wybuch rozerwał jasnoniebieską skrzynkę na strzępy, a już w następnej chwili woda z łoskotem opadła na ziemię, napierając z ogromną siłą na ciężarówkę, która w całości znajdowała się w jej korycie. Naczepa w jednej sekundzie stanęła na lewym rzędzie kół i poleciała dalej, pociągając za sobą ciągnik. Pojazd przewrócił się na bok i poniesiony przez powstałą falę, ćwierć mili dalej ugrzązł w mule. Jednocześnie żywioł zmiotł kabinę drugiej ciężarówki, do której dopiero co doskoczył Owen. Ta podniosła się do przodu i oderwała od podwozia, wpadając do wody. Naczepa przekręciła się o trzydzieści stopni, żłobiąc w ziemi płytką koleinę. Mocno nią rozbijało, ale ostatecznie pozostała na kołach.

Owen został na południowym brzegu sam. Z konwoju przeżyło tylko dwóch członków załogi pierwszej ciężarówki. Ci poddali się od razu i tym uratowali sobie życie. Przekroczyli jednak granicę i czekała ich odpowiedzialność. Traktor stał nietknięty, lecz było tam zbyt głęboko, aby dał radę przedostać się na drugą stronę. Owen postanowił wracać.

Biegł, kryjąc się za jedną naczepą, potem za drugą, ale gdy minął obie, niebieskie światła wielu radiowozów kręciły się już tuż za pagórkim. Dotarłszy do najwyższego punktu zagłębienia terenu, dostrzegł Naileę. Przyczaiła się za ziemistą wypukłością, pół długości boiska piłkarskiego od niego.

Owen z miejsca rzucił się do ucieczki, lecz zaraz z niej zrezygnował, gdy za jego plecami wybrzmiał strzał ostrzegawczy. Obrócił się z podniesionymi rękoma, ukląkł i splótł dłonie na karku. Nailea obserwowała wszystko z bliska z zatrwożoną miną, lecz nic nie mogła zrobić. Funkcjonariusze przybyli w zbyt licznej grupie. Smuga niebieskich świateł omiatała krawędź wybrzuszenia terenu, za którym leżała, ale ona pozostała niewidoczna. Mundurowi krzyczeli coś jeden przez drugiego, kiedy dobiegali do Owena. Potem chwycili go za ramiona i powlekli do radiowozu. Nie pytali, czy pójdzie sam. W ogóle o nic go nie pytali.

– Nailea! – krzyknął ponownie i nasłuchiwał echa.

Nie otrzymał odpowiedzi.

30

Owen wziął taksówkę z lotniska i pojechał pod adres z akt sprawy, które otrzymał w formie elektronicznej i przeglądał niestrudzenie w trakcie drugiego lotu, z Chicago do Southampton.

Chciał dostać się do budynku pod byle pretekstem i zaskoczyć szukaną osobę, lecz nikt z mieszkańców akurat nie wychodził. Wybierał po kolei numery na tarczy domofonu, lecz tak również nic nie wskórał. Nie zamierzał jednak sterczeć przed wejściem zbyt długo, bo po drugiej stronie ulicy w samochodzie siedział mężczyzna z gazetą, najpewniej policjant, i już wiercił się, obserwując rozwój sytuacji. Poza nimi dwoma wokoło nie było żywego ducha.

W końcu Owen połączył się z właściwą lokatorką. Sygnał ucichł szybko, kobieta zgłosiła się parę sekund później:

– Co ty tu robisz?

– Przychodzę służbowo. – Wyszczrzył zęby do obiektywu kamery.

W Mezapil Owen doprowadził się do porządku. Zażył długą, gorącą kąpiel, ogolił się i zjadł pierwszy od dawna prawdziwy posiłek, przygotowany na ciepło i ze świeżych składników. Nie odważył się jednak sam się ostrzyć, co rozważał, a jedyny fryzjer w miasteczku znalazł się dopiero nad ranem i to kompletnie pijany.

Większość jego mieszkańców brała udział w corocznym jarmarku, organizowanym hucznie i ściągającym corocznie wielu przyjezdnych. W czasie krótkiej przesiadki w Chicago Owen skupił się natomiast na odbiorze laptopa i telefonu z tak zwanego domu, czyli jednej z kryjówek CIA.

– Chrzań się, Owen – odparła szorstko.

– Wpuść mnie, Rebecca.

– Nie.

– Zrób to.

– Dlaczego?

– Bo mogę ci pomóc.

– Nie sądzę. Zresztą nie trzeba, radzę sobie. Chyba nawet lepiej niż ty.

– Lubisz być obserwowana?

– Czasem – odparła z przekorą. – Nie powinieneś robić tego z odległości, jak koledzy?

– To potrwa tylko chwilę.

- Odczep się.
- Mam cię aresztować, żebyś ze mną porozmawiała?
- Daj mi spokój.
- Chciałbym.
- Czy twoja obecność w śledztwie to nie konflikt interesów lub coś w tym rodzaju?
- Hm. Zależy.
- Czego chcesz? – warknęła zirytowana.
- Wyjaśnić jedną kwestię.
- To naprawdę konieczne? – zapytała już mniej oschle.
- Nawet bardzo.

Zrobiła pauzę.

- Ale potem znikasz, raz na zawsze.
- Jasne.

Ledwo słyszalny dźwięk obwieścił otwarcie drzwi, Owen pchnął je, a potem pobiegł schodami na górę, ale na pierwszym piętrze zdyszany wszedł do windy, którą wjechał na trzecie piętro. Nacisnął klamkę i wszedł do mieszkania. Rebecca Mulligan stała w przedpokoju z założonymi na piersi rękoma i nieprzychylną miną.

- Miło cię widzieć – rzucił Owen na powitanie.
- Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego samego o tobie.
- Zabiłaś Jane Cook w szpitalu? – spytał wprost, a Rebecca ze złości nabrała rumieńców.

- Jedyną osobą, którą miałabym ochotę udusić, jesteś ty.
- Jane Cook została zastrzelona – odrzekł pełen opanowania, co jeszcze bardziej rozdrażniło Rebecę.

- Jeśli to wszystko... – zrobiła dwa kroki w jego stronę.
- Nie – wtrącił i spokojnie odwiesił kurtkę na wieszak.
- No więc... Co?
- Policja uważa, że odegrałaś swoją rolę przynajmniej w jednym z morderstw. Nie wiedzą tylko jaką.

- Bo to idioci.
- Odkąd cię podejrzewają, nikt nie zginął.
- Wiesz dlaczego?
- Śledzą każdy twój ruch i...
- Tak, masz rację, a teraz możesz już iść.

Ominęła go i otworzyła drzwi, Owen je natychmiast zatrzasnął.

- Naprawdę nie rozumiesz?
- Nie zrobiłam tego, okej? – podniosła głos.

- Musisz wyjawic mi wszystko, co wiesz. Teraz.
- Zeznawalam juz w tej sprawie. Nie raz.
- Ale nie powiedzialas wszystkiego.
- Nie? – prychnela.
- Masz jakies dowody? Jezeli nie...
- Posluchaj mnie...
- Dopoki ich nie znajdziesz, nie musze ci sluchac.
- Nie w tym rzecz.
- He? Jak wiec chcesz mi cos zarzucic?
- Potrzebujec cie.

Rebecca cofnela sie o dwa kroki.

- Co?
- Mozemy usiac?

Przez chwile patrzyla na niego ze zdumieniem. Potem pokazala, zeby wszedl dalej.

- Masz moze kawec? – spytal Owen i zajrzal do kuchni.

Gdy zmarszczyla czolo, dodal, ze zaparzy sam.

- Ja zrobiuc.

Przyniosla dwa kubki na nowy stolik w salonie i usiadla naprzeciw Owena, ktory powiedzial:

- Hayley Chiba nie odpowiada za zabojstwa kobiet. Peter Collins tez nie.
- Peter nie – powtorzyla. – Ale Hayley...
- Uwierz mi, nie. Ma niepodwazalne alibi.

Rebecca wygladala na niepoczesaona.

– Perfidnie mnie wrobila. Najpierw zadzwonila na policje, ze niby jej groze i sie boi, potem naslala kogos, aby porwal mnie z radiowozu. Wiesz w ogole, ile mnie to kosztowalo? Zatrzymanie, areszt... Ktos niby pomogl mi uciec... jak to wytлумaczyc?

– Wyobrazam sobie i wspolczujec. Naprawde. Jednak kiedy zabijano Jane Cook, Hayley przebywala w Brighton.

- Przeciez to bardzo blisko.

– Zdjecia na molo trwaly od wczesnego ranka do popoludnia, trzech czlonkow ekipy potwierdzilo, ze Hayley nie opuszczala planu. A w dniu, w ktorym zginela Kelly Robinson, dziewczyna krabila reklamec w Londynie.

- Dobrze, ale jakos musi byc w to zamieszana.

– Nie przeczec. – Owen pociagnal lyk kawy. Nastepnie siegnal po kolejna juz kostke miodu i zamieszal. – Tylko trzeba ustalic jak.

Rebecca zanosla sie dziwnym smiechem. Troche przypominala w nim wariatke.

- Wpadlicie na to po czterech miesiacach? Brawo!

– Problem w tym, że Hayley wydaje się czysta. Od razu dokładnie ją sprawdzono i nic. Tygodnie obserwacji też nie przyniosły żadnego rezultatu. Zadzwoiła na numer alarmowy, żeby po ciebie przyjechali, zgadza się, ale nigdzie indziej. Ani przedtem, ani później.

– Wyrzuciła kartę, posłużyła się nieswoją...

– Bardzo prawdopodobne. Ale to nie do udowodnienia.

Rebecca westchnęła zrezygnowana.

– Co zatem proponujesz?

Owen odstawił kubek.

– Moim zdaniem kluczem do rozwiązania zagadki zabójcy ze szpitala może okazać się wyjaśnienie sprawy morderstwa Niny Collins.

– Siostry Petera – dodała szybko Rebecca.

– I najlepszej przyjaciółki Hayley.

– A jednak. Wiedziałam!

– Postawiłem tylko hipotezę, pamiętaj.

– Uhm. To jednak zastanawiające. Nina zginęła dzień po ubiegłorocznym pokazie Vicotria's Secret w Londynie. Została znaleziona martwa w swoim pokoju hotelowym. Media jednak jakoś słabo zajęły się tematem jak na ogromny prestiż marki. Widziałam tylko dwie czy trzy wzmianki w prasie i kilka newsów na portalach plotkarskich.

– Nie mi ferować wyroki, ale przypuszczam, że nie bez przyczyny. Podobny rozgłos raczej nie przyniosłby promocji kolekcji niczego dobrego. Poza tym istnieją powody, aby podejrzewać, iż Nina zginęła gdzie indziej, niż znaleziono jej ciało.

– Co sugerujesz?

– Nie zgadza się czas zgonu. Powinna wówczas jeszcze nie wyjechać z Wembley. I najpewniej właśnie tam była.

– Ależ niesamowite show, oglądałeś?

– Urywki, w ramach śledztwa.

– Szklany, prawie niewidzialny wybieg zawieszony nad dachem stadionu, jakby chodziły po mgle... Coś pięknego.

– Nie dla każdej pozostało takie do końca.

– Och... Gdy przyniesiono jej śniadanie, ona leżała w łóżku, ponoć wyglądała, jakby spała, choć cerę miała bladą i to zastanowiło kelnera. Podobno przedawkowała środki nasenne. Nie celowo, lecz zażywając przez dłuższy okres podwójne dawki psychotropu. Wierz mi, przed takim pokazem poziom stresu przekracza wszelkie normy. Nie da się tego porównać z niczym innym.

– Tak... Chociaż...

– Nie wierzysz w tę wersję? – spytała żywo zainteresowana.

– Raport z sekcji zwłok nie wyklucza, ale i nie potwierdza podanej w mediach przyczyny śmierci Niny. W jej krwi odkryto pozostałości nie tylko aplikowanego między innymi na sen lorazepamu, który przyjmowała jednak z innego powodu, mianowicie w celu zmniejszenia napięcia mięśni, co było konieczne w rehabilitacji powypadkowej, oraz midolu, leku, na który również miała receptę, łagodzącego...

– Wiem, do czego służy midol – ucięła krótko.

– Tak... – odchrząknął, jakby popełnił gafę. – Ponadto śladowe ilości ibuprofenu stosowanego na gorączkę, ból i stany zapalne. Odnotowano też, co ciekawe, znaczne stężenie alprazolamu, leku przeciwlękowego.

– Aż tyle tego? – zająknęła się Rebecca.

– A na dodatek alkohol. Pół promila.

– Niezły koktajl. – Pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Straciła świadomość, potem doszło do zatrzymania oddechu i krążenia.

– Czyli wszystko jasne.

– Nie do końca.

– Nie?

– Pytanie brzmi: czy wzięła cały ten melanz z własnej woli?

– Myślisz, że...

– Komuś mogło chodzić o to, aby sytuacja wyglądała klarownie. A jeśli tak, musiał on dobrze znać Ninę, wiedzieć, na co się leczy i co zażywa.

– Hayley... była na pokazie, mam gdzieś tu zdjęcie... zaczekaj...

Rebecca poderwała się i wyjęła laptop z szuflady pod zestawem grającym.

– Spójrz.

– Widziałem je już.

– Potem otruła tę dziewczynę przy zamku Hurst. To znaczy sprawca – poprawiła się, widząc grymas niezadowolenia na twarzy Owena.

– Skąd o tym wiesz?

– Przecież wszyscy to wiedzą.

– Nie to, że została otruta.

Rebecca przewróciła oczami.

– Podśłuch w telefonie Keane'a.

– Ach tak, zgadza się. Gaduła z tego Charliego.

– To bezpieczna linia, zaszyfrowana, skąd mógł wiedzieć?

– Dobrze, przejdźmy do sedna.

– Słucham.

– Za niecałe dwa tygodnie w Londynie odbędzie się pokaz. Chcesz tam być?

– Będę.

- Jako kto? – zdziwił się Owen.
 - Gość. Skończyłam z modelingiem, dawno temu.
 - A co byś powiedziała na powrót?
 - Bez szans.
 - Mówię o konkretnej propozycji wzięcia udziału w pokazie.
 - Jak? – szepnęła, jakby zabrakło jej powietrza. – W zamian za co? – dodała znów barwnym, wyniosłym głosem.
 - Pomoc w ujęciu sprawcy.
 - Chyba nie mówisz poważnie? Niby w jaki sposób? Myślisz, że nie próbowałam dojść prawdy?
 - Wykazałaś się determinacją, stąd zgoda Snowa.
 - Chwileczkę, bo czegoś tu nie rozumiem. Jednego dnia traktujecie mnie jak podejrzaną o morderstwo, która jakimś cudem się wywinęła i trzeba jej pilnować, aby nie zabiła ponownie, a następnego przyjmujecie do zespołu?
 - Ani jedno, ani drugie.
- Rebecca wytrzeszczyła na niego oczy.
- Policja teraz bardziej cię chroni, niż kontroluje, nie zauważyłaś?
 - O nie, nie wmówisz mi...
 - Czy uciszyli media? Oczyścili twoje imię? Zdusili wszelkie spekulacje już w zarodku? Pomogli ci wrócić do zawodu? Sama widzisz, nic nie muszę ci wmawiać.
- Rebecca tylko wyduła wargi w dzióbek.
- I co, zagrożą komuś, aby wpuścił mnie na wybieg? A dalej?
 - Posiadasz odpowiednie doświadczenie, dbasz o formę, nosisz odpowiedni rozmiar, jesteś popularna. Tyle im wystarczyło.
 - Były też inne kandydatki? – rzuciła zarówno urażona, jak i ucieszona.
 - W pokazie wezmą udział prawie wszystkie modelki, które prezentowały kolekcję Vicotria's Secret w Londynie.
 - Oczywiście, obie marki porozumiały się co do tego. – Rebecce zaświeciły się oczy.
 - Calzedonia nie szyje bielizny, jedynie stroje plażowe. Przewidujecie, że sprawca znów uderzy?
 - Może któraś z dziewczyn widziała więcej, niż zdecydowała się powiedzieć policjantom. Trzeba je podpytać. Najlepiej, by zrobił to ktoś z wewnątrz, jedna z nich, i niby przy okazji, bez związku i nadęcia.
 - Mhm – zamyśliła się Rebecca. – Niegłupie. Ale... czy będę tam bezpieczna? A co, jeśli zabójcą jest...
 - Modelka? Nasi ludzie zasiądą na widowni i przyczają się za kulisami.
 - Zatem chyba nie pozostawiasz mi wyboru.

- Świetnie, jesteście umówieni!
 - Ale zaraz...
 - Jutro kończysz pracę o siódmej, zgadza się?
 - Tak... około.
 - O ósmej masz lekcję chodzenia. Tu jest adres. – Wyjął wizytówkę na stolik.
- Gdy Owen podniósł się i ruszył do wyjścia, Rebecca zaprotestowała:
- Nie możesz tu tak po prostu przyjść z gotowym planem i oczekiwać, że na to potulnie przystanę.
 - Chcesz się wycofać? – zapytał w drodze do drzwi.
 - Musiałabym chyba oszaleć – odparła w końcu.



Rosie Orlando podrygiwała w rytm niespokojnej muzyki na owładniętej ciężkim dymem scenie, wczuwając się w wymagający, ośmiowersowy refren. Wyciągała dźwięki z charakterystyczną dla siebie charyzmą czarnego soulowego głosu. Jej finezyjnie upięte włosy falowały w powietrzu, unoszone i rozwiewane pracującymi na przemian czterema ciepłymi dmuchawami. Miała mocno podkreślone usta i brwi, kolorowy brokat wokół oczu, duże kolczyki z paciorków oraz wypełniający prawie cały duży dekolt naszyjnik z cyrkonii. Trochę zbyt krótką, śliską sukienkę, odsłaniającą długie, smukłe nogi, bardzo wysokie obcasy i skórzaną kurtkę z cekinami. Zrobiło się już ciemno i przysła kolej na nastrojową balladę o przemijaniu i o miłości. Fani, zaświeciwszy srebrzystoszare bransoletki, jakie dostali przy wejściu, podnieśli ręce nad głowy i śpiewali razem z nią. Saksofonista snuł melancholijną, smętną opowieść, gitarzysta i klawiszowiec trzymali się konwencji, w tym utworze dla odmiany grając akustycznie, a bas i perkusja chwilowo milczały w oczekiwaniu na ostatnie półtorej minuty zupełnie innej linii melodycznej. W tle ponuro podzwaniały tamburyn i cymbały.

Trzecia zwrotka znacznie różniła się od pozostałych, ożywiała piosenkę, ale też czyniła ją mniej harmonijną, w zamian mocną i zaskakującą. Ta partia wokalna należała do najtrudniejszych, była z gatunku tych, które mogą zawieźć artystę na sam szczyt, wydobywając zeń pełnię talentu, albo uwypuklić wszystkie jego błędy i niedoskonałości.

Kiedy Rosie wyśpiewywała drugi wers, zaczęły błyskać światła, a biały dym, wcześniej unoszący się niewiele nad deskami, wypełnił całą przestrzeń, przeistaczając się z niskiej mgły w szczelną zasłonę. Muzycy ustawieni w półkolu na obrzeżach sceny pozostali widoczni, ale Rosie na parę chwil stała się tylko dźwiękiem. Lubiła tę część, bo okoliczności pozwalały jej lepiej się skupić i pokazać, co potrafi. Potem wielkie

wiatraki oczyszczały atmosferę i zespół płynnie przechodził do kolejnego kawałka, dając popis rasowej rockowej dynamiki.

Rosie Orlando zacisnęła powieki i natchniona przeciągała głośno i przesadnie pierwszą sylabę słowa „życie”, wieńczącego utwór, gdy nagle napłynął chłód i zmienił się ruch powietrza. Poczowała na łydkach lizanie zimnego wiatru i podwiało jej sukienkę. Gdy otworzyła oczy, zobaczyła, jak dym ucieka przez kwadratową dziurę w scenie. Wcześniej jej tam nie było, pojawiła się nieplanowana tuż obok stóp artystki, zaledwie parę cali w prawo. Zdumiona Rosie skończyła dwie sekundy wcześniej niż zwykle, rozległy się brawa i okrzyki zachwytu, gromkie jak zawsze. Wtedy z otworu wyłonił się czarny cień, jak delfin przeskakujący przez obręcz, złapał ją w pasie i pociągnął w dół. Dziewczyna krzyknęła, lecz mikrofon już wypadł jej z ręki i upadł gdzieś za plecami.

To w istocie był ssak, lecz nie wodny, tylko lądowy. Człowiek, konkretnie zły, ubrany cały na czarno i z zasłoniętą twarzą. Szarpał ją, popychał i nie puszczał. Pod sceną gwar tłumu wydawał się dziwnie odległy. Konstrukcja opierała się na wielu krótkich, ale grubych słupach ze stali, o szerokich, obłych podstawach obleczonych w dmuchane osłony. Rozwiązanie to, jak powiedziano kiedyś Rosie, pozwalało na równomierne rozłożenie nacisku dźwiganego ciężaru i chroniło murawę przed uszkodzeniami.

– Wskakuj! – polecił głos szepczący jej do ucha.

Tak naprawdę krzyczał, lecz w harmidrze wszelkie inne dźwięki niż muzyka i reakcje publiczności traciły na znaczeniu i sile. Zespół grał jednonumitowe intro utworu „Gold and Brown”, dym jeszcze się nie rozwiął.

– Wsiadaj! – powtórzył lekki, frywolny głos i pchnął ją na kolana.

Upadła przed małym samochodzikiem, czerwoną miniaturą bolidu formuły jeden.

– Nie! – zaprotestowała Rosie, po czym natychmiast poderwała się, lecz szybko ponownie wylądowała na klęczkach, gdyż zawadziła o wystające koło pojazdu.

– Wsiadaj, bo cię zabiję! – warknął przy jej głowie.

Spadł jej prawy but, trawa pod gołą stopą okazała się mokra, śliska i zimna. Wołała pomocy, ale nikt jej nie słyszał. Mocny gitarowy riff i bębny zagłuszały wszystko. Chwycona za ramiona, wsunęła się za kierownicę. Wtedy poczuła szarpnięcie i słodki zapach, którym przesiąknięty był kawałek materiału, przyciśnięty jej do ust i nosa. Była zdezorientowana, ale – chyba wbrew jego woli – zachowała przytomność. Przypiął ją pasami, włożył jej kask na głowę i przyczepił dłoń taśmą do kierownicy. Potem wskoczył do drugiego identycznego bolidu, który stał z przodu i uruchomił silnik. Niczego nie dotykała, ale jej maszyna również wydała z siebie niski pomruk. Zapaliły się lampki na kokpicie i ruszyli.

Pędzili ciasnym korytarzem, który wydawał się stopniowo obniżać. Nic podobnego się nie działo, jednak bliskość sufitu z metalowych rurek tworzyła takie złudzenie optyczne. Wskazówka prędkościomierza dotarła do czterdziestki, gdy przed pierwszym z bolidów wyrosła ściana. Ten jednak nie skręcał ani nie hamował. Po chwili po prostu uderzył w przeszkodę, wyrzucając ją przed siebie i podrywając do góry. Płachta ciężkiego materiału podwinęła się i opadła dopiero za Rosie, która przy wylocie z tunelu prowadzącego na stadion szarpnęła kierownicą w prawo. A raczej to kierownica pociągnęła jej rękę za sobą. Małe wyścigówki ominęły przyczepy kempingowe, w których mieściły się garderoby, i odbiły ponownie na zachód. Tam, w głębi parkingu stały w rzędzie duże samochody ciężarowe, wożące scenę i sprzęt od miasta do miasta podczas trasy koncertowej. Ludzie z obsługi zatrzymywali się w pół kroku jak wryci i patrzyli. Na ostrym wirażu siły odśrodkowe wyniosły wolną rękę Rosie na wysokość jej skroni, co zostawianej w tyle ochronie pilnującej głównej bramy mogło wydać się pozdrowieniem. Tym bardziej, że głowę wokalistka miała wtedy skierowaną właśnie ku nim.

Wtem zza budynku klubowego z impetem wynurzył się biały range rover. Gnał w ich kierunku, przeciął pas zieleni i potrącił kosz na śmieci, odbijając go na ładnych parę jardów. Jednak dystans, który najpierw znacząco skrócił, teraz zaczął się błyskawicznie powiększać. Bolidy na równym asfalcie szybko osiągnęły prędkość stu dwudziestu mil na godzinę i ciągle przyśpieszały. Prostopadle ustawione ciężarówki miały stanowić zaporę nie do przejścia, bo przy jednym ich boku wznosiło się ceglane ogrodzenie, a za nim dopiero biegł zaułek, przy drugim zaś, gdzie zostało na tyle dużo miejsca, aby dało się przejechać, zatrzymał się w poprzek radiowóz. Nim policjanci wysiedli i zajęli pozycje za przednią maską i przy klapie bagażnika, pierwszy bolid, w ogóle nie zwolniwszy, wjechał pod szereg naczep. Zmieścił się bez trudu i w mgnieniu oka znalazł się po drugiej stronie. W tym swoistym tunelu ryk silnika brzmiał dobitnie, dawał się nie tylko słyszeć, ale też odczuć całym ciałem.

Funkcjonariusz strzelił, celując w prawą tylną oponę drugiego bolidu, lecz trafił tylko w nawierzchnię. Wyścigówka śmignęła obok niego, osłonięta ciężarówkami. Policjant kierowca, nie czekając na powrót partnera, bezzwłocznie wrócił do auta i wycofał, aby przepuścić rozpędzonego range rovera z ochroną piosenkarki w środku. Zdążył w ostatnim momencie, biała strzała przemknęła, jakby manewr mieli przećwiczony i wyliczony co do sekundy.

Drugi z policjantów biegł, pierwszy jechał tyłem. Chodziło tylko o odcięcie drogi ucieczki. Bolidy same zagnały się w pułapkę, na zamknięty teren otoczony murem.

- Co on robi?! – krzyknął pełen trwogi ochroniarz pasażer.
- O nie! – jęknął ten, który prowadził.

W ich głosy wdarł się strach.

Zza szpaleru ciężarówek jawił się obraz totalnej paniki, zdolnej odebrać rozum. Bolid pędził bowiem wprost w ścianę cegieł, stosunek prędkości do odległości nie pozostawiał złudzeń, że zdąży jakkolwiek się uratować, kierowca zaś nawet nie próbował wyjść z opresji, hamując, skręcając lub robiąc cokolwiek. Trzymał sztywny kurs, jechał jednym torem, przed siebie.

Półprzytomna Rosie nabrzmiała skrajnym przerażeniem i trzy długości pojazdu od muru zemdląca. Tuż przed zderzeniem bolid – ku wielkiemu zdumieniu obserwujących – podniósł się, jakby wjechał na niewidzialną rampę, i przeskoczył przez ogrodzenie. Druga wyścigówka ułamek sekundy po nim zrobiła to samo. Obie zniknęły i tylko oddalający się świst ich silników świadczył, że wylądowały po drugiej stronie i pojechały dalej.

31

Rozwiało dym, a jej nie było. Po prostu znikła – mówiła szczupła dziewczyna, idąc ku środkowi sceny.

– Gdzie dokładnie pani wtedy stała? – spytała Chloe Clarke, rejestrując wszystko telefonem.

Brunetka przeszła z gracją na drugą stronę.

– Tutaj, właśnie tym miejscu. Jak mówiłam, śpiewam chórki.

– Dziękuję. Nie mam więcej pytań. Ale gdyby pani sobie coś przypomniała, proszę zadzwonić. – Wręczyła jej wizytówkę.

– Oczywiście.

– Jeszcze jedno.

– Tak?

– Czy Rosie mogła mieć powód, by uciec?

– Skoro to zrobiła...

– Nie wiemy, co się stało.

Dziewczyna się zamyśliła.

– Nie byliśmy tak blisko.

– Spędzałyście ze sobą sporo czasu.

– Jak to w trasie.

– Może pani jednak coś zauważyła?

– Co na przykład?

– Nietypową sytuację, moment zagrożenia, coś, co przykuwa uwagę.

– Kiedyś słyszałam, jak głośno kłóciła się z szefem ochrony.

– O co chodziło?

– Wyszła w nocy z hotelu, nic nikomu nie mówiąc. Tylko tyle.

– Ktoś jej wcześniej groził? Coś się wówczas wydarzyło?

– Chyba nie... Nic.

– Dlaczego więc miało to aż tak duże znaczenie?

– Smith zwyczajnie już taki jest. Nadopiekuńczy. Służbista. Zresztą... – urwała w pół myśli.

– Proszę powiedzieć.

– Bywa różnie. Fani zachowują się nieraz dziwnie. Każdy chce złapać Rosie za rękę, zrobić sobie z nią zdjęcie, wziąć autograf. Kłębią się w tłumie, przepychają, zdarzało

się, że została pociągnięta za mocno.

– Ale do niczego poważnego nie doszło?

– Zawsze jest przy niej ochrona.

– Rozumiem.

– Czyli winda stoi nieużywana? – zdziwił się Charlie Keane, podnosząc się z kolan w miejscu, w którym bolidy wyjechały spod sceny. Potem wyłączył latarkę.

Ochroniarz przytrzymał nad nim zagiętą plandekę.

– Tam w ogóle nie ma mechanizmu. Został sam właz.

– Dlaczego?

– Taka konwencja. Proszę pytać choreografa.

– Kiedy to się zmieniło?

– Zawsze było, jak jest.

– Po co wam właz, jak nie macie windy?

– Scena stanowi własność wytwórni. Komuś widocznie się przydawał.

– Jasne. Czy przed samym występem zaglądał pan pod scenę?

– No... nie.

– Nie – powtórzył znacząco Keane.

– Sprawdziliśmy wszystko w południe. Później nikt już nie mógł wdrzeć się na teren. Był obstawiony.

– O której konkretnie?

– Schodziłem pod deski?

– Tak.

– Między dwunastą a wpół do pierwszej.

– I bolidów tam wtedy nie było?

– Nawet śladu.

– Na pewno?

– Przysięgam.

– Jednak ktoś się tu zakradł.

– Nie wydaje mi się.

– Podejrzewa pan kogoś z ekipy?

– Raczej nie.

– Z obsługi obiektu?

– Niech pan mi powie.

– Wkrótce to zrobię.



– Wykluczone – odparł łysiejący mężczyzna z wzdętym brzuchem.

- Jeśli wyścigówki nie wjechały bramą, to jak? – zapytała Chloe Clarke.
- Istnieje tylko jedna możliwość.
- Myśli pan o ciężarówkach?
- Nie inaczej. Mamy tu swoje procedury. I monitoring. Gdyby któryś z chłopaków przemycił na teren bolid ef jedyńki, nie uszłoby to mojej uwadze. Odpowiadam za porządek tutaj.
- Mówimy o dwóch pojazdach.
- Tym bardziej dwóch – zaśmiał się.
- Do tego raczej o gokartach.
- Wszystko jedno. Na kołach tu nie wjechały.
- Był pan obecny przy rozładunku, może pan coś widział?
- Rzecz prosta, że nie. Ekipa koncertowa ma swoją ochronę. To oni pilnowali sprzętu, nie my.
- Ale nie interesowało pana, co robią, choćby trochę?
- Nie kręciłem się tam.
- Drużyna trenuje w nowym kompleksie przy Copnor Road, znajdują się tam również biura większości pracowników klubu. Chyba nie ma pan zbyt wiele pracy?
- Co? – najeżył się wartownik. – A łobuzy, którzy wspinają się na mur? Grafficiarze i inni wandalę, to nic? Nie wspomnę o...
- Źle mnie pan zrozumiał.
- Mężczyzna założył ręce na piersi.
- Na pana miejscu byłabym ciekawa.
- Próbę obejrzałem, a jakże. Kiedy z kolei budowali scenę, kazali się wszystkim odsunąć. Wyznaczyli nawet bezpieczną strefę. To wielkie elementy, ciężkie. Dźwig musiał je podnosić. Jeszcze mi życie miłe.
- Potrzebuję nagrań z ostatnich pięciu dni.
- Ma się rozumieć. Ale aż z tyłu?
- Coś nie tak?
- Nie, tylko przygotowałem z dwóch. – Uśmiechnął się i wskazał drogę.



Charlie Keane trącał palcem gruby napięty sznur niczym strunę, lecz ten nawet nie drgnął.

- Solidna robota – stwierdził.
- Lina okrętowa – powiedział mężczyzna w czarnej kurtce i spodniach w tym samym odcieniu. – Niejedno wytrzyma.

– Aż dziw, że uszła waszej uwadze. – Uderzył w powróż pięścią, wprawiając ten w wibracje.

– Nic z tych rzeczy – zaprzeczył ochroniarz.

– Więc je widzieliście. Przyznaje pan. – Keane popatrzył na niego wymownie.

– Nasze zadanie polegało na niedopuszczeniu do tego, aby niepowołane osoby dostały się na obszar koncertu. Kto by pomyślał, że te liny posłużą do spektakularnej ucieczki. Gdyby zamontowano je za murem, to co innego, ale tutaj?

– Tak... Rozumiem... Proszę przejść do radiowozu, tam podpisze pan zeznanie.

Mężczyzna kiwnął głową i odszedł.

– Sam widzisz – westchnął i rozłożył ręce.

– Uhm – mruknął technik Shotton, który podszedł bliżej. – Żeby cały wydział zabójstw zajmował się cyrkową sztuczką z udziałem jakiejś celebrytki... Swoją drogą dobra jest.

– To ty jeszcze nie wiesz? – rzucił i zbliżył się, aby stojący nieopodal policjanci go nie usłyszeli. – Rosie Orlando miała zostać przesłuchana w sprawie. Jeszcze dzisiaj, po występie.

– W tej sprawie? – spytał lekko pobladły.

Keane potwierdził skinieniem głowy.

– O cholera... On wrócił.

– Spokojnie, twojej córce nic nie grozi.

– Gemma... Nie widziałeś jej... w lipcu skończy siedemnaście lat.

– Koncepcja seryjnego zabójcy młodych kobiet upadła.

– Co? Kiedy?

– Formalnie dzisiaj. Z chwilą ucieczki Rosie. Albo raczej porwania.

– Co tu się zatem dzieje?

– On... lub oni wiedzą, co robią. Ofiar nie wybrano przypadkowo. Chodzi prawdopodobnie o zemstę. Może istnieje inny powód, ale wystąpiło zbyt wiele powiązań.

– Dotąd chyba sytuacja wyglądała odwrotnie?

– Owen uważa...

– Znowu on – jęknął z uznaniem.

– ...że wszystko łączy się ze śmiercią modelki Niny Collins.

– Przyjaciółka Hayley Chiby, pamiętam.

– Właśnie, a ona zginęła w dzień po pokazie, w którym brała udział i podczas którego wystąpiła Rosie Orlando.

Gary Shotton zrobił minę, jakby chciał zadławić się powietrzem.

– Czyli jednak porwanie.

- Może... Ile taka lina jest w stanie udźwignąć?
- Jedna? Skręcana w trzy pokrętki... Prawie pięć ton, dziewięćdziesiąt sześć cetnarów. Minimum.
- Są zaś dwie.
- Przez to ciężar się rozłożył. Tymczasem bolid z kierowcą waży tysiąc sto, tysiąc dwieście funtów. Ale rozstaw lin świadczy, że to były gokarty.
- Zgadza się, monitoring miejski i kamery przemysłowe zarejestrowały dwa czerwone gokarty. Czy liny powiedzą nam coś więcej?
- Włókno to manila lub inaczej abaka. Konkretnie konopie manilskie, otrzymywane z pochw liści banana manilskiego.
- Roślina tropikalna.
- Tak, pewnie z Filipin, ale zmartwię cię. Występują u nas powszechnie, używają ich rybacy. Cechuje je trwałość, są o wiele droższe niż te używane na jachtach, kotwiczne czy cumownicze.
- Żegluga morska?
- Też, ale w małej mierze. Na statkach do cum stosuje się liny plecione i pływające. Te zaś toną, są też mniej rozciągliwe. Pękają przy o wiele mniejszych siłach zrywających. W ogóle bez porównania. W żeglarstwie z kolei królują ostatnio liny jutowe. Również odporne na ścieranie, ale do tego przyjemne w dotyku, ozdobne i ekologiczne.



Terry Snow popatrzył raz jeszcze na spokojną wodę w basenie portowym. Załadowany po brzegi mały kontenerowiec odbijał leniwie od wysokiej betonowej ściany z drabiną schodzącą w głąbię. Płynął powoli, szerokim korytarzem między zacumowanymi jednostkami, wytwarzając za sobą małą falę. Jeden z marynarzy przesunął się wzdłuż poręczy na lewej burcie na dziób i co chwilę pociągał za pasy mocujące, jakby raz jeszcze sprawdzał ich napięcie. Palił papierosa. Od strony wielkich hangarów i magazynów z dźwigami oraz suwnicami do załadunku kroczył śpiesznie mężczyzna w pomarańczowej kamizelce z odblaskami i niebieskim hełmie ochronnym.

- Dzień dobry! – krzyknął, będąc jeszcze daleko.
- Inspektor Snow wyszedł mu naprzeciw i podali sobie rękę.
- To pan plombował rzeczony kontener?
- Tak, ja. Elliott Cain.
- Inspektor Snow, miło mi. Ale czynność ta nie należy do pańskich obowiązków, prawda?

– Zgadza się. Ostatnio poobijałem jaguara z trzydziestego dziewiątego, bo ktoś zapomniał zablokować koła – syknął z pretensją. – Wyobraża pan sobie? Wolałem sam się upewnić.

– Proszę opisać oba bolidy – rzekł niewzruszony Snow.

Mężczyzna wsunął dłonie do kieszeni.

– Gokarty mclaren z silnikami hondy, spokojnie zmieściły się do jednego kontenera. Zostało jeszcze sporo miejsca, a jak jest za dużo luzu, muszę podwójnie uważać.

– Jakies szczegóły?

– Należy trzymać ładunek w poziomie...

– Dotyczące pojazdów.

– A... tak. Czerwony lakier. Widoczne pęknięcia biegnące równoległe do osi kół. Co jeszcze?... – Wzruszył ramionami. – Kaski na fotelach. Położyłem je na podłodze, bo i tak by spadły. Kombinezon, tylko jeden kompletny. Plus para butów. Dwie bluzy. Chyba tyle.

Snow notował wszystko ołówkiem.

– Coś więcej?

– Wyglądały na nowe. Czyste, wręcz lśniły. Opony nie bardzo zdarte. Tylko te uszkodzenia, symetryczne i niemałe. Nie pasowały do ogólnego stanu obu maszyn.

– Czy mogły powstać tutaj, już w porcie?

– No co pan?! Wszystko jest w dokumentacji, takimi je przyjęto. Ale...

Zrobił przerwę.

– Ale co?

– Odnotowano to w papierach, tak? – spytał zaniepokojony.

– Ma pan rację – potwierdził Snow. – Zawarto taką wzmiankę.

– Uff, przez chwilę myślałem, że dalej chodzi o jaguara. Że coś kombinują.

– Tak, a dlaczego?

– Ubezpieczyciel początkowo odmówił wypłaty odszkodowania, próbując wymówić się wyłączną winą operatora dźwigu, czyli moją, tymczasem...

– Rozumiem, jednak, proszę wybaczyć, ale to teraz nieistotne. Mówił pan coś o stanie bolidów...

– Mhm, takie uszkodzenia mogłyby świadczyć o moim błędzie.

– Ach tak?

– Gdybym upuścił te bolidy, a tego przecież nie zrobiłem...

– Oczywiście.

– ...prawdopodobnie powstałyby podobne pęknięcia.

Snow pokiwał głową.

– Upadek z wysokości.

- Rzecz wynika z konstrukcji pojazdu, działające siły...
- Dziękuję.
- Snow skinął mu i się odwrócił.
- Ale to naprawdę nie ja! – rzucił za nim dźwigowy.
- Będę pamiętał.
- Do widzenia panu!
- Do widzenia.



Krótką łódź motorowa skakała po niskich falach jak latająca ryba.

– Tak, to oni – powiedział Bradley Owen, patrząc przez lornetkę. Stał z jedną ręką na poręczu, tuż obok kierującego jednostką płowowłosego funkcjonariusza straży przybrzeżnej.

Ten tylko kiwnął głową i przyjął kurs poprzeczny od aktualnego położenia.

– Miałeś rację.

Gdy zbliżali się do ogromnego kontenerowca, Owen podniósł radio i wywołał jego załogę.

– Trzy pięć siedem Oceania, zgłoś się.

Zbliżali się do ogromnej, żelaznej góry, pływającej pod banderą Bahamów, której faktycznym portem macierzystym było jednak Southampton. Ponad rufą kolosa wznosiła się przytłaczająca ściana dziewięciu poziomów kontenerów, białoczerwoni niebieska szachownica. Ładunek zajmował całą przestrzeń między prawą a lewą burtą, od piątego piętra zwężając się romboidalnie ku środkowi. Statek nie wyznaczał białego, spienionego szlaku, z jego komina nie unosił się dym. Silniki nie pracowały.

– Oceania, zgłaszam się.

– Agent Owen, proszę o pozwolenie na wejście na pokład.

Płynęli w cieniu, wzdłuż pomalowanej na jasnoniebiesko lewej burty, a jemu wydawało się, że ta góra żelastwa nie ma szczytu, lecz pnie się aż do nieba, niczym schody dla olbrzyma.

– Kapitan Russell, oczekujemy pana, zapraszam.

Zbliżyli się do centralnej części statku, gdzie ciąg kontenerów przerywał wąski prześwit. Wnet z góry spadła drabina linowa i rozwinęła się z trzaskiem aż nad powierzchnię wody. Zza wysokiej burty wyglądał marynarz, jawiący się z perspektywy motorówki jako plastikowy ludzik.

– Da pan sobie radę, co? – dobiegło jakby z innego wymiaru.

Owen pokazał wyciągnięty kciuk.

– Aby na pewno? – zapytał funkcjonariusz straży przybrzeżnej, mierząc wzrokiem żelazną skarpe. To jak sprint na olimpijską setkę, tyle że pionowo w górę.

– Dwieście pięćdziesiąt stóp, sprawdziłem.

– Ale bez załadunku. – Strażnik się uśmiechnął.

– Dobra, idę.

– Na razie.

– Tylko zaczekaj na mnie.

Mężczyzna zaśmiał się głośno.

– Przynajmniej w końcu się wyśpię.

Ale gdy tylko Owen wskoczył na metalowe szczeble, połączone z nimi gumowe kółka zaczęły się kręcić, jadąc po burcie, do której przywierały, i wciągając drabinę na pokład.

– Do zobaczenia niedługo.

Owen machnął strażnikowi, a po kilkunastu sekundach marynarz podał mu rękę i pomógł wdrapać się za górną krawędź lewego boku statku. Inny członek załogi w tym czasie zajął się zwijaniem drabiny.

– Witamy – powiedział niski i szczupły mężczyzna z wąsem, w czapce kapitana i długiej, dwurzędowej skórzanej kurtce przypominającej surdut.

– Dziękuję – odparł Owen. – Kapitan Russell, jak sądzę.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Tak, panie Owen. Proszę.

Wskazał mu wąskie przejście i dotarli do dwóch białych kontenerów ułożonych jeden na drugim, stanowiących fragment jednolitej ściany ładunku.

– Który to? – spytał Owen.

Kapitan wykrzywił usta i uniósł oczy. Po chwili przed nich wcisnął się marynarz z bardzo długą drabiną i oparł ją o rząd kontenerów, stawiając prawie na sztorc.

– Proszę, pan pierwszy – powiedział Russell.

– Może jednak ja pójdę – wtrącił nieśmiało marynarz.

Spotkawszy się z cichą aprobatą swojego przełożonego, który wydawał się być z siebie bardzo zadowolony, mimo że tego jawnie nie okazywał, wdrapał się na drabinę i zaraz znalazł się w jej połowie. Poruszał się lekko i zwinnie jak małpka. W ogóle nie zauważał kąta nachylenia, pod jakim się wspinał, ani drgań, których doznawała aluminiowa konstrukcja z każdym jego krokiem. W przeciwieństwie do Owena.

Jednak Bradley Owen, chcąc nie chcąc, podążył w ślad za marynarzem.

– Ale nie ma pan lęku wysokości, co? – zapytał marynarz już na górze.

Rozciągał się stamtąd zapierający dech w piersiach widok bezkresu wody i oddalonej o wiele mil morskich Anglii, będącej ledwie mgiełką na horyzoncie.

Przemieścili się najwyżej położonym korytarzem szerokości siedmiu kontenerów w kierunku dzioba statku, nad sam skraj przepaści.

– Tutaj – oznajmił marynarz i tupnął w górną część szkieletu kontenera.

– Muszę go otworzyć – odparł nieco zakłopotany Owen.

– Poważnie? – spytał marynarz z posępną miną, jakby wyrażał sprzeciw. – Żartowałem – dodał szybko. – Opuścimy się na linach.

Dopiero wtedy Owen dostrzegł sznur, którym był przepasany marynarz. Załogant przełożył linę przez punkt zaczepienia umocowany na zewnątrz kontenera i zapiął sprzączkę. Potem obwiązał się w pasie i kliknął kolejnym zapięciem.

– Najpierw ja, potem ty – powiedział i zszedł tyłem po drzwiach, które następnie otworzył na oścież. A właściwie tylko jedno ich skrzydło, blokując je przy pomocy dwóch zamków tak, by się nie zatrzasnęło, bo wiało dość mocno, tym bardziej, że przed nimi była tylko pustka lekkiego powietrza.

Marynarz podciągnął się na wierzch prostokąta i przekazał uprząż Owenowi. Pomógł mu ją założyć i asekurował go, aż ten opuścił się do środka wielkiego pojemnika.

– W porządku? – krzyknął wtedy z pozycji leżącej.

– Zaraz wracam – odparł Owen, stanąwszy na brzegu.

W środku agent zobaczył dwa bolidy i nic więcej. Sufit pokrywały białe panele, ściany wzmocniono drewnianym stelażem, podłogę wykonano z desek. Nie odpinał pasa, nie wchodził w głąb.

– Dobra, idę – krzyknął po tym, jak zaryglował drzwi, i zaczął się wspinać.

Marynarz pomógł mu wstać.

– Zabieramy – powiedział Owen.

– Co, zawartość? – zdziwił się marynarz.

– Nie, kontener.

– Cały kontener... – powtórzył.

– Kapitan wie. O, jest i nasz transport.

Na niebie pojawiła się czarna kropka i cały czas się powiększała. Po kilku sekundach dobiegł ich miękki świst wirnika.

– Szybko się zebrali, dzwoniłem przed chwilą.

– Jeśli tak, to odpinamy.

Sporych rozmiarów helikopter transportowy przywodził na myśl wypatroszonego szczura. Miał tylko samą kabinę niczym łeb, zakrzywiony grzbiet, koła zamiast nóg i dwa śmigła, w tym jedno na końcu długiego ogona.

– Jesteśmy gotowi – zasygnalizował Owen przez radio.

– Opuszczam – usłyszał w odpowiedzi.

Z centralnego punktu maszyny wyłoniła się lina wyciągnika. Gdy dotarła do Owena, okazało się, że są ich cztery, związane w pęk. Razem z marynarzem przyczepili liny do specjalnych otworów w rogach kontenera i zapięli wiązania.

– Pójdzie? – zapytał Owen.

Marynarz przytaknął.

– Zwolniłem blokadę, zeskakujemy.

Kiedy przeszli na sąsiedni kontener, Owen uniósł dłoń z wyciągniętym kciukiem.

– Podnoszę – zatrzeszczało w radiu.

– Tak jest! – krzyknął.

Szarpnęło kontenerem ze zgrzytem, lecz ładunek dał się podnieść bez oporów.



W mrocznej, ogromnej przestrzeni unosił się przykry zapach przeżartego zgnilizną chłodu. Odkąd tamten posadził ją pod filarem i obwiązał łańcuchem, musiało minąć sporo czasu, bo słabe światło dnia wpadało do środka pod innym kątem niż poprzednio i zdążyło znacznie przybrać na intensywności. Nie pamiętała, jak tu dotarli, ocknęła się dopiero, gdy switało, obolała i cała zeszywniała z zimna. Kurczyła nogi, podciągając je do brody, bo ciało w kontakcie ze zmarzniętym betonem przybierało krwistoczerwony kolor surowego mięsa i piekło żywym ogniem, który przenikał aż do kości.

Z grubego słupa ciągnęła nie mniej nasycona wilgoć, ale dziewczyna była związana zbyt mocno, aby zdołać oderwać od niego plecy. Najintensywniej kłuło ją pod łopatkami, pulsacyjne uderzenia bólu doprowadzały do niekontrolowanych skurczów mięśni i odrętwień.

Rosie krzyczała ile sił w płucach i płakała na przemian. Potem na długie chwile zapadała się w sobie.

Cierpiała fizycznie, ale przede wszystkim nie radziła sobie z psychiką. Powróciły dawne koszmary: wspomnienie zdarzenia w garderobie i niepewność tego, co się zdarzy. Przez cały ten czas od koncertu w Guildhall bała się, że to wróci, a teraz była śmiertelnie przerażona. Trzęsa się na równi ze skrajnego wyziębienia i panicznego strachu.

Nagle usłyszała jakiś szmer, coś poruszyło się gdzieś za nią, w głębi hali. Chcąc odwrócić głowę, uderzyła się w filar. Dyszała, a podrażnione chłodem gardło reagowało, jakby wbijano w nie miliony szpilek.

Dziewczyna nie potrafiła jednak się uspokoić.

Wtem poczuła dotyk na prawej dłoni i piszcząc, próbowała wyszarpać się z uwięzi. Wierzgała i rzucała się tak długo, aż poziom adrenaliny opadł i do głosu doszedł ból.

Łańcuch poranił jej brzuch, wpił się w ciało, które otarł do krwi niczym pilnik. Rosie tkwiła w niepokoju z zadartą brodą, wpatrując się w stalową konstrukcję dachu. Wzywała po kolei imiona wszystkich bogów, o jakich kiedykolwiek słyszała, i czyniła różne obietnice. Prosiła, błagała. Pragnęła tylko żyć, a śmierć zdawała się czaić za progiem.

Wtem szczęknął rygiel masywnych, metalowych drzwi naprzeciw. Wzdrygnęła się i wyprostowała. Wargi drżały jej, jakby coś mówiła, lecz nie wydobyła z siebie choćby dźwięku. Drzwi, okrutnie skrzypiąc, otworzyły się na oścież i stanęła w nich czarna postać. Rosie zacisnęła powieki, nie umiała dłużej patrzeć. Otworzyła oczy dopiero, gdy ten ktoś przykucnął przed nią i zacisnął dłoń na jej ramieniu. Czarna kominiarka zwisała ze smukłej twarzy. Oczy miał piwne, bystre. Oddychał bezgłośnie. Kapiąca z tyłu woda odmierzała czas, który stanął w miejscu. Zrobiło się cicho.

W pewnym momencie Rosie przestała dyszeć.

– To ty – wyszeptała.

Białka oczu cofnęły się w za luźnej kominiarce.

– Czego chcesz?! – krzyknęła. – Dlaczego mi to robisz?

Postać przechyliła się do tyłu i podparła dłońmi, aby nie wylądować na plecach. Potem poderwała się i pobiegła do drzwi.

– Wypuść mnie, łajdaku! – krzyczała za nią Rosie. – Słyszysz?! Wracaj tu!

Tuż przed wyjściem smukła sylwetka obróciła się w miejscu. Schyliła się i podniosła z podłogi kawałek metalowej rury. Kredowobłada Rosie zamarła. Postać ruszyła w jej stronę i zbliżała się coraz szybciej i szybciej.

– Nie! – pisnęła Rosie. – Nie musisz tego robić. Nic nie powiem. Zapłacę ci! Zrobię cokolwiek, wszystko. Tylko przestań!

Dzieliły ich trzy kroki, gdy się zamachnął.

– Aaa! – wyła przerażona.

Zemdlała, kiedy kawałek metalu z wielkim brzdękiem trafił w filar nad głową dziewczyny i skrusił fragment farby.

Porywacz sapał jak lokomotywa, stojąc nad nieprzytomnym ciałem. Rura wypadła mu z ręki.

I jak? – zapytała Chloe Clarke i popatrzyła na odbicie pięknej dziewczyny w lustrze.

– Perfekcyjnie – odparła blond modelka z filmowym uśmiechem.

– Gigi! – zawołał wtedy ktoś z głębi sali.

Był to niewysoki, raczej szczupły mężczyzna w szarej marynarce i czerwonych butach.

– Chloe, miałaś już skończyć – powiedział, podchodząc z nosem utwionym w opasłym notesie.

Policjantka spojrzała ostentacyjnie na zegarek.

– Dopiero za dwie minuty, co z tobą?

Szatyn najeżył się zza dużych okularów.

– Ostatnie poprawki – rzekł oficjalnym tonem.

Chloe z uśmiechem skinęła głową.

– Powodzenia – szepnęła do modelki.

– Zobaczymy się później.

– Czekam z gorącą herbatą.

– Wolę czekoladę.

– No, no, moja droga – wtrącił mężczyzna, jakby na wstępie, ale na tym skończył.

Obok wysokiej modelki w szpilkach wyglądał na uczeniaka. Musiał też truchtać, aby dotrzymać jej kroku.

– Chloe... – usłyszała za sobą, nim tych dwoje zdążyło się oddalić. – Umalujesz Carę. Teraz.

– Co, przecież miała to zrobić...

– Hannah, ale coś ją rozkłada i nie mogę ryzykować. Poradzisz sobie.

– Zdążyła chociaż z Kaylą?

– Na szczęście. Chloe...

– Tak, pani DiMaggio?

– Nie zadawaj pytań, słuchaj.

Zmierzyła ją surowym wzrokiem i odeszła.

– Tak jest – odparła Chloe z wyraźnym przekąsem.

W zasadzie tylko burknęła pod nosem, ale kobieta i tak to usłyszała. Nie zareagowała jednak.

Przestrzenna sala bankietowa była połączona z holem i przypominała kocioł z wolno gotującym się wywarem, w którym ktoś miesza zbyt często i to raz w prawo, a raz w lewo. Wiele osób kręciło się tam z kąta w kąt, po przekątnej, zygzakiem lub po okręgu, w tę i we w tę, lecz wbrew pierwszemu wrażeniu, nie przeszkadzano sobie nawzajem i nie wchodziło nikomu w drogę. W podłużnym wnętrzu o półokrągłych bokach urządzono wielką garderobę. Całą wschodnią – tę dłuższą – ścianę zajmowały ogromne kwadratowe lustra, oświetlone z trzech stron rzędami żarówek w kształcie okrągłych bombek. Zwierciadła usytuowano pod różnymi kątami, niektóre tyłem do siebie. Przed każdym z nich ustawiono białą toaletkę i wygodny regulowany fotel obity również białą skórą. Wokół, przy sześciokrzydłowych parawanach w różnych kolorach stały wieszaki pełne ubrań w foliach, grube kremowe filary wyrastały z miękkiej, w połowie różowej, w połowie czarnej wykładziny. Fryzjerzy i makijażystki, niewątpliwi artyści w swojej dziedzinie, o czym świadczyły efekty ich na pozór chaotycznej pracy, pieczołowicie zajmowali się modelkami. Nad wszystkim czuwało dwoje koordynatorów: Francesca DiMaggio z ramienia Calzedonii oraz Giacinto Biagioli reprezentujący drugą uczestniczącą w pokazie markę – Intimissimi.

Fasadę hotelu od trzech dni zdobił niegasnący biało-czarny neon imponujących rozmiarów, który przedstawiał nazwy obu przedsiębiorstw na różowym oraz białym tle z tysiąca żarówek. Pod nim widniał biały podpis: „z udziałem Aniołków Vicotria's Secret”, wkomponowany w duże kwadratowe logo amerykańskiej marki.



– A, to znowu pan – odezwała się szczupła dziewczyna z krągłą twarzą, kiedy wyszła na taras.

Oparty o balustradę Charlie Keane zerknął na nią przez ramię i się odwrócił.

– Gdzie pani idzie?

– Jadę do domu, nic tu po mnie.

– A pokaz?

– Żarty sobie pan stroi? – warknęła urażona.

– Kilka gram kokainy w torebce to poważna sprawa – odparł lekko.

– Podrzuconej. I nie zdziwiłabym się, gdyby przez was. Puszczacie mnie wolno, bez wyjaśnień?

– Odpowiedziała pani na nasze pytania.

– Akurat – prychnęła i odeszła w stronę parkingu.

– Pani RadFord?

– Hannah – odrzekła, znacznie spuszczać z tonu. – Może rzeczywiście...

Keane zbliżył się do niej w milczeniu i dopiero wtedy powiedział:

– Dziękujemy za współpracę.

Parking na kilka samochodów znajdował się od frontu, główny pod ziemią, zachodnią ścianę hotelu otulał urokliwy skwer, po drugiej jego stronie wznosił się biurowiec, a za nim kolejny. Stamtąd dobiegł dźwięk tłuczonych butelek. Keane postanowił to sprawdzić.



– Cześć, jestem Chloe. Zapraszam.

– Cara. Miło mi cię poznać.

Dziewczyna w dzinsach i bejsbolówce wskoczyła na fotel. Podkurczyła nogę na siedzenie i zdjęła czapkę. Żuła gumę. Jej proste włosy były lśniące i układały się bez zarzutu.

Chloe zapatrzyła się na nie.

– Co? – odezwała się Cara, marszcząc czoło. – Że wracam od fryzjera w tym? – Podniosła czapkę nad głowę. Potem upuściła ją nonszalancko na stolik.

– Hm, coś w stylu Leonardo – odparła lekko Chloe. – Dla lepszego efektu.

– O, no proszę – uśmiechnęła się szeroko. Grała przekonująco, lecz dało się wyczuć, że to tylko żarty.

Nawiązały kontakt wzrokowy w lustrze.

– Zaraz, czy ty przypadkiem... czy my... – Cara zmrużyła oko. – Chodziłyśmy razem, prawda?

Chloe się uśmiechnęła.

– Raz czy dwa.

– I nic nie mówisz, podła.

– Wybacz, wszystko przez tę aurę.

– Co? – Cara zrobiła minę królowej szyderców.

– Nieważne – ucięła Chloe i sięgnęła po pędzelek.

– Teraz już musisz mi powiedzieć.

– Nie czas, innym razem. Zapomnijmy, proszę.

Wybrała barwę z palety i nałożyła odrobinę na skórę twarzy Cary.

– Bez takich, mów albo cię ugryzę.

– Oj – westchnęła – chodzi o Ninę.

– Jaką Ninę?

Carze rozszerzyły się źrenice, jakby znała odpowiedź, lecz tego nie chciała.

Chloe popatrzyła na nią wymownie.

– Collins? – spytała retorycznie Cara po chwili ciszy.

Makijażystka bez słowa kontynuowała swoje dzieło.

– Ja też ją znałam – wyznała Cara. – Może nie tak dobrze, ale to było straszne.
– W dodatku zdarzyło się niedaleko stąd.
– A rzeczywiście, całkiem. Stąd wspomnienia, rozumiem. Różne rzeczy się przytrafiają, chociaż...

– Ty też nie wierzysz, że przedawkowała? – zapytała wprost.

Care to zaskoczyło. Zastygła z dłońmi w geście manekina i rozejrzała się na boki.

– Nie wiem – westchnęła.

– Powiedz, teraz już musisz – powtórzyła jej słowa Chloe.

Dziewczyny uśmiechnęły się do siebie.

– Niby mogła. Wiesz, wybieg zamontowano na stalowym łuku nad stadionem, dwieście sześćdziesiąt stóp nad ziemią – mówiąc to, żywo gestykułowała, jakby malowała w powietrzu – dopiero druga jego część przebiegała po murawie. Potem, w hotelu, gdy zeszyły emocje...

– Bałaś się?

– Jasne! Ale ja nic...

– A inne dziewczyny?

– Nie widziałam. Ale ciebie też nie.

– Nie mogłaś, nie było mnie tam.

– Szkoda. Pewnie jako przyjaciółka Niny załapałabyś się na imprezę u Rosie.

– Nie kojarzę...

– Rosie Orlando! – wykrzyknęła, po czym zaczęła śpiewać: – *I feel high and I'm going into whies...*

– Urządziła przyjęcie dla modelek? – wtrąciła Chloe.

– Bardzo kameralne. Tylko dla kilku znajomych. Po afterparty, na swoim piętrze.

– Kto tam był?

Oczy Cary przybrały kocią zadziorność.

– Od nas nikt. Same dziewczyny, z tego co pamiętam. Kilka, może sześć. Ale nie, jeszcze chyba jeden chłopak.

– Którejś z nich?

Chloe sięgnęła po kolejny kosmetyk.

– Brat Anny, tej od kampanii L'Oréal.

– Ona też bawiła się z nimi?

– Tak, teraz mi się przypomniało... dlatego załapał się i ten Oleg. Bo zdaje się tak miał na imię.

– Masz świetną pamięć.

– Przecież to Rosie Orlando, uwielbiam ją! Zresztą mieszkałam w pokoju obok.

- Pokażę ci zdjęcie. – Chloe odszukała w pamięci telefonu spreparowany obraz przedstawiający wszystkie cztery ofiary, porwaną piosenkarkę i ją samą.
- Ładnie! Tej nie kojarzę – wskazała na Anne Faezi – ale pozostałe tak.
- Spotkałaś zatem Jane, Kelly i Kate.
- Nie wiem, jak się nazywają. Ja je tylko widziałam, z daleka. Poznałam za to Molly.
- Molly Blunt? – rzuciła Chloe i oniemiała.
- Brunetka, rozmiar trzydzieści osiem, pociągła twarz, niewysoka.
- Tak, to ona – stwierdziła sierżant Clarke w zamyśleniu. – Prócz nich były tam jeszcze dwie osoby?
- Męczy cię, że się pokłóciłyście i nie zdążyłaś się z nią pogodzić. co?
- Nie, my... dlaczego?
- Inaczej przyjechałabyś.
- Może nie mogłam?
- Aha, wygospodarować trochę czasu na pokaz? – odparła z powątpiewaniem. – Nic już nie zmienisz. Ale ona cię widzi i wie.
- Dzięki.

Chloe Clarke nosiła podsłuch. Gdy tylko padło imię Anna, technik siedzący w jednym z pokoiów na piętrze ustalił, że chodzi o modelkę o nazwisku Pankova, która też brała udział w łączonym pokazie, więc musiała przebywać na dole. Od razu powiadomił kolegów z zespołu. Przesłał też każdemu z nich podobiznę Olega, brata Anny.

Rebecca Mulligan szybko namierzyła dziewczynę.

- Cześć – powiedziała z uśmiechem, podchodząc do niej.
- Przedstawiły się sobie i wymieniły opinie na temat kolekcji, jaką miały prezentować.
- Denerwujesz się? – spytała Anna w pewnym momencie.
- Widać?
- Nie martw się, ja też.
- Może nam chlapać po nogach. Podobnie jak na próbie, tylko gorzej. Teraz każdy nasz błąd zobaczą wszyscy.
- Na pewno będzie mokro. Wybieg biegnie tuż nad powierzchnią wody, a jej poziom w ostatnich godzinach znacznie się podniósł. Nie ma dużych fal, wyłączono ruch motorówek, ale to jednak akwen płynący.
- Zrobi się strasznie ślisko.
- Damy radę.

Teren hotelu graniczył z wysokim, kamiennym brzegiem Tamizy. Od tylnego wyjścia prowadził tam brukowany chodnik, a jeszcze niżej, do wnętrza koryta, na wąską półkę pasa umocnień między lądem a wodą betonowe schody usytuowane prostopadle do

nurtu. Budynek skierowany był do rzeki najwęższym, ale za to najwyższym bokiem, przypominającym wieżyczkę.

We wszystkich jego oknach paliły się światła, chodnik pokryto deskami, te zaś wyścielano białym suknem. Skąpany w mocnym świetle dywan odznaczał się w mroku niczym ścieżka chwały. Wokół, aż po brzeg i nad nim żeliwne latarnie rzucały ciepłe, białe światło. Na trawie rozstawiono lampiony z czarnego metalu i matowego szkła, ich lżejsze wersje unosiły się leniwie na wodzie oraz w powietrzu. Wybieg schodził nad wodę, lecz nie zakrętem, tylko prostą, ząbkowaną linią. Na potrzeby pokazu zbudowano bowiem szereg trzynastu łagodnych stopni, który kończył się podświetloną na biało kładką z lekkiego tworzywa sztucznego. Sięgała ona połowy szerokości rzeki, nie miała ograniczeń. Widownię wpleciono w scenerię, by specjalnie się nie wyróżniała. Część publiczności zasiadła w łódkach, z których każdą kierował ratownik z patentem sternika.

Rebecca zapytała Annę, czy towarzyszy jej ktoś bliski. Ta, nie wahając się, odparła, że brat.

Ludzie Snowa chcieli z nim jak najszybciej porozmawiać. Odkąd uprowadzono Rosie Orlando (tylko oficjalnie przyjmowano wersję ucieczki), liczyła się każda minuta. Piosenkarka mogła jeszcze żyć. Jednak tłum czekał w cieniu, gdzie z daleka wszyscy wyglądali podobnie.

Sekcja smyczkowa rozpoczęła swój koncert i wnet zza kulis wyłoniła się pierwsza z modelek. Wtedy do gry subtelnie włączyły się pianino i gitara. Dziewczyna miała na sobie wysokie szpilki, pończochy, zmysłową bieliznę i dziwaczny naszyjnik z farfocli. Za nią szła kolejna, równie ponętna.

Rebecce przypadło prześwitujące, koronkowe body. Wygodne, komfortowe, lecz nie zakrywające zbyt wiele, przez co czuła się trochę skrępowana. Do tego do cna przeszywało ją zimno. Myślała, że przyzwyczai się i rozgrzeje szybkim krokiem, ale im bliżej znajdowała się wody, tym bardziej chłód się nasilał.

Przed schodami dostrzegła mężczyznę podobnego do tego ze zdjęcia. Siedział w drugim rzędzie po prawej stronie, miał krótkie, proste włosy, pikowaną marynarkę i kolczyk w uchu. Nie tracąc rytmu, dyskretnie zameldowała o tym. Pięć sekund później, gdy zostawiła za sobą ostatni stopień, inspektor Keane przykucnął za podejrzanym.

– Przepraszam, pan Pankov? – zapytał.

Mężczyzna odwrócił głowę z marazmem w oczach.

– O co chodzi?

Keane wyciągnął legitymację służbową.

– Policja, mam kilka pytań.

– Teraz?

– Przykro mi, to nie może czekać.

Pankov spojrział przed siebie, po czym zupełnie niespodziewanie zdzielił Keane'a łokciem w twarz i zerwał się z miejsca. Przebiegł po wybiegu i wcisnął się w przeciwległą widownię. Przedarłszy się przez tłum na najwyższy punkt trybuny, rozejrzał się i skoczył w dół. Rozpłaszczył się na zmarzniętej ziemi z jękiem, lecz szybko wstał. Najwyraźniej nie odniósł żadnych obrażeń, bo tylko wytarł rękawem twarz z błota. Zobaczył jednak, że dwóch mężczyzn w garniturach odcięło mu drogę ucieczki. Ruszył więc w jedynym nieobstawionym kierunku, ku bulwarowi.

Tuż przez obmurowaniem zabezpieczającym brzeg poślizgnął się i upadł na kolana. O mało co nie zsunął się dziesięć stóp niżej, na kamienny chodnik. Uratował się niemal w ostatniej chwili, ale policjanci byli już bardzo blisko. Zaczął schodzić tyłem po ścianie i zawisł na rękach. Wilgotny kamień wymykał się palcom, ostra krawędź boleśnie naciskała na dłonie. Wyglądało na to, że zamierza się podciągnąć, zamachnął się nogą, ale nie dosięgnął wierzchu, a tylko stracił oparcie i poleciał poziom niżej. Strach odebrał mu zmysły, nie słyszał pisków i krzyków, podniósł się i przewrócił. Ktoś z gości próbował go powstrzymać, a może tylko mu pomóc, lecz Pankov odepchnął ochotnika i po krótkim rozbiegu wskoczył na najbliższą łódź. Zderzył się tam ze szczupłą kobietą w czarnej sukience, która odbiła się od niego i wpadła do wody, pociągając za sobą stojącego obok mężczyznę. Ratownik momentalnie rzucił się za nimi, pozostali oniemieli.

Pankov w jednej sekundzie dorwał się do napędu i sterów. Czym prędzej uruchomiwszy silnik, skierował jednostkę na wschód. Ruszył tak gwałtownie, że ci, którzy w międzyczasie wstali, znaleźli się w pozycji skorygowanej o dziewięćdziesiąt stopni lub za burtą.

Łódź miała mijać wybieg, gdy Rebecca zdjęła szpilki, nabrała szybkości i odbiła się od krańca pomostu. Wylądowała na rufie i siłą rozpędu dosięgła Pankova, którego złapała za szyję. Oboje wylecieli w powietrze, ale tylko reporterka skończyła w rzece. Podejrzany, przeturlawszy się po pokładzie, zatrzymał się na rzędzie siedzisk. Próbował jeszcze się podźwignąć, ale nim odzyskał sprawność, Keane założył mu już kajdanki.



Bradleya Owena wciąż nurtowała postać Nailei, młodej dziewczyny mieszkającej samotnie w odludnych i nieprzystępnych górach na północnym wschodzie Meksyku, która dwukrotnie ocaliła mu życie i zniknęła równie nieoczekiwanie, co się pojawiła. Doskonale znała się na ziołach i innych produktach roślinnych, swoimi miksturami

potrafiła czynić cuda. I to nie tylko w przenośni, lecz również dosłownie, bo jak inaczej rozumieć zaczarowanie strażników w areszcie, aby ci puścili ich wolno? Za jej działaniami – jak przypuszczał – musiało kryć się coś więcej niż jedynie zaawansowana sztuka zielarstwa. Była w tym jakaś magia, wielka i niepoznana, ale dobra. A przynajmniej wykorzystywana w słusznym celu. Owen nie wierzył w podobne bzdury jak zjawiska nadprzyrodzone, jednak nie mógł zaprzeczyć własnym oczom, a Nailea uratowała w jego obecności prawie urwaną i zmiażdżoną nogę farmerowi, którego przywieziono w beznadziejnym stanie. Nieprzytomnego, przezroczyście bladego i ledwo ciepłego, a jednak potem widywał go przy pracy na plantacji papryczek chili, w zupełnie dobrej formie.

Kiedy Owen wrócił z Londynu, pierwsze swoje kroki skierował do biblioteki uniwersyteckiej, gdzie poprosił o wszystkie tytuły związane z magią. Zasiadł w czytelni obłożony opasłymi tomiszczami dotąd tylko zbierającymi kurz i paroma cieńszymi książkami poświęconymi znachorom, szeptuchom, szamanom, wróżbitom, wywoływaczom duchów, a nawet czarodziejom. Ślęczał nad zbiorami przez pół dnia, po czym zszedł do bufetu na kanapki i kawę, by wrócić po kwadransie i wyjść dopiero wieczorem. Właśnie w dwunastej godzinie lektury natrafił na coś naprawdę interesującego. Przeczytał wtedy o ordaliach, inaczej zwanych sądami bożymi.

Była to rzecz o średniowiecznym rozumieniu sprawiedliwości. Od najdawniejszych czasów wierzono, że siły wyższe czuwają nad toczącym się sporem i nie pozwolą, aby osoba niewinna poniosła niezasłużoną karę.

Jednak to w wiekach średnich ordalia urosły do miana legalnego środka dowodowego. Wysuwane w ramach procesu zwyczajnego, dzieliły się na próby jedno- oraz dwustronne. Próba zimnej wody polegała na wrzuceniu oskarżonego do wody, która – jako żywioł czysty – nie przyjmowała przestępców, lecz wyłącznie ciała niewinnych. Tonący tracił życie ziemskie, ale w nagrodę cieszył się wieczną chwałą bożą. Jeśli jednak przetrwał, czekała go kara. W tym miejscu należało wspomnieć, że noszone przez kobiety w tamtym okresie grube, powłóczyste i obszerne suknie, wełniane spódnice zakładane jedna na drugą oraz bufiaste rękawy, nim nasiąkły i stały się ciężkie, unosiły je na powierzchni. Oto jak moda stawała się przekleństwem.

Babiloński zbiór prawa traktował tę sytuację odmiennie. Bez winy był ten, kto zanurzony w rzece i tym samym pozbawiony tlenu, przeżył. Chloe Clarke została uprowadzona w morze i gdyby nie wykazała się sprytem, pewnie wylądowałyby za burtą. Lina, którą została przypięta do łodzi, mogła świadczyć o tym, że jej zwłoki miały zostać sprowadzone na ląd. W okresie polowania na czarownice podejrzaną o konszachty z szatanem spuszczano do rzeki z mostu na powrozie. Nim ta poszła na dno, wyciągano ją i prowadzono przed kata lub rzucano na stos.

Starożytni Grecy jako pierwsi szeroko stosowali próbę ognia. Rozżarzony do czerwoności żelazny pręt przetrwał blisko dwa tysiące lat, stanowiąc później częste narzędzie rozpoznawania czarownic. Jeśli powstałe oparzenie po trzech dniach goiło się dobrze, oskarżona uwalniała się od zarzutów. Odmienny rozwój wydarzeń świadczył natomiast o jej winie. Zwłoki Jane Cook nosiły wypalony znak, identyczny, choć zablizniony, rozpoznano też u Kelly Robinson.

W przypadku tej pierwszej mogło też chodzić o coś innego. Próba igły wyrosła z przekonania, że czarownica, podpisując pakt z diabłem, zostaje przez niego naznaczona piętnem w postaci znamienia. Ujawnione na skórze zmiany nakłuwno igłą, a gdy nie krwawiły i nie powodowały bólu, sprawa stawała się jasna: winna. Jak później dowiedziono, na ciele niektórych kobiet znajdują się miejsca niewrażliwe na ból, szczególnie w okresie menstruacji lub przekwitania, podobne efekty przypisuje się działaniu silnych emocji.

W pieprzyk na lewej łopatkę Kate Atwell głęboko wbito igłę. Pierwsza ofiara dostała zaś silne leki, przez co bodźce z zewnątrz do niej nie dochodziły. Jane Cook miała na skórze przebarwienie i to w jego obrębie odcisnięto charakterystyczny symbol, tym samym przedmiotem, co w przypadku Kelly Robinson, wykonanym z żelaza, z tępym krzyżkowym końcem, jednak nie rozpalonym. Czy to aby nie nazbyt daleko idąca teoria?

Florence, najlepsza przyjaciółka porwanej ostatnio Rosie Orlando, zeznała, że ta została zaatakowana w garderobie po koncercie w Guildhall i brutalnie postawiona na wagę, która służyła do obliczania objętości płynów, jakiej potrzebował organizm po intensywnym wysiłku na scenie. Nieposiadanie ciężaru ciała adekwatnego do swojej postury przesądzało o byciu czarownicą. Ślub z demonem – według ówczesnych wierzeń – czynił ją bowiem nienaturalnie lekką. Czarownicom przypisywano również zdolności lewitacyjne, nad którymi rzekomo nie potrafiły zapanować w obliczu krzyża i innych świętych znaków.

Druga forma próby ognia nakazywała oskarżonej o czary przejście bosymi stopami po rozgrzanych lemieszach lub przez palące się ognisko. Tymczasem wyłowiona z Zatoki Wraków Molly Blunt, niewiązana dotychczas ze sprawą zabójcy ze szpitala, tydzień przed tragedią przeszła po rozżarzonych węglach aż na drugi koniec wyłożonej nimi ścieżki na plaży.

Anne Faezi nie nosiła żadnych dziwnych śladów, jednak ona została straszliwie poturbowana w wypadku i powstałe w ten sposób obrażenia mogły przykryć rany stanowiące dowód na przeprowadzenie ordaliów.

Owen czuł, jak mózg mu pulsuje. Porobił zdjęcia wybranym stronom i nie bacząc na protesty bibliotekarki, połączył się ze Snowem.

Ujęty Pankov okazał się nie Olegiem, lecz Dimitrim, najstarszym z trójki rodzeństwa. Uciekał, bo miał przy sobie pięć gramów kokainy. Snow podejrzewał, że nie był to jedyny powód, a raczej kiepska wymówka, lecz nie drażył dalej. Sprawa porwania Rosie Orlando uchodziła za priorytet.

– Gdzie jest Oleg? – zapytał Keane, powtarzając słowa swojego przełożonego, gdy po raz kolejny trafiły one w próżnię.

– Mówiłem już, że nie wiem – odparł Dimitri. – Odkąd wróciłem ze studiów, rzadko się widzimy. Ja mieszkam w Sankt Petersburgu, Oleg tutaj. Odwiedza nas tylko w święta, czasem zadzwonię. Lepszy kontakt ma z Anną.

– Dlaczego nie pojawił się na pokazie? Figuruje na liście gości – dociekał Keane.

– Nie mam pojęcia. Spodziewałem się go tu spotkać, ale nie przyszedł.

– Proszę podać nam jego adres – wtrącił inspektor Snow.

– Nie znam.

– Nie zna pan... – mruknął powątpiewająco Snow.

– Nie!

– Więc gdzie go szukać?

– Naprawdę nie sędzę, aby mógł dopuścić się...

– Panie Pankov, gdzie? – naciskał Snow.

– Najlepiej w UAL. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– Akademii Sztuk Pięknych?

Pankov przytaknął.

– A konkretnie Chelsea College of Arts?

– No tak.

– Z której zrezygnował w połowie ubiegłego semestru? – zapytał Keane.

Dimitri Pankov wytrzeszczył oczy i zamilkł na chwilę.

– To niemożliwe! – podniósł głos. – Wysłałam czeki, sam osobiście.

– Nie wątpię.

Wcześniej Dimitri Pankov wyjawiał mroczną prawdę o żalu, jaki spłynął na Olega po śmierci modelki Niny Collins i zawładnął nim dogłębnie, mimo że w ogóle nie znał tej dziewczyny. Oleg uroił sobie ponoć, że Nina została otruta, a co więcej padła ofiarą pomyłki, zaś prawdziwym celem ataku była jego siostra, Anna. Wtedy miał się zmienić. Stał się obsesyjnie opiekuńczy względem Anny, wręcz zaborczy. Twierdził, że

ktoś chciał ją skrzywdzić i na pewno spróbuje dokończyć to, co zaczął. Nie potrafił wyjaśnić, z jakiego powodu. Dręczył Annę pytaniami, lecz ona nic nie rozumiała. Nie podobał mu się świat mody i modelek. Był podejrzliwy, bał się o siostrę. Ale nie oszalał i nie byłby w stanie nikogo zabić.

– Na pewno nie. To dobry chłopak – powiedział wtedy Dimitri, kończąc opowieść.

– Nie wątpię – powtórzył Snow.

Wyglądało jednak, że ten dobry chłopak się pogubił. Do tego uczył się w szkole wchodzącej w skład University of the Arts London, podobnie jak Wimbledon College of Arts, gdzie formalnie wciąż uczęszczała Sarah Mackay, poszukiwana motocyklistka. A Snow nie wierzył w przypadki.

Informatycy szybko ustalili, że Oleg i Sarah wielokrotnie kontaktowali się ze sobą drogą elektroniczną. Nic nie świadczyło jednak o ich zмовie. Uczestniczyli w tych samych wydarzeniach kulturalnych, komentowali sztukę. Rozmawiali o zajęciach na uczelni, dzielili się materiałami naukowymi. Spotkali się na kilku studenckich imprezach, mieli wspólnych znajomych. Ich relacja wydawała się zwykłym, niezbyt zagorzałym koleżeństwem dwójki ludzi o podobnych zainteresowaniach. I nic więcej.

– Fejs, Insta, Snap – powiedział technik Bidwell, wręczając Snowowi raport.

– Układając listę podejrzanych tym sposobem, zwiększymy ich liczbę – stwierdził Keane.

Jednak o wiele mniej osób bawiło się w towarzystwie modelek na przyjęciu po pokazie zorganizowanym na Wembley. Nina nie dotarła jednak na imprezę do hotelu, jak mogłoby wynikać z relacji Cary i innych dziewczyn. Oszacowany przez patologa czas zgonu również temu by przeczył.

Anna Pankova zachowała w pamięci telefonu zdjęcia z tamtej nocy. W apartamencie Rosie Orlando oprócz niej znajdowało się przynajmniej pięć osób, w tym trzy ofiary: Jane Cook, Kelly Robinson i Kate Atwell, oraz dwie modelki: Kirsten Mears i Karen Olsen (obu przydzielono już ochronę we współpracy z duńską oraz amerykańską policją). Jedna z nich, Kirsten, rozpoznała na zdjęciu Anne Faezi. Ponoć ta zjawiła się wcześniej przed pokazem, posiedziała trochę z Rosie, obejrzała próbne wyjście na wybieg, ale nie została na głównym show. Nie mogła, gdzieś się śpieszyła.

– Dlatego nie od razu poznała Jane i Kelly, kiedy pokazałam jej zdjęcia – rzuciła obecna w sali konferencyjnej Chloe Clarke.

Sytuacja, w której zachowanie tajemnicy medycznej mogłoby powodować niebezpieczeństwo dla zdrowia i życia pacjenta lub innych osób, stanowiła przesłankę ograniczającą prawo pacjenta do tajemnicy informacji z nim związanych, a więc uprawniała lekarzy, pielęgniarki oraz przedstawicieli innych zawodów medycznych do odpowiedzi na pytania policji. Zmuszeni do złożenia zeznań pod groźbą

postawienia im zarzutów utrudniania śledztwa członkowie personelu medycznego kliniki w Southampton zdradzili, że Rosie Orlando była ich pacjentką. O wszystkim wiedziały zaledwie cztery osoby, łącznie z dyrektorem placówki.

– Czy Oleg już wtedy był na Wembley? – zapytał Snow.

Chloe zajrzała do notesu w twardej oprawie.

– Owszem, przyjechał z samego rana.

– Mała szansa, że widział Annę – wtrącił Keane. – Osoby postronne nie mają wstępu za kulisy. Dla Rosie zrobiono wyjątek, o którym żadna z modelek by nawet nie pomyślała.

– To prawda, ale Oleg tam pracował.

– Co robił? – zdziwił się Keane.

– Chłopak studiował aranżację wnętrz – odezwał się Snow – był na stażu w firmie, która dbała o zaplecze wizualne.

– Nieźle.

– W dalszym ciągu chcesz wydłużać listę podejrzanych do trzystu? – spytała Chloe, puszczając mu oko.

Dział informatyczny szukał dalej. Przejrzano korespondencję Olega i Sary, ich kontakty, powiązania w sieci. Śledczy niczego nie wykluczali, również tego, że sprawców było więcej, na przykład troje. Zresztą wyłączenie alarmu w domu Elstone'ów czy zastosowanie techniki zapętlania obrazu z kamer w klinice w Southampton wymagało specjalistycznej wiedzy technicznej, o którą nikogo z dwójki artystów nie posądzano.

Informatycy pracowali na okrągło przez całą dobę, ale niczego nowego nie odkryli. Wciąż nie wiadomo też, gdzie podział się Oleg. W mieszkaniu, które wynajmował przez ostatnie trzy lata zastano innego lokatora. Jego właściciel, niejaki Wayman niewiele potrafił powiedzieć. O nic nie pytał, dopóki chłopak płacił czynsz. Potem jednak przestał i nie odbierał telefonu. Po dwóch tygodniach zwłoki Wayman wybrał się wreszcie na St. George's Square, gdzie Pankov mieszkał z widokiem na Tamizę, przystań żaglówek i wieżowce na drugim brzegu. Nie było go, więc postanowił zaczekać. Miał swoje klucze, wszedł do środka. Siedział tam uparcie do wieczora, lecz Oleg się nie zjawił. Zostawił mu kartkę z informacją na lodówce, ale chłopak się nie odezwał. Nie zabrał rzeczy, więc się nie wyprowadził, ale od dawna nie wracał nawet na noc, jak twierdziła sąsiadka, emerytowana nauczycielka gry na fortepianie. Po kolejnym tygodniu ciszy właściciel wynajął mieszkanie komuś innemu, wcześniej spakował rzeczy osobiste Pankova i zniósł je do piwnicy, skąd trafiły potem do policyjnego laboratorium. Nie przejmował się nieobecny lokatorem, nie zgłosił zaginięcia.

– Młody jest – tłumaczył później policji. – Pomyślałem: zmądrzeje, to wróci.
Jednak nie wrócił.

W jego rzeczach osobistych na pozór nie było nic, co mogłoby naprowadzić śledczych na jakiś trop. Szkice wnętrz i wzory przemysłowe, magazyny tematyczne, książki, podręczniki, programy do projektowania oraz gry komputerowe. Niby zwykłe przedmioty, ale to właśnie one okazały się punktem zaczepiania.

Pankov trwonił wiele czasu na rozrywkę interaktywną. Na co dzień nie rozstawał się ze swoją konsolą do gry. Rywalizował w sieci, w szczególności z osobą kryjącą się pod nickiem Sok Mleczny. Odkrycie nazwiska gracza zajęło technikom mniej niż powinno. Chodziło najprawdopodobniej o mieszkającą od urodzenia w Londynie Claire Roach, studentkę informatyki. Bo przecież nie o jej matkę, na którą przychodziły rachunki i zarejestrowany był xbox.

Claire i Oleg nie kryli się ze swoją znajomością, przynajmniej nie w serwisach społecznościowych. Poza wirtualnym światem nie spotykali się jednak zbyt często, żadna z koleżanek Claire nigdy nie widziała Olega na oczy ani nawet nie wiedziała o jego istnieniu. Sam Oleg nie miał zaś zbyt wielu przyjaciół, trzymał się raczej na uboczu. Za to mieszkająca obok niego pani Chambers twierdziła, że widziała Claire więcej niż jeden raz.

– Tak, to na pewno była ona – mówiła policjantom pani Chambers. – Aż się zastanawiałam, co taka ładna dziewczyna z nim robi...

A mogła robić wiele nieciekawych rzeczy. Poza wiedzą wyniesioną z uczelni Claire doskonaliła się, pomagając w firmie swojego ojca, która zajmowała się produkcją paneli sterowania używanych między innymi w systemach ogrzewania i kina domowego, ale przede wszystkim... w systemach alarmowych.

Charlie Keane wskoczył od razu na drugi schodek i zadzwonił do drzwi. Po minucie otworzyła elegancka kobieta w średnim wieku.

– Dzień dobry, to ja dzwoniłem, inspektor Keane, policja.

– Proszę.

Joan Roach podjęła Keane'a herbatą.

– Zaskoczył mnie pański telefon.

– Chciałbym porozmawiać o pani córce.

– O Laurze?

– Nie... – zająknął się Keane. – O Claire.

– Dlaczego nie z nią osobiście?

– Przepraszam, kim jest Laura?

– Moją zmarłą córką.

– Przykro mi.

- Co z Claire?
- Czy wie pani, dokąd wyjechała?
- Wyjechała? – zdziwiła się Joan Roach. – Nie...
- Nie pojawiła się w tym tygodniu na uczelni.

Joan Roach wyglądała na zaskoczoną.

- To karalne, że od razu wezwali policję?
- Mam tylko kilka pytań, Claire może nam pomóc.
- Zaraz powinna tu być. O, już jest.

Chrobot klucza w zamku poprzedził otwarcie drzwi.

- Cześć, mamó – powiedziała szczupła brunetka, wchodząc do kuchni w jasnej bomberce.

Keane wstał.

- Claire, to pan Keane z policji, do ciebie.
- Do mnie?
- Szukamy Olega Pankova – odezwał się Keane.
- Nie znam.

Claire jednym ruchem ściągnęła apaszkę.

- Wiemy, że jest inaczej.
- Nie muszę tego słuchać.

Dziewczyna odwróciła się na pięcie botek na ząbkowanej podeszwie i pobiegła na piętro.

- Claire! – krzyknęła za nią jej matka.
- Proszę ją zostawić – powiedział Keane.
- Nie wiem, co się stało. Normalnie się tak nie zachowuje.
- A Laura, jaka była?

- Zupełnie inna, choć równie dobrego serca, miła i zdolna. Różniły je jednak zainteresowania i sposób patrzenia na świat.

- Jak zginęła?
- Popełniła samobójstwo.
- Przepraszam, ale jak do tego doszło?
- Połknęła tabletki nasenne, całą garść.
- Wie pani, dlaczego to zrobiła?
- Przez swoją pracę, modeling.

- Była modelką. – W głosie Keane'a można było wyczuć ożywienie. – Pamięta pani, w jakich pokazach uczestniczyła?

- Nie chodziła po wybiegach, brakowało jej paru centymetrów. Brała udział w sesjach zdjęciowych, występowała w reklamach i teledyskach.

- Czy mogę poprosić o listę zleceń Laury?
- Oczywiście, niczego nie skasowałam. Jej laptop leży na biurku nietknięty.
- Świetnie.
- O co chodzi z tym Olegiem? Co to za człowiek?
- Przyjaźnili się z Claire.
- Doprawdy? Nie słyszałam o nim.
- To sprawdzona informacja.
- Zrobił coś złego?
- Istnieją powody, by tak przypuszczać, choć nie ma dowodów.
- Czy mógł wciągnąć w to Claire? Czy ona może być w coś zamieszana?
- Proszę się uspokoić, nie sądzę – skłamał Keane, który był prawie pewny, że Claire pomagała Olegowi.

Joan Roach upiła łyk herbaty, a następnie zniosła z góry komputer Laury.

– Muszę uprzedzić, że przydzielamy paniom ochronę. Radiowóz będzie stał przed domem.

- Ten Oleg jest niebezpieczny?
- Tak sądzę.
- Myśli pan, że tu przyjdzie?
- Nie, to tylko na wszelki wypadek. Nie sprawią problemu. W razie czego, proszę dać znać.

Keane po wyjściu na ulicę pozdrowił policjantów w zaparkowanym po przeciwnej stronie bmw.

- Szefie, mamy ją – powiedział, gdy połączył się ze Snowem.
- Tak szybko? – odparł zdawkowo Snow. W tle łomotał podajnik papieru drukarki.
- Wróciła do domu. Zostawiłem chłopaków na zewnątrz, zobaczymy, dokąd pójdzie. Pogada z matką, może zmięknie. Chyba się wystraszyła. Oby doprowadziła nas do Olega.

- I Rosie. Podśluch działa?
- Powinien. Namierzymy go.
- Jeśli dziewczyna nie wychyli się do wieczora, niech ją przywiozą.
- Zrozumiałem.

Snow zaufał wyczuciu Keane'a i nie pożałował. Już po pięciu minutach policyjny informatyk zainicjował rozmowę grupową:

- Panowie, dziewczyna edytuje mail.
- Co pisze? – zapytał Keane.
- Raczej do kogo... – wtrącił Snow.
- Jak na razie dwa słowa: „macki, duszę się” – odparł informatyk.

- Nawet pasuje – zauważył Keane.
- Wysyła!
- Kto jest odbiorcą? – spytał Keane.
- Adres? – dodał Snow.
- Milky.sap@... zaraz, nadawca!
- Co nadawca?
- Nadawca jest odbiorcą, wysłała to do siebie.
- Dobrze... – mruknął Snow.
- Albo ma nie po kolei w głowie – zauważył Keane.
- Nic się nie dzieje – relacjonował informatyk. Po chwili jednak dodał: – Mam coś, wiadomość zmieniła status, ale nie Claire ją otworzyła.
- Gdzie?
- Chwila...
- Szybko, Mark!
- Robię, co mogę. Zostajemy w Londynie. – Przerwa. – Północny brzeg Tamizy. Teren City of Westminster. – Dłuższa pauza. – Przy drodze A3205. W pobliżu mostu kolejowego.
- Mnóstwo biurów – zamyślił się Keane.
- Stara elektrownia Battersea! – stwierdził Snow. – Charlie, SAS!



Modernistyczna budowla z cegły imponowała rozmachem. Cztery podobne do wież wysunięte skrzydła dźwigały po okazałym kominie stylizowanym na kolumnę dorycką. Keane dotarł na miejsce wodą, oddziały policji obstawiły obszar w kształcie trójkąta od brzegu, przez stację przeładunkową odpadów Cringle Dock aż do wiktoriańskiego dworca stacji kolejowej Battersea Park i z powrotem wzdłuż drogi A3216, do skrzyżowania Chelsea Bridge Road z Queenstown Road przy wjeździe na most.

Skoki inspektora odbijały się głośnym echem po długim korytarzu, gdy biegł co sił z wyciągniętą bronią i latarką w drugiej dłoni przez majestatyczne wnętrza wyłożone włoskim marmurem. Potem pokrycie podłogi zmieniło się w jasny beton i poruszali się nieco ciszej. Keane i czterech żołnierzy z elitarniej jednostki specjalnej.

– Nie loguje się do sieci – mówił przez radio informatyk, wciąż licząc, jak zresztą wszyscy biorący udział w akcji, na dokładne zlokalizowanie podejrzanego.

– Gdzie? – spytał dowódca w stopniu kapitana, lecz nie swoich ludzi i nie Keane'a, gdy dotarli do dużego pomieszczenia, z którego wychodziło kilka korytarzy, biegnących w różnych kierunkach.

– Na drugiej – zabrzmiało im w słuchawkach. – Dwadzieścia stóp. Jedna osoba.

Keane aż zmrużył oczy. Członkowie zespołu mieli mocne reflektory przymocowane do ramion oraz latarki czołowe i przy lufach karabinów, lecz żaden go nie oślepił. To wizja utraty nadziei spłynęła nań wraz ze wskazówką podaną przez radio.

„Jedna osoba”, tylko. Źródło promieniowania podczerwonego o temperaturze ciała człowieka. Wiele wskazywało na to, że to sprawca.

Polowanie dobiegało końca, lecz nie koszmar, bo Rosie Orlando najpewniej nie żyła. Nikłe pozostały szanse na odnalezienie jej żywej, bo gdzież indziej by miała być niż w miejscu ukrywania się własnego porywacza?

„Wchodzimy na dwa”, pokazał na palcach dowódca mini grupy, kiedy otoczyli masywne drzwi i jeden z komandosów umieścił ładunki wybuchowe w okolicach zamka i zawiasów.

Eksplozja pozwalała szybciej dostać się do środka, zwłaszcza w przypadku zamkniętych drzwi, ale też dawała przewagę w postaci elementu zaskoczenia, bo na moment jej huk oraz impet oszałamiały nieprzygotowany na nie cel.

Keane trzymał się z tyłu, jak mu polecono.

Dowódca wystawił palec wskazujący, potem drugi i grzmot wyrwał drzwi wraz z futryną oraz cisnął je w głąb pomieszczenia. Komandosi wpadli w dym, Keane – bez maski przeciwgazowej – za nimi.

Za siwą zasłoną inspektor wstąpił w środek trzyosobowego szeregu. Dwóch pozostałych członków plutonu bojowego okrężało wewnątrz prawą i lewą flanką, badając teren od podłogi po sufit.

– Co u licha?... – mruknął jeden z antyterrorystów.

Za filarem pośrodku pomieszczenia stał wysoki, surowy, żelazny tron, na którym skrzepowana siedziała Rosie Orlando. Na pierwszy rzut oka nie dało się jednoznacznie stwierdzić, czy żyje.

Chude ręce spoczywały przykute za nadgarstki do poręczy, nogi tkwiły w bezruchu przytwierdzone metalowymi obręczami do podstawy, pod jej kolanami i na piersiach zaciskała się skórzana uprząż, na szyi miała obrożę, w ustach knebel. Opuszczoną bezwładnie na bok głowę i bladą, przysłoniętą rozczochranymi włosami twarz. Nie ruszała się. Bose stopy opierały się o podnózek z grubej płyty, strzępy nadpalonej eleganckiej sukienki wyglądały żałośnie. Na kolanach piosenkarki spoczywał wypchany cetnarowy wór.

– Dawać tu lekarza – polecił kapitan przez radio.

Patrzyła na nich krzywo, ale bez głębi, jakby niedawno wydała z siebie ostatnie tchnienie, pogrążona w bólu i żalu. Makijaż rozmazał się i spłynął, nienaturalnie zmieniając koloryt skóry.

Piękna dziewczyna zmieniła się w zombie. Ciemny cień roztarł się na łuku brwiowym, w kącikach oczu oraz przy nasadzie nosa. Zmieszany z szarym pudrem uczynił oczy sinymi. Żurawinowa szminka rozmyła się na policzkach. Warstwa pigmentu w kolorze surowego mięsa poprządkana była białą fakturą skóry. Brokat spłynął na brodę, nos i czoło. Rosie wyglądała upiornie.

Dopiero po sekundzie Keane dostrzegł najważniejsze: surowy, masywny fotel w całości pokryty był gwoździami. Wystawały one z zagłówka, oparcia, boków, poręczy i podstawy do nóg. Zaciśnięte pasy, łańcuchy i bransolety oraz miażdżące kolana obciążenie dociskały wszystkie członki ofiary do ostro zakończonych kolców. Na domiar złego pod tron wepchnięto żeliwny piec, w którym napalono. W efekcie rozgrzane ostrza szybciej zagłębiały się w ciało.

W powietrzu unosił się smród spalonego ciała.

Połowa czteroosobowego zespołu sprawdziła teren i momentalnie doskoczyła do uwięzionej.

Keane zrobił to samo, jeden z żołnierzy został na miejscu, pilnował wejścia i okien.

– Żyje – wyjąkał pochylony nad dziewczyną komandos. To on rozluźniał pas oplatający jej klatkę piersiową.

Piosenkarka nie reagowała, miała otwarte bez wyrazu oczy, ale Keane mógłby przysiąc, że nagle pojaśniała.

– Będzie dobrze, Rosie – powiedział drugi. – Jesteś już bezpieczna.

Rękawica najniższego członka cegły, jak żołnierze zwykli określać swój zespół, zaskwierczała w kontakcie z gorącym metalem, gdy ten odkręcał śrubę mocującą obręcz zatrzaśniętą na przegubie lewej ręki Rosie Orlando.

– Ostrożnie, na dwa – powiedział kapitan, kiedy rozkuto i rozwiązano dziewczynę.

Podniesiono ją i do środka wbiegło dwóch sanitariuszy z noszami, a za nimi lekarka.

– Co to? – spytał jeden z żołnierzy, podczas gdy jego kolega z pododdziału zalewał palenisko pianą z gaśnicy, a grupa policjantów konwojowała nosze z ranną na dach elektrowni, gdzie usiadł helikopter pogotowia.

– Wiesz? – rzucił najniższy z nich, przerzucając pytanie na Keane'a.

Inspektor wpatrywał się w dym ulatujący z ugaszonych węgli.

– Krzesło czarownic.

– Co?! – odparli jednocześnie obaj żołnierze.

34

Bradley Owen dostał się do Moskwy z Southampton połączeniem z międzylądowaniem w Amsterdamie jako Michaił Smolnikow. Przed głównym terminalem podmoskiewskiego portu lotniczego Domodiedowo, którego olbrzymią fasadę wykonano w całości z niebieskiego szkła, panował spory ruch. Ludzie tłoczyli się na przystankach autobusowych, taksówki podjeżdżały i odjeżdżały, w obu kierunkach w mozolnym tempie posuwał się sznur aut. Jednak wszystko przebiegało w miarę sprawnie i bez utrudnień, podobnie jak wcześniejsze przejście przez kontrolę graniczną i odbiór bagażu.

Pasy ruchu odgrodzono grubymi pomarańczowymi słupkami, uniemożliwiającymi nie tylko wjazd na chodnik, ale też zawrótce w niedozwolonym miejscu, w tym na przejściu dla pieszych. Owen zdążył dojść do krawędzi jezdni, gdy tuż przy nim zatrzymała się srebrna wołga. Bez zbędnych słów wpakował bagaż podręczny na tylną kanapę i usiadł z przodu. Prowadziła zgrabna blondynka w sukience zapiętej pod szyję i krótkiej kurtce z futrzanym kołnierzem. Na głowie miała chustkę, na nogach wysokie kozaki z licowej skóry, zakończone noskiem w szpic.

– Spóźniłeś się – powiedziała, gdy ruszyła.

– Zdążymy.

– Jakież dwa miesiące.

Owen się uśmiechnął.

Kobieta pozostała z zimną miną pod ciemnymi okularami.

– Jak masz na imię? – zapytał.

– Wiera. Wiera Smolnikowa.

– Ale naprawdę.

– Naprawdę – ucięła krótko.

Przejechali wzdłuż terminala, po czym zawrócili i zaparkowali.

– W bagażniku mam torbę – powiedziała Wiera i poszła przodem tylko z lekką torebką na ramieniu.

Owen zabrał bagaże (dużą torbę podróżną oraz dwie wielkie reklamówki), zatrzasnął drzwi i spróbował dogonić kobietę.

– Czeka nas cztery godziny lotu – zagaił, gdy zrównali się przed pasami. – Może poznamy się lepiej.

– Nie szukam znajomych.

Posłała mu obojętne spojrzenie i czym prędzej odwróciła wzrok.

Po szybkiej odprawie zajęli miejsca na pokładzie równie ogromnej, co leciwej maszyny.

Start i lot przebiegły bez niespodzianek, za to lądowanie okazało się trudniejsze z uwagi na gęstą mgłę, która szczelnie spowiła niebo nad lotniskiem Ałykiele, położonym trzysta kilometrów na północ od koła polarnego.

Nawet nisko nad ziemią nie dało się dostrzec pasa startowego ani budynków. Gdzieś pod nimi ledwie majaczyły słabe światła, które stały się widoczne dopiero, gdy zbliżyli się do ziemi na niebezpieczną odległość.

– To nie mgła, tylko smog – wyjaśniła potem Wiera. – Włóż to – poleciła przed wyjściem z samolotu, wyjąwszy z foliowej torby grubą zimową kurtkę.

– Moja się nie nadaje? – odparł Owen, wiedząc, że znajdują się na jej terenie i to nie jego akcja ani decyzja.

– Załóż jedną na drugą.

– Nie przesadzasz?

Sama zrobiła tak samo. Już w rękawie okazało się, że miała rację. Mróz szczypał w twarz, boleśnie łapał za nos, a nawet za gardło i to od środka, pomimo nieotwierania ust. Dostawał się do wnętrza nozdrzami, z których z każdym wydechem ulatywała para. Owen odniósł wrażenie, że również siły vitalne były wysysane przez napastliwe zimno.

W ledwo żywym, upchany autobusie wożącym pasażerów między płytą lotniska a dworcem termometr w zegarku pokazywał zaledwie dziesięć stopni.

– Minus dwanaście w Celsjuszach – szepnęła mu Wiera, jakby w lepszym humorze, choć jej twarz nie zmieniła wyrazu.

Autobusem dotarli również na pobliską stację elektrycznej linii kolejowej. Pociąg najpierw wyruszył w przeciwnym kierunku, by zawitać do odległej o ponad czterdzieści kilometrów Dudinki.

Dopiero stamtąd wrócił prawie sto kilometrów na wschód, do Norylska. Podróż była długa i męcząca. W przedziale nie dało się nie zmarznąć, mimo że grzejniki przez cały czas wydawały się ciepłe. Nieszczelne, pojedyncze okna od środka pokrywała warstwa szronu. Mróz malował na szkle kwiaty i pióropusze, w pewnym momencie Owen z nudów dostrzegł wśród nich także błyskawicę. Lodowe igielki układały się w lśniące, pierzaste kształty. Na korytarzu zaś po prostu regularnie wiało, niczym na otwartej przestrzeni. Przeciąg co chwilę smagał srodze zasłonę wiszącą na drzwiach po ich wewnętrznej stronie. Za to mieli przedział tylko dla siebie.

Tyle że Wiera nie była skłonna do rozmowy. Nie odpowiadała na pytania niezwiązane z powodem, dla którego udali się do Norylska. Takowych z kolei Owen

nie miał. Wszystkie niuanse dogadano na odległość i na kilka godzin przed rozpoczęciem działania wolał oczyścić umysł, niż powtarzać szczegóły planu, który znał na pamięć.

Im bliżej miasta znajdował się pociąg, tym gęstsze stawało się powietrze. Przez szpary w szybach wpadał smród spalonej gumy, ciężki, duszący i dostrzegalny gołym okiem w postaci szarej zawiesiny nad rozległymi polami pokrytymi kilkumetrowymi zaspami śnieżnymi aż po zaćmiony horyzont. Sam śnieg także różnił się od czystego, białego puchu, jaki Owen znał z okolic Portsmouth i innych regionów Anglii. Tutejszy fragmentami zmieniał barwę na szarą lub wręcz czarną.

Gdy pociąg wtoczył się na spory pagórek, Owen – mimo protestów Wieri – opuścił okno i spojrzał na przygnębiającą panoramę miasta. Pośrodku bezkresnej równiny z licznymi wgłębieniami przywodzącymi na myśl kratery uderzeniowe na księżycu, rozlanej wokół wysokich skalnych pasm górskich, wznosił się zbity i obszerny kompleks wielopoziomowych budynków, nad którymi górowały wysokie, potwornie dymiące kominy fabryk. Całość skąpana była znacznie ponad dachy w czymś w rodzaju szarej piany, co w istocie stanowiło kłębowisko zanieczyszczeń, składające się z cząstek i pyłów metali niezależnych, głównie niklu i miedzi.

Zaraz po wyjściu na peron Owen naciągnął szal na twarz, ale nieprzywykły do miejscowego klimatu i tak oddychał z trudem. Do tego twardy śnieg wymieszany z piachem i solą zacinał prosto w oczy. Nie padało, ale porywisty wiatr plół z drobinek wszystkiego, co napotkał na swojej drodze, gęstą sieć, w którą łapał każdego.

Wsiedli do niebieskiej furgonetki marki Renault, ściągnąwszy przedtem karton z jej przedniej szyby i wyciągnąwszy szmatę spod maski. Półciężarówka odpaliła za trzecim razem. Nie wygrzebała się jednak ze śniegu i Owen musiał odkopać koła, a potem ją pchać. Wtedy rozbijała się i za którymś podejściem wreszcie dała radę.

Tunele wydrążone w wysokich zaspach śnieżnych zawiodły ich do owalnego placu między blokami mieszkalnymi. Co ciekawe, piwnice wielopiętrowych budynków zaczynały się ponad poziomem ziemi, utrzymywane na palach, tak że z powodzeniem można było przeczołgać się pod całą długością konstrukcji, aż na drugi jej koniec. Wszystko po to, by zmarznięty grunt nie zadziałał destrukcyjnie na beton. Zawilgocone mury, ściany i stropy z czasem popękałyby, rozsadzane przez mróz, i w końcu blok zwyczajnie by się rozpadł i zawalił.

- Dalej pojedziesz autobusem – powiedziała Wiera, przystanąwszy na środku drogi.
- Razem z innymi robotnikami.
- Jesteśmy w stałym kontakcie – odrzekł Owen i wysiadł.
- Czeka! – zawołała za nim Wiera. – Kanapki.

Owen, oniemiały, chwycił rzuconą mu torbę.

– Dzięki.

Ruszyła od razu, zanim jeszcze zamknął drzwi.

Na autobusach nie było żadnych oznaczeń, ale Owen wiedział, że do huty miedzi odjeżdżają te ustawione po północnej stronie placu.

Robotnicy tłoczyli się w środku, siadali po trzech na dwóch fotelach, przylegając do zaparowanych szyb, na podłodze, stali w przejściach. Owen wcisnął się w trzeci z autobusów pierwszymi drzwiami, choć nie zdołał przedrzeć się dalej niż na drugi schodek. Trzęsło, warczało i zionęło chłodem nasyczonego głębokim zimnem metalu, ale w mniej niż kwadrans dojechali na miejsce. Przy wejściu na teren zakładu, konkretnie do strefy oznaczonej literą „A” należało okazać legitymację, ta Owena okazała się ważna. Jako Smolnikow przeszedł razem z tłumem do wielkiej szatni, gdzie zakładano kombinezony i buty ochronne oraz kaski. Uwinął się w dwie minuty, po kolejnych dwóch wspinał się już po stromych metalowych stopniach, bardziej przypominających drabinę niż schody.

– Dobrze – powiedziała Wiera przez radio.

Owen schował bezprzewodową słuchawkę w ucho, w guziku miał ukryty mikrofon, w okularach zerówkach lokalizator.

Wraz z pchnięciem drzwi w Owena buchnęła gorąca para. Pomimo zasuniętego kombinezonu odczuł uderzenie ciepła na całym ciele, również pod maską.

Na wprost przestrzeń od podłogi po drugie piętro zajmował masywny piec, którego serce mieniło się węglowym żarem. Wokół w stosunkowo niewielkich prostokątnych formach z lekka bulgotała płynna miedź. Jeszcze nie o czerwonożółtej barwie, lecz ciemnożółta, przechodząca w pomarańczową. Wyglądała jak dopiero co wyjęty z piekarnika sernik bez posypki. Puszysta niby obłok, o delikatnej konsystencji.

Pojawienie się w sali drugiej zmiany oznaczało koniec dnia pracy dla obecnych. Przejmowanie stanowisk odbywało się płynnie, aby nie powodować przerw i przestojów w produkcji. Otrzymywanie metalu z rud wymagało precyzji i rzetelności. Najmniejszy błąd groził tragedią, choćby wybuchem pożaru. Nikt nie mógł opuścić stanowiska pracy, pozostawiając je bez nadzoru.

Ale Owen nie musiał nikogo zmieniać, bo przyjechał do zakładu jako robotnik nadkompletny. Zebrane przez Wierę informacje mówiły, że cel pracuje nie przy widocznych katodach miedzianych, lecz dalej, przy produkcji srebra metalicznego. Agent zszedł zgodnie z instrukcją na poziom 0 i ominął piec. Według regulaminu powinien dojść tam innym korytarzem, ale wybrał najkrótszą drogę. W sąsiednim pomieszczeniu ujrzał to, czego szukał. Zaplombowane pojemniki z granulatem

i pchającą wózek wysoką, chudą postać. Poruszała się z charakterystycznym dla siebie pochyleniem. Owen natychmiast doskoczył do niej i złapał za poręcz wózka.

– Pomogę ci – powiedział po rosyjsku.

Młody mężczyzna mocno zdziwił się zza maski, aż stanął.

– Nie zatrzymuj się – dodał bezzwłocznie Owen, już po angielsku.

– A pan... – wymamrotał... Darren Ellis.

– Cicho, pchaj!



Rebecca Mulligan uśmiechała się zalotnie z lilowej okładki brytyjskiej edycji magazynu „Vogue”. Miała mokre włosy, krzykliwy makijaż, lekko rozchylone usta i zmrużone, kocie oczy.

Odkąd zrobiła furorę na łączonym pokazie marek Calzedonia i Intimissimi, wróciła do świata żywych.

Kolejny już raz. Jak zwykle wylądowała na nogach. Dumna, wyprostowana, wysoka.

Francesca DiMaggio i Giacinto Biagioli, koordynatorzy wydarzenia, nie zgadzali się ze sobą w wielu kwestiach, ale tę jedną w końcu oboje musieli uznać za największy pozytywny wieczeru: spektakularne zatrzymanie groźnego przestępcy w świetle kamer – w dodatku przez jedną z modelek – przysporzyło im rozgłosu, o jakim nawet nie mogli marzyć.

– Czarna sława... – westchnął zza kulis Giacinto Biagioli, jeszcze zanim zdążono wyłowić Rebeccę z wody.

Potem osunął się na krzesło i skrył twarz w dłoniach. Na krótko, bo zaraz się otrząsnął, zabrał szlafroki i ręczniki i pośpieszył pomagać wyciąganym na brzeg.

– Udało się – powiedział Terry Snow, skinąwszy jemu i przechodzącej obok Francesce DiMaggio, która odprowadzała do hotelu przemoczoną kobietę, otaczając ją ramieniem.

– Czyżby... – mruknął pod nosem Biagioli.

– Tak, właśnie tak – rzekła przedstawicielka Calzedonii, kiedy wróciła po minucie.

– Co proszę? – odparł, jakby wyrwany ze snu.

– Nieważne, jak mówią, byleby mówili, a będą.

– No nie wiem, czy w tym przypadku...

– Ale ja tak.

O słuszności opinii koordynatorki produkcji przekonano się w ekspresowym tempie, bo już tej samej nocy. Relacje z pokazu w serwisach informacyjnych i zdjęcia w prasie w kilka godzin obiegły cały świat. Filmik przedstawiający Rebeccę wybijającą się

z krawędzi wybiegu wyświetlono w sieci ponad dziesięć milionów razy, i to w ciągu zaledwie trzech dni.

Sierżant Clarke również zrobiła co do niej należało, jak uznali DiMaggio i Snow. Roczny kurs w Królewskiej Szkole Makijażu nie poszedł na marne, podobnie jak weekendowe szkolenie przygotowujące do pokazu.

Wszyscy byli zadowoleni, aż do momentu, gdy okazało się, że policja ma nie tego Pankova, co trzeba. Potem jeszcze Gary Shotton dostarczył protokół oględzin bolidów, przy pomocy których wywieziono Rosie Orlando z koncertu w Portsmouth, i dołączoną do niego ekspertyzę zabezpieczonych na nich śladów, a w zasadzie jednego w postaci włosa koloru ciemny blond. Nie przyniosła ona nic dobrego.

- Jak to nikt spokrewniony? – skrzywił się Snow, czytając raport.
- Ani Dimitri Pankov, ani jego brat.
- Ale mężczyzna, biały?
- Zgadza się. Na pewno nie Sarah Mackay.
- Żadnych trafień?
- Nie, Peter Collins, nie... Keane.
- Keane?

Gary Shotton wzruszył ramionami.

- No co?
- Dobra, zabierajmy się do pracy.

Sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej, kiedy Stuart Rodgers pokazał znalezione nagranie z monitoringu miejskiego.

- Czy to... – zająknął się Snow.
- Tak, Oleg Pankov.
- Nie ma wątpliwości?
- Żadnych. Ostrość wystarczająca, aby użyć skanera. Rysy twarzy się zgadzają.
- Czyli jednak on...
- Na razie wiemy tylko tyle, że zabrał Ninę Collins z pokazu na Wembley w noc jej śmierci.

Technik oddalił obraz i zrobił zbliżenie na pasażera.

- Wtedy jeszcze żyła. Ale już niedługo. Jedenasta trzydzieści dziewięć po południu. Zatrzymany kadr ukazywał dziewczynę ze spuszczoną głową, jednak nie na tyle nisko, aby nie dało się rozpoznać jej twarzy. Delikatnej, pięknej, zamyślanej.
- Ostatnie minuty...
- Pojechali w górę First Way, zamiast do hotelu, w którym odbywało się przyjęcie.
- Wsiadła dobrowolnie, nie protestowała, nie wtedy.

– Może nie знаła miasta. Kto wie, co stało się później, na przykład kiedy dojechali do...

– Gdzie dokładnie zrobiono to zdjęcie?

– Opuszczali właśnie skrzyżowanie z Fulton Road.

– Rzeczywiście, nie po drodze.

– Zupełnie. Samochód stał na czerwonym parkingu, a to od strony hotelu, oni pojechali zaś w przeciwnym kierunku. Peugeot trzy tysiące osiem, kolor biała perła.

– Tablice?

– Widoczne. Pojazd zarejestrowany na niejaką Mary Lloyd, asystentkę głównej projektantki Vicotria's Secret. Kobieta mieszka w Southampton.

– Mogła wiedzieć?

– Nie zgłoszono kradzieży.

– A zatem bardzo możliwe. Prześlij dane Charliemu, niech ją zatrzymają. Natychmiast.

– Robi się. Ale...

– Tak, Stu?

– Czerwony alert.

Stuart Rodgers wskazał na lampkę migającą na monitorze. I na ekranie telefonu leżącego na biurku. I tarczy zegara ściennego.

– Uhm.

– Cześć.

Terry Snow czym prędzej kliknął na pulsującą okrągłą ikonkę i ukazał mu się następujący komunikat: Oleg Pankov zatrzymany.



Identyczną wiadomość dostali Chloe Clarke i reszta zespołu. Nim jednak młoda sierżant ją odczytała, otworzyły się drzwi sali, obok której siedziała, i na korytarz wyszła kobieta w białym fartuchu lekarskim.

– Pani doktor... – powiedziała Chloe, odkładając czasopismo na sąsiednie krzesło. – Nazywam się...

– Pamiętam panią, sierżant Clarke.

– Chciałabym zapytać...

– Czy może już pani porozmawiać z pacjentką? – wtrąciła oficjalnym tonem, lecz nie zabrzmiało to niemilo, wręcz przeciwnie, rzeczowo i życzliwie.

– Chwileczkę! – usłyszały nagle obie z głębi korytarza.

Piskliwy głos należał do niskiej, szczupłej brunetki w obcisłej garsonce. Stukotała wysokimi obcasami, wciąż poprawiając wielką torbę, która zsuwała jej się z ramienia.

– Nie zgadzam się, abyście panie niepokoiły moją klientkę – powiedziała, zbliżywszy się na wyciągnięcie ręki.

– Kim pani jest? – odrzekła zdumiona doktor.

– Ellen Sanders, menedżerka Rosie Orlando. – Wręczyła im po wizytówce.

– Doktor Madison Cork.

– Sierżant Chloe Clarke. – Pokazała legitymację służbową.

– Nie udzielę pozwolenia na przesłuchanie Rosie – oznajmiła Ellen Sanders.

– Ale nie musi pani – odparła Chloe.

– Młoda damo... chyba nie zdajesz sobie sprawy z konsekwencji swojego uporu – oburzyła się menedżerka.

– Drogie panie – wtrąciła doktor Cork – wszystko zależy od mojej decyzji.

– Ale... – jęknęła Sanders.

– A jest ona następująca: pani sierżant spędzi teraz nie więcej niż kwadrans z pacjentką.

– Czuję się zmuszona do rozmowy z pani przełożonym – burknęła Ellen Sanders.

– Proszę, może pani, oczywiście. Potem z kolei, jeśli pacjentka wyrazi na to zgodę, wejdzie do niej również pani.

– Dziękuję – powiedziała Chloe i zniknęła za drzwiami.

W małej salce znajdowało się jedno łóżko otoczone aparaturą, krzesło, stolik i szafka. Podwójne okno i drzwi do łazienki. Za tymi, przez które się tu dostała, wciąż słychać było rozkręcającą się Ellen Sanders.

Zrolowana pościel świadczyła, że Rosie Orlando leży na boku, tyłem do drzwi, szczelnie przykryta niczym niemowlę. Nie podłączono jej do sprzętu monitorującego. Jak poinformowano wcześniej policję, nie było takiej potrzeby. Badania nie wykazały niczego poza szokiem i ogólnym wycieńczeniem. Lekkie oparzenia wystarczyło opatrzyć, podobnie jak parę płytkich skaleczeń i obtarć. Piosenkarka nie odwodniła się, porywacz musiał stale podawać jej płyny, choć najwyraźniej nie jadła zbyt wiele. Zaaplikowano jej leki i kazano odpoczywać.

– Dzień dobry, Rosie. Jestem sierżant Chloe Clarke. Nie zamierzam cię męczyć, ale muszę dowiedzieć się, co stało się podczas koncertu i później, w trakcie tych dziewięciu dni.

Pacjentka nie odpowiedziała ani się nie poruszyła.

– Wiem, rozumiem, że to dla ciebie bardzo trudne, że wolisz nie pamiętać...

Chloe podchodziła coraz bliżej, aż zatrzymała się przy oknie. Popatrzyła przez nie, ale po chwili przeniosła wzrok na łóżko. Leżała na nim sama pościel. Poduszka owinięta kołdrą, jakby ktoś pod nią spał.

Sierżant Clarke natychmiast wpadła do łazienki. Ale to nie była łazienka, tylko sąsiednia bliźniacza sala. Pusta, z łóżkiem o gołym materacu. Stamtąd policjantka wy dostała się na zewnątrz. Na korytarzu nie było już jednak ani doktor Cork, ani tej menedżerki.

– Przepraszam – zagadnęła przechodzącego pacjenta w szlafroku – czy widział pan młodą dziewczynę, blondynkę, ładną?

– Owszem – odparł mężczyzna w podeszłym wieku.

– Gdzie dokładnie?

– Tutaj – odpowiedział spokojnie, z promiennym wyrazem twarzy.

Chloe rozglądała się na boki.

– W którą stronę poszła?

Mężczyzna uśmiechnął się ciepło.

– Mówię o pani.

– Chodzi mi o pacjentkę.

– A, to nie.

Chloe Clarke zdecydowała i pobiegła w stronę zachodniej klatki schodowej. Kiedy dotarła do wind, okazało się, że podjęła właściwą decyzję.

Dwie starsze kobiety dyskutowały głośno o tym, jak to przed chwilą widziały „tę panienkę z telewizji”.

– Spotkałyście panie Rosie Orlando? – spytała.

Jedna z emerytek spojrzała na Chloe z wyrzutem.

– Przepraszam, niechcący usłyszałam...

– Tak – odparła ta druga – to była ona. W telewizji nie wygląda aż tak chudo.

– Była sama?

– Z jakąś kobietą.

– To chyba jej menedżerka.

– Tak, wypowiadała się ostatnio w wiadomościach...

– Zjechały windą?

– Ledwie minutę temu.

Chloe wskoczyła do pustej kabiny po lewej i wcisnęła „0”. Sąsiednia winda czekała na parterze, miała dość dużą przewagę.

Przed głównym wejściem czatowali dziennikarze, dyrekcja szpitala nie wpuściła ich do środka, gdyż przybyli w takiej liczbie, że sparaliżowaliby pracę izby przyjęć. Z bufetu wracali rodzice Rosie, a więc o niczym nie wiedzieli. Chloe gnała do tylnego wejścia, dostępnego tylko dla personelu medycznego i zaopatrzenia. Przy nim ujrzała Rosie. Dziewczyna stała tam sama, bez swojej menedżerki. Wspierała się o ścianę.

– Rosie! – krzyknęła Chloe Clarke. – Zaczekaj.

Rosie odwróciła głowę, zniechęcona, lecz nie zaskoczona. Nie uciekała.

– Co robisz?

– A ty, czego chcesz?

– Chloe Clarke z policji. – Pokazała legitymację – Mam parę pytań.

– Nie teraz... – odrzekła z bólem w oczach.

– Dlaczego tu jesteś? Powinnaś odpoczywać.

– Wypisuję się.

Na podjeździe dla karettek stało dwóch mężczyzn. Jeden trzymał aparat fotograficzny z teleobiektywem.

– Jak wydobędziesz się ze szpitala?

– Ellen poszła po samochód.

– Ach, Ellen...

– Moja menedżerka.

– Wiem, kto to jest. To jej pomysł?

Rosie nie odezwała się, patrzyła tylko przed siebie.

– Jestem ofiarą.

– Wiem.

– Więc zostaw mnie w spokoju.

– Nie mogę, przykro mi. Musimy złapać tego, kto ci to zrobił. – Wskazała na bandażę na jej rękach.

Nagle Rosie się zachwiała i upadłaby, gdyby nie Chloe.

– Dzięki, już mi lepiej. – Odepchnęła się od policjantki.

– Może lepiej, żebyś jednak usiadła?

– Boli mnie, gdy siedzę – odpysknęła Rosie Orlando.

– Współczuję, lecz to nie moja wina.

– Masz rację, przepraszam.

Rosie znowu zaczęła kołysać się na nogach, Chloe przyciągnęła wózek, który stał za rogiem.

– Ostrożnie. – Pomogła dziewczynie usiąść. – Trzymam cię.

Pojechały na górę, wracając do właściwej sali.

– Nie wiem nic – powiedziała w pewnym momencie Rosie Orlando.

– Nie wdziałaś porywacza?

– Nie, nosił maskę. I jednolity strój. Czarny. Nawet rękawiczki.

– Nic poza tym, żadnego szczegółu?

– Chciałabym, ale niestety.

– Nawet najmniejszy, z pozoru nieistotny mógłby naprowadzić nas na jego trop.

Piosenkarka posłała Chloe przez ramię spojrzenie pełne irytacji.

- Podobno wzywałaś kogoś, kiedy cię tu przywieźli.
- Nie pamiętam, byłam przerażona i cała obolała.
- To nie dotyczyło porywacza?
- Nie sądzę – skrzywiła się Rosie.
- Jaką barwę i skalę miał jego głos?
- Nic nie mówił.
- Nie odezwał się? Przez ten cały czas?
- Ani słowem.
- Hm, zastanawiające.
- Tak? – Rosie wydawała się nieobecna.

Wyminęli inną parę na wózku, Chloe ściszyła głos:

- Posadził cię na krzesle czarownic.

Piosenkarka nic nie powiedziała, ale jej spojrzenie wyrażało więcej niż krzyk.

– Torturował cię. Usiłował złamać twoją wolę. Inkwizytorzy wymuszali w ten sposób zeznania na kobietach podejrzanych o czary.

- Przecież to jakiś psychol.
- Sugerujesz, że nic od ciebie nie chciał?
- Poza zadaniem mi bólu? I upajaniem się moim cierpieniem, to miałaś na myśli?
- Wybacz.

Przed drzwiami do sali Rosie Orlando czekała pielęgniarka.

– Jest i nasza zguba – powiedziała, przyciągając do siebie trzypółkowy wózek z miskami, aby je przepuścić. – Nie za wcześnie na spacer?

- Tylko na chwilę – odparła Chloe Clarke.
- Podwieczorek – rzekła pielęgniarka.
- Co to? – spytała Rosie.
- Zupa wzmacniająca. Z porem i mlekiem kokosowym.
- Da się zjeść?
- No pewnie – uśmiechnęła się i wjechała za nimi.

Podczas gdy Rosie usiadła z poduszką za plecami, Chloe rozłożyła odłożony na parapet stolik łóżkowy, na którym zaraz potem pielęgniarka postawiła gorące danie.

Następnie obie zostawiły pacjentkę samą.

- Mogę zadać pani pytanie? – podjęła Chloe Clarke.
- Proszę mnie odprowadzić.
- Czy Rosie mówiła coś przez sen? Kiedy zabierali ją z elektrowni, mamrotała, jakby usiłowała przekazać im coś ważnego, ale biegli, nie było czasu, a potem zemdląła i przestała.

- Nie wiem, czy mi wolno, czy powinnam... – Pielęgniarka się zastanowiła.

– Próbuje schwytać groźnego przestępcę. – Chloe pokazała legitymację. –
Wszystko ma znaczenie.

– Mówiła...

Zatrzymały się przed kolejną salą.

– Co takiego?

– W zasadzie niewiele. Powtarzała tylko jedno imię.

Pielęgniarka zawahała się.

– Jakie?

– John.

Oburącz – dodał Owen.

Ale do Darrena Ellisa jakby nie docierało. Puszczął się poręczy wózka i gestykulował, kiedy pchali ładunek ciemnym korytarzem.

- Teraz już wiem – rzucił, gdy wyminęli stertę beczek.
- Powiesz mi później.
- Nie ja potrąciłem tę rowerzystkę.
- Oczywiście, że nie ty. Pchaj.
- A to, kto spowodował wypadek, też wiesz?
- Policja szybko ustaliła sprawcę. Cicho!

Z naprzeciwka nadchodził człowiek w kombinezonie.

- Ale czyja to była wina? Bo chyba nie wierzysz, że kierowcy?

Minęli się z robotnikiem, który bacznie im się przyglądał. Dopiero, gdy zostawili go daleko w tyle, Owen powiedział:

- Zdarzenie zarejestrowały kamery.
- Ale widocznie nie wszystko.

Darren Ellis zachowywał się zupełnie tak, jakby od ich ostatniego spotkania minęło nie więcej niż pół dnia. Jakby w Meksyku nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego, a on nie trafił potem do jednego z najbardziej przygnębiających miejsc na Ziemi. Jakby wizyta Owena w pilnie strzeżonym zakładzie, znajdującym się w mieście, do którego z pozostałej części Rosji dotrzeć można tylko drogą wodną lub powietrzną, a i to jedynie w wybrane miesiące, do którego wstępu nie mają cudzoziemcy, była czymś normalnym.

- Uwierz mi, że nagrały całą scenę.
- Pistolet wycelowany w prowadzącą mazdę także?

Owen odwrócił się do Ellisa, nie zwalniając.

- O czym ty mówisz?
- Widziałem znaczek na breloczku przy kluczyku w stacyjce.
- Chcesz powiedzieć, że byłeś w środku? W momencie wypadku? Z pistoletem w ręku?
- Nie, to nie tak.
- Więc jak?

– Miałem aż nadto czasu, aby zrozumieć. Nauczyłem się kontrolować swoje zdolności. Panuję już nad nimi.

– Nie wierzę... – burknął Owen. – Znowu zaczynasz.

– A jednak.

– Jaka to była broń?

– Nie znam się, ale mogę ją opisać.

– Pośpieszcie się – usłyszał nagle Owen w słuchawce.

– Gdzie mamy odstawić ten wózek?

– Już niedaleko. Gruba rękojeść, cienka lufa, płaski zaokrąglony kształt. To tutaj, otworzę.

Ellis podszedł do dwuskrzydłowej bramy z metalu i pociągnął za uchwyt.

– Nad spustem widziałem grawerunek. Bodajże pe dwa trzy dwa.

Owen wyprostował się.

– Kolor rękojeści?

– Czarny. Lufa w połowie srebrna, dalej też czarna.

– O cholera – wymamrotał Owen.

Broń, którą rzekomo zgubił na peronie w Sholing niedoszły samobójca Jacob Burns, a zabrała lub nie modelka Hayley Chiba to sig-sauer P232 S siedem milimetrów. Opis też by się zgadzał.

– E, Angol! – poniosło się wtem korytarzem. Za kolejną stertą beczek i pojemników kucał mężczyzna z papierosem w ustach. Kask miał na głowie, ale maskę trzymał w dłoni. – Co to za kolega? – Podniósł się i wycelował palcem w Owena, wydmuchując dym i ponownie się zaciągając. – Kolejny taki, jak, skąd? Nic mi nie wiadomo, żeby przywieźli drugiego.

Ellis odsunął bramę i czekał.

– Daj spokój, pracujemy – rzucił Owen po rosyjsku i popchnął wózek do środka.

Robotnik obserwował go, aż odkręcił się i klasnął dłonią w półokrągły przycisk na ścianie.

Od razu rozległa się syrena alarmu, korytarz zaś zabarwił się czerwienią migającej pod sufitem lampy.

– Uciekajcie na północ, szybko! – krzyknęła do słuchawki agentka kryjąca się pod nazwiskiem Wiera Smolnikowa.

Owen uderzył barkiem w beczki, które runęły na robotnika.

– Biegnij! – krzyknął do Ellisa, lecz ten dalej stał jak wryty.

Pociągnięty za rękę ruszył jednak.

– Za mną.

Korytarz szybko się skończył, przechodząc w wielką halę, na dół której prowadziły żelazne schody i wielka odkryta winda towarowa.

– Magazyn, pierwsze drzwi po lewej – kierowała ich Wiera.

Gdy zbiegali po głośnych stopniach, niewielu podążyło w ich kierunku. Większość robotników – słysząc sygnał alarmowy – wydostawała się z hali wyjściem ewakuacyjnym. Nieliczni jednak zblizali się ku nim z różnymi narzędziami w rękach.

– Tam! – Owen nakazał Ellisowi dostać się do magazynu, sam zaś przeskoczył przez barierkę, lądując na dwóch mężczyznach, których powalił siłą rozpędzonego ciała.

Gdy wstał, ledwo zdążył zrobić unik, a długi zakrzywiony klucz świsnął mu tuż przy gardle. Kolejny cios Owen sparował kopnięciem i powalił napastnika prawym prostym na korpus. Ostatni z robotników, wymachujący kawałkiem rury, został ścięty z nóg wślizgiem i długo się nie podnosił.

Owen z Ellisem zamknęli się w magazynie, zgodnie ze wskazówkami Wiery.

Wewnątrz powietrze było ciężkie, plastikowe. Wąskie i długie pomieszczenie zagracały puste regały na bardzo wysokie przedmioty, pośrodku niego leżała wielka, sięgająca drugiego piętra kupa węgla brunatnego.

Nie było innego wyjścia. Ani nawet okien.

– Jesteśmy w pułapce – powiedział Owen.

Ellis nie odezwał się, lecz wyglądało, że się boi.

– Odsuńcie się od zewnętrznej ściany – poleciła Wiera.

– Dłaczego?

– Róbcie, co mówię!

Owen i Ellis skulili się za hałdą mialu w rogu, gdy Wiera, stojąca na wzniesieniu na wprost huty, obsługiwała kontroler przypominający te, za pomocą których steruje się modelami samolotów lub mniejszymi dronami. Nieopodal, na skraju obniżenia terenu zaparkowała tyłem niebieską furgonetkę, drzwi przestrzeni ładunkowej otwarła na oścież.

– Co teraz? – spytał Ellis.

Do magazynu dobijało się co najmniej czworo rąk. Ktoś kręcił przy zamku.

– Długo jeszcze? – zapytał Owen, lekko podenerwowany.

– Już! – odparła Wiera i wcisnęła guzik.

Z furgonetki zasyczało i zaraz zaczął wydobywać się siwy dym, po chwili pojazd zakołysał się na resorach i ze środka z wielkim świstem wyleciała rakietka. Pocisk mknął równolegle do terenu, obniżając się wraz z nim. Tor jego lotu wyznaczała biała wstążka spalin niczym naprężony sznurek zawieszony w powietrzu. Po dwóch i jednej dziesiątej sekundy głowica bojowa uderzyła w ścianę fabryki. Ogromny huk

wstrząsnął okolicą, niebo rozświetlił blask ognistej kuli, która owładnęła fragmentem południowej fasady budynku.

Wybuch okazał się na tyle potężny, że przesunął ułożone przedtem w stożek składowisko kopaliny, spłaszczając je i rozgarniając po całym magazynie. Owen i Ellis, zepchnięci naporem sunącej masy pod drzwi wbudowane w większą bramę, podźwignęli się, pomagając sobie nawzajem, i wbiegli w kłębowisko dymu. Kombinezony ochronne pozwoliły im wydostać się na zewnątrz bez szwanku, należało tylko na moment wstrzymać oddech.

Ellis w pobliżu miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się ściana nośna, potknął się o jedną z leżących wokół cegieł, ale nie upadł, złapany przez Owena za kołnierz.

– Dalej! – krzyknęła Wiera zza kierownicy furgonetki.

Zjeżdżała ze zbrocza tyłem z coraz większą prędkością. Z perspektywy huty była jednak prawie niewidoczna, bo poruszała się za wyładowaną piachem ciężarówką, w której wcześniej zablokowała pedał gazu i kierownicę. Pomarańczowa wywrotka staranowała ogrodzenie, iskrząc się na przedzie napięciem, pod którym się ono znajdowało, i pomknęła dalej, zabierając ze sobą metalowy panel i ciągnąc drut kolczasty.

– Wiera, połącz mnie z inspektorem Snowem z policji w Portsmouth – powiedział Owen, odsunawszy się z toru ruchu ciężarówki. Ta jechała już tylko na felgach, bo drut kolczasty pociął przednie opony.

– Teraz? – odparła zdumiona.

– Tak, to ważne.

Wywrotka wbiła się prawym bokiem w hałdę węgla, czemu towarzyszył ogromny trzask, i natychmiast obróciło ją o trzydzieści pięć stopni. Następnie – jakby w zwolnionym tempie – przechyliła się na lewą stronę, wysypując ładunek, by w końcu przewrócić się na kabinę.

Niebieskie renault zahamowało w oparach eksplozji. Lewe skrzydło jego tylnych drzwi samoistnie zamknęło się na wertepach, przez prawe do środka wślizgnął się Owen.

– Odsuń się – rzuciła Wiera w kierunku Ellisa, który również chciał wsiąść.

Chłopak cofnął się o krok.

Nagle boki furgonetki odpadły, a wraz z jednym z nich dach, który się złożył. Owen w wielkich goglach i czapce siedział w czymś, co przypominało trzymiejscowy bobslej i zjeżdżało bokiem po dawnej ścianie przestrzeni ładunkowej na śnieg.

W słuchawce w uchu Owena pojawił się przerywany sygnał oczekiwania na połączenie.

- Wskakuj – powiedziała Wiera i złapała Ellisa za rękę.
- Terry Snow – zgłosił się inspektor.
- Inspektorze – odezwał się Owen.
- Owen? – zdumiał się Snow. – Gdzie ty znowu się podziewasz? Mamy... Co to za szum? Halo? Halo?!

Owen odpalił właśnie napęd odrzutowy, bo Wiera i Ellis zapięli już pasy. Z bobsleja buchnął jęzor ognia i wystartowali. Przeciężenie bliskie 3 g wcisnęło ich w fotele. W ułamku sekundy przekroczyli granicę huty. Mknęli pokrytymi śniegiem i lodem ulicami miasta, topiąc je żarem spalanych materiałów pędnych.

- Wypadek z udziałem młodej kolarki na rogu High Street i Knowsley Road.
- Zgłaszasz...?

Wyminęli autobus i skręcili pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Płozy, hamując, zryły śnieżną pokrywę do asfaltu, obsypując bliskie otoczenie fontanną iskier.

- Sprzed pół roku, mniej więcej...

Bobslej zmieścił się w wąskiej uliczce między blokami. Mapa wyświetlana na desce rozdzielczej wytaczała najdogodniejszą trasę, możliwe najmniej uczęszczaną i najszybciej prowadzącą do celu.

- Co z nim?

– Ktoś groził tej kobiecie bronią, dlatego potrąciła dziewczynę. Możliwe, że pistoletem, którego szukamy.

- Sig-sauer siedem milimetrów...
- Wyślij kogoś, niech to sprawdzi.

Bobslej z wielką prędkością spadł z betonowej skarpy za zamarznąłą rzekę. Lód pękał podgrzewany ogniem i załamywał się, ale dopiero, gdy byli już daleko, tak szybko sunęli naprzód.

Terry Snow zaparkował za bordową mazdą na podjeździe i poszedł do wejścia. Dzwonek przez kilka sekund wygrywał smętną melodię, przestał, gdy drzwi otworzył łysawy mężczyzna w zielonej koszuli z krótkim rękawem.

– Inspektor Snow – przedstawił się z legitymacją podniesioną na wysokość piersi.

– Coś się stało?

Mężczyzna wyjrzał zza futryny.

– Czy mógłbym zamienić parę słów z panią Edith Fryatt?

– Policja, do nas?

– A pan jest?

– Mężem, Robert Fryatt.

– Mam kilka pytań, właściwie jedno.

– O tej porze? W jakiej sprawie?

– Proszę wybaczyć, to nie może czekać.

– Niech pan wejdzie. – Robert Fryatt cofnął się i zatrzymał przy kuchni. – Kochanie, przyszedł pan z policji.

Z kranu poleciała woda i kobieta w fartuchu wyłoniła się na korytarz.

– Dobry wieczór – powiedziała niepewnym głosem.

– Dobry wieczór, Terry Snow...

– Widziałam pana w wiadomościach – wtrąciła i natychmiast się zmieszała.

– Interesuje mnie wypadek, w którym brała pani udział.

Kobieta drgnęła.

– Przecież to było dawno – odezwał się Robert Fryatt i stanął obok żony. –

W dodatku zostało wyjaśnione.

– Okazuje się jednak, że niekoniecznie.

– Ale jak to? Co chce pan przez to powiedzieć?

– Spokojnie, Robertcie, na pewno nic złego.

– W rzeczy samej, droga pani.

– Napijmy się herbaty – zaproponowała.

– Z przyjemnością.

Terry Snow wyczuł chęć współpracy. Wiedział już, że to właściwy trop. Mógł poczekać.

Usiedli w kuchni.

– Odpowiedziała pani za coś, co nie do końca było pani winą.

– Co pan mówi? – zdumiał się Robert Fryatt. – Edith?

– Robercie... to prawda.

– Słucham?

– Proszę pozwolić małżonce dokończyć.

– Złapaliście go?

– Kogo? – rzucił Robert Fryatt poirytowany.

Snow zdawał się nie zwracać na niego uwagi.

– Zgłosił się do nas świadek. Teraz muszę to usłyszeć od pani.

– Jechałam jak zwykle do pracy, kiedy nagle zobaczyłam coś w lusterku – ostatnie słowa wypowiedziała łamiącym się głosem.

– Co takiego? – spytał jej mąż.

– Panie...

Robert Fryatt położył dłoń na ramieniu żony, ta pocierała filizankę.

– Tam ktoś był...

– Gdzie? – zapytał Snow.

– W moim samochodzie.

– W samochodzie? – powtórzył Robert Fryatt.

– Tak, schował się za siedzeniami. Musiał się poruszyć i wtedy go zauważyłam.

W zasadzie tylko cień, ale to wystarczyło.

Robert Fryatt otworzył usta i przeklął bezgłośnie. Na jego twarz napłynął rumieniec.

Zapadła cisza.

– Co wydarzyło się później?

– Odwróciłam się, nie patrzyłam na drogę – zaszlochała. Dokończyła, gdy mąż przyniósł jej chusteczkę. Dopiero kiedy rozległ się brzdęk i rower przeleciał przez maskę, wcisnęłam hamulec.

– Dlatego jej nie pomogłaś... – stwierdził Robert Fryatt.

– Pozwólmy... – odezwał się Snow.

– Tak – weszła mu w słowo. – Groził mi, celował we mnie z pistoletu.

– Miał broń – wymamrotał Fryatt.

– Nie pozwolił mi wyjść i sprawdzić, co stało się tej dziewczynie.

– Rany boskie!

– Tak też sądziłem – stwierdził Snow.

– Kazał mi jechać, a potem się zatrzymać i wyskoczyć.

– Tak po prostu?

– Tak...

– Gdzie dokładnie?

- Nie wiem, nie pamiętam, gdzieś w pobliżu parku.
- Gurnard Road, czy tak?
- Zgadza się, to po drodze do nas.
- Domyśla się pani, kto to mógł być?
- Bałam się podnieść wzrok, nawet gdy wysiadł.
- O co mu chodziło?
- Nie mam pojęcia, uciekł. Robiłam, czego żądał. Nic więcej. Powiedział, że wróci i nas pozabija, jeśli coś powiem. Więc milczałam. I wzięłam wszystko na siebie.

Robert Fryatt jęknął.

- Jaki miał głos?
- Męski, ale młody.
- Może w jakiś sposób charakterystyczny?
- Nie bardzo.
- Rozumiem. Jeszcze jedno.
- Tak?
- Opisz pani tę broń?
- Wszystko działo się tak szybko... Pierwszy raz w życiu widziałam na żywo pistolet. Snow wyjął tablet i wyświetlił kilka zdjęć, w tym przedstawiające broń zarejestrowaną na Jacoba Burnsa.

- Nie jestem przekonana. Ale na pewno podobny – wskazała na sig-sauera P232 S.
- A taki?

Pokręciła głową.

- Za duży.
- Może ten? – Snow pokazał kolejny pistolet, tym razem był to walther PP.
- Nie – stwierdziła stanowczo. – Tamten był srebrno-czarny.
- Czy coś państwu wtedy zginęło?
- Z samochodu?

Snow przytaknął.

- Albo z domu.
- Nie zauważyłam, a ty? – zwróciła się do męża.
- Nie, chyba nie.
- Gdzie stał zaparkowany samochód, zanim pani do niego wsiadła?
- Przed domem, tak jak teraz.
- Przez całą noc?
- Tak, w garażu trzymamy drugie auto. Chociaż...

Snow przypatrywał się kobiecie z uwagą.

- Coś sobie pani przypomniała?

- Brakowało mi leków, zdziwiłam się, że spakowałam tylko tyle.
- Tylko tyle? O jakich medykamentach mówimy?
- Nie były dla mnie – zamyśliła się.

Snow zmarszczył czoło.

- Żona jest lekarzem w Portsmouth F.C. Pracuje z pierwszym zespołem.

– Ach tak.

– Chlorek d-tubokuraryny, kilka ampulek. Strzykawki prawdopodobnie też zniknęły. Zupełnie nie skojarzyłam tych dwóch faktów, aż do teraz. Byłam roztrzęsiona, nie myślałam logicznie. Przepraszam – wyszeptała.

– Zawsze zabiera pani tego typu środki do domu? Nie powinny być przechowywane w sposób szczególny?

– Owszem, powinny i są. Czasem kursuję między Fratton Park, gdzie drużyna rozgrywa mecze i trenuje raz w tygodniu, a kompleksem przy Copnor Road, tam znajduje się mój gabinet. Leki przewożone są w specjalnej torbie, która utrzymuje właściwą temperaturę, w każdej przegrodzie inną.

– Miała tam pani może chlorek metylenu?

– Nie, nie jestem dentystą.

– Substancja ta używana jest w stomatologii? – zainteresował się Snow.

– Raczej była, i to przez krótki czas, do wypełnień kanałowych. Teraz już nie.

– Ciekawe... Zginęła cała torba?

– Nie, tylko to, co wymieniłam.

– Zatem wiedział, czego szukać. Dziękuję za herbatę i pomoc.

Snow wstał od stołu i się uklonił.

– To wszystko?

– Tak.

– A co ze mną?

– Proszę się nie martwić.



Zgrabna dziewczyna o azjatyckiej urodzie uśmiechnęła się zza baru.

– Co podać?

– Małe piwo korzenne z sokiem malinowym, proszę – odparła Chloe Clarke.

– Okej... Ale dlaczego z sokiem? W tym przypadku karmel robi swoje.

– Jeśli tak...

– Jasne.

Barmanka podstawiała kufel pod kranik i napełniła ciemnym trunkiem.

– Mały dzisiaj ruch – powiedziała Chloe.

– W środku tygodnia, po lunchu to norma.

– Dobrze, będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Chloe położyła na barze legitymację.

– Znowu? – jęknęła Hayley Chiba.

– Wystarczyłby raz, ale trzeba mówić prawdę.

– Poważnie? – rzuciła obrażona, odwróciła się plecami i odeszła.

– Naprawdę nie radzę. Doprowadzisz do tego, że zaraz zjawi się tu pół oddziału, zakuje cię w kajdanki i doprowadzi siłą na przesłuchanie.

Hayley wróciła z założonymi na piersi rękoma.

– Czego jeszcze chcecie?

– Bronń, którą znalazłaś na stacji w Sholing. Co z nią zrobiłaś?

– Nic.

– Nie kłam.

– Mówię prawdę.

Chloe wyjęła telefon i udała, że dzwoni. W istocie nosiła podsłuch i gdyby podejrzana usiłowała uciec, posyłki wkroczyłyby do akcji.

– Nic z tego – powiedziała sierżant Clarke.

– Poczekaj – rzekła Hayley.

– Chwila. – Zakryła mikrofon dłonią. – Jaka decyzja?

– Dobrze, powiem wszystko.

– Oddzwonię. – Schowała telefon. – Słucham.

– Nie mam tej broni.

– Ale zabrałaś ją z peronu. Nie została tam.

– Zgoda – przyznała niechętnie – jednak nie zrobiłam nic złego.

– Gdzie jest pistolet, Hayley?

– Już mówiłam, nie u mnie.

– I nie u właściciela.

– Pewnie, że nie. Wyglądał na wariata, jeszcze zastrzeliłby kogoś.

– Dlaczego nie oddałaś broni policji?

– Bałam się chodzić z nią po ulicach. Nie chciałam też tłumaczyć, skąd ją mam i tak dalej. Schowałam ją do szuflady, tam była bezpieczna.

– A gdzie jest teraz?

– Nawet się nie domyślam.

Chloe westchnęła. Potem pociągnęła łyk piwa.

– Nie kręć, dziewczyno, chcę ci pomóc, nie rozumiesz?

– Ja wiem...

– Mamy powody sądzić, że ta broń posłużyła do przestępstwa i tylko jej zbadanie pozwoli wykluczyć twój w nim udział. Na razie fakty świadczą przeciwko tobie. Weszłaś w posiadanie tej broni, tyle wiemy. Potem zniknęła. Pozbyłaś się jej, aby zatrzeć ślady. Tak to wygląda.

– Ale było zupełnie inaczej.

– Jak?

– Pożyczyłam ją komuś.

– Nieswoją, znaną broń? – zdumiała się. – Komu?

Hayley westchnęła i zabębniła fioletowymi paznokciami o blat.

– Przyjacielowi.

– Chłopakowi lub coś w tym rodzaju?

– Nie.

– Imię i nazwisko.

– Nie mogę.

– Hayley, to nie są żarty. Powiem ci, co zaraz nastąpi. Muszę wydobyć od ciebie jego dane, teraz. Albo tutaj, albo na komendzie. Wybieraj.

– Nie sądzę, żeby on był zdolny do czegokolwiek złego.

– Tym lepiej dla niego. Ja szukam tylko broni. Po co mu ją dałaś?

– Do ochrony, bał się czegoś. Ale nie wiem czego, nie powiedział konkretnie. Przeżywałam zajście na stacji w Sholing, było mi się ciężko, miałam koszmary, nie przechodziło. Potrzebowałam wsparcia, jemu mogłam zaufać. Wygadać się, poradzić.

– Zatem to ktoś bliski...

– Po tym, co przytrafiło się Ninie, tacy się sobie staliśmy. Lecz nie w tym sensie, nie jako para.

– To jakiś jej znajomy?

– Chłopak, były. John.

– Jaki John?

Chloe nie pamiętała z akt śledztwa nikogo o tym imieniu.

– John Ward, Pete o nim nie wiedział – wyjaśniła, jakby odczytała wszystko z miny Chloe.

Nazwisko natychmiast trafiło do centrali, gdzie od razu zaczęto sprawdzać, kto pod nim występuje.

– Dlaczego się ukrywali?

– Nie użyłabym tego słowa. Po prostu nie afiszowali się ze swoją znajomością. Wszystko inne było na sprzedaż, to nie.

– Mówisz o modelingu?

– Też.



Charlie Keane wspiął się po bardzo krętych i ostrych schodach na skąpane w blasku dnia poddasze, gdzie ogarnęła go subtelna woń papieru i pierników.

– Trafił pan – powiedziała zgrabna brunetka stojąca przed sztalugą z pastelową kredką w dłoni, w krótkich spodenkach i podkoszulce. Miała zaskakująco niski głos jak na drobną dziewczynę o delikatnej urodzie.

– Niezłe światło – stwierdził, otaczając wzrokiem oszklone z trzech stron wnętrze. Co więcej, stromy dach wieńczyła jasna kopuła składająca się w całości z szyb poprzątkanych cienkimi poprzeczkami.

– Moja pracownia, odziedziczyłam ją po dziadku. Był cenionym architektem.

– Wspaniała. Ponoć mam szczęście, że panią zastałem.

– Zbyt rzadko tu bywam – przytaknęła z nostalgią. – Proszę się częstować. – Na stoliku pośrodku pomieszczenia stała misa wypełniona ciasteczkami czekoladowymi.

– Domowe wypieki mojej babci. Grzech nie spróbować.

– Nie omieszkam.

Wyschnięty parkiet skrzypiał, gdy Keane podchodził bliżej.

– Ładne – ocenił, przeżuwając kęs piernika, kiedy spojrzał na namalowaną na dużym arkuszu różową koszulę nocną na smukłej kobiecej sylwetce.

– Takie tam... wstępny projekt, zarys.

– Nikomu nie zdradzę pomysłu, proszę się nie niepokoić.

– No, ja myślę! Może szklankę mleka?

– Nie, dziękuję. W sumie to się śpieszę.

– Proszę zatem przejść do rzeczy. Przynosi pan złą wiadomość?

Charlie Keane zawahał się.

– Nie. Ale może taką się okaże. W pewnym sensie. To nic strasznego.

Młoda kobieta się roześmiała. Wyglądała wtedy naprawdę uroczo.

– Dowiem się wreszcie?

– Pamięta pani pokaz Vicotria's Secret na Wembley?

– Naturalnie. A w ogóle da się inaczej? Mówimy o jednym z największych wydarzeń w świecie mody. Do tego z moim pierwszym autorskim projektem w jednej z głównych ról. Ten dzień będzie ze mną do końca życia. Szkoda tylko, że nie wiążą się z nim wyłącznie miłe wspomnienia...

– Mówi pani o śmierci modelki?

– Niny Collins, bo po to pan przyszedł, prawda?

– Skąd ten pomysł?

Projektantka zaśmiała się bezgłośnie.

- Przepraszam.
 - Co w tym zabawnego?
 - To chyba oczywiste?
 - Nie dla mnie.
 - Nie stało się tam nic innego, czym mogłaby interesować się policja. Chodzi o narkotyki? Uprzedzę pańskie pytanie: nie, nie biorę. I nie, nie wiem, kto bierze. Prowadzicie jakąś nową akcję antynarkotykową?
 - Pudło, rzecz tyczy się pani samochodu.
 - Zaległy mandat? Ach, nie zapłaciłam? Wie pan, korespondencja wciąż przychodzi nie na ten adres, co trzeba. Kiedy jestem w Stanach, nie odbieram tej tutaj, i odwrotnie.
 - Czy białe peugeot trzy tysiące osiem należy do pani?
 - Zależy o jakich numerach rejestracyjnych.
 - Słusznie. - Keane wyjął telefon i pokazał brunetce.
 - Mój.
 - Czy pożyczała go pani komuś tamtego wieczoru?
 - Nie przypominam sobie.
 - Proszę się zastanowić.
 - Nie sądzę, raczej nie.
 - Ale nie na pewno?
 - Chyba na pewno - zaśmiała się.
- Charlie Keane tym razem pozostał niewzruszony.
- Czy zna pani Olega Pankova?
 - Hm, czy to nie brat Anny? Nazwisko się zgadza.
 - Owszem, to on.
 - Znam, nie znam, spotkaliśmy się na pokazie lub dwóch. Raczej z widzenia. Znam Annę.
 - I nie wie pani, kto jeździł wówczas pani samochodem?
 - Jeździł?... - zdziwiła się mocno. - Moim samochodem? Jak to? Ten Oleg?
 - Bez pani wiedzy, jak mniemam?
 - Czy aby na pewno chodzi o mój samochód?
 - Nie zauważyła pani śladów włamania? Nic?
 - Nie...
 - Gdzie trzymała pani kluczyki? Czy to możliwe, że ktoś je sobie po prostu wziął, a potem odłożył na miejsce, i wszystko odbyło się bez pani wiedzy?
 - Nie wiem, niech pan mi powie. Kluczyki... pewnie w torebce.
 - A torebkę gdzie mogła pani zostawić?

– Na wieszaku w garderobie, na krześle, w szafce, wszędzie. Za kulisy obcy nie wchodzi, nie pilnujemy więc swoich rzeczy. One po prostu tam leżą. I jeszcze nigdy nic nie zginęło.

– Rozumiem. Nie mam więcej pytań, ale muszę zabrać samochód. Tylko na dwa dni, do zbadania śladów – dodał, widząc protest w ujmującym spojrzeniu młodej artystki.

– Na ten czas zostawiam swój. – Położył na stoliku kluczyki do porsche.

– Chce mi pan zaimponować? – spytała z przekąsem.

– Skądże znowu. Ale pierniki, rzeczywiście, pierwsza klasa. – Wziął jednego na drogę i cofnął się na schody. – Idzie pani?

– Kluczyki są na komodzie przy wejściu. Obok wieszaka.



Bradley Owen ubrany w kurtkę typu bomber, kraciaste spodnie i buty za kostkę zeskoczył z żelaznego mostu na jasne drobne kamyki tworzące szeroki pas brzegowy i poszedł cyplem wzdłuż jeziora Lock i łodzi poodwracanych do góry dnem. Przy części dziobowej jednej z nich klęczał niewysoki brunet i zawzięcie szorował zanurzaną część kadłuba. Piana rozbryzgiwała się na boki, gdy zataczał koła wielką gąbką. Ponieważ żwir chrząścił pod nogami, gdy Owen zbliżył się do mężczyzny na dwa kroki, ten odwrócił głowę i spojrzał na niego przez ramię.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! – wykrzyknął.

Czym prędzej wstał, wycierając ręce o spodnie.

– Witaj, Andy. Jak widzę, wreszcie wzięłeś się za porządną robotę.

Rzeczywiście, wyczyszczony fragment powierzchni wydawał się o trzy tony jaśniejszy od obrzeży, podczas gdy pozostałą część niebieskiego drewna pokrywały muł i wodorosty.

– Zgadza się, dlatego łódź hamuje. Poza tym coś wdało się pod farbę. Organizuję w sobotę naukę łowienia ryb dla dzieciaków z parafii i usiłuję doprowadzić ją do stanu użyteczności. Będziemy łowić nie tylko na wędkę, lecz również przez zarzucanie sieci i te sprawy. Wiesz, na płyciźnie niedaleko brzegu, ale od czegoś trzeba zacząć. Chcę ich czymś zainteresować, odciągnąć choć na trochę od komputerów. Ale, Brad, nie było cię z pół roku!

– Mniej. A właśnie, dzięki za uratowanie życia. Jakoś nie było okazji.

– Od razu wiedziałem, że się udało. Brat Albert zadzwonił do mnie po wszystkim. Określił cię mianem szalonego i upartego. Podobno nie za bardzo zamierzałeś się słuchać. Mogłeś sprawić mu sporo kłopotów.

– Przykro mi. Nie to było moją intencją. Ale jak mnie w ogóle znalazłeś?

– Nie ja. Kiedy zaginałeś, obdzwoniłem pół świata i posłałem w drugie pół pięć tuzinów braci zakonnych, żywiąc nadzieję, ale też przekonanie, że cię namierzą. Jeśli ktokolwiek miał zwęszyć trop, to tylko z Bożą pomocą.

– Nie śpieszyłeś się – powiedział Owen z przekąsem.

– Domyśliłem się, że coś jest nie tak, gdy twój telefon nie odpowiadał. Czułem się odpowiedzialny, przecież wyświadczałeś mi przysługę... I zająłeś się słuszną sprawą. Popytałem tu i tam, ale bez skutku. Kto by pomyślał, że trafiłeś do Meksyku?

– Otóż to, a jednak jakimś cudem dotarłeś do Alberta.

– Żebyś wiedział... Modliłem się, prosiłem o wskazanie drogi i zostałem wysłuchany.

– To wiele wyjaśnia.

– Śmiejesz się? W więzieniu też ci było do śmiechu? Łap się lepiej za gąbkę, pomożesz mi trochę.

– A ty co będziesz robił?

Owen zdjął kurtkę i rzucił ją na sąsiednią łódź. Potem podwinął rękawy koszuli.

– Ja w tym czasie zeskrobie głony ze śruby – odparł Andrew Southgate.

– Dobra. I powiesz mi coś o ordaliach.

– Nie jestem ekspertem, ale chyba nie idzie ci najlepiej w śledztwie, skoro rozważasz tego typu metody? – zaśmiał się.

– Jakim śledztwie?

– Nie wiem, a jakim?

– Myślałem, że coś wiesz.

– Przecież od dawna nie mieliśmy kontaktu.

– Niby nie, ale mogłeś coś usłyszeć...

– Masz na myśli spowiedź? Nie tym razem. Zrobiłeś się strasznie podejrzliwy. A iudicia Dei, czyli ordalia lub po prostu sądy Boże, świeciły triumfy w średniowieczu i zostały wyparte przez tortury, gdy przyznanie się do winy stało się koronnym dowodem w procesie karnym.

– Ścisłe wiążą się z religią.

– Szczerze mówiąc, bardziej z Kościołem niż z Bogiem. Wyrosły z przeświadczenia ludzi, że sąd Boży może wydać wyrok już tu, na Ziemi. Wierzono, że rzeczy nie dzieją się zgodnie z mocą praw natury, lecz w pełni zależne są od woli Bożej, gdy podejrzany poddawany jest próbie. Rozżarzony do czerwoności metal pali ciało na węgiel, lecz nie ciało niewinnego, bo Bóg na to nie pozwoli. Nikt nie przełknie bez zakrztuszenia całej pajdy chleba z grubym kawałkiem twardego sera, lecz kiedy pokarm zostanie poświęcony, połknie bez trudu, o ile tylko ma czyste sumienie. Ktoś ukradł sakiewkę na targu? Zatrzymajmy między straganami dziesięciu ludzi i wylosujmy spośród nich

jednego, a on okaże się winny przez sam fakt, że dał się złapać. Bóg nie dopuści przecież, aby padło na uczciwego. Trochę brednie, ale z perspektywy czasu całkiem ciekawe, dlatego wcale nie dziwię się, że się tym interesujecie.

– Przestań, policja nie zajmuje się takimi głupotami.

– Nie mówię o policji...

– O kim więc? – Owen wycisnął gąbkę mocniej, niż powinien.

– A... O jednym takim...

– Kto to jest, Andy?

– Niezbyt mogę mówić na ten temat.

– Tylko nie zasłaniaj się tajemnicą spowiedzi. Już wiemy, że to dla ciebie nie problem.

– Nie bądź niesprawiedliwy, chodziło o ważną rzecz!

– Owszem, i teraz też tak jest.

– Aha, czyli nie pytasz bez powodu? Zawsze masz jakiś ukryty zamiar, co?

– Odpowiedz na pytanie. Kim on jest?

– To znana osoba.

– Tak?

– John Ward, kompozytor, autor piosenek.

– Nie słyszałem o nim. Gdzie go poznałeś?

Ksiądz Southgate włożył palec pod koloratkę, jakby go uciskała.

– Na odwymku – wycedził wreszcie.

– Nazwa placówki?...

– W Londynie, zaraz podam ci dokładny adres, tylko sobie przypomnę...

– Świadczysz posługę nawet tam? – zdziwił się Owen.

– No... tak... tak jakby... to ośrodek prowadzony przez mnichów – dokończył szybko.

– Co konkretnie mówił? O co pytał?

– Był załamany, dlatego zaczął pić. Zginęła kobieta, którą kochał. Nijak nie umiał sobie z tym poradzić.

– A ordalia?

– Chyba ja podjąłem ten temat, jakoś przypadkiem. Dużo rozmawialiśmy... rozmowa pomaga. Kiedyś pomstował, że jego ukochana zginęła pośrednio z winy, jak to ujął, czarownic, czyli swoich koleżanek z pracy czy szkoły, które były więcej niż wredne, a do tego zakłamate. W każdym razie wspomniałem wtedy o bulli papieża Innocentego ósmego, która potępiała czary i wprowadzała w tym zakresie pewne rozwiązania...

– Pozwalała inkwizytorom czynić cokolwiek, co uznają za konieczne, aby tępić kobiety posądzane o czarownictwo – stwierdził gorzko Owen.

Southgate westchnął.

– Głównie, ale nie tylko. Kara mogła spotkać heretyków obojga płci, zwłaszcza podejrzanych o konszachty z diabłem. Demonologia w najczystszej postaci. W najgorszej sytuacji znaleźli się ci, którym przypisano pałanie się czarami, tak zwaną magią wyższą. Później rozpętało się polowanie na czarownice.

– Kiedy ostatnio się widzieliście?

Southgate wzruszył ramionami.

– Nie pamiętam.

– Miesiąc temu, kwartał, rok?

– Jakoś późną jesienią.

– To by się zgadzało... Jak zareagował na te papieskie bzdury?

– Trudno powiedzieć, przepełniał go smutek.

– Zadzwoń do ośrodka i zapytaj, czy Ward jeszcze się tam pojawia.

– Nie powiedzą mi.

– Nawet tobie?

– Nie powinni.

– Masz rację. Mimo to i tak spróbuj. – Owen spojrział w mnogie obłoki na jasnym niebie. Po chwili wyjął telefon i uruchomił aplikację z mapą. Następnie podał aparat młodemu księdzu. – Ale wcześniej wprowadź adres.

CZĘŚĆ IV

W czerwonych słuchawkach marki Sony płynął nowy singiel kapeli Kings of Leon, kiedy wszedł na skąpaną w blasku księżycy Praed Street. Cienki, czarny kabel wił się po zgniłozielonej koszuli z małymi guzikami i zniknął w wewnętrznej kieszeni rozpiętego grafitowego płaszcza w piaskową kratę. Poruszał się bezdźwięcznie, jakby ciężkie, wysokie buty unosiły się ponad asfaltem. Budową ciała i stylem chodzenia przypominał finalistów klasycznych biegów sprinterskich. Wolne bicie serca świadczyło o hektolitrach potu wylanych na tysiącu treningów i oddawało stan ducha. Oblana zastygłą smołą kurtyna nocy muskała wierzchołki dachu ze szkła i żelaza stacji kolejowej Paddington. Z prawej strony drogę otaczał wysoki mur usłany rzędem billboardów, z lewej potężny kremowy budynek z setką wygaszonych okien.

W wejściu poczuł wyraźnie cieplejsze powietrze. Nie czekał aż zupełnie puste ruchome schody zawiozą go na dół. Stąpał po kolejnych stopniach w równym tempie. U ich zwieńczenia skierował się do kasy biletowej i poprosił o miejsce w klasie standard do Great Malvern. Ściągnął słuchawki z głowy i zaczepił elastyczną opaskę na szyi. Zanim kobieta z sięgającymi ramion, starannie ułożonymi blond włosami znalazła połączenie na ekranie monitora, zreflektował się i zapytał o bilet tygodniowy.

– W takim razie przyda się panu klucz, na którym zapiszę bilet – powiedziała z niewymuszonym uśmiechem. – Z kartą w rękę można przejść przez bramki jednym dotknięciem, naładować kilka biletów lub szybko anulować taki w razie potrzeby.

– Wobec tego poproszę – odparł miłym głosem.

– Sto czterdzieści pięć funtów – oznajmiła, podając nad kubkiem parującej kawy zieloną kartę z białymi elementami i niebieskim logiem. – Peron numer cztery.

Mężczyzna zamienił trzy jednakowe banknoty z wizerunkiem panującej królowej na awersie na plastikowy nośnik danych i schował portfel z powrotem za podszewką pod sercem.

– Reszty nie trzeba – rzekł łagodnie, jakby jeszcze się nie obudził, w reakcji na chęć wydania pięćfuntówki.

W pobliskim kiosku kupił najnowsze wydanie „Timesa” i ostatni numer magazynu „Rolling Stone”. Zapłacił gotówką i wsunął zwinięte w rulon periodyki do przedniej kieszeni luźnych materiałowych spodni. Wyglądały niczym luneta kapitana pirackiego statku, który szykuje się na spotkanie z indyjską kompanią handlową, i cudem nie wypadły w trakcie szybkiego marszu, mając się to na prawo, to na lewo.

Duża czarna wskazówka trójstronnego zegara celowała w rzymską cyfrę cztery, podczas gdy mała powoli opuszczała siódmkę. Zgodnie z rozkładem wyświetlonym na tablicy odjazdów pociąg miał ruszyć na północny zachód kwadrans przed piątą.

Przyłożył kartę do czytnika i dostał się tradycyjnymi schodami na właściwy peron. Minął płaski przód lokomotywy w kolorze słomianej wyściółki z podzieloną na dwie części szybą i liczbą trzysta pięćdziesiąt. Wsiadł do drugiego wagonu w barwach London Midland i usiadł w połowie na ciemnoniebieskim miękkim fotelu tuż przy dużym kwadratowym oknie. Nikt nie zajął sąsiedniego miejsca ani dwóch skierowanych do niego, więc wyprostował swobodnie nogi i położył prasę wraz z okryciem na bliźniaczym siedzeniu. W całym składzie znajdowało się kilkanaście, może dwadzieścia osób, ale nawet tyłu nie spodziewał się o tak morderczo wczesnej porze.

Jego dziadek zwykł mawiać, że porządni ludzie wychodzą z domu i wracają za dnia, nawet następnego, w środku nocy zaś włączą się jedynie frajerzy bez dziewczyn lub straceńcy zanurzeni w szlamie rozpusty. Czasy najwidoczniej znacznie się zmieniły, choć trudno orzec, czy na lepsze.

Po przekątnej, tyłem do kierunku jazdy stał mężczyzna w jedwabnym garniturze. Nerwowo wertował łososiowe strony „Financial Timesa” i co chwilę zerkał na tablet, rozmawiając jednocześnie przez telefon. Ze strzępów słów, jakie docierały w ten rejon przedziału, wynikało, że niewiele ponad godzinę pozostało do zamknięcia tokijskiej giełdy. Spoczął dopiero, gdy głośny sygnał zapowiedział zsunięcie się skrzydeł piętnastu par drzwi, lecz tylko na moment. Koła składu zaczęły się obracać, a makler wrócił do śledzenia i głośnego komentowania notowań indeksów.

Na okładce gazety premier Cleverley udawał, że nie czyta z kartki na tle brytyjskiej flagi. Trzyszpaltowy akapit wstępny na pierwszej stronie i przydługi artykuł na drugiej oraz trzeciej poświęcono toczącej się w kuluarach batalii o kształt przyszłorocznego budżetu i planom obniżenia podatków.

Sięgnął po leżące na spodzie czasopismo i zaczął czytać obszerny wywiad z Billym Joe Armstrongiem.

Na pierwszych dwóch przystankach nikt nie opuścił składu, a tylko nieliczni dołączyli. Za to w OxFordzie wysiedli niemalże wszyscy pasażerowie. Gdy po dwóch godzinach podróży dotarli do Pershore, na czystym porannym niebie nieśmiało wschodziło słońce. Promienie odkrywały sekrety i piękno wciąż zielonych łąk, sadów i królewskiego lasu. Mógł przysiąc, że na niedawno zaoranym polu dostrzegł ciemnobrązowego jelenia z imponującym porożem, jednak zwierzę w pewnym momencie uciekło w gęste zarośla.

Jeszcze kilka lat temu odwiedzał pobliskie tereny przynajmniej dwa razy w tygodniu. Mieszkał wtedy w Barnards Green. W każde wtorkowe południe, wyłączając jedynie wielkie święta i wyjątkowo śnieżne dni, sprawdzał ciśnienie w oponach białego roweru szosowego włoskiej produkcji i obierał kierunek na północ. Pokonywał wówczas niespełna osiemnaście mil, starając się nie zejść poniżej ustalonej prędkości, wynoszącej zwykle dwadzieścia dwie mile na godzinę. Odwiedzał stare opactwo okolone bujnymi uprawami śliw, jabłoni i winorośli, częstując się słodkimi owocami. Niezmiennie życzliwi benedyktyni za każdym razem witali gościa piwem, likierem, konfiturami oraz innymi wytworami własnych rąk, lecz za nic nie chcieli przyjąć zapłaty, podobnie jak zdradzić klasztornych receptur. Ponoć przysięgali przed przeorem na honor, że nikomu nie wyjawią proporcji składników. Nawet pod groźbą śmierci lub czegoś znacznie gorszego.

Ilekcroć zachęcali chłopaka do posilenia się chlebem prosto z pieca z plastrami świeżego miodu i wędzonego boczku, grzecznie odmawiał, lecz mętny sok zawsze przyjmował z wdzięcznością. Do rodzinnej wsi wracał, kierując się na południe. Trasa powrotna nieco różniła się widokami oraz natężeniem ruchu, ale nie odległością. W soboty również zmierzał do miasta leżącego nad rzeką Avon o szerokim korycie i wartkim nurcie, lecz w odmienny sposób. Przez siedemdziesiąt sekund jechał najszybciej jak mógł. Wtedy przed oczami pojawiały mu się ciemne plamy, a łydki i uda bolały, jakby przebijały je miliony szpilek. Następnie przez okrągłą minutę pedałowal na pół gwizdka, a nogi sprawiały wrażenie wypełnionych watą. Czynność powtarzała się dziesięć do czternastu razy, ale na końcu zawsze trafiał do Pershore w hrabstwie Worcestershire.

Pociąg zatrzymał się przy krawędzi peronu trzynastej stacji wpół do ósmej, jak ustalili, spoglądając na omegę o czarnej tarczy i platynowej bransolecie. Od razu poznał osadę Malvern Link po piętrowym dworcu z jasnobrązowej cegły z ciemniejszym dwuspadowym dachem, nad którym rozpościerały się gałęzie zespołu starych iglastych drzew. Budynek przylegał prostopadle do swojej niższej i znacznie węższej kopii. Za sięgającym pasa betonowym ogrodzeniem z wyciętymi otworami w górnej partii rosła mała jodła. Mogła zostać posadzona przed trzema, najdalej czterema laty. Niby niedawno, ale w tym czasie słodki dystrykt zdążył przesiąknąć wspomnieniami zdolnymi do nacinania dopiero co zabliznionych ran. Z perspektywy Londynu wydawał się o wiele mniej groźny.

Dalekobieżny pojazd szynowy po raz kolejny został wprowadzony w ruch, by po zaledwie dwóch minutach zameldować się na stacji docelowej. Pomalowany odcieniami pastelii dworzec nosił miano klejnotu wiktoriańskiej elegancji, łączącej w sobie wymiar artystyczny i praktyczność. Nie bez powodu.

Bogato zdobiona wiata z żelaza, drewna i szkła chroniła podróżnych przed opadami bądź żarem lejącym się prosto z nieba. Przystrojone ornamentami roślinnymi kolumny w deszczowe dni pełniły rolę rynien.

Odłożył oba pisma na matowy parapet w prezencie dla przypadkowego znalazcy, aranżując małą czytelnię. Zeskoczył na szarą płytę chodnika, a słaby powiew świeżego powietrza wymieszanego z odrobiną niepokoju lekko zmierzwił jasne fale na jego głowie. Przeszedł wzdłuż frontowej ściany pokrytej mozaiką z twardych i spoistych brył skalnych o różnej, choć stonowanej kolorystyce z kremowymi akcentami wokół futryn. Szereg solidnych ławek z dębowego drewna o tej porze dnia stanowił jedynie dekorację, ale po drugiej stronie torów przy okrągłym metalowym stoliku rozchichotana para kosztowała kruchych rogalików.

Za pomarańczową barierką z kutymi reliefami kwiatów i listowia zszedł do otynkowanego na biało tunelu. Dotknął czarnej jak szept grozy poręczy, lecz porażony zimnem szybko cofnął rękę. Echo dudniących kroków odbijało się po oświetlonym i przesytym chłodem podziemnym przejściu o półokrągłym suficie. Wbiegł szybko na górę, przeskakując co drugi stopień, jakby nie chciał spóźnić się na kolację z ukochaną. Minął wbudowaną gładko w podłoże zabytkową wagę z żeliwnym grubym słupem, służącą niegdyś do ważenia bagaży, i nieczynną skrzynkę pocztową ze srebrną koroną w otoczeniu dumnych liter V i R.

W minionym stuleciu listy odbierano tu dwa razy na dobę przez sześć dni w tygodniu oraz w niedzielne popołudnia, o czym informowała częściowo wyblakła farba. Przypominała jednocześnie o konieczności nadania przesyłką poleconą kopert zawierających monety, papierowe pieniądze i biżuterię.

W oddali szczyły nastolatek w niebieskiej kurtce w białe paski przypiął porządnie ubłocony rower crossowy bez tylnej amortyzacji do jednego z czterech zadaszonych stojaków. Rozpoznał w młodziku samego siebie, chociaż w przeciwieństwie do niego notorycznie unikał kasków, czego nie zmienił nawet groźnie wyglądający wypadek na drodze A4103 w okolicach Hereford. Kierowca furgonetki wyjechał wówczas z parkingu sklepu z narzędziami wprost pod koła rozpędzonego kolarza, który prześlizgnął się po przedniej masce i wylądował w rowie. Skończyło się na obtarciach i zaledwie kilku siniakach, którymi przejął się wyłącznie sprawca zajścia. Bez zbędnych zachęt od razu przyznał się do winy i pokrył koszty naprawy sprzętu, więc chłopak szybko uznał całą sprawę za niebyłą i jeździł dalej z równie wielkim animuszem.

Teraz miał wrażenie, że dzień lub dwa wcześniej to on owijał cienki łańcuch z hartowanej stali z domieszką manganu i boru wokół ramy, szprych i zakrzywionej metalowej rury z włókna węglowego, po czym w ostatnim momencie wskakiwał do

pociągu. Czasami przeglądał notatki w rytm cichego miarowego stukotu kół, ale najczęściej słuchał rockowych albumów od początku do końca bądź nowych brzmień albo rozmawiał ze znajomymi, jeśli akurat kogoś spotkał.

Na stację z wolna wtoczyła się lokomotywa ciągnąca cztery wagony, co nie zainteresowało nikogo poza przełajowcem, który wyciągał nogi, aby zdążyć wsiąść. John Ward rzucił tylko okiem na ową scenkę, po czym pchnął otwierające się do wewnątrz czerwone dwuskrzydłowe drzwi przytulnej herbaciarni i wszedł do gwarnej sali. Wykonał krótki slalom między drewnianymi krzesłami z metą przy barze i zamówił na wynos podwójne espresso z cukrem i kanapkę z parmezanem, szynką parmeńską, pomidorem i sałata.

Ekspres ciśnieniowy głośno mielił palone ziarna kawowca, gdy dziewczyna w granatowej sukience pakowała bułkę sezamową z serem, wędliną i warzywami do papierowej torby. Potem postawiła tekturowy kubek pod owalnym lejkiem, a kiedy naczynie wypełniło się aromatycznym naparem, nałożyła plastikową pokrywkę. Ostrożnie położyła gorący napój i szeleszczącą paczkę na lśniącej blacie przed chłopakiem.

– Proszę wybrać sobie cukier.

Blondwłosy chłopak przez kilka chwil tonął w niebieskich oczach młodej ekspedientki. Nie zwrócił jednak uwagi na jej nietuzinkową urodę. To projekcje pamięci pokazywały się na jawie. Tu, w Malvern wszystko emanowało przeszłością.

W oczach mieszka życie, odbijają się emocje. Próżno szukać tchu w piersiach w obliczu nieruchomych źrenic, pustych tęczówek.

Tym bardziej, jeśli należą do znajomej osoby, nie mówiąc nawet o bliskiej. Nie sposób zapomnieć podobnego widoku.

John Ward podjął kilka prób usunięcia go ze snów, lecz wszystkie zakończyły się fiaskiem. Za to z biegiem miesięcy zdołał oddzielić wspomnienia od smutku. Pozostała nostalgia.

– Polecam indyjski jaggery lub bardziej słodki rafinowany – odezwała się z uśmiechem.

Sprowadzony na ziemię spuścił wzrok na sosnową skrzyneczkę z papierowymi saszetkami w siedmiu przegródkach. Podniósł pierwszą z brzegu z rysunkiem trzciny ociekającej miodem, rozerwał i po uchyleniu wieka wsypał złotawą zawartość do kubka. Przy pomocy białego mieszadełka z tworzywa sztucznego wytworzył mały wir, po czym położył obok kasy o kilka funtów za dużo, zostawiając napiwek. Dziewczyna sprawnie przeliczyła pieniądze i włożyła do szuflady urządzenia.

– Proszę poczekać. Reszta – rzuciła za nim przez połyskującą gablotę wysokości bez mała siedmiu stóp, z ośmioma półkami kolorowych wypieków, które kusily tak

wyglądem, jak i świeżym aromatem. Słowa przeleciały między waniliowymi babeczkami, piernikami z nadzieniem malinowym, ananasami w czekoladzie na kruchym cieście, kremówkami, ciastkami z wiśniami i pączkami.

– Nie trzeba – odparł stanowczym, ale łagodnym tonem. Oddaliwszy się na kilka kroków, odwrócił się i zrobił kolejne osiem, aż zniknął za drzwiami.

Na zewnątrz rozsiadł się na masywnej ławce przed poczekalnią i zjadł kanapkę, racząc się zarazem najpyszniejszą kawą, jaką pił od wyjazdu z miasta. W milczeniu opróżnił półlitrowy kubek, wzrok miał utkwiony w bezchmurny lazur nieba. Usilnie starał się o niczym nie myśleć. Bez rezultatu.

Po dziesięciu minutach puste opakowanie dołączyło do papierowych i plastikowych odpadów, a otwarte przeszklone drzwi hali dworcowej zaprosiły go do środka. Prędko wyszedł z drugiej strony budynku na główny parking pokryty mieszanką bruku i asfaltu. Żółte linie wyznaczały postój taksówek, lecz w ich obrębie fruwały tylko czerwone oraz ciemnopurpurowe liście klonu i brzozy.

Nabrał powietrza do płuc i powiódł wzrokiem po otoczeniu. W niewielkiej odległości od siebie zobaczył kamienną umywalkę z mosiężnym kranem z bocznym kurkiem. Wklęsły odcisnięty poniżej krawędzi napis głosił, że instalację przeznaczono do pojenia zwierząt, ale dobrze pamiętał, że w sierpniowy skwar dla wielu nie miało to większego znaczenia.

Wtem na obrośnięty krzewami i drzewami plac wjechał srebrny pickup z podwójną kabiną i długą skrzynią ładunkową. Zatrąbił dwukrotnie i stanął prostopadle do niskiego krawężnika. Kierowca w błękitnej koszuli i nieco ciemniejszych dżinsowych spodniach trzasnął drzwiami i splótł ręce na wysokości klatki piersiowej, szczerząc zęby w uśmiechu.

– A niech mnie, młody Ward! – zawołał głośno i radośnie.

– Nie pierwszy raz trafiasz na mnie niby przez przypadek, Paul – odrzekł z oczami dziecka zdzierającego wstążkę z prezentu.

– Jedni nazywają to wyczuciem czasu, inni umiejętnością analitycznego myślenia, a ja przyjaźnią. Ale mniejsza o terminologię. Po prostu dobrze wreszcie zobaczyć starego kumpla, nawet w taki dzień. Wybacz. – Rozłożył ręce.

– Nie ma w nim nic niezwykłego. Wieczorem stawiam piwo.

– Nic bardziej mylnego. Dzisiaj pijemy za tygodniówkę Nigela Browna. W ubiegły piątek nie szła mu karta i funduje trzy lub cztery pierwsze kolejki.

– A chyba że z nim.

Uścisnął dłoń szerszego w barkach i niewiele wyższego młodego mężczyzny w zbliżonym wieku, złapał go za kark i poklepał po plecach, a ten zrewanżował się lekkim szturchnięciem w ramię.

Pojechali w kierunku rozległych lasów o wielu nazwach, porastających zachodnie krańce regionu z dwunastomilowym pasmem gołych wzgórz. Przecięte twardymi ścieżkami i porośnięte przeredzonymi trawami szczyty wznosiły się nad nasączonymi odmianami zieleni pastwiskami i osiedlami.

Na trawnikach piętrzyły się usypane kopce pożółkłych i złocistych liści. W ostrym słońcu mieniły się całą paletą barw. Późną jesienią częściowo łyse konary i pędy odbierały malowniczym obszarom kilka gam z całej symfonii uroku, jednak opatulone warstwą białego puchu i owiane mrozem miały w sobie coś z najszlachetniejszego rodzaju magii.



Zegar ścienny wybił południe, wypluwając małą rzeźbioną kukułkę, którą dyndała na długiej sprężynie, jakby chciała poderwać się do lotu, lecz nie mogła, przyklejona do cienkiej, kołyszącej się kładki, a następnie zniknęła za zmyślną okienniczką, równie szybko, jak się przedtem pojawiła, i z tym samym suchym odgłosem drewna uderzającego o drewno.

Młody mężczyzna, jakby wyrwany z transu, przesunął się na krawędź głębokiego fotela.

– Nasz czas dobiegł końca – powiedział.

– Po prostu minęła godzina, ale proponuję, żebyś jeszcze został – odparł siwobrody w habicie. – Nie mamy tutaj sztywnego grafiku. A już na pewno nie jest on napięty. Dobrze ci idzie, kontynuujmy więc, póki znów nie wyjedziesz.

Dzielił ich tylko niski stolik, na którym stały dzbanek z wodą i połówką cytryny oraz dwie wysokie szklanki.

– Jestem zmęczony.

– Pozwolisz jednak, że zapytam, bo wcześniej nie chciałem ci przerywać – podjął, pochylając się do przodu – dlaczego mówisz o sobie samym w trzeciej osobie, jak o kimś innym, nie używasz słowa „ja”, tylko nazywasz się „Johnem”?

– Tak jest łatwiej. Mogę spojrzeć na sprawy z boku. Z perspektywy, bardziej obiektywnie.

– Uhm, rozumiem. – Ponownie obsunął się na oparcie. – Malvern musi bardzo wiele dla ciebie znaczyć, bo podróż tam opisujesz niezwykle dokładnie, w każdym szczególe, jakby to było wczoraj, a nie kilka miesięcy temu...

– Malvern to wspaniałe miejsce, pełne dobrych, życzliwych ludzi, a przede wszystkim mój dom. Na zawsze nim pozostanie, gdziekolwiek bym żył. Spędziłem tam wiele lat. Wiele szczęśliwych lat. Nigdy o nim nie zapomnę, zawsze chętnie będę wracał.

– Naturalnie, to zdrowe emocje. Odnoszę jednak wrażenie, że ten konkretny dzień był w jakiś sposób wyjątkowy.

– Nie mylisz się, oczywiście. Powroty różnią się od codzienności i rutyny jak dźwięk od ciszy, zaskakują, przywołują wspomnienia, i te dobre, i te złe, taka ich natura. Chyba cię nie zaskoczyłem?

– Ależ nie, zgadzam się z tobą, ale wybacz mi dociekliwość, czy tylko w tym rzecz? Czy na pewno nie stało się wtedy nic ważnego? Nic, co wywarłoby na ciebie wpływ? Wyczuwam bardzo silną więź emocjonalną...

Milczenie.

– Możemy porozmawiać później, jeśli chcesz – zaproponował po ćwierci minuty zakonnik.

– Myślę, że tak będzie lepiej. Nie jestem jeszcze gotów.

– I tak zrobiłeś już duże postępy. Większe niż przez ostatnie miesiące.

– Doktor Rowe nie podzieliłby tego optymizmu.

– Doktor Rowe nie miał łatwego zadania. Może gdybyś tak często nie przerywał terapii...

– Dziękuję.

Kiedy pacjent wyszedł z gabinetu, zakonnik ponownie usiadł w fotelu i odsłuchał nagranie z sesji. Od początku do końca.

Inspektorzy Snow i Keane przemierzali korytarze budynku policji szybkim krokiem. Za nimi podążała Chloe Clarke, starając się nie oblać w pośpiechu kawą, którą popijała.

- Będzie mówił – stwierdził Keane.
- Myślisz? – odparł bez przekonania Snow.
- Sam zgłosił się na policję.
- Może to jakaś gra.
- Albo zwyczajnie się przestraszył.
- Obyś miał rację.

Wejścia do pokoju przesłuchań pilnowało dwóch antyterrorystów.

– Cześć – powiedział Snow i przywitał się z nimi, podając każdemu rękę. To samo uczynił Keane. – Teraz nasza kolej. – Wskazał na trzech policjantów czekających za rogiem. – Właśnie przywieźli catering, sierżant Clarke zaprowadzi was do sali konferencyjnej.

Chloe Clarke chciała zaprotestować, bo liczyła na swoją obecność przy przesłuchaniu podejrzanego, ale krótkie, nieprzejednane spojrzenie Snowa kazało jej, niestety, zweryfikować te plany.

- Zapraszam – powiedziała i poszli.

Snow kiwnął na policjantów, aby się zbliżyli, i otworzył drzwi, które zamknął za nimi Keane.

Wewnątrz stali kolejni dwaj funkcjonariusze, Snow zwolnił jednego, drugi został przy wejściu.

Przy przytwierdzonym do podłóża stoliku siedział zgarbiony mężczyzna w więziennym uniformie. Złączone dłonie trzymał między nogami, głowę miał spuszczone, wzrok tępy.

- Proszę rozkuć pana – polecił Snow.

Oleg Pankov bez kajdanek wydał się wyższy i szerszy w barkach. Odetchnął i pojaśniał.

- Względy bezpieczeństwa, procedury... – wyjaśnił Snow. – Rozumie pan chyba?

Snow usiadł naprzeciwko podejrzanego, Keane oparł się o lustro weneckie za jego plecami.

- Tak... – odparł Pankov, pocierając oswobodzone nadgarstki.

– Wstrzymam się z pytaniami do przyjazdu pańskiego adwokata. Wynajął go pana brat – wyjaśnił, widząc zdziwienie w oczach podejrzanego. – Mecenas został powiadomiony o planowanej godzinie przesłuchania, jednak jeszcze się nie zjawił. Dzwonił, że coś go spowolniło, ale niedługo będzie. Tymczasem powtórzę to, co usłyszał pan przy zatrzymaniu, że jest pan osobą podejrzaną o zamordowanie Niny Collins. Rozważa się również postawienie panu zarzutu pomocnictwa w morderstwie lub zabójstwie Kelly Robinson.

– Nie!... Panowie... to nie tak! Ja... chciałbym wyjaśnić...

– Został pan zatrzymany, lecz jeszcze nie oskarżony. Wie, za co i dlaczego. To jednak, jak się wydaje, pozostaje tylko kwestią czasu. Jest pan osobą poczytalną, co już stwierdzono, a nasz biegły zapewne potwierdzi, osiągnął pan też wiek odpowiedzialności karnej – kontynuował Snow.

– To zupełnie nie tak!

– Radzę jednak nie odpowiadać na pytania ani nic nie mówić, dopóki nie przyjedzie pański adwokat. Chcę tylko poinformować pana, że forma działania, która przyczynia się w stopniu większym niż minimalny do śmierci człowieka kwalifikuje ten czyn jako przestępstwo morderstwa. Można je popełnić tylko umyślnie, co bez wątplenia wykażemy. – Zamilkł na moment, aby po chwili kontynuować. – Czy miał pan, panie Pankov, taki zamiar, określanej w doktrynie i judykaturze jako *malice aforethought*, gdy wywoził pan Ninę Collins z Wembley na minuty przed jej śmiercią? Proszę nie odpowiadać, dla swojego dobra. Wszystko zarejestrowały kamery.

– Panowie, ale ja nikogo nie zabiłem!

– Co tu się dzieje? – W drzwiach pojawił się elegancki mężczyzna z neseserem. – Keith Banks, pełnomocnik pana Pankova. – Otworzył neseser na stoliku. – Pytali pana o coś? – zwrócił się do podejrzanego. Potem usiadł na krześle obok.

– Ja tego nie zrobiłem – rzekł Pankov, jakby nie dosłyszał, co adwokat przed chwilą do niego powiedział.

– Proszę o pisemne uzasadnienie nowych zarzutów, abym mógł zapoznać się z całokształtem materiału dowodowego.

– Jeszcze ich nie przedstawiliśmy.

– Ha, ha – zadrwił Banks. – Czyli pozwolą panowie, że teraz się rozstaniemy? – Zamknął neseser i podniósł się wraz z nim, jakby rzeczywiście zamierzał opuścić pokój przesłuchań.

– Wyjdzie pan stąd, ale sam. Daję szansę pańskiemu klientowi, choć nic mnie do tego nie obliguje. Jeśli nie powie nam nic ciekawego, zgodnie z planem stanie przed sądem, gdzie zostanie doprowadzony. Przeze mnie osobiście. – Snow zerknął na zegarek. – Mamy jeszcze trochę czasu, możemy porozmawiać. Albo przyznać, że

śledztwo zostało zakończone. Nam się nie śpieszy, dysponujemy przecież wystarczającymi dowodami. Jednak położenie pana Pankova, skądinąd mało korzystne, mogłoby się jeszcze zmienić.

Adwokat nie protestował. Dostarczono mu pełną dokumentację i wiedział, na jakiej podstawie wydano europejski nakaz aresztowania. Miał też świadomość, że sąd najpewniej zastosuje środek zapobiegawczy w postaci tymczasowego aresztowania i jego klient nie wróci tego dnia do domu.

Pankov uciekł z kraju i przez jakiś czas ukrywał się przed organami ścigania (przeniósł się na studia do Antwerpii, lecz z pominięciem pewnych procedur, tak, aby w Londynie nikt nie wiedział, co się z nim dzieje), więc istniało uzasadnione przypuszczenie, że zrobi to ponownie. Podobnie jak potrzeba zapobieżenia kolejnym jego przestępstwom.

Przynajmniej tak to wyglądało, a na sali sądowej ważne były argumenty i sposób ich przedstawienia, nie zaś ukryta lub źle pokazana prawda.

Oskarżyciel naprawdę się postarał i choć Pankov w zachowaniu nie przypominał typowego przestępcy, tym bardziej seryjnego mordercy, inne rzeczy liczyły się bardziej. Na tamten moment mecenas Banks w zasadzie nie miał na czym oprzeć linii obrony. Pankov sam oddał się w ręce policji i wyraził zgodę na przekazanie do Wielkiej Brytanii, co mogło ewentualnie tylko wpłynąć na wymiar kary, nieznacznie skracając wyrok, jednak nie uchronić go przed aresztem czy więzieniem. Nie w zaistniałych okolicznościach. Tymczasem do posiedzenia sądu zostało mniej niż półtorej godziny.

– Co więc pan proponuje? – zapytał.

– Układ.

Banks pokiwał głową.

– Na jakich warunkach?

– Chcemy wiedzieć jak najwięcej o zabójstwach kobiet w Portsmouth, o udziale w nich pańskiego klienta i o Johnie Wardzie.

– Zaraz – zaprotestował Banks. – Czy pan aby nie przesadza? Co to za insynuacje?

Oleg Pankov wyglądał na całkowicie rozbitego, ale w ogóle nie był przy tym zaskoczony, jakby dotarł do niego cios, którego się od dawna spodziewał, nie wiedząc tylko, kiedy on nadejdzie.

– Dobrze, już dobrze – wymamrotał. – Powiem wam wszystko.

– Mhm – mruknął Snow. – Zacznijmy od początku. Gdzie jest Ward?

Śledczy nie mieli jasnego dowodu, że Pankov i Ward się znają, ale wiele na to wskazywało.

– Nie wiem. Nie widziałem go od dawna.

– Kiedy ostatnio?

Oleg Pankov wykrzywił usta.

– Przed moim wyjazdem do Antwerpii.

– Po co pojechał pan do Belgii?

– Uciekłem.

– Przed policją?

– Nie. Przed nim.

Snow i Keane popatrzyli po sobie.

– Przed Johnem Wardem?

– Zrozumiałem, co się dzieje, a raczej zacząłem się domyślać. Przestraszyłem się, nie wiedziałem, co robić.

Pankov opuścił ramiona, jakby uszło z niego powietrze.

– Kogo pomógł pan mu zabić?

– Nikogo!

– Panie inspektorze. – Banks zrobił dziwną minę, jakby wypchał sobie usta płatkami śniadaniowymi. – Ja... ja tylko poznałem go z Claire.

– Claire Roach?

Oleg Pankov pokiwał głową.

– Ona też straciła bliską osobę, też przez modeling.

– John Ward winił pana za śmierć Niny Collins – stwierdził szorstko Snow. – Nie od razu, ale kiedy zaczął pana podejrzewać, uciekł pan do Belgii, czy tak?

– Nie, było inaczej. On mnie nie winił, ja tylko chciałem pomóc, ale nie mogłem nic zrobić, było już za późno.

– Proszę mówić.

Pankov westchnął.

– Nina źle się poczuła po pokazie. Zakręciło jej się w głowie i opadła na kanapę w lobby, a potem nawet nie była w stanie się podnieść.

– Jako brat modelki doskonale pan wie, że kamery na stadionie na czas pokazu były wyłączone i nie potwierdzimy tej wersji wydarzeń.

– Mówię prawdę, chyba tego oczekujecie? Zaproponowałem, że ją odwiozę.

– Ale pomyliłeś trasę, bo nie jesteś stąd, to chcesz nam wmówić?

Nieoczekiwane przejście na „ty” obudziło w Olegu lęk.

– Nie, poprosiła, żebyśmy po drodze wstąpili do apteki po jakieś tabletki. Bardzo bolała ją głowa, miała mdłości... Nie chciała prosić konsjerża w hotelu, robić afery, rzucać się w oczy. Posłuchałem jej... Teraz żałuję.

– Nic więcej nie mów – polecił podejrzanemu Banks.

– Straciła przytomność, zanim dotarliście do hotelu? – spytał Snow.

– Gdy odprowadziłem ją do pokoju, żyła. Było jej słabo, ale nie pozwoliła mi wezwać lekarza. Nie zgodziła się też jechać do szpitala. Myślała, że samo przejdzie, ja także...

Łzy pociekły mu po policzkach.

– Ukradłeś samochód.

– Jaki samochód?

– Ten, którym odwiozłeś Ninę.

– Nic z tych rzeczy! Tylko pożyczyłem...

– Bez wiedzy właściciela.

– No co pan!

– To od kogo?

– Od tej projektantki, Mary... nie pamiętam nazwiska, moja siostra ją zna.

Przysłuchująca się rozmowie z pomieszczenia obok Chloe Clarke natychmiast poderwała się na równe nogi, Keane również wyszedł na korytarz. Snow zaś tylko zerknął w stronę lustra weneckiego.

– Ty jedź – powiedział Keane.

– Mogę? – odparła sierżant Clarke.

– Potrzebujesz pomocy?

– Nie.

Inspektor Keane wrócił do pokoju przesłuchań, gdy odezwał się Snow:

– Pomagałeś Wardowi.

– Tylko jeden raz. Odebrałem go z Tree Garden Road – przyznał gorzko i z trudem przełknął ślinę, jakby to była żyłетка.

– Sprzed domu, w którym zamordowano dziewczynę! – zagrzmiał Snow.

– Nie wiedziałem! Naprawdę, uwierzcie mi!

– Chciałbym panu wierzyć, panie Pankov, ale to wszystko wydaje się niedorzeczne.

Goniła was policja. Nie słyszał pan syren?

– John zadzwonił do mnie w środku nocy, powiedział, że ma kłopoty. Został zaatakowany przez ojca jakiejś dziewczyny, z którą ten go nakrył, i wezwał policję, twierdząc, że został napadnięty i okradziony, aby dać mu nauczkę. Postanowił wrobić Johna, ale jemu udało się uciec do piwnicy, gdzie się zamknął i czekał na mnie.

– Przyjechałeś z bronią. Skąd ją miałeś?

– Z mieszkania Johna. Musiałem odwrócić uwagę policji.

– Miałeś klucze? Włamałeś się?

– Była w skrytce w garażu, znałem kod.

– Jechał pan po północy z Londynu do Portsmouth tylko po to, aby uratować Johna przed wkurzonym ojcem jakiejś dziewczyny? Jak się panu wydaje, że to brzmi?

– Ale tak właśnie było.

Pankov prawie się rozplakał.

– Co on takiego na ciebie miał, że się zgodziłeś?

– Nic, było mi go zwyczajnie żal. Stracił kogoś, kogo kochał, kto był dla niego całym światem; nie muzyka, tylko ona.

Pogubił się, nie radził sobie, pił. Chodził wiecznie smutny, zamyślony...

– Co jeszcze dla niego zrobiłeś?

– Nic.

– Na pewno?

– Absolutnie. Powiedział, że nikomu nie stanie się krzywda.

– Jak zorientowałeś się, że dzieje się inaczej?

– Ginęły dziewczyny, które były na tamtym pokazie. To nie mógł być przypadek. Widziałem relację spod domu na Tree Garden Road... Kelly... ją też pamiętam.

– Kogo jeszcze?

– Anne, piękna dziewczyna, rzadka uroda. Szkoda, że wyszła wcześniej. Wydawała się miła.

– Nie dotarła na imprezę w pokoju Rosie Orlando?

– Nie, a ja tak. Liczyłem, że się tam spotkamy, ale kiedy przyszedłem, jej już nie było. Siostra powiedziała mi, że Anne nie mogła zostać, bo następnego dnia czekało ją ważne spotkanie.

– Jakie, pamiętasz może?

– Niestety.

– A inne dziewczyny?

– Rozpoznałem je na zdjęciach w telewizji.

– Wcześniej spotkaliście się za kulisami?

Pankov potwierdził skinieniem.

– Przyjechały przed pokazem, zaprosiła je Rosie. Wchodziły, gdzie chciały. Śmiały się, sęczyły drinki, ale nie przeszkadzały. Moja siostra i Nina oczywiście nie piły, nie przed wyjściem na wybieg. Rosie chyba też. Ja kręciłem się wokół, sprawdzałem, czy wszystko gra. Odpowiadałem za dekoracje.

– W ramach stażu, to się akurat zgadza. Czy coś się wtedy wydarzyło?

– Co na przykład?

– Coś, na co zwróciłeś uwagę.

– Nie. Dziewczyny bawiły się w swoim gronie. Rosie oprowadziła je, potem usiadły razem, ale tylko na chwilę: Anna i Nina miały obowiązki, podobnie zresztą Rosie. Po pokazie odbyło się małe przyjęcie w sali bankietowej, potem zabawa przeniosła się do hotelu. Modelki miały się tam pokazać, a następnie spotkać w pokoju Rosie.

– Ty też byłeś zaproszony?

– Jako brat Anny, tylko dlatego.
– Skąd one w ogóle się znały?
– To w zasadzie tajemnica.
– Panie Pankov, czy jest pan świadom swojego położenia? – zapytał trochę zbyt patetycznym tonem Snow.

– Okej. – Oleg Pankov uniósł ręce. – Z kliniki.
Keane spojrział na Snowa, ten również już wiedział.
– O jaką klinikę chodzi?
– Klinikę Chirurgii Plastycznej w Southampton.
– Proszę wskazać wszystkie osoby obecne wtedy w pokoju Rosie Orlando.
– To nie będzie trudne. Te trzy ofiary, Anna, ja i jeszcze – zmrużył oko – trzy dziewczyny...

Twarze Snowa i Keane'a natychmiast zmieniły wyraz.
– Trzy dziewczyny... – powtórzył Snow. – Jest pan pewien?
– Tak... chyba Kate... Naomi... – zastanowił się – nie, to była Molly... tak, Molly i...
Amelia.

– Pamięta pan nazwisko tej ostatniej?
– Nie.
– Proszę się postarać, może pan sobie przypomni?
Pankov pokręcił głową.

– Na pewno nie. Może Anna zna ją lepiej? – dodał po chwili.
Keane chyba pomyślał o tym samym, bo od razu wybrał numer modelki i ich opuścił.

– Czy w tym samym składzie powiększonym o Anne Faezi dziewczyny spotkały się wcześniej za kulisami?

– Anne przyjechała jako pierwsza, ale potem wyszła coś załatwić i wróciła dopiero na pokaz.

– Nie było tam nikogo więcej? Żadnych osób towarzyszących?
Oleg Pankov zaprzeczył.

– Panie Pankov, jeździł pan kiedyś gokartem?
– Nic o tym nie wiem – odparł. – Mówiłem już Belgom.
– W jednym znaleziono włos należący do pana.

– Który mógł zostać przeniesiony, nawet celowo – zauważył Banks. – Mój klient przyznał się do kontaktów z Wardem, a temu byłoby zapewne na rękę zrobić pana Pankova. Odsunąłby w ten sposób podejrzenia od siebie. Co zresztą nawet mu się udało.

– To się jeszcze okaże.



– Nic – odezwał się Keane, kiedy Snow do niego wyszedł. – W agencji powiedzieli, że Anna przebywa w Nowym Yorku, ale jej telefon milczy.

– Nie mamy powodów, by mu nie wierzyć.

Keane kiwnął głową.

– Panowie – powiedział technik Gary Shotton, który wyłonił się zza rogu. – Musicie to zobaczyć.

Kiedy zbliżyli się do siebie, Shotton wyświetlił slajd na ekranie tabletu.

– Co to jest? – zapytał Snow.

– Widzisz przecież, karta zgonu Niny Collins.

– No tak, ale tu jest napisane – podjął Keane – że przyczyną jej nagłej śmierci była arytmogenna kardiomiopatia prawej komory serca...

– Zastąpienie miocardium tkanką włóknisto-tłuszczową... – dodał Snow. – Co to wszystko znaczy?

– Mniej więcej tyle, że w szpitalu zmieniono wersję wydarzeń – odparł Shotton. – Właśnie odzyskałem dane z dysku twardego ich komputera, zostały wykasowane i zastąpione historią o przedawkowaniu leków.

– Dlaczego? – wtrącił Keane. – Pomyłka, przypadek?

– Nie wierzę w przypadki – odburknął Snow. – Kto podpisał się pod pierwotnym brzmieniem dokumentu?

– Niejaki – Shotton przewinął obraz – doktor Christopher Gray.

– To nie ten sam, który... – podjął Keane.

– Pod ostateczną wersją, tak – dokończył Snow. – Tamten nazywał się Stokes.



Chloe Clarke jechała do Southampton na sygnale, ale trzy przecznice przed celem wyłączyła syrenę. Zdziwiła się, gdy przed oryginalnym domem zobaczyła piaskowe porsche inspektora Keane'a. O zamianie wprawdzie wiedziała, ale nie spodziewała się zastać tu Mary, która mogła przecież uciec już daleko stąd.

– Dzień dobry, czy pani Mary Lloyd? – zapytała, kiedy otworzyła jej szczupłą brunetka.

– Tak, to ja... a o co chodzi?

– Sierżant Chloe Clarke. – Pokazała legitymację.

– Pani po samochód? – Odwróciła się i podniosła kluczyki z komody. – A co z moim?

- Ja w innej sprawie.
 - Aha, słucham.
 - Oleg Pankov twierdzi, że nie ukradł pani samochodu, ale pożyczyła mu go pani – powiedziała Chloe wprost.
 - Nonsens. Kłamie.
 - Czy zgodziłaby się pani na konfrontację z nim?
 - Oczywiście, nawet chętnie, o ile tylko obowiązki mi na to pozwolą.
 - Czyli nie wie pani, w jaki sposób zabrał samochód?
 - Wiem tyle, ile mi mówicie.
- Dziewczyna albo dobrze grała, albo była niewinna. To zbiło Chloe z tropu.
- Tak myślałam, ale musieliśmy sprawdzić.
 - Rozumiem. Coś jeszcze?
 - Nie...
 - Kiedy oddacie mi auto?
 - Niebawem, może nawet wieczorem.
 - Super, przyda mi się.

Przed werandą stał tajemniczy mężczyzna o niezwykle bladej cerze, można by rzec, że miał karnację topielca. Ubrany był w nieco za luźną czarną marynarkę, koszulę i spodnie w tym samym kolorze, na nogach lśniły mu czarne lakierki. Stał prosty i dumny, w pewnym momencie uśmiechnął się, mówiąc:

– Dzień dobry, pan pozwoli, że się przedstawię, nazywam się Nicholas Stokes. Proszę wybaczyć to najście. Pragnę jednak zapewnić, że nie ośmielałbym się zajmować pańskiego czasu bez prawdziwie ważnego powodu.

John Ward dobrze pamiętał wędrownego kupca, który pewnej wiosny zjawił się na ganku domu jego rodziców w Barnards Green z zamiarem nabycia oddziedziczonej po prababci maszyny do szycia firmy Singer.

W pogodne sobotnie popołudnie na spółkę z ojcem wynieśli ją przed garaż i oliwili, gdy zwabiony wonią smaru lub czystym przypadkiem właściciel sklepu z antykami z Coventry w jednej chwili truchtał przez ogródek pełen czerwonych tulipanów, a w drugiej kręcił już metalową korbką zabytkowego urządzenia, obserwując ruch igły, po czym od razu złożył ofertę.

Kiedy w odpowiedzi usłyszał, że państwo Ward nie sprzedadzą rodzinnej pamiątki za żadną cenę, odporny na wiedzę próbował negocjować. Po dłuższej dyskusji, a raczej monologu, zorientował się wreszcie, że nic nie wskóra i dobrowolnie opuścił podjazd, pozostawiając po sobie nie do końca pozytywne wrażenie.

Wysoki i szczupły jegomość przebył dość daleką drogę od szosy do polany, gdzie John Ward przed dwoma laty pobudował dom, i choć wyglądem nie przypominał tamtego handlarza, na pewno nie ustępował mu determinacją.

– John Ward, miło mi. – Zrobił trzy kroki naprzód i wyciągnął rękę. – Muszę uczciwie uprzedzić, że mam wszystko, czego mi potrzeba, no może z wyjątkiem kruchych ciasteczek – zaśmiał się uprzejmie – i na pewno nic od pana nie kupię, ale chętnie zaproszę na zieloną herbatę. Właśnie miałem zaparzyć. – Przesunął się w bok i wykonał zapraszający gest.

– Dobrze się składa, drogi panie, bo ja niczego nie sprzedaję. Daleko tu do pana, a moje nogi już nieco nie domagają i szczerze powiedziawszy, trochę się zmęczyłem. Ów chiński specjał najlepiej powinien pomóc.

– Zapraszam – powtórzył John Ward.

Wkroczywszy na werandę, chwycił za brzegi folii pokrywającej drewniany stół na trzech wymyślnych nogach i umiejętnie złożył ją na połowę, uważając, aby nie rozsypać kurzu, a potem jeszcze trzy razy, aż zmniejszył przezroczystą błonę do rozmiarów pudełka na buty. Odłożywszy zawiniątko na szafkę z pięcioma szufladami, spostrzegł, że starszy dżentelmen składa w kostkę płachtę rozpostartą na drewnianej ławce. Kiedy ten poczuł na sobie wzrok młodego mężczyzny, odwrócił się do niego, nie zaprzestając jednak działania.

– Nie śmiałybym uzurpować sobie przywilejów gospodarza. Chciałem jedynie pomóc, ale nie dorównałem, pomimo usilnych starań, pańskiemu kunsztowi. – Wskazał nieforemnie pozaginane tworzywo i zrobiwszy kilka szybkich kroków, umieścił kabłąkowany kształt obok równo załamanej folii, którą uformował John Ward.

– Dziękuję. Proszę usiąść. I chwilę poczekać. Może pana zmartwię, nie czerpię ze skarbów żadnej z sześciu słynnych prowincji Chin kontynentalnych, o których pan wspominał.

– Poprawność polityczna czy walory smakowe?

– Najlepiej jak sam pan oceni za kilka minut. Przygotuję napar z plonu kenijskich pól herbacianych, a konkretnie z listków krzewów uprawianych w zachodniej części kraju, w pobliżu kotliny Jeziora Wiktorii, mającego, co pocieszające, wielce dobroczynny wpływ na tamtejsze plantacje.

– Widzę, że trafiłem na konesera. W bardziej odpowiednich rękach nie mogłem się chyba znaleźć. Los mi najwyraźniej sprzyja.

John Ward zdjął z kuchenki czajnik z gotującą się wodą i odczekał kilka chwil. Pamiętając o uprzednim schłodzeniu wrzątku, zaparzył w dzbanku grube i gładkie liście, a po dwóch minutach odcedził. Następnie powtórnie je zalał, nie podgrzewając wody, której temperatura spadła o kolejnych kilkanaście stopni. W piekarniku znalazł posrebrzaną tacę, na której zaniósł gotowy napój wraz z cukiernicą i dwoma łyżeczkami na werandę.

– Przepraszam, że musiał pan tak długo czekać – powiedział w progu. Gdy szedł, sztucce podskakiwały na tacy z cichym brzękiem.

– Może straciłem rachubę czasu, ale w moim mniemaniu pobił pan rekord paryskich kafejek. Wszystko trwało co najwyżej mniej niż trochę.

John Ward nalał gościowi herbaty i rozparł się wygodnie na rozpieczętowanym krześle. Stokes zaś bez zbędnej zwłoki spróbował herbaty.

– Jedno i drugie, drogi panie – wyartykułował śpiewnie zaraz po przełknięciu.

– Słucham?

– Doprawdy wyborna, a do tego wspiera pan eksport naszych wschodnioafrykańskich braci. Bravo!

– Ach, tak. *Harambee* – rzekł John z nienagannym akcentem w języku suahili.

– Proszę?

– „Pracujmy razem”.

– Dobra dewiza – odparł wyraźnie zadowolony. – Nie chciałbym narazić się zbytnim wścibstwem, ale zdążyłem zauważyć, że cechuje pana typowe dla miejscowych przyjazne usposobienie, więc jednak zapytam.

– Proszę się nie krępować.

– Skąd ta znajomość afrykańskiej mowy?

– Po prostu lubię wiedzieć.

– Hm. Rozumiem. Ciekawe. – Zrobił dwa małe łyki. – Jak w takim razie brzmi w oryginale filizanka gorącej herbaty typu Marinyn?

– *Kikombe cha chai ya moto aina ya Marinyn* – przetłumaczył bez mrugnięcia okiem.

– Wie pan co? Artykulacja równie przyjemna dla ucha jak wykwintny smak zaserwowanego właśnie wyrazistego naparu dla podniebienia. Ta lekko owocowa, cytrusowa nuta, genialne!

– Nie sądziłem, że zna pan tę odmianę – odparł zaciekawiony. – Pierwszy zbiór zupełnie nowego szczepu, z przełomu stycznia i lutego. Wprawdzie pochodzi sprzed dwóch lat, ale dotąd nie trafił do masowej produkcji. Mimo smaku.

– Na wyspie nietrudno wpaść na pasjonatów herbaty.

John Ward pokiwał głową, rozgrzewając się swoją porcją.

– Jak zaznaczyłem na samym początku – zaczął Stokes tym samym łagodnym tonem, który towarzyszył mu od przywitania – przychodzę do pana z istotnego dla nas obu powodu. – Pozostając w kontakcie wzrokowym z współrozmówcą, poczuł, jak ten wstrzymuje oddech. – Przez kilka dni, góra tydzień, zatrzymam się w Malvern.

– Piękne miejsce na urlop, lepiej nie mógł pan wybrać. Nikt nie wyjeżdża stąd zawiedziony.

– Teza zaiste prawdziwa, jednak nie przyjechałem tutaj na wakacje. Proszę by mnie pan wysłuchał. – Mężczyzna zrobił krótką pauzę i podrapał się po skroni.

– Wobec tego proszę mówić wprost.

– Chciałbym jednak zostać dobrze zrozumiany.

– Nie wątpię.

Stokes przełknął ślinę.

– Znał pan panią Ninę Collins.

John Ward poruszył się na krześle.

- A pan skąd...?
- Nieważne – przerwał mu Stokes.
- Ważne, dla mnie ważne. Nawet bardzo.

Pochylił się do przodu.

- Spotykaliście się państwo, prawda? – spytał Stokes.

- Panie Stokes – Ward podniósł głos – nie dosłyszałem, z ramienia jakiej instytucji przyjechał pan się tutaj wygłupiać? Skąd się pan właściwie wziął i kim jest?

- Działam we własnym imieniu. I nie, nie zwariowałem, co pan może zaraz pomyśli. Jednakże przyjąłem założenie, że – zająknął się – pani Collins została – potarł boczną część czoła, gubiąc spojrzenie zaintrygowanego Warda – zamordowana – odchrząknął – co zamierzam udowodnić – dokończył jednym tchem.

John Ward poderwał się na równe nogi, trącając dłonią filizankę, która spadła ze spodka i potoczyła po gładkim blacie. Zatrzymał ją Stokes, gdy zdążyła całkowicie się opróżnić. Potem zamilkł w bezruchu, nie przejawiając żadnych emocji.

- Na co pan liczył, przychodząc tutaj? – zapytał Ward.

- Przede wszystkim na to, że nie odprowadzi mnie pan do drzwi jednym długim prostym. Bo ma pan ochotę, dobrze zgaduję?

- Dedukcja, jak widzę, godna podziwu.

John Ward oparł się plecami o futrynę i założył ręce na piersi.

- Proszę pójść z tym na policję – powiedział.

- Niestety, nie mogę.

- Dlaczego?

- Boję się.

- Kogo?

- Nie mogę powiedzieć.

- Czego pan ode mnie oczekuje?

- Dwóch rzeczy. Odrobiny zaufania i współpracy.

- To chyba zbyt wiele. Proszę mnie teraz uważnie posłuchać. Nina miała wrodzoną wadę serca, arytmogenną dysplazję prawej komory, jeśli orientuje się pan w terminologii medycznej...

- W jakiejś mierze.

- Zastanawia mnie jedno: jak pan dowiedział się o chorobie Niny? Nie pisały o tym gazety. Nie w szczegółach.

- Zapoznałem się z dokumentacją medyczną.

- Co pan zrobił? Jest pan z policji? Ze szpitala?

- W pewnym sensie. O ile mi wiadomo, Nina nie brała leków na tę przypadłość.

Ward przytaknął.

- Ani żadnych innych.
- Mnie pan nie musi przekonywać. Ja nie wierzę w postawioną tezę.
- Nie mieliśmy pojęcia o chorobie.
- Dowiedziałem się u źródła, że pierwsze poważne oznaki schorzenia nie nawiedzają dzieci, ale osoby pełnoletnie, między dwudziestym a czterdziestym rokiem życia.
- Wszystko się zgadza. Myślał pan, że sam tego nie sprawdziłem?
- Chorem podaje się medykamenty i zaleca unikanie większych wysiłków fizycznych – dodał, nie zwracając uwagi na wtrącenie. – Jednak autor raportu nie uwzględnił ani jednej z dwóch składowych moich podejrzeń. Po pierwsze, zaburzenia funkcjonowania mięśnia sercowego tego typu ujawniają się już u niemowląt w postaci rogowca. Rozmawiałem z pediatrą pańskiej wybranki, a prywatnie koleżanką jej babki, z którą zresztą również się widziałem, i obie nie przypominają sobie takich zmian na dłoniach czy stopach, a wciąż mają dobrą pamięć, co potwierdziła karta pacjentki.

John Ward wstał, przeszedł się po słonecznej werandzie i oparł plecami o framugę drzwi, rozstawiając szeroko nogi. Nie odezwał się ani słowem.

- Nastolatkom cierpiącym na kardiomiopatię – kontynuował Stokes – zwykle zdarzają się omdlenia na szkolnych boiskach czy salach gimnastycznych. Nic takiego nie miało miejsca w przypadku pańskiej wybranki. Doktor Wendy Smith nadal trzyma każdą wzmiankę o dolegliwościach wszystkich osób, które choć raz zwróciły się do niej o poradę, w metalowej szafce na kółkach w swoim dawnym gabinecie. Roi się tam teraz od zdjęć wnucząt. Proszę sprawdzić.

Stokes zrobił przerwę.

- Ponadto wśród krewnych, a nawet powinowatych Niny nie odnotowano zgonów w młodym wieku, abstrahując od jednego utonięcia i kolizji motocykla z latarnią, co chyba powinno komuś dać do myślenia...

Odchrząknął.

- Jak pan słusznie zauważył, ARVD należy do grupy chorób dziedzicznych. Jeśli pani Nina Collins dostałaby to świństwo w spadku, niechybnie dotarlibyśmy do winowajcy.

- Napije się pan wina? – wtrącił zniecierpliwiony Ward.

- Dziękuję, nie powinienem.

- A ja się napiję.

Ward wrócił po chwili z chilijskim czerwonym półsłodkim, które odkorkował po drodze, i napił się, radząc sobie bez kieliszka.

Wewnątrz zapachniało chłodnym haustem dojrzałego i pełnego w smaku napoju z dojrzewających w słońcu Doliny Colchagua winogron, o aromacie śliwek

z subtelnym akcentem cynamonu.

- Co skłoniło pana do zagłębienia się w niuanse tego przypadku?
- Drugi z impulsów nakreślenia omawianej koncepcji, a mianowicie motyw.
- Niech pan mówi.

Ward obszedł pomieszczenie i ponownie usiadł naprzeciwko gościa. Ten przez moment obawiał się, że zostanie zdzielony butelką w głowę, lecz nic takiego się nie stało.

– Przykro mi, ale nie powinienem ryzykować. Proszę sobie nie myśleć, że w trosce o swoją skromną osobę. Bynajmniej...

Usta Johna Warda ułożyły się w cienką kreskę.

- Okoliczności śmierci Niny badała policja.
- Sugeruje pan nieomyślność aparatu ścigania czy jego nieprzekupność?
- Raczej pańskie zamiłowanie do mocno wydumanych teorii spiskowych.
- Drogi panie, przechodząc do sedna sprawy – Stokes wślizgnął się ze swoją kwestią
- widzę, że nic pan nie rozumie, więc nie będę dłużej się naprzykrzał.
- Aha, i teraz zostawi mnie pan z tym? Tak po prostu?
- Ostatnia rzecz.

– Tak?

– Czy znalazł się może laptop pani Niny?

– Dlaczego pan pyta?

– Każdy szczegół ma znaczenie. Więc jak?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Ech... – westchnął Stokes. – Trudno zatem.

Mężczyzna wstał i zapiął marynarkę.

– Dziękuję za gościnę, panie Ward.

Wyciągnął rękę.

John Ward przez chwilę wahał się, ale ostatecznie uściśnął mu dłoń.

– Aha, byłbym zapomniał – rzekł Stokes, odwracając się w progu. – Zostawiłem panu moją wizytówkę na stoliku.

– Mhm.

– I jeszcze jedno. Czy mogę?

– Proszę.

– Uważam, że istnieje ewentualność... choć to tylko jedna z hipotez...

– Panie Stokes?

– Nina... nie wiemy, czy ona na pewno nie żyje.

John Ward popatrzył na starszego mężczyznę z głębokim politowaniem.

– Rozumiem.

- Czyżby? – rzucił Stokes wypchnięty za drzwi. – Chyba jednak nie.
- Panie Stokes, dopiero co twierdził pan, że Ninę zamordowano. Teraz nagle ożyła.

Proszę już iść.

- Ale to nie...
- Bardzo proszę.

Ward zamknął drzwi i przekręcił zasuwę.

– A co jeśli to wszystko było mistyfikacją?! – krzyknął. – Ludzie znikają, panie Ward. Każdego dnia.

Może Stokes dodał coś jeszcze, ale Ward już tego nie słyszał. Zaszył się w głębi domu z otwartą butelką wina i swoimi myślami.



Mnich wcisnął pauzę na odtwarzaczu i zrobiło się cicho.

- Nie powiedział nic więcej? – spytała sierżant Clarke.
- To jego ostatnie słowa.
- Niewiele mówił.
- Wręcz przeciwnie. Myślę, że nastąpił przełom. John wreszcie się otworzył.
- Wcześniej nie wspominał o Ninie?
- Nie że w ogóle, ale mało. Wszystko znajduje się w nagraniach, o które pani prosiła.

Chloe Clarke zerknęła na białą płytę w pudełku przed sobą.

– Tak, ale jestem ciekawa odczuć brata jako terapeuty. Z jakich powodów doktor Rowe oddał swojego pacjenta?

– Nie chodziło o względy medyczne ani inne problemy, jeśli o to pani pyta. Harvey wyjechał na Malediwy. Przejąłem jego pacjentów. Wszystkich dwóch.

– Na urlop?

– Niestety, na dłużej. Pewnego dnia oznajmił mi, że wypalił się zawodowo i kupił chatkę nad oceanem. Zresztą tutaj pracował społecznie, mieliśmy umowę, zgodnie z którą mógł odejść, kiedy chciał.

– Chyba Johna stać na najlepszego lekarza? – spytała Chloe i dodała prędko: – Proszę wybaczyć, nie to...

– I miał takiego – uśmiechnął się mnich. – Sam go opłacał. A do tego pełną dyskrecję i swobodę, na jakich najbardziej mu zależało. Ja zaś świetnego specjalistę, który objął opieką innego potrzebującego.

– Czy John przejawiał żal do Niny?

– Kochał ją, choć rozstali się jakiś czas temu. Nie winił nikogo za rozpad ich związku. Poza pracę, oczywiście. Częste wyjazdy, rozłąka, zainteresowanie mediów... Niełatwo w takich warunkach zbudować coś naprawdę trwałego.

– Byłby w stanie zrobić jej krzywdę?

– John? Gdzież tam! Był zrozpaczony, że spotkało ją coś tak strasznego. Nigdy nie myślał o sobie, lecz o niej. Pozwolił Ninie odejść, kiedy zaczęła się męczyć, a on nie umiał temu zaradzić. Wpadła w pułapkę emocji, stała się zazdrosna. Nie widywali się całymi tygodniami, w ciągu których w prasie pojawiały się różne informacje... Kiedy John zaczął nagrywać z Taylor Swift, zrobiło się jeszcze trudniej. Spekulacje dotyczące ich wydumanego romansu nie dawały Ninie spokoju.

– Zwykle plotki – mruknęła Chloe.

– Wie to pani, wiem i ja, ale uczucia nie są dobrym doradcą, a Nina kierowała się sercem. Stąd lęk, że go straci. Wszystko, co wydarzyło się później, to już efekt działania samospelniającej się przepowiedni. Smutny cykl.

– Na czym polega?

– Powiedzmy, że ma pani pewne oczekiwanie czy inaczej, jakąś teorię dotyczącą danej osoby, na przykład przypisuje pani komuś, iż śmiertelnie obraził się na panią. Albo po prostu pani nie lubi. Zachowuje się pani wtedy względem tej osoby zgodnie z owym oczekiwaniem lub teorią: skoro ona nie chce się do mnie odzywać, i ja się do niej nie odezwę; w końcu sama tego chciała. Osoba ta odpowiada na pani zachowanie w podobny sposób, czyli również unika kontaktu z panią, bo po co zadawać się z kimś, kto nas nie akceptuje, a w dodatku okazuje to nam. Reakcję owej osoby na niechęć, skądinąd naturalną, postrzega pani jako dowód potwierdzający wskazane na początku oczekiwanie. I krąg się zamyka. Co najlepsze, przecież to pani sprowokowała takie, a nie inne zachowanie osoby, która być może, przyjęłaby zupełnie inną postawę, gdyby nie bodziec w postaci pani stosunku do niej. Wystarczyło odnosić się do dziewczyny normalnie, aby zachować przyjaźń lub nawiązać dobre relacje. Proroctwo, jak skonstatowała kiedyś George Eliot, to najbardziej niepotrzebny rodzaj błędu.

– Zdiagnozował pan również Ninę.

– Przynajmniej jej wyobrażenie, jakie ma John. To może nie być to samo – zaznaczył mnich. – I najpewniej nie jest.

– Do czego pan zmierza?

– Niech mnie pani źle nie zrozumie, to tylko teoria.

– Proszę wyjaśnić.

– John widział w Ninie anioła, bo ją kochał, ale jaka była naprawdę, nie należy pytać jego. Tylko tyle.

40

Terry Snow spoczął na twardym krześle obitym pikowaną skórą i złożył dłonie w piramidkę.

Wpatrywał się w grube tomiska i mniej opasłe książki, a także zupełnie cienkie publikacje ułożone – jak dało się zauważyć – objętością tekstu na wszystkich ośmiu półkach masywnego regału ze zdobieniami przedstawiającymi lupę, wagę, miecz, paragraf i młotek sędziowski.

– Muszę umorzyć postępowanie – powiedział siwiejący mężczyzna, przenosząc wzrok z kartki, którą miał w dłoni, na inspektora. Potem usiadł naprzeciwko niego, za topornym biurkiem z mahoni.

– Owszem – odparł Snow – nie Oleg Pankov stoi za zabójstwami kobiet.

– Na podstawie tego, co przed chwilą usłyszeliśmy, nie można mu postawić nawet zarzutu pomocnictwa.

– Zgadza się.

Snow spojrział na tył monitora komputera, gdzie wyświetlał się zatrzymany kadr z przesłuchania Olega Pankova.

– Szkoda, że dopiero teraz.

– Panie sędzio, przyzna pan, że zebrane dowody mówią co innego.

– Co do waszych metod zaś... – wtrącił sędzia Griffin. – Podejrzany miał zostać postawiony przed sądem i tu złożyć zeznania, a nie w komendzie. Nie pierwszy raz bawi się pan po swojemu, czego już nie sposób dłużej akceptować.

– Proszę wybaczyć, ale liczyła się każda sekunda. Zawsze, aż do udowodnienia winy i uprawomocnienia się orzeczenia ją stwierdzającego, należy przyjmować, że istnieje inna odpowiedź. Pankov sam oddał się w ręce policji, a to mi nie pasowało. Musiałem założyć, że zabójca wciąż przebywa na wolności, czyli kobietom w mieście i okolicach nadal grozi wielkie niebezpieczeństwo. Podjąłem działania, które uznałem za słuszne.

– Które pan uznał za słuszne – przerwał mu szorstko sędzia.

– Tak, przyznaję.

Inspektor Snow wytrzymał infiltrujące spojrzenie sędziego Williama Griffina.

– I miał pan rację.

– Naprawdę? – Terry Snow nie krył zdziwienia.

– Przecież pan dobrze wie – odparł Griffin. – Dziewczyna wspomniana przez Pankova znalazła się już pod ochroną, jak mniemam?

– Amelia Feeney przebywa na wymianie studenckiej w Sydney. Odkąd wyjechała do Australii pod koniec wakacji, nie zawitała do Portsmouth. W święta to rodzice pojechali do niej. Wraca pod koniec następnego tygodnia, będziemy przygotowani.

– Być może tylko dlatego wciąż żyje...

Snow kiwnął głową.

– Co macie na tego Warda?

– Zeznanie Pankova to nie jedyny dowód na jego udział w sprawie, są też inne. Przede wszystkim oświadczenie Hayley Chiby, modelki, która znalazła broń, z której zastrzelono potem dwie pierwsze ofiary.

– Potem?

– Tak, pistolet wpadł w jej ręce w listopadzie ubiegłego roku.

– Wpadł jej w ręce? – powtórzył zdumiony sędzia.

– Doszło do pewnego incydentu na stacji w Sholing, czy to teraz ważne?

– Nie, jeśli pan tak uważa.

– Chiba twierdzi, że przekazała broń Wardowi.

– Zatem nie ma na co czekać. Należy wydać nakaz aresztowania. Później ewentualnie wystąpić z wnioskiem o ekstradycję.

– Podjąłem już odpowiednie kroki.

– Spodziewałem się tego.

– Ward leczył się w ośrodku odwykowym, gdzie nie ma obowiązku stałego przebywania, ale prowadzi się rejestr wejść i wyjść. Jak ustaliliśmy, Ward pojawiał się tam w okolicach dni zabójstw i potem wyjeżdżał. Swą nieobecność tłumaczył pracą, co rzeczywiście się zgadza, niemniej jednak mamy potwierdzenie, że fizycznie mógł to zrobić. Na dokładkę dowiedzieliśmy się o fascynacji Warda ordaliami, czyli...

– Wiem, panie inspektorze, czym były sądy boże – uśmiechnął się Griffin.

Snow spróbował odwzajemnić uśmiech, co wyglądało jednak na grymas bólu. Potem szybko przeszedł do rzeczy:

– Ofiary zaś na niedługo lub co najmniej kilka dni przed śmiercią poddawano tego rodzaju próbom.

– Czyli wszystko jasne. Wiemy, co mamy robić.

– No to do roboty.



Gdy Charlie Keane zaparkował przed klubem fitness, było już ciemno, ale za szklaną fasadą budynku rysowały się tylko cienie ćwiczących, bo odpowiednio przyciemnione szyby zapewniały im względną anonimowość.

Inspektor pokazał legitymację w recepcji i przeszedł wąskim przejściem między strefą cardio a salą, gdzie grupa dziewczyn ćwiczyła zumbę, oraz kolejną, w której prowadzono zajęcia z jogi dla par. Wtedy dotarł do strefy wolnych ciężarów. Tam rozejrzał się i dostrzegł Mary Lloyd trenującą z wielką jak na zgrabną dziewczynę sztangą.

Ominął wyciskających ciężary na ławkach płaskich i skośnych, następnie machających hantlami oraz robiących pompki na poręczach i podciągających się na drążku z ogromnymi łańcuchami na szyjach.

Na końcu znajdowała się przestrzeń dla trenujących ze sztangami. Potężni mężczyźni rwali je, podnosili w martwym ciągu, wiosłowali nimi w opadzie czy wreszcie toczyli przed sobą oparci na kolanach, rozciągając się i zmuszając do wyętej pracy mięśnie brzucha.

W samym rogu z żelastwem szarpała się Mary. Dziewczyna, pochylona do przodu i z wypiętymi pośladkami, przyciągała sztangę do brzucha podchwytem, by w następnym ruchu przenieść ją nad głowę, opuścić na wysokość klatki piersiowej i znowu podnieść wysoko na wyprostowanych rękach, co powtórzyła trzykrotnie. Potem, nie opuszczając ciężaru, zrobiła trzy przysiady i kolejne trzy z gryfem na barkach. Po chwili w tej pozycji pokłoniła się trzykrotnie, formując między nogami a tułowiem kąt prosty. Gdy grube talerze dotknęły w końcu maty, Mary, nie odrywając dłoni od metalu, wyrzuciła nogi w tył i wróciła do pozycji wyjściowej. Po ośmiu energicznych seriach zatrzymała się w fazie izometrycznej ruchu i zrobiła jeszcze osiem pompek. Gdy skończyła, wstała i sięgnęła po ręcznik zawieszony na stojaku na ciężary i stojącą na podłodze wodę.

– Pięćdziesiąt jeden funtów razy dwa? – zdziwił się Charlie, czytając oznaczenia na talerzach założonych na gryf, z którymi przed chwilą tańczyła Mary.

Dziewczyna odwróciła się i odsłoniła twarz skrywaną przez moment w ręczniku. Poza nią świeciła się od potu na całym ciele, ale wyglądała świetnie. Czarno-żółte legginsy podkreślały jej nienaganną sylwetkę, sportowy biustonosz w tych samych kolorach zaznaczał obszar między twardym brzuchem i smukłymi, lecz wyrzeźbionymi ramionami z zaznaczoną linią barków.

– Plus waga gryfu, jakieś dwadzieścia dwa... – odparła zziębnięta.

Jej mięśnie, choć nieduże i pasujące do kobiecej figury, odznaczały się w każdym fragmencie ciała.

– Nie ma mowy – rzekł Keane.

– Proszę spróbować.

Inspektor spojrział na wyzwanie i pokiwał głową.

– Śmiało. Tylko niech pan nie zrobi sobie krzywdy – uśmiechnęła się frywolnie.

- Wolę nie.
- Ale dlaczego? – odrzekła przekornie.
- Innym razem. To jakieś szaleństwo.
- Tak pan sądzi? – roześmiała się.
- Ta sztanga waży więcej niż pani.
- Dokładnie tyle samo.

Charlie pokręcił głową.

- Mam pani auto.
- A ja pańskie.
- Widziałem, po to przyjechałem.

Mary podniosła kartę leżącą obok butelki i wręczyła ją policjantowi.

- Szafka numer dwanaście. Kluczyk jest w torebce, w lewej przegrodzie. Proszę je zamienić i odnieść mi kartę.

- Oczywiście.

- Aha – powiedziała, gdy Keane zdążył się odwrócić. – Znaleźliście coś w samochodzie? Coś pozwalającego na namierzenie złodzieja...

Keane zastanowił się.

- Nie – odpowiedział wreszcie.

Mary tylko kiwnęła głową.

- Szkoda – odparła i przyjęła pozycję wyjściową, po czym uniosła sztangę.

Keane zagaił po drodze jedną z trenerek:

- Może mi pani pomóc?

Pokazał kartę Mary, swoją legitymację służbową i wytłumaczył, o co chodzi.

Potem zczekał przed szatnią.

- Proszę – powiedziała, podając mu torebkę.

Keane wyjął z niej kluczyk od porsche i tam, gdzie go znalazł, zostawił ten od peugeota.

- Dziękuję.

- Pańska znajoma trenuje bardzo ostro, ale pan chyba pierwszy raz u nas?

Trenerka miała krótkie spodenki i obcisłą koszulkę termiczną zapiętą pod szyję, bardzo długie nogi, spięte włosy i ładny uśmiech.

- Pierwszy.

- I jak wrażenia? – spytała, odprowadzając go do wyjścia.

- Najlepsze, na pewno tu wrócę.

- Kiedy? – zalotnie odrzuciła do tyłu puszysty blond koński ogon.

Keane uśmiechnął się.

- A kiedy pani pracuje? – spytał, podejmując flirt.

– To zależy, popołudniami prowadzę pilates, ale przeprowadzam też treningi personalne.

– Jak można się z panią umówić?

– Najlepiej telefonicznie.

Zabrała jedną z wielu wizytówek w recepcji i wsunęła mu ją do kieszonki koszuli na piersi.

– Rzeczywiście przyda mi się kilka wskazówek eksperta. Zainteresowało mnie parę rzeczy.

– Co na przykład?

– Jak to możliwe, że szczupła dziewczyna dźwiga takie ciężary?

– Mówi pan o swojej znajomej? Proszę ją zapytać.

– Wolę zapytać panią.

– Kwestia wytrenowania. Ćwiczenia siłowe wcale nie muszą prowadzić do nadmiernej rozbudowy masy mięśniowej. Wręcz przeciwnie, modelują sylwetkę, zwiększając jednocześnie siłę i wytrzymałość. Zastępują tłuszcz jędrnym ciałem. Wpływają też na poprawę wydolności organizmu, a ta odgrywa kluczową rolę na przykładu podczas nurkowania.

– Dlaczego pani o tym wspomina? – Keane nagle oprzytomniał.

– Nurkowałyśmy kiedyś razem.

– Z Mary? Naprawdę? Gdzie?

– W pobliżu wyspy Wight.

– A w Zatoce Wraków?

– Też. Jak każdy, kto nurkuje.

– Uhm. Zadzwoń. Na pewno.



Gdy Chloe Clarke dotarła na kampus City należący do University of London, świeciło piękne słońce. Studenci przesiadywali na trawie wokół budynków; jedni pracowali w grupach lub czytali samotnie i słuchali muzyki, inni śmiali się i żartowali.

Sierżant Clarke odnalazła salę, w której zajęcia właśnie miały dobiegać końca, i zajrzała do środka: była to pracownia komputerowa, wszyscy tkwili jeszcze na miejscach, wpatrując się w ekrany monitorów, tylko niektórzy wystukiwali szybki rytm na klawiaturach komputerów. Chloe szybko zamknęła drzwi i oparła się łędźwiami o ścianę przy wejściu. Po chwili we wnętrzu rozległo się szuranie krzesel i studenci zaczęli wychodzić na korytarz, mówiąc po kolei „do widzenia”, na co prowadząca warsztaty za każdym razem odpowiadała tym samym.

– Claire – odezwała się Chloe, lekko łapiąc drobną brunetkę za ramię.

Ta odwróciła się z niezadowoloną miną i zmierzyła ją wzrokiem.

– Chloe? – odparła, po czym, nie czekając na odpowiedź, powiedziała koleżance, że przyjdzie później, lecz nie wyjaśniła, gdzie mają się spotkać. Dziewczyna jednak najwyraźniej doskonale wiedziała, bo skinęła głową i odeszła bez słowa.

– Dziękuję, że zgodziłaś się poświęcić mi chwilę.

– Czego pani chce?

Wyszły na dziedziniec.

– Radzę ci zmienić ton.

– A jeśli nie? – odrzekła buńczucznie.

– Wtedy przekwaterujemy cię do aresztu tymczasowego.

– Nie wystarczy wam, że za mną jeździcie? I cały czas wystajecie pod domem? – Ostatnie pytanie zadała ściszym głosem, bo na chodniku panował spory ruch.

– Wiesz chociaż dlaczego?

– Nie.

Usiadły na ławce pod bardzo starym drzewem, trochę na uboczu.

– Może dlatego, że pomogłaś mordercy pozabijać ofiary?

– Nie miałam o tym pojęcia!

– Ale nie jesteś zdziwiona.

Claire Roach odchyliła się na oparcie.

– Oglądałam wiadomości, zaczęłam kojarzyć fakty. Tylko wtedy było już po wszystkim.

– Mam w to uwierzyć?

– Nie musisz, ale to prawda. Pójdę do więzienia?

– Na pewno, ale może nie na długo, jeśli nam pomożesz.

Claire wyglądała na przybitą.

– Chcę uniknąć odsiadki.

– Nie ty dyktujesz tu warunki. Możesz zapomnieć o studiach i życiu, jakie znasz. Przykro mi.

– A jeśli wam go wystawię? Przecież wciąż jest poszukiwany, prawda?

– Tak, a wiesz dlaczego? Bo ostrzegłaś go, pomogłaś mu w ucieczce.

– Nieprawda.

Chloe uśmiechnęła się zgryźliwie.

– Myślisz, że jesteś taka cwana? Namierzylismy twój SMS. Ostrzegłaś go!

Claire wyglądała na zdziwioną.

– Robiłam, co musiałam, aby chronić mamę i siebie. Bałam się. Zrozumiałam, do czego on jest zdolny.

– Miałaś obowiązek opowiedzieć o wszystkim policji. Zapewnilibyśmy wam ochronę.

– Jasne...

– Wiesz co, Claire? Jesteś zwykłą egoistką, zależy ci tylko na sobie.

– Mylisz się.

– Naraziłaś matkę, aby uciec od odpowiedzialności. Wiedziałaś, że wydając Johna, obciążysz również samą siebie.

– Nie! – krzyknęła Claire, aż przechodzący nieopodal studenci odwrócili się jak na komendę.

– Robiłam to dla innych dziewczyn, aby nie skończyły jak moja siostra.

– A więc to była zemsta.

– Nie rozumiesz.

– Wobec tego wyjaśnij mi. Proszę, słucham.

– Oleg wszystko mi opowiedział. O Ninie, o podejrzaniach Johna...

– Laura zginęła przez tych samych ludzi co Nina? Tak uważasz?

– Przez ten ich nędzny, marny świat iluzji i podstępów. Ja nie myślałam, że stanie się coś złego. John... on miał tylko dać im nauczkę, ale nie w ten sposób. Mówił o zbieraniu dowodów, o własnym śledztwie... Policja nie chciała znaleźć sprawcy. Nawet go nie szukali.

– Tak ci powiedział? Co za głupoty...

– Czyli co, może było inaczej?

– Klinika Chirurgii Plastycznej w Southampton, mówi ci to coś?

– Dostanę mniejszy wyrok?

– Zadałam pytanie.

– Okej, włamałam się tam, dobrze? Mieli dane modelek, o które chodziło... ich adresy... To nie było trudne.

– Co dalej?

Chloe starała się nawiązać kontakt wzrokowy z Claire, ale ta wciąż go gubiła.

– Dom przy Tree Garden Road.

– Rozbroiłaś alarm?

– Na odległość. Miał kamerę, widziałam to, co on. Mówiłam, co ma robić.

– Pomogłaś mu też w Zatoce Wraków.

– Tak – przyznała Claire.

– Znasz się na gokartach?

Dziewczyna przewróciła oczami.

– Zamontowałam w jednym urządzenie umożliwiające jego zdalne sterowanie.

– Za pomocą pilota?

– Też. Ale w tym przypadku jeden gokart miał śledzić drugi, zachowując minimalną odległość od niego, podążać jego ścieżką ruchu na zasadzie wagonika, tyle że bez zaczepu. Dzięki temu jedna osoba mogła kierować dwoma gokartami jednocześnie.

– Podobno oglądasz telewizję? Relacja z Tree Garden Road obiegła cały kraj. Dlaczego po tym się nie wycofałaś?

– Wtedy już nie miałam wyboru.

– Co to znaczy?

– Bałam się, nie wiedziałam, co się dzieje, dlaczego... nagle ocknęłam się w samym centrum tej tragedii, jakiegoś wielkiego szaleństwa... Byłam współwinna. A mogłam stać się kolejną ofiarą. Nie miałam dokąd pójść, kogo się poradzić, poprosić o pomoc. Przynajmniej tak wówczas myślałam.

– A teraz?

Claire pocięły łzy po policzkach.

– Zmienił telefon. Próbowałam zlokalizować go, ale nie da rady. Nie mogę wam pomóc.

– Masz na myśli kartę SIM?

– Nie, aparat. On jest dziwny.

– Kto? John?

– Wydawał się normalny, ale kiedy spotkałam go ponownie...

– Tak?

– To było jakoś w lutym lub na początku marca, na pewno po odnalezieniu ciała w Zatoce Wraków. Przechodził ulicą, ja byłam w kawiarni z koleżanką, siedziałyśmy przy oknie. Zobaczył mnie, niepotrzebnie się wtedy spojrzałam... Potem odwróciłam wzrok, ale mimo to wszedł i się przywitał. Wesoły, uśmiechnięty, jak gdyby nigdy nic. Pytał, co słyszać, jakbyśmy nie kontaktowali się od dawna. Jakby nasze spotkanie z Olegiem było pierwszą i ostatnią relacją między nami.

– Jak się potem porozumiewaliście?

– Telefonicznie lub mailowo.

– Nie spotkaliście się już?

– Nie twarzą w twarz. Do kliniki też poszłam sama.

– Dlaczego?

– Tak było łatwiej.

– Ale słyszałaś jego głos?

– Oczywiście, chociaż...

– Co?

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz?

– Kiedyś, przez chwilę, ale krótką. Rzeczywiście, miałam wrażenie, że jest zniekształcony, tylko że w tle strasznie wiało i...

– Czy mogłaś rozmawiać z kimś innym?

Claire zastanowiła się.

– Podczas włamania do domu przy Tree Garden Road szeptał, z oczywistych względów... W sumie... jest to możliwe.

– No to nieźle – westchnęła Chloe.

– Chociaż nie – podjęła Claire po chwili.

– Dopiero było tak.

– Wszystko mi się już miesza. To przez ten stres. Przychodzisz tu i straszysz mnie więzieniem.

– Czyli to moja wina? Rozmawialiście czy nie?

– Tak.

– Na pewno?

– Rozmawialiśmy, nawet nie raz, teraz pamiętam... Czułam wtedy, że coś jest nie tak.

– Za każdym razem?

– Chyba nawet tak.

– Co wzbudziło twoją podejrzliwość?

– Może nie tyle podejrzliwość, co lekką irytację bycia ignorowanym.

– Teraz to już nic nie rozumiem.

– Czasem źle intonowałam słowa i zdania. Całkiem często.

– Claire, co ty w ogóle opowiadasz? – jęknęła Chloe zrezygnowana.

– Pamiętam jak dziś – zarzekła się Claire. – W tej chwili już tak. Przypomniało mi się.

– Co takiego?

– Nieoczekiwane zmiany tonu i barwy głosu, nielogiczny rozkład akcentów, jakby zaczynał wypowiedź radosny, kończył zamyślony lub... nie wiem, jakiś inny. Nikt tak nie mówi.

– Nikt normalny?

Claire się zamyśliła.

– Tak... – odparła krótko.



Bradley Owen pocił się w wiatrówce założonej na koszulę, lecz nie mógł się rozebrać przez panujący w kabinie helikoptera ścisk.

– Otóż, panie Owen – podjął siedzący obok mężczyzna w garniturze – zaiste, wystąpił błąd.

– W diagnozie?! – krzyczał, bo świst wirnika zagłuszał jego słowa.

– Nie sądzę, raczej pomyłono badania i wysnuto całkiem trafne wnioski, lecz na podstawie wyników innego pacjenta.

– Konkretnie zrobił to doktor Gray – wtrącił Owen.

– Który już u nas nie pracuje.

– To z powodu tego błędu pan go zwolnił, panie dyrektorze?

– Nie – odparł mężczyzna i urwał, przytrzymując się okna, bo maszyną mocno bujnęło.

– Zatem dlaczego?

– Sam odszedł, przeniósł się do Chelsea i Westminster, gdzie objął stanowisko ordynatora.

– A ten błąd?

– Zdarza się, najważniejsze, że w porę został wykryty i naprawiony. Oczywiście, nie obyło się bez komisji etyki, ale sprawę zamknięto bez orzekania o winie. Stąd możliwość tak szybkiego awansu.

– Jak Stokes wykrył problem?

– Zajmował się tym drugim przypadkiem. Albo i nie, nie pamiętam dokładnie, w każdym razie poszedł z tym od razu do Graya. Jako jego przełożony miał taki obowiązek. Ja dowiedziałem się ostatni.

– Ale Stokes też już u was nie pracuje?

– I również bez związku ze sprawą pani Collins. Przeszedł na emeryturę. Teraz wędkuje gdzieś w zachodniej Anglii i niczym się nie przejmuje.

– Podchodzę do lądowania – powiedział pilot i zaczął gwałtownie zniżać pułap. W dole przewijały się drogi i budynki, korony drzew i place, aż minęli linię wody. Gdy przelecieli na drugi brzeg rzeki, helikopter nie wiadomo kiedy, usiadł na lądowisku na dachu szpitala.

– Pan wybaczy, ale obowiązki wzywają.

Obaj siedzący z tyłu z Owenem mężczyźni wysiedli czym prędzej, zabierając ze sobą pojemniki na narządy.

– Powodzenia! – krzyknął Owen i ruszył za nimi do windy, tylko dużo wolniej.

Wcześniej spojrział na panoramę miasta. Gdzieś w oddali rysował się stalowy most Chelsea, łączący zamożną dzielnicę, od której wziął swoją nazwę, z leżącym na południowym brzegu Tamizy okręgiem Battersea.



Czarny Chevrolet wspinał się pod stromy podjazd wąską uliczką otoczoną drzewami, lecz nie palmami, które dominowały niżej, nad oceanem, ale iglakami i najróżniejszymi rodzajami bujnych, wysokich roślin liściennych, biegnącą dołem między wzniesieniami z okazałymi domami schowanymi w gęstym lesie. W oddali, na zboczu łańcucha górskiego po południowej stronie lśnił w słońcu biały napis „HOLLYWOOD”.

– Czteryśta jeden, to tutaj – stwierdził mężczyzna siedzący w fotelu pasażera, a kierujący skręcił na podjazd, na którym zatrzymał się tuż przed szeroką fasadą wolnostojącego garażu, składającą się z trzech połączonych bram. Wyżej, do rozłożystej wille prowadziły wijące się schody oraz winda łącząca garaż z holem, zintegrowana ze skalną ścianą.

Mężczyźni wysiedli z samochodu i kierowca nacisnął przycisk domofonu; w tej okolicy wszyscy mieli ogrodzenia, mniej lub bardziej proste metalowe albo niższe bądź wyższe mury porośnięte pnączami, czasem odsłonięte.

Nikt jednak nie odpowiadał.

– Musimy to sprawdzić – powiedział pasażer.

– Słyszałeś coś? – zapytał ten drugi, na co krótko ostrzyżony brunet zmarszczył czoło.

Wokół cicho szumiały trawy i drzewa, rozlegał się radosny śpiew ptaków, miło odzywał się wiatr niosący subtelną woń kwiatów.

– Coś, co uprawniałoby nas do wejścia na posesję, a może nawet do budynku? – dodał.

– Kevin, czy sugerujesz, że powinniśmy...

– Nie wiem, ale słyszałeś, o co jest podejrzany.

– Podobnie jak to, że w szpitalu sprawca nosił maskę i skaner rysów twarzy nie pomógł. Wszystkie domniemane dowody pozostają w sferze domniemań i domysłów, a my zamierzamy włamać się do gościa, który zrewolucjonizował muzykę pop i którego stać na prawnika gotowego dobrać się nam do skóry w ciągu kwadransa.

– Bez przesady, zaraz tam włamać. Jesteśmy z policji.

– Myślałem, że bez przesady odnosi się do „zrewolucjonizował” – zaśmiał się i poprawił krawat.

– Fakt faktem, opuścił kilka ważnych spotkań, nie pojawia się w studiu nagraniowym, mimo że sam je zarezerwował, co dotąd mu się nie zdarzało...

– Właśnie, Michael, nigdy do tej pory... ale co to właściwie znaczy w tym środowisku? Przychodzi moment, że coś w człowieku pęka i zaczyna brać różne świństwa, pić wszystko, jak leci...

– To tylko potwierdza tezę o potrzebie interwencji.

- Trochę naciągana ta teoria, nikt nie łamie prawa, a zagraża co najwyżej sobie.
 - I co, pozwolisz mu zaćpać się na śmierć?
- Kevin popatrzył w górę w stronę domu.
- No dobra, chyba ktoś potrzebuje pomocy.
 - Słyszałeś coś? Ja też, ale nie byłem pewien...
 - Ja jestem, wchodzimy.

Kiedy pierwszy z mężczyzn przeskakiwał przez furtkę, zrobiono im pierwsze zdjęcie. Drugie i kolejnych piętnaście po chwili.

Za rogiem kryła się postać z aparatem fotograficznym, którego obiektyw zmiennoogniskowy bezgłośnie regulował ostrość i wysunął się, przechodząc w tryb teleobiektywu. Zza migawki ktoś podśmiewywał się do siebie, chrumkając jak mała świnka. Kiedy agenci zniknęli jej z oczu, otworzyła walizkę, z której od razu wyjęła części drona, składając je w jedną sekundę w całkiem sporą maszynę. Śmigła zaczęły się obracać i w mgnieniu oka bezzałogowy statek powietrzny poderwał się pionowo do lotu w kierunku willi wzniesionej na górze, u podnóża której znajdował się w momencie startu. Sterująca nim widziała obraz z kamery na ekranie wbudowanym w pilot. Przez chwile milczała, skupiając swoją uwagę na zadaniu, ale niewiele później, odnalazłszy obu mężczyzn, znowu zaczęła wydawać z siebie krótkie chrapliwe dźwięki.

Co to jest? – spytał Keane znad laptopa, kiedy Snow rzucił przed niego gazetę.

– Czytaj!

– „John Ward zabójcą ze szpitala”? – przeczytał Keane. – Co to ma być?

– To ja się pytam.

– Mnie? – Spojrzał na Snowa z nieukrywanym zdziwieniem. Kiedy ten nie odpowiedział, wrócił do czytania. – „W środę rano policja weszła do willi kompozytora, gdzie, jak przypuszczano, ukrywał się on przez ostatnie dni” – zacytował podpis pod zdjęciem przedstawiającym dwóch mężczyzn: jednego idącego schodami w górę ku posiadłości wznoszącej się w oddali, drugiego przenoszącego nogę ponad furtką. – „Departament policji w mieście Los Angeles podjął próbę zatrzymania Johna Warda w ramach współpracy z policją z Wielkiej Brytanii, podejrzanego o zabicie trzech młodych kobiet w Portsmouth, dystrykcie położonym na południowym wybrzeżu Anglii.”

– A teraz to – otworzył przed nim poranne wydanie „The Sun”. – Spójrz na pierwszą stronę.

Keane przewrócił kartę i ujrzał wielki portret Warda obok tłustego hasła „SERIAL KILLER?” i słów napisanych znacznie mniejszą czcionką: „Or his another victim...”

– Widzisz – Snow stuknął palcem w zdjęcie i napis w prawym górnym rogu, a na ekranie laptopa pojawił się komunikat błędu „404 Not Found”.

– Hej, pod spodem jest klawiatura. – Keane wcisnął przycisk Escape i przywrócił poprzednie ustawienia strony wczytanej w trybie offline.

– „Today we play” – przeczytał Snow.

– Szefie, istnieje życie poza pracą, naprawdę. To, że Anglia podejmuje dzisiaj Niemcy na Wembley, wie każdy dzieciak w Europie i na świecie, który choć trochę interesuje się piłką nożną lub czymkolwiek albo i niczym, ale chociaż ogląda telewizję.

– Nie o tym mówię, Charlie. Jedna czwarta. Widzisz? – Snow ostentacyjnie przyłożył linijkę do wzmianki o meczu, a następnie zmierzył główny tytuł. Nie starczyło skali. – Gramy w finale Mistrzostw Europy, u siebie, największy sukces od sześćdziesiątego szóstego, a na pierwszej stronie zamieszcza się jedynie zajawkę, która w dodatku zajmuje tylko niecałe dwadzieścia pięć procent miejsca? – Snow, wzburzony, wypowiedział całą kwestię na jednym wdechu, więc przy końcu brakowało mu już powietrza, lecz dzielnie dotrwał do ostatniego słowa i silnie zaakcentował pytajnik.

– Dalej jest już lepiej – mruknął Keane, kiedy otworzył gazetę na stronach numer cztery i pięć. Widniało tam ogromne hasło „COME ON BOYS!” i zdjęcie całej pierwszej jedenastki wykonane przed meczem półfinałowym z reprezentacją Hiszpanii, rozegranym na przebudowanym London Stadium, w obecności dziewięćdziesięciu pięciu tysięcy ludzi.

– Dobre żarty – warknął Snow. – Wszyscy poznali tożsamość naszego głównego, a raczej jedyne podejrzanego.

– Może i dobrze.

– Co? Ty chyba oszalałeś?! Teraz Ward już wie, że go szukamy. Straciliśmy przewagę.

– Mieliśmy ją od początku miesiąca i jakoś nie pomogło. Od teraz nigdzie nie może czuć się bezpiecznie. On wie o nas, ale i ludzie wiedzą, co mógł zrobić. Nie darują mu. Ktoś w końcu zadzwoni. Może nawet Ward sam w panice popełni błąd i da się nam namierzyć.

– Może masz rację. Tylko jak my się z tego wytłumaczymy...

Snow dreptał przed biurkiem.

– My? To Amerykanie dali się podejść jakiemuś *paparazzo*. Normalnie jak dzieci. Jakby nie wiedzieli, gdzie są i do kogo jadą – stwierdził Keane, po czym wsunął nowy model pistoletu marki Smith & Wesson do kabury przyczepionej do jednego z pasków szelek operacyjnych.

Potem zarzucił na ramię skórzaną kurtkę w stylu elegancki grunge i zszedł na parking, skąd odjechał grafitowym range roverem. Po drodze zabrał młodą sierżant Chloe Clarke, która tego dnia zasnęła i spóźniłaby się do pracy, gdyby Snow nie powiedział jej, żeby wcale nie przychodziła, tylko pojechała od razu na lotnisko.

Przed głównym wejściem do terminalu pasażerskiego na uprzywilejowanych miejscach stały dwa radiowozy i identyczny range rover jak ten, który prowadził Keane.

– Są wcześniej – zauważyła Chloe.

– I prawidłowo, my też.

– Uhm, lot ma opóźnienie – powiedziała, przeglądając stronę portu lotniczego na tablecie trzymanym na kolanach – ale tylko kwadrans.

– Dlaczego?

– Nie podają – odparła, na co Keane się uśmiechnął. – Okej, jak chcesz. – Zalogowała się do policyjnego systemu internetowego i wpisała hasło. – Samolot panamskich linii lotniczych poprosił o pozwolenie na wcześniejsze lądowanie z uwagi na kończące się paliwo i został przesunięty od razu na pierwsze miejsce w kolejce do zejścia.

– W porządku.

W punkcie powitań zobaczyli dwóch funkcjonariuszy ochrony lotniska, czterech policjantów w mundurach i trzech znanych Keane'owi tajniaków z National Crime Agency, specjalnej policji zajmującej się zwalczaniem poważnych przestępstw oraz – a może przede wszystkim – zapobieganiu im. To z nimi poprzedniego dnia uzgadniali z inspektorem Snowem szczegóły dzisiejszej operacji.

Mężczyźni rozstawili się we wnętrzu zgodnie z przyjętym schematem, starając się nie przykuwać uwagi.

– Też wybrała sobie dzień na powrót – jęknął jeden z nich.

– Jak jej się w ogóle udało? – odezwał się drugi.

– Zamieniła się z kimś, kto chętnie przyleciał wcześniej. Sama już ponad pół roku temu kupiła bilet na piątek.

– Ale zdążymy na mecz, co? – spytał ten pierwszy.

– Panowie, dopiero dochodzi dziesiąta. – Keane, sprawdzwszy godzinę, rozłożył ręce. – Macie bilety?

– Ja nie – mruknął mundurowy.

– Co ty... może uda się chociaż wcisnąć do jakiegoś baru – powiedział drugi z NCA.

– Nie liczyłbym na to, my idziemy do strefy kibica. – Wskazał na kolegę w marynarce założonej na cienki golf, który stał w pewnej odległości i zerkał w kierunku hali odlotów.

– A ty?

– Mam – odparł Keane z wyczekującą miną.

– No jasne... – odrzekł pierwszy, jakby się tego spodziewał, i klepnął inspektora w ramię, a potem odszedł, badając teren.

Chloe, czując się trochę nieswojo w ich towarzystwie, podeszła do jedynej kobiety, którą oprócz niej oddelegowano do tego zadania.

– Gadają o meczu? – zapytała, gdy Chloe się zbliżyła.

– A jak inaczej.

– Miasto jest zapchane, ale może obędzie się bez niespodzianek – niby ubrała te słowa w formę stwierdzenia, ale w jej głosie dało się wyczuć pytanie.

– Nie mamy żadnych nowych informacji.

Niewiele później zjawili się państwo Feeney, rodzice Amelii, z jej starszą siostrą.

– Pojadą państwo oddzielnie, z nami – powiedział Keane.

– Tak, wiemy, chcieliśmy się tylko przywitać – odparł pan Feeney, postawny jegomość o przerzedzonej czuprynie, dzierżący bukiet kolorowych tulipanów w rękach.

– Nie widzieliśmy się tak długo – dodała jego żona.

– Oczywiście.

Samolot w końcu wylądował i wszyscy pasażerowie, wśród których była Amelia, zdążyli opuścić pokład. Pan Feeney i Keane zajęli się walizkami, podczas gdy Amelia w dyskretnej asyście policji opuściła terminal.

Funkcjonariusze starali się trzymać na dystans, nie rzucać w oczy. Cały czas obserwowali, co dzieje się dookoła. Pilnując przestrzeni wokół ochranianej dziewczyny, jej matki oraz siostry, tworzyli możliwie największy okrąg, który momentami spłaszczal się w elipsę o wyjątkowo nierównych półosiach. Amelia miała być jego środkiem, policjanci w mundurach punktami płaszczyzny euklidesowej. Keane zaś i inni ubrani po cywilnemu krążyli pomiędzy nimi, po liniach cięciwy, średnicy i promieni. Służby ochrony lotniska poruszały się natomiast po stycznych. Przez pole powierzchni koła przewijały się tłumy podróżnych, co znacznie ułatwiało zachowanie pozorów, ale też kazało być wyjątkowo czujnym.

W ten sposób wyszli na parking i bezpiecznie powiadali do samochodów. Na miejscu zostali tylko funkcjonariusze na stałe pracujący w porcie.

Kolumna poruszała się płynnie, aż do wjazdu do tunelu kolejowego, przed którym się zatrzymała.

– Co się dzieje? – zapytał wtedy gorączkowo pan Feeney. – Dlaczego stajemy?

Na wąskiej uliczce w międzyczasie zamknięto ruch.

– Proszę zachować spokój – odparła Chloe. – Wszystko przebiega zgodnie z planem.

Stali zderzak w zderzak z range roverem, którym wraz z obstawą podróżowała Amelia.

Dwie postacie w odblaskowych kombinezonach roboczych ustawiły rampę, która w połączeniu z pozostałymi podobnymi sobie elementami utworzyła prowizoryczny mostek szerokości rozstawu kół samochodu osobowego, biegnący ponad barierkami w dół nasypu. Po chwili nadszedł pociąg towarowy, jednak nie z normalną prędkością, lecz o wiele wolniej i ciągle hamując, jakby dotarł właśnie do stacji przeznaczenia. Zatrzymał się tak, że lokomotywa i większość składu znalazły się w tunelu, podczas gdy dwa wagony-lawety wystawały na zewnątrz.

– Co to ma być? – zapytał Feeney.

– Niech pan się nie martwi – powiedziała sierżant Clarke.

– Ja się nie martwię, tylko pytam.

Keane wyglądał, jakby miał ochotę wysadzić wścibskiego pasażera, więc Chloe próbowała uspokoić sytuację.

– Przejdziemy tunelem pod centrum, bo w tej części miasta panuje teraz duży tłok. Tak będzie bezpieczniej – powiedziała.

Pani Feeney złapała męża za rękę i ten zrezygnował z dalszych pytań, mimo że już się do nich przymierzał.

Pierwszy radiowóz zjechał na platformę bez pomyłki, równie pewnie za nim ustawił się Range Rover.

Kiedy Keane pokonywał kładkę, samochodem bujało, nieodzowne było też wrażenie zapadania się, jednak po paru sekundach znaleźli się w wyznaczonym miejscu. Od razu po tym, jak radiowóz pilnujący tyłów wjechał na wagon, pociąg ruszył.

Ujechali niespełna ćwierć mili, gdy nagle od kopulastego sufitu tunelu oderwał się cień i spadł prosto na pierwszego range rovera.

– Co to? – odezwał się przez radio jeden z jadących w nim policjantów.

– Nie wiem, jakaś płachta – odparła Chloe Clarke. – Sprawdzę.

Gdy sierżant Clarke wysiadła i wyciągnęła broń, na zewnątrz wyłonił się również policjant z pierwszego range rovera oraz funkcjonariusz drogówki z radiowozu ustawionego przed nim.

– Coś płaskiego – relacjonowała sierżant Clarke.

Keane otworzył drzwi i rozejrzał się, osłaniając tyły w zespół z załogą drugiego radiowozu.

– Nie człowiek?

– Na pewno nie.

– Nikogo nie widzę – meldował policjant z przodu, świecąc latarką po materiale rozpostartym na dachu range rovera.

– Zdejmuję – powiedział agent, chowając pistolet do kabury, a po chwili padły strzały.

Błyskało się i huczało, kanonada sięgała wagonu, radiowozu zamykającego konwój oraz obu range roverów.

– Amelia! – krzyknął pan Feeney. Jego żona piszczała, nie formułując słów, Keane zablokował tylne drzwi.

Agent dowodzący akcją kazał maszyniście przyśpieszyć i pociąg nie od razu, ale jednak szybko rozpędził się, gubiąc rozszalały ogień za sobą.

W ciągu paru sekund zrobiło się zupełnie cicho.

– Dalej się trzyma?

– Tak – odparł Keane i nakazał policji zamykającej ruch na drodze biegnącej przy wjeździe do tunelu obstawienie jego wylotu oraz wyjść ewakuacyjnych, szybów wentylacyjnych, przejść, korytarzy oraz wszelkich szczelin, którymi zdołałby precisnąć się człowiek. W odpowiedzi otrzymał komunikat, że słyszano strzały i już przystąpiono do działania.

– Już po wszystkim – powiedziała Chloe do leżącej na podłodze pani Feeney, dotykając jej karku. Natychmiast musiała jednak cofnąć rękę i wychylić się

z pistoletem przez opuszczoną szybę, bo agent z pierwszego range rovera polecił jej, żeby go osłaniała.

– Ściągnę wreszcie to coś – dodał.

Mężczyzna chwycił za kawałek materiału i pociągnął z całych sił, lecz ten fragmentem przywarł do lakieru, jakby przyklejony, i dało się go jedynie podwinąć i jeszcze bardziej zmierzwić i poskręcać.

Pęd powietrza targał cienką, ale mocną tkaniną, szeleszczącą złowieszczo, oraz ludźmi poprzyczepianymi do drzwi samochodów. Chloe i policjant z radiowozu oświetlali płachtę, czarną, śliską, błyszczącą, falującą na wietrze. Agent zmagał się z nią, aż wtem wyjechali z tunelu i nieznośnie białe światło uderzyło ich po oczach.

– Widzicie coś więcej? – zapytał agent.

– Nie.

– Nic.

– Zatrzymujemy się? – wtrącił policjant obecny w kabinie maszynisty.

– Tak, trzymamy się planu.

Pociąg przemierzył jeszcze półtorej mili, nim wytracił prędkość i stanął przy pomoście przypominającym ten, po którym przedtem dostali się na wagon. Tym samym sposobem teraz zjechali z lawety na ulicę.

– Co to jest? – spytała Chloe, badając wzrokiem czarną płachtę. – I skąd się tam wzięło?

– Dobre pytanie – zauważył Owen.

Załoga pierwszego range rovera wysiadła w dwóch trzecich, chcąc w końcu pozbyć się balastu, gdy barierę tamującą ruch za ich plecami przebiła ciężarówka. Rozległ się głośny trzask, któremu wtórował potężny ryk silnika.

– Jedź, jedź, jedź! – krzyczeli agenci jeden przez drugiego, wpadając do środka.

Radiowóz zamykający konwój odłączył się i przeciął drogę wielkiemu mercedesowi, lecz srebrny ciągnik nic nie robił sobie ze strzałów w koła i chłodnicę. W ogóle nie zwalniał. Kule nie trafiały w opony, lecz w felgi, asfalt i nadkola. Utykały w karoserii, kracie chłodnicy, przebijały obudowy reflektorów, odbijały się od zderzaka, ale żadna nie wydo była z silnika dymu i nie odebrała srebrnemu potworowi mocy. Ciągnik bez naczepy staranował przód policyjnego forda, tak że ten obrócił się dwukrotnie wokół własnej osi, a jego części rozleciały się wokół. Funkcjonariusze zdążyli odskoczyć na boki i dalej strzelali z pozycji leżącej. Ciężarówka pędziła jednak dalej, rycząc i wypuszczając czarny dym z rur wydechowych.

– Kieruj się na most – polecił agent dowodzący kierowcy radiowozu torującego kolumnie drogę.

Ten i tak miał taki zamiar, co wynikało z przyjętego planu, ale też z logiki, bo niby od głównej trasy A3025, na której się znaleźli, opuszczając tunel w okolicach Kingsway i uciekając dwupasmową Saint Mary's Place w stronę murowanego Mostu Centralnego, będącego w zasadzie estakadą, z jakiej teraz zjeżdżali (agentowi chodziło o inny most, Itchen, dzielący nazwę z rzeką, nad której korytem przebiegał), odchodziły szeroka Saltmarsh Road oraz północny odcinek Albert Road, czyli droga B3038, jednak głupotą byłoby pchać się z powrotem do miasta i ciągnąć za sobą rozpędzoną ciężarówkę. Co więcej, ciągnik nie przecisnąłby się przez punkt poboru opłat zlokalizowany przy wjeździe na most po jego drugiej stronie. Kioski i automaty ustawione były tam za wzmocnionymi stalową konstrukcją szerokimi bandami z cegły. Pomiędzy nimi zaś mógł zmieścić się tylko samochód osobowy bądź motocykl.

Państwo Feeney mieszkali przy Weston Grove Road, a więc od razu na drugim brzegu, lecz zmiana punktu docelowego stanowiła nie tylko potrzebę wynikającą z zaistniałych okoliczności, lecz również normatywnie przewidziane następstwo wystąpienia problemów. Nie zanosilo się więc na to, że szybko dotrą do domu.

– Potem jedziesz dalej – polecił dowodzący na potwierdzenie. – Policja już ustawia blokadę.

Radiowóz piął się w górę podjazdu z niebywałą lekkością i stu trzydziestoma milami na liczniku. Tuż za nim trzymały się dwa range rovery, w odległości dziesięciokrotnie mniejszej, niż ta, którą pokonuje samochód z tą prędkością w ciągu sekundy.

Wściekle łopoczący materiał na dachu pierwszego z nich szczęśliwie nie zsunął się na żadną z przednich szyb. Mogłoby to doprowadzić do tragedii, gdyż kolumna poruszała się zygzakiem, wymijając pojazdy, które zjeżdżały na prawy bądź lewy pas, umożliwiając jej przejazd pustym torem.

– Jesteśmy gotowi – zameldował głos przez radio.

– Trzy samochody, jeden radiowóz został – przekazał dowodzący.

– Zrozumiałem. Jak tylko przejedziecie, zamykamy zaporę.

– Czysto?

– Ktoś siedzi na latarni nad czwartym filarem, ale chyba robi sobie zdjęcie, bo trzyma w ręku telefon.

– To nie selfie... – zdążył odrzec dowodzący, gdy tył radiowozu podskoczył, jakby wjechał na próg zwalniający, choć jego przednie koła nie natrafiły wcześniej na nierówność.

Ford zarył przodem w asfalt i posypały się iskry, gdy nagle metalowa płyta uniosła się wyżej, zwiększając kąt z dziesięciu do przynajmniej trzydziestu stopni.

Przypominała teraz krótszą wersję rampy, z której wybijają się motocykliści lub narciarze podczas zawodów, aby skakać jak najdalej albo robić triki, z tą różnicą, że przechylała się w bok, ku krawędzi mostu.

Range rover wjechał na nią i wyrzuciło go w powietrze, leciał zwrócony lewymi drzwiami w dół, ściągany w kierunku latarni, którą jednak ominął z zapasem czterech, pięciu stóp. Przefrunął nad barierkami na lewym boku, przekręcając się jednak stopniowo na dach.

Keane przeniósł się w tym czasie w powietrzu dwadzieścia pięć jardów dalej, odbił się od krawężnika i zahamował po kolejnych dwudziestu, ustawiając SUV-a w poprzek jezdni. Radiowóz zaś koziołkował, gubiąc części, aż rozbił się na betonowej krawędzi mostu.

Drugi range rover spadał prosto do wody. Znajdował się poniżej poziomu przęsła, gdy materiał połączony czterema przyssawkami z jego dachem eksplodował i rozwinął się w wielką czaszę, stawiając opór przyspieszeniu ziemskiemu. Agentami i Amelią szarpnęło w górę i w bok, co nie było przyjemne, ale ustawiło samochód w poziomie i znacznie zmniejszyło szybkość spadania. To zamieniło się ze swobodnego w kontrolowane.

– Odsuń wszystkie szyby – polecił dowodzący kierowcy. – Kiedy wpadniemy do rzeki, elektryka może zawieść...

– Nie powinna – wtrącił nerwowo kierowca, wykonując rozkaz.

– ...a pod wodą ciężko jest otworzyć drzwi. Amelio – odwrócił się do niej – gdy powiem, wstrzymasz oddech, a później wyciągnę cię stąd, dobrze?

Dziewczyna pokiwała głową, choć do oczu napływały jej zły i trzęsła się, nie mogąc wypowiedzieć słowa.

– Pod wodą staraj się jak najdłużej nie oddychać.

Wtedy postać siedząca nad lampą latarni skoczyła nogami w dół, wprost za range roverem. Keane, który pomagał Chloe upewnić się, że z państwem Feeney wszystko jest w porządku, a jednym okiem obserwował okolicę, widział to, lecz musiał zająć się ciężarówką, bo ta w końcu ich dogoniła. W sukurs ruszyło mu kilku policjantów i razem unieszkodliwili mechanicznego potwora, zamieniając jego opony w strzępy, a silnik w sito oraz chmurę dymu. Mercedes ucichł z sykiem i przeciągłym, żalonym dźwiękiem.

Skoczek dogonił spadającego range rovera i nim zrównał się z nim, zdradził swoją pozycję, a także naraził się na postrzał, wrzucił do środka przez uchyloną szybę jedną puszkę, potem od razu drugą. Z obydwu przedmiotów natychmiast buchnął siwy gaz i choć agenci złapali je i chcieli czym prędzej wyrzucić za okno, nie zdążyli, bo

wcześniej w ułamku sekundy posnęli. Osunęli się bezwładnie na oparcie, drzwi i kierownicę.

Postać wyprzedziła samochód, pociągnęła za sznurek i otworzył się jej spadochron, ale zrobiła to za późno i zamiast wyhamować w powietrzu, z impetem uderzyła w przepływającą barkę, konkretnie w przykrytą plandeką stertę towarów. Ta okazała się jednak miękka, bo skoczek lekko ześlizgnął się po niej na lewą burtę, gdzie stanął na nogach.

Chwilę potem Keane przystąpił do kolejnego ostrzału, tym razem nie barki, jak sądzili świadkowie, ale range rovera, czego owocem było przerwanie dwóch z czterech lin spadochronu. Tył pojazdu gwałtownie się obniżył i samochód zamiast lekko opaść na statek, gruchnął o jego pokład z siłą, która wbiła hak holowniczy w dno, tak że to pękło. Po sekundzie barka wpłynęła pod most, stając się niewidoczna dla spoglądających z góry policjantów. Nabierała jednak wody i to w stosunkowo szybkim tempie, nieprzerwanym strumieniem.

Kierujący ciężarówką miał na głowie kask rajdowy, podobnie jak skoczek. Opuściwszy kabinę, przebiegł przez chodnik i rzucił się przez ramię i barierki w dół, w koryto rzeki. Kiedy znalazł się w wodzie, trochę minęło, nim wypłynął na powierzchnię, jakby lekko zdezorientowany skokiem z tak dużej wysokości, lecz w końcu przedostał się pod most.

Barka wcale nie wypłynęła z drugiej strony, jak wszyscy sądzili, ale skrzyła, ustawiając się prostopadle do linii brzegowej, i skoczek rzucił cumę, a następnie wyłowił kierowcę ciężarówki. Gdy tylko wciągnął go na pokład, przebiegł na tył barki, wybił się i przeskoczył na mniejszą łódź holowaną na krótkiej linie. Przewożono tam ładunek przykryty podobną plandeką, jak ten na barce, lecz zajmujący o wiele mniej miejsca.

Postać ściągnęła kawał płótna, odsłaniając dwuosobową motolotnię, z drugim fotelem ustawionym w linii za pierwszym, tylko nieco wyżej. Skoczek obejrzał maszynę, upewniając się, czy nie doznała żadnych uszkodzeń. Wcześniej kierowca ciężarówki wyciągnął Amelię z range rovera za rękę i skleił jej nadgarstki taśmą. Podobnie zrobił z nogami. Potem z pomocą współnika przeniósł dziewczynę na łódź, gdzie posadzili ją w motolotni, na miejscu dla pasażera.

– Nie zatonełaby tak szybko – rzuciła Chloe z pozycji leżącej, gdy wychylała się za krawędź mostu.

Skoczek zasiadł za sterami i uruchomił silnik, jego partner w tym czasie przypiął dziewczynę pasami.

– Słyszysz? – zapytała sierżant Clarke.

Keane nawet nie zauważył, kiedy na moście zjawił się Owen, który nie uczestniczył w akcji. Agent dopadł do wozu strażackiego zabezpieczającego blokadę zgodnie z procedurą, rozwinął wąż gaśniczy i przewiązał się jego końcem. Drugi kazał strażakom przywiązać do latarni i trzymać mocno na wszelki wypadek. Pozostała długość wynosiła niecałe dwadzieścia jardów.

„Powinno starczyć”, pomyślał Owen i skoczył z pistoletem w rękę. Gdy leciał, motolotnia wystartowała. Wynurzyła się spod mostu, kiedy ją zobaczył. Oddalała się jednak w przeciwnym kierunku.

Strzelał, kule z jego broni i ośmiu innych obsypały maszynę, lecz ta wciąż nabierała prędkości. Wąż naprężył się i pociągnął Owena w górę. Agent kręcił się wokół własnej osi i obracał głową w dół, wąż się zwijał, nie dając nad sobą zapanować. Wówczas Owen odpiął się i wylądował w wodzie.

Keane doskoczył do bagażnika i wyjął z futerału miotacz wiązek elektrycznych, przypominającą bazookę broń, między innymi przeciwlotniczą, ale odpowiednią na wszystkie rodzaje pojazdów mechanicznych. Oparł wyrzutnię na barierce, wycelował i oddał strzał. Z lufy wydobył się promień zimnoniebieskiego światła, który po chwili trafił w motolotnię. Lekkim statkiem powietrznym zakołysało, zgasły jego silniki, lecz nie spadł, nawet nie obniżył lotu, ale sunął dalej.

Przyrządy nawigacyjne i kontrolki zgasły, zegary i liczniki się wyzerowały.

Pilot uderzał w pulpity dłońmi, pasażer, obejmując oparcie jego fotela i opierając się plecami o nogi nieprzytomnej Amelii, kręcił się i miotał.

– Chloe! – krzyknął Keane.

– Tak... jestem. – Sierżant Clarke nadbiegła zdyszana i pochyliła się ze wzrokiem utkwionym w odlatującą motolotnię.

– Ile może trwać lot ślizgowy? Zajmowałaś się tym przy okazji ucieczki Sary...

– Na tej wysokości do kilkudziesięciu minut, jeśli złapią dobry wiatr.

– Myślałem, że dłużej.

– To nie szybowiec. I znajdują się za nisko.

– Dobrze, sprawdź, co z Owenem. Skąd on się tu wziął?

Chloe biegła już w przeciwną stronę.

42

Panie Oakley – powiedział Charlie Keane, głośno odstawiając kufel – sytuacja jest poważna.

– Dobrze wiem – odparł Neil Oakley, dyrektor programowy stacji TH1, upiwszy łyk tradycyjnego piwa, niepasteryzowanego i niefiltrowanego, lanego prosto z dębowej beczki. Oddychał ciężko, jakby przed chwilą biegał. – Dotąd nie zdawałem sobie sprawy z jej powagi. Nie miałem pojęcia, z kim tak naprawdę się zadaję. Proszę mi uwierzyć, znam granice. Praca jest ważna, ale nie za wszelką cenę. Przecież nie nasłałbym zbirów na Rebeccę. Na nikogo... Nigdy.

– Ale jednak po pańskim telefonie dwóch oprychów zaatakowało panią Mulligan w jej własnym mieszkaniu.

– Nic nie mówiła... – wymamrotał, pocierając brodę.

– Bo wcześniej ją pan zwolnił.

– Skąd pewność, że to nie przypadek? – zapytał z nadzieją.

– Człowiek, z którym skontaktował się pan zaraz po wyjściu Rebeci Mulligan z biura, połączył się następnie ze sprawcą, którego z kolei numer aktywny był w czasie napaści w okolicach kamienicy Waltham Street, gdzie, jak pan oczywiście wie z akt osobowych pracowników, ona mieszka. Jego posiadacz najpewniej znajdował się wtedy w budynku i prawdopodobnie to on zaatakował panią Mulligan. Takie są ustalenia, panie Oakley.

Mężczyzną westchnął i się napił.

– Cóż mogę powiedzieć...

– Najlepiej prawdę.

– Jestem z panem szczery. – Rozejrzał się na boki. – To Babukin, jemu zależało, żeby ten materiał poszedł.

– A nie wam obu? Czy nie chciał pan uciszyć reporterki, aby ratować własny tyłek? Czy nie tak było?

– Nie! – odrzekł stanowczo. – Zamierzałem to odkręcić, sprostować. Ona mogła mieć rację, zapewne miała.

– Wcześniej twierdził pan co innego – wtrącił Keane.

Oakley przytaknął.

– Na przykład, że nie zna tożsamości informatora.

– Korzystałem z przysługującego mi prawa do zachowania tajemnicy dziennikarskiej. Informator zastrzegł nieujawnienie danych pozwalających na jego identyfikację. To zupełnie normalne, bardzo częste. Nie mogłem postąpić inaczej. Byłem zobowiązany do milczenia. Dowody zaś, na których opierały się mój artykuł oraz reportaż Rebecci, wyglądały na naprawdę mocne. Nic nie wzbudziło moich podejrzeń.

– Tylko że później pojawiły się nowe, podważające ich wiarygodność. I co pan wtedy zrobił? Zignorował je i zamknął pani Mulligan usta.

Neil Oakley przełknął kolejny łyk.

– Ma pan niestety rację.

– Postąpił pan bardzo nieroztropnie.

– Przyznaję, zaplątałem się i nie wiedziałem, jak z tego wyjść z twarzą. Wybrałem źle. Ale nie jestem winien napaści na Rebeccę, nie bezpośrednio, no... Musi mi pan uwierzyć. Gdybym tylko wiedział...

– Słyszysz pan? – zapytał Keane, uciszając dziennikarza gestem.

Neil Oakley popatrzył na niego tępym wzrokiem.



– Świetne szpilki – powiedziała dziewczyna o kruczoczarnych włosach, oglądając buty w pudełku.

– Naprawdę ładne – odparła długonoga blondynka, popijając kawę z plastikowego kubka.

Siedziały na brzegu fontanny, wokół stało kilka reklamówek z różnych sklepów.

Nagle chodnikiem podjechał do nich biały van, z którego wysiadło dwóch podejrzanych mężczyzn. Wyglądali na cudzoziemców.

– Hej, ślicznotki – rzucił pierwszy.

Obie kobiety poczuły się nieswojo.

– Co tu robicie tak same?

Wokół rzeczywiście nie było innych ludzi. W pobliskich knajpkach tętniło życie, ale tutaj, na bulwarach i przy terminalu promowym panowały cisza i spokój, jak nigdy o tej porze. Hotel za ich plecami również wydawał się opuszczony. Miasto przysypiało przed wieczorną burzą.

– Nie jesteśmy same – odparła brunetka.

– Nie? – zaśmiał się drugi z mężczyzn, ten, który wyszedł przez rozsuwane drzwi i trzymał się z tyłu. Kierowca wciąż siedział w środku. – A z kim?

– Z naszymi mężami – odpowiedziała blondynka niepewnym głosem. Chwilę potem wsunęła rękę do torebki, którą miała przewieszoną za plecami, i instynktownie

wybrała numer ostatniego połączenia.

- Jakoś nikogo nie widzę – śmiał się dalej. Miał wschodni akcent i złe oczy.
- Zaraz przyjdą, poszli po coś do hotelu – odrzekła brunetka.
- I zostawili was z tymi wszystkimi torbami? – Podchodził coraz bliżej.
- Proszę się nie zbliżać! – nakazała blondynka. – Bo wezwę policję. I będę krzyczeć.
- A krzycz se, paniusiu, ile wola miła pozwoli.

Zarechotał z pijacką chrypą.

Sophie wiedziała, że ten typ wie, co mówi, że nikt ich może nie usłyszeć, i modliła się w duchu, aby Paul odebrał.

Nagle z wnętrza torebki rozległ się słaby głos, jakby z odległości tysiąca mil.

– Halo, Sophie, słyszysz mnie? – mówił Paul Barkley, wyszedłszy przed budynek klubowy Millwall F.C., na którego głównym obiekcie, The Den, kadra piłkarskiej reprezentacji Anglii trenowała na chodzonego schematy taktyczne przed wieczornym meczem. – Sophie, nie mogę teraz...

– Paul! Ratunku, napadli nas! Jacyś...

Mężczyzna znajdujący się najbliżej kobiet podbiegł i chwycił Sophie, wykręcając jej ręce.

– Aauuu!

– Puść ją! – krzyknęła brunetka i rzuciła się na niego z pięściami, lecz wtedy złapał ją wpół ten drugi i poniosł do samochodu jak zabawkę.

– Sophie! Sophie! – krzyczał do telefonu Paul.

Brunetka machała gwałtownie nogami, ręce miała unieruchomione wzdłuż tułowia, kopała go, aż pogubiła szpilki, piszczała, wzywała pomocy, lecz i tak wylądowała w przestrzeni ładunkowej furgonetki.

– Fontanna Dziewczyna z Delfinem! – krzyknęła Sophie, gdy jej ciało zostało przerzucone przez ramię goryla jak worek ziemniaków i poniesione do samochodu. – Biały van... – Tłukła go w plecy, okładała, ile sił, lecz on nie reagował, tylko głupkowato się podśmiewywał.

Telefon został w torebce, torebka przy fontannie. Paul przestał ją słyszeć.

Kiedy blondynkę wrzucono do furgonetki, jej koleżanka miała już skrępowane ręce i nogi. Usta zaś zaklejone taśmą. Płakała. Starła się wierzgać i turlać, lecz brutalnie popchnięta na plecy pod tylne drzwi, zrezygnowała.

Jeden z mężczyzn wiązał Sophie, drugi w tym czasie zbierał ich rzeczy. Potem wpakował je do vana. Znalazłszy telefon, roztrzaskał go o chodnik.



– Krzyk – stwierdził Keane. – Proszę tu zaczekać.

Wybiegł, potrącając w wejściu postawnego gościa w białej koszulce polo z napisem „ENGLAND”, który kazał mu uważać i posłał parę niecenzuralnych słów na drogę.



– Sophie! – krzyknął Paul Barkley po raz siódmy lub ósmy. Rozejrzał się wokół siebie, szukając odpowiedzi, i zobaczył, że na parking wjeżdża właśnie czarna limuzyna. Zatrzymała się tuż przy nim i zza kierownicy wysiadł elegancko ubrany szofer, który od razu pośpieszył otworzyć tylne drzwi.

Roman Babukin wynurzył się ze środka z rozradowaną miną.

– Paul! – powiedział i rozłożył ręce, jakby nieoczekiwanie spotkał dawno niewidzianego przyjaciela.

Nim jednak dokończył, Barkley ruszył jak ze startu sprintu i długimi susami dopadł do otwartych drzwi mercedesa od strony kierowcy.

Kiedy je za sobą zamykał, oniemiały Babukin dalej obserwował wszystko z laską w ręku, podczas gdy jego kierowca ochroniarz doskoczył do samochodu, chcąc zatrzymać piłkarza.

Ten jednak już zdążył wrzucić bieg i docisnąć gaz do podłogi. Mercedes wystartował z piskiem opon. Skręcił tyłem na puste miejsca postojowe i siły fizyki zatrzasnęły drzwi, przez które dopiero co wysiadł Babukin. Limuzyna zatrzymała się tylko na moment, by z prędkością błyskawicy wyjechać na ulicę i zniknąć.

Barkley pędził jak wariat, wymijając samochody, które tylko się dało, nawet chodnikiem, zmuszając przechodniów, aby uskakiwali na boki, porzucając wszystko, co trzymali w rękach, i przylegali do fasad budynków.



Keane biegł tak szybko, jak mógł, bo krzyki powtarzały się i były coraz bardziej rozpaczliwe, aż nagle zamilkły, co brzmiało jeszcze gorzej. Przejmująca, nagła cisza w połączeniu z sielanką, jaka ogarniała przystań, budziły w nim grozę.

Przebiegł drewnianym mostkiem, przez skalny ogródek, zielony nasyp i wąskim, krętym chodnikiem między biurówkami i kamienicą. Głosy dochodziły od strony hotelu, ale kiedy znalazł się przed nim, nic nie zobaczył. Niżej stała tylko biała furgonetka. Cofała powoli.

– Stać! – krzyknął i przemierzył drewniany pomost wzdłuż moło i obok kładki prowadzącej do miejsca, skąd odpływały małe i średniej wielkości statki, w tym popularny autobus rzeczny.

Furgonetka ruszyła gwałtownie, pozbawiając wątpliwości.

Wyjął broń i w pełnym biegu oddał strzał ostrzegawczy.

– Policja, zatrzymaj się!

Ostrzeżenie nie poskutkowało, więc nie zatrzymując się, zaczął strzelać w koła. Trafił dwu- lub trzykrotnie w przednie i tyle samo razy w tylne. Van jechał jednak dalej na obręczach, powodując niemiłosierny zgrzyt, lecz zносиło go na bok i w końcu uderzył w murek z cegły klinkierowej, na którym następnie zawisł.

Keane dogonił ich i wziął obu siedzących na przedzie na muszkę.

– Pokażcie mi ręce! – rozkazał kierowcy i pasażerowi.

Ci patrzyli się na niego, lecz nie zrobili tego, czego żądał.

– No dalej! – powtórzył Keane.

Mężczyźni w końcu unieśli dłonie. Wtedy Keane zbliżył się o trzy kroki, a tuż obok rozległ się głośny dźwięk syreny przepływającego statku, co wykorzystał porywacz schowany z tyłu furgonetki. Odsunął on bowiem boczne drzwi, których otwierania w tych okolicznościach w ogóle nie było słyhać, wyskoczył na zewnątrz, pochylony wyłonił się zza samochodu i oddał strzał w kierunku Keane'a. Policjant padł na ziemię, ale nie od przyjęcia kuli, lecz by uchronić się przed nią, i to mu się udało, gdyż pocisk odbił się od latarni za jego plecami. Keane zaś wycelował pod podwoziem forda i napastnik, który schował się z powrotem za furgonetkę, oberwał, przewrócił się i zwinął z bólu. Trzymał się za nogę nad kostką i chlupał jak mała dziewczynka.

Kiedy Keane leżał i mierzył do niego, kierowca opuścił furgonetkę, dobywszy broni. Tak samo ułamek sekundy wcześniej zachował się pasażer. Obaj przypuścili jednoczesny atak na Keane'a, który uskoczył za drzewa. Przywarł do najgrubszego pnia całym ciałem i przetrzymał ostrzał, by potem, gdy na moment przestali, wystawić pistolet i strzelić na oślep, lecz nie bez pomysłu.

Przędła Tower Bridge podnosiły się, gdy mercedes przekroczył sto czterdzieści mil na godzinę i pięć tysięcy obrotów na sekundę. Sygnalizacja kazała się zatrzymać, podobnie jak logika, ale co innego dyktowało Barkleyowi serce. Wyminął samochody stojące na czerwonym świetle i środkiem wjechał na uniesioną w jednej trzeciej środkową część mostu. Wybił się wysoko i przez chwilę zdawało mu się, że zatrzymał się w powietrzu. Kolory zbladły, dźwięki się stępiły.

Mercedes szybował ku kładkom łączącym wieże mostu, gdy wtem zaczął spadać. Nagle i gwałtownie. Leciał wprost w mur drugiej wieży, kiedy spadł poniżej sklepienia bramy i z niemiłosiernym hukiem uderzył o asfalt pod nim.

W momencie tąpnięcia kierowca oderwał się od fotela, lecz zapięty pas sprowadził go z powrotem. Bolało, gdy sztywny kawałek materiału wpijał mu się w klatkę piersiową i przyduszał go.

Miał wrażenie, że wnętrzności przesunęły mu się do gardła i zatkały je, nie nadążając za resztą ciała, która podążyła w przeciwną stronę. Trzeba było się jednak szybko otrząsnąć, bo mercedes sunął bokiem wprost na sznur pojazdów czekających na przejazd. Ominął je, ale wbił się w barierki, kładąc je jedno przesło po drugim.

Następnie obrócił się na chodniku i odbił od muru wyznaczającego krawędzie konstrukcji. Silnik zgasł, lecz Barkley od razu ponownie wcisnął „Start”.



Nagle Keane zorientował się, że jeden z mężczyzn ucieka. Wyczuł więc swoją szansę i rzucił się na trawę przez ramię, jednocześnie skręcając tułów w locie i strzelając w kierunku, z którego przed momentem padło najwięcej strzałów. Tamten też nacisnął spust, ale tylko Keane sięgnął celu.

Teraz już dwóch mężczyzn leżało na ziemi, po obu stronach furgonetki, po trzecim nie było jednak śladu.

Keane pobiegł do białego forda, po drodze odkopnął broń, która upadła niedaleko od rannego, i omal nie nadział się na pocisk wystrzelony przez drugiego z przestępców. Uchronił go refleks i szybki unik, nienaganna praca nóg i zejście na ugięte kolana. Potem przedziurawił dłoń strzelającego, odrzucił jego pistolet i zajrzał do samochodu.

Dwie zalane łzami młode kobiety patrzyły na niego błagalnie.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział i wszedł do środka.

Zdawało się, że porwane bały się go śmiertelnie. W drgawkach odsuwały się na tył przestrzeni ładunkowej, więc dodał:

– Jestem z policji. Nazywam się Charlie.

Wtedy trochę się uspokoiły.

Keane rozplątywał węzły na rękach blondynki, kiedy rozległ się głośny, przerywany sygnał dźwiękowy i przeciągły warkot zacieranego silnika, a potem pisk gwałtownego hamowania. Inspektor wychylił się nad fotelem pasażera i zobaczył, jak trzeci z porywaczy wrócił i pomaga koledze uciec, podtrzymując go i tak prowadząc do sedana, którego najpewniej ukradł, sądząc po wybitej szybie od strony kierowcy i wyjąłym alarmie.

– Nie zostawiaj nas – wyszeptała przez łzy blondynka, która sama pozbyła się więzów z nóg i odkleiła sobie taśmę z ust.

Keane przeszukał kieszenie, lecz uświadomił sobie, że telefon zostawił w pubie.

– Masz tu gdzieś telefon? – zapytał Sophie, parząc na damską torebkę leżącą pomiędzy zakupami.

Skinęła głową.

– Dobrze, zadzwoń na numer alarmowy – polecił i wybiegł.

Ściągnął pasek i związał nim za plecami ręce mężczyzny, który czołgał się już do swoich kompanów, a może raczej do broni leżącej parę jardów dalej. Szarpiąc się i nie dając obezwładnić, rozdarł się, ostrzegając ich. Wtedy trzeci mężczyzna, ten który wrócił po towarzyszy, rzucił czymś w kierunku furgonetki. To coś okazało się butelką zapalającą. Rozbiła się ona niewiele powyżej zbiornika paliwa, rozlała i biały lakier zapłonął.

– Uciekajcie! – krzyknął Keane do kobiet. – Zabierz ją stamtąd! – te słowa skierował do Sophie, która wystawiła głowę na zewnątrz.

Biegł ku nim, gdy wydostały się w panice z samochodu, potykając się jednak o własne nogi i jedna o drugą. Upadły, lecz Keane natychmiast je podniósł i odciągnął w krzaki. Chwilę potem furgonetka wybuchła.

Mężczyźni odjeżdżali już wtedy, bez trzeciego z nich, który, spisany na straty, znalazł się w polu rażenia eksplozji i mocno ucierpiał. Kierowca, widząc swoje niedoszłe ofiary, zatrzymał się jednak i wysiadł, by dokończyć, co zaczął, gdy zza hotelu wyłoniła się limuzyna. Porywacz wymierzył w Keane'a i kobiety, ale potem poznał samochód i opuścił broń.



Barkley puścił kierownicę, gdy zza białego vana wybiegły trzy osoby. W jednej z nich rozpoznał Sophie. Samochód wybuchł. Nie patrzył przed siebie, lecz w jej kierunku, na Sophie, czy zdołała ująć z życiem, czy nic jej się nie stało. Sekundę później, upewniwszy się, że jest cała i zdrowa, napelnięny złością, czując buzującą w żyłach adrenalinę, przytrzymał pedał hamulca i skierował limuzynę wprost na stojącego z bronią osiłka. Ten zorientował się, że coś jest nie tak, lecz nie zdążył strzelić. Wybił się z miejsca i rzucił w prawo, ale nie podwinął nóg, którymi zahaczył o maskę mercedesa.

Poduszka powietrzna wystrzeliła Barkleyowi prosto w twarz, gdy wbił się w tył sedana, wyrzucając mężczyznę ponad jego wrak. Siła uderzenia była tak wielka, że ranny pasażer wypadł na chodnik i poturlał się w dół schodów, gdzie przewrócił się na twarz i zaległ bez ruchu.

Paul Barkley wydostał się z samochodu i pobiegł prosto do żony. Kiedy był w połowie drogi, rozległ się huk wystrzału i Keane, zachwiawszy się na nogach, upadł na plecy. Brunetka wylądowała na klęczkach, uciskając mu ranę i krzycząc do Sophie, aby się położyła, ale ta stała jak wryta. To porywacz wyswobodził się jakoś i z bliskiej odległości celował teraz do niej. Strzelił.

Potężny cios zwał ją z nóg i wgniótł w ziemię. Myślała, że nie żyje, gdy ocknęła się cała w ciepłej krwi. Wszędzie była krew, mnóstwo krwi. Dopiero po paru sekundach zobaczyła, do kogo ona należy. Keane tkwił w pozycji strzeleckiej, umorusany czerwienią i błotem. Przebiegła wzrokiem w kierunku, w którym wycelowana była jego broń, aż zobaczyła zabitego napastnika, leżącego w brudnoczerwonej kałuży.

Tuż obok niej z kolei kulił się Paul. Miał bezbarwne oczy i obficie krwawił z klatki piersiowej. Jej nic nie było.

- Sophie... - wycedził przez zęby.
- Paul, Paul! - poderwała się natychmiast i upadła przed nim na kolana.
- Sophie - powtórzył ciszej, na wdechu, po czym stracił przytomność.

43

Charlie Keane siedział samotnie na ławce z widokiem na rozległe wody Kanału Angielskiego, nazywanego przez Francuzów i resztę świata kanałem La Manche. Na horyzoncie malowała się jasna plama będąca promem płynącym do Francji lub Belgii, który niby stał w miejscu, a jednak z wolna, prawie niezauważalnie przesuwał się na południowy wschód. Ale tylko wtedy, gdy nikt nie patrzył. Poza tym wokół nie działo się zupełnie nic.

Tuż za plecami Keane miał zwykle ruchliwą Eastney Esplanade z wydzielonym pasem dla rowerzystów, która teraz równie dobrze mogła pełnić funkcję promenady. Po drugiej stronie jakieś dziesięć minut wcześniej, równoległe do ulicy i murku oraz Jeziora Canoe, zaparkowało porsche. Przed sobą gładki reprezentacyjny chodnik z ozdobnymi latarniami stylizowanymi na dziewiętnastowieczne, ciągnący się wzdłuż szerokiej piaszczystej plaży przez dwie mile aż do Fortu Cumberland, pięciokątnego bastionu fortyfikacyjnego wzniesionego dla ochrony Stoczni Królewskiej Marynarki Wojennej i Portu Langstone. Po lewej znajdował się przystanek autobusowy, po prawej knajpki ze smażonymi rybami, z których dochodziły jakieś głosy i zapach frytek, dalej molo South Parade, plażę Southsea, a pół mili za nią zamek o tej samej nazwie.

Niskie fale spokojnie wylewały się na brzeg i cofały się leniwie w morze, wygładzając piasek w równą, ubitą ścieżkę. Niebo w połowie było mglisto jasne, bezobłoczne, częściowo szarawe, ale z zachodu nadciągały chmury nasycone granatem. Nie wiało jednak za mocno, było ciepło i przyjemnie.

W pewnym momencie od strony molo nadjechało wiśniowe maserati i stanęło przodem do porsche.

Keane się nie odwrócił. Słyszał, jak ktoś spokojnie przechodzi przez jezdnię na jego stronę. Potem ten ktoś usiadł obok na ławce.

– Cześć, Charlie – powiedziała miłym głosem.

– Cześć, Sarah.

– Miłe spotkanie, prawda?

– Niespodziewane.

Zaśmiała się.

– Takie lubię najbardziej.

– Nie wątpię.

Popatrzył na nią. Jej długie jasne włosy opadały na lewe ramię i sięgały łokcia. Lekki, naturalny makijaż pasował do zwiewnej kremowej sukienki. Na kolanach trzymała złożoną wpół dżinsową kurtkę.

– Boli? – zapytała, spoglądając na wypełnienie pod koszulką obejmujące górny fragment mięśnia piersiowego większego.

– Nic wielkiego – odparł. – Kula przeszła pod obojczykiem na wylot. Musieli tylko zszyć.

– Przepraszam.

– Przecież to nie twoja wina.

– Za tamto, za wszystko. – Popatrzyła mu prosto w oczy.

– Myślisz, że to wystarczy?

– Nie. Ale od czegoś trzeba zacząć.

Przytaknął.

– Ucierpiało wiele osób. Pięć zginęło.

– Nie chciałam tego.

– Co jeszcze powiesz? – odparł z wyrzutem.

– Gdybym tylko...

– Zdawała sobie sprawę z konsekwencji? – wtrącił. – Przestań.

Sarah zmrużyła oczy.

– To już koniec.

– Tak.

– Po części dzięki mnie.

– Od ciebie się zaczęło, Saro. Przez ciebie.

– Popełniłam błąd, ale nikogo nie zabiłam.

– O tym zdecyduje sąd.

– Wniosek jest na stole. Nie pójdę do więzienia.

Keane nic nie odpowiedział.

– Wiem, co myślisz – odezwała się po chwili. – Mój ojciec ma wpływy, zna szefa policji, innych ludzi, więc to załatwił.

– A nie jest tak?

– Charlie...

– Panie inspektorze.

– ...zgodziłam się oddać w wasze ręce zabójcę ze szpitala. Nikt więcej nie zginie. Wreszcie zapanuje spokój. Możecie zamknąć śledztwo.

– I co, wszyscy mamy być ci teraz wdzięczni? A Jane Cook, co z nią? Rosie Orlando, którą porwałaś i torturowałaś? Dobrze, że chociaż Amelii nic się nie stało. Ale strachu najadła się sporo.

– Nic jej nie będzie.

Keane spojrzał na Sarę z obrazą. Ta tylko się uśmiechnęła.

– Ja tylko wywoziłam Rosie z Fratton Park. Nawet jej nie tknęłam.

– Miejmy to już z głowy – powiedział Keane. – Gdzie ona jest?

– Nie zapytasz, dlaczego?

– Amelia wszystko nam już powiedziała.

– Tylko to, co wie, a nie wie zbyt dużo.

– Wypuściłaś ją w geście dobrej woli i aby przedstawiła nam twoje warunki.

– Chcesz poznać moją motywację?

– Jesteś nienormalna.

– Nie – zaśmiała się – chociaż może tak, ale nie to było powodem.

– Mów, jeśli musisz. – Keane wpatrywał się w horyzont.

– Oszukano mnie.

– Co ci obiecała?

– Nie o to chodzi. Ja nie wiedziałam, że to ona.

– Sarah... – westchnął Keane.

– Ale naprawdę! Zrozum, przez cały ten czas podszywała się pod kogoś, kto kiedyś był dla mnie ważny. Wykorzystała moją słabość. Nie wiem, jak to zrobiła, sytuacja wydaje mi się teraz co najmniej nieprawdopodobna, ale sprawiła, że myślałam, iż rozmawiam z Johnem. Że to jemu pomagam i z nim współpracuję.

– Z jakim Johnem? – Keane zapytał, bo powinien, nie zaś dlatego, że nie wiedział.

– A do tego nie po to, by zabijać. Johnem Wardem.

Keane przypomniał sobie wtedy, co twierdziła Claire Roach na temat swoich kontaktów z rzekomym Johnem, którym była ponoć ona, zabójczyni ze szpitala. I Tree Garden Road numer osiem. A także trasy z Charlton do East Lawant. Plaży przy zamku Hurst. Oraz z głębin Zatoki Wraków.

– Dałam się zwariować – dodała Sarah. – Omotać, zwieść.

– Myślisz, że to okoliczność łagodząca?

– Powiedział, że ta Jane Cook już nie żyła, kiedy przyszedł, i że go wrabiają. To znaczy ją. Chciałam, żebyś wiedział. Tylko tyle. Domyślasz się czemu?

– Jedźmy już.

Gdy przyszedł Snow, Amelia leżała z książką w fotelu hamakowym zawieszonym na grubym konarze stuletniego czarnego orzecha. Nie była sama. W rogu podwórka przy żywopłocie przechadzał się policjant. Drugi siedział w samochodzie zaparkowanym na ulicy przed domem. Państwo Feeney pili herbatę w ogrodzie. Po tym, co wydarzyło się w drodze z lotniska, nie chcieli spuszczać córki z oczu. Ona sama zaś wolała uciec w świat romansu, niż w kółko odpowiadać na te same pytania: „Jak się czujesz?”, „Czy

na pewno niczego ci nie potrzeba?”, „Ale wiesz, że możesz nam wszystko powiedzieć?”, „Może jednak wejdiesz do środka?”.

Snow przywitał się z panią i panem Feeney, wyjaśnił, że to z nim rozmawiali przez telefon, i skierował się w głąb placu.

– Dzień dobry – powiedział, kiedy się zbliżył.

Amelia odłożyła książkę i usiadła.

– Proszę – zachęciła Snowa, aby zmieścił się obok.

– Dziękuję, postoję.

– To naprawdę wygodne.

– Jeśli tak. – Dziewczyna oparła się nogami na ziemi, aby fotel się nie bujał, i Snow wdrapał się na jego brzeg.

– Wie pani, po co tu jestem?

– Po prostu Amelia. Tak, rodzice mnie uprzedzili. Zresztą czekałam, aż ktoś przyjdzie.

– Dobrze, Amelio. Kiedy znalazł cię patrol wojskowy i potem na komisariacie, mówiłaś tak chaotycznie, że trudno było komukolwiek cię zrozumieć.

– Chciałam jak najszybciej przekazać im wszystko, co wiem. W efekcie gubiłam sylaby, a nawet całe słowa, gdy brakowało mi tchu. Patrzyli na mnie jak na wariatkę. Dopiero gdy powiedziałam, kim jestem, zaczęło się dziać. Wcześniej, oczywiście, pytali o to i o różne inne rzeczy też, ale ja ich nie słuchałam. Wciąż powtarzałam tylko, że zabójca jest na małej wyspie w Zatoce Portsmouth i trzeba go ścigać.

– Nie poznali cię.

Pani Feeney spoglądała na nich ukradkiem.

– Nic dziwnego, byłam brudna i mokra. Wzięli mnie chyba za nienormalną. Nie w sensie choroby psychicznej, lecz tak, wie pan... Alkohol, narkotyki i te sprawy. Chcieli mnie od razu badać. Potem jednak nie potrafili mi uwierzyć. Mówiłam cały czas, że oni są na nienazwanej wyspie, tej obok Jeziora Pająka, na południowy wschód od zamku Portchester. A policjanci nie, pomyliło ci się, przekonywali. Żołnierze wcześniej to samo. Jesteś na wyspie Whale, tamto jezioro nazywa się Brick Kiln, a zamek jest tam, na północnym wschodzie. Zatem my znajdujemy się po jego zachodniej stronie. – Amelia pokiwała głową. – Rozmowa jak z dziećmi.

– Nie od razu do nich dotarło, w czym rzecz. Raz używałaś formy pojedynczej: zabójca, raz mnogiej: oni. Musisz wiedzieć, że kiedy sprawa zostaje nagłośniona, zgłasza się do nas wielu fałszywych informatorów. Jednym o coś chodzi, drudzy nie kontrolują się po używkach. Nim policjanci z trzeciego komisariatu ogarnęli myślą temat, przekazali cię nam. Sporządzili całkiem sensowny raport.

– Nie twierdzę, że to też nie moja wina. Rzeczywiście, jak sobie teraz o tym pomyślę, na pewno trudno było mnie zrozumieć. Bałam się, trzęsły mi się ręce.

– Wszyscy to rozumieją. I tak byłaś dzielna. Zazwyczaj jest tak, że z perspektywy można zobaczyć więcej. Mija czas i człowiek sobie przypomina. Jednak my nie mamy tego czasu. Chciałbym zatem, żebyś opowiedziała mi wszystko od początku. Teraz, kiedy się uspokoiłaś, może zobaczysz więcej. A nawet jeśli nie, porównamy obie wersje. Czy możesz to dla mnie zrobić?

– Nie ma problemu. Od czego mam zacząć?

– Najlepiej od początku, od momentu, kiedy odzyskałaś przytomność.

– Nagle się obudziłam i nie wiedziałam, co się dzieje. Nie mogłam sobie uświadomić, gdzie jestem i jak się tam znalazłam. Miałam lukę w pamięci. Leżałam w jakiejś trawie, dochodziły do mnie różne dziwne dźwięki. To było straszne. Nie potrafiłam ich rozpoznać, a one narastały. Jakby warczenie dzikiego zwierzęcia, jakiegoś dużego drapieżnika. Aż wreszcie dotarło do mnie. Wszystko. Głosy należały do ludzi. Konkretnie dwóch dziewczyn, szarpiących się, piszczących i krzyczących na siebie. One biły się ze sobą. Nieopodal mnie, tuż obok. Obie były ubrane tak samo, w granatowe kombinezony i czarne płaskie buty. Nawet wyglądały podobnie, różniły się chyba tylko kolorem włosów. Brunetka i blondynka. Ta pierwsza zyskała wyraźną przewagę. Przewróciła blondynę na plecy i okładała ją pięściami po piersiach, brzuchu i rękach, którymi tamta zakrywała twarz. Wyglądało to okropnie. Blondynka wyła żałośnie, wydawało się, że mocno dostała. Wtedy ja... – urwała w pół zdania.

Snow nie przerywał Amelii, słuchał.

– Wtedy ja podźwignęłam się na kolana – kontynuowała – i zobaczyłam leżący przede mną kask. Podniosłam go i zaszedłszy brunetkę od tyłu, zdzieliłam ją nim z całej siły w tył głowy. Od razu padła na ziemię.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Pomogłam wstać tej bitej i okazało się, że to Sarah Mackay, ta poszukiwana. Od razu ją rozpoznałam.

Snow podsunął jej zdjęcie.

– Uhm, to ona.

– Znasz Sarę?

– Z telewizji.

– Tylko?

– Tak. Byłam przekonana, że mnie zaraz zabije. Ale ona tylko podziękowała i zapytała, czy wszystko ze mną dobrze. Zamurowało mnie. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– I co powiedziałaś?

– Nic.
– Co było dalej?
– Sarah związała tę drugą dziewczynę. Mną się w ogóle nie przejmowała.
Snow wyjął kolejne zdjęcie.

– Czy to ona?

Amelia przyjrzała się.

– Tak. Kim jest?

– Znamy jej tożsamość, ale jeszcze nie wiemy, jaką odegrała rolę.

– Sarah chce ją zrobić w swoje zbrodnie.

Snow popatrzył na Amelię z zaciekawieniem.

– Skąd ten pomysł?

– Chciała, żebym przekazała wam, że jest niewinna i ma zabójcę ze szpitala, którego wyda w zamian za nietykalność. A przecież sama nim jest, prawda?

– W tej chwili nie mogę powiedzieć. Sarah związała Mary, co stało się potem?

– Ma na imię Mary... – powtórzyła Amelia. – Została porwana, jak ja wcześniej. Stała tam łódź motorowa, wąska i krótka, z dwoma silnikami i dwoma kadłubami, niby katamaran, ale jeszcze takiego nie widziałam. Popłynęłyśmy nim przez zatokę w stronę Portsmouth. Gdy zbliżyłyśmy się do brzegu, kazała mi wysiadać. Wpadłam do wody po szyję i jakoś dobrnęłam na ląd. Na wyspę Whale.

– Portsea.

– Słucham?

– Wylądowałaś na wyspie Portsea. Na Whale, do swojej bazy przewieźli cię marynarze, którzy przejeżdżali akurat Tipner Lane, kiedy tamtędy biegłaś.

– To niedaleko – pokiwała głową.

– Drogą jakieś półtorej mili – przytaknął Snow.

– Pomyliło mi się... To dlatego mi nie uwierzyli.

– Gdzie mogą teraz przebywać Sarah i Mary?

– Nie mam pojęcia, pewnie na tej drugiej wyspie.

– Sprawdziliśmy, tam już ich nie ma. Sarah nic nie wspominała? Niczym się nie zdradziła?

Amelia odchyliła się na oparcie i fotel zaczął się mocniej bujać.

– Poza poleceniami nie odzywała się wcale.

Snow uśmiechnął się ciepło.

– Odpoczywaj, a gdybyś sobie przypomniała coś jeszcze...

– Zadzwoń – wtrąciła.



– Szybko poszło – oceniła Chloe Clarke.

Kolumna samochodów składająca się z radiowozu, opancerzonej więźniarki oraz range rovera należącego do służb specjalnych ruszyła Eastney Esplanade na wschód, by za moło skręcić w Clarendon Road.

Wsiadali do porsche Keane'a ustawionego ledwie trzysta pięćdziesiąt jardów od miejsca jego spotkania z Sarą, na chodniku stanowiącym wyrwę w wale ziemi usypanym wzdłuż jezdnii, za którym ciągnął się rząd różnokolorowych domków plażowych. Plażę od asfaltu zaczynała oddzielać tu wysoka betonowa zaporą kończąca się prawie po połowie mili na wysokości Saint George's Road, nie jedynej ulicy w Portsmouth noszącej tę nazwę.

– Wielu rzeczy nie wiedzieliśmy – odparł Keane. – I wielu dalej nie wiemy.

Chloe odpaliła silnik.

– Media już zapomniały o Sarze – kontynuował. – My prawie też.

– Ty też? – powtórzyła Chloe.

– Co masz na myśli?

– To ją odwiedziłeś wtedy w szpitalu, kiedy na siebie wpadliśmy, prawda?

– Coś sugerujesz?

– Nie, po prostu pytam.

Przerwał im telefon.

– Owen? – odebrał Keane.

– Cześć, Charlie.

– Znalazłeś go? Zwykle nie odzywasz się bez powodu.

– Zgadłeś. Ale za wiele już nam nie powie.

– Zimny trop – rzekł ni to do Owena, ni do Chloe. – Gdzie?

– W Malvern.

Owen stał na trawie na brzegu głębokiego jeziora rozlanego w niecce pod zielonymi wzgórzami. Wokół rozpościerały się gęste zarośla. Obok wysokich trzciny w zacienieniu leżało ciało w rozsuniętym czarnym worku, nad którym pochylał się mężczyzna w prochowcu.

– Został znaleziony martwy w jeziorze – mówił dalej Owen.

– Nie ma wątpliwości, że to on?

– Nie. Wprawdzie naskórek uległ oddzieleniu i się zsunął, nastąpiły także zmiany woskowo-tłuszczowe, ale specjalny program pozwolił nam odtworzyć przybliżone rysy twarzy. Z myślą o naszej sprawie od razu przywieziono urządzenie skanujące na miejsce. Ponadto on ma na sobie to samo ubranie, w którym odwiedził Warda. Nie znaleziono przy nim żadnych dokumentów. Może zostały w toni, płetwonurek już się szykuje. Nie widać też samochodu.

– Kiedy to się stało?

– Zwłoki unosiły się na wodzie od dwóch do trzech dni. Podobno nadgryzały je larwy chrząszczy, konkretnie kałużnic ciemnozielonych, o ile dobrze zapamiętałem. Patomorfolog tłumaczył mi i jakiemuś sierżantowi, że występują one w wodach słodkich, odżywiają się drobnymi bezkręgowcami, polują na skorupiaki i mięczaki. Tym razem trafił im się człowiek. Ich obecność pozwala określić czas wynurzenia z dość dużą dokładnością.

– Czyli zginął wcześniej? Jak długo?

– Nie pojawiły się jeszcze zmiany gnilne, na co jednak wpływ miała bardzo niska temperatura wody. Ciało zostało bowiem obciążone. Uległo za to już pierwszym zmianom tłuszczowo-woskowym, więc przebywał w zbiorniku co najmniej od kilku miesięcy. Nie mniej niż trzy, biorąc pod uwagę warunki. Przytwierdzono go łańcuchem do kawałka grubego pnia, ten zaś przygnieciono dużym kamieniem i też obwiązano. Woda zmiękczyła korę i wiązanie się poluzowało, przez co drzewo wysunęło się spod kamienia i wypłynęło na powierzchnię razem ze zwłokami, które jeszcze trzymało. Same tkwiłyby dalej w mule, nawet latami. Zimne górskie jezioro napelniane źródłem bijącym wśród pobliskich zboczy skutecznie powstrzymało zmiany rozkładowe, w tym gnicie. W narządach i tkance podskórnej nie zaczęły tworzyć się gazy, które normalnie wyniosłyby ciało na powierzchnię. Sekcja wszystko wyjaśni, ale prawdopodobnie, kiedy wrzucano Stokesa do wody, on już nie żył. W klatce piersiowej ma ranę wlotową. W płucach najpewniej brak wody. Na szyi odznaczyły się pręgi. Duszono go. Poza tym żadnych widocznych śladów walki. Wilgoć zrobiła swoje.

– Mógł leżeć na dnie od jesieni. Chociaż wymeldował się z hotelu... – zastanowił się Keane, jakby czekał, aż Owen wyprowadzi go z błędu, lecz ten najwyraźniej myślał podobnie:

– Dom Warda znajduje się zaledwie cztery mile stąd. To nawet po drodze. Trzeba tylko zboczyć z jezdni i na przełaj pokonać łąkę i mokradła.

– Dzięki, Brad – padło po chwili ciszy.

– Cholera, Charlie.

– Co się stało? – spytał gorączkowo.

– Damy radę bez Barkleya?

Wembley ucichło. Gospodarze walczyli dzielnie, starali się zdobyć bramkę kontaktową i nawet prawie im się to udało, lecz jeden kontratak wystarczył, by rozgrywający reprezentacji Niemiec Julius Klein płaskim strzałem zza linii pola karnego podwyższył wynik spotkania na trzy do zera. Pogrom. Deklasacja. Na tym poziomie różnica trzech goli to było naprawdę dużo. Zbyt wiele, by myśleć o odrobieniu strat i odwróceniu losów pojedynku, na którego zwycięzców czekał tytuł Mistrzów Europy w piłce nożnej mężczyzn.

Zegar na stadionowym telebimie, odliczający czas wstecz, pokazywał dziewiątkę i dwa zera. Dziewięć minut, właśnie tyle pozostało do końca regulaminowego czasu gry. Osiem i pięćdziesiąt sześć sekund. Sędzia na pewno nosił się z zamiarem doliczenia trzech lub czterech minut, bo obie drużyny wykorzystały po dwie zmiany, wystąpiły też dwie dłuższe przerwy: jedna zaraz po rozpoczęciu drugiej połowy meczu, kiedy defensywny pomocnik gości ostro potraktował jednego z Anglików, oraz druga po zderzeniu się niemieckiego bramkarza z własnym obrońcą, kiedy ten pierwszy potrzebował pomocy medycznej. W zdarzeniu tym swój niemały udział miał kapitan gospodarzy, Wayne Rooney, który lekko trącił barkiem kryjącego go stopera, chcąc uwolnić się spod jego opieki, i tym samym wpychając go w tor lotu interweniującego w powietrzu golkipera. Sędzia nie odgwizdał faulu; to raczej obrońca przekroczył przepisy, próbując objąć napastnika za szyję i się na nim zawiesić.

Ogółem dwanaście, może trzynaście minut to okres, w którym mogło zdarzyć się naprawdę wiele. Z przebiegu gry nie wynikało jednak, by Niemcy byli tego dnia do pokonania. Znajdowali się w wysokiej formie i znali stawkę zawodów. Zniwelowanie różnicy trzech goli w końcówce wydawało się nierealne. Bukmacherzy przyjmujący zakłady na żywo po голу Kleina wyłączyli możliwość obstawiania wygranej.

Angielscy piłkarze wprawdzie parokrotnie zagrozili niemieckiej bramce, udanie konstruując przemyślnie ataki pozycyjne oraz wyprowadzając szybkie kontry na jeden, dwa kontakty, lecz za każdym razem brakowało im trochę szczęścia. Dwa słupki Rooneya i poprzeczka Shawa, a do tego świetna postawa bramkarza reprezentacji Niemiec. Tyle że te sześć sytuacji miejscowi stworzyli sobie w ciągu trochę ponad osiemdziesięciu minut gry, tymczasem zostało ich niewiele ponad sześć, nie licząc tych dodatkowych kilku, których liczba pozostawała wróżbą.

– Deutschland, Deutschland! – skandowali głośno niemieccy kibice zgromadzeni w liczbie dziewięciu tysięcy.



– Nieprawda! – krzyknęła Mary Lloyd, podnosząc się z krzesła, wsparta dłońmi na krawędzi stolika.

– Proszę usiąść – odparł spokojnie i cierpliwie inspektor Snow.

– Nie miałam z tym nic wspólnego. Ile razy muszę to powtórzyć, aby pan wreszcie zrozumiał?

– Wystarczy mi prawda. Ta zazwyczaj jest krótka.

– Od godziny nic innego nie mówię – zarzekła się Mary, odchyliwszy się na oparcie ze założonymi na piersi rękoma.

– Sarah...

– Ona kłamie! – przerwała mu, wygrażając palcem. – Mówiłam już.

– Ktoś na pewno, ona albo pani – odrzekł Snow i przytrzymał wzrok Mary. – Podobno nie zna jej pani?

– Nie. Nigdy wcześniej jej nie spotkałam.

– W tym jednym akurat panie się zgadzacie.

– Woli pan wierzyć zabójczyni niż mnie? Przecież to jakiś absurd.

– Ona twierdzi, że to pani odpowiada za zbrodnie przypisywane przestępcy nazywanego przez media zabójcą ze szpitala.

– Niech się wali – rzuciła ze złością i przekrzywiła głowę.

– Proszę grzeczniej – powiedział Snow. – Takie słowa zupełnie do pani nie pasują.

– A zabójstwo tak? – odparła w bezsilności.

– Tym bardziej nie.

– Zatem?

– Próbuję zrozumieć dlaczego.

– Jakoś to panu zupełnie nie wychodzi.

– Cofnijmy się więc do momentu, kiedy rzekomo dostała pani wiadomość od osoby podającej się za Johna Warda.

– Tak było.

– Możemy roboczo przyjąć tę wersję.

– Próbowałam się do niego dodzwonić, bezskutecznie. Pisał jak John, o winie i karze. O czarownicach. Musiał go znać.

– Co konkretnie?

– Niewiele. Po śmierci Niny kompletnie mu odbiło. Czytał o zaklęciach i konszachtach z diabłem. Nie myślałam, że naprawdę w to wszystko wierzy.

Odbierałam jego słowa raczej jako metaforę, przenośnię. Mówienie o modelkach jak o wiedźmach wydawało mi się śmieszne i nawet adekwatne, ale potem... – zawiesiła głos.

– Co się wydarzyło?

– Trafiłam tutaj.

– Ach, tak. Przez przypadek?

– Niech pan sobie nie kpi, dobrze?

– Pani wybaczy, ale w porsche dziewięćset jedenaście, które zostawiono do pani dyspozycji na niecałe dwa dni, znaleźliśmy podsłuch. To stąd znała pani dokładną trasę przejazdu kolumny policyjnej transportującej Amelię Feeney. Inspektor Keane wspomniał o niej w rozmowie telefonicznej, którą prowadził podczas jazdy. Nasze połączenia są bezpieczne, ale wszystkiego nie przewidzieliśmy.

– Nie wiem, skąd się tam wziął. Wszystko powiedział mi John. Ja tylko stosowałam się do jego planu. Sama tego nie wymyśliłam.

– Co więcej, zabezpieczyliśmy pani komputer. Nie ten, którego pani zwykle używa, lecz ten drugi. Chociaż właściwe oba. W tej chwili jest on badany. Podobnie jak telefon i inne należące do pani urzędnika. Ciekawe, co odkryjemy.

– Choćby wiadomości potwierdzające moją niewinność.

– I tego pani życzę.

– Ale chyba nie sobie, co? Wreszcie dorwaliście winną, możecie odtrąbić sukces, szkoda by było, gdyby okazało się teraz, że macie niewłaściwą osobę.

– Jeśli założyć, że to nie pani zabiła, dlaczego nie dać wiary Sarze?

– Ja jej wcale nie oskarżam. Zaatakowała mnie, więc się broniłam. To wszystko. Może znalazła się w takim położeniu jak ja, kto wie.

– Czyli kiedy wylądowałyście w Portsmouth i zdjęłyście kaski, była również zaskoczona, widząc panią, co pani, zobaczywszy ją zamiast Johna?

– Zastanawia się pan czy mnie pyta?

Snow potarł oczy.

– Pomogła pani porwać dziewczynę. Dopuściła się napaści na funkcjonariuszy publicznych na służbie...

– Nie miało się im nic stać. I chyba nie stało, prawda? Wylądowali miękko. A co do Amelii... nie wiedziałam, że jest świadkiem, wmówiono mi co innego. John chciał wyjaśnić okoliczności śmierci Niny, nie wierzył, że przedawkowała. Zresztą nie tylko on, ja też. Chodził wokół tej sprawy, szukał, więc uwierzyłam, kiedy powiedział, że coś odkrył.

– Co?

– Już mówiłam, tylko tyle, że schwytałyście przypadkową osobę.

- I postanowiliście ją uwolnić.
 - Ponoć była wrabiana, dowody świadczyły na jej niekorzyść i nie mogła się już bronić. Wiem, jak to jest...
 - Znam pani historię i współczuję. Ale żeby zaplanować i przeprowadzić taką akcję?
 - Ktoś zrzucił winę na nią, twierdził John.
 - Rzekomy John – wtrącił Snow.
 - Wtrąca ją do więzienia i przestaną szukać prawdziwego mordercy, mówił. Potrzebował mojej pomocy. Wiedziałałam, że to złe, że tak nie można, ale coś w głębi duszy kazało mi przyłączyć się do niego. Zapewniał, że nikomu nic się nie stanie.
- Uchyliły się drzwi i do środka zajrzał technik Rodgers.
- Mogę pana prosić?
 - Zaraz wracam – powiedział Snow. – Co jest, Stu? – zapytał już na korytarzu. – Nikogo nie ma? – dodał, rozejrzawszy się.
- Stuart Rodgers zamknął drzwi na klucz.
- Chodź na chwilę – polecił.
 - Gdzie przebiega granica między ofiarą a oprawcą, Stu? – zapytał Snow po drodze.
 - Nie wierzysz jej?
 - Ani trochę.
- Weszli do dużego pomieszczenia za rogiem, gdzie stało kilka biurek w różnych konfiguracjach. Dwóch obecnych tam policjantów natychmiast wstało z krzeseł.
- Snow dał im znać gestem, aby nie zwracali na niego uwagi.
- Na ścianie wisiał duży telewizor.
- Mecz? – odezwał się Snow. – A komputer? Gdzie jest Gary? Stu...
 - Końcówka. Potem będziesz żałował. Powiedzieli, że Barkley wejdzie.
 - Jak to? Wypuścili go już ze szpitala?
- Technik uruchomił jeden z monitorów, na którym wyświetlił obraz z pokoju przesłuchań. Mary Lloyd nic nie kombinowała. Przynajmniej na razie.
- Jak to możliwe? – dodał Snow.
 - Najpierw komentator poinformował – podjął jeden z policjantów – że Barkley przyjechał na stadion. Wszyscy myśleli, że po to, by być z drużyną po porażce.
 - Nikt nie sądził – zaczął drugi – że spróbuje jeszcze coś zmienić. Ale potem kamera pokazała, jak wchodzi do szatni, a na początku transmisji powiedziano, iż został wpisany do protokołu meczowego. Jak się okazuje, nie chodziło tylko o symbolikę.
 - Czy oni wszyscy poszaleli? – oburzył się Snow.
 - No... – uśmiechnął się Rodgers i usiadł z nogami założonymi na drugie krzesło.
 - Przecież stracił sporo krwi. Ktoś tam jeszcze w ogóle myśli?



– Sophie! Sophie, chodź szybko!

– Idę, co, kolejny gol? Nie mów... – Sophie Barkley usiadła na kanapie obok przyjaciółki. – Chciałam tylko dowiedzieć się, co z małym. A mama zamiast powiedzieć, cały czas martwi się o mnie, dopytuje. Ciągle o to samo. No i dzwonił Paul.

– Paul? Co powiedział?

– Przeżywa mecz. Chciał, żebym oglądała. – Sophie włożyła do ust kęs sałatki z kurczakiem i awokado. – Prosił, żebym się nie martwiła.

– Ależ on cię kocha...

– Po prostu czuje się już lepiej. Głupia...

– To patrz.

Realizator transmisji przeniósł obraz poza plac gry, lecz nie na trybuny, strefę trenerską czy ławkę rezerwowych, ale w podziemia stadionu. Paul Barkley właśnie opuścił szatnię w stroju meczowym i szedł powoli korytarzem, krok za krokiem.

– Co on robi? – szepnęła Sophie i o mało nie zakrztusiła się sałatką.

– Wyznaje ci swą miłość – uśmiechnęła się brunetka.

– Zrób głośniej.

Paul Barkley wszedł na ruchome schody i od razu na nich usiadł. Jechał tyłem z niewyraźną miną, szukając koncentracji pod stopami.

– Paul jest bardzo osłabiony, jego stan wymagał podania krwi – mówił komentator – której użył mu szczęśliwie obecny w Londynie Cristiano Ronaldo. Było ważne, aby Barkley dostał krew od osoby wytrenowanej. Portugalczyk podobno bez wahania zaoferował swoją pomoc.

– Bezsprzecznie należy o tym pamiętać, my teraz skupmy się jednak na Barkleyu – zabrał głos drugi dziennikarz. – Widzimy, z jakim trudem podnosi się ze schodów, jak bez pośpiechu wchodzi w tunel prowadzący na murawę. Wszystko, by zachować jak najwięcej sił. Tylko czy w ogóle jest sens, aby narażał zdrowie? Czy może cokolwiek działać w takim stanie?

– Barkley w sześciu meczach tego turnieju zdobył sześć bramek i zanotował sześć asyst, co jest nie lada wyczynem. Miał też kilka tak zwanych przedostatnich podań, pracował w obronie, doskonale rozumiał się z partnerami, grał znakomicie, ale przed nami już tylko ostatnie pięć minut spotkania, może trochę więcej, a i tak najważniejsze pytanie brzmi: ile w Barkleyu zostało Barkleya?

– Wielkiego serca do walki nikt mu nie odbierze, tylko czy samo serce wystarczy...

Sophie zrobiła się blada jak kreda.

– Co on wyczynia? Co chce udowodnić? Komu? Ile jest w stanie zaryzykować? Ile poświęcić?

– Sophie – odezwała się brunetka, głaszcząc przyjaciółkę po plecach – lekarze by go nie puścili, gdyby nie mógł zagrać. Wiedzą, co robią. Zaufaj im. Jemu.

„Kto ma rozum, niech liczbę Bestii przeliczy: liczba ta bowiem człowieka. A liczba jego: sześćset sześćdziesiąt sześć”. „Sześć bramek, sześć asyst, w sześciu meczach”, przebiegło jej przez myśl.



– Od razu przyjechałam – powiedziała Chloe Clarke i weszła do środka. Otworzyła jej Amelia.

W salonie pan Feeney oglądał mecz w asyście dwóch policjantów siedzących po jego obu stronach na kanapie.

– Możemy porozmawiać na zewnątrz?

– Jasne – odparła Chloe po chwili zawahania.

Usiadły na werandzie.

– Nie wiem, czy to ważne... – podjęła Amelia.

– Jeśli się zastanawiasz, to znaczy, że takie właśnie jest. Dla nas wszystko może mieć znaczenie. Nawet kiedy coś na pozór wydaje się zupełnie nieistotne, czasem stanowi brakujący element układanki. I wcale nie musi okazać się nim dziś, ale na przykład jutro, kiedy dojdą nowe fakty.

– No dobrze, więc chodzi o tą Mary... Pamiętam ją z pokazu.

– Vicotria's Secret w Londynie?

– Tak, na Wembley. Nieswojo czuję się, słysząc pomruki stadionu w tle. To miejsce kojarzy mi się z dzisiejszymi wydarzeniami. Chyba już tak zostanie.

– Rozumiem, ale mogę cię zapewnić, że już nic ci nie grozi. Tym razem na pewno. Dbamy o to.

– Wiem, dziękuję. Jeszcze ten Barkley...

– Co z nim?

– Ma wejść na boisko.

– Podobno leży ledwo żywy w szpitalu?

– Już nie. Jego też widziałam przed pokazem.

– Był tam?

Amelia przytaknęła.

– Z żoną. Dziewczyny go nie poznały, nie interesują się piłką nożną, ale ja kibicuję naszym.

– Ach tak – mruknęła Chloe.

– Wracając do Mary... – Zrobiła pauzę.

– Tak?

– Ona przyniosła nam napoje. Sama też piła. Nie siedziała z nami, raczej kręciła się w pobliżu, ale trochę rozmawialiśmy. Wydawała się bardzo miła i w ogóle... Jednak zachowywała się jakoś dziwnie. A może mi się tylko tak teraz wydaje...

Westchnęła.

– W jakim sensie?

– Anne wpadła na pomysł, aby zrobić nam drinki.

– Anne Faezi? Zdążyłyście się spotkać?

– Uhm, lecz rzeczywiście zaraz poszła. Zanim jeszcze wszystkie przyjechały. Ukradła butelkę wódki z sali bankietowej i dolała każdej trochę do soku. No, może więcej niż trochę. Mary zawołano wtedy na chwilę, musiała coś podpisać. Kiedy wróciła i zobaczyła, co robi Anne, strasznie się zdenerwowała. Nie sądziłam, że tak potrafi. Po prostu się wściekła. Zabrała nam butelkę i nie pozwoliła Ninie i Rosie wypić swoich napojów.

– Wybieg zawieszony był wysoko nad ziemią, Rosie miała śpiewać, to wielkie wydarzenie transmitowane na żywo, też bym się bała o ich występ, ty nie?

– Oczywiście, ale Rosie sama chciała, mówiła, że już nieraz tak robiła, a Nina odmówiła, choć stresowała się wyjściem i może by jej się przydało.

– Mówiła o tym otwarciu?

– Nie, ale dało się zauważyć. Powiedziałyśmy Mary, że sok Niny jest czysty, i uwierzyła. Uspokoiła się, znowu była przyjazna. Nawet przeprosiła. Ale zaraz znowu ją zawołano, ogólnie bardzo dużo się działo. Nina też musiała iść. W końcu jednak wypita koktajl z alkoholem.

– Jak to? Nagle zmieniła zdanie?

– Właśnie nie i to jest najgorsze. Bo Anna, ta modelka, nie nasza Faezi, postanowiła, aby jednak dolać jej trochę wódki. Nie wyczuje, mówiła, bo burak i zioła nadają temu ostry smak i aromat, a dziewczyna zyska sporo pewności siebie, której jej dzisiaj brakuje. To działa, zapewniała. Sama też piła, niemało. Chciała rzekomo pomóc. Nie miała skąd wziąć alkoholu, więc zamieniła szklanki. Nie wiem już, czyją dostała Nina, ale na pewno należącą do Molly lub Kate, które wyszły akurat do toalety. Jane i Kelly wtedy jeszcze nie było, a ja swojej nie oddałam.

– Dużo dostała tej wódki?

– Oj tak – pokiwała głową Amelia. – Mnie nieźle ścięło. Może dlatego, że wypiałam za szybko. Aż musiałam sobie usiąść. Mocne, nie wiem, co to było. Chyba sam spirytus.

– Mary się nie zorientowała?

– Nie, skoro pokaz przebiegł pomyślnie... Zresztą po Ninie w ogóle nie było widać. A potem ona już nie żyła... Dowiedziałam się dwa dni później z prasy. Ale przecież wszystkie to piłyśmy i nic nam nie było.

– Tak, tylko że Nina przyjmowała leki.

– O Boże... – Amelia zakryła usta dłonią.

– I może coś tam jeszcze na odwagę. Dziękuję ci, dobrej nocy.

Odjeżdżając, Chloe widziała jeszcze w lusterku zamarłą twarz Amelii.



Paul Barkley zmienił zmęczonego Davida Langa, który tego wieczoru dał z siebie wszystko, harując w środku pola za trzech i zatrzymując wiele akcji przeciwników. Przeciął tyle podań, że Niemcy zmienili taktykę i zaczęli grać dłuższymi piłkami, z pominięciem drugiej linii.

Sean Locke szykował się właśnie do wykonania rzutu wolnego z prawego narożnika pola karnego. Było jasne, że będzie strzelał lewą nogą i poszuka okienka bramki, więc pewnie pośle piłkę w lewy górny róg nad murem, który bramkarz reprezentacji Niemiec wciąż pieczołowicie obstawiał. A może strzeli po długim słupku, jak zrobił to z podobnej odległości w meczu z Hiszpanią? Tylko że wtedy do faulu doszło bliżej środka boiska.

Barkley dołączył do kolegów, na ich wzór znalazł sobie miejsce w szesnastce i od razu otrzymał opiekuna w postaci postawnego obrońcy gości z numerem cztery na koszulce. Stali w jednej linii murem tworzonym przez pięciu Niemców i Anglika, który zaraz miał próbować zrobić w nim lukę, rozpychając się lub schylając i uskakując.

Kiedy wszyscy zajęli już pozycje, sędzia główny gwizdnął, dając Locke'owi znak, że ten może już wznowić grę. Locke spojrział jeszcze na mur i bramkarza i po trzech szybkich krokach kopnął piłkę, lecz nie z lewej nogi, a z prawej, nie w kierunku bramki, lecz wzdłuż pola karnego, i nie górami, ale po ziemi. Ułamek sekundy wcześniej Barkley oderwał się od pilnującego go obrońcy i choć ten natychmiast podążył w ślad za nim, napastnik zdołał zyskać pół sekundy przewagi. Przyjął piłkę lewą nogą, jednocześnie obracając się z nią w stronę bramki niby baletnica w piruecie i momentalnie kropnął prostym podbiciem. Piłka prześlizgnęła się przez gąszcz nóg i odbiwszy się od prawego słupka, wpadła do siatki.

Jak nagła eksplozja dynamitu rozległ się wielotysięczny okrzyk radości, a potem gromkie „England”, trzy klaśnięcia, jeszcze głośniejsze „England”, trzy klaśnięcia i tak w kółko, wyznaczając rytm do walki.

– *Goaaaaa!* – krzyczał komentator angielskiej telewizji.

– To jest już siódma bramka Barkleya w siódmym kolejnym meczu turnieju – mówił podekscytowany drugi komentujący to spotkanie dziennikarz sportowy. – Brawo!

Rooney już stał z piłką na środku boiska. Zabrał ją od razu po tym, jak znalazła się w bramce. Angielscy piłkarze nie cieszyli się, tylko motywowali się nawzajem. Ich twarze nie wyrażały emocji. Barkley otrzymał kilka klepnięć w kark, ramię i plecy, Shaw go uściskał.

Angielscy kibice od tego momentu dopingowali na stojąco. Ożywili się, obudzili, ocknęli z marazmu, w jaki wprowadziła ich bramka gości na trzy zero. Ale teraz uwierzyli na nowo. Może jeszcze nie w zwycięstwo, ale mieli już powody, by podnieść głowy.

Niemcy po chwili wznowili grę.



– Musicie coś zobaczyć – zakomunikował technik kryminalistyczny Gary Shotton. W jego głosie pobrzmiwało nieudolnie tłumione podekscytowanie.

Usiadł przy biurku znajdującym się najbliżej drzwi i włączył komputer.

– Teraz? – odparł Stuart Rodgers.

– Koniecznie – stwierdził Shotton i podłączył dysk zewnętrzny, który przyniósł ze sobą.

– Zostało tylko pięć minut – przekonywał Rodgers.

– Stu, wiem, co mówię.

Snow bezszelestnie przysunął sobie krzesło bliżej Shottona.

– Zostało tylko pięć minut – powtórzył pijany męski głos płynący z głośników. Tych samych, z których dochodziły odgłosy z trybun.

– Czemu to ma służyć? – zapytał Snow, przyglądając się wykresowi przedstawiającemu falę dźwiękową.

– Oszukiwanie – wyjaśnił ten sam rozchwiany głos.

– To się chyba odmienia – odezwał się zniechęcony Rodgers, nie odrywając wzroku od ekranu telewizora.

– Otóż to, Stu, trafiłeś w sedno – odrzekł Shotton.

Snow patrzył na niego z zaciekawieniem.

– Piłeś? – spytał wreszcie, a Rodgers i dwaj policjanci zanieśli się śmiechem.

Umilkli jednak, gdy Wayne Rooney, który po zejściu Langa przesunął się na jego pozycję, zablokował podanie jednego z Niemców wyprowadzających akcję z własnej połowy. Nie odzyskał piłki, bo ta trafiła do zdobywcy trzeciej bramki, Juliusa Kleina, jednak do niego zdążył już doskoczyć Shaw, który zaliczył efektowny odbiór wślizgiem. Natychmiast, jeszcze z ziemi zdołał wycofać piętą do Rooneya, a ten popisał się długim krosowym podaniem na lewą flankę, gdzie uruchomił bardzo

aktywnego tego dnia Locke'a. Skrzydłowy przyjął dopieszczoną piłkę na klatkę piersiową do środka, wślizgując się jednocześnie przed bocznego obrońcę reprezentacji Niemiec. Zawodnik przegrał walkę o pozycję i tylko rozłożył ręce, by pokazać, że nie fauluje, gdy z Lockiem musnęli się koszulkami. Anglik czuł na plecach rywala, mógł to wykorzystać i się przewrócić, aby wymusić stały fragment gry niedaleko bramki, co nawet miał z tyłu głowy, jednak wtedy zobaczył, jak Barkley wbiega w pole karne między dwóch obrońców. Jeden z nich momentalnie odkleił się od Barkleya, ruszając w kierunku Locke'a, czym uniemożliwił mu wyjście sam na sam z bramkarzem, ale też zrobił trochę miejsca strzelcowi jedyne go jak na razie gola dla gospodarzy. Barkley zbiegł do boku, zostawiając za sobą rosnącego stopera, i wtedy Locke wrzucił piłkę miękko nad skraczającym kątem obrońcą w okolice miejsca, z którego wykonuje się rzut karny. Barkley, kontrolując kątem oka światło bramki, uderzył wolejem z półobrotu i potężna bomba odbiła się od spojenia słupka z poprzeczką, od ziemi i wróciła na plac gry. Barkley leżał na murawie, a do obrońcy dopiero dobiegali inni Anglicy podążający za akcją, więc ten spokojnie poczekał, aż piłka go przeskoczy, przyjął ją śródstopiem i wyekspediował pod linię boczną, gdzie pokazał się zupełnie niepilnowany jego ofensywny pomocnik. Sędzia jednak wcześniej gwizdnął, pokazując na środek boiska, co oznaczało, że piłka całym obwodem przekroczyła linię bramkową i gol został uznany.

– Jeeessst! – krzyknął Rodgers i poderwał się z krzesła z uniesionymi rękoma, machając nimi oraz podskakując jak mała w zoo.

Dwaj policjanci siedzący z tyłu również krzyczeli rozentuzjasmowani, zagłuszając komentatora, który nie mniej ekspresywnie wyrażał swój zachwyty do mikrofonu.

Shotton cieszył się z miejsca, tylko Snow pozostał niewzruszony.

– O co chodzi z tą grą słów – zapytał, gdy jego koledzy trochę się wyszumieli.

– Program ten nosi nazwę Incognito 2.0 i stworzony został na potrzeby wywiadu. Miał służyć uzyskiwaniu informacji od radykałów, do których struktur bardzo ciężko przeniknąć. Chodziło oczywiście o przeciwdziałanie terroryzmowi, w szczególności o udaremnianie ataków w Europie. Pomysł był prosty, opierał się na następującym schemacie: dany cel jest podsłuchiwany przez pewien czas, w ciągu którego gromadzone są nagrania. Z nich później wycina się pojedyncze słowa i układa w żądane zdania, które finalnie kierowane są do współpracowników podejrzanego. Tak, aby tamci sądzili, że porozumiewają się z nim i dzielili się wiedzą, jakiej nam trzeba. Najczęściej robią to na odległość i to dużą, z innego kraju lub kontynentu. Jednocześnie odcina się tych ludzi od kontaktów ze sobą. Tym sposobem strony są przekonane, że stale utrzymują łączność, w istocie zaś poddają się sprytnej manipulacji. Nie wyczuwają zagrożenia, sami go nie stwarzają.

– Można konstruować zdania i wkładać je w usta komuś, kto wcale ich nie wypowiedział – wtrącił Snow. – Czyli *de facto* posługiwać się jego własnym głosem?

– Dokładnie. Wystarczy wpisać frazę lub dowolny tekst, a program sam wyszuka właściwe wyrazy w bazie danych, ustawi je w odpowiedniej kolejności i odtworzy w ciągu sekundy lub później, na nasze żądanie, imitując rozmowę. Głos ludzki jest jak odcisk palca, cechuje go niepowtarzalność. Ale kiedy mamy oryginał, możemy go powielać. Nowsze wersje programu są dokładniejsze, lepiej naśladują naturalne wypowiedzianie się. Potrafią zakrzywić dźwięk, dopasowując go do pozostałych w szyku. Ta wersja posiada pewne niedoskonałości, co zresztą słyszałeś.

– To dlatego Claire mówiła, że z Wardem było coś nie tak, kiedy prowadzili dyskusje przez telefon. Podejrzewała go nawet o narkotyki lub alkohol.

Shotton kiwał głową.

– W tej branży to nie powinno dziwić.

– Tak sobie usprawiedliwiała niedoróbki programu... Był w komputerze Mary?

– Nie wiem, skąd miała do niego dostęp, jego posiadanie jest zabronione, a sama licencja tajna.

– Zapytajmy ją.

Gdy już wychodził, zadzwonił telefon na biurku.

– Terry! – zawołał inspektora Shotton, który odebrał. – Policja z Malvern.

– Inspektor Snow, słucham.

– Dzień dobry, mówi sierżant Moyes, West Mercia Police.

– Witam, pani sierżant.

– Zbadaliśmy pocisk wyjęty z ciała ofiary wyłowionej dzisiaj z jeziora. Czy nie przeszkadzam? – W tle słyszała dźwięki telewizora i podniecone głosy Rodgersa i pozostałych policjantów.

– Nie, nie, dziękuję, że pani dzwoni.

– Otóż dostałam ekspertyzę naboju, porównałam ją z centralną bazą danych i okazuje się, że z tej samej broni strzelano w kamienicy przy Waltham Street w Portsmouth. Pistolet jarygina, nabój dziewięć razy dziewiętnaście milimetrów, oznaczenie siedem en dwadzieścia jeden.

– Ciekawe...

– Skoro obie te sprawy się łączą, pomyślałam, że zechce pan zapoznać się z pełną dokumentacją naszej.

– Oczywiście, bardzo proszę.

– Już wysyłam.

– Jestem zobowiązany.

Snow nie dosłyszał, jakimi słowy pożegnała się z nim sierżant Moyes, gdyż mężczyźni gorączkowo wiercący się na krzesłach za jego plecami podnieśli ogromną wrzawę. Kiedy odwrócił się, zobaczył, że angielscy piłkarze toną we własnych objęciach.

– Dziewięćdziesiąta druga minuta spotkania – piał z zachwytem komentator. – To jest hat-trick! Niesamowite!

– Mamy remis! Teraz wszystko zaczyna się od nowa! – wtórował mu drugi komentujący.

Rodgers przybijał piątki z mundurowymi, gdy Shotton chwycił Snowa za rękaw i posadził go obok siebie na dostawionym krześle.

– Spójrz, ona usiłowała dorwać Barkleya – mówił przerażony. – Wspomina też o meczu... Ale chyba z tego zrezygnowała, co? Przecież Barkley miał dzisiaj w ogóle nie zagrać. Komunikat nadano dwa dni temu...

– Kto był odbiorcą?

– Tak szybko nie zdołałam tego ustalić.

– Babukin – powiedział Snow. – Sprawdź go w systemie. Roman Babukin.

Shotton wstukał nazwisko.

– Jest na meczu! – wykrzyknął.

– Ma bilet czy?...

– Przeszedł przez bramki.

– Ilu ludzi?

Technik wprowadził żądanie.

– Oficjalnie towarzyszy mu jeden ochroniarz.

– Uzbrojony?

– Ma pozwolenie na noszenie broni, ale nie w obrębie stadionu.

– Jaka to broń?

– Sześć duże pe trzydzieści sześć.

– Pistolet jarygina.

– Kaliber dziewięć milimetrów.

– Kogo tam mamy? – spytał Snow w zamyśleniu. – Keane...

– I Owen.

– Świetnie, daj im znać! Niech mają na oku Babukina i jego ochroniarza. Szczególnie jego. I niech nikt się nie zbliża do Barkleya. Nawet dziennikarze. – Zastanowił się. – Zwłaszcza dziennikarze. Stu! Stuart Rodgers!

– Terry... – jęknął Rodgers.

– Połącz się z kimś z TH1, niech podadzą, kogo wysłali na mecz. Sprawdź, czy zgadza się to z wydanymi akredytacjami. W tej chwili!

45

A więc dogrywka – powiedział komentator angielskiej telewizji, gdy sędzia gwizdnął po raz ostatni w drugiej połowie meczu.

Owen próbował przedostać się wzdłuż murawy przez tłum zmierzający do bufetów i toalet bliżej łoża VIP, gdzie siedział Babukin, kiedy zobaczył, jak Locke podchodzi do trybun, a tuż za nim podąża Barkley.

Nie od razu w szczupłej blondynce podającej bidon Locke'owi rozpoznał Annę Pankovą. Moment uchwyciła również kamera.

– Sok z buraków – wyjaśnił komentator. – Locke ma w zwyczaju pić go przed grą.

– Są razem? – zapytał Snow.

Rodgers rozłożył ręce.

– Nic o tym nie wiem. Zapytaj Chloe.

– Powiedziałyby.

Locke oddał bidon Barkleyowi, sam się nie napił. To wzbudziło podejrzenie Owena, bo przecież miał obserwować Barkleya.

Pozostali zawodnicy zgromadzili się na swojej połowie boiska, członkowie sztabu szkoleniowego i rezerwowi przynieśli im napoje. Owen uznał, że coś się nie zgadza.

Nim skończył myśl, przeskoczył przez bandy reklamowe i wdarł się na boisko. Ubrane na żółto służby porządkowe próbowały złapać go jeszcze przed murawą, lecz odepchnął się i pobiegł dalej.

– Nie pij tego! – krzyczał, gestykulując.

Barkley widział go, ale nie słyszał. Pierwsze rzędy zaczęły dopingować, aby biegł szybciej.

Prawie dopadł do Barkleya i w myślach już wytrącał mu bidon z ręki, lecz wtedy coś zaklinowało mu nogę, zeszywniało, szarpnęło nim i poleciał na ziemię. Momentalnie spróbował wstać, lecz wtedy ktoś na nim wylądował. Ten drugi dalej trzymał go oburącz za kostkę.

– Jestem z policji! – krzyczał, ale nie słyszeli. – Puść mnie.

Obezwładnili go i podnieśli. Potem poprowadzili do głównej bramy. Kątem oka dostrzegł, jak Barkley przechyla bidon i ochoczo sączy czerwony płyn.

Gdy Owen trzymany za ręce opuszczał murawę, kibice bili mu brawo.

– Złapali Owena – powiedział Charlie Keane do telefonu.

– Widzieliśmy – odparł Snow. – Rób swoje.

- A Barkley?
- Za późno. My się tym zajmiemy.



Charliego Keane'a od Babukina dzieliło kilka krzesełek. Ten – jako jeden z nielicznych w tej części stadionu – nie udał się w przerwie na degustację, lecz pozostał na miejscu.

- A pan dokąd? – zatrzymał Keane'a postawny mężczyzna.
- Policja. – Keane machnął mu legitymacją.
- Moment – odparł tamten, chcąc lepiej przyjrzeć się dokumentowi.
- Nie.

Inspektor, z ręką na temblaku, poszedł dalej. Może to przez nią ochroniarz nie robił mu problemów. Rana bolała, opatrunek uwierał, ale gdy założono mu opaskę podtrzymującą i unieruchamiającą zgiętą w łokciu rękę, wszystko minęło.

- Dzień dobry – powiedział do Babukina. – Inspektor Keane, możemy pomówić?

Babukin, który stał w towarzystwie dwóch śniadych mężczyzn, uśmiechnął się szeroko, a na jego pucułowate policzki napłynął rumieniec.

- Niech pan mówi, panie Keane.
- Wolałbym na osobności.
- Nie zgłaszam kradzieży, jeśli o to chodzi. Nie ma o czym mówić.
- Chodzi o coś innego.
- Pójdziemy się napić – powiedział jeden z jego towarzyszy.
- Mówi panu coś nazwisko Stokes? – podjął Keane, kiedy tamci się oddalili.
- Nie.
- Na pewno?
- Zupełnie nic.

Keane zauważył w dole, że jacyś mężczyźni podeszli do Anny Pankovej i zabrali jej bidon.

- A Rebecca Mulligan? – spytał.

Babukin zastanowił się.

- Czy to nie ta prezenterka z telewizji?
- Reporterka. Chciał pan ją skrzywdzić?
- Panie Keane... – Babukin zrobił pocieszoną minę.

- Z broni, z której strzelano do Mulligan, zabito Stokesa. Taką broń nosi pański ochroniarz.

- Taką samą czy właśnie tę?
- Będzie nam potrzebna w celu przeprowadzenia analizy porównawczej.
- Nie zgadzam się.

– Nie musi pan. Przepraszam – powiedział i odebrał telefon. – Tak szybko? Na pewno? Dobrze... Panie Babukin – przybrał bardziej oficjalny ton – jest pan aresztowany.

– Co? – zaśmiał się Babukin. – Co to za metody?

– W pańskim samolocie znaleźliśmy...

– Gdzie? – oburzył się całym sobą.

– ...materiał genetyczny należący do zaginionej osoby. Oczywiście dysponujemy stosownym pozwoleniem.

Babukin potarł podbródek, na jego placu lśnił złoty sygnet z czerwonym okiem.

– Jak ona się nazywa? Podróżuje ze mną wiele osób...

– W luku bagażowym?

Rosjanin zastygł w zdziwieniu.

EPILOG

Thomas Flood miał w ręku broń. Długi, elastyczny i bardzo ostry nóż do filetowania ryb, który zabrał z domu.

Kiedy zapaliło się zielone światło, odłożył go na siedzenie i ruszył. Czarny ford mustang GT zamruczał, gdy dodał gazu, i pojechał drogą lokalną, która wiała się u podnóża wzniesień, na zmianę to opadając, to prowadząc pod górę.

Dopał go na parkingu przed sklepem przy stacji paliw. Tak długo czekał, aż w końcu się udało.

Pożyczył samochód od Daisuke i pojechał do Malvern, gdzie tamten mieszkał. John Ward. Znajomy Niny, z którą przyjaźniła się Anne.

Zabił swoją byłą dziewczynę, pewnie za to, że go opuściła, a potem Anne, niewiedomo dlaczego. W czasie finału wszyscy będą skupieni na transmisji, nawet policja. To dobry czas, aby uciec niezauważonym. Najlepszy i może jedyny. Skoro nie pojawił się w domu w Los Angeles i nie ma go w swoim londyńskim mieszkaniu, gdzie indziej mógłby się ukrywać? Może właśnie w Malvern, swoim rodzinnym mieście, wśród oddanych mu przyjaciół i niewierzących w jego winę sąsiadów. Gdzie, jak powiedział w jednym z wywiadów, dziewięćdziesiąt dziewięć procent mieszkańców stanowią ludzie o dobrym sercu. Co to właściwie znaczy?

Odnalazł w końcu drogę na polanę usytuowaną między wzgórzem a przepaścią. Roztaczał się stamtąd piękny widok na okolicę, stał też tam okazały dom z bali, oświetlony z każdej strony, mimo że jeszcze było jasno. Jego wszystkie okiennice były jednak pozamykane.

Thomas powoli obszedł budynek dookoła. W pewnej chwili wydawało mu się, że coś słyszy, a dźwięki dochodzą ze środka. Przyłożył ucho do ściany, lecz wnet po głuszy rozniósł się trzask łamanej gałęzi, a z pobliskich krzaków wyłoniła się niska i tęga postać w szarej ortalionowej kurtce. Ostrożnie stawiała kroki, niosąc na grzbiecie okazały pakunek zawinięty w brązowy brezent i przewieszoną przez ramię strzelbę dwulufową. Lekko spuszczoną w dół głowę zasłaniał jej wąski kaptur. Gdy po chwili wyprostowała się, ukazała spocone czoło mężczyzny, posiwiałe brwi i długą kruczoczną brodę. Miejscowy w ułamku sekundy spostrzegł wpatrującego się weń chłopaka, a delikatny uśmiech rozjaśnił jego zmęczoną twarz. Wtedy z trudem podrzucił tobół w formie walca, poprawiając jego ułożenie na barkach, i przyśpieszył. Thomas wyszedł mu naprzeciw.

– Dobry wieczór – powiedział nieznajomy.

– Dobry wieczór. Poluje pan? – zapytał, chcąc zagłuszyć nerwy. Mężczyzna miał broń i mógł znać Warda.

– Nie tym razem, bratku – odparł wesoło, wciąż zwolna się zbliżając. – Owszem, miałem zamiar złować dzika, ale nie wytropiłem żadnego. Bardzo szybko się rozmnażają i wydano zgodę na odstrzał kilku sztuk. Zbyt często ostatnio odwiedzają parki i skwery, siejąc popłoch w mieście.

– Są niebezpieczne? Ale tu ich nie ma? – Pomyślał nie tyle o sobie, lecz o samochodzie, który zostawił na skraju leśnej drogi, a o który Daisuke troszczył się bardziej niż o swoją dziewczynę.

– Nie bój się, nie bój – odrzekł śpiwnie. – Na ubitym podłożu nawet liczna wataha nie zostawia śladów, ale wczorajsze opady zmiękczyły glebę, więc skoro nie widziałem nigdzie racic, zwierzyna musiała się wynieść na dobre. Migrują, chociaż znając życie, zaraz wpłynie zgłoszenie o warchlakach harujących w przydomowych ogródkach.

– A jednak pan coś ma? – zapytał i od razu pomyślał, że powinien raczej ugryźć się w język.

– Zwykły pech – westchnął ciężko. – Znalazłem martwego samca sarny z paskudnymi śladami wilczych kłów na szyi. Można wnioskować, że atak nastąpił tuż przed moim nadejściem. Pewnie wypłoszyłem drania, ocierając się o gałęzie. Zawiozę rogowca do zbadania. Zobaczymy, czy nada się na ruszt. Pomożesz mi?

Thomas od razu złapał za drugi koniec pakunku i razem położyli go na ziemi.

– Co to? – zapytał, gdy mężczyzna pochylił się nad powalonym pniem za pierwszą linią drzew.

Nieznajomy wskazał na wąskie i płytkie wycięcie na obwodzie pnia.

– Czasami zdzieramy korę wokół odziomka, odsłaniając lepką warstwę, czym zachęcamy owady oraz inne szkodniki do zasiedlania osłabionych i chorych drzew, które i tak nie przetrwałyby kolejnych kilku lat. Kiedy soki wysychają, otwory smarujemy maściami z feromonami, wabiąc insekty żerujące na drzewostanie. Do przedwiośnia wycinamy wszystkie pułapki, a ludzie Pita Burtona, właściciela tartaku, przerabiają je na tarcice, dając nam w zamian paliki do sadzonek. Ta została.

– Jest pan leśnikiem?

– Zarządzam tym obszarem – przytaknął. – Gareth Allan.

– Thomas Flood, miło mi.

Podali sobie ręce.

– A ty, bratku? Co cię tu sprowadza?

– Zwiedzam – odparł krótko.

– Nie oglądasz meczu? Zaraz się zacznie... – zapytał leśniczy podejrzliwie.

- Nie lubię sportu.
- I ja. Cóż począć w taki wieczór. Ale nie jesteś stąd – bardziej stwierdził, niż spytał.
- Nie.
- Aha. To twój samochód widziałem przy szosie?
- Mój.
- Ładny wózek. Czyli z Portsmouth?
- Z Portsmouth, tak. Skąd pan wie?
- Znaczek uniwersytetu wiszący na lusterku. Ale nie jesteś dziennikarzem?
- Nie, nie. To ja już pójdę...
- No nic, miłego pobytu!
- Dziękuję. Do widzenia!

Flood oddalił się czym prędzej, nie chcąc się narażać. Nie odjechał jednak, zaczekał w wozie. Przyszło mu siedzieć tak kilkadziesiąt minut, ale było warto. W pewnym momencie w głębi leśnej drogi pojawiły się światła samochodu. Prowadziła ona tylko na polanę, do jedynego domu, nigdzie dalej. Do domu Johna Warda. Bmw X7 musiało wyjechać zatem z jego garażu. Nie przesłyszał się, w środku ktoś był. Przy zasłoniętych okiennicach... Ten ktoś się ukrywał.

Thomas Flood pojechał za nim. Nie zatrzymali się w mieście, ale już poza jego granicami, po południowo-wschodniej stronie. Myślał, że jadą zatankować, ale bmw ominęło dystrybutory paliwa i zaparkowało przed sklepem obok stacji. Kierowca wysiadł.

Teraz Thomas już nie miał wątpliwości.

To był John Ward.

Nie miał pieniędzy, a kończyła mu się benzyna. Nie dojechałby do Londynu ani do kolejnej stacji. Znalazł kartę kredytową, lecz nie był pewien, czy ma nie niej jakieś środki i zechciał się upewnić, zanim napełni zbiornik.

Gdy Ward zniknął wewnątrz sklepu, Thomas Flood zakradł się do bmw i otworzył bagażnik. Tylko do połowy, tak, aby ze sklepu nie dało się tego dostrzec. Wcześniej widział, że Ward nie zamknął auta.

Coś mu mówiło, żeby się jeszcze upewnić. I przekonał się, że miał rację. Odkrył tam bowiem torbę z lekami i strzykawkami, w tym środek, jaki podano Anne. Chlorek tubokuraryny. Był też chlorek metylenu w ciemnej butelce z białym korkiem, zawiniętej w czerwoną szmatę.

Wziął jedną z fiolek i napełnił jej zawartością strzykawkę. Czekał.

Kiedy Ward wrócił, podszedł i zagaił:

- John Ward?

– Przepraszam, śpieszę się – odparł Ward, odwrócił się i otworzył drzwi od strony kierowcy, ale wtedy Thomas Flood wbił mu ostrze strzykawki w kark.

Ward machnął ręką i skaleczył się o słupek drzwi. Jednocześnie poślizgnął się i upadł, uderzając głową w listwę progową. Od razu stracił przytomność.

Flood nie był pewien, czy to działanie środka zwiotczającego, czy efekt urazu głowy. Wziął Warda pod pachy i pociągnął na tył forda. Potem wepchnął go do bagażnika i po prostu odjechał.



– Inspektorze, myślę, że zaszło nieporozumienie – powiedział błogo Babukin, gdy weszli do sali bankietowej i zrobiło się o wiele ciszej, choć niezupełnie. Wykorzystując okazję, nałożył sobie ostryg w cieście i kremie migdałowym.

Stanęli w rogu pomieszczenia przy wielkich palmach rosnących w topornych donicach wykonanych ze starych portowych beczek. Ochroniarz przyszedł z nimi, ale trzymał się z boku.

– Nie ma o tym mowy – odparł Keane. – A będzie jeszcze gorzej.

– Widzę, że sprawa jest poważna.

– Dziewczyna, której włos znaleźliśmy we wnętrzu należącego do pana odrzutowca, zaginęła w czasie pańskiego ostatniego pobytu w Londynie. Studiowała wtedy w Newcastle University.

– Proszę posłuchać... – westchnął Babukin, jakby zbierał myśli. Już nie było mu do śmiechu.

– Nie, to pan będzie słuchał. Mamy dowód, że Neil Oakley kontaktował się z panem niedługo przed tym, jak napadnięto Rebecę Mulligan w jej własnym mieszkaniu. Wiemy też, bo się przyznał, iż polecił panu ją uciszyć. – W tym fragmencie Keane trochę przesadził, ale zaryzykował. Nie było czasu, musiał blefować.

– Zaraz, zaraz... – wyjąkał Babukin, wypluwszy na talerzyk na wpeł przeżuty kęs.

– Sądzę, że znajdziemy również powiązanie między panem a Niną Collins i w ten sposób odkryjemy motyw, jaki miał pan w zleceniu zabójstwa doktora Stokesa.

– Co pan ciągle z tym Stokesem, nie znam go!

– Ale Neila Oakleya już tak, nie zaprzeczy pan?

– Jasne, że nie. Robimy razem interesy.

– A temu, że kazał pan uciszyć Rebecę?

– Chciałem, aby zamknęła usta, ale nie na zawsze, postraszyć to nie zabić.

– Czyli jednak.

– Żadne jednak! – odparł stanowczo Babukin, aż krople śliny obryzgały zwisający w ich stronę liść palmowy. – Myślałem, że ją tylko trochę poszarpią, potraktują, jak to

oni potrafią, po grubiańsku, przyznają, ale żeby zaraz strzelać do niej? Zwolniłem po tej historii dwóch ludzi. – By nie było wątpliwości, pokazał tę liczbę na palcach.

– Poda mi pan ich nazwiska.

– Ale oczywiście.

– Nie tak prędko – wtrącił się ochroniarz i wcisnął swojemu szefowi pistolet między żebra. – Idziemy, powoli.

– Co ty robisz, Misha? – zdumiał się Babukin.

– Cicho!

– Nie rób głupot, tu jest mnóstwo ludzi – odezwał się Keane.

– Więc chyba nie chciałbyś, żebym teraz zaczął strzelać?

– Misha, ty... – podjął Babukin.

– Ani słowa! – pogroził ochroniarz, mocniej przyciskając broń. Babukin aż jęknął.

Kiedy wyszli na korytarz, gdzie znajdowały się windy na wprost, ruchome schody po lewej oraz klatka schodowa po prawej, usłyszeli głuchoe plaśnięcie i Misha padł na podłogę.

Wtem otworzyły się drzwi windy. Kobieta jadąca w kabinie na moment zastygła. Jej partner nie krył zdziwienia.

– Za dużo wina – zaśmiał się Owen, próbując podźwignąć powalonego napastnika. Wcześniej zajął się jego pistoletem.

Kobiecie te wyjaśnienia najwyraźniej wystarczyły, bo pociągnęła mężczyznę za sobą, omijając Owena z wyniosłą miną.



Czarny ford mustang poruszał się krętą drogą przecinającą las u podnóża pasma wzniesień, by przed krótkim mostem, pod którym przepływała niewielka rzeczka, skręcić między drzewa. Piaszczysta przecinka była prosta, jakby została wytyczona od linijki, i bardzo wąska, aż zarośla szurały o karoserię.

Daisuke nie darowałby mu zarysowań, więc zrezygnował z dalszej jazdy. Zgasił silnik, światła wyłączył dużo wcześniej. Chwycił nóż i wysiadł. Oddalił się od asfaltu na tyle, by czuć się bezpiecznie, ale i tak w zasadzie nikt tędy nie przejeżdżał. Liście paproci i pędy krzewów prześlizgiwały się po przedniej szybie i znów wyglądały na dróżkę, zasłaniając tym samym samochód, którego czerń lakieru wtapiała się w zapadający mrok.



Sierżant Moyes patrolowała ulice. Ta noc nie należała do spokojnych, wszędzie lało się piwo, do późnych godzin świętowano zdobycie tytułu mistrzowskiego, tym bardziej wybornie smakującego, bo zdobytego po meczu pełnym dramaturgii. Nagły i niespodziewany zwrot akcji w końcówce spotkania i seria rzutów karnych, podczas której już po pierwszej kolejce na prowadzenie wyszli goście, by potem pomylić się w dwóch próbach i ostatecznie musieć zadowolić się srebrem.

Wyjechała za miasto, gdzie mogło dojść do wypadku, którego nikt by nie zauważył i nie zgłosił. Jechała górską serpentyną, trudnym zjazdem służącym młodym adeptom kolarstwa do szlifowania techniki, kiedy coś mignęło w lesie. Krótki pojedynczy błysk. Tej nocy na niebie świecił jasny księżyc, inaczej w gęstwinie zapewne nie dostrzegłaby nic. Zatrzymała się i popatrzyła przez lornetkę noktowizyjną. Samochód, obca rejestracja. Charakterystyczny, sportowy, nie widziała go wcześniej. Sprawdziła w bazie danych. Poszukiwany. Ale nie wiadomo, czy skradziony. Ruszyła poboczem i zatrzymała się trochę dalej.



Thomas Flood przechylił butelkę i wysączył ostatnie krople single malt. Zlany potem, oddychał ciężko. Bał się, jednocześnie pragnął tego i nie miał odwagi tego zrobić. Ale teraz powinno być łatwiej. Postanowił, że będzie.

Wysiadł z samochodu i zakręciło mu się w głowie. Pomogły jednak drzwi, których się przytrzymał. Z rękoma na dachu odczekał parę chwil, aż w końcu podszedł do bagażnika. Otworzył go.

Johna Warda przeraziło mignięcie sztyletu, który tamten dzierzył w dłoni. Długi, ostry nóż tnący ciemność. Cienki, wejdzie łatwo i głęboko. Zaczął się wiercić, ale nic to nie dało. Miał związane ręce i nogi, a do tego połączone ze sobą. Tamten skrępował go, gdy tylko na dłużej się zatrzymali. To dlatego, że potem paraliż ustąpił, a on nadal leżał sam w bagażniku. Gdyby nie więzy, mógłby się bronić. Na pewno zdołałby uciec, tak bardzo pragnął żyć.

Flood przeciął sznur łączący pętlę wokół kostek z tą na nadgarstkach i wyciągnął drania na ziemię. Ten musiał czuć się winny, bo nawet się nie odezwał. Stęknął tylko, gdy upadł płasko obok samochodu.

– Nic mi nie rób – wysapał wtedy ledwo słyszalnym głosem. – Proszę. – Wargi mu drżały, przekrwione oczy łzawiły.

Jeszcze ma czelność o cokolwiek go prosić.

Thomas Flood nie odezwał się ani słowem. Popatrzył na to ludzkie ścierwo z pogardą i splunął. Odrzucił nóż i wyjął miecz. Winny całego zła zaskomlał:

– Nie... proszę, nie!

Ostrze wysunęło się z pochwy.

– Ja... błagam, dam ci, co zechcesz, zapłacę, tylko mnie puść!

Przelicza jej śmierć na pieniądze. Życie Anne było przecież bezcenne. Uważa, że to ukoi cierpienie. Naprawi szkody. Jak śmie?! Jak w ogóle może?! Co za kanalia...

– Jestem bogaty, nic nie powiem – płakał.

Zepsuty do szpiku kości. Zaraz zobaczymy, co tam ma.

Thomas Flood uniósł miecz nad głowę i zamknął oczy.

– Stój! – padło gdzieś z boku. Z bliska.

Spojrzał w tamtym kierunku.

Jakaś niska blondyna mierzyła do niego z broni. Skąd się tu wzięła?

– Odłóż miecz, powoli! – poleciła.

Nic nie rozumiała. To przecież nie on był tym złym. Przysuwała się krok za krokiem.

– Nie zbliżaj się – zasyczał. Z ust spływała mu ślina. W oczach miał łzy. – Odejdź.

– Zastrzelę cię, jeśli mnie nie posłuchasz. Chcesz tego?

– On zabił moją Anne – powiedział przez łzy.

– Nie, to nieprawda – wycedził Ward. – Ja nikogo nie zabiłem!

– Milcz! – wrzasnął Flood i przeniósł miecz zza głowy, jakby chciał zadać decydujący cios.

Wtedy padł strzał i głównia, zamiast w ciele Warda, zatopiła się w ściółce.

Gdy sierżant Moyes podbiegła do Flooda, ten trzymał się za otwór w dłoni i cały się trząsał.

– Nie ruszaj się – powiedziała i wezwała karetkę.

Potem zaczęła rozwiązywać Warda.

– To John Ward – krzyknął wtedy wściekle Flood. – On zabił moją Anne – dodał, zanosząc się płaczem.

Sierżant Moyes cofnęła się. Rzeczywiście, to był on. I był poszukiwany. Oswobodziła mu nogi, lecz nie ręce.

– Pójdiesz ze mną. – Posadziła go na pniu. – Ale najpierw poczekamy na pomoc.

Znalazła w fordzie apteczkę i opatrzyła rannego.

– On zabił Anne – powtarzał Flood. – Zabił Anne.

Ward próbował się jeszcze tłumaczyć, ale Moyes kazała mu milczeć.



Wiera Smolnikowa, która teraz nazywała się Daria Milova, a wcześniej jeszcze inaczej, przeskoczyła przez ogrodzenie z siatki i pobiegła schylona na tył budynku, mijając po drodze skład miazgi węglowej, młyny i skracając sobie drogę pod ogromnymi rurami

będącymi chłodnikami planetarnymi, biegnącymi wprost do pnącego się ku niebu monstrualnemu piecowi obrotowemu.

Wtargnęła na teren starej cementowni, którą przed trzema laty ponownie uruchomiono. Nie wszystko zostało jednak odnowione jak należy i wślizgnęła się do środka małej budowli przez okno, w którym kiedyś były szyby i kraty. Pręty najpewniej wycięto na złom, kiedy miejsce zostało opuszczone. Nie lubiła wandalii, ale nie tego dnia.

Wysokie konstrukcje ciągnęły się przez długi obszar, ale ją interesował tylko ten jeden o wiele mniejszy od pozostałych budynek o zaledwie trzech kondygnacjach. Znajdowały się tu kiedyś biura i archiwa. Obecnie najwyraźniej nie działało tu nic, bo wewnątrz przypominało plan zdjęciowy filmu o zagładzie ludzkości.

Na parterze panował totalny bałagan, ciągnęło wilgocią i unosił się nieprzyjemny zapach mokrego surowego betonu, ale na górze paliło się światło. Stamtąd też dochodziły głosy.

Daria na palcach przeszła do pokrywy w podłodze i powoli odsunęła rygiel. Skrzypiał i ciężko chodził, więc napierała, gdy śmiechy stawały się głośniejsze. W końcu jednak jej się udało.

Do piwnicy prowadziły szerokie schody, gdyby nie ten właz, powiedziałyby, że wewnątrz przypominało magazyn biblioteki uniwersyteckiej w Sankt Petersburgu. Na ogromnej przestrzeni ciągnęły się korytarze metalowych regałów, które wcale nie były puste. Wciąż dźwigały tony pozólkłych teczek, pudeł i kartonów. Między nimi rozłożono materace, po jednym w każdym przejściu; zajmowały całą ich szerokość. Pranie schło rozwieszane na regałach, na półkach poukładano rzeczy osobiste, w tym ubrania, przybory do mycia czy zdjęcia. Leżały tam też koce i torby.

Dwie kobiety, kiedy ją zobaczyły, podeszły bliżej. Wszystkie przebywały po drugiej stronie dawnego archiwum, gdzie na biurku stał telewizor. Oglądały jakiś rosyjski film. Było ich w sumie siedem.

– Polka? – zapytała jedna z nich po rosyjsku.

– Jesteście tu same? – odrzekła Daria.

Wtedy brunetka siedząca tyłem na krześle, która kiedyś musiała mieć piękną twarz, a teraz jej skóra przypominała suchą, wyblakłą ziemię, włosy zaś zużytą szczotkę, odwróciła się i odezwała:

– Nie powiemy, że dobrze cię widzieć, bo lepiej, gdybyś tu nigdy nie trafiła, ale pomożemy ci tu przetrwać.

Podniosła się i podeszła do niej.

– Jestem Nina. To są Silvia i Marinette.

– Umiemy się przedstawić – odparła ta pierwsza.

– Bały się, że to oni – wyjaśniła Nina. – Stąd te ponure miny. Chodź, może jesteś głodna? – Wskazała na garnek i patelnię na dwóch palnikach stojących na butli gazowej i mikrofalówkę.

– Nie zostaniemy tu długo – odrzekła Daria.

Silvia zaśmiała się, Marinette jeszcze bardziej posmutniała, a Nina odezwała się z uczuciem, jak mówi się do dziecka, które pyta, kiedy mamusia wróci z nieba.

– Nie wypuszczą nas. Prędej zabiją.

– Wcześniej uciekniemy. – Daria nie wykazywała empatii, mówiła krótko.

– Stąd nie da się uciec – wtrąciła któraś z przodu, nawet na nią nie patrząc.

– Posłuchajcie mnie uważnie – zaczęła podniesionym tonem – macie piętnaście sekund, aby się ubrać. – Niektóre z nich były w kapciach i szlafrokach. – Nie zabieracie ze sobą niczego. Chce was widzieć ustawione na schodach dwójkami. Kiedy powiem, biegniecie za mną. Czy to jest jasne?

Coraz więcej głów odwracało się od telewizora.

– Różnie reagują na prochy, ale tak... – powiedziała jedna.

– Ja na przykład całą noc tłukłam głową w materac – rzekła druga. – Potem nic nie pamiętałam.

– Teraz też zdarza ci się tłuc głową w materac – roześmiała się inna.

– Niby jak chcesz to zrobić? – zapytała drwiącym głosem kolejna.

– Po pierwsze, ciszej. Po drugie, mam to. – Pokazała telefon.

– Telefon? – zdumiała się Silvia.

– Nie zabrali ci telefonu? – spytała Nina z niedowierzaniem.

– To detonator.

– Co? – Marinette trzęsły się łydki.

– Drogie panie, zostały wam dwie sekundy – odparła Daria. – Lepiej się pośpieszcie.



– Mówiłem, że wszystko ze mną w porządku. – Paul Barkley rozłożył ręce.

Lekarka uśmiechnęła się, składając ciśnieniomierz.

– Musiałam sprawdzić.

– Mogę już iść? – Podniósł się z kozetki.

– Jeszcze tylko jedno pytanie, jeśli to nie problem.

– Proszę – odparł niepocieszony.

– Jak to jest być bohaterem?

– Nie jestem nim, to raczej pani, codziennie ratując życie. Ja tylko gram w piłkę. Poza tym to sport zespołowy. Jako napastnik żyję z pracy kolegów. Najwięcej tak naprawdę zawdzięczamy...

– Nie o meczu mówię, nie tylko, ale głównie o wydarzeniach przy moło. – Szeroki uśmiech nie schodził z jej twarzy.

– A, o tym... – odrzekł bez przekonania.

– Pański wczorajszy występ także stanowi dowód na poparcie moich słów. Zagrał pan pomimo wielkiego bólu. Poświęcił się pan. Dla kolegów, kibiców, walcząc do końca o zwycięstwo. I dla niej, kładąc na szali karierę. Chyba... Musi pan ją bardzo kochać?

Barkley popatrzył lekarce w oczy.

– Zdradzić pani tajemnicę?

– Obiecuję, że zachowam ją tylko dla siebie – odrzekła kokieteryjnie.

– To było najbardziej egoistyczne zachowanie, jakie można sobie wyobrazić.

– Chyba nie? – skrzywiła się doktor Nielsen.

– Nie chciałem jej stracić. Ani obarczyć winą za przegrany finał, aby w końcu przestała móc na mnie patrzeć i odeszła. W szpitalu pochylała się nad moim łóżkiem i płakała. Przepraszała, że zepsuła mi najważniejszy dzień w życiu. Ona? Najważniejszy dzień? Bo graliśmy o złoto? – prychnął Barkley. – Nie... najważniejszy jest każdy kolejny.



– Wiesz teraz więcej? – zapytał Charlie wychodząca z pokoju przesłuchań sierżant Clarke.

– Chyba nawet już wszystko – stwierdził Snow, który opuścił sąsiednie pomieszczenie. Przez ostatnie półtorej godziny przysłuchiwał się jej rozmowie Anną Pankovą z drugiej strony lustra weneckiego.

– Anna powiedziała w końcu, jak było – odparła Chloe Clarke.

– I zgadza się to z wersją Mary?

– W tej części, w której może. Mary niewiele chciała mówić.

– To więc, jak było?

– Obejrzyj sobie nagranie – westchnęła.

– Proszę o streszczenie – uśmiechnął się uwodzicielsko.

– Dobrze, ale krótkie, bo nie mam siły.

– Idę po kawę – powiedział Snow. – Przynieść pani? – zwrócił się do Chloe.

– Dziękuję.

– Dla mnie też weź – wtrącił Keane.

– Marzenia dobra rzecz – rzucił inspektor Snow i odszedł.



Daria nacisnęła czerwone kółko na ekranie telefonu i w pobliżu rozległ się niesamowity huk, jakby zrzucono tam wielką bombę.

Wybuch postawił olbrzymią wieżę pieca obrotowego w płomieniach i zatrzęsła się ziemia, telewizor spadł z biurka, światło zaczęło migać, a w końcu przewrócił się jeden z regałów za ich plecami, uderzając w sąsiedni i popychając go na następny, tamten uruchomił zaś kolejny, aż upadły wszystkie po kolei. Powodowały przy tym głośne miarowe zgrzyty, które jednak pozostały niczym przy serii eksplozji, do jakich doszło zaraz po głównym wybuchu.

Korytarzem nad nimi w pośpiechu biegli ludzie, aż tupanie w pewnym momencie ustało.

– Teraz – dała znak Daria i pchnęła klapę.

Rozejrzała się z pistoletem w rękę i kiwnęła, by biegły za nią.

Na zewnątrz unosiły się kłębu pyłu, powietrze było gęste jak śmietana.

Kobiety pozakrywały twarze ubraniami, inaczej nie dało się oddychać. Biegły, trzymając się za ręce, sznurem. Widoczność spadła bowiem do zera.

Darię prowadziła nawigacja głosowa. I tylko to.

Wszędzie leżały odłamki tynku, ścian, powykręcane metalowe elementy, a nawet całe kawały komina. Potykały się o nie i przewracały, ale wytworzona między nimi solidarność kazała pozostałym czekać, pomagać sobie wstać i podtrzymywać się nawzajem.

Kiedy wreszcie dobrnęły do metalowej ściany, która okazała się autobusem, mogły wreszcie odetchnąć. Rzuciły się na podłogę i siedzenia zdyszane, jakby przebiegły maraton, i kasłały, wypluwając piasek i sadzę. Łapały tlen za szybko, ciężko i boleśnie, gdy Daria zatrzasnęła drzwi i je policzyła. Siedem.

Przekręciła kluczyk w stacyjce, ale silnik nie zaskoczył od razu. Kolejna szybka próba i jeszcze jedna, byle tylko nie zalać świec żarowych.

„Odpal. No, dalej”. Uruchomił się. Wrzuciła bieg i ruszyła. Wycieraczki z trudem zgarniały gęstą powłokę z szyb, w dalszym ciągu nie było jednak nic widać. Zaufała lokalizatorowi GPS. Musiała.

Tym sposobem zahaczyła o słupek ogrodzenia i przestawiła budkę strażniczą, ale dotarła na miejsce znajdujące się pięć kilometrów dalej. Tam, na kwietnej łące czekał samolot, którego silniki odpalono. Gdy biegły z autobusu na jego pokład, po prawej miały gigantyczny ponad stumetrowy słup ognia, który jarzył się żółcią i parzył je mimo tak dużej odległości.

Wokół niego wirowały ciemne masy ziemi i brudu. Nie było nieba ani ziemi, nie było horyzontu, tylko ogień i czarna mgła dookoła. Miały wrażenie, że to jądro piekła,

które z okrutną siłą zasysa wszystko wokół siebie i wciąga także je.

Częściowo na nogach, w większej mierze na czworakach doczłapały się na pokład, na który ostatnia weszła Daria i zamknęła za sobą drzwi zgodnie z procedurą. Potem kazała wszystkim usiąść i zapiąć pasy.

Samolot ruszył już wcześniej. Sunął po trawie, podskakując i bujając się na boki, stopniowo nabierał prędkości. Trwało to długo. Za długo. Myślały, że coś poszło źle, że nie oderwie się od ziemi, ale wystartował.

Gdy wzbił się w powietrze, Nina krzyknęła uradowana, a Marinette przestała płakać i nawet się uśmiechnęła. Po chwili już wszystkie śmiały się i wiwatowały.

Daria pozostała niewzruszona.



– Anna przyjaźni się z Mary i ta jej ufa – mówiła sierżant Chloe Clarke. – Nie podejrzewała jej. A to właśnie ona podała Ninie alkohol.

– Tylko że nie połączenie alkoholu z lekami i środkami odurzającymi przyczyniło się do śmierci Niny – powiedział Keane.

– Nie? – zdziwiła się Chloe. – A niby co?

– Mam nadzieję, że nic.

– Charlie, co ty mówisz?

– Odkryliśmy powiązanie między kierowcą ochroniarzem Babukina, Wiktorem Syczowem, a doktorem Christopherem Grayem, tym, który wystawił kartę zgonu Niny Collins w pierwotnym brzmieniu. Okazuje się, że Syczow rozkręcił na boku interes, wykorzystując Babukina, który o niczym nie wiedział. Dzięki niemu miał prawie nieograniczony dostęp do jego prywatnego samolotu, a ten nie zawsze sprawdzano.

– Czy Nina mogła zostać porwana? Czy ona może żyć? Tylko upozorowano jej śmierć, by nikt jej nie szukał?

– Tak, jest to możliwe.

– Takich przypadków może być znacznie więcej! Charlie, wiesz, co by to oznaczało? Przecież oni podróżowali po całym świecie!

– Koledzy z Londynu już badają historię Graya. Zobaczymy, na co trafią.

– Aż strach pomyśleć... Chodziło o narządy czy prostytutkę?

– Gray nic nie wie, więc raczej to drugie. Anna pomagała Mary?

– Nie. Przynajmniej na razie się nie przyznaje. Ale też jakoś niespecjalnie przeszkadzała jej świadomość, że przyczyniła się do śmierci Niny. Dalej tak myśli... Nie robi to jednak na niej wielkiego wrażenia. Pusta lala...

– No, niezła jest.

– Charlie! – przywołała go do porządku.

– Powiedz lepiej, kiedy odbiło Mary...

– Nie do końca tak było. Mary chciała zwalić wszystko na Warda, stąd ta zabawa w próby. Liczyła, że to odkryjemy. John mówił ciągle tylko o Ninie, nie krył się z czytaniem Biblii i zgłębianiem historii kościoła. Ludzie myśleli, że oszalał. A on tylko uciekał od smutków. Muzykę ponoć tworzył w radości, nawet gdy pisał smutne motywy.

– Mary postanowiła znaleźć winną i ją ukarać?

– Nie od razu. Anna zechciała zabawić się jej kosztem i napisała list.

– Jaki list? Żadnego nie znaleźliśmy...

– Bo to nie był mail, tylko papier i długopis. Zostawiła dla niej wiadomość za kulisami. Mary pewnie się go pozbyła.

– Przy okazji jednego z późniejszych pokazów?

– Nie, Mary pracowała wyłącznie dla Vicotria's Secret. Była świetną projektantką, początkującą, ale jednak. Tylko okazała się złym człowiekiem...

– Więc kiedy?

– Jeszcze tego samego dnia.

– W którym zginęła Nina? – zdumiał się Keane.

Chloe pokiwała głową.

– Nazajutrz po pokazie. Od wiadomości o znalezieniu Niny martwej Mary nie mogła sobie znaleźć miejsca. Obwiniła się o to, że wiedziała, czym może skończyć się łączenie alkoholu z lekami i nie tylko, a nic nie zrobiła. Pełna empatii Anna – powiedziała Chloe z sarkazmem – napisała do niej anonimowy list, w którym mówi, że wie o wszystkim i żąda, by Mary ujawniła jej projekty kolejnej kolekcji Victorii, kiedy już będą gotowe, a zanim pozna je świat.

– Mary wzięła to do siebie. Pamiętasz, co spotkało ją ze strony Rebeci Mulligan... Wróciły wszystkie najgorsze wspomnienia.

– Wiedziała, że tylko nieliczni znają prawdę o piciu alkoholu, a do tego tylko oni mogli napisać ten list. Ale dlaczego pominęła Annę?

– Ufała jej, były sobie bliskie. Teraz widzimy, jak bardzo... Zresztą później może i zaczęła ją podejrzewać, lecz wtedy Anna wyjechała na długo do Nowego Yorku. Potem unikała Mary jak mogła, bojąc się, że i ją spotka coś złego. Zaczęła się domyslać.

– Strasznie to wszystko pokręcone – westchnął Keane.

– Co takiego? – spytał Snow, który niósł trzy kawy w tekturowych kubkach.

– Życie – odparła Chloe.

– Kobiety – dodał Keane.

– Panie inspektorze – oburzyła się Chloe – co on opowiada?

– Charlie – podjął Snow – jak na dobrego śledczego, za jakiego cię uważam, długo zajęło ci dojście do tak oczywistego wniosku.

Chloe Clarke wydeła usta naburmuszona.



Owen prowadził srebrnego range rovera, obok siedział niepokieszony John Ward.

– To czego byś chciał posłuchać? – zapytał Owen i przełączył radio na inną stację. – Też nie?

Ujechali kolejne pół mili, gdy odezwał się ponownie:

– Strasznie jesteś markotny. Myślałem, że takie przeboje jak „Dark Hyperbole”, „In Your Head” czy „Gold and Brown” napisał prawdziwy gość, a nie taki smutas, co nie ma nic do powiedzenia.

John Ward współpracując z Rosie Orlando powołał do życia kawałek „Gold and Brown”, opiewający talent Jimiego Hendrixa w znacznej odległości od apoteozy, ze swoją psychodeliczną solówką na gitarze elektrycznej. Natomiast z Aby Flores, pochodzącą z Austin w Teksasie jedną ze zdolniejszych piosenkarek country, dwa utwory – w tym jeden promujący album zatytułowany „Dark Hyperbole”, pełen odniesień do rzekomo postępującej komercjalizacji muzyki i sztuki w ogóle. Swoją pierwszą wizytę w Stanach poświęcił pewnemu wówczas początkującemu raperowi z Brooklynu i traktującemu o kwestiach rasizmu i uprzedzeń singlowi „In Your Head” z ważną, mimo że drugoplanową, rolę sekcji dętej.

– Długo byłeś zamknięty w domu, kompletnie odcięty od świata, nie miałeś się do kogo odezwać. Myślałem, że będziesz chciał się wygadać. Systemy zabezpieczeniowe, zwariowana rzecz, co? Jest pewna dziewczyna, bardzo utalentowana, nie mniej niż ty, tylko w innym kierunku. Ma na imię Claire. To jej sprawka. Dobrze, że chociaż zostawiła ci dużo jedzenia...

– Zna pan moje prace – odezwał się w końcu Ward.

– O, nareszcie, lepiej już?

John Ward przełknął ślinę.

– Może mi pan wreszcie powie, dokąd jedziemy?

– Mówiłem już, to niespodzianka.

– A ja, że jestem niewinny.

– Słyszałem. I możesz mi mówić po imieniu, jestem Brad.

– John – odbąknął po chwili.

Dalej jechali w milczeniu. Do momentu, gdy John Ward odezwał się niespodziewanie i zaczął snuć gorzką opowieść:

– W mojej głowie wciąż kręciła się czarna płyta winylowa, a serce pompowało do żył niezliczone ilości nut. Wtedy inspiracja kryła się dosłownie wszędzie i pojawiała się zupełnie niespodziewanie niczym napad epilepsji, przejmując kontrolę nad całym moim ciałem i umysłem. Nieraz wyskakiwałem w środku nocy z łóżka lub wychodziłem w trakcie wykładu, by podążać tropem brzmienia zbliżonego do perfekcji, zagnieżdżonego w mózgu fragmentu melodii. Bezwiednie izolowałem się wówczas od bodźców płynących z zewnątrz i z uporem maniaka roztaczałem wokół siebie rozmaite wrażenia słuchowe, szukając godzinami absolutnej barwy czy natężenia. – Gestykułowałem, jakby malowałem coś na niewidzialnym płótnie przed sobą. – W podobnych okolicznościach rodził się motyw przewodni utworu muzycznego, trzon nadający kompozycji swoisty charakter i niepowtarzalny klimat, na który nakładałem liczne fale akustyczne, podobnie jak nawija się lepkie, karmelowe nitki na drewniany patyk w trakcie lepienia waty cukrowej.

– Aha, czyli w tej chwili tworzy się nowa... – zaczął Owen.

– Nie, teraz nie ma już nic – wtrącił sucho Ward. Wziął głęboki oddech i kontynuował: – W natchnieniu łaknąłem dźwięków całym sobą, z siłą porównywalną do tęsknoty narkomana na głodzie za dawką czystej heroiny. Zaznaczałem wtedy na pięciolinii sposoby łączenia błogich wielotonów, ilości, rodzaje i stopnie nasilenia tonów, wartości rytmiczne uncji ekstazy lub nastroju intymności, czasy drgania ciał muzycznych, poziomy fonów lub sonów oraz liczby drgań strun lub płytek na sekundę.

Bradley Owen nie zrozumiał z tego nic, ale słuchał.

– Czasami podczas jednego procesu myślowego używałem całej ołówki, pewnego razu zdołałem nawet stępić temperówkę. Zgniecione linie nut często piętrzyły się na obwodzie biurka lub kanapy, ale zastrzyk pozytywnego myślenia, tudzież refleksji, porcja doznań ujętych w pewne wzorce tonalne, rytmiczne i formalne po kilku godzinach, a niekiedy dniach w pełni dojrzewały do zamknięcia w czymś w rodzaju ampułkostrzykawki z morfiną, jeśli wziąć pod uwagę siłę wpływu na zmysły, czyli poddanym cyfrowej obróbce sygnale analogowym, przetworzonym w oparciu o optymalne parametry zapisie dźwiękowego majstersztyku.

– Ty ciągle o tych prochach – wtrącił Owen, lecz Ward nie chciał się śmiać.

– Teraz nie ma już nic – powtórzył. – Odkąd odeszła.

Owen przyspieszył, widząc, że sytuacja jest krytyczna i wnet dotarli na lotnisko, na którego teren dostali się bramą dla służb.

Samolot właśnie wylądował i powoli opuszczał pas.

– Wsiadaj – polecił Owen i sam zrobił to samo.

Ward pozostał w tyle, nie wiedział, czy ma uciekać, czy iść za agentem.

Pierwsza na podstawionych schodkach pojawiła się Wiera, bo pod tym imieniem znał ją Owen. Tuż za nią wyszła Nina.

Nieśmiało rozejrzała się po płycie lotniska, jakby wciąż niedowierzała, że się udało i jest już wolna. Stopniowo na jej twarz napływał uśmiech.

Ward pobladł i o mało się nie przewrócił.

Kolana się pod nim ugięły, serce zaczęło bić szybciej. Dogonił Owena i zapytał:

– Czy to możliwe? Jak?...

– Też się cieszę – odparł Owen i ścisnął go za ramię. – Idź do niej.

Ward biegł ile sił w nogach.

Nina dostrzegła go dopiero, gdy był już blisko. Znieruchomiła wtedy i mocniej przytrzymała się poręczy. Potem ruszyła mu naprzeciw.

Spotkali się u podnóża schodów.

Gdy wpadli sobie w ramiona, nie dotykała ziemi, tak mocno i wysoko ją trzymał.

– Jesteś – wycedził przez ściśnięte zęby.

– Ale... – Nagle pojawiło się u niej zwątpienie. Posmutniała. – Ja... widzisz, jak teraz wyglądam, a do tego nie wiesz, czym się zajmowałam, do czego byłam zmuszana...

– Wiem jednak, że to wszystko już nie ma żadnego znaczenia – odparł natychmiast.

– Kocham cię.

Wtuliła się w niego mocno, nie mogąc wypowiedzieć choćby słowa. Łzy ciekły jej po policzkach i wsiąkały w jego bezpieczny sweter.

– Kocham cię.

Spis treści

Część I

Prolog

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

Część II

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

Część III

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

Część IV

37

38

39

40

41

42

43

44

45

Epilog